

Borys Strugackij

Poszukiwanie przeznaczenia
Albo 27 twierdzenie etyki

Moim miłym przyjaciołom, z którymi wciąż,
częśćiej lub rzadziej, się spotykam,
i tym, z którymi być może nie spotkam się już nigdy
WYDAWNICTWO AMBER Sp. z o.o.
00-108 Warszawa, ul. Zielna 39, tel. 6204013,620 8162
Warszawa 2000. wydanie I
Druk: Wojskowa Drukarnia w Łodzi

Część 1
Szczęśliwy Chłopiec

Rozdział 1

W życiu przychodzi nieoczekiwanie taki moment, kiedy czuje się potrzebę podsumowania - powiedział wtedy Stanisław - I niekoniecznie musi się to przydarzyć na starość (Stanisław zamyślił się głęboko). I nie musi następować to z żadnego specjalnego powodu! A dzieje się to tak: żyje sobie ktoś w zamkniętym świecie, zajęty swoimi sprawami, i nagle odrywa się od nich i mówi: „No cóż, łaskawco, wygląda na to, że już najwyższy czas na podsumowanie...”

Wikontowi spodobał się ten fragment, powiedział więc do słuchawki: "Kupuję to. Zapisuj...". Ale Stanisław oczywiście nie zaczął niczego zapisywać - wsłuchiwał się w swoje wnętrze, rozumiejąc, że to znak. Odczucie stopniowo zanikało, traciło ostrość... dookreślenie... swoją początkową bezwzględną doniosłość... jasną niewzruszoność szczęśliwego wiersza... Nie zrozumiał jednak, co też tak nagle powinien podsumować

Działo się to w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku, wiosną, w dniu, w którym Stanisławowi stuknęło trzydzieści siedem lat. Dokładniej wieczorem tego dnia, a jeszcze dokładniej - w nocy. Kiedy wszyscy goście już poszli, mama zabrała się za sprzątanie, a Stanisław razem ze swoim przyjacielem wikontem Kikoninem (zwanym wikontem) poszli się przewietrzyć, a potem postanowili jeszcze troszkę posiedzieć - tym razem u Wikonta.

Była butelka win rosę, była mocna kawa ze śliwkową konfiturą, cichutko grała gitara, a dwóch twórców, prawdziwych poetów, dwóch bliskich przyjaciół, braci prawie, śpiewało z przejęciem: Kurczowo wciąż ster dzierży ręka,
Choć mgła przecięła maszt i fok.

Strach marynarza serce nęka,
gdy przed nim tylko wiatr i mrok.

(Wiersze wspólnego autorstwa Krasnogorowa i Kikonina, muzyka także). Nie wiedzieć czemu Stanisław przypomniał sobie, że kilkakrotnie tonął, a dokładnie trzy razy. Po raz pierwszy - kiedy był mały, jeszcze przed wojną, w jakimś stawie w Parku Leśnym. Mama siedziała na brzegu i rozmawiała z ciotką Lida, a mały Sława kapał się. najpierw w płytkiej wodzie, a potem zachciało mu się pójść głębiej. Na początku czuł grunt pod nogami, dalej pojawiła się cienka i obrzydliwa warstwa mułu, jeszcze dalej chyba jakaś potłuczona cegła, a potem wszystko zniknęło. A pływać Sława nie umiał. Ze strachu otworzył szeroko oczy i zobaczył mętne światło u góry, rozkołysaną ciemność z przodu, i zaczął się rozpaczliwie miotać, wiedząc już, że zginie. Nagle pod nogami znowu poczuł coś twardego z cieniutką warstwą mułu. Szybko wydostał się na brzeg i usiadł obok mamy na rozłożonym kocu. Nikt niczego nie zauważył. I nic się nie zmieniło dookoła. Nagle przyszło mu do głowy, że tak naprawdę dawno już utonął, a na kocu siedzi zamiast niego ktoś inny, co gorsza nikt nie zwraca uwagi na tę ważną okoliczność. I wtedy się przestraszył.

Drugi raz był znacznie ciekawszy, w sumie to dość dziwna historia. Już w czasie wojny, podczas ewakuacji - mieszkali wte-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

dy w wiosce Kiszła w obwodzie czałowskim - Sława i dzieciaki z wioski wymyślili, że popływają sobie łódką. W piątkę wsiedli do łódki, wzięli się za wiosła, gdy nagle Tolka Brunow wrzasnął strasznym głosem i zrobił się biały jak ściana. Samo to wzbudziło w nich paraliżujący strach, ale Sława zobaczył, dlaczego Tolka wrzeszczy: na rufie, na podartych szmatach siedział ogromny, obrzydliwy zielony pajak z czerwonymi plamami. Był wielkości pięści. Sława nie mógł sobie potem przypomnieć, jakim cudem wszyscy znaleźli się w wodzie, nie przewracając przy tym łódki. Do tego czasu Sława nauczył się już pływać. Wynurzył się i gdy miał zamiar ruszyć ze wszystkich sił do brzegu, zauważył, że tuż przed nim, rozkładając zielone nogi na wszystkie strony, kołysze się ten sam pajak i patrzy na niego krwawym rojem błyszczących oczek. Miał ich chyba z milion. W tym momencie Sława zemdlał. Niczego więcej nie pamiętał. Później chłopcy opowiadali, że unosił się nieruchomo tuż pod powierzchnią tak, że tył głowy wystawał mu spod wody, i że był zupełnie nieprzytomny. Szybko go wyciągnęli i ocucili. Pajaka nikt więcej nie widział. Potem, wiele lat później, w Leningradzie, gdy był już dorosły, Sława sprawdził mnóstwo nazw stawonogów i nawet chodził się poradzić do Muzeum Przyrody, ale ten dziwny i straszny pajak nie był znany biologii. Nie istniał w przyrodzie, a przynajmniej w rosyjskim klimacie.

A o trzecim tonięciu... wtapnięciu... "zanurzeniu w wodę, fatalnym, bez wyjścia"... o trzecim Stanisław nie lubił wspominać, a tym bardziej opowiadać. Tonęła cała grupa - sześciu chłopaków i cztery dziewczyny: zapadli się pod lód na ładodze z całym ekwipunkiem; ze swoimi potwornie ciężkimi plecakami, z namiotami... Jedna dziewczyna utonęła, a Sława się wydostał. Prawdę powiedziawszy, miał się nie wydostać, ale się wydostał... I od tego się zaczęło. W sumie ni z tego, ni z owego. Zupełnie przypadkowo.

Opowiedział te trzy historie wikontowi i wikont (nie bez gorczy) przyznał, że sam ani razu nie tonął. Nie licząc historii z dzieciństwa z wybuchem zapalnika, nigdy nie znalazł się w niebezpieczeństwie. Stanisław był zdziwiony. Natychmiast przypomniał sobie jeszcze dwa albo trzy przypadki, kiedy był o włos od śmierci. Nie uwierzył wikontowi. Uznał, że coś kręci. To był krętacz, zwykły krętacz.

Pracował w "skrzyni", i w ogóle nie wiadomo było, czym się tam zajmuje. "A tam, różnymi bzdurami..." - odpowiadał zwykle na pytania, wykrzywiając przy tym pogardliwe bladą twarz. Kłamał. Można się było domyślić, że wcale nie zajmował się bzdurami. W ciągu ostatnich pięciu lat chyba ze sto razy był za granicą. I to zawsze w jakichś dziwnych krajach, do których normalni radzieccy obywatele nigdy nie jeżdżą. Brazylia, Lesoto, Gujana... Nie wiadomo dlaczego Iran. Po cholere radziecki obywatel, który skończył Czwarty Medyczny, jeździ do Iranu? Wydobycie od wikonta jasnej odpowiedzi było niemożliwe. Nigdy nie opowiadał o swojej pracy. Nikomu. Prawdę mówiąc, nie było komu opowiadać. Poza Stanisławem nie miał przyjaciół. Kiedy u Stanisława spotykało się stałe towarzystwo, wikont (czasami) nagle zaczynał opowiadać o obcych krajach. Był z niego dobry gawędziarz. Kiedy miał natchnienie, wszyscy słuchali go niemal nie oddychając, jakby się bali, że przestanie opowiadać równie nagle i bez przyczyny, jak zaczął.

Zawsze zaczynał od połowy, od jakiegoś wyrwanego z kontekstu fragmentu, który dla niego był najważniejszy. - ... Biały pas dookoła góry... - zaczynał na przykład. - Białe drzewa... a właściciel białe szkielety drzew w mdłej, trującej mgle. Jakby pod nogami była nie dzika góra, tylko jakiś zapomniany przez Boga parujący cementarz... cementarz dla nie-ludzi... A we mgle... kołczaste rośliny z ostro zakończonymi liśćmi, na które mówią "korona cierniowa"... I gigantyczne pająki, tkające między nimi pajęczynę... Ziemi w ogóle nie widać, wszędzie tylko obrzydliwy mech i jamy pełne czarnej wody, a na każdym białym pniu obrzydliwe, oślizgłe, kolorowe grzyby...

Wąska twarz wikonta robiła się szara, jakby z jakiegoś nie-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
znośnego bólu, głos cichł - wspomnienia męczyły go jak choroba. Te opowieści, a nawet nie tyle one, co sposób opowiadania, wywierały na słuchaczach ogromne wrażenie. Na Stanisławie rzecz jasna też. W takich chwilach wikont wydawał mu się nadczłowiekiem, albo człowiekiem z piekła, albo nawet wilkołakiem - po prostu go nie poznawał... A potem nagle zobaczył jedną z opowieści Wikonta w książce wydanej przez Geografiz (chyba było to w sercu lasu). Zgadzało się co do słowa. W pierwszej chwili nie uwierzył własnym oczom. Wściekł się. Potem jednak wpadł w zachwyt. Później pomyślał: po cholere on to robi... snob wyszmelcowany? Był snobem. Snobem pod każdym względem - w rozmowach, gustach literackich, w życiu. Zajmując kolejkę przed kioskiem z piwem, pytał z nieopisaną wyniosłością: "N-no, kto się tutaj nie boi przyznać, że jest ostatni?". Trzęsący się, rozwścieczeni, skacowani alkoholicy byli zdruzgotani... Na niziutkim lakierowanym stoliku trzymał gładką drewnianą miskę, czarną, ze złotymi smokami. Z wyspy Mindanao. Miska była pełna fajek. Miał ich chyba ze trzydzieści - od koślawych murzyńskich fajeczek własnej roboty do ciężkich, wrzoścowych, poręcznych jak pistolet zabytkowych egzemplarzy, wykonywanych na zamówienie. Nie patrząc wsadzał lewą ręką bez trzech palców do tego śmierdzącego, wykwintnego śmietnika, bezbłędnie jak automat wyciągał to, czego szukał, nabijał, zapalał od zapałki i owijając się miodowym dymem mrużył lewe ślepe oko... I nagle zaczął zawodzić:

Siedzisz przy kominku i blask purpurowy
Miarowo tańczy wokół, przedrzeźniając wzór kotary
Nad rytmem płacząc czytasz sonety ciemnościom fioletowym
W zadumie spogląda twój foksterier stary
Na kozetce Ludwika drzemie małpka z Samo,
I obrazy Watteau przesiania kłębiący się mrok,
Siedzisz przy kominku, owinięta w szal "dimuamo",
A na twoich kolanach stronami trzepocze Stak...
- Kto to jest Stak? - dopytywał się Stanisław, próbując przezwyciężyć wzruszenie.

- Co to za różnica? - odpowiadał wikont z pełną godności irytacją. - No, na przykład: Stanisław Krasnogorow. Zadowala cię to?

- No dobrze. Ale czemu Samo? Nie ma żadnego Samo, jest Somo.

- Bo "dimuamo" brzmi, a "dimuomo" nie.

I to było absolutnie oczywiste: dimuamo brzmiało, a dimuomo, nie wiadomo dlaczego, nie...

Kiedy się poznali (w piątej klasie), był drobnym, niegroźnym, ale sprytnym chuliganem. Chodził wtedy w rozszerzanych spodniach krokiem doświadczonego marynarza i nosił marynarską podkoszulkę w paski. Był hultajem. Istnym mistrzem hultajstwa. Pewnego dnia dyżurowali razem klasie podczas przerwy. Była wiosna czterdziestego piątego roku. Klasa huczała, tupała i kłębiła się na korytarzu, a oni siedzieli na parapecie, w sali na drugim piętrze, i patrzyli w dół. Najpierw nie działo się nic ciekawego, a potem na chodniku pod oknem pojawił się dyrektor szkoły. Miał na głowie kapelusz. Nie można się było powstrzymać. Wikont (wtedy nazywano go kikon albo kikonია) od razu plunął na ten kapelusz i oczywiście trafił.

Wszystko działo się jakby w dusznym, długim horrorze. Jak w zwolnionym tempie. Dyrektor zatrzymał się... starannie zdjął kapelusz... dokładnie zbadał to, co z niego zwisało... i zaczął podnosić głowę - nie da się opisać jak dręczące wolno... Zniknęli z parapetu, jakby zwiani podmuchem wiatru. Wylecieli na korytarz jak dwie torpedy i wtedy Stanisławowi wydało się, że Kikon ze strachu zupełnie zwariował: podskoczył nagle do Papaszy - najstraszniejszego, najokrutniejszego i najsilniejszego chuligana z klasy piątej "A" - i dał mu w gębę! Papasza zbaraniał. Był o dwie głowy wyższy od małego Kikona. Z tej wysokości wytrzeszczał na niego nieprzytomne oczy, widocznie zupełnie stracił poczucie rzeczywistości. Kikon dał mu w gębę po raz drugi i wtedy się zaczęło!

"Kikonია naprał Papaszę!" - rozeszło się po całej szkole. Na-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

tychmiast zgromadził się tłum żądnych krwi gapiów i kibiców. Wreszcie do Papaszy dotarło, co się stało. Rycząc jak oszalały runął na zuchwalca, pracując od razu wszystkimi czterema długimi kończynami... Kiedy dyrektor z kapeluszem i z tym, co z niego zwisało, pojawił się na korytarzu, z początku nikt nawet nie zwrócił na niego uwagi.

- Kto to zrobił?! - grzmiał dyrektor, podnosząc wysoko kapelusz, ale nikt go nie słyszał i nie widział.

- Przestańcie się bić! - krzyczał dyrektor, ale to już nie była bójka, tylko proces wychowawczy, specjalna procedura, której nie można było tak po prostu przerwać... Kiedy wreszcie nastał porządek i wśród grobowej, załękłej ciszy dyrektor zadał swoje główne pytanie: "kto jest dyżurnym?!", Kikon odezwał się radośnie:

- Ja! - z zakrawionym nosem, podbitym okiem, w rozerwanej do pępka koszuli. - I od razu stało się jasne, że to nie on jest występny grzesznikiem, że tam go nie było, jego tam po prostu być nie mogło, był tutaj, a kto był tam, nie wie i w żaden sposób nie może wiedzieć...

"Gdzie mądry człowiek chowa liść? w lesie". Chestertona przeczytali dwa, trzy lata później i nie ocenili go zbyt wysoko - zwłaszcza po Conan Doyle, Louisie Busenardzie i Ponson Du Terrailu.

Latem czterdziestego piątego Kikon został ranny od wybuchu zapalnika. Po raz kolejny pojechał z chuliganami za miasto, gdzie na polach niedawnych bitew rozkładali się jeszcze nie pochowani jak należy ludzie i marnowały się bez sensu tysiące sztuk różnej broni. Z ostatniej wyprawy Kikonia przywłókł cały worek dobra, przede wszystkim pęczki żółtawego makaronu, bezdymny proch, lont i mnóstwo nabojów do broni strzeleckiej różnego kalibru. Cały ten skarb schował w piwnicy, a do domu wziął tylko jeden ładny, kolorowy, metalowy drobiazdek wielkości ołówka. Zaczął grzebać w tym ołówku szczyrykiem, próbując rozebrać go na części. I cudo wybuchło.

Na szczęście babcia była w domu. Zawołała znajomego lekarza wojskowego i zawieźli Kikona do szpitala - tuż obok, do Wojskowej Akademii Medycznej. Trzy palce lewej ręki trzeba było amputować, mały i serdeczny ocalały. W lewym oku na zawsze został odłamek - miedziany, dlatego nie dało się go wyjąć za pomocą magnesu. Z prawej dłoni wyrwało duży kawał mięsa i skóry. Żeby wyrównać ubytek lekarze przyczepili Kikonowi prawą rękę do brzucha, a powstały zrost codziennie rozmiękczały rozżarzonymi kleszczami, żeby potem można go było stopniowo oddzielić. Widocznie takie zabiegi były wtedy w modzie. Na sali z Kikonem leżał żołnierz, któremu łapiduchy przywracały w ten sposób utraconą w boju urodę: chodził z lewą ręką złączoną skórno-mięsnym wiązadłem z miejscem, w którym, zanim został ranny, znajdował się nos. Według Kikoni, żołnierz był pod każdym innym względem całkiem zdrowym chłopem, po prostu wielkim chłopiskiem. Co dwa tygodnie regularnie wychodził z kliniki na baby, obowiązkowo wplątywał się w jakąś pijacką bójkę i oczywiście urywali mu to wiązadło. Rano, cały we krwi, wracał ze skrucą na salę i lekarze zaczynali wszystko od początku.

Kikonia spędził w szpitalu ponad pół roku, a kiedy znowu pojawił się w szkole, był już zupełnie innym człowiekiem. Nagle obudził się w nim intelektualista. Zrobił się bardzo czytany, do brze grał w szachy, całkiem niezłe czytał po niemiecku i po angielsku. Stał się ciekawym rozmówcą. Rozmawiał o książkach. O kinie. O znaczkach. Potrafił z wykwinną nonszalancją prowadzić rozmowy o Mato-Grosso, wielkiej Sabanie i o tajemniczych mezas, które posłużyły za prototyp Zaginionego Świata. Bez zająknięcia wymieniał imiona pierwotnych potworów, ukrytych w grzęzawiskach Kongo i Ubangi-Szari: Idau, szypekwe, lipata, mokelembembe, ailali, ba-di-guiŋgakuola-ngou... Stanisław patrzył na to wszystko z pewnym zdziwieniem. Zaczęli spotykać się regularnie, tym bardziej, że Kikon z babcią i dziadkiem, generał-lejtnantem, profesorem wojskowej Akademii Medycznej, mieszkał akurat naprzeciwko domu Stanisława, tak że mogli porozumiewać się przez ulicę za pomocą umownych gestów i mrużyć do siebie latarkami alfabetem Morse'a.

lat bez prawa zameldowania. A żonę (wdowę?) Afanasija razem

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
ze wszystkimi dziećmi o północy wysłali do miejscowości Sterli-
tamak. Starsze dzieci przeżyły, ale dwoje najmłodszych zmarło
w drodze na czerwonkę. Sonia miała sześć lat, a wowa - pięć.
Ja miałem wtedy cztery lata. Byłem anemicznym, wątłym
i skrofulicznym dzieckiem. Z góry zostałem skazany na zagładę.
Jednak ojciec ocalał i dlatego ja przeżyłem. Do czasu, jak
powiedziałyby specjalista od teorii prawdopodobieństwa, do na-
stępnego razu..."

Rozdział 2

Swój rękopis Stanisław rozpoczął w sposób następujący:

"Swoje podstawowe twierdzenie mógłbym sformułować już
teraz, ale byłoby to chyba niesłuszne. Będzie, jak sądzę, lepiej,
jeżeli wyniknie ono z tekstu w miarę jego czytania jako nieunik-
niony wniosek, absolutnie logiczny i jedyny możliwy.
Sam fakt, że przeżyłem i dotrwałem do czterdziestu lat, już
jest cudem. (Bo co to jest cud? Zbieg mało prawdopodobnych
wydarzeń, i nic więcej).

W trzydziestym siódmym ojca wywalili z partii. Wrócił do
domu tuż po pomocy, usiadł przy stole, położył ciężko ręce po
obu stronach talerza z barszczem i siedział cicho - czarny, z mar-
twymi oczami, nieruchomy, nawet nie oddychał - tak przynaj-
mniej wydawało się matce, która wszystko już rozumiała i pła-
kała ciężko, siedząc po drugiej stronie stołu. Potem, chyba
o drugiej, zadzwonił telefon. Ojciec wstał. Niewyraźny niezna-
jomy głos przemówił ze słuchawki: "Zinowij! Natychmiast idź
na dworzec i wyjeżdżaj do Moskwy. Natychmiast, zrozumiałeś?
Weź bilet z puli zarezerwowanej dla obkomu". W słuchawce za-
jęczał przerywany sygnał.

Za godzinę ojciec był w pociągu. Do Stalingradu nigdy nie
wrócił - do wojny mieszkał w Petersburgu i walczył o swoją re-
habilitację, bez żadnego skutku.

Tamtej nocy, teraz o tym wiem, miał zostać aresztowany.

1 prawdopodobnie rozstrzelany. Nazywało się to wtedy: dziesięć
lat bez prawa zameldowania. Dokładnie to samo stało się na po-
czątku trzydziestego siódmego z jego bratem Afanasijem: dziesięć
Jego podstawowe twierdzenie brzmiało mniej więcej tak:

"W ciągu trzydziestu z kawałkiem lat swojego życia tak często
znajdowałem się na skraju przepaści, o włos od zguby, blisko
ostatniej granicy, że próba wytłumaczenia faktu mojego utrzy-
mania się przy życiu jedynie przypadkiem - jest kpina z zdro-
wego rozsądku..."

Jeśli zatem utrzymał się przy życiu nie przez przypadek, to
oznacza, że jest jakaś prawidłowość, istnieje coś na świecie, co
go ratuje, strzeże i chroni?

Co? I dlaczego?

Uczciwie starał się przypomnieć sobie wszystkie okolicznoś-
ci, które doprowadzały go na skraj przepaści, i uczciwie starał
się zrozumieć, co konkretnie zatrzymywało go za każdym razem
na tym skraju. Szukał prawidłowości i nie znajdował jej. Przez
kilka dni z przyjemnością grał sam ze sobą w tę grę. Nie wierzył,
oczywiście, w żadną prawidłowość, jednak po tym, jak naliczył
dwadzieścia trzy przypadki, kiedy był o włos od zguby, dwadzie-
ścia trzy sytuacje, z których każda groziła mu niewątpliwą i czę-
sto straszną śmiercią, on, jako matematyk, nie mógł nie odczuć
tu Ręki Losu...

"Przechodząc przez ulicę, popatrzcie najpierw w prawo, a jak
dojdziecie do środka - w lewo". Czy długo przeżyje w dużym
mieście człowiek, który będzie uparcie postępował zgodnie z tą
prościutką regułą? Czasami wydawało mu się, że jest takim właś-
nie człowiekiem, różnica polegała jedynie na tym, że nie widział,
czy łamie jakieś reguły, ani proste, ani skomplikowane... Ale co
my wiemy o regułach, których p'oznać-tłkm nie dano i które, być
może, łamiemy codziennie?

Wikont wysłuchał jego rozważań dość przychylnie (wyda-
rzyło się to, oczywiście, nie w tę historyczną noc, ale tydzień
później) i na początek odpowiedział anegdotą, którą zwykli opo-
wiadać wykładowcy filozofii marksistowskiej: "Czym jest przy-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
padek i czym jest, towarzysze, prawidłowość? Jeżeli człowiek wychodzi z domu i spada mu na głowę balkon, a on, mimo wszystko, zostaje przy życiu - co to jest? Słusznie, towarzysze, przypadek. A jeżeli następnego dnia znowu wychodzi z domu i znowu spada na niego balkon, a on znowu zostaje przy życiu? Nie, to nie prawidłowość, towarzysze, to - zwyczaj. A jeżeli po raz trzeci dzieje się to samo? To już dobra tradycja..."
Potem zastanawiał się przez chwilę, przygryzając grube afrykańskie wargi i nagle powiedział:
- Wiesz co, mój Staku, przecież to jest fabuła! Nie wydaje ci się?

Następnego dnia Stanisław zaczął pisać. Obaj od niepamiętnych czasów coś tam pisywali. "Bruliony. ..." - mawiał wikont, który uwielbiał Tynianowa. Zaczęli kilka wspólnych powieści i opowiadań - każda miała oddzielną teczkę. W każdej z teczek leżały teraz po trzy, cztery zapisane karteczki. Ułożone - i to nawet nie do końca - wiersze mogli już liczyć na tuziny. Do większości z nich ci sami autorzy napisali również muzykę.

Pewnie wszystko to było niepoważne. Za najlepsze z literackiego dorobku wikonta uznawane było opracowanie pod tytułem Eksperyment na cudzym życiu. Reprezentowało ono autentyczne (pamiętnikarskie) zapiski obserwacji, które konający z nudów uczeń dziewiątej klasy wiktor Kikonin, położony do łóżka z powodu przeziębienia, przeprowadził na jednym ze swoich domowych karaluchów (których w mieszkaniu generał-lejtnanta profesora Kikonina-najstarszego było mnóstwo):
12.03 - wsadziłem karaluchowe nasienie do słoika pozbawionego powietrza. Słój jest około pięćdziesięciu razy większy od karalucha. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

13.34 - żyje, swołocz!

14.10 - nasypałem mu okruchy chleba - żre.

14.55 - upuściłem swołocz!

Stanisław nigdy nie dowiedział się, co się stało z rodzicami Wikonta, gdzie są, czy żyją i jeżeli tak, to czemu wikont zawsze mieszkał z dziadkiem i z babcią? W wieku, kiedy żadne pytania nie są nietaktowne, nie ciekawiło go to, a potem wyczuł w tym wszystkim jakąś nieprzyjemną tajemnicę i już nie zaryzykował pytania.

Najpierw zmarła babcia i po raz pierwszy w życiu Stanisław zobaczył wikonta płaczącego. Po raz pierwszy - i po raz ostatni. Dziadek wytrzymał samotnie jakieś pięć, sześć miesięcy. Był bardzo znany - w pewnych kręgach. Zajmował się mikrobiologią wojskową. Kiedyś wikont (w sposób oczywisty naśladowując kogoś z dorosłych) nazwał go: "generał-dżuma". Stanisławowi wydawało się to w niezasłużony sposób obraźliwe i dopiero kilka lat później domyślił się, jak naprawdę trzeba to było rozumieć. Wikont mówił, że dziadek ma ponad dwa tysiące opublikowanych prac, ale Stanisław zdołał przeczytać tylko jedną. Poruszyła jego wyobraźnię. W pracy tej profesor Kikonin znakomicie udowodnił paradoksalne twierdzenie: im choroba jest straszniejsza i niebezpieczniejsza, tym szybciej znika z powierzchni ziemi. Tak było ze starożytnym syfilisem, to samo stało się ze średniowiecznymi szczepami bakterii dżumy. Im bardziej śmiertelny szczep, tym pewniej zabija swoją ofiarę - i siebie razem z nim. Śmiertelny szczep nie ma przyszłości. Mogą przetrwać tylko te choroby, które dają szansę na przeżycie znacznej liczbie zarażonych. Bakteria, która zabija wszystkich, zabija też siebie... Zaiste: chcesz żyć sam, daj żyć innym.

Rodziców wikonta nie było ani na pierwszym, ani na drugim pogrzebie. Wikont (student czwartego roku Czwartego Medycznego Instytutu) został samotnym właścicielem pięciopokojowego generalskiego mieszkania. Teraz mogli sobie włączać "Głos Ameryki" na cały regulator o każdej porze dnia i nocy. I głośno śpiewać piosenki przy gitarze. I tłuc po pijaku kielichy z serwisów dziadka... I przyprowadzać baby. Ale bab tego mieszkania nie przyprowadzali nigdy. I nigdy nie wychodzili poza

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
próg pokoju wikonta - dwa na dwa metry, łóżko, stół, regał
z książkami i rozpadające się ze starości półtwarde krzesło, arty-
kuł AŻ-123/47.

Stolik z zestawem fajek stał w nogach łóżka. Wikont zazwy-
czaj siedział (albo leżał) na tym łóżku, a Stanisław - przy stole,
na konającym krześle. Tak popijali. Tak wymyślali. Tak dyskuto-
wali. Za drzwiami (które z przyzwyczajenia zawsze były zamknię-
te), olbrzymie, dyskretnie eleganckie i nawet po starym rozkosz-
nie puste mieszkanie żyło cicho życiem cieni. Pomieszczenie
przeszłości. Chram. Grobowiec. Wikont kategorycznie odmawiał
jakichkolwiek zmian. Zabrał do siebie jedynie kolekcję starożyt-
nych monet dziadka i trzymał je w prawej szufladzie biurka, wy-
ciągając od czasu do czasu w celach poznawczych.

Stanisław postrzeżał wszystkie te niepraktyczne dziwactwa jako
coś oczywistego. Chociaż oczywistego było w tym bardzo mało.
Właściwie dlaczego nie eksmitowali wikonta? Przecież mieszka-
nie było resortowe. Dlaczego, przynajmniej, nie przenieśli go do
kawalerki? Do dwupokojowego mieszkania? Kiedy niedawno zja-
dliwy Sienią Mirlin zadał Stanisławowi te pytania, Stanisław nie
potrafił odpowiedzieć niczego sensownego, a Sienią wygłosił barw-
ną mowę na temat: tylko romantyczne osły w rodzaju Stanisława
szukają zagadek, tajemnic, fabuł i cudów w światach rzeczy nie-
poznawalnych i niepojętych. Nie ma nic bardziej tajemniczego,
zagadkowego i poruszającego wyobraźnię niż świat radzieckich
ustaw i prawa... Stanisław nie mógł na to nic odpowiedzieć, ale
nie zaczął rozwiązywać biurokratycznych tajemnic lokatora wi-
konta-Kikoni.

Szybko zrozumiał, że nie ma żadnego doświadczenia literac-
kiego. Okazało się, że to, czym zajmowali się wcześniej, nie ma
nic wspólnego z prawdziwą literaturą.

Wcześniej wymyślali, i dlatego byli wolni - raczej tylko wy-
obrażali sobie, że są wolni - i odczuwali taką lekkość dopóty,
dopóki nie nadchodziła pora porządkowania tego, co wymyślili.
A gdy nadchodziła taka pora, zaczęli odczuwać opór materii
i od razu rzucali pracę: robiło się ciężko.

Teraz nie można było niczego wymyślać. Wszystko było go-
towe. Trzeba tylko przypominać i układać wspomnienia w nie-
zbędnym porządku. To znaczy - organizować. I to okazało się
trudne nie do opisanie i nie do wytłumaczenia. Kilka razy rzucał
pracę, wydawało się, na zawsze.

Po co się męczyć? - pytał siebie poirytowany. Komu to jest
potrzebne? Przekładał zapisane kartki, czytał na nowo gotowy tekst
- wszystko było pompatyczne, nienaturalne i jałowe. I było tego do
obrzydzenia mało w porównaniu z tym, co jeszcze należało napisać.
Ale parę akapitów lubił przeczytać na nowo. Nawet nauczył
się ich na pamięć - mimo woli, wcale tego nie chcąc.

Przeglądając bez końca plany, miał jednak wyraźne poczu-
cie zwycięstwa. Coś nagle ścisnęło go za gardło i oczy zachodzi-
ły łzami. Strasznie się wtedy siebie wstydził, ale nie mógł nic na
to poradzić. I nie chciał. Mimo wszystko był naukowcem i cho-
ciaż, być może, kiepsko znał się na literaturze, jednocześnie wy-
raźnie odczuwał nowatorstwo - i materiału, i samego pomysłu.
Czegoś takiego jeszcze nie było. Był pierwszy na tej drodze. A to
oznacza, że musi iść do końca.

Akurat w tym czasie pojawiła się nagle w domu maszyna do
pisania; stara, dziwna, o pionowej konstrukcji, z zadziwiająco
miękkimi, cudownie wyregulowanymi klawiszami. I ze zdumie-
niem odkrył, że pisanie stało się ciekawe: sam proces pisanie
zaczynał dostarczać mu jakiejś nienaturalnej (tak to rozumiał) przy-
jemności. Dawniej odczuwał coś podobnego tylko wyprowadza-
jąc wzory i kreśląc grafiki. "Bóg wie, z jakich śmieci wyrastają
wiersze, nie poznając wstydu..." Święte słowa! Ale z jakich śmie-
ci wyrasta natchnienie!

Zrozumiał, że pisać trzeba scenami, epizodami, obrazkami,
nie zastanawiając się wcale nad przejściami od jednego epizodu
do drugiego. Od razu zrobiło mu się lżej. Lżej, ale nie lekko.
Najtrudniej było ze słowami. Jak się nazywa ta błona, to miej-
sce między palcem wskazującym a dużym, niech to diabli! Nie

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
wiedział i nikt ze znajomych też nie wiedział, tak że musiał, cho-
lera, zrezygnować z kawałka z grą w połknięcie...

Jak się nazywa przestrzeń pomiędzy dwójgciem drzwi - ze-
wnętrznymi, wychodzącymi na klatkę schodową, i wewnętrzny-
mi, prowadzącymi do mieszkania? Przedpokój? Nie. Przedzio-
nek? W wagonach - platforma...

Nazwał tę ciemną przestrzeń przedsionkiem i postarał się go
opisać. W przedsionku było zupełnie ciemno i dość zimno - nie
tak, oczywiście, jak na klatce schodowej, gdzie wpadał bezlito-
sny mróz z ulicy i podwórza, ale zimniej niż w przedpokoju. Po
lewej stronie były półki, na których przed wojną przechowywano

f
jedzenie i na których już dawno nic nie stało, prócz narąbanego
drewna. I w przedsionku pachniało drewnem.

Chłopiec stał ubrany w przedsionku. Kozuszek z podniesio-
nym kołnierzem, uszanka z opuszczonymi uszami, wełniana chu-
sta na uszance, walonki, rękawice. Zawsze tak się ubierał, kiedy
wychodził postać sobie w przedsionku po godzinie drugiej.
Chłopiec był mały, miał tylko osiem lat, chudy, słabowity
i brudnawy. Już od kilku miesięcy nie śmiał się i nawet nie uśmie-
chał. Przez kilka miesięcy nie mył się w gorącej wodzie i miał
wszy...

Od wielu dni nie jadł do syta, a przez ostatnie dwa zimowe
miesiące po prostu cichutko umierał z głodu, ale nie wiedział
o tym i nawet nie podejrzewał - w ogóle nie czuł żadnego głodu.
Nie chciało mu się jeść. Za to chciało mu się żuć. Wszystko jed-
no co. Jedzenie. Każde. Długo, starannie, zapamiętane, z rozko-
szą, o niczym nie myśląc... Młaszcząc. Cmokając. Czasami wy-
obrażał sobie, że koniec końców żuć można wszystko: brzeg
ceraty... papierowe kółko... figurkę szachową... Ah, jak słod-
ko, jak smacznie pachniały lakierowane figurki szachowe! Ale
były twarde i nieprzyjemne do zucia, wręcz ohydne... Ażeby je
lizać - zbyt gorzkie.

Bardzo ważne jest to, żeby wyrazić myśl, że chłopiec tak czy
inaczej był skazany na bliską i nieuniknioną śmierć. Pozostał mu
nie więcej niż miesiąc, najwyżej - dwa.

Dotrwał do końca stycznia tylko dlatego, że przez całąjesień j
jedli kocie mięso i dlatego że mama miała zwyczaj robienia za-
pasów drewna od wiosny, a nie tuż przed zimą, jak większość
leningradczyków. Dlatego u nich w domu było ciepło. Jednak
w mieście już dawno zjedzono wszystkie koty. Wszystko, co mniej
więcej nadawało się do jedzenia i co można było znaleźć w miej-
skim mieszkaniu (stary klej stołarski, zaschnięty klajster z tapet,
olej rycynowy, suszoną kapustę morską - przedwojenne lekar-
stwo taty na serce) - też zostało już znalezione i zjedzone, i teraz
nie było widać nic oprócz śmierci. Oczywiście chłopiec nie ro-
zumiał tego, nawet do głowy mu nie przyszło, żeby o tym my-
śleć, ale rzeczywistość wcale nie zależała od jego rozumienia
czy nierozumienia...

Nadzwyczaj ważne jest napisać to tak, żeby istotę sytuacji
dobrze zrozumiał czytelnik (najedzony, zdrowy, umyty, siedzący
z tym tekstem w ręku w pobliżu ciepłego kaloryfera). A do tego
trzeba opisać wszystko, przy czym zrobić to jakoś tak sprytnie,
bez dydaktyki, w miarę możliwości naturalnie i swobodnie.
Najpierw próbował pisać, że chłopiec wyobraża sobie różne
sceny i obrazki o charakterze czysto informacyjnym. Jak wygła-
dają schody, zalane warstwą zamrożonej wody i nieczystości.
Dlaczego w całym mieszkaniu nadawał się do zamieszkania tyl-
ko mały pokój z oknami wychodzącymi na podwórko-studnię,
no i jeszcze kuchnia z piecem, no i przedpokój... Jacy ludzie poza
nim byli w domu - ilu i w których mieszkaniach... To wszystko
była informacja nie tylko określająca otoczenie i atmosferę przed-
śmiercia, ale również ważna dla udowodnienia Podstawowego
Twierdzenia.

To wszystko trzeba było jednak wymazać bez litości. Chło-
piec nie mógł ani przedstawiać, ani wyobrażać sobie, ani wspo-
minać. .. Myślał tylko: "Mamo... czemu nie przychodzisz... cze-
kam na ciebie... przyjdź szybciej... czemu nie przychodzisz,

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
mamo... mamo... mamo...". Powtarzał półgłosem sto, trzysta, tysiąc razy - cały czas to samo, z drobnymi wariacjami, czasami nagle zaczynał mówić na głos i mówił głośniej, i głośniej, i głośniej, powtarzając to samo i tak samo, aż przez szum swego głosu usłyszał nagle zgrzyt otwierających się daleko na dole drzwi frontowych, i wtedy przerywał i przestawał oddychać - zamierał nasłuchując, gotowy udusić się ze szczęścia... Ale na schodach panowała martwa, kamienna, lodowata cisza i chłopiec cichutko nabierał tchu i znowu, z jeszcze większą rozpaczą, zaczynał od początku: "...mamo... czemu nie przychodzisz... mamo przyjdź... szybciej... mamo...".

Rozdział 3

Przerażająca była nierównomierność pamięci. Wspomnienia pojawiały się oddzielnymi kawałkami, kruchymi, bezkształtnymi, rozpluwającymi się. Panowała między nimi jakaś głucha pustka ciemnych zapadlin. A wiele rzeczy nie pojawiało się w ogóle. Jak razem z mamą nosili wodę z Newy? wiedział, że nosili wodę z Newy, dwa razy dziennie, mama - w wiadrze, chłopiec w małej banieczce, i wszyscy tak nosili, schody były zalane wodą, wylewającą się z różnych wiader w różnym czasie i zamarzającą. .. Ale nie mógł przypomnieć sobie żadnej jasnej i konkretnej sceny wydobywania wody z przerębli - jakby czytał o tym kiedyś, ale sam tego nigdy nie doświadczył... Jak robił kupę i siusiu? Kanalizacja nie działała, sedes zapchany kawałkiem mętnego lodu. Odchody wynosili w jakimś ohydny wiadrze na dwór, a ci, którym zabrakło sił, wylewali je po prostu na schody piętro niżej. Przypominał sobie zapaskudzone schody i świetnie pamiętał niewyobrażalnie, niewiarygodnie, nieodwracalnie zapaskudzone podwórko... I nic więcej... Na szczęście, to wszystko było nieistotne dla Podstawowego Twierdzenia. Można o tym w ogóle nie pisać. No, a jeżeli chłopak poślizgnąłby się na krawędzi przerębli, z której wydobywali wodę, i wpadł do Newy?... Chociaż wtedy niczego by już nie było, wszystko skończyłoby się w pięć, dziesięć minut, nawet jeśli go wyciągnięto... (Przecież mógł się poślizgnąć, prawda? Przecież na krawędzi przerębli było nie mniej ślisko, niż na schodach? A jeżeli mógł, to znaczy, że znowu się narażał, prawda? Wynika z tego, że znowu zaczyna się nachodzenie na siebie prawdopodobieństwa śmierci i oznacza to, że ten nie spełniony przypadek też pracuje na Podstawowe Twierdzenie? Czyli, że to też jest istotne i o tym też trzeba wspomnieć?) Zmuszał się do przerywania tego rodzaju rozważań w połowie, bo w przeciwnym wypadku - zgodnie z logiką - musiałyby w końcu natknąć się na najbanalniejszy z paradoksów: życie jest śmiercionośne, bo z definicji jest brzemienne w śmierć. Ale dlaczego wcale nie zapamiętał ani swojej twarzy z tamtych czasów, ani twarzy mamy? Mama wtedy była dla niego czymś dużym, ciepłym, żywym, radosnym... niezłomnie pewnym. Mama była życiem. Wszystko oprócz mamy było śmiercią. Mama nie miała twarzy - jak nie ma i mieć nie może twarzy życie, ciepło, szczęście... Mama była wszystkim. Swojej twarzy nie zapamiętał, bo to było coś zupełnie nieistotnego -jak wzór tapet... jak kolor firanek... jak zapach kołdry... Co za różnica, czym pachniała kołdra? Kogo obchodzi to, jak wyglądała jego twarz? A może po prostu nigdy nie patrzył na siebie w lustrze? Ale zapamiętał twarz Frosji. Chyba dlatego, że była jaskrawa. Nie było takich twarzy dookoła: czerwone policzki, czerwone usta, czarne jaskrawe brwi... I głośny syty głos. Frosja pracowała w piekarni. Ich klatka liczyła w sumie dwadzieścia trzy mieszkania. Dom był szycowny, budownictwo z początku wieku, wzniesiono go dla petersburskich inżynierów (tak mówiono). Szerokie, wygodne, łagodnie nachylone schody. Winda. Cudowne główne wejście. Wyłożony zielonymi kaflami najrozkoszniejszy piec w dolnym wystybulu. Dozorca. Ściany na klatce wykonane sztucznym marmurem. Mieszkania w domu - po dziesięć, piętnaście pokoi w każdym... wysokie sufity ze sztukaterią, wysokie potężne drzwi

wejściowe imitujące mahoń...

Oczywiście, na początku wojny rozkoszy zrobiło się mniej: pieca na dole nie rozpalano, winda była czynna dwa razy w roku, drzwi frontowe nigdy się nie zamykały. Ale dozorca pracował i szerokie schody były w miarę czyste, i napisów na ścianach nie było jeszcze za dużo. W każdym mieszkaniu mieszkała teraz nie jedna inżynierska rodzina ze służbą, a siedem, dziesięć, dwanaście rodzin - najróżniejszych i bez służby...

W styczniu na klatce zostały (oprócz chłopca z mamą) jeszcze tylko trzy osoby. Reszta albo ewakuowała się jeszcze jesienią, albo zmarła (jak babcia chłopca) i leżała teraz w oszronionych sztaplach na podwórku sąsiedniego domu, albo zniknęła jakoś tak bez śladu - być może w łózkach za zamkniętymi drzwiami śmiertelnie wyziębionych mieszkań.

Przy życiu zostali: Amalia Michajłowna w mieszkaniu naprzeciwko, "cioteczka ze szpicami" na drugim piętrze i Frosja z mieszkania piętro wyżej. To wszystko.

"Cioteczka ze szpicami" nie odgrywa żadnej roli w udowodnieniu Podstawowego Twierdzenia i w ogóle nie ma co o niej pisać poza tym, że przed wojną miała cztery śnieżnobiałe szpice. Chłopiec myślał wtedy, że to właśnie o niej wymyślili kawał o damulce z czwórką piesków, które nazywały się Obsia, Rusia, Krendia i Lami.

Frosja natomiast odgrywa jakąś rolę. Frosja głośnym, sytym głosem mówiła: "Ale proszę, proszę, Kławdio Władimirowna! Ale, po co pani... Ale nie trzeba, na miłość boską, naprawdę!" A mama mówiła szybko, niewyraźnie, jakby połykając słowa, i można było zrozumieć jedynie jakieś chaotyczne urywki: "...nie, nie... będę bardzo wdzięczna... błagam... z całego serca. ...". Mama mówiła to uniesienie. Na siłę wciskała w grube palce Frosji jakieś pierścionki, kolczyki z kolorowymi kamyczkami... A potem okazywało się, że na kolację będzie dodatkowy kawałek chleba. Zdarzyło się to dwukrotnie - raz w grudniu, a drugi - na samym początku stycznia. Mama nie miała chyba więcej kolczyków ani pierścionków i Frosja więcej nie pojawiła się w domu. Dodatkowy kawałek chleba - też. Ale co to jest - dwa kawałki chleba? Dwa dodatkowe dni? A niech nawet tylko jeden? Ale dodatkowe. Którego mogłoby nie być. Kto policzył dni i kto mógłby powiedzieć, który z nich jest dodatkowy, a który... ostatni?

Amalia Michajłowna była zniszczoną Niemką. We wrześniu, na samym początku blokady, została aresztowana i wsadzona do więzienia przy Dużym Domu. A w grudniu, nie wiadomo dlaczego, wypuścili ją. Ani mama, ani tym bardziej chłopak nie rozumieli wtedy, że tak naprawdę to był cud. Co o tym myślała sama Amalia Michajłowna, pozostało tajemnicą.

- Nie, nie i nie, troga Kłafftia Flatimirofha! - mówiła prawie uroczyście - i nafet mnie nie pytajcie! Będę umierać, na łozu śmierci sfoim nikomu ani sfofa nie pofiem!

Tak naprawdę, coś jednak powiedziała mamie o Dużym Domu i jego mieszkańcach. Powiedziała na przykład, jak pewnego dnia zaprowadzili ją do nowego gabinetu na przesłuchanie i kazali usiąść na krześle przy drzwiach. Konwojent wyszedł i początkowo Amalii Michajłownie wydało się, że jest w gabinecie sama. Siedziała cichutko, bojąc się nawet głową ruszyć, pozwała sobie tylko na przebieganie wzrokiem w prawo, w lewo, i nagle zobaczyła kogoś w drugim krańcu pokoju. W tym odległym kącie, przy zakratowanym oknie stała duża żelazna szafa, a przed szafą człowiek w cywilu, z mocnym zarostem, ręce za plecami. Ten człowiek stał twarzą do szafy, blisko niej i bokiem do Amalii Michajłowny. Nagle pochylił się do przodu, pocałował szafę - przywarł do niej ustami - potem się odsunął i znowu zamarł nieruchomy. Amalia Michajłowna aż zdrętwiała. A mężczyzna znów nagle pochylił się do przodu, znów pocałował szafę i znowu zamarł. Powtórzyło się to kilka razy. Amalia Michajłowna czuła, że jeszcze drwila, jeszcze trochę, nie wytrzyma i padnie nieprzytomna, ale drzwi się otworzyły i wszedł sędzia śledczy. Od razu wszystko zobaczył i strasznie się rozłościł.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

- oślepliście? - wrzeszczał na konwojenta. - Gdzieście ją zaprowadzili? Nie widzicie?

Amalii Michajłownie kazano wstać, zaprowadzono ją do drugiego pokoju, i potem tego dnia wszystko już było jak zwykle... Oczywiście, tego rodzaju okoliczności i rozmowy chłopak mógłby (teoretycznie) wspominać, stojąc w przedsionku między drzwiami, ale niczego takiego nie wspominał, tylko płakał i błagał mamę, żeby szybciej przyszła. Mama nie przychodziła. Spóźniła się już godzinę z okładem. I wtedy chłopak odsunął żelazną zasuwę, z trudem podniósł żelazny hak i obrócił główkę angielskiego zamka. Zrobił coś, czego mu kategorycznie zabraniało - otworzył drzwi i wyszedł na schody. Już nie mógł czekać, był pewny, że z mamą stało się coś strasznego, a to oznacza, że wszystkie zakazy i cała reszta straciły wszelki sens. Spuszczał się po schodach, uczepiony balustrady, ślizgał walonkami po zmarzniętym lodzie i głośno płakał. Z dziwnym uczuciem obserwatora wsłuchiwał się w swój płacz i żałobne lamenty i myślał, że to i tak nic nie pomoże. Na schodach nie spotkał nikogo, ale jeszcze zostawała nadzieja, że zobaczy mamę, kiedy znajdzie się na ulicy. Tak wyraziście wyobraził sobie źle wydeptaną między zaspami ścieżkę i mamę na końcu tej ścieżki, daleko, koło samego skrzyżowania, że nawet przestał płakać. W westybulu, gdzie z prawej i lewej strony drzwi frontowych namiotło całe zasy, gdzie martwym blaskiem świeciła kafelkami oblodzona podłoga, gdzie było pusto i zimno jak na ulicy, chłopak zatrzymał się na kilka sekund, zastanawiając się, czy jednak nie wyjść bocznym wyjściem, pod schodami - mama czasami wracała właśnie tą drogą, przez podwórko - tak było krócej, ale też bardziej obrzydliwie, bo podwórko było strasznie zapaskudzone.

Jednak wizja mamy na końcu ścieżki między zaspami była tak wyraźna, że chłopak zdecydowanie ruszył przez westybul do wejścia frontowego i z trudem, ślizgając się walonkami po zmarzniętym na kafelkach śniegu, otworzył ogromne frontowe drzwi.

Wszystkie szyby w drzwiach zostały wybite jeszcze we wrześniu, kiedy do ogrodu spadła półtonowa bomba, i mogłoby się wydawać, że teraz w westybulu powinna panować temperatura taka jak na zewnątrz, ale tak się tylko wydawało: ulica przywitała chłopca takim mrozem, że łyzy w jego oczach od razu zamarły i chłopak instynktownie przykrył usta i nos rękawiczką. Mróz był szalony, rażący, gwałtowny, okrutny, szarpiący, wyszczerzający się, śmiertelny... A na końcu ścieżki mamy nie było. W ogóle nikogo nie było w zasięgu wzroku. Chłopak ruszył do przodu, tam gdzie nikogo nie było, a gdzie tak czy inaczej powinna być mama. Bo już nigdzie więcej być jej nie mogło...

Dwukrotnie się odwrócił. Raz na wszelki wypadek, a drugi raz specjalnie, żeby (ze strachem) spojrzeć na słońce. Słońce chyliło się już ku zachodowi i stało za jego plecami - oślepiający, niewyraźny kawałek lodowatej mgły na białawym, szarobłękitnym niebie, na którym zostawił biały ślad niemiecki samolot zwiadowczy. Nie było w tym słońcu i w tym niebie żadnego życia, nie było nic oprócz obietnicy szybkiej i nieuniknionej śmierci, tak samo jak w tych wysokich, wyższych od człowieka zaspach wzdłuż ścieżki, w martwych, oślepiłych domach bez szyb, bezdymnych, martwych rurach pieców i śmiertelnej cizzy, i śmiertelnym bezludziu wokół.

Wiele lat, a nawet dziesięcioleci później, kiedy już nawet ślad nie został po wątłym, półmartwym, zapłakany chłopcu i umarła wśród ludzi pamięć o martwym, owiniętym w biały całun, opustoszałym mieście, on nadal pamiętał i nienawidził: stycznia, pustki ulic i pokrywającej je białej śnieżnej peleryny, mroźnego białawego nieba i oślepiającego kawałka mgły zamiast słońca. Na zawsze, do końca, do ostatniej kropli swego życia...

Chłopak włókł się (choć wydawało mu się, że biegnie z całym światem) wzdłuż alei Karola Marksa, minał skrzyżowanie z króciutkim Prospektem Fińskim, gdzie w październiku spadła duża bomba i nie wiadomo dlaczego nie wybuchła (dorośli mówili, że

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

była napchana piaskiem zamiast materiału wybuchowego, i w tym piasku była ulotka po rosyjsku: "Jak możemy, pomożemy"), po jego lewej stronie został szary, modernistyczny budynek, w którym przed wojną mieszkała jego koleżanka ze szkoły, ładna Gała, a w którym teraz nie mieszkał już chyba nikt. Przed nim była jeszcze długa, długa droga, być może do samej "rady rejonowej", gdzie mama miała pracę w "rejonowym wydziale mieszkaniowym" - wszystkie te słowa były chłopcu znane, ale nie miały żadnego konkretnego odniesienia, poza dużym budynkiem, gdzie w pustych korytarzach nadzwyczajnie pachniało gotowanym bobem, i dużym zimnym pokojem, gdzie mama siedziała przy stole, zawalonym teczkami i papierami...

Wokół nie było nikogo: śnieg, zasy, drzewa, martwe domy z oknami zabitymi dyktą... po lewej stronie zaczynał się ślepy wysoki mur ogradzający teren jakiegoś zakładu - przed wojną było tu zawsze głośno, tłoczno, tam i z powrotem jeździły ciężarówki, zza ściany słychać było żelazne uderzenia, tajemnicze syczenie, buchał dym i para, a czasami nagle szeroko otwierała się ogromna brama i bezpośrednio na ulicę, uroczyście sapiąc i hucząc, wypełzał prawdziwy parowóz - dymiący, brudny i ogromny. Przez jakiś czas toczył się, cudownie hucząc, wzdłuż ulicy, a potem znów wjeżdżał na teren zakładu, już przez inną bramę... Teraz tory były schowane pod grubą warstwą skryształizowanego śniegu, a przy bramie leżała na boku nieruchoma kobieta. Szeroko rozrzucała zdrętwiałe ręce, jej jasnożółta twarz świeciła się jak lakierowana główka białej figurki szachowej. Obok niej, nie dalej niż metr, leżał tobołek z czerwonej pikowanej kołdry, dodatkowo owinięty wełnianą chustą. Tobołek milczał, ale jeszcze słabo się poruszał.

Chłopak przeszedł obok, tylko na moment rzucił okiem i od razu przestał o tym myśleć. Był w stanie takiej hysterii i bezdziałości, że żadne zewnętrzne wrażenia nie mogły już niczego zmienić. No i, prawdę mówiąc, nie było niczego nadzwyczajnego w tym, co teraz zobaczył... chyba tylko to, że tobołek się poruszał...

29Mur skończył się, zaczęły się budynki zakładu z czarnej cegły, a po prawej strome wyłonił się zaułek, na którego drugim końcu była szkoła, gdzie chłopak zdążył pochodzić do pierwszej klasy. Zrobili z niej teraz szpital. Chłopak odwrócił głowę i zobaczył przed samą szkołą jakiś ruch - stały tam owiane parą samochodowy, a z tej pary wynurzali się jacyś ludzie. Mamy tam nie było i nie mogło być...

Kuśtykał coraz dalej i coraz wolniej (choć wydawało mu się, że coraz szybciej), minął zakręt na Most Grenadierów po lewej stronie i martwą cerkiew bez kopuły po prawej. Zaczęły się miejsca, których przed wojną nie znał. Poznał je dopiero teraz, gdy czasami chodził z mamą do pracy... Trzeba było zawsze chodzić z nią do pracy, kogo to obchodzi, że tam zimno i nudno - lepiej całkiem zamarznąć niż osamotnienie... każda nuda jest lepsza, najlepsza na świecie niż osamotnienie... Chciało mu się krzyknąć z całych sił, ale okazało się, że sił nie ma.

Usłyszał jakiś gruchot... wybuchy... albo strzały. Zaczyna! się wieczorny ostrzał artyleryjski, albo zenitówki strzelają do niemieckiego samolotu... Spojrzał w niebo. Tak, to chyba zenitówki. Obok samolotu pojawiały się znikąd i zawisały kłębki rudego, czarnego i białego dymu. Kiedyś z ciekawością by na to popatrzył, ale nie teraz. Teraz nic go nie ciekawiło...

Rozdział 4

Oto kolejne ciekawe - z punktu widzenia Podstawowego Twierdzenia - pytanie: jak to jest z bombardowaniami, ostrzałami artyleryjskimi, zapalnikami, odłamkami i całą resztą wojny?

Koło domu chłopaka, w promieniu kilometra, spadło (według dorosłych) czternaście bomb. Pocisków nikt nie liczył. Pocisków zapalających też - mimo że stacja benzynowa koło domu (bardzo blisko, po drugiej stronie ulicy) spaliła się, nawiasem mówiąc, właśnie przez te pociski. Podczas jesiennych bombar-

Strugający A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
dowań pociski zapalające jak grad sypały się na dach domu -
dyżurni ledwo zdążyli zrzucać je na dół, gdzie wbijały się w chod-
nik i umierały w jaskrawym, świątecznym ognisku, rozsypując
wielokolorowe iskry, roztopiając siebie, asfalt, ziemię, kamień
i potłuczoną cegłę...

Na początku wszyscy bardzo się bali bombardowań. Gdy tylko
ogłaszano alarm lotniczy, od razu tłumy ludzi z kuframi, walizkami,
tobolami, kołdrami i poduszkami waliły do schronów przeciwlotni-
czych i cierpliwie, godzinami gotowe były czekać tam na odwołanie
nalotu. (Straszne, gwałtowne, antyludzkie wycia syren i wesołe, uro-
czyste, zwycięskie fanfary odwołania alarmu... I uroczysty głos spi-
kera: "Odwołanie alarmu lotniczego! Odwołanie alarmu lotnicze-
go!" Jakby to był ostatni alarm lotniczy w jego życiu).

Ale już jesienią ludzie przestali schodzić do schronów - da-
leko, kłopot, no i, jak się okazało, niebezpiecznie: z ust do ust
przekazywano straszne historie o ludziach zasypanych pod zbom-
bardowanymi domami, o tych, którzy się udusili, utonęli w wy-
lewach pękniętych kanalizacji... Już lepiej od razu, niż tak się
męczyć, stwierdził naród. Teraz, podczas alarmu ludzie wychod-
zili na klatkę schodową i tam siedzieli, stali, czekali na koniec
w świetle granatowych lamp (których, rzekomo, nie widzieli lot-
nicy). A w zimie nawet na klatkę przestali wychodzić. Chłopak
spął na kufrze w przedpokoju i budził się czasami od dalekich
uderzeń bomb. Słysząc było wtedy charakterystyczne hucznie
niemieckich samolotów i gwizd kolejnej bomby, i kolejne głu-
che uderzenie. Czuł jak dom powoli, z trudem kołysze się w przód
i tył całym swoim cielskiem, i znowu zasypiał, nie czekając na
odwołanie.

Widocznie w ramach Podstawowego Twierdzenia należało
rozpatrywać tylko jeden przypadek - Przypadek z Odłamekiem.
Pewnego dnia wracali razem z mamą z rejonowego wydzia-
łu mieszkaniowego i szli otwartą, pustą przestrzenią (tą samą, po
której chłopak kuśtykał teraz, ale wtedy szli w przeciwnym kie-
runku, do domu). Godzina była mniej więcej ta sama, nadszedł
zwykły ostrzał artyleryjski, ale już się tym nie przejmowali - byli
razem i szli do domu, a mama miała w torbie coś pysznego - sło-
ik z gotowaną soczewicą.

Usłyszeli odległy wybuch gdzieś z lewej, ale nie zwrócili na
niego żadnej uwagi i zdążyli zrobić jeszcze kilka kroków, gdy
nagle usłyszeli nowy nieznany dźwięk - dziwny, metaliczny,
narastający szelest. Szelest błyskawicznie ich dogonił i nagle
skończył się mocnym uderzeniem, od którego drgnęła jezdnia
pod nogami. Coś dużego, czarnego, gwałtownego pojawiło się
na poboczu po lewej stronie i jak gigantyczna, straszna żaba,
dwoma ciężkimi susami (za każdym razem ziemia drżała) prze-
skoczyło drogę w odległości pół metra od nich, dało nura w za-
spę z prawej i tam zasyczało krótko, ze złością, i zniknęło
w śniegu.

Zatrzymali się. Mama jakby skamieniała, a chłopak błyska-
wicznie skojarzył, co jest grane, rzucił się do zasy i szybko wy-
wlekł odłamek. Odłamek był pierwsza klasa - ogromny, czamo-
-granatowo-żółty, mieniący się barwami, poszarpany, ciężki
i jeszcze gorący. Był to odłamek wielkiej wartości! Ale mama
zabrała go chłopakowi i z nienawiścią rzuciła z powrotem do
zasy. Mamie nigdy nie podobała się powszechna pasja zbiera-
nia i kolekcjonowania różnych odłamków (pasja ta porwała je-
sienią chłopaków, którzy wtedy byli jeszcze żywi i nawet nie bar-
dzo głodni). Trochę się pokłócili z mamą o ten odłamek...

Ale co by było, gdyby zdążyli zrobić jeszcze jeden krok -
przed wybuchem, przed metalicznym szelestem, przed pierwszym
uderzeniem o ziemię? Tylko jeden krok! Oczywiście, odłamek
nie zabiłby ich od razu, ale obojgu zmiażdżyłyby nogi... I to też
byłaby śmierć, tyle że powolna.

Kiedy chłopak wtargnął do pokoju wydziału mieszkaniowe-
go, gdzie zazwyczaj siedziała mama, nie zastał jej - na jej miej-
scu siedziała nieznaną siwą staruszka, zawinięta w mnóstwo
chust. Chłopak powiedział coś i nie usłyszał własnego głosu. Sta-
ruszka popatrzyła na niego zapadłymi oczami, pokiwała wełnia-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

na głowę: "Nie - powiedziała. - Dawno już poszła..."
Chłopak wiedział o tym wcześniej, czekał na to od samego początku, ale i tak zdarzyło mu się coś w rodzaju zaniku pamięci. Niczego więcej nie zapamiętał - aż do chwili, gdy znalazł się na Prospekcie Fińskim i odkrył, że postanowił przejść do domu podwórkami. Widocznie żyła w nim jeszcze jakaś nadzieja. Tliła się. Pobudzała do ruchu nogi. Pobudzała, żeby jeszcze i po coś zdecydować... Być może nadzieja ta była samym życiem?

Słońce dotąd nie zaszło za domy, ale długie cienie kładły się na biały śnieg i zrobiło się jeszcze zimniej. Przeszedł przez podwórka, nikogo tam nie spotkał, śnieg zamienił się tutaj w żółte warstewki lodu, czarne główki oblodzonego kału rozsypane były wszędzie, tak że nie można było wybrać, gdzie postawić nogą. Nawet nie wybierał. Było mu wszystko jedno. Nagle przypomniał sobie o kobiecie z żółtą twarzą i czerwonym tobołku obok niej - przypomniał sobie, że w drodze powrotnej znowu ją zobaczył, wszystko było tak samo, tyle że tobołek już się nie poruszał. To był też jego los, jego najbliższa przyszłość...

Doszedł do bocznego wejścia, gdy skądś do prawej - z porzuczonej pralni? - z zamiarem przecięcia mu drogi, nieprawdopodobnie szybko (w tym mieście ludzie nie umieli się tak szybko przemieszczać) nadciągnął czarny, bardzo straszny i bardzo niebezpieczny człowiek - był ubrany w kozuch z podniesionym kołnierzem i czapkę ze swobodnie zwisającymi uszami, w ręce miał siekiere i trzymał ją przed sobą, jakby chciał wbić ją komuś w twarz... I było absolutnie jasne, że miała to być twarz chłopca. Bo niby czyja? Nikogo więcej przecież nie było.

Chłopak zastygł i zdrętwiał. Człowiek stał już obok niego, pochylał się nad nim - zabójca z wyszczerzonymi zębami, w okrągłych okularach, straszny, a najgorsze było to, że z wyszczerzonych ust nie waliła para...

Chłopak upadł na plecy. Jeszcze leciał, kiedy nagle coś się stało z głową zabójcy. Zaczęła nagle rosnąć, rozciągać we wszystkie strony, na pomarszczonej twarzy pojawiły się czerwone szczeliny, okulary zleciały z nosa i gdzieś zginęły, twarz pękła, trysnęła dokoła czymś czerwonym, żółtym, białym - i chłopak więcej już nie widział...

Kiedy się ocknął, zobaczył nad sobą staruszkę, okutaną tak, że nie było widać ani oczu, ani w ogóle twarzy, tylko z ciemnej dziury między wełnianą chustą a oszronionym kołnierzem sterczały jakieś rude kępki. Staruszka trącała go pałką z gumową nasadką i mruzczała zjadliwie:

- No wstawaj, wstawaj... Żyjesz? To wstawaj... Sam wstawaj, sam... podnoś się...

Podniósł się powoli, trzymając się ściany, a kiedy tak wstawał, obok pojawił się drugi opatulony człowiek - albo staruszek, albo jeszcze jedna staruszka, ale z wiadrem, i obydwójce zaczęli

niewyraźnie i jednocześnie piskliwie wymieniać bezsensowne zdania. Z ich rozmowy wynikało, że oto, proszą, wyszedł człowiek na dwór narąbać drewna i przeciął go odłamek - całkiem oderwało mu głowę, nic nie zostało...

Straszny człowiek leżał tuż obok, na plecach, z rozłożonymi rękoma ze skostniałymi gołymi palcami, siekiera poniewierała się niedaleko, wśród żółtych smug oblodzonego moczu i zamarzniętych kup... a głowy teraz rzeczywiście w ogóle nie miał - zamiast głowy była jakaś białawo-czerwona, mokra, błyszcząca wyrwa... Staruszki dalej zgrzytały i mamrotały, zrobiło się ich już trzy - trzecia miała czerwoną opaskę. Chłopak chciał im powiedzieć, że wszystko było inaczej: nie było żadnego odłamka, a przede wszystkim ten człowiek nie wyszedł narąbać drewna (gdzie tutaj jakieś drewno?), tylko po to, żeby go zabić i zjeść - ludożerca... Ale nic takiego nie powiedział, przypomniał sobie mamę i rzucił się do bocznego wejścia, pod schodami, na oblodzoną glazurę westybulu, a tam, jak w przepięknym czarodziejskim śnie, zobaczył mamę, która biegła od drzwi frontowych jemu naprzeciw... I cały ten martwy, podły, bezlitosny, zapaskudzony, złośliwie-obo-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
jętny i wściekle-wyszczierzony świat - od razu zrobił się delikatny, czuły i bezgranicznie piękny...
Rozdział o chłopcu z czasu blokady skończył mniej więcej w taki sposób. Jest już późny wieczór. Ciemno. Cisza. Potrzebują pogwizdują węgle w piecyku. Ciepło. Drży słabiutki płomyk kaganka. Chłopiec siedzi na swoim miejscu przy kuchennym stole, patrzy na ten płomyk, nie myśli o niczym i bardzo powoli, po jednym ziarenku, je gotowany bób z miseczki stojącej przed nim. Żuje długo każde ziarno. Młaska. Doskonale wie, że żuć trzeba z zamkniętą buzią, ale specjalnie żuje z otwartą - tak jest o wiele smaczniej. Mama siedzi tuż obok, po prawej stronie. Chłopiec nie widzi jej, patrzy na żółty płomyk kaganka, ale wie, że ona jest tutaj, a to znaczy, że wszystko jest dobrze, i będzie dobrze, i nie ma ani strachu, ani mroku, ani śmierci na tym świecie...

"Jest szczęśliwy. w ogóle - to szczęśliwy chłopak. Przecież nic a nic nie wie - ani dobrego, ani złego.
Jeszcze nie wie, że za tydzień dopadnie go krwawa biegunka - to będzie ostatni dzwoneczek w jego życiu. Organizm przestanie się sprzeciwiać. Dwa dni będzie nieprzytomny. Będzie mu się wydawało, że jest Lisem; Lis zbudował domek; Lis chce wejść do swojego domku; Lis nie może wejść do swojego domku, bo domek stoi na nosie Lisa... A Lis tak bardzo, tak beznadziejnie, tak namiętnie chce wejść... do domku, do domku... do domku. . • Trzeciego dnia przyjdzie Amalia Michajłowna i przyniesie flaszeczkę mętnawego, bezbarwnego płynu. We flaszeczce będzie bakteriofag - pożeracz bakterii. Chłopakowi dadzą łyżkę i na drugi dzień koszmara znikną. Razem z krwawą biegunką. Chłopak znowu przeżyje.
(Skąd się wziął u Amalii Michajłowny bakteriofag? Nikt nigdy nie wpadł na pomysł, żeby ją o to zapytać. Być może zresztą, to nie jest istotne... Skąd w ogóle wzięła się na drodze chłopaka Amalia Michajłowna, która zdecydowanie miała zostać rozstrzelana jesienią, ale jej nie rozstrzelali, wypuścili, przeżyła grudzień i styczeń i na dodatek okazała się posiadaczką bakteriofagu? Bardzo ciężkie, a nawet niemożliwe jest oddzielenie istotnego od nieistotnego, kiedy chodzi o zbieg mało prawdopodobnych wydarzeń...)

Nie wie też jeszcze, że i on, i mama zostaną przy życiu i będą żyli przez wiele lat, bez względu na wszystko. Jest szczęśliwym chłopakiem. Nie wie, że akurat w tym samym czasie, daleko na pomocy miasta jego ojciec, szeregowy pospolitego ruszenia, spuchnięty, straszny, zarośnięty, z siwą brudną brodą, przysypiany świeżym śniegiem, oparł się o zawaloną śniegiem platformę z załadowanym, zaśnieżonym, spalonym czołgiem. Ręce zspierzchnięte jak u dozorczy wsunął w rękawy, pod pachą trzyma, przytulając do siebie, ćwiczebny karabin typ z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego pierwszego roku, ze spiłowaną iglicą i osadzonym trójgraniastym bagnetem (z takim samym, tylko oczywiście w bojowej wersji, chodził na Judenicza dwadzieścia cztery lata temu). Zamknął oczy, męczy go puchlina wodna, a chore serce pomija co trzecie uderzenie... To serce i ten okrutny głód, i bezlitosny mróz dobijają go. Pozostało mu mniej niż dwa dni życia...

O niczym takim chłopak nie wie.

Nie wie, że w odległości siedmiu metrów od niego, w ciepłym, niewyobrażalnie czystym, dużym pokoju, w którym jaskrawo świecą liczne lampy elektryczne, a świeżo wypastowana podłoga błyszczy, niewysoki, gruby człowiek z czarnymi włosami i czarnymi - w kwadracik - wąsikami opuszcza zawinięty rękaw munduru i z uśmiechem słuca, co ze sztucznym, teatralnym niezadowoleniem mówi do niego drugi, w białym lekarskim kitlu, też niewysoki, ale chudy i całkiem siwy.

- Poskarżę się na was, Andrieju Aleksandrowiczu. Słowo honoru, napiszę do KC...

- Może być do KC! - odpowiada gruby z lekceważeniem.

- Ale co mam robić, jeżeli ciągle i uparcie nie zwracacie uwagi na moje zalecenia! Ile razy miałem już zaszczyt tłumaczyć, że każdy zbędny kilogram, to dodatkowe obciążenie dla

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

waszego serca...

- No to co, mam teraz ogłosić strajk głodowy?
- Po co od razu strajk głodowy?! Przecież mamy salę sportową. .. Przynajmniej trzydzieści minut tenisa, ale codziennie...
- Nie mam nic lepszego do roboty, tylko za piłeczką biegać. .. - warczy grubas.
Nie słucha swego rozmówcy, przerzuca papiery na stole, blade, napięty tłuszcz podwójnej brody energicznie drży przy każdym ruchu.
- Nie, Andrieju Aleksandrowiczu, wasza wola, a ja muszę napisać o waszym zdrowiu do KC...
Chłopak nic o tym nie wie i wiedzieć nie może (nie on jeden). Powolutku dojada gotowany bób. Zdaje mu się, że niczego smaczniejszego od tego bobu nie jadł. I mama jest obok - pomańcówy płomyk tańczy w jej oku... Jest szczęśliwy. Jest Najszczęśliwszym Chłopcem w Europie. A może i na świecie. Szczęśliwy Chłopiec".

Rozdział 5

Zakończywszy historię o chłopcu z blokady, poczuł się jak w ślepych zaułku. Okrążyły go niewidoczne ściany, niewidoczna, jak w powieści science fiction, bariera nie puszczająca go dalej. Dopadło go jakieś wyczerpanie, dystrofia jakaś, brak witamin. I wcale nie dlatego, że wyczerpały się wyspy wspomnień. Nadal sprawnie wyłaniały się z niebytu. Był ich cały archipelag. Ale do niczego już nie pobudzały. Istniały niezależnie od pomysłu i były gotowe tak samo pokornie odejść do tego samego niebytu, z którego dopiero co się wynurzyły, nieproszone i niepotrzebne.

Niektóre nawet miały pewne odniesienie do Podstawowego Twierdzenia. Na przykład jak po wybuchu półtonowej bomby, po mocnym, ogłuszającym, bolesnym uderzeniu w uszy, mózg, duszę, w nienaturalnej ciszy, jednocześnie strasznie i pięknie, wypadły szyby ze wszystkich okien fasady, odwróconej do parku Wojskowej Akademii Medycznej - wszystkie dwieście okien naraz, błyszczący deszcz szkła, lawina szkła, szkłospad. Jedna chwila, i siedmiopiętrowy przystojniak został pustookim inwalidą, skazanym na wegetację i śmierć...

Jak oceniano odłamki bomb i pocisków? Przede wszystkim - liczyła się długość. Im dłuższe - tym cenniejsze. Następnie - waga. Ciężki, okrągły jak kostka brukowa odłamek był ceniony bardziej od długiego, ale cienkiego. Dalej - szczegóły. Wysoko ceniono odłamki kolorowe, mieniające się jak kryształki nadmanganianu potasu. Odłamki z resztkami brązowego kółka, z cyferkami, literami, jakimiś kreseczkami i znaczkami... Ale najwyżej cenione były rzeczy całe: ocalałe stabilizatory bomb zapalających, same zapalniki, które się nie zapaliły, nie wiadomo dlaczego... Chłopak znalazł coś takiego pod koniec września na podwórku, leżało obok śmietnika - zgrabne, srebrzyste, eleganckie, piękne, nie do opisanie cenne... Chociaż to akurat nie miało już żadnego odniesienia do Podstawowego Twierdzenia.

Jak łapali koty, żeby je później zjeść. Jak je jedli. Na początku, kiedy jeszcze się brzydzą, jedli wyłącznie białe mięso, a resztę wyrzucali. Mięso smażyli. Dorośli mówili, że przypominało mięso królika, tylko że było bardziej miękkie i delikatne... A pod koniec jesieni zjadali już wszystko, do ostatniego skrawka, chyba że z wyjątkiem niejadalnej skóry i pazurków, i teraz już tylko gotowali. Tylko.

Jak przeszukiwali każdy zakątek mieszkania w nadziei, że uchwycą gdzieś coś z czasów pokoju. (Suche zakurzone kawałki chleba za kanapą. Chłopiec kiedyś, dawno temu, wrzucał Je tam w tajemnicy przed mamą, żeby nie dojadać - żyli skromnie, i w rodzinie obowiązywała zasada: dojedz wszystko, co jeść zacząłeś).

Jak strasznie krzychał jakiś człowiek głuchą styczniową nocą na dworze: "Ratunku, na miłość boską... Ratunku, na miłość boską..." Krzychał, stękał, sapał - chłopaka uspiły te narzekania. A w dużym pokoju, gdzie wytłuczone jesienią okna nie były zabite nawet dyktą,

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

leżał zaszyty w prześcieradła trup babci, która zmarła dwa dni temu...
Miał tam leżeć jeszcze przez dwaście dni.

Można o tym wszystkim napisać. Ale można i nie pisać.

A najważniejsze: nie chciało się o tym więcej pisać. Coś się skończyło.

A tu na dodatek przyszedł mu do głowy niespodziewanie jasny pomysł programu lingwistycznego, z którym ostatnio (ospale, bardzo ospale) się męczył. Podstawowe Twierdzenie i wszystkie towarzyszące mu ćwiczenia literackie zostały zapomniane. Dwa tygodnie zasuwał nad programem, który w rezultacie zaowocował świetnymi aforyzmami - nowymi, paradoksalnymi i zadziwiająco głębokimi! Żaden Schopenhauer, żaden Pascal, Lichtenberg i La Rochefoucauld nie wpadli na coś takiego. Zresztą nie mogli wpaść. Tylko jego nowy program był zdolny do takich cudów.

Gorliwość jest macochą wyobraźni.

Precyzja zastępuje głupcom mądrość.

Uczucie jest najokrutniejszym wrogiem eksperymentu.

Świetnie zastępuje wychowanie tylko jedno ~
dobroduszość.

Zadzwoił do wikonta - po raz pierwszy w ciągu tych dwóch tygodni. Wikont nie omieszkał się stawić. Z butelką curaçao. Wypili likier i Stanisław pochwalił się nowymi aforyzmami. Wikont zareagował warkliwie i z uniesieniem. Był dzisiaj, jak nigdy, podobny do Puszkina - malutki, pełen wdzięku, kędzierzawy, przystojny: szare żywe oczy patrzyły spod rzęs. Wikont. Wasza wysokość. Stanisław poczuł, że się za nim stęsknił. I wtedy pod wpływem jakiegoś objawienia wyciągnął ze stołu ostatnią, wydrukowaną wersję szczęśliwego chłopca i wcisnął ją do wyciągniętej (leniwie) okaleczonej dłoni.

Już za chwilę, obserwując ponury nos, ponuro pełznący po ponurym tekście, pożałował swojego odruchu. ("Uczucie to najokrutniejszy wróg eksperymentu"). Ale było za późno. Wiać tylko nalał sobie jeszcze trochę curacao.

Chociaż nic strasznego się nie zdarzyło.

- Niezłe - powiedział wikont po przeczytaniu ostatniej strony. - Ale nikt tego nie wydrukuje.

- Dlaczego? - Stanisława zatkało. Słowa wikonta po prostu go zdumiały. Nawet nie myślał o tym, żeby to drukować.

- Dlatego, że nikt tego nigdy nie wydrukuje - wyjaśnił wikont stanowczo i znowu wsadził nos w rękopis, wyraźnie czegoś tam poszukując.

Stanisław milczał, zapomniał nawet o papierosie, który dopiero co miał zamiar zapalić. Próbował sobie wyobrazić, jak to wszystko miałoby wyglądać z punktu widzenia jakiegoś redaktora. Niczego konkretnego nie udało mu się wyobrazić, ale sama myśl... jedna tylko słaba możliwość... nawet aluzja co do prawdopodobieństwa. .. Nagle przypomniał sobie, jak całkiem niedawno powiedział Łarisie: "Przynajmniej jakąś jedną historyjkę, niech malutką, niech nawet drobną, ale - wydrukować. I nic więcej nie jest mi potrzebne..." Sam był wtedy zdumiony siłą swego marnienia.

- Jednak, w istocie, niczego mi nie udowodniłeś - oznajmił tymczasem wikont. - Obiecałeś udowodnić swoje twierdzenie o tym, że jesteś wybrańcem Boga. A przedstawiłeś najwyżej pół tuzina przypadków szczęśliwego ocalenia. To za mało, dusza moja. Pół tuzina przypadków każdy potrafi znaleźć.

Trochę się pospierali.

Stanisław nalegał, że i pół tuzina to niemało, że wikont nie da rady tak od razu naliczyć pół tuzina, a po drugie, ma jeszcze trzy razy po pół tuzina, ale całe nieszczęście tkwi nie w półtuzinach, a w tym, że jakoś znudziło mu się pisanie...

Wikont odpowiadał, że choć do bycia wybrańcem Boga, w przeciwieństwie do niektórych, wcale nie pretenduje, jednakże też coś ma w swoich aktywach: powiedzmy, przypadek z zapalnikami albo chociażby te pseudozawałowe ataki, których były już trzy i których, jak wiadomo, można się spodziewać w każdej chwili. Ile przypadków, tak naprawdę, w ogóle może Stanisław przedstawić do rozpatrzenia? Ach, dwadzieścia trzy? A czy

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
jest pewny, że wszystkie te przypadki mogą być rozpatrywane bez żadnego naciągania? Jest pewny? Świetnie. Persilfans. A czy próbował Stanisław (będąc matematykiem) policzyć, na ile, tak naprawdę, jest prawdopodobne ocaleć w dwudziestu trzech przypadkach z niezliczonego mnóstwa innych? Na przykład on, Wikont, przechodził przez ulicę znacznie więcej niż dwadzieścia trzy razy i chyba częściej latał samolotem, jeździł pociągiem, konno, i-nic!

;
Dość długo omawiali ten problem. Jednoznacznej odpowiedzi na pytanie wikonta nie można było znaleźć, ani też użyć do rozpatrywanego zjawiska pojęcia prawdopodobieństwa w ściśle matematycznym sensie tego terminu. Jednak, rzecz jasna, jeżeli piątek dwadzieścia trzy razy z rzędu spada na reszkę... lub ktoś dwadzieścia trzy razy z rzędu, bez pudła, wygra na loterii (niech nawet po rublu)... albo chociażby dwadzieścia trzy razy z rzędu zrobi sześć w karach - to przecież od razu widać, że coś tu jest nie w porządku i że trzeba przeprowadzić pow-ważne śledztwo.

- Będziesz musiał znaleźć w swojej powieści miejsce dla takiego właśnie pow-ważnego śledztwa - powiedział wikont. - Bo inaczej, nikt niczego nie zrozumie.

- Ja sam nic nie rozumiem, - przyznał się Stanisław.

- A powinienes! - stwierdził wikont. I wypili jeszcze trochę cura9ao.

Stanisław jednak poszedł za tą radą. Wydawało mu się, że to nudne - analizować coś, co i bez analizy (a być może, właśnie dzięki jej brakowi) wyglądało i dziwnie, i tajemniczo, i znacząco. Nie pisał przecież naukowego traktatu, tylko powieść o człowieku, który nagle odkrywa wpływ jakiejś tajemniczej siły na swoje życie i stopniowo przychodzi mu do głowy myśl o Ukrytym Przeznaczeniu... Na samym końcu powieści domyśla się, w czym tkwi to Przeznaczenie, i staje się... kim? W czym tkwi istota Przeznaczenia?

- Jak myślisz, czy mam prawo trochę kłamać? - zapytał wikonta zaniepokojony.

- Po co?

- Po pierwsze, żeby było ciekawiej. A po drugie, jeżeli wymyślę Przeznaczenie, i tak będę musiał wszystkie moje opowieści mu podporządkowywać, a to oznacza wymyślanie tego, czego nie było.

- A jeszcze go nie wymyśliłeś? Swego przeznaczenia?

- Na razie nie.

- No, to na razie nie ma co trochę kłamać - postanowił mądry Wikont. - Z jakiej racji? Dwadzieścia trzy sytuacje. Po kiego diabła wymyślać bez żadnej przyczyny dwudziestą czwartą?

Rozdział ó

W pięćdziesiątym szóstym wikont zaciągnął go do ekspedycji archeologicznej. U wikonta pojawił się wtedy przyjaciel-archeolog, który każdego roku latem jeździł w okolice Pien-dzikientu na wykopaliska kuszańskich (chyba) grobowców. Jak się okazało, wikont przyczepił się do niego już po raz trzeci. Bardzo mętnie (bez najmniejszych wątpliwości kłamał) wyjaśnił, czemu jest mu to tak bardzo potrzebne: że jest to związane z jego nową fascynacją historią starożytną, Sasanidami, Persją w ogóle, a problemami starożytnej perskiej weterynarii w szczególności...

- Uszy mi wiedz od tych opowieści! - powiedział mu wtedy Stanisław, wstrząśnięty naporem źle wymyślonego kłamstwa.

- To nie słuchaj! - poradził wikont gorąco. - Powiedz mi: powiewa jeszcze nad morzami Black Roger, czy już nie?

- No, powiewa. Ale do czego ci jestem potrzebny?

- A co za różnica! Jedziemy i koniec.

I pojechali, przy czym Stanisław zwiął przed swoim promotorem, nawet nie zadzwonił do niego i niczego nie nakłamał - choćby ze zwykłej grzeczności i dla przyzwoitości.

.. .Arabskie pismo, wykwintne, piękne, kaligraficzne łącze-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
nia, jakby wyciekające ze zręcznego pióra - z zakrętasami, zwitkami, znacząco porozrzucanymi kropkami... Wykwintne piękne nowe słowa: dewani, mahreb, nastalik, farsi, irani. Gardłowa, zprzydechem mowa, jakby z trudem pokonywany zachwyty... Skąd się to nagle wzięło w życiu wikonta? Dlaczego, po co? Czy tylko dlatego, że dziadek-generał zostawił mu w spadku kolekcję starożytnych monet? Albo żeby się nacieszyć w oryginale tymi wszystkimi Firdousi, Niżami, Saadi? Niewyobrażalnie piękne

wiersze:

Z dala od ukochanej pali tęsknota,

Gdy blisko - zdrady męczy stwór

Z tobą i bez ciebie - Smutek!

Dla serca i rozumu - Smutek!

Serce me dławi wieczny mur.

Pogrążył go ten cień,

Więźnia uczynił zeń -

Smutek!

"Smutek!" - mówili teraz z byle powodu i bez żadnego powodu również. Dzia tarszed wa baczę nist, mówili zamiast powiedzieć po rosyjsku: "dopiero co, niedawno"... I tak po prostu, dla pięknego brzmienia, mówili, szczególnie w obecności dziewczyn:

"Miejsce jest jeszcze mokre, ale basza już sobie poszedł..."

Zaraza. Niespodziewany kaprys. Zamroczenie świadomości...

Ale szlachetne zamroczenie! Dobrze, ale po co teraz włóczyć się, przez cały Związek Radziecki nie wiadomo dokąd - za siódmą

góre po ziarno maku? I co to za starożytna irańska weterynaria?

Kopali tępe (wzgórze na miejscu dawnego cmentarzyska),

które nazywało się Kala-i-mug, co znaczyło: "Twierdza magów".

Chodziły plotki, że to tępe było nieczyste, zaczarowane, owiane legendami. Dookoła (to też były plotki) występowały smółki uranu

i po wszystkich drogach w okolicy kręciły się tam i z powrotem

spożyły geologów, którzy szukali tego, co w ich żargonie nazywało się "azbest-dwa". (Ponurzy, brodaci, młodzi faceci w brudnych

filcowych kapeluszach, małowólni, nieprzyjemni, czujni,

z obdrapanymi kaburami na pasach).

Obóz mieścił się na brzegu rzeczki Mugian pod starą potężną

morwą. Cała miejscowość też się nazywała Mugian, to znaczy -

"Magia", "Czarodziejstwo", "Kraina czarów". Rozlokowali się w

namiotach: dwa namioty naukowców, trzy duże

namioty Tadżyków-robotników i oddzielny namiot, w którym zamieszkał

Rachmatułło ze swoją żoną.

Naukowców było dwoje: naczelnik ekspedycji, przyjaciel wikonta,

on pan-szef-ojciec - czarnobrody, grasejujący - wyglądał tak,

jakby był stuknięty, i dziewczyna-archeolog - cicha, staranna,

milcząca, bezbarwna i tak niepozorna, że Stanisław nie mógł

zapamiętać jej imienia. (W ogóle miał problemy z zapamiętywaniem

imion - nie przywiązywał wagi do nowych znajomości).

Wikont i Stanisław figurowali jako asystenci. Byli do wszystkich

Robotników było sześciu albo siedmiu. A może ośmiu.

Stanisław i tak nie nauczył się ich odróżniać. Mieli skomplikowane

(gardłowe, z przydechem) i bardzo różne imiona, ale byli

strasznie do siebie podobni, jak bliscy krewni: każdy miał szary

chałtat, przepasany brudnym ręcznikiem, wszyscy byli nieogoleni,

wszyscy niskiego wzrostu, wszyscy w nieokreślonym wieku,

wszyscy jak jeden mąż palili skręty z haszyszu i woleli nie

patrzeć w oczy rozmówcy. Jedni nosili na głowie kwadratowe

czapeczki, inni filcowe kapelusze, a ktoś tam znów ręcznik, ale

zgrabnie zwinięty w turban.

Rachmatułło wyróżniał się wśród nich. Po pierwsze, był młody,

miał dwadzieścia pięć lat, nie więcej. Po drugie, lepiej od wszystkich

innych razem wziętych mówił po rosyjsku. Bardzo lubił rozmawiać

po rosyjsku i zamęczał tymi swoimi rozmowami. Najbardziej męczył

wikonta, którego z niewiadomych przyczyn faworyzował.

- Is-łuchaj, czemu nie masz palców na rękę, co? Jak to się is-tało,

opowiedz, Wiktor, proszę? Popatrz: trzech palców na rękę w-w-ogóle

niema, co za nieszczęście, skąd takie nieszczęście, is-łuchaj, co?

- Na początku Wikont odpowiadał coś żartem, a potem się

wściekł:

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

- Posłuchaj, Rachmatułto, wiesz, co to jest nietakt?!

- A-aczywiście, wi-iem! - strasznie ucieszył się Rachmatułto. - To choroba taki: palce bardzo choruja, gi-nija, gi-nija, a potem w-w-ogóle odpadaja!

Po trzecie, miał żonę. Rosjanę. Młodą. Nic nadzwyczajnego, ale jednak. Odegrała znacząca rolę w całej tej historii. Najpierw wszystko było dobrze. wstawali wcześnie rano i ziewając dokonywali ceremonii podniesienia flagi (białe płótno z czarnym wizerunkiem starożytnej sogdijskiej monety). Śpiewano przy tym hymn. Flagę uszyła i wyhaftowała bezimienna dziewczyna-archeolog. Hymn napisał wikont, za podstawę wziął piosenkę o bohaterskim kanonierze Jaburce. Codziennie rano nad górskimi przestworzami Mugianu rozlegało się:

Flagę wciągał na cześć, oj lado, ej-luli!
i wyśpiewał pieśń, oj lado, ej-luli!
Przyniosło pocisk nagle, oj lado, ej-luli!
I leb urwało zgrabnie, oj lado, ej-luli!
On flagę wciągał wciąż, oj lado, ej-luli!
Bo to był dzielny mąż, oj lado, ej-luli!
Wieczorem ten sam hymn towarzyszył procedurze spuszczenia flagi, oczywiście z małą modyfikacją: Flagę spuszczał na cześć...

Żona Rachmatułty przygotowywała śniadanie. Wszyscy jedli i szli na wykopalisko. Pracowali tizkami (to jest coś w rodzaju kilofa, tylko trochę, mniejsze) i łopatami. Archeolodzy głównie zajmowali się oczyszczaniem specjalnymi pędzelkami skamieniałej, wiekowej gliny ze znalezisk. Były to przede wszystkim gliniane czerepki o różnych rozmiarach, kształtach i rodzajach - skorupy starożytnych garnków i dzbanów, wśród których trafiały się również gigantyczne, nazywały się one chumy. Skorupy były starannie układane w wiadrach i koszykach, trzeba je było bardzo dokładnie umyć, a potem sortować i klasyfikować... W miarę tego, jak podnosiło się słońce, upał stawał się nie do zniesienia, gorący wiatr gnał żółte chmury gliny, robotnicy coraz częściej siadali, żeby wypalić swój haszysz i za każdym razem palili go coraz dłużej. I wreszcie pan-szef-ojciec ogłaszał przerwę obiadową...

(Żona Rachmatułty gotowała również obiad. Gotowała, prawdę powiedziawszy, źle. "Po pierwsze, za mało, - powiedział w tej sprawie wikont. - A po drugie, pomyje...")

Cały ten rytuał już na trzeci dzień był dokładnie i z miłością opiewany w nieśmiertelnej pieśni-poemacie wspólnego autorstwa (Kikonin, Krasnogorow). Pieśń wykonywano pod popularny w tych czasach motyw:

Nie jestem poetą, nie jestem ascetą,
Trza prawdzie w oczy spojrzeć.
Napchałem kiszkę, zabrałem liszkę,
Idę skorupy ziemi wydzierać.
Pot z czoła buch i boli brzuch,
Od suszonych moreli się nie sra, a moczy,
Lepi się glina, a z nosa wydzielina,
Człek klnie jak szewc i w przepaść by skoczył.
Skończony dzień, tępy jak pień,
Do swojego docierasz namiotu.
Zdejmujesz strój i myjesz chum.
I czarną herbatę pijesz do wymiotu.

Pieśń była długa, miała około dwudziestu zwrotek - poeci hojnie tryskali talentem - i śpiewanie jej wieczorami, z gitarą, w dziwnym przezroczystym zmierzchu Mugianu, sprawiało im niesamowitą przyjemność. Chociaż już wkrótce zaczęły się problemy. Najpierw małe. Stanisław najadł się moreli (dorwał się do tanich owoców) i dostał bardzo silnej biegunki. Ani lekarstwa, ani nadmanganian potasu, ani wyciąg z ziół żony Rachmatułty nie odniosły oczekiwanych skutków. (Smutek!)

Pan-szef-ojciec dał Stanisławowi zwolnienie. Stanisława usunęli z prac na wykopalisku. Teraz wstawiał ze wszystkimi, ale zostawał w obozie: w obozie był cień gigantycznej morwy, od obozu o rzut beretem rosły zbawienne gęste krzaki, i wreszcie w obozie można było w każdej chwili się położyć (sen to najlepsze lekar-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt) stwo). I Stanisław zaczął być na chorobowym. Było to smutne życie emeryta, wypełnione cierpieniami urażonej dumy i poczuciem całkowitej nieprzydatności. Większą część dnia pracy Stanisław spędzał w krzaczkach, a kiedy choroba ustępowała, sterczał schylony w kryształowych lodowatych strumieniach Mugianu - domywał nie kończące się odłamki dzbanów. Wieczorami nie mógł już sobie pozwolić na opijanie się herbatą, był na diecie i żywił się sucharkami, tak że głód, pragnienie, stęchłe odbijanie się i biegunka męczyły go jednocześnie. Żeby nie budzić w nocy wikonta i pana-szefa-ojca, wyniósł z namiotu łóżko polowe i nocował na uboczu -jak najdalej od ludzi i jak najbliżej krzaczków.

Na trzeci albo czwarty dzień biegunki, wieczorem, kiedy wszyscy poszli spać, pan-szef-ojciec zawałał Stanisława i przekazał mu interesujące wiadomości: trzeba coś wymyślić, i to szybko, bo Rachmatułło kona z zazdrości i grozi - codziennie groźby te są coraz straszniejsze. Stanisław, nie zrozumiał, o co chodzi, i szef cierpliwie mu wyjaśnił, że robotnicy zaczęli żartować z Rachmatułły: ty tutaj przez cały dzień ziemie kopiesz, durniu, a tam na dole Staś bawi się z swoją żoną - od rana do samego południa. Rachmatułło rzeczywiście jest młody i głupi, nie zna się na żartach i już któryś dzień chodzi kipiąc ze złości, trzeba coś wymyślić, bo sam pan wie, panie Stanisławie, jak to tutaj bywa...

Na całe życie zapamiętał niemożność -jak przy astmie, gdy niemożliwe jest wyduszenie z siebie słów, myśli, gestów, argumentów, nawet wykrzykników - która go wtedy ogarnęła. Trzeba reagować na słowa szefa, i to reagować szybko, jasno i dokładnie, żeby nie było cienia wątpliwości... żadnych aluzji, wahań, niejasności! Był w szoku. Milczał, stał nieruchomo i chyba uśmiechał się idiotycznie. Nie można powiedzieć, że nie zauważał tej kobiety. Była młoda, atrakcyjna, przyjemna dla oka. I nie można było nie zauważyć, że nie nosiła stanika i że jej piersi pod bawełnianą bluzeczką były doprawdy godne... Ale po pierwsze, był jeszcze smarkaczem, w tym sensie, że miał romantycznie błędne podejście do kobiet, małżeństwa, odpowiedzialności i tym podobnych rzeczy. Po drugie, jego miłosne stosunki z Łariskąbyły wtedy u samego szczytu - pisał do niej listy, nich to diabli, co drugi dzień, i to jeszcze wierszem! Inne kobiety teraz dla niego nie istniały. "Nie więcej, niż jedna w tym samym czasie" - bronił swego podejścia we wszystkich dyskusjach na ten temat i mocno trzymał się tego przekonania już od wielu lat... I wreszcie, biegunka, panowie! Biegunka! Jak wy to sobie wyobrażacie, idioci! - chciało mu się wrzeszczeć na cały Murgian. Jedną ręką, osłabiony podtrzymuję gacie, drugą, ściskam gotowy do natychmiastowego użycia "Radziecki Tadżykistan", a sam przypuszczam miłosny atak? Przecież nawet jej imienia dobrze nie zapamiętałem, jeżeli chcecie wiedzieć!

Rozmowa z szefem, oczywiście, skończyła się na niczym. Bo też i czym, do diabła, mogła się skończyć? Szef z poczuciem winy powiedział, że pojutrze rano przyjeżdża samochód z prowiantem. Może Stanisław by się zgodził wyjechać tym samochodem do Piendzykientu? Na kilka dni? Czasowo? Nie kusić losu? Stanisław odmówił, oburzony. Z jakiej to niby racji?

Następnego dnia rano po cichu, ale bardzo uważnie obserwował Rachmatułłę. Stwierdził, że zachowywał się normalnie: Rachmatułło był wesoły, bardzo gadatliwy i tak samo dobroduszny dla wszystkich. Jego żona (n-niech to diabli, jak ona ma na imię? Lusja? Czy Luda? Dusia, chyba...), wydawało mu się, że żona Rachmatułły była bardziej smutna i zestresowana niż zawsze i, po tym jak się jej przyjrzał, z nieprzyjemnym chłodem w sercu zobaczył na jej twarzy i na gołej ręce starannie zapudrowane, ale oczywiste siniaki... Znowu zostali sami w obozie i przez cały dzień starał się trzymać się od niej z daleka, czując się przy tym jak kompletny osioł. Najśmieszniejsze było to, że biegunka prawie go opuściła, prawie już nie biegał w krzaczki, myśli się rozjaśniły i z wyobraźnią też już się zrobiło wszystko w porządku... Chociaż, nic nowego tego dnia się nie zdarzyło.

Wieczorem z radości pozwolił sobie na solidną kolację, efekt był natychmiastowy. Obudził się koło drugiej w nocy i ledwo zdążył dobiec do krzaczków. wydawało się, że wszystko zaczyna się

od początku.

Czując się wyczerpany i wstrętny, wracał z trudem do swojego opuszczonego legowiska, nic nie widząc w całkowitej ciemności (na niebie nie było ani księżyca, ani gwiazd), i kiedy dotarł już do morwy, nagle usłyszał niezbyt głośne, ale dość wyraźne dźwięki, na tyle dziwne i niedorzeczne, nie odpowiadające niczemu naturalnemu, że zamarł w bezruchu, wsłuchując się z napięciem i nie mając odwagi ruszać dalej. Stamtąd, z przodu, gdzie miało stać łóżko polowe (i stało, trzeba powiedzieć!), jego upragnione łóżko polowe, docierało jakieś szybkie szuranie, brzdękanie, szelest... i jakby kaszel... i jakieś skomlenie - nie psie, ale też nie ludzkie... Jego wyobraźnia zaczęła się miotać. Starał się, ale nie mógł wyobrazić sobie czegoś takiego, co mogłoby być źródłem tych dźwięków. Przytulił się do potężnego krzywego pnia i stał nieruchomo, wpatrując się z całych sił w wolno kołyszącą, rozstępującą się ciemność, i nagle uświadomił sobie, że już nie robi ani kroku, przynajmniej dopóty, dopóki nie zrozumie, co tam, koło jego łóżka polowego, się dzieje. Trwało to chyba nie tak długo. Kilka minut. A może kilka sekund. Brzęczenie, wyraźnie metaliczne, urywane, niewyraźne syczenie. Słaby, jakby zdławiony jęk... I nagle wszystko się skończyło. Zapanowała cisza, tak samo głucha i nieprzenikniona jak ciemność. Jakby nigdy nic nie było. Jakby wszystko to mu się tylko wydawało. Ale on dobrze wiedział, że się nie wydawało. Odkrył, że stoi cały mokry, ze sparaliżowanymi mięśniami, zdrętwiały, i boi się oddychać. Jednak nie potrafił zmusić się i ruszyć się naprzód, a dalej nie miał gdzie iść i został koło drzewa, do znużenia wpatrując się i wsłuchując w noc, potem oparł się plecami o pień, najpierw przykucnął, a potem usiadł, wpierając się rękami w suchą ziemię. Cały czas nie słyszał niczego, oprócz równomiernego marmotania rzeki. Nic więcej się nie działo. Siedział tak aż do świtu. Co go tak naprawdę przestraszyło? Nie rozumiał tego. Nie bał się szakali, wilków, żmij, nie był tchórzem, ale akurat dzisiaj, teraz i tutaj, przeżył poniżający, miazdzący, bezsensowny, chaotyczny strach. Widocznie, sam sobie tego nie uświadamiając, wiedział więcej niż rozumiał, albo niż był w stanie wyobrazić... Czekał na świt. Zrobiło się zimniej. Pojawiła się rosa, nocne chmury zaczęły się rozpraszać. Do dnia było jeszcze daleko, ale już widać było obóz w całości. Panowały nad nim pustka i cisza. Zerwał się wiatr i leniwie przerzucał stronicę książki, którą ktoś zostawił wczoraj na stole, i był to jedyny ruch w tej szarej, przeczystej nieruchomości poranka. Zobaczył swoje łóżko polowe. Niczego na nim nie było. Śpiwór zwisał do ziemi. Przez jakiś czas starał się przypomnieć, zasunął czy nie zasunął śpiwora, kiedy w nocy spieszył się swojej ważnej sprawie. W końcu niczego sobie nie przypomniał, wstał i podszedł do łóżka. Cały czas oglądał się za siebie, było mu wstyd za niedawny strach, miał też nadzieję, że w obozie wszyscy śpią kamiennym snem - do pobudki zostawało jeszcze około dwóch godzin. Zatrzymał się koło łóżka. Znow oblał go zimny pot i znowu mięśnie mimowolnie napięły się zeszywniały. Nagle zrozumiał, czym były nocne dźwięki. Właściwie wszystko od razu zrozumiał: i swój nieopanowany strach, i niezdolność do wyobrażenia sobie, co się tam dzieje w ciemności - czegoś takiego po prostu nie da się wyobrazić: całe wezglowie łóżka było pocięte, rozprute, rozerwane... i cienka, spłaszczona ze starości poduszka była przekłuta, przedziurawiona, rozwalona... i kilka wściekłych cięć widać było w górnej części śpiwora. To był wybuch. Nienawiści. Wściekłości. Ślepej złości. Rozpaczy... Beznadziei. Żalu do siebie... Śmiercionośny taniec oślepiętego, wściekłego noża... w lokalnym dialekcie nóż nazywał się pieczak, albo pczok. Od razu przypomniał sobie jeden taki pieczak - ostrzejszy od żyletki, z arabskimi na ostrzu, z rzeźbioną kościaną rączką - Rachmatułło demonstrował wszystkim chętnym, jak tutejsi zarzynają barana: kolanem opierają się o łopatki, palce zapuszczają głęboko do nozdrzy, załamują głowę z oszołomionymi oczami do góry i do tyłu,

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

i - po napiętym gardle -pieczakiem, tylko jeden precyzyjny ruch... (nikt nie oglądał tego obrazku do końca, wszyscy rozeszli się w różne strony i nikomu potem pilaw specjalnie nie smakował). Nadzwyczajne było to, że gdy już wszystko zrozumiał, ogarnął go nie tyle nowy atak strachu, czego można się było spodziewać, ile nieznośny, do skurczu twarzy, wstyd! Trzeba teraz było, niezwłocznie, nie tracąc ani sekundy, sprzątnąć, ukryć, schować, być może nawet zniszczyć to wszystko... nikt nie może tego zobaczyć... wstyd, wielki wstyd, koszmar! Zgarnął w panice pościel, byle jak złożył łóżko polowe (nie tylko brezent wezgłowia - nawet sprężyny były pokrajane) i odciągnął to wszystko w kucpie jak najdalej, precz z oczu, do dużego namiotu "komzespółu"... Spał tam pan-szef-ojciec, zawinięty do brody, i beztrudnie chrapał wikont, odrzucając w bok okaleczoną rękę (zmarszczony kciuk z bezsensownie sterczącymi z niego dwoma palcami). W pośpiechu, ale cicho wsunął swoje zniekształcone łóżko pod łóżko polowe wikonta, a sam rozłożył śpiwór na swoim starym miejscu, włożył do środka, wsunął do wezgłowia rozprutą poduszkę, położył się i przyczał jak pies, który coś zbroił. Wstyd i strach powoli go opuściły, i zasnął.

A rano wszystko nagle się rozładowało. Stanisław zasnął na pobudkę - spał jak kamień, całkiem się wyłączył, niczego nie słyszał - a kiedy się obudził, była już dwunasta, upał nabrał mocy, był w obozie sam, co go trochę zdziwiło, ale też się ucieszył, bo brzuch całkiem przestał boleć. Od razu wyciągnął na świat zniekształcone łóżko polowe i zakopał je bardzo głęboko - w zwał zbędnego wyposażenia, pod te wszystkie worki, miski, zardzewiałe łopaty i jakieś toboły. Ach, jak mu się zachciało te wszystkie nocne wspomnienia zakopać tak samo - jak najgłębiej i na zawsze... właściwie w świetle dnia wspomnienia te już nie wydawały się tak rozpaczliwie tragiczne i wstydlive. Okazało się, że można żyć dalej i nawet cieszyć się z życia...

Ale tutaj zszedł ze szczytu tępe wikont - robić obiad - i opowiedział mu o porannych wydarzeniach. Okazało się, że tuż po śniadaniu Rachmatułło nagle dostał ataku epilepsji - wydał przeciągły nieludzki dźwięk, wycie czy ryk, miękko spadł na wznak i zaczął się skręcać i wyginać. Widowisko było, mówił wikont, straszliwe, ale jego żona (widocznie już przyzwyczajona) zachowała zimną krew, zrobiła wszystko, co trzeba, a tu akurat przyjechała ekspedycyjna ciężarówka. Rachmatułłę razem z żoną i całym ich barachłem załadowali do tej ciężarówki i wysłali do

49

miasta, dzień pracy zaczął się z opóźnieniem i wszyscy poszli na wykopaliska z przecuciem czegoś złego...

I nie na próżno!

Robotnicy natknęli się na gundę, tak że teraz - to już koniec. (Gunda to wyjątkowa legenda. Jeżeli wierzyć opowieściom i opiom, jest to dość duży owad, ze skrzydłami, czarno-żółty, w paski - ale nie osa i nie szerszeń. Mieszka w ziemi. Ukłucie jest śmiertelne, zabija na miejscu. Kiedy wykopie się. ją przypadkowo z ziemi, ona gundzi - albo wydaje specyficzny dźwięk, albo sprowadza nieszczęście. Nawet krótkie spotkanie z nią na wykopie wróży nieszczęście). Sam wikont (gunda interesowała go od dawna, i to bardzo) tym razem również nic nie zobaczył. Robotnicy nagle zawrzeszczeli i wybiegli z wykopu panicznie krzyząc: Gunda! Gumfa/Tylko jeden z nich widział gundę, ale panika ogarnęła wszystkich. Z wielkim trudem udało się panu-szefowi-ojcu zmusić ich do powrotu do pracy, ale nic już chyba z tego nie wyjdzie. Nie będą tutaj pracować. Basta. Gunda!

Tego samego wieczoru powalił wikonta jego kolejny pseudoatak serca: przy kolacji nagle zrobił się szary, zaczął mówić przeciągle i zemdlał, przewracając stół, krzesła, naczynia. Wszyscy się wystraszyli na śmierć, ale Stanisław zachował zimną krew (nie po raz pierwszy!) i wszystko, jak zawsze, dobrze się skończyło... Jednak teraz wiadomo już było, że niczego dobrego nie można się tu spodziewać, i na drugi dzień pan-szef-ojciec wstrzymał wykopaliska na Kala-i-Mug. To wszystko. Nie można to pracować. Gunda!

Przychodzi świt i znowu nic,
Gnać samochodem po bezdrożach,
O suchym pysku, jak to w stepie, szukać tępe,
Skarby odkrywać po dawnych wielmożach.
Żal!... I nikt niczego nigdy się nie dowiedział i nawet niczego nie podejrzewał.
- Co ty, braciszku? - zapytał (już później) wikont po przeczytaniu tej historii. - Zacząłeś trochę kłamać?
- Ależ nie, Wasza Wysokość - odpowiedział Stanisław, przeżywając nie wiedzieć czemu atak zachwytu nad sobą, jakby kiedyś skromnie zdarzyło mu się wykonać jakiś bohaterski czyn i oto teraz wreszcie cały świat się o tym czynie dowiedział.
- Chciał cię zabić? - zapytał wstrząśnięty wikont i Stanisław powiedział mu prawdę:
- Nie wiem.
Nie można już było tego ustalić. Czy Rachmatułło uderzył pierwszy raz swoim pieczakiem, żeby przeciąć znienawidzone gardło, przebić głowę, mózg, wydostać przez żebra podłe serce? Czy uderzył pustkę, wiedząc, że jest tam pustka i właśnie dlatego, że była tam pustka? I potem raz za razem pruć, rozdzierać, rozcinał, dziurawił stalowym zębem w złości i rozpaczy - dlatego, że pierwsze uderzenie okazało się bezsensowne, czy właśnie dlatego, że mógł wzbudzić przerażenie i nacieszyć się nim bezkarnie - drzeć i pruć martwą materię, sprowadzając przerażenie, ciesząc się zemstą i nie będąc jednocześnie zabójcą?
Teraz to już było chyba nieważne. Ale wtedy też było nieważne. Czy można ten epizod włączyć do listy dowodów Twierdzenia? Przekutawali tę kwestię i postanowili: można. Epizod został przyjęty i zaklasyfikowany jako Dziesiąty Dowód Istnienia Przeznaczenia, albo Trzeba Zawsze Znać Swoje Miejsce.

Rozdział 7

Bohaterowi powstającej powieści trzeba było dać jakieś imię. Stanisławowi nie chciało się go wymyślać. Była w tym pewna kokieteria, bo ogromną większość materiału Stanisław brał z własnego życia, tak że bohaterem (na razie) był on sam, bez żadnych, choć trochę zauważalnych domieszek. Wikont zaproponował:

- Daj mu na imię Przeznaczony... lub Losowany.
- Dlaczego nie Sterowany? - zapytał Stanisław.
- Nie Sterowany, Losowany, to znaczy "sterowany przez Los"!

Wikont bawił się. A może i nie. Losowany - brzmiało dziwnie i niezręcznie, choć wymownie. Stanisław zamyślił się, starając wytłumaczyć sobie, dlaczego nie podoba mu się to imię. Jego kawa wystygła, papieros stłił się do samego filtra.

- Potrzebuję czegoś w czasie przeszłym - powiedział wikont. - "Zajrzał", "utonął"...

Wymyślali w stylu Pollaka (tak to nazywali):

>1<

2 półmroku tapet szloch się wrywa,
Policzki okien krzywią się do świata.
Niebieską twarz zakrywa
Ściany krwawa łapa.

Stanisław nie słuchał go. Nagle zrozumiał. To było jak objawienie. Zobaczył całą powieść - do samego końca. Bohater nazywa się Józef. Dziewczyna nazywa się Maszka... Maryja...

Maria. Będą mieli dziecko... Nawet gorąco mu się zrobiło z zachwytu, serce zabiło jak szalone i w tym momencie papieros sparzył mu palce.

Ruszył się gwałtownie - do popielniczki. Przekłęte krzesło znowu się pod nim rozwaliło, już po raz kolejny. Mało brakowało, żeby Stanisław się wywrócił, ledwo zdążył złapać się brzegu stołu. Stół zakołysał się i runął, wszystko znalazło się na podłodze - popielniczki, ołówki, bruliony... Przeklinając, zaczął zbierać i ponownie łączyć rozwalone nogi, siedzenie, oparcie, a w głosie łomotało mu: "Uratuj mi syna! Uratuj naszego syna!" Wikont nie zwrócił uwagi na te prozaiczne okoliczności.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

- Proszę o coś w czasie przeszłym! - zażądał znowu, trochę podnosząc głos.

- "Krzeseł" - złośliwie odpowiedział Stanisław.

Jego jakby poderwało. W ciągu tygodnia stworzył jeszcze dwanaście epizodów.

...Siódmy dowód, lub Nieudana Zemsta Pokonanych. Historia z bombą zapalającą, ocalałą jeszcze z czasów blokady. Z tej bomby sprytny szczęśliwy Chłopak, który do tego czasu stał się już szóstoklasistą, wystrugał kuchennym nożem metalowy talerz pełen srebrnych wiórek termitu, i postawił go na parapecie. Zmieszał termit z nadmanganianem potasu (który, jak wiadomo, wydziela wolny tlen) i wsunął do tej mieszanki zapalnik. Tumany dymu buchnęły pod sufit, chłopak momentalnie ośleplł i odsunął się - co go uratowało: ciężka kotara, przymocowana do ciężkiego kamisza, runęła, kamisz zwałił ośmiokilogramowy wazon o muzealnej wartości (skonfiskowany przez brata ciotki Lidy, artylerzystę, w ramach reparacji wojennych), wazon runął z szafy dokładnie w to miejsce, gdzie pół sekundy wcześniej znajdował się organizm ciekawskiego eksperymentatora...

Jedenasty dowód, albo Rozrzucajcie Kamienie Na Czas.

O tym, jak w mokrych, trawiastych górach pod Elbrusem zasiedli całą grupą w zdradliwym jarze, wiodącym z jednej strony do przepaści; i nie mogli wyciągnąć swojego gazika na wierzch po rozmiękłym stoku. .. Padał uporczywy lodowaty deszcz. Błoto wyrwana z korzeniami mokra trawa spod buksujących kół. Ciężkie przekleństwa z sześciu gardeł. I ciężki ryk dwóch silników - gazika na stoku, który bezsilnie buksował na końcu mocno naciągniętej liny, i ciężarówki na górze, bezsilnie buksującej na drugim końcu tejże liny. I mokre kamienie, kaleczące ręce, które nosili z daleka, żeby podkładać je na drogę, skąd oszalały samochód wyrzucał je jak katapulta obracającymi się kołami. I oślepiający wiatr. I potem obojętna mgła. I znowu wiatr - z gradem. I bezsilna wściekłość na myśl, że teraz trzeba będzie włączyć się gdzieś, nie wiadomo gdzie, dwadzieścia kilometrów po mokrych górach - szukać traktora, zebrać, skomleć, przekupywać, błagać... W szóstej godzinie tego koszmaru lina pękła. Za kierownicą gazika był w owej chwili Stanisław (Józef, oczywiście, nie Stanisław). Nacisnął na hamulec, ale samochód nie zwrócił na ten gest rozpaczy żadnej uwagi. Dosłownie wyskoczył z toru i po mokrej trawie, jak po maśle, poślizgiem, tępo i milcząco, tyłem ruszył w dół stoku, na skraj przepaści, i teraz już nic nie mogło go zatrzymać... Ci, co byli na zewnątrz, wrzasnęli z przerażenia, chcieli krzyknąć do niego: "wyskakuj!", ale nie mieli czasu wyartykułować swojego przerażenia, i Stanisław (a właściwie Józef) usłyszał tylko rozpaczliwe: "A-a-a!" Najszybszy z nich, kierowca Wołodia, ruszył gigantycznymi skokami, jego zielony brezentowy płaszcz wzbijał się nad nim jak skrzydła, zdążył nawet chwycić za brzeg zderzaka, ale zatrzymać samochodu nikt by teraz nie potrafił - samochód chciał sunąć w dół, miał dość wysiłania się tutaj w deszczu, chciał "umrzeć, zasnąć i widzieć sny, być może?". "Trzeba skakać, inaczej - koniec..." - to było wszystko, co zdążył pomyśleć Stanisław, to znaczy Józef. Ale jego skurczone palce na zawsze przyrosły do kierownicy, prawy kozak na zawsze oparł się na pedale hamulca, i już do niczego nie był zdolny. Był już martwy w tych (ostatnich swoich) chwilach... Nagle samochód zatrzymał się jak wryty.

Okazało się, że jego lewe tylne koło oparło się o ogromną kostkę brukową, którą podłożyli pod koła i która wyskoczyła spod nich już trzy godziny temu. Do skraju przepaści zostawało dwa i pół metra - tę odległość kierownik grupy specjalnie wymierzył potem miarką. Wysokość przepaści wynosiła około czterdziestu metrów, nawet więcej, ale tego kierownik grupy już nie mierzył - nie było czym, no i po co...

I tak dalej...

Postanowił, że o kilku epizodach tylko wspomni, bez dokładnej analizy. Nie zaczął analizować historii swego zdawania na wydział fizyki. Oblali go na egzaminie bez dwuznaczności i ce-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
lowo, i nawet nie próbowali ukryć swego zamiaru. Dlaczego? Przeszkodziła ankieta - krewni, wobec których zastosowano represje? Możliwe. Ale nie w tym rzecz. Na przykład Wowka Frołow z dziesiątej "B" się dostał, i gdzie jest teraz Wowka Frołow? Spaliła go białaczką pięć lat po studiach - wielki byk, zawodnik pierwszej klasy, atleta... Lekarze nic nie mogli zrobić, w ostatnich dniach w jego żyłach płynęła tylko ropa zamiast krwi... Tolka-Drindulet też się dostał, tylko że za drugim podejściem, i co teraz z Tolką? Inwalida drugiej grupy, nie wychodzi ze szpitala, twórca bomby wodorodowej... No i który z nich, jeżeli mogę zapytać, nie miał szczęścia na egzaminach? Ale stwierdził, że ta materia jest zbyt śliska i na dodatek chyba nie zasługuje na dokładne przeanalizowanie. Abasturmańskiej historii, kiedy ciągnął i wyciągnął z przepaści Sieriożkę Orłowskiego, nie chciał dokładnie opisywać, po pierwsze, dlatego że znowu przepaść, góry, pękające liny - ile można? A po drugie, niełatwo było opisać tę sytuację z powodów ściśle technicznych: kto gdzie wisiał, kto czego się czepiał, jak Sieriożka lazył do góry, a Stanisława (Józefa, oczywiście, nie Stanisława!) przy tym zносиło po łagodnym kamiennym żlebie w dół. E-ee, tam, Bóg z nimi. Jakoś się wydostali, i dobrze. Mogliby się nie wydostać - obydwaj lub jeden z nich. Prawdę powiedziawszy, wysokość nie była śmiertelna - koło piętnastu metrów, i spadliby na spadzisty skos, a nie poziomo, i na kamienne ospypisko, a nie na głązy narzutowe... Nie potrafił jednak zmusić się do dokładnego opisu tego, jak tonęli w ładodze w marcu pięćdziesiątego drugiego. Wstyd było to przypominać, i cały czas ciągnęło go do uszlachetnienia sytuacji. Nie pomagała nawet ta okoliczność, że miało to się zdarzyć pewnemu nieznanemu nikomu Józefowi, a nie jemu, Stanisławowi Krasnogorowowi. A jednak historia ta była w najwyższym stopniu pouczająca. I nawet odegrała na swój sposób pozytywną rolę (jak lubił mawiać z różnych powodów Sienią Mirlin). Kiedy wikonta trafił jego pierwszy pseudo atak, byli sami w mieszkaniu; dziadek i babcia byli poza domem. Stanisław przybiegł do wikonta po usłyszeniu w radiu o aresztowaniu Berii. Chciwie słuchali głosu spikera, chichotali, robili do siebie znaczące grymasy (Coś podobnego! Kto by pomyślał? Angielski szpieg!), wikont wykopał skądś starą gazetę z czasów śmierci Stalina, wpatrywali się w Berię na trybunie mauzoleum i mówili do siebie: "Ale przecież widać! Bez dwóch zdań widać, że to szpieg..." Wikont wydawał się Stanisławowi bardziej blady niż zwykle, a być może tak to teraz wspominał, po pewnym czasie - ale z jakiej racji miałyby się przyglądać, jaki kolor ma twarz wikonta, i to jeszcze w takich okolicznościach. Wypili kawę ze śliwkową konfiturą (firmowy napój domu) i nagle wikont zrobił się mączysiebiejały, raczej szary, jak makaron drugiego gatunku, jego piegi pojawiły się wszystkie naraz i wystąpiły mu na twarzy liczne czarne kropki - ślady po prochu, które zostały na zawsze po wybuchu zapalnika. "Co ci jest?" - zapytał Stanisław nie tyle z obawą, co ze zdziwieniem, ale wikont nie miał zamiaru mówić na ten temat - tylko warczał, chociaż widać było, że robi mu się coraz gorzej. Jego mowa stała się przeciągła, jak u pijanego, ruchy - niepewne. I nagle jak duża lalka wałnął z łóżka na podłogę - głową do przodu. Na samo wspomnienie o tym - wstrząsa dreszcz. Przecież to się stało po raz pierwszy! I ni z tego, ni z owego. Tak po prostu, zbladł, upadł i leżał plackiem zupełnie nieruchomy, z rękami schowanymi pod siebie, a jego ciało zrobiło się wilgotne i zimne. chyba nawet szczywniało... Stanisław najpierw rzucił się robić mu masaż serca, potem - ruszył do przedpokoju, do telefonu, wezwał karetkę otworzył drzwi na oścież i znowu wrócił do już prawie absolutnie nieruchomego i nie oddychającego ciała... do nieboszczyka... do trupa... Sztuczne oddychanie... masaż serca... "usta-usta". W tym momencie coś się w nim zacięło. Biała, zimna twarz... Zupełnie obca, cudza, nieznajoma... i piana na ustach, a pierwsze, co trzeba

było zrobić - otworzyć usta i wyciągnąć język, żeby się nie zapadał...

Nagle ogarnęło go spontaniczne obrzydzenie... Nie mogę, zakręciło mu się w głowie, nie będę, nie... I wtedy przypomniał sobie, jak leżał na bryle lodu. Dopiero się wydostał, cudem wydobyl z lodowatej, chciwie chlupiącej kaszy, nie czując ciała, w ogóle nic nie czując, ale słysząc, jak tam, z tyłu, w czarnej, śmiertelnej mieszaninie miota się i chrypi ostatkiem sił Lenoczka Praskownikowa... głupia, beztalencie, brzydka, nie nadająca się do niczego, nikomu na świecie niepotrzebna... a przecież trzeba było znowu rzucać się do lodowatej kaszy, płynąć, zachłystując się, drętwiąjąc, zanurzając się w mroźną topiel z głową... umierać, ale płynąć... wyciągać tę przeklętą idiotkę, niech jąpiekło pochłonie... wiedział, że musi to zrobić i rozumiał, że tego nie zrobi, dlatego że chce jeszcze żyć, bo on się wydostał cudem, drugiego cudu nie będzie i teraz ma zamiar żyć, żyć dalej i zawsze... W tym momencie ktoś, wszechwidzący i miłosierny, wyłączył mu przytomność. Ale zostawił pamięć... Lenoczka utonęła. Przeżył to (oni wszyscy to wtedy przeżyli). I śmierć wikonta też przeżyje, no nie? A czemu nie? Koniec końców, co to jest wikont? I to już nawet nie wikont, to tylko mokry, drętwiąjący, wystygły kawał mięsa. I tyle. I więcej - nic... Do diabła, niech lekarze się tym zajmują, w końcu płacą im za to...

Obrzydzenie do siebie wzięło górę nad obrzydzeniem do nadchodzącego - otworzył wikontowi szczękę, wyciągnął zaśliniony, cały w pianie język i zaczął robić "usta-usta"... Kiedy przyjechała karetka, wikont już oddychał, a Stanisław bez jednej myśli w głowie siedział obok i trzymał go za śliską od potu rękę... Najtrudniejsze okazało się dojechanie do mety. Wszystko było wiadome: w jakiej kolejności ułożyć epizody; skąd się wzięła Maria; jak powoli Józef doznaje olśnienia; jak uświadamia sobie swoją nadzwyczajną sytuację; jak zaczyna szukać Przeznaczenia, układa możliwości, nic nie może wybrać... I nagle Maria mówi mu, że jest w ciąży. Najpierw jest po prostu zaszokowany: jak to? Tyle zabezpieczeń, tyle ograniczeń, tyle niewygody i - wszystko na marne?... Ale nie dlatego Maria jest zmieszana. Nie od razu, ale jednak zdobywa się na odwagę, żeby powiedzieć mu, że w ogóle nic się nie zgadza, nie zgadzają się daty, przecież on przez ostatnie dwa i pół miesiąca siedział w górach, tak że nic w ogóle między nimi nie było i być nie mogło...

Sienia Mirlin gy-gykał, chrząkał i porykiwał w ataku krytycznego sarkazmu. No-no-no, mawiał z przyjemnością. Ta-a-ak, ta-a-ak, zgadzał się z nieznośnie oblesnym zadwoleńcem. Zrozumiałe! A jakże inaczej! Co pierwsze przychodzi do głowy marynarzowi, który wrócił z trzyletniego rejsu, na widok kochanej żony z rocznym dzieckiem? No, oczywiście, jest zachwycony! Od razu rozumie, że to bardzo rzadki przypadek samorzutnego zapłodnienia! Partenogeneza! Awdotio moja, jesteś moim naukowo-medycznym ewenementem, dziękuję ci za to, kochana, kur...!

Stanisław, z trudem powstrzymując się, wyjaśnił mu chłodno, że reakcje standardowe nie mogą być przedmiotem literatury, to całe umiłowanie drobiazgów, te wszystkie życiowe historie, wyssane z palca... "wraca mąż z podróży służbowej, a pod jego łóżkiem..."

- Nie interesują mnie dowcipy, oznajmił godnie.

- Sam zrobiłeś dowcip! - wrzasnął Sienia, a twarz od razu nabiegła mu krwią. - A tak a propos zamiłowania do drobiazgów, to akurat jest chleb powszedni wielkiej literatury. W literaturze, żebyś wiedział, znane są przypadki, kiedy przez jakąś zasmarkaną chusteczkę zabijano ludzi. A ty napisałeś prawdziwą anegdotę: on - to Józef, ona - Maria, to znaczy, że ich dziecko jest z Duchą Świętego! Nie widzisz, że to najczystszy dowcip, w dodatku nieprzyzwoity?

Stanisław się wściekł. Ma się rozumieć, czuł, że coś mu wyszło nie tak, jak było zaplanowane, ale jednocześnie wiedział też, że to jednak on ma rację, a nie ten cynik z końskimi zębami. Jak mu wytłumaczyć, że Maria ma oczy dziecka, twarz dziecka, duszę dziecka, Maria nie umie kłaniać - tak samo, jak ty, duża gębo,

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

nie umiesz kraść, mając te wszystkie swoje inne wady?

- Mój Józef na początku, jak ty, jak ja, jak wszyscy szukał nieprzyzwoitości, ale miał przed oczami nie twoją końską mordę z zębami, a jej twarz, jej strach, jej miłość... Trzeba być brudnym bydlakiem, tłustym i paskudnym, żeby w tej sytuacji uwierzyć w coś nieczystego...

Sienią słuchał go, ze swymi wyszczerzonymi, żółtymi, potężnymi zębami, jakby miał zamiar zerwać kapsel z kolejnej butelki piwa, a potem powiedział niezrozumiale:

- No tak, no tak... Otello nie jest zazdrosny, lecz urny... -

I nagle wrzasnął: - No to napisz mi to wszystko! Przecież nic takiego nie napisałeś, ty mi tutaj tylko dowcipy opowiadasz i nic więcej... Mówisz lepiej niż piszesz, a potem sam się wściekasz! Demostenes palcem zrobiony! Homer w okularach domorośli...

Stanisław nie zaczął niczego przerabiać. Po prostu - nie był w stanie. Przeczytał ponownie, wykreślił kilka niepotrzebnych epitetów, usunął w ogóle epizod z bójką w pociągu i rozmyślał nad tym, kim jest Józef - biblijny Józef - w historii Marii i Chrystusa, do czego jest potrzebny i czemu pojawił się w legendzie. Całą resztę zostawił, jak było. "Niech spotwarzają..."

Pokonał męczący strach, dał przeczytać Łarisce - ale żeby tutaj, w jego obecności. Ona czytała, a on palił jednego papierosa za drugim i po cichu, z ukosa, obserwował ją. Była przerażająco podobna do jego Marii. Boże, myślał panicznie. Żeby tylko jej się spodobało. Chociaż trochę. No, proszę! Okazało się, że nawet sam do tej pory nie rozumiał, jakie to wszystko było dla niego ważne - jakby teraz miał się rozstrzygnąć jego los... Przewróciła ostatnią kartkę, popatrzyła na niego wilgotnymi oczami, podeszła, przytuliła i pocałowała go, a on poczuł przypływ pierwotnego szczęścia - było to jak duszność, jak słodkie omdlenie, zapłakał, umierając ze wstydu i ulgi.

Potem przysłała kolej na wikonta, który kategorycznie odmówił czytania w obecności autora, z irytacją i zrzędzeniem zabrał rękopis do siebie do domu i Stanisław do czwartej rano, jak kompletny idiota, czekał na jego telefon. Guzik! Nie na takiego trafił... Zadzwonił następnego dnia wieczorem, zaprosił do siebie, wystawił prawdziwego "Napoleona" w butelce nieziemskiej urody, rozlał do kielichów dziadka, podniósł swój i, patrząc znad kryształu, powiedział:

- Wygrałeś, mój Staku. Stworzyłeś świat, w którym ludzie żyją, cierpią i umierają. Congratulations, Krasnogorow!
I kielichy cichutko zadzwięczały, wybijając godzinę sukcesu i chwilę sławy.

Upili się. I po tym godzina szczęścia minęła bezpowrotnie.

Rozdział 8

Oddał rękopis Sieni Mirlinowi i ten zaniósł go do redakcji pisma "Krasnaja Zarja", gdzie miał swoich ludzi. Gazetka była marna, na poziomie prasy branżowej, częściowo ubelżyła własnowolniona przez wydział propagandy komitetu obwodowego, ale po pierwsze, Mirlin miał tam dobrego znajomego, zastępcę działu literatury, człowiek ten, oczywiście (przez swoje stanowisko), był tchórzliwy, ale całkiem porządny. A po drugie, szefa już niedługo mieli awansować do Moskwy, i wszystko mu było - rybka: był obecny w sensie fizycznym i nawet coś tam podpisywał, ale jakby już tu nie służył - jego dusza i obowiązki partyjne były w stolicy, w wydziale kultury KC, a nowego szefa komitet jeszcze nie wyznaczył i nawet, takie krążyły plotki, nie wytypował. "wczoraj było jeszcze za wcześnie, a jutro będzie już za późno" - podsumował sytuację Sieni i ruszył do walki.

Na początku marzył, cierpiał, miał nadzieję. Codziennie dzwonił do Mirlina, nagabywał, marudził, groził, że "sam pójdzie i wszystkich tam pozabija". Komunikaty z pola walki nadchodziły nieregularnie i były mgliste. Jacyś nikomu nie znani kołobrodinowie i okołokajemowowie "brali do czytania", "trzymali", "dobrze przetrzepali", potem okazywali łaskę i zgadzali się czegoś nie pisać, albo "pisali po bożemu"... Już już dobrą recenzję miał dać sam Ałsufjew ("...znasz Ałsufjewa? To znany poeta-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
przodownik pracy. Gęba - ot taka! Kawałkami zwisa!") -już prawie miał zamiar, ale, drań, wyjechał do Baden-Baden i - koniec... Ale to nic, podsuniemy Kamaninowowi, ten nie zjedzie... Kamanin, bracie, to Kamanin! I nie zjechałby chyba, Kamanin, ale wpadł, łobuz, najpierw w straszny pijacki ciąg, a potem trafił do szpitala ~ miał mikrozawał serca...

I nagle poczuł, że już ma dość tego wszystkiego. A idźcie w cholera! Na diabła mi wasze recenzje, opinie, poprawki, uzupełnienia i sądy. Nie jestem żadnym poetą. Każdemu - swoje w tym obozie koncentracyjnym. Jedem das Seine! Moja sprawa - to programowanie systemowe. Dialog z maszyną. Informatyka. Moja sprawa, niech was wszystkich diabli, to aforyzmy, jakich nigdy nie potraficie wymyślić, chociaż uważacie się za mistrzów słowa, malarzy życia i inżynierów ludzkich dusz.

Rozważanie - to kolektywne naśladowanie.

Wiara i ciekawość zawsze są ze sobą w niezgodzie.

Zazdrość - to ubranie gustu.

Niezdolność do odczuwania zachwytu - to oznaka wiedzy.

Myśl - to karykatura uczucia.

Program produkcji aforyzmów pracował jak zakład obronny, sprawnie wydając na świat dwie, trzy perły ludzkiej mądrości tygodniowo. Z tej okazji przyjmował gratulacje kolegów, przyjaciół i nawet jakichś zupełnie nieznanymi ludzi - jego próżność drżała z satysfakcją, i wszelkie inne niepowodzenia widział jakby w różowej usypiającej mgle... Zaprosili go do zespołu Jeżewatowa do projektu "eurazja" - było to już prawdziwe zwycięstwo sił rozumu i postępu, jeszcze rok temu nawet marzyć by o tym nie śmiał. Jeżewatow był w instytucie postacią niemal legendarną. Po pierwsze, był superprofesjonalistą, który o stosowanej informatyce wiedział wszystko - "od i do". Po drugie, nie tylko zajmował się nauką - z wesołą, pijaną wściekłością berseka zwalczał tę całą zjednoczoną instytucką swołocz, "władzę radziecką", jadowitego węża Gorynycza z trzema głowami: radę zakładową, radę partyjną i administrację. Był też wielkim babiarzem, opowiadał kawały i przeklinał jak dotąd świat nie słyszał. Nienawidzili go, uwielbiali i bali się. Mówili, że trzyma w garści komitet obwodowy.

"Nie w garści - stwierdzał, nie wstydząc się dam - mam ich w..." - oznajmiał, jakby potwierdzając w ten wyszukany sposób plotki o swoich bliskich stosunkach z pewną wysoko postawioną lady z Dużego KC. (W jednym z donosów napisano o nim:

"... nadużywa niecenzuralnych rosyjskich słów o znaczeniu płciowym").

Jeżewatow przyjął go osobiście, rzucił słuchawkę na widełki, jeszcze gorący, jeszcze rozpalony po kolejnej telefonicznej walce, i ryknął, błyskając oczami: "K... rwy trzeba pierdolić, czy ja dobrze rozumiem, Stanisławie Zinowiewiczu?!" I dopiero potem przystąpił do rzeczy - określili zakres zadań i sferę oczekiwań. Stanisław miał się zajmować programem "Antyturing": opracować program, który byłby zdolny obalić dawną ideę Turinga, że maszynę można nazwać myślącą wtedy, gdy dialogu z nią (powiedzmy, wymiany listów) nie można będzie odróżnić od dialogu z człowiekiem. Właściwie taki program był już stworzony, trzeba go było tylko oszlifować do nieskazitelnego blasku i udowodnić definitywnie, że maszyna nie ma i mieć nie może żadnego rozumu, a jest tylko rozum, talent i kwalifikacje programisty... (Wikont mawiał o tym refleksyjnie: "Hmmm... Tyle, że można również stwierdzić, że człowiek nie ma i mieć nie może rozumu, a istnieją jedynie talent i kwalifikacje nauczyciela...")

I nagle zadzwonili z "Krasnej Zarii" i poprosili, żeby wpadł. Pilnie. Dzisiaj. A najlepiej - wczoraj. Ale można jutro... Od razu o wszystkim zapomniał - o aforyzmach, Turingu, Jeżewatowie i nawet o Łarisce, której właśnie na jutro obiecał "dzień wijskich przyjemności"... Założył swój najbardziej oficjalny i najnowszy garnitur i zjawił się w redakcji dziesięć minut przed wyznaczonym czasem. Musiał czekać na redaktora tylko czterdzieści dwie minuty.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

Redaktor uściskał mu rękę, poprosił, by usiadł, i od razu zaczął mówić. Mówił szybko, dużo i niewyraźnie - wydawało się, że specjalnie niewyraźnie: jakby chciał, żeby go nie rozumiano. Przy tym od czasu do czasu bez żadnej potrzeby przerzucał kartki rękopisu, chcąc jakby zilustrować swoje tezy przykładami z tekstu, ale od razu tłumił w sobie taką chęć. Stanisław momentalnie przestał rozumieć, o co chodzi. Zdziwiłały go tylko okulary redaktora - jakieś superszklą w supermodemistycznych oprawkach. Wychwycił najważniejsze: rękopis podobał się redaktorowi, ale trzeba koniecznie wziąć pod uwagę opinie recenzentów. Opinie były dołączone i Stanisław miał nadzieję, że potem, w spokojnych domowych warunkach zapozna się z nimi i, oczywiście, weźmie je pod uwagę.. Gotowość do tego narastała w nim z każdą chwilą, dlatego tylko kiwał głową, znacząco zaciskał usta i uprzejmie się uśmiechał, kiedy wydawało mu się, że redaktor przybiera żartobliwy ton. Potem w sieczce przemowy wyłowił słówko "skrócić".

- skrócić? - zapytał na wszelki wypadek.

- Tak - powiedziała redaktor stanowczo, zamknął teczkę i zaczął zawiązywać tasemki.

- Do ilu stron? - zapytał Stanisław, już kombinując, że epizod z gazikiem można będzie wyrzucić bez specjalnego uszczerbku.

- Do dwóch - powiedziała redaktor i pchnął teczkę w jego stronę.

- Co to znaczy? - oszołomiona wyobraźnia podsunęła Stanisławowi skutek takiego skrócenia: dwie marne kartki rękopisu: pierwsza i ostatnia.

- No, mniej więcej do pięćdziesięciu stron

Całość maszynopisu miała dwieście trzydzieści trzy strony.

- O pięćdziesiąt stron? - zapytał Stanisław na wszelki wypadek.

- Nie. Do pięćdziesięciu. Zostawić pięćdziesiąt... - Redaktor wybuchnął nowym potokiem niewyraźnych słów, chyba uświadniał, że Stanisław tak naprawdę napisał nie nowelę i nie powieść, a opowiadanie, i teraz trzeba zmienić formę stosownie do treści. Ponadto, magazyn jest cieniutki i nie mają możliwości... Stanisław przerwał mu:

- Czy dobrze rozumiem: pan chce, żebym skrócił tę nowelę o sto osiemdziesiąt stron?

- To nie nowela - powiedział redaktor ze zmęczeniem i teraz już dość wyraźnie. - To opowiadanie.

Wieczorem postanowili się upić z wikontem. Wikont pił, słuchał narzekań i przekleństw, i milczał. Potem nagle powiedział:

- Zapomniałeś o najważniejszym.

- O niczym nie zapomniałem - zaprotestował groźnie Stanisław. - I nigdy nie zapomnę!

- Zapomniałeś. Zapomniałeś, że wszystko... czy prawie wszystko, co napisałeś, to prawda. Zapomniałeś, że wszystko to się działo z tobą. Nie z twoim wymyślonym Józefem, a z tobą Osobiście.

Stanisław wbił w niego wzrok i nagle zrozumiał.

- Tak, ale przecież nie jestem Józefem - powiedział, uśmiechając się krzywo.

- I nie mam Marii. Mam Łariskę.

- Nie udawaj większego osła niż jesteś - poradził wikont, starannie nalewając spirytus. - Świetnie mnie rozumiesz.

- Nie udaję... - powiedział wolno Stanisław. - Ale przecież rzeczywiście nie znam swojego przeznaczenia. Myślisz, że nie przychodziło mi do głowy, że powieść powieścią, a moje życie to moje życie? Ale nie potrafię znaleźć czegoś w swoim życiu takiego, żeby... No, i nie wierzę w to. Zrozum, to przecież nie powieść i ja nie mogę wymyślać takich rzeczy z głowy... To powinno jakoś samo się znaleźć... Ale niczego nie ma. Niczego takiego w moim życiu nie ma!

- Sz-szukaj - powiedział wikont, tak samo, jak rok temu. - Sz-szukaj powinno być! Podejrzewam, mój Staku, że każdy człowiek ma swoje przeznaczenie. Każdy! To jest taka moja hipoteza. Niektórzy są swego przeznaczenia świadomi; zazwyczaj ich

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

imiona stają się znane na całym świecie. Niektórzy w swoim przeznaczeniu się mylą. Takich nazywamy grafomanami różnej maści. Ale przytłaczająca większość śmiertelników nawet nie podejrzewa tego, że ma przeznaczenie. Nie dano im znaku! A tobie akurat dano. Jesteś ewenementem. więc sz-szukaj!

Życie potoczyło się dalej, jakby nie było całego roku literackiego szaleństwa, jakby nigdy niczego nie pisał, oprócz bazgraniny z wikontem i wesołych kupletów: "Ach, dziewczyna-jegoza- uchwyciła pana za! Uchwyciła i trzymała, aż mu z oczu płynię ła za..."

Jeżewatow potrafił wycisnąć z podwładnych ostatnie soki: w głowie, przed snem, pojawiały się mątwy wszystkich kodów maszynowych równocześnie, i kiedy Mirlin tajemniczo napomykał, że "nie wszystko jeszcze stracone z naszą powieścią", że już niedługo, niby, mają wystrzelić jego, Mirlina, najcięższe działa, Stanisław lekko i z całego serca odsyłał go do najbardziej intymnych miejsc. Trzeba dodać, że cała historia z powieścią zrobiła, jak się wkrótce wyjaśniło, ogromne wrażenie na wikontcie. Nie to, oczywiście, że powieści nie udawało się w żaden sposób przepchnąć do druku, ale to, że Stanisławowi w ogóle udało się ją napisać. Jak to! Przez dwadzieścia lat razem, ramie, w ramie, starannie skrobali papier, pocili się, cierpieli z powodu męczącej twórczej niemocy (samego tylko najczystszej medycznego spirytusu wypili ze sto litrów), byli już w całkowitej rozpacz, prawie machnęli ręką na tę beznadziejną sprawę - i nagle proszę: ten stary, sprawdzony impotent, sam, bez nikogo, pewną ręką płodzi pełnowartościowe opracowanie na dziesięć arkuszy autorskich!

Gdzie sprawiedliwość? Gdzie równouprawnienie? Gdzie braterstwo? Czy wszyscy ludzie już nie są braćmi? ("Nie, nie wszyscy - mawiał Sienią Mirlin. - Co więcej: nawet nie wszyscy bracia to bracia...")

To irytująco-zartobliwe (jednakże nie całkiem i nie po prostu zartobliwe) marudzenie skończyło się tym, że pewnego wieczoru Wikont zjawił się u Stanisława z flaszeczką wody życia w jednej ręce i z cienkim rękopisem - w drugiej. Cienki rękopis nosił tytuł Improwizator i było to opowiadanie na dwanaście stron z życia obcokrajowców. Działo się to w Północnej, rozumiecie, Szkocji, "...świeże oszołamiające powietrze, pełne przenikliwego wiatru, słonej wilgoci, krzyków morskich ptaków, bezkresny pusty brzeg, i wrzosowiska, i kępy suchych, pokręconych wiatrem drzew...", hotel "Skrzydło Albatrosa", liryczny bohater - malarz (prawdziwy obcokrajowiec: flegma, ironia, fajka), główny bohater - niejaki Eric P. Dowager, w przeszłości znany piłkarz (Eric Stena), a teraz zgarbiony, skrzywiony, zniekształcony strzęp człowieka, siwy, samotnik, nieprzyjemny, ale prawdziwy dżentelmen.

Miał wyjątkowo ciężko okaleczone ręce (tutaj wikont wyraźnie wykorzystał pewnego ich wspólnego, mało znajomego kierowcę z amatorskim prawem jazdy, który miał obydwie ręce przestrelone na wylot jeszcze na Newskiej Dubrowce). Odnośnie tych okaleczonych rąk, w opowiadaniu pojawia się kluczowa rozmowa - Eric P. Dowager opowiada lirycznemu bohaterowi dość tajemniczą historię o swoim przyjacielu, który zniknął, rozpułnął się w powietrzu dosłownie na oczach wszystkich: dopiero co się rozstali przy wejściu, Eric nie zdążył zrobić nawet dziesięciu kroków - za jego plecami rozległ się rozpaczliwy krzyk, jątós bezładny szum, i to wszystko - nikt nigdy więcej nie zobaczył jego przyjaciela. Bez śladu. Żadnych dowodów winy. Koniec"

A kiedy rano Eric szedł na policję złożyć zeznania, potracił go ogromny samochód, którego numeru nikt nie zdążył zauważyć... pół roku spędził w szpitalu, na zawsze stracił zdrowie, zamienił się w strzęp człowieka. Przyjaciela, który zniknął, nie znalaziono, sprawę zamknięto. To wszystko. Taka historia.

Liryczny bohater jest wstrząśnięty i zaintrygowany, ale najlepsze będzie później! Nazajutrz okazuje się, że Eric P. Dowager szczęśliwie zwiął, zostawiając notatkę, w której bardzo wytwornie przeproszał "za tę małą mistyfikację, do której odegrania pobudziła go wczoraj okropna nuda - towarzyszka tak samo okropnej pogody". Nuda była wielka, przypadek wydawał mu się

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
odpowiedni, no i miał tylko nadzieję, że, historia wyszła całkiem
nieźle". Liryicznemu bohaterowi pozostaje tylko wrzucić ramio-
nami i roześmiać się.
Ale to jeszcze nie koniec! Bo cały dowcip pomysłu wikonta
polegał właśnie na zakończeniu opowiadania. Postacie spotyka-
ją się znowu - za rok, na tym samym bezludnym wybrzeżu, wśród
śliskich głazów narzutowych i gnijących po odpływie wodoro-
stów. Mewy krzycząc latają nad falami, prawie dotykając ich
skrzydłami, spuszczają się na gruby żwir plaży, zbliża się burza,
purpurowe słońce znika za czarną chmurą... I w tym momencie
nasz bohater widzi, jak blada, zmęczona twarz Erica P. Dowage-
ra staje się jeszcze bardziej blada (".. .staje się biaława jak brzuch
starca..."). Oczy Dowagera nieruchomieją. Ciężko opiera się
o swoją mocną polerowaną łaskę i nagle zaczyna mamrotać, nie-
wyraźnie i jakby na siłę: ".. .Te ptaki nad falami... i ten zachód...
Wybaczcie mi... Przypominają mi jedną historię... Straszna hi-
storię... To się zaczęło w Somo...". Kropka. Koniec opowiada-
nia. Improwizator westchnął i rozpoczęła się nowa historia.
- Dobrze zakończenie - przyznał Stanisław uczciwie. Nagle
pomyślał, że wikont rzeczywiście napisał to opowiadanie o so-
bie. On sam był tym Ericiem P. Dowagerem, który przez całe
życie wymyślał wstrząsające historie, bo prawdziwych nie wol-
no mu opowiadać. W tym jego Dowagerze nie wyczuwało się
właściwe żadnego podtekstu, wyszedł z niego po prostu fanta-
ssta, improwizator i aktor. I nic więcej w nim nie było. A przecież
mógłby być! Powiedzieć o tym wikontowi? Czy nie? Po co?
~ I to wszystko? - dopytywał się wikont. - To wszystkie
twoje zachwyty?

65

- "Niezdolność do odczuwania zachwyty to oznaka wie-
dzy" - powiedział Stanisław. Nagle postanowił o nic nie pytać
i niczego nie mówić.
- Jakiej znowu wiedzy? - zainteresował się wikont, wyraż-
nie coś podejrzewając.
- W ogóle wiedzy. Mam wrażenie, że coś podobnego już
czytałem.
- Niestety - powiedział wikont z westchnieniem. - Ja też.
Nie pamiętam autora. Pamiętam, że czytałem to po angielsku...
I tak mi się spodobał pomysł, że postanowiłem napisać wszystko
po swojemu... - Zrobił sobie kanapkę z kilką i powiedział ze
smutkiem: - Nic się nie da wymyślić. Wszystko jest już przez
kogoś wymyślone... Albo istnieje naprawdę - dodał nagle, i Sta-
nisław zrozumiał, że miał rację co do niego i Dowagera. - To jest
koszmarne, mój Staku. Nigdy więcej nie wezmę się za pióro.
- Bzdura - powiedział Stanisław. Czuł się niezręcznie. Coś
się nagle skończyło i wyglądało na to, że to była jego wina. To,
co się teraz skończyło, skończyło się na zawsze. Jakies drogi się
rozeszły. To, co dawniej było zawsze obok, nagle się oddaliło
i zaczęło odchodzić.
- Wiesz, czym najmamiejszy tubylczy bożek różni się od
najbardziej genialnego architekta? - zapytał wikont. - Bożek za-
wsze może materializować swój plan, nawet całkiem marny...
We mnie nie ma Boga, mój Staku. A to oznacza, że go w ogóle
nie ma.
- Dlaczego? - zapytał otępiały Stanisław.
- Dlatego, że Bóg jest w człowieku. Albo nie ma go w ogó-
le. Zapisz to w swoim notesie.
- Nie mam notesu - powiedział Stanisław, czując się coraz
bardziej niezręcznie.
- Wiem. To po prostu taki cytat. Jeszcze jeden cytat... Ale
mały. Wypijmy, mój Staku. Czas zabrząć kielichami.
I wypili, żeby załagodzić niezręczność, i zakasili, żeby prze-
bić jej gorzki posmak. Coś się skończyło, tak, niestety. Ale prze-
cież nie wszystko! Coś jednak jeszcze zostało! wikont sięgnął
po gitarę i wziął najtrudniejszy ze swoich chwytów:
Niewielu w świecie takich masz
Kapitanów, jak Dżon Krwawe Jajo ~

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

Ci, co dupę nosorożca znają,

Wiedzą, jak wygląda kapitańska twarz!

A potem było lato. I szczęście. I wszystko było zielone, oświetlone słońcem, poruszające się., kołysane wiatrem, piękne pod błękitem. Czerwony zaporozec łąriski, prezent od ojca z okazji ukończenia studiów, wesoło pędził na zachód, na cudowny zachód, do wolności, do nowych miast i wsi, śpiewali i wygłupiali się, i nagle zaczęli się całować, jak szczeniaki, przy prędkości stu kilometrów na godzinę, i śmiali się, pstrykając rymami do drogowych plakatów, licznych i idiotycznych...

PARKUJCIE SAMOCHÓD NA POBOCZU - po proletariacka, po roboczu.

NIEWŁĄCZENIE ŚWIATEŁ PROWADZI DO AWARII - skrećisz szyję sobie i Marii.

WYPRZEDZANIE ZABRONIONE - kierowca zachwycony!

SZANUJ ZIELEŃ - a nie będzie z ciebie jelen.

NIEPRZESTRZEGANIE PRZEPISÓW PROWADZI DO

AWARII znowu - zbrodniarze tacy wpadną do rowu.

I ukoronowanie wszystkiego, arcydzieło w stylu programu, „Afor”:

TRZYMAJ SIĘ PRAWEGO PASA -jesteś w Rosji!

I wspaniałe dialogi, do których nie był zdolny nawet program "Antyturing":

- Znow ten zielony nikkzemnik, ale nas wyprzedził!

- Jaki nikkzemnik wyprzedził nas jak?

- A ten nałożnik, co nałożył cały bagażnik.

I czastuszki, radosne i głupie. On:

Z przerażenia aż się trzęsę, ze zdumienia ścięło mnie:

Niby to jechałem drogą, a na drzewie teraz tkwię.

A ona odpowiadała:

Oj, nie gniewaj się, kochany, wspomnij mnie bez wściekłości,

Napotkałam ci ja brzozę po przekroczeniu szybkości.

I był śmiech. I szczęście. I lato. I cała przyszłość zdawała się Piękna.

A na zewnątrz panowała jakaś dziwna, martwa pogoda.

Płotki pojawiały się niemal codziennie - czasami zabawne, często straszne i zawsze absurdałne.

...Dzieci giną, pięcio-, sześćioletnie. Po miesiącu lub dwóch znajdują je gdzieś na przedmieściu. Są żywe, zdrowe, ale mają zoperowane oczy...

Przeszukano mieszkanie znanego, a nawet bardzo znanego, i chyba dość godnego zaufania pisarza, na dodatek - już nieżyjącego.

Pisarz zmarł, pożegnanie z nim było uroczyste i stosowne do literackiego dorobku, minęło trochę czasu, jeszcze trumna z ciałem stała w domu - nagle zadzwonili do drzwi, zjawiła się brygada w cywilu, z nakazem rewizji, i nie wiadomo dlaczego z wykrywaczem min.

Zbadali ściany, podłogę, ramy obrazów. Trumnę też zbadali wykrywaczem min. Był jak przetrzucili strony dziesięciu, na chybił trafił

wybranych tomów z ogromnej biblioteki, i odeszli tak samo niespodziewanie, jak się pojawili, wynosząc ze sobą niejasny, całkiem kawkowski zestaw przedmiotów: antyczny czarny kałamarz ze starego

brązu, plik papieru z biurka, cztery stołowe noże, wydanie dzid Batiuszkowa... I - żadnych wyjaśnień. I żadnych oskarżeń. Tylko nie-

oficjalne polecenia: nie wymieniać jego nazwiska w artykułach, esejach, recenzjach i wstępach.

[

A inny pisarz - Kamanin, porządny człowiek, chociaż pijak, ten sam, któremu Sienią miał zamiar wcisnąć powieść Stanisława, ale w końcu nie zdołał - wedle jednej z plotek, zmarł w jakichś takich dziwnych okolicznościach: niby się zastrzelił po pijaku niby to jego zastrzelili - cały stół był zalany krwią i rozbitym mózgiem, służąca, która pierwsza go znalazła, nawet trochę, jzwariowała z przerażenia... Sprawę przejęła Moskwa, ale i tak nie udało się niczego dokładnie wyjaśnić. Zresztą nikogo to nie zdziwiło. Służąca - i to już naprawdę - wsadzili do szpitala psychiatrycznego: czy dlatego, że gadała za dużo niepotrzebnych rzeczy, czy rzeczywiście potrzebne było leczenie - tu też nie było żadnej

jasności.

Redakcję "Krasnej Zarii" ni z tego ni z owego częściowo rozpedzili. Mówią, że przez jakiś wiersz, ale przez jaki konkretnie, nikt nie wiedział. "Licho nie śpi" - znacząco wyjaśnił sytuacji Sienią Mirlin, i najwyraźniej miał rację.

Rozpędzili też Instytut Nadprzewodników. Zanieczyszczeni! kadry. Cierpliwość naszego komitetu obwodowego nie jest bez graniczna. Rozplenili się, rozumiesz, gniazdo syjonistyczne sobie uwili, rozumiesz...

Pojawiły się nowe kawały o genseku:

"Drogi i szanowny towarzyszu sekretarzu generalny KC

KPZR Leonidzie Iljiczu Breżniew!...

- Po co tak oficjalnie? Mówcie do mnie po prostu Iljicz.

Prawdę mówiąc, nazywali go jeszcze prościej - Lońką.

"Patrzy Lońka do lusterka i mówi: Oj, star ja, star. Każetsja, cztój superstar".

Zbliżały się wybory do Rady Najwyższej. Wszyscy podliczali z gazet, ile kolektywów proponuje tego czy innego członka Biura Politycznego. Uważano, że w ten sposób można ustalić rzeczywisty stopień wpływu tych działaczy. Stanisław policzył: Breżniewa zaproponowali pięćdziesiąt sześć razy, Kosygina i Podgórnego - po dwadzieścia pięć, Susłowa i Kirilenkę - po dziesięć. Potem szedł Kułaków - pięć. Sienią Mirlin z cholernym skupieniem i bardzo, bardzo przekonująco komentował otrzymane wyniki, a Wikont krzywił swoje afrykańskie usta i marudził: "Bzdurami się zajmujecie. Za dziesięć lat nikt o nich nawet pamiętać nie będzie..."

Nagle nadchodziła fala plotek o przybyszach z Kosmosu, o latających talerzach, o lekarzach z Filipin... Pojawiały się nerwowe, podobne do pospiesznych swarów (szybciej, szybciej, póki nie zabronili) dyskusje w popularnych gazetach. Wikont wymyślił fraszkę Aleksandra Siergieicza:

"Przybysze są!" - uczoney rzeki brodaty.

"Być może chodzą między nami".

"Przybyszów nie ma!" - odparli kandydaci,

I doktorowie kiwnęli im głowami.

Sienią Mirlin też wymyślił epigramat - o radzieckich pisarzach:

Radzieccy satyrycy schowali się w piwnicy

W piwnicy satyrycy spędzają swój czas mile

A pisarze: "Pisać - czy

Czekać na odpowiednią chwilę? "

I Żydzi wyjeżdżali, jeden po drugim - dalsi znajomi, bliscy znajomi, rodziny bliskich znajomych. Już dwóch kolegów z klasy wyjechało, jeden - rodowity Rosjanin - specjalnie po to ożenił się z Żydówką. "Żyd to nie narodowość, Żyd to środek transportu. ..." Temat do żartów był wdzięczny i wszyscy żartowali ni całego, ale wierszyki, które nie wiadomo skąd przyniósł Żeka Małachow, nie były już chyba śmieszne.

Jutro jak zawsze wcześniej rano

Pożegnać Żydów muszę pójść,

Żydów wciąż w Rosji mniej, kochany,

Rosjanin nie ma dokąd iść.

I wszyscy chciwie czytali samizdat - jakby Koniec Świata a zbliżał. A być może naprawdę się zbliżał. Trwały rewizje. Konfiskowano teksty Sołżenicyna i Almarika. Za Oddział chorych m raka nie wsadzali - było to traktowane tylko jako "dekadencki literatura". Zawiadamiali pracodawcę, a tam już wedle uznania, kto miał jakie szczęście. Natomiast za Archipeląg GUŁAG wsadzali bez żadnych wyjaśnień - artykuł siedemdziesiąty Kodeksu Karnego RFSRR: przetrzymywanie i rozpowszechnianie. Sędziowie śledczy (zgodnie z plotkami) nazywali tę książkę Archip, nit było nic gorszego od Archipa - nawet Technologia władzy w porównaniu z Archipem była czymś w rodzaju lekkiego kataru. Mówili, że Andropow przysięgał, że zniszczy samizdat z korzeniami, "Bezplodność środków policyjnych ujawniała złą metodę rządzenia - tępiąc skutki zła, wzmacniała jego przyczyny". Nastąpiły inaczasy. O odwilży zaczęto już zapominać. Najmądrzejsi rozumie!

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

że tym razem na zawsze. Lepiej było o tym nie myśleć. Pijany Mirlin cytował Machiavellego: "...bo lud/ie zawsa są głupi, póki konieczność nie zmusi ich do dobrego". A trzeźwy Wikont, jak zwykle udając supermana, cytował Toma: "Poznanie nie zawsze będzie obietnicą sukcesu czy przeżycia; może również prowadzić do przekonania o naszym końcu". A Jeżewatow z masochistyczną rozkoszą cytował swojej ulubionego Michała Jewgrafowicza: "Tylko te nauki rozprawa dzają światło, które sprzyjają wykonaniu zaleceń kierownictwa" A mama ostrzegała: "Głową muru nie przebijesz. Siła nami słomę łamie". Ale przecież oni wszyscy byli młodzi i pełni sił! Poczucie hańb męczyło ich i gnębiło jak zła choroba. Chropowaty bas Galie: parzył ich sumienia tak, że zapierało im dech. Trzeba iść na pla. Ale nie było sensu iść na plac! Byli gotowi cierpieć, przyjąć mej dla uspokojenia sumienia, ale dla dobra sprawy, a nie dla dumny frazy czy ładnego gestu. Nie byli całkiem pozbawieni pojęcia honoru, choć to pojęcie stało się dla nich wtórne: dwudziesty wie stworzył ich i wykarmił, natomiast dziewiętnasty tylko lekko dotknął ich duszy złotym skrzydłem literatury i losami bohaterce. Był mocno określał ich świadomość. Czyn! Nade wszystko czy w gruncie rzeczy, z wychowania i w samej swojej istocie byli boższewikami. Komisarzami w zakurzonych bębnach. Rycerzan świętej sprawy. Przestali tylko rozumieć jakiej.

Część 2

Żegnaj szczęśliwy chłopcze

Rozdział 1

Niespodziewanie zmarła mama.

Sąsiadka ściągnęła go z pracy, przyleciała, ale się spóźniła, już ją zabrali. Ze zgrozy krew stygła w żyłach, chwyciły go dreszcze, szcząkał zębami (a dzień był gorący, jasny, obrzydliwie radosny). W pokoju mamy wszystko było porozrzucane i poprzewracane, jakby sama bieda przejechała po nim bezlitosnymi kołami. Pościeli nie sprzątnięto... Szuflady stołu były wysunięte i mnóstwo papierów leżało w nieładzie na podłodze. Resztki śniadania odsunięte na bok, a na stole miska z wystygłą wodą. Zrozumiał, że mama trzymała w gorącej wodzie lewą rękę, a to znaczyło, że od samego rana męczył ją ból serca, przechodzący zawsze w ramię i rękę, ale tym razem nie pomogła jej gorąca kąpiel...

...w szpitalnej izbie przyjęć, ogromnej i strasznej jak czyściec Dantego, chorzy błakali się po kafelkowej podłodze, było ich mnóstwo, różnych, ale głównie starców i staruszek, opuszczonych, nikomu nie potrzebnych, pokornych, cichych i dalekich od wszystkiego... Nie było gdzie usiąść, nieliczne ławki były zajmowane, a ci, którzy nie mogli już ani chodzić, ani siedzieć, leżeli i wydawało się, że są martwi... i mama, z pękniętym sercem, blada, surowa, trochę nawet obca, też błakała się wśród innych, padając z bólu w piersiach i w ręce.

- Nie martw się - powiedziała mu twardo i stanowczo. - Wszystko będzie w porządku. Tym razem jeszcze nie umrę. Obiecuję.

... W nocy nie mógł zasnąć. wszedł do jej pokoju, ukląkł przed łóżkiem, którego w końcu nie ośmielił się zasłać (nagle poczuł, że nie wolno tego robić, coś ulegnie zakłóceniu, jeżeli to zrobi, coś pójdzie nie tak; nagle zrobił się niewiarygodnie przesądny), wtulił twarz w zimną kołdrę i zaczął się modlić. Zrobi? wszystko, co tylko zechcesz, mówił w myślach. Rzucę palenie, Przysięgam. Ani jednego papierosa więcej nie wypalę. Ani razu się nie zaciągnę... I nie wypiję już ani kieliszka. I nie napiszę ani zdania... Jakież, do diabła, przeznaczenie? Nie mam żadnego przeznaczenia. I nie będę miał. I nie trzeba. Niech tylko wszystko będzie jak dawniej... Łariskę rzucę, pomyślał z wysiłkiem. wiedział, że mama nie przepadała za Łarisą. Rzucę, powiedział do siebie. wiedział, że to kłamstwo. Cały czas słyszał siebie i nagle przypomniał sobie brudnawego i płaczącego chłopca w zimnym przedśionku, i tak samo jak ten chłopak pomyślał, że najstraszniejsze już się stało i że teraz nic nie jest w stanie przeszkodzić

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
temu straszemu... I wtedy wstał, poszedł do siebie i wyrzucił przez lufcik paczkę papierosów.

Ciągnęło się to przez dziewięć dni. Mamie robiło się czasami lepiej, czasami gorzej. Ale bóle zniknęły już na drugi dzień, Najpierw Łariska dyżurowała przy niej po nocach, potem mama powiedziała stanowczo: "Nie trzeba", i dyżury się skończyły. Każdej nocy modlił się przy nie zaślanej pościeli. Pościeli nie sprzątał i w pokoju też nie sprzątał, Łariska próbowała, ale tak na nią nakrzyczał, że doprowadził ją do łez. Nie wolno sprzątać. Niczego nie wolno dotykać. Cieniutka jak pajęczyna, ale na razie dość mocna nić łączyła teraźniejszość z przyszłością, i nie wolno było dotykać tej nici. Tak mu się wydawało.

Od siódmego dnia poprawa była już wyraźna, ale lekarka nie uśmiechała się w odpowiedzi na jego przypochlebne uśmiechy, kręciła głową i mówiła, nie patrząc mu w oczy: "Zawał bardzo rozległy... No i wiek, nie trzeba zapominać...". Tłumił w sobie pojawiającą się nadzieję, wyczuwając pierwotnym instynktem, że trzeba się trzymać na najniższym poziomie rozpaczy, i teraz się modlił, przygotowując do zupełnie innego życia. Nie będzie już tu mieszkać, obiecywał. Wyjedziemy do twojego kostylna, kupimy tam chatę, która tak ci się spodobała, chatę Sołomatinych, chętnie ją sprzedadzą, jestem pewien, i będziemy tam mieszkać, nauczę się ciesielstwa, naprawię dach, lewy tylny wieńiec naprawię, jeżeli rzeczywiście jest zgniły, kury będziemy hodować, będę robił zapasy drewna... przecież tak tego chciałeś, będzie ci tam dobrze, i codziennie wieczorem będziemy grali w karty - w "dziewiątkę" i w "kinga"... Zasnął na kolanach wtulając twarz w nie sprzątniętą kołdrę, a wczesnym rankiem, o ósmej, zadzwonił telefon, podskoczył jak uderzony batem i już wiedział, kto dzwoni i dlaczego...

..Na cmentarzu w czasie pogrzebu świeciło słońce, ale wiatr był lodowaty i bezlitosny... Strasznie się przeziębził. Całkiem. Bolały go wszystkie zęby. I gardło. I przestrzelony bok pod łopatką. Twarz spuchła, oczy zrobiły się czerwone, małe i smutne jak u chorego zwierzęcia. Zresztą, naprawdę był chorym zwierzęciem. Nieśmiało dzwoniła Łariska - powstrzymując się z trudem, prosił by zostawić go samego. Dzwonił ponury Wikont, potem zjawił się razem z Mirlinem, który od razu zaczął wykrzywiać twarz w wyrazie współczucia - nie wpuścił ich za próg, chciał być sam. Był teraz chorym, albo rannym zwierzęciem, które musiało wpełznąć gdzieś daleko w gęstwinę leśną i tam albo przeżyć, albo zdechnąć, ale - w samotności, tylko w samotności... Czytał papiery - świadectwo zgonu, dokumenty dotyczące pogrzebu, jakby miał nadzieję, że znajdzie tam coś istotnego, ale niczego nie znalazł oprócz dziwnego wpisu o przyczynie śmierci: "stwardnienie tętnic mózgowych". Dlaczego - mózgowych? Przecież to był zawał, zdziwił się przez chwilę i od razu o tym zapomniał, nagle zachciało mu się czytać listy, jego - do niej, jej - do niego, listy cioci Lidy i innych koleżanek mamy, które już dawno nie żyły, i jakieś jej notatki z pedagogiki, i kilka wersji życiorysu... I tu akurat nie mógł już wytrzymać - zebrał tę górę papierów, przeniósł do łazienki i zaczął palić w piecyku gazowym - wszystko razem, nie czytając już więcej, nie chcąc czytać, nie chcąc niczego pamiętać i poznać...

...Jakie to dziwne. Zrobiła to samo z archiwum ojca, kiedy dostała zawiadomienie o jego śmierci, spaliła wszystko, do ostatniej karteczki, nieżywa, skamieniała, z suchymi oczami... (Przestraszony i zapłakany, siedział w odległym kącie i śledził ją, bojąc się zbliżyć: w mroku, w blasku ognia wydawało mu się, że jest drewniana i obca). Ciekawe, co takiego chciała zniszczyć, kiedy paliła zapisany papier? I co on chciał zniszczyć? Od czego się uwolnić? Jaki chory nerw wyrwać i wypalić do cna? Odpowiedzi nie było. Dokonywał się akt nieszczęścia i rozpaczy - co do tego nie było żadnej wątpliwości, ale czy był w tym jakiś sens? Jakikolwiek?

Trzeciego dnia wyszedł wieczorem z domu, kupił paczkę papierosów i zadzwonił do Łariski. Przez całą noc (do piątej rano)

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
chodzili z nią w kółko: Most Litiejny, potem francuski konsulát (gdzie teraz mieściła się szkoła dla głuchoniemych dzieci), mijając przystanek tramwajów rzecznych (gdzie dziesięć lat temu napadli na nich chuligani - przypadek brany pod uwagę jako kandydat na dziewiętnasty dowód, ale odrzucony), potem po Moście Kirowa obok więzienia dla politycznych, mijając "Aurorę", po Moście Wolności (byłym Sampsoniewskim, który kiedyś był drewniany, przytulny, wąziutki, a teraz żelazny, szeroki, ważny), mijając budowę (dawniej, jeszcze przed wojną, stało tu tak zwane muzeum Pirogowa, ogromny, jeszcze nie skończony albo już zburzony budynek, który w czasie blokady został spalony zapalnikami. Po wojnie trzymali tam kilka tysięcy więźniów niemieckich, którzy nieprawdopodobnie zapaskudzili wszystkie amfilady, sale i arkady, a teraz wznosili tu nowy hotel), a potem żółtą bezkresną fasadą Wojskowej Akademii Medycznej i znowu na Most Litiejny... Mówili mało. Palili. Czasami nagle chwytały swoje spojrzenia, i wtedy jakby przyciągało ich do siebie - kurczowo się przytulali i stali tak przez kilka minut, policzek przy policzku, dusza w duszy... Coś się w nim działo (no i w niej chyba też, ale o tym wtedy w ogóle nie myślał). Węgłe stygły i pokrywały się szarym popiołem. Rana pokrywała się różową błoną. Kończyło się jedno życie i zaczynało drugie. Jedne strachy odchodziły donikąd, drugie przychodziły znikąd... Równowaga powracała. ..

A tydzień później nagle poczuł, że może mówić i myśleć o mamie już w ogóle bez bólu, nawet chyba odwrotnie - w ten sposób jakby wykluczał jej zniknięcie i potwierdzał obecność, właściwie nie chciał mu się analizować wszystkich tych odczuć, trzeba było najpierw wyzdrowieć do końca. Jeżeli, oczywiście, można się z tego do końca wyleczyć. (Potem okazało się, że można. Nie wyzdrowieć, oczywiście, a przejść jakby na inny poziom zdrowia -jednonogiego inwalidę też przecież może uznać w jakimś sensie za zdrowego).

I minął jeszcze rok, ale na szczęście bez wstrząsów i i rzeń, wszyscy się uspokoili, oni z Łariską pobrali się - cicho, wesela, tylko wikont, sienią Mirlin, no i Żeka Małachow z tianą. Siedzieli przy stole, jedli wołowinę po burgundzku, spirytus medyczny i wspólnie wykonywali umiarkowany rejtuar:

Jeśli tyjesz kukurydzę,

Jeśli tyjesz kukurydzę.

Znaczy, tyjesz kukurydzę!!!

Pocałuj swoją teściową!

Życie nasze to skomplikowana sprawa,

A-a-a-a-a!

Ach, jak dawno to było! Chruszcz, kukurydza, łyk wolność odwilż... Jeden dzień zżycia Iwana Denisowicza... Iwszysł minęło raz na zawsze! No, może i nie na zawsze. Koniec kc ców, ekonomika powinna przecież... Słuchaj, jaka tam, do d bła, ekonomika? Tramwaje jeżdżą? Jeżdżą. Czego jeszcze chces wódkę się sprzedaje? "Będzie pięć i będzie osiem, i tak flaszecz poproszę. Przekażcie do partii-mamy, że i dychę wytrzymań Ale wyższej ceny krzyk kraj nasz zmieni w Polskę w mig. E-eee tam, nigdy nic nie zrobią! "Tup-tup, bardzo trudne są pier sze kroki komunizmu!" Słuchajcie, stoję wczoraj w kolejce piwo, a tam jakiś facet się awanturuje: Chłopcy, kiepskie mai perspektywy, od pierwszego wódka podrożeje dwukrotnie, j cenniki przepisują, prawdę mówię! Ajakiś dwumetrowy ko odpowiada mu: Nie ośmiela się! Sacharow nie pozwoli! ...Si chaj, czego się drzesz na cały prospekt Karola Marksa? ...V kont, przestań się trząść, teraz już za to nie wsadzają... A wie za co zesłano Owidiusza? Istnieje przynajmniej sto jedenaśc możliwych wersji, ale najprędzej - najprędzej! - za zwykły ni donos... No, wiesz co, ale ty masz zarciki, bosmanie... Dobi lepiej zaśpiewajmy:

Pamiętasz ten wieczór ciemny, ponury

Nas w saniach i bicza trzask.

Samotnych latarni zamglone kontury

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

Zwodniczy rzucały blask.

A w saniach pod szubą niedźwiedzią

Kuferek nasz czarny stal.

I każdy, sam o tym nie wiedząc

Nagana ścisła! stal...

(... Diabli wiedzą, dlaczego cała dzisiejsza inteligencja uwielbia te kryminalne romanse? Ze studenckich czasów, zauważcie!

Kryminalistów boimy się i nienawidzimy, a romanse śpiewamy wręcz z zachwytem! ... A to dlatego, bracie mój, że taki jest nasz naród: jedna trzecia już odsiedziała, druga trzecia - siedzi, a trzecia - jest gotowa na każde skinienie kierownictwa... Kierownictwa nie dotykaj! Kierownictwo - to święta rzecz. "Nie ma nic bardziej uciążliwego dla naszego kierownictwa, niż widzieć, że jego płomień już zgasł!"...)

... Unosi się wieko,

Nie spuszcza zeń oka.

Pudełka szwedzkie, pieniądze radzieckie,

Także się gapią na nas.

Rubelków niemało ja wtedy zdobyłem -

Tysięcy czterdzieści i pięć

Na wsi na parę dni się ukryłem,

By z gliną uniknąć spięć...

A niech go diabli wezmą, jednak Siomka to ma głos... Słuchaj, siemionie, dla nas z Łariską - rozszałej się: Do Francji dwaj grenadierzy... I Siomanie certując się wstaje i zaczyna szaleć. Jego głos grzmi tak, że kołysz się abażur z materiału, a jego szyja nabrzmiewa i staje się ceglano-czerwona. I wszyscy się cieszą - oprócz Wikonta, który w ogóle nie znosi głośnych dźwięków...

Chłopaki, wiecie, kogo wczoraj spotkałem? Tolkę Kostylewa!

Zrobił się jak słoń. I ważny jak wielbłąd. wiecie kim teraz jest?

Zastępcą kierownika miejskiego wydziału oświatowego! Kłamiesz!

Przysięgam! Mój Boże! Tolka-kierownik! Pamiętacie: Forest, fo-

rest, foresft... Jak tu nie pamiętać! I razem na trzy gardła:

- Forest, forest, forest... Animals, animals animals...

Winter, winter, winter... On the midle ofthe wad stays

Iwan Susanin. Niemiecko-faszystowska żmija comes.

- Wania, will you tell us way to the Moscow city?

- I don 't know - said Iwan Susanin.

- Wania, we shell give you many dollars!

- I dont know - said Iwan Susanin.

~ Wania, we shell give you many rubles!

~ I don 't know - said Iwan Susanin.

- Wania, we shell kill you, do diabla!

- Perhaps probably!!!

And they killed him. Iwan Susanin is the national hero of Soviet Union!!!

...Ach, jak dobrze wspominać i śmiać się ze wspaniałych szkolnych czasów!

Wszystko jedno i wszystko w nosie! Wszystko jakoś będzie...

Nie, nie wszystko. Mogę. się ze wszystkim pogodzić. Ze wszystkim. Niech żrą, drapią, niech odznaczają siebie nawzajem i chwala, niech nawet pękają od honorów. Ale - kłamstwo, kłamstwo!

Przecież w każdym słowie - kłamstwo, w każdej gazecie - kłamstwo, włączasz telewizor - kłamstwo, otwierasz każdą książkę - kłamstwo. Kłamstwo, samo tylko kłamstwo, gołe kłamstwo, i nic, oprócz kłamstwa!... No nie, drodzy moi, kochani! Pierwsze, co trzeba zrobić w tym wychodku, ogłosić wolność informacji.

Wszystkie zaślepki, wszystkie zatyczki, wszystkie zabite przewiewniki otworzyć na oścież!... wszystko wiem i bez was: przez pięć lat będzie gównu ściekać ze stoków i jeszcze przez pięć lat będziemy musieli wszystko czyścić, szorować i zdzierać, a potem jeszcze przez piętnaście lat uczyć się robić do kibla, do kibla, sowiecka mordo, do kibla, a nie obok... Ale najpierw - przewiewnik, okna na oścież, od tego smrodu chociaż trochę odetchnąć - bez tego nic nie będzie! I nigdy! No co tak ryczysz jak słoń?

Prześtań w końcu przesadzać z tą ostrożnością, wikonce, jak Boga kocham, zbrzydło mi patrzeć na ciebie, - otóż, przepraszam, obsrał się - na całą resztę życia... Dobra, chłopaki, a tę

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

pamiętacie:

Jest nas dziesiątka, tylko dziesiątka

Najstarszy trzydziestu nie ma lat,

Lecz tropią nas wszystkich sify porządku

I topór swój ostrzy kat...

...A to co takiego? To porucznik Ali, początek dwudziestych... Aha, pamiętam: Saszka ją skądś przyniósł, jeszcze na uniwersytecie. Ta-a-ak, Saszko, ty, Saszko. Ale go szkoda, taki był przecież utalentowany! E-ech, panowie! Przyniosłem nową porcję "humoru z zeszytów szkolnych". Dawaj! Naród lubi humor. "Na polu bitwy słyhać było krzyki rannych i jęki zmarłych..." Proszę bardzo! To już ma sto lat! Starociami nas karmisz, naczelniku, nie szanujesz... "Podprowadził ją do sofy i usiadł na niej..." Rozstrzelać!... Nie, dla czego, całkiem... Czekać, jeszcze to: "Pod łóżkiem leżał trup i jeszcze oddychał. Obok płakała żona trupa, a brat trupa znajdował się w sąsiednim pokoju, nieprzytomny...". No tak, nieźle! Zuch z ciebie! Pochwalam... O, jeszcze o trupie: "Rano na plaży odnaleziono świeżego trupa. Trup składał się z dziewczyny nieopisanej piękności...". Cha-cha-cha!... Wikoncie, a pamiętasz opis inwentarzewy w muzeum w Piendżykiencie: "Punkt dziesiąty. Obraz nieznanego malarza. Jeleń, uciekający z obwodu Stalinabadzkiego...". Cha-cha-cha... "Punkt piąty. Kindżał myśliwski w pochwie. Kindżał się zgubił, pochwa nie od niego..." Chłopaki, pomóżcie rozłożyć stół, będziemy teraz pili herbatę... Prawidłowo! Będziemy pili herbatę ze spodeczków i śpiewali ludowe piosenki - będzie to nasze czyste, trzeźwe, prawdziwie rosyjskie życie! "Po rzece płynie siekiera z wyspy Niewierowa. I dokąd ty płyniesz, złomie?" O, jaskrawy słoneczny świecie czastuszki - abstrakcyjny jak sztuka Salvadora Dali: "Na górze stoi kibitka, co zastopy nowe ma. Mieszka w niej inteligent, jego sprawy na chuja!". Słuchajcie, co to za zwyczaj - przeklinać przy kobietach?... A to taka najnowsza moskiewska maniera: całować się przy spotkaniu i przeklinać przy damach... I za pośrednictwem kobiet! To znaczy, jak to? No, kiedy kobiety same przeklinają... Siemionie, Siomka! Ano, dawaj walnie ulubioną mamy:

- Oj ty harny Siemene, pridi siad' bila mene,

I korowy w mene je, swataj mene, Siemene!

I korowy w mene je, swataj mene, Siemene!

- Na szczo ż mene ti korowy, jak u tebe rude browy!

A jak wot wizmu w jednej Lole, taj to budę

polubowe!...

.. .Ach, kławdio Władimirowna, matuszko nasza! Była bie - śpiewaczka, eh!... Tak! Pamiętacie, jak z nią śpiew* na dwa głosy? Co?

- Oj ty harny Siemene, pridi siad' bila mene,

I kożuchy w mene je, swataj mene, Siemene!

I kożuchy w mene je, swataj mene, Siemene!

- Na szczo ż mene ti kożuchy, jak i tebe dlinny wuchy!

A jak wot wizmu w odno Loli, taj to budę polubowe!

.. .A jakie piękła pierogi! Płacki jakie, z motelową końrą! Czy te dzisiejsze coś takiego potrafią? Gdzie im tam! N szkoła...

- Oj ty harny Siemene, pridi siad' bila mene,

Karbowañcy w mene je, swataj mene Siemene!

- Karbowañcy w tebe je?! Ah ty duszka moje!

Rozeszli się o trzeciej w nocy. Przed samym domem Si<

Mirlin zafzynał taksówkę i zwrócił się do kierowcy z historycznym pytaniem:

- Willyou tell us the way to the Moscow city?

A Żeka z Tańką, w oczekiwaniu na koniec rozmowy, obejmując się z Wikontem i cicho śpiewali - z poczuciem głękiej satysfakcji:

... Kiedy już wszyscy ubrania zdjęli,

Aron podpełznął do Rozanelli

I spytał z namiętności płonąc:

" Czy oddasz mi się, cnoty nie broniąc? "

Rozdział 2

I nagle, ni stąd ni zowąd, przyszedł czas dwudziestego czwartego tego dowodu. Zdarzało się i wcześniej, że dokuczała mu wątroba pewnego dnia na Kaukazie tak go chwyciło, że już myślał, że nie przeżyje -jednak jak dotąd wszystko kończyło się bez poważnych konsekwencji. Pomagała sól angielska, no-spa, a dodatkowo podczas ataków zaczął obżerać się cukrem. Mama kiedyś powiedziała: "Wątróbka lubi coś słodkiego". No i pojawił się u niego taki zwyczaj -jak tylko chwyci (po wypiciu, po tłustym i smażonym, a czasami tak po prostu, bez jakiejś konkretnej i widocznej przyczyny), chwyci go, bywało, tak, przez całą noc siedzi skurczony, czyta coś, co nie wymaga myślenia, pije słabą herbatę i zajada cukier. Do rana, zazwyczaj puszczało i można było żyć dalej, trzymając się, w miarę możliwości, jakiejś diety.

A teraz nie puściło. I po dniu nie puściło. I po dwóch. I po tygodniu. Bolało, nie żeby bardzo mocno (na Kaukazie było gorzej), ale za to nieprzerwanie, uparcie i jakoś w ogóle beznadziejnie. Gryzło - milcząco i strasznie.

Łariska się z nim namęczyła - nie chciał iść do lekarza, nie chciał dzwonić po lekarza, cały czas miał nadzieję, że jakoś minie. Ale w żaden sposób nie mijało. Na ósmy dzień wikont, nie pytając nikogo i z nikim się nie umawiając, przyprowadził znajomego lekarza z Wojskowej Medycznej, pułkownika, różowego, diabło inteligentnego, pokrytego we wszystkich widocznych miejscach złocistym rzadkim puszkciem. Pułkownik zbadał brzuch Krasnogorowa chłodnymi miękkimi palcami i powiedział: "wasza choroba, Stanisławie Zinowiewiczu, niestety minęła stadium terapeutyczne... Z terapeutycznego przeszła teraz do stadium chirurgicznego". Było to powiedziane w taki sposób, że Stanisław od razu się poddał. No i właściwie nie miał już siły, żeby się przeciwstawić: przez ten tydzień tak się namęczył, że był gotów na wszystko.

W szpitalu przygotowali go szybciotko (po znajomości, oczywiście) i nie tracąc ani sekundy powieźli na salę operacyjną. Leżał na wózku na wznak, zamglone matowe żyrandole przelatowały nad nim i myślał, że całkiem możliwe, że te żyrandole - to ostatnia rzecz, którą widzi.

Nad stołem wściekle świeciły chirurgiczne jupitery, w sali operacyjnej było zimno, lekarze rozmawiali cicho i niewyraźnie, potem (nie patrzył) coś chwyciło go za nadgarstek, miał wrażenie, że to jakieś żelazne pazury, ale okazało się, że po prostu wprowadzili mu do żyły (jak mu powiedziano) jakiś lek, w skład którego wchodziła kurara do celów anestetycznych. Nagle głosy się oddaliły i zamieniły w niewyraźny szum, nie wiedzieć czemu świetlny, a nie dźwiękowy, a potem zapadł w nicość, wynurzył się, nic już nie słysząc, widząc tylko samo światło reflektorów, potem znowu zapadł w ciemność i znowu się wynurzył - teraz już po raz ostatni.

Oślepiające światło stało się ciemnością, jednocześnie zostając światłem. To było takie dziwne... takie męcząco dziwne. Ale właśnie to przyniosło ulgę. Nic więcej nie było - tylko ciemność z oślepiającego światła i upragniony spokój...

Chociaż był jeszcze głos, który nagle pojawił się znikąd - okropnie głośny, przenikliwy, wibrujący, natrętnie tłoczący się do głowy. "Krasnogorow, k..., suko przeklęta! Otwórz buzię!... Buzię otwórz, Krasnogorow, je...y ty po głowie! Buzię!!!" Ale było za późno: już wszystko dookoła umierało, nawet oślepiające światło, ciemność, czarna ciemność... i głos też umierał, nie miał gdzie się podziać w tym ogólnym umieraniu, umierał... umarł... "Krasnogorow! Buzię! K... zaje... na, buzię otwórz!!!" I wszystko zniknęło.

Ocknął się albo w nocy, albo wcześniej rano, panował mrok, było widać jakieś białe, wysokie łóżka w tym gęstym zmierzchu, nie wiadomo dlaczego bolało gardło, jak w czasie anginy, wydawało się, że usta są pełne krwi i szalenie chciało mu się pić. "Pić" - powiedział, ale z ust wydobył się tylko jęk. Okazało się, że głos miał cichy i ochryply, nikt go nie usłyszał i nikt się nie pojawił.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

Znów zawołał i znów bez skutku. Ruszał grubym, szorstkim językiem, starając się przynajmniej oblizać usta, i nagle odkrył, to znaczy wydawało mu się, że odkrył, że nie ma przednich zębów. Wszystko wyglądało jak w horrorze. Tępo i ospale ruszał językiem, starając się zrozumieć, czy mu się wydaje, czy nie, i okazywało się, że nie: przednich zębów nie było. Gdzie zęby? Nie mógł sobie niczego przypomnieć i nic nie rozumiał. Gdzie są moje zęby? Nagle pojawiła się obok niego i nad nim biała, cicha figurka i poczuł koło swoich ust chłodny porcelanowy dzióbek jakiegoś medycznego naczynia - i tam była woda! Wypił parę chciwych łyków, przezwyciężając ból w gardle, i znowu zapytał: "Gdzie moje zęby?". Figurka nic nie odpowiedziała, raczej nie rozumiała i stwierdziła, że bredzi, a porcelanowy dzióbek znów znalazł się koło jego ust. Nigdy wcześniej zwyczajna zimna woda nie dostarczała mu takiej przyjemności!... I znowu zasnął - jakby spadł w przepaść.

Całkowicie ocknął się w dzień. Leżał na oddziale reanimacji na wysokim wózku, sam, w pobliżu nie było nikogo. Bolało go gardło. Po prawej stronie znajdowała się podłączona do jego boku za pomocą przezroczystej, giętkiej rurki ciężka butelka z gęstym wiśniowo-czerwonym, pieniającym się płynem. Zębów rzeczywiście nie było - dwóch górnych jedynek - i wydawało się to zdumiewające i męcząco niejasne. I znowu okropnie chciało mu się pić.

Z czasem wszystko się wyjaśniło. Wesoły, energiczny, nigdy, jak się wydawało, nie tracący humoru anestezjolog wszystko mu wyjaśnił. Okazało się, że ów lek, w którego skład wchodziła kura, podziałał na Stanisława w sposób nietypowy ("paradoksalny"): wprawił wszystkie mięśnie Stanisława w stan długotrwałego skurczu. Stanisław, naturalnie, przestał oddychać (okazuje się, że oddychamy za pomocą specjalnych mięśni) i w tym momencie zaczął wyciągać kopyta. Trzeba było pilnie wprowadzić mu rurę z tlenem bezpośrednio do tchawicy i podawać tlen pod ciśnieniem. Ale szczęki miał skurczone tak samo, jak inne mięśnie, tyle razy krzyčeli mu do uszu, żeby otworzył gębę, ale te krzyki nie przynosiły żadnych skutków, i wtedy major Czarny, który przeprowadził operację, podjął decyzję - wyrwać mu przednie zęby i przez stworzony otwór wprowadzić rurkę z tlenem. Tak się też stało, tyle że zrobiono to z taką energią, że i gardło rozerwano bezlitośnie, ale to już drobiazg, do jutra się zagoi...

Ze słów pełnego radości życia anestezjologa wynikało, że w stanie śmierci klinicznej Stanisław był tylko dwie albo trzy minuty, wyciągnęli go stamtąd momentalnie, tak że nie przewiduje się żadnych szkodliwych konsekwencji, odwrotnie - można powiedzieć, że ponownie się urodził! Korolew na przykład, opowiadał lekarz, główny konstruktor, miał znacznie mniej szczęścia: dali mu - przy okazji drobnego zabiegu - taką samą narcozę i z takim samym paradoksalnym skutkiem, ale się pogubili i me byli w stanie przywrócić go do przytomności, niedbaluchy, akademicy. .. W tym momencie wpadł do Stanisława, osobiście, major Czarny i przerwał ten strumień wspomnień. Odesłał anestezjologa, by zajął się swoimi sprawami, a sam wręczył Stanisławowi na pamiątkę dwa ogromne -jak orzechy laskowe - czamo-zielone kamienie z jego, Stanisława, przewodów żółciowych, i z przyjemnością rozwodził się, w jakim to stanie zapalnym był woreczek żółciowy Stanisława (wielkości butelki wódki) i co by się stało, gdyby zwlekali z operacją jeszcze chociażby przez godzinę...

Po miesiącu skromnie świętowali powrót Stanisława do domowych pieleszy. Wikont z Łariską rozkoszowali się chwanczkarapod boską jajecznicę po wiejsku, a Stanisław siorbał rzadki rosół z kury i pojadał słodkim sucharkiem, bardzo zadowolony z tego, że znowu jest w domu i że wszystkie koszmary minęły.

- Cenią cię tam - powiedział wikontowi między innymi.

Wikont bardzo się zdziwił.

- Gdzie? - zapytał, podnosząc brwi.

- Dobra, dobra... Nie kręć. w Akademii, a niby gdzie?

- wydawało ci się - niedbale powiedział wikont i od razu

poprosił Łariskę, żeby zorganizowała jeszcze jedną porcję jajecznicy. Kiedy Łariską wyszła, powiedział z wyrzutem: - Niepotrzeb-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

nie strzepisz język.

- Dobra, dobra, krętaczu. Nie będę. Ale nie wygrzebałbym się bez ciebie.

- Nie przesadzaj - powiedział twardo wikont. - Lepiej uważaj: to był dwudziesty czwarty przypadek, prawda? Czy dobrze liczę?

- Dobrze, dobrze...

- I przeszedłeś po samym skraju, jeśli właściwie zrozumiałem doktora Czarnego, prawda?

- O tak, i nawet trochę ten skraj przekroczyłem. Trochę!

- Gratuluję - rzucił wikont. - Ale powiedz, nie masz żadnych uwag na ten temat?

W tym momencie weszła Łariską z patelnią żeby zapytać, z ilu jajek zrobić wikontowi, i zaczęli rozmawiać o jajecznicy i o tym, czym się różni od omletu.

Nie miał uwag. Stanisław próbował rozumować mniej więcej w ten sposób. Jeżeli Przeznaczenie realnie istnieje, to powinno się objawiać albo w sferze „Vfogę”, albo, przynajmniej, w sferze „Chcę”.

Mogę. Mogę pracować z każdym Peelenu z każdym Basi-kiem, na asemblerze, w kodach maszynowych (nie wspominając już Algolu*, Fortranu** i innych starożytnych języków). Zdarzało się pracować na MIŃSK-u, na BESM-ie***, pracuję na IBM-ie, myślę, że mogę pracować w ogóle na każdym komputerze.

Mogę prowadzić samochód (naprawiać samochodu - nie mogę). Mogę pisać wiersze do gazetki ściennej i dla Łariski, w ogóle lubię „użytkowe” wiersze, na przykład reklamowe. Najwyraźniej mogę pisać powieści - nie gorzej od innych, ale, powiedzmy od razu, nie lepiej. W ogóle, widocznie, nie jestem głupi, ale to za mało! Nie ma absolutnie nic takiego, co mógłbym robić lepiej od wszystkich albo przynajmniej od wielu. Mrok. Mgła. Pełna niejasność. A dokładniej - pełna jasność: „oceniony i uznany za lekkiego”...

Chcę. Boże, ależ ja nie chcę niczego wyjątkowego! No, chcę, żeby wydrukowali moją powieść. Ale jeżeli nie wydrukują, też się nie powieszę, nie zacznę rozpaczać, nie zapiję... Chciałbym stworzyć własny język programowania... z Jeżewatowem chciałbym popracować tak, żeby mnie nagłe pochwalił... Boże, to, czego chcę, to wszystko drobiazgi, nawet ważne, ale ważne dla mnie - tylko i wyłącznie dla mnie. Nie ma niczego takiego ani w moich umiejętnościach, ani w chęciach, ani w zamiarach, co warto by było chronić i czemu sprzyjać...

„Oceniony i uznany za lekkiego”

Co prawda, były jeszcze olśnienia. Lub zaćmienia. To już wedle woli. Zastanawianie się nad tym tematem było raczej nieprzyjemne, ale pewnego dnia zmusił się do przeanalizowania tej swojej właściwości. Analiza okazała się tak samo nieprzyjemna, jak wspomnianie dawnej porażki lub wstydu, lub wstydlivej porażki. Albo wstydlivej obciach na egzaminie. Lub wstydlivej rej-

* ALGOL (ang). - Algorithmic Language (Język komputerowy dla opisanie algorytmów).

** FORTRAN (ang). - Formula Translation (Język komputerowy do zadań naukowych i technicznych).

*** BESM - Bystrodiejstwujuuszaja Elektronnaja Szcetnaja Maszyna (Szybka elektroniczna maszyna obliczeniowa).

terady na widok kryminalnych mord na bliskich przedmieściach... Chociaż tak naprawdę, nie było nic aż takiego wstydlivego w olśnieniach-zaćmieniach. Wręcz przeciwnie. Ale jednak były one czymś w rodzaju ataku, o którym potem nic sensownego nie można powiedzieć, pozostawiały poczucie wściekłości i dzikiej niekontrolowanej nienawiści.

Po raz pierwszy zdarzyło się to chyba jeszcze w szkole albo na samym początku studiów, kiedy wikont ze swoją idiotyczną wyniosłością zaczął jakiegoś potwornego koleśa, istnego bandytę, i tamten zawlókł małego, kędzierzawego, bardzo bladego wikonta do kąta (działo się to w tramwaju), mamrocząc niewyraźne groźby, i zaczął bić go po oczach skórzaną rękawicą, przy czym drugi olbrzym, wcale nie mniej straszny, stał tuż obok i obojętnie patrzył przez otwarte drzwi na przemykające pejza-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

że. Ludzi w tramwaju było pełno, ale nikt nie śmiał nawet pisnąć, wszyscy starannie udawali, że nic się nie dzieje. Trwało to dziesięć sekund, Stanisław patrzył zdrętwiały, jak po bladej twarzy wikonta chodzi brązowa poszarpana rękawica, i w tym momencie nastąpiło zaćmienie... albo przeciwnie, olśnienie, bo nagle doskonale zrozumiał, co należy robić... Wikont opowiadał później, że wyglądało to przerażająco. Stanisław wydał cieniutki, na granicy słyszalności, pisk, skoczył z góry, na plecy, na ramiona, na głowę bandyty, jakoś strasznie zgrabnie, jak zwierzę, przechylił jego nie ostrzyżony łeb i kilka razy, nieustannie wrzeszcząc, ugryzł go w twarz.

Cały tramwaj momentalnie oszalał z przerażenia. I bandzior, naturalnie, też oszalał z przerażenia - jak tu nie oszaleć, gdy wśród miejskiego gwaru, w tramwaju, a nie w jakiejś dżungli, skacze na ciebie od tyłu sześćdziesiąt pięć kilogramów żywej wagi, z wyciem i z piskiem gorszym od zwierzęcego, i gryzie w twarz. Z rozpaczliwym wysiłkiem zrzucił z siebie Stanisława, jakby był jakimś jadowitym zwierzęciem i wyskoczył z pędzącego wagonu (na szczęście w tamtych czasach nie było w tramwajach drzwi automatycznych). Obydwaj kolesie-bandyci runęli bez pamięci wprost w krzaki, które rosły wzdłuż torów tramwajowych (działo się to na ulicy Gorkiego, niedaleko kina "Wielikan"), a Stanisław zamarł, z napiętymi zakrzywionymi palcami-szponami, sprężony, biały z czerwonymi plamami, i z zębami wyszczerzonymi jak u wściekłego psa.

Musieli wysiąść na najbliższym przystanku, żeby nie straszyc przerażonego narodu w tramwaju... W pamięci Stanisława zostało: najpierw - poczucie olśnienia, wściekłość nie do opanowania; potem poczucie nieopisanej swobody i absolutnej pewności swojej racji, a następnie - od razu, prawie bez przejścia - zmartwione oczy Wikonta i jego głos: "Ej, co ci jest? Słyszysz mnie czy nie?".

Takich wybuchów w ciągu ostatnich piętnastu lat zdarzyło się kilka. Wspominanie ich było nieprzyjemne, a najczęściej wstydlive. A tym bardziej - opowiadanie o nich. I rzecz nie w tym, że nikt nie chce się przyznawać do skłonności do ataków. Był tu jeszcze jeden problem.

Na przykład, podobny wybuch uratował ich z łariską, kiedy natknęli się na spacerze po nabrzeżu na stado małych, ale obrzydliwych smarkaczy - okrażyło ich piętnastu szakali, nastolatków ze zgniłymi zębami, brudnych, pełnych złości i tchórzliwej żądzy. Stanisława przycisnęli do balustrady, a łariskę zaczęli łapać za różne miejsca, śmiali się, chichotali, darli bluzeczkę, sięgali pod spódnicę... Stanisław wybuchł... Zrobił się tak koszmarny, że szakale rozbiegły się w różne strony z wyciem, a łariską przestraszyła się (jak sama się przyznała) prawie do nieprzytomności - wydawał się jej straszniejszy od tej bandy, był jak wilkołak na łowach...

Subtelny problem tkwił w czymś innym: po tym jak oprzytomniał, odkrył, że podczas olśnienia obsusiał się i nawet trochę opaskudził. Nie ze strachu, nie - żadnego strachu w ogóle nie czuł, tylko wściekłość i wyraźną nienawiść. Ale widać coś się działo z organizmem podczas takich wybuchów -jakiś skurcz... albo odwrotnie, jakieś rozluźnienie (tak samo, jak mówią, powieszeni w przedostatnich sekundach życia mająmimowolny i zupełnie niestosowny wytrysk).

Próbował przeanalizować te wszystkie wypadki; były różne, wspólną ich cechą było tylko to, że za każdym razem wstawiał się za kims, bronił kogoś, bronił sprawiedliwości: wojował albo z chuliganami; albo z głupią referentką, która zorganizowała grafologiczną ekspertyzę w ramach całego instytutu, żeby wyjaśnić, kto śmiał napisać w poprzek jej artykułu w gazetce ściiennej: "NIEPRAWDA!" ("A czy pani wie, co znaczy domniemanie niewinności?! - z wściekłością wrzeszczał na nią Stanisław, nie przejmując się przerażonymi spojrzeniami członków kolegium redakcyjnego); albo z jakimś chamem na stacji benzynowej, który bezczelnie wlaźł bez kolejki (jak się potem okazało, ku wstydowni i hańbie Stanisława, nie był żadnym chamem i wlaźł, bo miał do

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
tego prawo -jakiś tam specjalny talon, przepustkę, żeton, w każdym razie - dokument)...
Za każdym razem po oślnieniu wysychało gardło, język robił się duży i szorstki i bolała głowa, i wstyd go męczył, i jakoś nieprawidłowo -jeżeli chodzi o intymne czynności - funkcjonował organizm. Coś się z nim działo podczas tych ataków. Jakieś zakłócenie. A dokładniej mówiąc - zacięcie. Stanisław ostrożnie pytał znajomych - nikomu nic podobnego nigdy się nie zdarzyło. Wyglądało na to, że również pod tym względem był niepowtarzalny. No i co? I żadnym Przeznaczeniem tu nie pachniało. Pachniało raczej patologią i kliniką psychiatryczną. Był to jeszcze jeden dowód jego niezwykłości, osobliwości i nawet unikalności, ale nic poza tym.
Czasami budził się w nocy ze szczęścia, serce waliło mu z uniesieniem, twarz rozjaśniał radosny uśmiech: przed chwilą wreszcie wszystko zrozumiał! Posiadł wiedzę. Przeniknął - do najtajniejszych zakątków... Przeznaczenie wznosiło się obok łóżka jak piękny miraż. Było jasne, majestatyczne i przerażająco prawdziwe. Na granicy snu i rzeczywistości, jak echo błyskawicznego poznania, jak szczęśliwy balonik powietrza kręciła się samotna radosna myśl: "Boże, gdzie wcześniej miałem oczy, to przecież tak oczywiste, Boże!...".
No i wszystko od razu się rozpadało. Księżycowe kwadraty martwo leżały na parkiecie. Trzaskała rozsychająca się boazeria. Ze ściany surowo patrzyła mama... Łariska spała obok - cicho i beztrąsko. Wstawał, szedł do małego pokoju i tam wypalał papierosa, nie włączając światła. Wydawało mu się, że w ciemności jeszcze, być może, uda mu się: sformułować, przypomnieć, przywrócić, ujawnić. To było męczące. Na pewno na tamtym szregu Styksu tak samo męczą się cienie, starając się, i to bezskutecznie, przypomnieć sobie swoją przeszłość...
Wikont beztrosko powtarzał to samo: "Sz-szukaj!". Albo czasami "Czekaj". Od niedawna wyraźnie nie miał ochoty zastanawiać się nad tymi sprawami i wysłuchiwać marudzenia Stanisława. Być może, domyślał się? Domyślał się i nie chciał mówić. Dlaczego? Bał się zapeszyć? Czasami bywał przesądny, przy czym sam wymyślał sobie przesady, na przykład: nie wolno myć się przed egzaminem i w ogóle przed ważnym i decydującym wydatowaniem. Nie wolno patrzeć na księżyc przez lewe ramię. Nie wolno nadeptywać na rysy na asfalcie. Nie wolno, nawet w myślach, nucić piosenki: "Marynarzu, zapomnij o niebie..." I w żadnym wypadku, nigdy, w żadnych okolicznościach, nie wolno iść z domu do pracy inaczej niż ulicą Klinikzną. W swoim czasie naczytał sięLevi-Straussa i nadawał przesądom szczególne i nadzwyczajne znaczenie. "Zabobonność wzmacnia". Zły przesąd - wzbudza czujność, dobry - orzeźwia. Świat jest bardziej skomplikowany niż każda nasza teoria o nim, i dlatego sam rozum nie wystarcza. Żeby przetrwać, trzeba poszukiwać dodatkowej rezerwy i zawierać dziwne związki... Oni z Żeką Małachowem mogli dyskutować o tym godzinami -jasny, prosty, nieustraszony, pełny wesołego jadu Żeka i mrużący oczy, owiany dymem z fajki, wymykający się zrozumieniu i zawsze jakby w cieniu, niepojęty wikont... Z nikim oprócz wikonta mówić o Ręce Losu nie było sensu. Jednak przecież można porozmawiać o Przeznaczeniu w ogóle.
Dla Siemiona Mirlina nie okazało się to ciekawe. Wypełniony jadem Żeka poradził zwrócić się ku filozofii. (Żeka był jasnowłosy, rumiany, z lazurowymi, bławatkowymi - cudownymi! - oczami, które wszystkie napotkane osoby płci żeńskiej wprawiały w osłupienie. Wiedział o tej swojej właściwości, i mdliło go od tego. Sama myśl o cudzołóstwie wywoływała u niego mdłości. Zawsze był czysty, jasny, ładny, błyszczący jak kryształowy kielich. Nienawidził kłamstwa. Jakiegokolwiek. Z trudem i dużymi zastrzeżeniami akceptował kłamstwo dla ratunku - nazywał je moralnym narkotykiem. Tatianę swoją kochał do nieprzyzwoitości. Kpiny z tego powodu cierpliwie znosił, chociaż w ogóle nie był tołstojowcem, umiał i odciąć się, i w razie potrzeby - bić. Był purystą.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

- Regulamin użytkownika metra! mówił, napełniając się ja-
dem. -Jaki tytan likwidacji analfabetyzmu to wymyślił? Regula-
min użytkownika stadionu imienia Siergieja Mironowicza Kiro-
wa. .. Regulamin użytkownika Newskiego Prospektu...

Wikont był pewny, że Snob - to światowy lew, wyniosły
arystokrata. Żeka przekonywał go o niesłuszności tego zdania.
Sioma Mirlin myślał, że ciężyc - to znaczy naciskać, a Stani-
sław był szczerze przekonany, że purystą - to osoba, cierpiąca
na chorobę moczopłciową... "No, przecież purgen! - wmawiał.
-No, przecież to środek moczopędny!" Żeka poprawiał wszyst-
kich cierpliwie, a czasami jadowicie. Zirytowany tymi grama-
tyczno-lingwistycznymi pouczeniami, wikont zaczął mu odpo-
wiedać na jego poprawki klasyczną formułą: "Przed jakim
słowem w zdaniu pytającym: "Chłopy, kto jest ostatni za pi-
wem?" trzeba postawić rodzajnik nieokreślony "kurwa"?" Pu-
ryzm w ogóle jest męczący, i puryzm Żeki też czasami był mę-
czący. Choć Żeka z reguły bez trudu wyczuwał u rozmówcy
tego rodzaju zmęczenie i od razu zmieniał sposób bycia - był
i czujny, i delikatny. Pracował, ma się rozumieć, w "skrzynce"
i zajmował się, co jest charakterystyczne, czystymi materia-
łami).

Żeka gardził filozofią. Stanisław, trzeba powiedzieć, też.
Uczciwie i bezskutecznie, jeszcze za czasów studiów doktoranc-
kich, starał się zrozumieć: co to jest filozofia i po co jest po-
trzebna? Na próżno. Zawsze mu wychodziło, że filozofia - to
tylko rozmyślanie o Świecie, nie poparte żadnymi konkretnymi
faktami. Przy czym nie poparte niejako z zasady. Rozmyślanie,
których najważniejszą cechą jest to, że nie można ich ani oba-
lić, ani potwierdzić. Nikt ich nawet nie próbuje obalić ani po-
twierdzić, jakby z góry zakładając, że będzie mieć do czynienia
z zestawem Gódlowskich twierdzeń i żadnych innych. W naj-
lepszym wypadku filozof (powiedzmy, Teilhard du Chardin)
zostawiał po sobie dziwne i nienaturalne wrażenie pisarza-fan-
tasty z niegłupią wyobraźnią, który nie wiadomo dlaczego po-
stanowił pisać (na podstawie fantastycznego pomysłu, który go
olśnił) nie powieść, a jakiś gigantyczny esej -jak Lem swojąSwm-
ma technologiae... widocznie filozofia, w samej swojej istocie,
nie była dostosowana do odpowiedzi na pytania, mogła je naj-
wyżej rozważać.

Wkrótce po rozmowie z Żeką (pierwszej nocy, kiedy Łariska
pojechała do fabryki na "nocny dyżur") przytaszczył drabinkę
i wlaż na najwyższą półkę, gdzie w kurzu i zapomnieniu drze-
mały skarby ludzkiej mądrości: Marks-Engels, Lenin-Stalin - po-
wszechnie uznani - ale oprócz nich i Schopenhauer, i Hegel, i Pla-
ton, i Kant, i Goethe, i nawet Nietzsche, i nawet Nowy Testament,
i nawet Fichte (ale - po niemiecku)... Dużą część z tego odzie-
dziczył jeszcze po ojcu, dużą część sam kupił w ciągu ostatnich
dwudziestu lat, a to i owo pojawiło się nie wiadomo kiedy i nie
wiadomo skąd.

Nic z tego pomysłu nie wyszło, czego, zresztą, należało się
spodziewać. Kosmaty kurz usunął wilgotną ścierką, górę ideolo-
gicznego chłamu przerzucił na antresolę, a tuzin (wybranych) to-
mów - obejrzał, bez jakiegś nadziei na sukces, dlatego bardzo
powierzchniowo. Kilka notatek pojawiło się w jego dzienniku,
do którego nie zaglądał od zeszłego roku. Miał wrażenie, że coś
dotyczy jego książki, a coś - po prostu mu się spodobało, bez
powodu.

Goethe:

"Nasze życzenia to przecucie ukrytych w nas umiejętności,
zwiadunowie tego, co będziemy w stanie wykonać... "

" Uczucia nie kłamią, kłamię rozum "

"Szukajcie w was samych, a znajdziecie wszystko".

"Największym szczęściem myślącego człowieka jest pozna-
wać to, co poznawalne, i spokojnie czcić to, co nie jest pozna-
walne "

Nietzsche:

"Straszne jest ludzkie istnienie i w dodatku pozbawione sen-
su: pajac może stać się jego losem... "

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

"...człowiek jest mostem, a nie celem: widzi swój dzień i swój wieczór jako drogę do nowego porannego świtu..."

"Strzeżcie się również uczonych! Nienawidzą was, bo są bezpłodni! Mają zimne, wyschnięte oczy, przed nimi każdy ptak leży oskubany. Tacy ludzie chełpią się tym, że nie kłamią: ale nieumiejętność kłamania jest bardzo daleka od miłości do prawdy. Strzeżcie się! Zdrętwiałym rozumom nie wierzę. Kto nie umie kłamać, nie wie, co to jest prawda".

Jakie dziwne było to ochryple czarowanie Zaratustry po jasnym i czystym głosie prawdziwego myśliciela!

Nie znalazł niczego odpowiedniego u Schopenhauera - nic dziwnego, bo w Aforyzmach, o mądrości życia, jak przyznawał sam autor, chodziło raczej o to, jak się nauczyć sztuki "spędzania życia możliwie szczęśliwie i lekko". Nie znalazł niczego również w Nowym Testamencie, mimo że zaczytywał się Apokalipsą, jak inni zaczytują się wierszami ("... piąte sardonyks, szóste karneol, siódme chryzolit, ósme beryl..."). I w Platonie też nie znalazł nic, i, oczywiście, u George'a Berkleya też... Za to Baruch Spinoza nie zawiódł.

Etyka w przypadku geometrycznym dowiedziona:

Twierdzenie 26. Rzecz, która jest dostosowana do jakiegoś działania, na pewno jest wyznaczona przez Boga, a niewyznaczona przez Boga, sama nie może się dostosować do działania.

Twierdzenie 27. Rzecz, która jest wyznaczona przez Boga do jakiegoś działania, nie może sama się do niego nie dostosować.

Amen! Nic tu nie można było dodać. No i nie było już czasu:

pod oknem zachrypiał zaporozec łąriski - noc się skończyła, operator wrócił do domu, i trzeba było pilnie sprzątać całą tę kupę mądrości na półkę, i chować dziennik, i robić wrażenie, że się zaczytał tytanicznym dziełem socrealizmu - powieścią Tarcza i miecz (o której złe języki mawiały, że była dostarczona do redakcji pod tytułem Starcza i mecz)... Strach było nawet pomyśleć - dyskutować z łąriską na temat Przeznaczenia, Predestynacji i Ręki Losu... Czasami kochać znaczy milczeć.

Rozdział 3

W grudniu łąriskę z zagrożoną ciążą zabrano do szpitala.

Cały dzień spędzili, załatwiając nieskończone i bezsensowne formalności. łąriska była skupiona i milcząca. Czuł się nny, starał się odwrócić jej uwagę i rozbawić, gawędził jak bdy adorator, mamie i nieskutecznie, łąriska uśmiechała się. asami z wysiłkiem, ale myślała o swoim.

Wracał już po ciemku. Miękki śnieg cicho padał w świetle lamy. Świat był cichy i pusty. Świat był czysty i dobry, ludzie zowali w nim tylko topiące się łańcuszki śladów na świeżym śniegu. A wewnątrz czuł nieprzyjemną ciszę i pustkę, w której pływało 3S kosmatego, wielowarstwowego i obrzydliwego jak chiński ryb. Nieśmiało starał się to zrozumieć, ale nie odkrył nic, oprócz wielowarstwowego ponurego i upartego niezadowolenia.

Zrozumiał, że zdecydowanie nie podoba mu się szpital, w którym zostawił łąriskę. Oczywiście było to wygodne, bo szpital był bardzo blisko domu - pięć minut wolnym krokiem - ale przecież w tym szpitalu zmarła mama. I mimo że łąriskę umieściliła zupełnie innym oddziale, pamiętał, nie mógł nie pamiętać, okój mamy - ogromna sala, ciasno zastawiona łózkami, dziesiątkami łózek, i rozstawione stelaże kroplówek, porozrzucane po całej sali, jak cienkie metalowe kaktusy, i równomierne huczenie-mamrotanie-burczenie mnóstwa głosów, i wilgotna, pachnąca, duchota, i kobiece twarze, twarze, twarze, obojętnie skierowane na niego... Pamiętał tę samą salę w dzień śmierci - dziesiątki pustych, rozmontowanych łózek... dlaczego? Czemu wszystkich zabrali (i dokąd?) z tej sali, gdzie w nocy zdarzyła się śmierć? Może mają taki zwyczaj? wątpliwe... odrzucił to nie stosowne w tej chwili wspomnienie i zmusił się do myślenia o czymś innym.

Uczciwie wyznał sam z siebie, że w tej sytuacji nie podoba mu się wszystko. Wszystko, co się działo, było niewygodne i mało przyjemne, i nie obiecywało nic oprócz niekończących się kłopotów i komplikacji. I to, że dla łąriski było już trochę za późno,

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
by rodzic: nie jest dziewczyną, ma ponad trzydzieści pięć, a dokładniej, całe trzydzieści osiem lat (być może dlatego wszystko idzie nie tak, i te jej bóle, i zagrożenie poronieniem - i w ogóle, co to jest: pierwszy poród w wieku trzydziestu ośmiu lat!). I to, że zapłodnienie wyszło nie zaplanowane, głupie i raczej po pijaku - wydawało mu się nawet, że pamięta, jak to się stało - po urodzinach Łariski upili się i zaszaleli jak szczeniaki... (Też, nawiasem mówiąc, zapłodnienie po pijaku nie wróży nic dobrego...) I w ogóle, nie chciał tego wszystkiego, absolutnie nie był do tego przygotowany i nawet nie miał zamiaru się przygotować - po co? No, nie lubię dzieci! Albo ujmijmy to delikatniej: jestem obojętny. I nawet brzydę się, skoro już mam być szczery: pieluchy, koszulki niemowlęce, krzyki, smarki, choroby... A jeżeli lekarz miał rację i rzeczywiście będzie ich dwójka? Ale najpodlejsze w tym wszystkim jest to, że nawet nie ma z kim się podzielić i komu ponarzekać. Tym bardziej Łarisce. Ona widocznie postanowiła raz na zawsze. Albo teraz, albo już nigdy więcej. Ta stanowczość jest wypisana na jej twarzy, nie da się do niej zbliżyć - nie będzie chciała niczego słuchać i wiedzieć też nic nie będzie chciała. Teraz albo nigdy!... To znaczy, że teraz trzeba będzie się przygotowywać do przeprowadzki do Mińska. One ze swoja mamunią już dawno wszystko przedyskutowały, tatuś - zachwycony: jest gotów załatwić mi pracę u niego w instytucie nawet od jutra. I nie obrazi. Ojca swego wnuka - nigdy nie obrazi. Tym bardziej, jeżeli wnuków będzie dwóch... Boże, wszystko tu zostawić - mieszkanie, chłopaków, Jeżewatowa - wszystko ma pójść do diabła, wszystkie nadzieje, wszystkie wyliczenia i być może... na zawsze... Zatrzymał się i zaczął patrzeć przez śnieg, który się robił gęstszy i gęstszy, czy pali się światło u wikonta. Światło się paliło, ale postanowił iść do domu - nie miał nastroju do odwiedzania przyjaciół. Ten nastrój był taki, że tylko popatrzeć na siebie w lustro i walnąć po głupiej głbie z całej siły, żeby jucha trysnęła... Ale ledwie zdążył zapalić światło w dużym pokoju, zadzwonił telefon. Najpierw nie chciał odbierać, a potem jakby go oblało lodowatą wodą: a jeżeli to ze szpitala? Ruszył, ale chwiała Bogu, to był wikont. Ze szczęścia i ulgi aż go zatkało, i z radości od razu zaprosił wikonta na herbatę. Tuż po wiadomościach, nawet prognozy pogody jeszcze nie było, przytaszczył się Sienią Mirlin. Chciwie siorbał wystygłą herbatę, zebrał resztki tułskiego piernika, a potem, wyszczerzając końskie zęby, zaczął grzebać w swojej mokrej od śniegu torbie, wyciągnął i rzucił na obrus paczkę kartek, zapisanych dużym dzieciennym charakterem pisma.

- Czytajcie - zażądał, błyskając okularami. - Dopiero co skończyłem. Jeszcze atrament nie wysechł.

Cóż, musieli czytać. Okazało się, że był to jakiś esej, "płód locnych rozmyślań", pisany krwią serdeczną, skropiony łzami i pozbawiony wewnętrznej cenzury. Tytuł brzmiał: Pokolenie łaknące wolności, mottem utworu był wiersz - Sienią twierdził, że jest to wolne tłumaczenie polskiej dysydenckiej piosenki:

Nasze pokolenie,
łaknące wolności,
Nieporozumienie,
Próchniejące kości...
W krwi nie wykąpane,
Nie ukrzyżowane,
Przez Boga zapomniane i diabłu oddane.
Nasze pokolenie...

Czytali, przerzucając sobie przeczytane już kartki, najpierw z niechęcią (spadł nam tutaj na łeb ze swoimi brulionami), potem - w zaniepokojeniu i krytycznie (no, bracie, tutaj przesadziłeś, nie tak to wszystko było, a nawet całkiem odwrotnie), a od drugiej połowy - namiętnie, chciwie, chociaż nie zgadzając się z autorem, ze sobą, ze światem, z całą tą przekłętą, ohydłą rzeczywistością.

- No, Siemionie... Wsadzacie, do diabła! - powiedział Stanisław po przeczytaniu ostatniej kartki i dał ją wikontowi. Siemion uśmiechnął się zadowolony i zaczął zbierać porozrzucane

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

kartki do teczki.

Stanisław patrzył na niego z irytacją, ale głównie z zachwytem. Siemion Mirlin był gadułą. Gadał dużo, smacznie, wszem i wobec, i bez żadnego skrępowania - w każdej grupie, z każdym rozmówcą i na każdy temat. "Bzdura! - niedbale odpowiadał życzliwym, którzy próbowali go chronić i ratować. - Przystan! Jeżeli będą chcieli przyjdą i wsadzą jak baranka, i mnie, i ciebie, i kogokolwiek. Bez żadnych podstaw. A nie będą chcieli, to nie tkną. Nie rozumiesz, że każdy z nas już nagadał więcej niż wymaga paragraf sto dziewięćdziesiąt jeden? Śmieszne..." Niektórzy, najbardziej bojaźliwie starali się ostatnio trzymać od niego z daleka: do dupy, mało, że sam się wkopie, to jeszcze mądrych ludzi za sobą pociągnie, idiota niedobity... Niektórzy (z doświadczeniem) cedzili przez zęby coś tam o podstawionych donosicielach na wiadomym etacie, ale to już, oczywiście, była bzdura i nikczemność... Był gadułą, gadułą niepohamowanym i natchnionym. Ale żeby tak ściśle, ładnie i, niech go diabli, dokładnie przedstawić istotę całego pokolenia, i to na piśmie - nie, tego nie można się było po nim spodziewać w żadnym wypadku. I nikt się nie spodziewał. Stanisław złapał znad ostatniej kartki zdziwiony i jakiś oszołomiony wzrok wikonta, utkwiony w Siemionie...

Głowa Siemiona miała kształt figi. Ogromny, trochę krzywy nos z włożonymi na niego krzywymi okularami, czarne oczka ukryte pod zwisającymi czarnymi brwiami, krusza strzecha włosów - że widelec można wetknąć. Kończyny anormalnej długości, jak u pajakowatego gibona, niesamowite, włochate łapy-grabie, stopy o rozmiarze czterdzieści pięć i - nieludzka siła. Na rękach i nogach nie było żadnej wypukłości: same kości i żyły - jak liny. I w ogóle, to nie były ręce ani nogi, a jakieś dzwignie, korbowody. Bójka z nim była równoznaczna z bójką ze zgarniarką czy parowozem, sztuczki d la wilk Larsen (wziąć, powiedzmy, surowy ziemniak i zmiażdżyć go w pieści do stanu brudnego puree) demonstrował z uśmiechem. Miał trzy żony i chyba sześćoro dzieci. W swoich czasach ukończył Instytut Hercena, ale jako nauczyciel pracował tylko kilka lat, na ugorach, a potem z niewiarygodną energią i pasją wpadł w szarą zmiętaninę zawodów i posad, jakby chciał wszystkie spróbować. Osiągnął szczyt oryginalności, pracując jako specjalista od określania płci kurcząt w brojle, to zawód bardzo rzadki, jest tu potrzebny specjalny talent, który miał, a płacili nieźle, ale teraz, jak to dysydent, uczył się całkiem zwyczajnej pracy operatora kotłowni ("...jasna droga: od brojlera do bojlera") i w ogóle wyglądało na to, że się ustakował: Zofia - mała, cicha, prosta i twarda jak przydrożny kamyczek - urodziła mu dwie dziewczuchy i trzymała go miękko, ale mocno, na krótkiej smyczy - trochę się jej bał.

...Otóż, do pięćdziesiątego ósmego wszyscy oni byli, jak się okazało, żłośliwymi i niebezpiecznymi głupcami ("wielki cel uświęca każdy środek", lub "Jak to cudownie być okrutnym"). Od pięćdziesiątego ósmego do sześćdziesiątego ósmego przekształcali się w głupców złagodniałych, rozmiękczonych, wrażliwych ("wstyd - plamić wielką Ideę krwią i brudem", lub "w drodze do wielkiego celu dojrzelismy, dojrzelismy"). A po sześćdziesiątym ósmym ich fanaberie rozwiały się i wreszcie zniknęły, ale za to wielki cel - też. Teraz mieli za plecami piętrzące się stosy zabitych bez winy, dookoła - zapaskudzone i śmierdzące ruiny wielkich idei, a przed sobą - w ogóle niczego już nie mieli. Historia skończyła swój bieg...

To wszystko było czystą prawdą i właśnie to było szczególnie irytujące. Pokłócili się - głównie Stanisław z Siemionem. Natomiast Wikont słuchał, ale i nie słuchał... wychodził co chwilę - albo nastawić wodę, albo do toalety, albo do kogoś tam zadzwonić, albo zaparzyć świeżą herbatę. Jego twarz stała się nieobecna, oczy były skierowane wewnątrz, był tutaj, ale jednocześnie gdzieś jeszcze - daleko, w jakichś przestrzeniach... Nawet nie było wiadomo, czy jest za, czy przeciw.

- Nie rozumiem, czy jesteś gotów się przyznać, że jesteś absolutnym gównem, jak on nas wszystkich określa? - zapytał go

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

w pewnym momencie całkiem już zirytowany Stanisław.

- Człowiek jest kałem i gnojem... - pokornie odezwał się Wikont, który na moment wynurzył się ze swojej nirwany i był gotów od razu, z powrotem się w nią zanurzyć.
- I ty się zgadzasz, że każdy z nas to albo szuja, albo głupiec?!
- Czemu? Są też warianty.
- Na przykład?
- Na przykład poeta
- Coś ty, znęcasz się nade mną?
- Nie denerwuj się, mój Staku, wątroba ci pęknie...
- Poeta w Rosji to ktoś gorszy od szui... - dolewał oliwy do ognia Siemion. - Jeżeli jest szuja, oczywiście... I jest gorszy od głupca.
- A Sołżenicyn?!
- Po pierwsze, napisałem tylko o naszym pokoleniu. Po drugie, tak, jest lista... Dwadzieścia znanych nazwisk i być może jeszcze dwieście nikomu nie znanych, oprócz KGB. O nich też nie mówię...
- Popełniasz wielki grzech! - powiedział Stanisław, starając się uspokoić. - Uważasz wszystkich niebohaterów za szuje. To nieuczciwie, Siemionie. I okrutnie. To grzech. A kim ty w końcu jesteś?
- Jestem sługą bożym, spragnionym prawdy, jeżeli wolisz wyrażać się w ten sposób. Nienawidzę kłamstwa. I to wszystko jest o mnie.

- A skąd wiesz, że ludzkość potrzebuje prawdy? - nagle i zdecydowanie powiedział Wikont i od razu zaczął się śpieszyć do domu. Wstał, nie patrząc na nikogo, zakrzętnął się, zaczął szukać rękawiczek.

Wieczór był zepsuty i nawet nie wiadomo dlaczego. Niby się nie pokłócili... trochę się posprzeczcali, oczywiście... ale przecież w miarę, w miarę... bez urazy! Jednak zostało poczucie, jakby pojawiło się z ciemności coś dławiącego i obcego, zrobiło się przykro i obrzydliwie i od razu przypomniała się Łariska - leży teraz w wilgotnej duchocie sali, dookoła jęczą we śnie i chrapią obce baby, a ona jest sama, oczy ma otwarte i nie może zasnąć - wsłuchuje się w strachu i nadziei w to, co się dzieje wewnątrz niej... Za oknem była cicha noc, błyszczął śnieg, był młody, czysty, głupi; zgarbiony mały Wikont pospiesznie biegł na przełaj przez ten śnieg, po trawniku, do swojej klatki schodowej, zostawiając za sobą głęboką bruzdę...

I nie wiadomo dlaczego Stanisław pomyślał ze smutkiem, że ten rok, to ostatni spokojny rok w jego życiu, już więcej takich nie będzie, i zostawało mu tego spokoju trzy niepełne dni. Jak się okazało, nie zostały mu nawet trzy dni spokoju: naza-jutrz (niespodziewanie, bez wypowiedzenia wojny) wtargnęła na jego teren droga teściowa z miasta Mińska, Waleria Antonowna - naturalnych rozmiarów i ze wszystkimi manierami. Właściwie Stanisław był lojalny wobec swojej teściowej, odnosił się do niej z widocznym szacunkiem, przy czym robił to bez specjalnego trudu. Jego teściowa była młoda, wesoła ("zwarionowana") i bez żadnego (podkreślanego w odpowiednich anegdotach) marudzenia i nudziarstwa. Dokładniej mówiąc, marudzenie i nudziarstwo (jakby mógł starszy człowiek od nich uciec) były kompensowane zadzierzystem, wesołym uporem i dziarskością w traktowaniu otoczenia. Łariskę urodziła w wieku siedemnastu lat (z głupiego zachwyty i niedoświadczenia), tak że teraz miała tylko lat pięćdziesiąt pięć. Włosy farbowała na platynowy kolor, o makijażu wiedziała wszystko i potrafiła wprawić w prawdziwy zachwyty każdego szalującego się faceta w wieku od czterdziestu do osiemdziesięciu lat co czasem robiła - na postrach i dla nauki bliskich).

Niestety, lubiła sobie pogadać, i praktycznie wszystkie te molologi składały się z opowiadań o jej zwycięstwach. Zawsze odnosiła zwycięstwo. Nad sprzedawczynią. Nad sekretarzem konitetu miasta. Nad bandą hipisów. Nad sąsiadem z góry. Nad sąsiadką z dołu. Nad mężem...

Szczególnie olśniewające i bezwzględne były jej zwycięstwa nad mężem. Pewnie dlatego, że jej mąż, Iwan Daniłycz, nigdy nie

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

zauważał tych zwycięstw ani nawet samych walk. Był to ogromny Facet duża głową, wyglądał jak prawdziwy człowiek z awansu partyjnego - bardzo mądry, pracowity, prawdziwy inteligent. Miał na tyle charakterystyczną i budzącą zaufanie twarz (i sam był na tyle dobroduszny, pewny i zgodny w kontaktach z ludźmi), że przy każdej okazji awansowali go, wyróżniali i nagradzali, choć nie tylko nie był członkiem partii, ale nawet za młodu jakoś potrafił nie wstąpić do Komsomołu. Opamiętali się, gdy przyszła pora mianować go - doktora nauk, kawalera orderów, zasłużonego działacza, honorowego członka itp. - dyrektorem instytutu... Jak to - nie członka partii?! Co wy tam wszyscy na dole zwariowaliście? Dyrektorskie stanowisko w tym instytucie naukowo-badawczym to nomenklatura KC, nie waszego marnego republikańskiego, a Dużego, wszechwładzkiego! Natychmiast wszystko wyjaśnić! "No i musiał wstąpić. Potraktował ten akt tak samo, jak nieuniknioną wizytę u dentysty - ponarząkał, pomarudził i poszedł... I miał teraz instytut, najnowszy, najświeższy, strasznie utajniony, wyposażony w najnowocześniejszą (kradzioną) amerykańską komputerową technologię. Zajmowali się tam głównie modelowaniem ekonomicznym - tym samym, którym Stanisław tak strasznie chciał się zajmować przez całe swoje świadome życie. No cóż, wyglądało na to, że marzenie to miało się spełnić: teść twardo obiecał - i etat, i promotora, i temat. I nawet mieszkanie obiecał zięciowi - za jakieś tam dwa, trzy lata i pod warunkiem... Właściwie teraz rozmowy z teściową dotyczyły czego innego. Piłuchy. Koszulki niemowlęce. Sliniaczki. Czepeczki. ("Czubki, kosmyczki...") w ogóle pościel. wózek, nie zwykły, a podwójny. Kołyski, dwie, enerdowskie. Czemu w domu odklejają się tapety? Dobra, jutro przyjdzie człowiek i zmieni tapety, już to załatwiłam... Teraz tak: w takich majtkach faceci chodzili w czasach kultu jednostki, to są tak zwane rodzinne majtki, facet współczesny nie powinien takich nosić, wiednie w nich, masz tu nowe - majtki, podkoszulki, skarpetki - ciekawie, co robi twoja żona?... Nowe kołdry, stare - wyrzucić. Nowe firanki - stare precz. Dlaczego w domu nie ma porządnych naczyń? Macie tu porządne naczynia, nie zapomnij sparzyć je wrzątkiem, no i ruszaj się, ruszaj się, jesteś i mąż, i ojciec, głowa rodziny... Był rozbity i zwyciężony zgodnie ze wszystkimi regułami sztuki wojennej i jednocześnie - mimochodem - rozbita była sąsiadka, która się nawinęła, żeby wyrazić swoje zdanie na temat jakichś ważnych drobiazgów. Wtedy poszedł do kasy oszczędnościowej, wypłacił drogocenne pięć stów i kupił łarisco do szpitala przenośny kolorowy telewizor - żeby im wszystkim, nieszczęsnym babom, nie było smutno i nudno w noc sylwestrową... Ustawiał i regulował dla nich ten telewizor, patrząc na nie ukradkiem, całkiem wesołe, roześmiane i nawet skłonne do kłótni, w kolorowych szlafroczkach tak swobodnie rozpiętych, żeby nagle przedstawić światu i oczom białą, gładką skórę, jakieś tam koronki, albo po prostu bawełnianą uwodzicielską koszulkę, i nagle ni stąd, ni zowąd przypomniało mu się, jak kierowca Wołodia mawiał kiedyś: "Lubię, kurwa, pomacać kobietę w ciąży - one u nich, kurwa, takie pulchne, miękkie, kurwa, psiankowate, jak Boga kocham..." Łariska była wesoła, nic ją nie bolało, oczy błyszcząły i usta były miękkie, słodkie... psiankowate, kurwa. Lekarze uważali, że wszystko będzie w porządku - nie pierwszą taką mają i, prawdę mówiąc, nie ostatnią. Niech pan idzie i spokojnie wita Nowy Rok, tatusiu... Nawzajem. Nowy Rok witali we dwójkę: on i teściowa. (Mirlin świętował, jak zawsze, z rodziną. Żeka Małachow z Tańką poszli ze swoją paczką ze studiów. A Wikont powiedział: "Mój Staku, ja nigdy nie witam Nowego Roku z teściowymi swoich przyjaciół. Byłoby to nienaturalne. wybaczone, ale idę do kobiet").

Chociaż okazało się nieźle i we dwójkę. Otworzyli, jak zwykle, szampana, wypili małą butelkę koniaku ormiańskiego, smacznie pojedli, ogładałi telewizję, program Niebieski płomyk, śmiali się, żartowali z siebie, panowała atmosfera ukojenia i wzajemnej życzliwości. O polityce prawie nie mówili, żeby się nie kłócić. wale-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

ria Antonowna była zwolenniczką twardej władzy, żelaznej ręki, kościanej nogi i w ogóle czekała na zamach stanu i nie mogła się go doczekać. Kiedy Stanisław próbował jednak udowodnić jej, w jakim okropnym kraju mieszkają, odpowiedziała nie zastanawiając się:

- Bzdura, wszyscy mieszkacie w cudownym kraju, nazywa się Młodość...

- Na miłość Boską! Jaka Młodość? Mam czterdzieści dwa lata!

- Ach, cóż to za cudowny wiek, czterdzieści dwa lata! - powiedziała teściowa z całego serca i od razu przerzuciła się na wspomnienia. Wspomnień było dość dużo, niektóre bardzo interesujące.

Na przykład, wyszły na jaw pewne szczegóły dotyczące ojca Łariski. To, że Łariska nie jest córka Iwana Daniłycza, wiedział już wcześniej, ale o tym, jak się układały stosunki teściowej z jej pierwszym adoratorem później, dowiedział się dopiero teraz. Adorator (był wtedy studentem prawa) najpierw zachowywał się dość przyzwoicie, nawet przynosił do kliniki położniczej, jak to jest przyjęte, kwiaty i jabłka, stał pod oknami, podskakiwał, jakby chciał fruwać do ukochanej na drugie piętro, ale jednak nie zjawiał się, żeby odebrać ją z maluchem, i w ogóle zniknął, wyparował, "udał się w stronę morza". Wydawało się, że na zawsze, ale jak się okazało, nie do końca na zawsze.

W czterdziestym dziewiątym (to znaczy prawie po piętnastu latach) Walerię Antonownę, nauczycielkę rosyjskiego i literatury, wezwali do gabinetu dyrektora szkoły, siedział tam dorodny mężczyzna o manierach urzędnika wysokiego szczebla, który, jak się okazało, nie był inspektorem rejonowego wydziału oświaty, a inspektorem Jbo upoważnionym, albo sędzią śledczym, cholera ich tam wie) [GB, i naszej Walerii Antonownie zaproponował zawarcie zwykłej umowy o współpracy, a kiedy odmówiła, poradził jej dobrze się stanowić i za tydzień zjawić na poważną rozmowę pod takim a takim adresem: ulica, dom i, co dziwne, numer mieszkania.

* MGB - Ministerstwo Gasudarstwiennoj Biezopasnosti (Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego).

↑

I przyszła, bała się nie przyjść. Okazało się, że to zwykły dom mieszkalny, bardzo porządny, z czystymi szerokimi schodami, z dużymi podestami na każdym piętrze (dziecięce wózki, rowery, narty), wysokie ładne drzwi, co prawda nie było windy i na piątym piętrze zadyszana Waleria Antonowna przekręciła miedzianą gałkę z miedzianą tabliczką pod nią: "proszę przekręcić", dzwoneczek zadzwonił, drzwi się otworzyły - na progu, rozumiecie, stał On. Poznała go od razu i przeraziła się, jak dziwnie i jak okropnie się zmienił - stał się strasznym starcem - i to w wieku trzydziestu jeden lat! Oczy miał jak wyblakłe guziki. I włosy wyblakły i było ich mniej. Martwe usta. Martwa uśmiech. Skóra twarzy obwisła, zrobiła się pulchna, porowata i blada, jakby moczo ją nie wiadomo jak długo w stojącej wodzie... Stał się podobny do topielca, do martwego topielca, który nie wiadomo dlaczego ożył... Co się tam działo między nimi w pustym mieszkaniu (dobrze umeblowanym, ale absolutnie nie nadającym się do zamieszkania - nie było tam śladu człowieka), co się tam z nimi działo, tego teściowa tym razem nie opowiedziała. Jasne, że zwerbować się nie dała, zwała wszystko na nerwowość, zatroskanie rodzinnymi sprawami i nieumiejętność dotrzymywania tajemnicy. Jednak wyznaczył jej jeszcze jedno spotkanie, w tym samym miejscu za tydzień, i znowu bała się nie przyjść, ale tym razem przywitał ją jakiś zupełnie nowy - młody, wymuskany, czuły. Tym razem na stole znalazła się butelka, patera z winogronami, kanapki z kawiozem, cukierki, i ten wymuskany nawet nie bardzo udawał, że przyszedł tu, żeby pracować - przyszedł w zupełnie innym celu, ale nie na taką tرافی, włóczęga. Była to już walka nie według ich mrocznych reguł, a według jej reguł - szalonych i wesołych, i w takich walkach nie miała sobie równych. Wróg, oczywiście, został rozbity, wyszła z dumnie uniesioną głową, zabierając ze sobą siatkę z winogronami i dwiema kanapkami dla Łariski. Natomiast wróg został,

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
rozpalony i pełen nadziei, ale, widocznie, coś się tam popsuło w tym sprawnym mechanizmie -już nigdy więcej nie widziała ani swojego adoratora, ani tego wymuskanego-czułego, na zawsze zniknęli, a kiedy blade macki znowu sięgnęły po nią (telefonik, wiadoma propozycja i nawet ten sam adres) - był to już rok pięćdziesiąty czwarty, a ona miała Iwana Daniłycza, pewnego jak skała, o wszystkim mu opowiedziała, zastanowił się przez chwilę i poradził: zlekceważyć - nie chodzić i zapomnieć, obejda się. I tak było...

Po tej wspaniałej historii nadeszła jeszcze jedna - o zwycięstwie nad zastępcą ministra oświaty, ale dla Stanisława to już nie było ciekawe, i o drugiej w nocy postanowili sprzątnąć ze stołu. Nowy Rok nastąpił i obiecał być nie gorszy od starego... Pokój panował i w domu, i w sercu, i na świecie.

O tej samej godzinie, o wpół do trzeciej w nocy, u Łariski zaczął się straszny krwotok i bóle. Rozpłakała się, straciła przytomność i po dwóch godzinach, nie odzyskując przytomności, zmarła na stole operacyjnym.

Rozdział 4

Przez cały dzień od samego rana dzwonił telefon. Sąsiadka najpierw podchodziła, podnosiła słuchawkę, mamrotała coś półgłosem, potem zbliżała się do drzwi i drapała dwoma paznokciami. Odpowiadała: "Nie ma mnie w domu", i ona zniknęła na dłu-go. Potem w ogóle przestała jej odpowiadać, telefon cały czas dzwonił. Liczył dzwonki: dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy... Zrobiło się ciemno, winda huczała od czasu do czasu, na dworze śpiewano pijanymi głosami. Palił. Czerwone światło pojawiało się na sekundę, na sekundę pojawiała się popielniczka, pudełko zapalek, oparcie krzesła, i wszystko zniknęło, rozplątywało, pokrywało ciemnością.

Strasznie chciało mu się zasnąć. To stało się prawie obsesją. Zasnąć, powtarzał w duchu. Spaść. w niebyt. Chociaż na trochę. Chociaż na kilka minut... Brał jakieś proszki, czasami wydawało mu się, że już śpi i nawet śni mu się coś strasznego, czarnego, stęchłego, dusznego, a tak naprawdę, nie spał już od wielu dni i nocy. Zamienił się w organizm. Ten organizm nie przyjmował snu. Jedzenia. Świata. Świata...

Potem nagle znowu dotarł do niego głos. Trwożny. Coś było nie tak. "Stanisławie Zinowiewiczu, czy u pana nic się nie pali? Czy pan śpi? Gdzieś się pali..." To jego kołdra się paliła. Duża czerwona plama świeciła się, pomarańczowa mora rozchodziła się kręgami, i nawet przebiegały szybkie jęczyczki. I okazało się, że już nie było czym oddychać. "To ja palę - powiedział głośno. - Mam taki tytoń". Sąsiadka zadreptała po tamtej stronie drzwi, mamrocząc coś niepewnie i trwożnie, a potem widocznie uwierzyła, uspokoiła się, uciszyła i poszła.

Patrzył, jak ogień nabiera mocy. Ogień był ładny. wyciągnął rękę i położył ją na czerwono-pomarańczowe, morowe, tłące się, iskrzące... w rym bólu była jakaś dziwna rozkosz. Była sprawiedliwość, w tym bólu. Ale dym przeszkadzał. Za dużo go. Ogień jest na swoim miejscu, ma prawo być, a dym - nie. Dym jest teraz nie na miejscu. Wstał, poszedł do kuchni, wziął z kuchenki zimny czajnik i bez pośpiechu, z przyjemnością (po raz pierwszy coś tego dnia robił), wylał wodę na biegające iskierki. Czuł się dokładnie tak samo jak wtedy, gdy późnym wieczorem w lesie, przed pójściem spać, bez pośpiechu i starannie zalewa się ognisko. Syczenie. Biały dym, zapach spalenizny. Musiał napełnić i wylać jeszcze jeden czajnik. I jeszcze jeden. I jeszcze. Teraz i w kuchni było pełno dymu, i można było się spodziewać, że zaraz przybiegnie sąsiadka i trzeba coś jej wyjaśniać, ale sąsiadka schowała się u siebie i siedziała cicho, tak że spokojnie nabierał czajnik za czajnikiem i polewał kołdrę, póki z ładnego ognia nie zostało nic, oprócz wilgotnej spalenizny i smrodu, a dym ulotnił się przez dwa otwarte lufciki.

Ręka bolała. Ten ból był przez cały czas zadziwiająco nieprzyjemny i wyraźnie miał coś wspólnego ze sprawiedliwo-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
ścią i prawdą. Szczerze mówiąc, to w istocie bliska rodzina -
prawda, ból i sprawiedliwość... Nie miał ochoty o tym myśleć.
No i nie mógłby. Był teraz zdolny jedynie do najprostszych czyn-
ności. Postawił czajnik na kuchence. Ten czajnik Łariska kupiła
jesienią, kiedy ze starego całkiem wyparowała woda i się spalił.
Jest coś bardzo nieuczciwego w tym, że rzeczy żyją dłużej od
ludzi. Przedtem tak nie było. Kiedyś razem z człowiekiem palo-
no cały jego majątek - niby po to, żeby mu służył po tamtej stro-
nie, ale tak naprawdę dla oczywistej sprawiedliwości... O tym
też nie chciał myśleć.
Poszedł do łazienki i umył się. Wycierał twarz ręcznikiem
i patrzył na siebie w lustro. Twarz zwyczajna, dokładnie taka
ama, jak zawsze. To było podłe. Ale nic nie można zrobić z tą
>odłością. Podłość i tutaj zwyciężała. Przecież w końcu nie po-
rafili zapłakać. Ani razu.
Wychodził z łazienki, kiedy nagle ktoś zadzwonił do drzwi.
Dzwonek był obcy, kogoś obcego diabli nieśli, wyszedł do przed-
pokoju, zdjął haczyk i otworzył. Nieznajomy wcisnął się szybko
stał bardzo blisko niego, jakby chciał go przytulić. Albo ugryźć.
- Pan Krasnogorski? - cicho, ale stanowczo zapytał Stani-
sława. Z jego ust pachniało nieprzyjemnie.
- Krasnogorow.
- Tak... Przepraszam... Krasnogorow... Dzwonię do was
dzisiaj przez cały dzień. Wiktor Grigoriewicz źle się czuje. Musi
pan pilnie pojechać... Proszę, niech pan się ubiera.
- Po co? - Stanisław cofnął się do przedpokoju. Od tego za-
pachu, od obrzydliwego granatowo-kędzierzawego kołnierza fu-
tra, od okrągłych nie mrugających oczu o niezdrowym wyrazie.
Usiadł na skrzyni. Człowiek dalej coś mówił, od czasu do
czasu dotykając jego ramienia. Znowu się wyłączył. Nie wiado-
mo dlaczego przypomniawszy mu się teściowa. Przecież była tu te-
ściowa. Jeszcze przedwczoraj. Powiedział głośno:
- Przecież była teściowa... Dobrze pamiętam. Gdzie się
podziała?
Wstał, żeby sprawdzić w dużym pokoju, ale człowiek z nie-
zdrowymi oczami znalazł się przed nim. I drzwi wejściowe były
otwarte, wiało stamtąd chłodem. Nagle odkrył, że nogi zamarły
mu w kłapkach.
- Niech pan się ubiera, na miłość boską... Bardzo pana pro-
szę! - człowiek już trzymał przed nim płaszcz, zdążył go zdjąć
z wieszaka i był gotów mu podać. W jego oczach łzawiła się tro-
ska, zupełnie psia, to dlatego wyglądały na niezdrowe.
- Czego pan chce, nie rozumiem.
- Przecież tłumaczę. Wiktor Grigoriewicz bardzo źle się czu-
je. Bardzo pana prosi...
- Kim on jest? Co ja mam z tym wspólnego?
- No Kikonin, przecież, Bo-oże! Co panu jest?
- A-a... Wikont. Od razu trzeba było tak mówić...
- On umiera. Mówi, że jeżeli pan mu nie pomoże, to umrze.
- Oczywiście - powiedział Stanisław i znowu usiadł na
skrzyni.
Okoliczności niby się wyjaśniły, ale nic się przez to nie zmie-
niło i nie zniknął gruby, ostry kołek wbity w pierś, dokładnie
w środku, wetknięty tam na zawsze. Nieznajomy mówił, trzyma-
jąc w pogotowiu płaszcz Stanisława, miał swoje problemy, naj-
wyraźniej poważne. Jednak mylił się. Nic poważnego się nie dzie-
ło. Śmierć to zupełnie normalna rzecz. Nie trzeba tylko się jej
bać, nie trzeba cofać się przed nią ze strachem i obrzydzeniem,
jakby Bóg wie co. Trzeba przecież pamiętać, że śmierć jest abso-
lutnym i końcowym spokojem, i od razu wszystko wróci na swo-
je miejsce...
Chociaż zrozumienie tego jest niemożliwe. I myślenie o tym,
nawet przez cały czas, też nic nie pomaga.
Kolek w piersi ruszył się jak żywy. Nie miał zamiaru zabijać,
nie chciał również zamęczyć, po prostu był. Ten kołek nazywa
się prawdziwym życiem. Wymyślone życie to wspaniała rzecz,
ale nie można w nim istnieć. Trzeba istnieć w życiu realnym, które
jest kołkiem, sterczącym ze środka klatki piersiowej...

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

Nagle człowiek przełożył płaszcz do lewej ręki, a prawą z całej siły uderzył Stanisława w twarz. Stanisław opamiętał się. Za-uważył, że oczy nieznanego się zmieniły. Teraz były to oczy człowieka, który umie i ma zamiar zabijać. Wilcze oczy.

- Nie chcesz, to cię zmuszę - powiedział człowiek z wilczymi oczami. Zarzucił płaszcz na Stanisława, a sam ruszył do drzwi i krzyknął w głąb klatki: - Sidorenko! Do mnie!

Zjawił się Sidorenko - kwadratowy, z okrągłą głową i okrągłymi ramionami. Silny chłop. Sierżant. Albo starszy sierżant... Stanisław (kategoria D z powodu wady wzroku) nie znał się na tych podoficerskich kreskach i naszywkach.

Sidorenko był o głowę niższy od niego, ale wziął go w pól (razem z płaszczem) i zaczął lekko znosić po schodach. Nie cackał się i wcale nie nadużywał swoich sił, których miał mnóstwo. Kości Stanisława zatrzeszczały i aż go zatkało, ale trwało to krótko, na dole przy wejściu stała czarna wołga. Drzwi samochodu jakby same otworzyły się przed nimi.

Miasto było mroczne i ciemne - kilka żółtych i różowych okien na wiele kilometrów ulic i nabrzeży. Samochód jechał szybko, nawet niebezpiecznie - zarzucało nim na zakrętach, nie wolno tak jeździć po śliskich od śniegu, źle oczyszczonych jezdniach. Wszyscy milczeli. Stanisław siedział, trzymając płaszcz na kolanach, nogi marzły mu coraz bardziej. Po prawej stronie sapał Sidorenko, wydzielając zapachy tytoniu i koszar. Kierowca też był w mundurze i też był jakimś oficerem - bardzo duży, bez szyi, z uszami jak naleśniki, zgarbiony, siedział za kierownicą nieruchomo jak kamień. A nieznanemu ze zmieniającymi się oczami siedział obok kierowcy i nie widać było, jakie miał oczy teraz. Miasto dookoła szybko zrobiło się obce. Wydawało się, że to dzielnica Piotrogradzka, a być może wyborska. Jechali jakimiś nieznanymi nabrzeżami, przekroczyli zamarznąłą rzekę, na ulicach było ciemno, ludzi nie było i prawie nie spotykało się samochodów, ciągnęły się, ciągnęły i ciągnęły kamienne ogrodzenia, ponuro patrzyły żelazne kraty w wojskowo-przemysłowych budynkach, nagle otwierały się jasno oświetlone reflektorami gospodarcze podwórka, gdzie w białym dymie przemieszczały się czarne, z kolorowymi iskierkami, mechanizmy, i znowu zapadała ciemność, nieprzytulność, jezdnia w mrugającym świetle halogenowych reflektorów... Nieznajome, nieprzyjazne, nachmurzone miasto, w którym ludzie nie mieszkają, nie istnieją nawet, a tylko ciągną i ciągną wytartą linę - do kresu sił napinając żyły...

Potem nagle skręcili w nieoczekiwany zaułek (nawierzchnia z bitego bruku, w umierających domach - martwe arkady prowadzące na podwórko, samotne żółte okienko na pierwszym piętrze za kratą) i zatrzymali się przed przechodnim podwórzem na jasno oświetlonym placu przy żelaznej bramie w trzymetrowej ścianie, ginącej w mroku, z prawej i lewej strony. Pojawiła się chwilowa trudność. Przez bramę ich wpuścili, ale już wewnątrz, w tunelu otoczonym wokół drutem kolczastym, zatrzymał ich jakiś oficer - bezwzględny, głośny i złośliwy. Człowiek ze zmieniającymi się oczami wylaź do niego prosić i trwało to długo, jakoś nieprzyzwoicie długo, nawet niebezpiecznie długo.

- ...Ja tutaj odpowiadam!

- Ależ nie, majorze, tutaj ja za wszystko odpowiadam, a nie wy!

- Wy tam u siebie za wszystko odpowiadacie, a tutaj ja i regulaminu łamać nie pozwolę i nie mam zamiaru!

- Konstantynie Jefimowiczu, porozmawiajmy spokojnie...

W tym momencie głosy ucichły, i już nie słychać słów, tylko spokojne mamrotanie, a w odpowiedzi - krótkie nieprzejednane ryczenie, i za minutę znów się pojawiają i zaczynają narastać złośliwi skrzywienia, i poirytowane chrapanie, i stanowczy, na razie powstrzymany, ale już na siłę, zgrzyt w gardłach. I znowu - wybuch:

- ...Nie, nie mam prawa bez dokumentów przepuszczać obcych i nie przepuszczę!...

- To nie obcy, przecież tłumaczę, to materiał!

- Tym bardziej! Bez dokumentów - nie można!

- Nie możecie, majorze, zrozumieć, co się stanie, jeżeli go nie dostarczę na czas?...

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

- Nie mam takiego obowiązku, żeby to rozumieć, postępuję według regulaminu i instrukcji, a wy, towarzyszu pułkowniku, samiście napisali tę instrukcję...

Słuchał i wydawało mu się, że nie słyszy tych swarów, i nagle coś się wydarzyło: w pewnym momencie zobaczył zwrócone ku niemu twarze w salonie, bardzo blisko, skrzywione albo ze strachu, albo z obrzydzenia - zarumienioną sytą twarz Sidorenki, z oczami okrągłymi jak u sowy, i nową dla niego twarz - twarz kierowcy, ciemną, długą, z wgniecionym nosem i wysuniętymi do przodu, jak u pstrąga, szczękami. Obydwaj oficerowie patrzyli na niego przerażeni i chyba z jakimś obrzydzeniem, jakby przed chwilą głośno napaskudził w obecności wszystkich. Twarz ich naczelnika, towarzysza pułkownika, też nagle objawiła się w tym salonie - oczy towarzysza pułkownika były teraz zaniepokojone i zdecydowane, jak oczy chirurga, przygotowanego na pierwsze cięcie... I nagle dotarło do niego, że już od jakiegoś czasu krzyczy. Ten krzyk (wycie, lament, chrypienie), który siedział kołkiem w jego piersi wciągu ostatnich kilku dni, wreszcie się przebił, jak przebijają się czyraki, i wypłynął na zewnątrz gęstą ropą. Usłyszał siebie i od razu zamilkł. Twarze zwisały nad nim, oświetlone nienaturalnym martwym światłem reflektorów, które zalewało tutaj wszystko, i strach, połączony z obrzydzeniem, walczył na tych twarzach ze zdziwieniem i poirytowaniem.

- Już - powiedział głośno. - Już. Więcej nie będę. I od razu ich wpuścili. Jakby ten jego krzyk okazał się ostatnim i decydującym argumentem w kłótni o regulaminy i instrukcje. Potem szli szybko przez długi biały korytarz. Po cichej białej podłodze. Pachniało szpitalem. I tutaj też wszystko było zalane bezlitosnym światłem. Panował suchy skwar, i było w tym korytarzu coś nieuchwytnie dziwnego - jacyś dziwni ludzie pod ścianami, albo było coś dziwnego w otwartych z prawej, potem z lewej drzwiach, albo w roślinach, oplatających w niektórych miejscach ściany i sufit, albo być może były to jakieś dźwięki zupełnie nie na miejscu... Nie miał ani czasu, ani specjalnej ochoty zastanawiać się nad tymi dziwnymi rzeczami - bardzo chciał usiąść w jakimś ciemnym (koniecznie w ciemnym!) kąciku, albo położyć się, zamknąć oczy i odprężyć. Ale nie pozwalali mu ani usiąść, ani się odprężyć - z przodu, szeroko i twardo maszerował towarzysz pułkownik, a obok (po prawej stronie i z tyłu) ktoś trzymał jego łokieć żelaznymi palcami i kierował. Wszyscy byli w białych lekarskich kitlach, białe poły powiewały i wydymały się, płaszcz gdzieś zniknął, kłapki, nie dostosowane do takiego tempa, ledwo się trzymały, i nogi już nie marzły, zrobiło się ciepło, a nawet gorąco.

Weszli do pokoju, który po oślepiającym korytarzu wydawał się całkowicie ciemny. Zasłonił odruchowo oczy, żeby się dostosowały. Pokój był duży, stała tam aparatura z migającymi lampkami, po lewej stronie, za szklaną przegródką, tkwiła młoda pielęgniarka z wystraszonymi oczami, też oświetlona z dołu granatowym i żółtym światłem, a po prawej stronie, z hojnymi odstępami pomiędzy, świeciły się w półmroku białe, wysokie łóżka - cztery wolne, na środkowym leżał wikont.

Z początku wydawało mu się, że wszystko już skończone (od samego początku był przekonany i wiedział, że cała ta ordynarna koszarowa marność jest bez sensu: późno, marnie i nieprzyzwoicie). Wikont leżał małej, biało-szary, zupełnie nieruchomy, bieleły nieprzyjemne szczelinki między rzesami, jakieś cieniutkie przezroczyste rurki wsunięto mu do obu nozdrzy, i jeszcze jedna rurka ciągnęła się do na wpół pustej kroplówki, i jeszcze sznury, cienkie i wielokolorowe, ciągnęły się spod kołnierza koszuli do włączzonego monitora, zamocowanego na długim (wzdłuż wezglowi wszystkich pięciu łóżek) regale. Ale nie czuło się skostniałego zniechęcenia zmarłego. Wikont jeszcze oddychał. Trzymał się. Na samej krawędzi. Rozpaczliwie i żałośnie wciągał w siebie najciemniejsze strumienie życia przez te wszystkie rurki i przewody.

Usiadł obok łóżka na natychmiast podstawionym krześle i zwykłym ruchem wziął okaleczony, pomarszczony kciuk do ręki.

Asfe

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

|| Kciuk był wilgotno-chłodny, całkiem zwiędły, ale żywy, jakby i czekano na niego tutaj przez wiele, wiele ostatnich godzin. Czuł się jak kroplówka. Coś wyciekało z niego i po ręce, niewidocznym i niewyczuwalnym strumieniem, przeciekało do blade-szarego, małego, kędzierzawego, nieruchomego człowieka - bardzo samotnego na tym świecie, już prawie na tym świecie nie istniejącego... No i czy przebywał teraz na tym świecie Wikont... onże Kikonin, były wesoły chuligan, onże Wiktor, jak się okazało, Grigoriewicz Kikonin - człowiek z autorytetem? Samotny półtruppek w mrocznym pokoju z milczącymi lampkami na pulpitych i monitorach. Nikogo z rodziny nie ma. Rodziców praktycznie nie ma. A być może i rzeczywiście. Przyjaciół nie ma... Są, co prawda, wielbiciele, koledzy z pracy, chyba uczniowie, ale przecież to nie to samo. Twoi przyjaciele i twoja rodzina to ty, część ciebie, część twojego ciała. A uczniowie, koledzy, wielbiciele - to tylko plody twojej działalności, tak samo jak napisane przez ciebie artykuły, jak książki, obrazy... cegiełki, z których zbudowałeś swój dom, w którym żyjesz i umierasz... Przecież on nikogo nie ma oprócz mnie, pomyślał nagle Stanisław z dziwnym poczuciem czy to satysfakcji, czy strachu, czy radości. Tylko o mnie na tym świecie może powiedzieć: "Ty - to ja"...

Ale przecież i ja już nikogo więcej nie mam, oprócz niego, pomyślał chwilę później. Teraz już nie mam. Już od kilku dni nie mam. Absolutnie nikogo. Muszę się ciebie trzymać, wikonce. Musimy się siebie trzymać, wikonce, wasza wysokość... Co też robimy. Hysterycznie zachichotał i rozejrzał się zawstydzony. Nikogo nie było. Nawet pielęgniarka gdzieś poszła, zniknęła cicho i bezszelestnie, zostawiając swoje ekrany i pulpity. Co prawda, w drzwiach ktoś stał - ciemna figura w dobrze oświetlonym otworze, ale Stanisław nie przyglądał się kto to jest i czego chce. Ogarnęło go nowe odczucie, podobne do ogromnego, niewidocznego pajaka, który wyskoczył znikąd. Było to poczucie lodowatej samotności. Do tej pory miał wrażenie, że jest jakimś amputowanym kikutek, koślawym inwalidą, któremu bezlitośnie i nagle odcięli, wyrwali duże kawałki ciała, duszy, serca, mózgu, 113

wszystkiego, co trafiało pod nóż i kleszcze. Turlał się po podłodze, krwawiąc i dusząc się, pod cudzymi nogami i spojrzeniami, i cały czas się starał, męcząc się i krzywiąc, wpełznąć do jakiejś najbardziej ciemnej i ciasnej nory... A tutaj nagle okazało się, że tak naprawdę, jest sam. Do takiego stopnia jest samotny, że jego (jak i wikonta) już jakby nie ma na tym świecie... Krwawy bąbel, jaki pojawia się na miejscu dopiero co odciętej głowy... ("a zamiast głowy - krwawy bąbel..."). Przestraszył się i zrozumiął, że życie wraca. Nie ucieszyło go to i nie zmartwiło, po prostu przyjął do wiadomości: życie jednak znów powraca. Zawsze powraca, jeżeli nie zastosuje się specjalnych środków.

Zegara nie było. Nic się nie działo. Nic się nie zmieniało. Ale kiedy chciał zmienić pozę, wikontowe pazury wpijały się w jego dłoń i to bolało. W pewnym momencie oprócz bólu odczuł tam coś wilgotnego i lepkiego. wydawało mu się to dziwne i nawet trochę zaniepokoiło, ale szybko się domyślił, że to pękł nabrzmiały bąbel, który pojawił się na miejscu oparzenia. Zachciało mu się do toalety. Powrócone życie brało odwet. Rozejrzał się. Dziewczyny przy pulpicie wciąż nie było, a w drzwiach nadal stał nieruchomy, czarny i nieuchwytnie dziwny człowiek. Stanisław pomyślał: on przecież nawet pozy nie zmienił od tamtej pory, dziwne. Człowiek ten wyglądał na manekina, którego ktoś postawił w drzwiach - przez roztargnienie albo specjalnie. Tylko manekiny w witrynach mają tak kanciaste linie ciała. Tylko manekiny mogą być do tego stopnia nieruchome... I w tym momencie przypomniał sobie biały korytarz, po którym niedawno szli jak do ataku. Dziwni ludzie pod ścianami... I dziwni ludzie w głębi źle oświetlonych pokoi... Oni wszyscy byli tacy sami - nieruchome, skostniałe na zawsze manekiny... I mieli granatowe twarze! Granatowe. Nie czarne z granatowym odcieniem, jakie mają niektórzy Murzyni, nie opalone z granatowym odcieniem, jak u niektórych amatorów opalania się, a właśnie granatowe,

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

sine - twarze samobójców...

Starał się zobaczyć, jaką twarz ma ten, co stoi w drzwiach, ale pod światło wydawała się po prostu czarna, jak i cała reszta. Odwrócił wzrok. Wikont nagle zaczął bardzo intensywnie oddychać, jego twarz pokryła się potem, grube murzyńskie wargi wykrzywiły się. Działo się coś dziwnego. Coś niezwykłego. Niczego podobnego wcześniej nie było. Przedtem po prostu leżał nieprzytomny przez godzinę lub dwie, wpijając się Stanisławowi w rękę ocalałymi palcami-pazurami, szary, nie oddychający, z pulsem-nicią i z zapadłymi oczami, potem nagle wracał do siebie - puszczał rękę, twarz się rumieniła, zdecydowanie stawał na nogi - tak jakby nic się nie stało - żywy, zdrowy, bardzo poirytowany i niezadowolony. .. Ale przecież wcześniej nie miał nigdy tej kroplówki, ani przewodów, w ogóle nie było w pobliżu lekarzy, i tego szpitala, dziwnego, surowego i nieprzyjemnego, też nie było...

Leż, leż, włóczęgo, pomyślał Stanisław z czułością, która nawet jego samego zdziwiła. Wyciągnę cię, skubańcu. Zawsze wyciągałem i dzisiaj też wyciągnę. Wygląda na to, że tylko to mi dobrze wychodzi. Chociaż dlaczego? A moje aforyzmy? I mój "Antyturing". I moja powieść... Czyżby po to warto było żyć? Nie wiem. Bo teraz nie to jest najważniejsze...

Najważniejsze było to, że teraz czuł się kupą padliny, obok której kręca się sępy. I nawet nie sępy, to śmierć się kręci. Był osobą skupiającą wokół siebie śmierć... Mówią, że w czasie wojny byli tacy: dookoła - ogień, ołowiany deszcz, ziemia staje dęba, ludzie jak szmaciane lalki lecą we wszystkie strony, rozedrgane, martwe, a on wśród tego wszystkiego - świeżutki, ani jednego zadrapania i nawet się nie pobrudził... Nie lubili takich. I słusznie. Za co ich lubić?... "Ale przecież to nie moja wina!" - powiedział głośno. Wikont nie odpowiedział: jego tu jeszcze nie było.

Kiedy nie mógł już wytrzymać, pochylił się w skomplikowany sposób, żeby nie upuścić ręki wikonta, sięgnął pod łóżko i przyciągnął do siebie kaczkę. Nie było to takie łatwe, a potem okazało się jeszcze trudniejsze. Sapał, cicho krzyczał i wściekał się. Jednakże dało się to załatwić, na szczęście potrzeba była mała (a jeżeli by była duża?). Nawet nie bardzo nachlapał. Potem, po odstawieniu kaczki jak najdalej i po wpuszczeniu koszuli do spodni od piżamy (okazało się, że był w spodniach od piżamy), rozejrzał się i popatrzył w stronę drzwi. Tam, na szczęście, nikogo już nie było.

Odczuwał ulgę, nie fizyczną nawet, ale tak w ogóle. Życie wróciło i okazało się, że można żyć. Można rozejrzeć się po pokoju. Ogromne, z ciężkimi białymi zasłonami okna. Niski biały sufit, włożony płytami dźwiękoszczelnymi (wszystko na biało - kolor śmierci w starożytności). Mroczne rzędy wyłączonych monitorów z martwymi ekranami i ten jedyny włączony, do którego ciągnęły się przewody od wikonta: cztery zielone łańcuszki impulsów pełzły po nim z lewa na prawo - monotonne jak sygnały czasu... Widocznie to wszystko razem wzięte było salą intensywnej terapii albo, krótko mówiąc, "reanimacją". A przez tamte dalsze drzwi, wywożą chyba tych, którym żadna intensywna terapia nie pomogła. ... Szczękające, wściekłe rozkazy lekarza... suchy twardy trzask wyładowania... biedne, blade, martwe ciało, podskakujące w bezsilnym skurczu... i wyszczerzona napięta ciekawość wyniku na twarzach pod białymi okrągłymi czapeczkami...

Nagle pojawił się na progu kot - czarny jak cień w białym prostokątnym otworze drzwi. Stał i patrzył, całkiem nieruchomy, ale nie było w nim nic z martwej kanciastości manekina - ładny. Gładki, uszaty i wąsaty, jak Kissinger. Łariska nazywała Kissingera Uszatek - za jego wspaniałe uszy. Nazywała go Czyścioszkiem - kiedy zaczynał się myć, wylizując do niesamowitego blasku jakąś przypadkowo wybraną nogę. Nazywała go Ogonkiem - za jego wspaniałą ogon, który mógł się rozdmuchać do grubości dobrego polana... Ogonek, Uszatek i Czyścioszek. wypadł z okna i połamiał się. I nikt nie zdążył mu pomóc. Zmarł w nocy, w łazience, w milczeniu, sam...

Czemu nie mogę płakać? Chcę płakać. Jestem cały zmięty w środku. Powinienem płakać. Kiedy oglądam w kinie jakąś bohaterką bzdurę, łzy same nadchodzą, głupie i bezsensowne, ale

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
nie umiem zapłakać, kiedy wyrywają ze mnie z krwią kawałki
życia... Kis-singer... - zawołał cichutko, ale kot nie zbliżył się
do niego - usiadł na progu i jego oczy nagle błysnęły -jak zwy-
kle niespodziewanie i niesamowicie.

Pielęgniarka - małeńka, szczuplówka, złote loczki spod chustki
- pojawiła się bezszelestnie, zmieniła kroplówkę, a potem zaj-
rzała pod łóżko i powiedziała cicho i z zadowoleniem:

- O! Dobrze sikał!

- To nie on - odparł Stanisław. - To ja sikałem...

Pielęgniarka nawet na niego nie spojrzała, już odchodziła,
zgrabnie chwytając na wpół opróżnioną kroplówkę i do poło-
wy pełną kaczka, i wtedy zrozumiał, że tak naprawdę nic jej nie
powiedział, a tylko miał zamiar powiedzieć, ale jakoś mu nie
wyszło.

Kota w drzwiach już nie było. Impulsy biegły po monito-
rze. Po pielęgniarce został słaby, przyjemny, złocisty zapach -
czystości, zdrowia, czułości. I nie wiadomo dlaczego akurat te-
raz zrozumiał: wszystko będzie w porządku. Wspinanie się skoń-
czyło, zaczyna się zejście. Niejasno było tylko: czy to dobrze,
czy źle. Jednak biała obrzydliwa kreska z pomiędzy powiek wi-
konta zniknęła. Teraz wikont po prostu spał. I było wiadomo,
że się obudzi.

Wszystko stało się jednocześnie.

Wikont otworzył szeroko oczy i uśmiechnął się zaspany,
a przez drzwi gwałtownie wtargnął towarzysz pułkownik i z nim
jeszcze ktoś, kilka osób, tłum, grupa, pododdział... Cichy, mrocz-
ny pokój od razu zrobił się głośny od mnóstwa energicznych ru-
chów i od szybkich oddechów, i nagle pojawiły się zapachy,
mocne i absolutnie nieoczekiwane: tytoń, cebula, mocna woda
toaletowa... Cały ten tłum błyskawicznie otoczył łóżko i Stani-
sława, stanął murem, wszyscy byli w białych kitlach, i wszyscy
byli wojskowi, i Stanisław podniósł się, mając przecucie cze-
goś niedobrego. Jednak z początku nikt nie zwrócił na niego
uwagi, jakby go w ogóle tutaj nie było.

- Wiktorze Grigoriewiczu, kochany, no jak tam, kochany?!

- krzyczał towarzysz pułkownik, jednocześnie chwytając profe-
sjonalnym ruchem puls wiktora, oglądając kroplówkę, podkre-
cając coś na monitorze. Już widząc, że Wiktor Grigoriewicz -
całkiem, całkiem, wszystko z nim będzie dobrze i już niedługo
będzie zdrowy. I wszyscy inni tak samo zaczęli hałasować i wi-
dać było, że wszyscy naprawdę strasznie się ucieszyli, że najwy-
raźniej wszystko dobrze się skończyło, chwala Bogu, najgorsze
już minęło, i było jakoś nie tyle dziwne, co niespodziewanie wi-
dziec właśnie na tych twarzach zupełnie nieprofesjonalną, cy-
wilną radość i zwykłą ludzką ulgę. (Chociaż twarze były twarde,
wojskowe, z takimi twarzami biegnie się do ataku, a jeżeli w bia-
łym kitlu, to żeby przeprowadzać sekcję zwłok, pogryzając jed-
nocześnie kanapkę z kotлетem).

Wikont już coś tam mówił, odpowiadał, pytał, w jego głosie
pojawiały się i nabierały mocy znane poirytowane nutki - już pu-
ścił rękę, Stanisława i nie patrząc grzebał za kołnierzem koszuli,
odłączając przewody. Mówiło kilka osób na raz. Ktoś przyjeżdża,
ktoś bardzo ważny, i wszyscy natychmiast muszą być jak spod igły.
Natychmiast. Wiktor Grigoriewicz, oczywiście, na razie powinien
leżeć, teraz go przeniosą do zwykłej sali, ale jeżeli generał nagle
będzie chciał, to wtedy, oczywiście, trzeba będzie... Ale tu wyszło
jakieś nieporozumienie, bo wikont nie miał zamiaru przechodzić
do zwykłej sali, przeciwnie, żądał, żeby przynieśli jego ubranie,
kompletne i natychmiast... Próbowali mu wyjaśnić, że o tym na
razie nie może być mowy, ale mowa była tylko o tym i o niczym
innym, i w tym momencie pojawił się znikąd jakiś cichy człowiek,
wziął Stanisława za łokieć i pociągnął za sobą.

Szybko minęli kilka ciemnych i zimnych sal, gdzie ostro pach-
niało, i nie jakąś tam medycyną, ale higieną sanitarną, gdzie pa-
nowała pustka, na podłodze walały się szmatki czy opatrunki,
jakieś szklanki wylatywały spod nóg, przy ścianach stały łóżka
operacyjne ze zgniecionymi prześcieradłami, a na jednym z łó-
żek leżał nieruchomy biały pakunek... Potem znaleźli się w win-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

dzie, dużej, transportowej, brudnawej, kabina powoli, z trudem, jakby nie pozwalali jej się poruszać, zaczęła spełzać w dół, i Stanisław wreszcie zapytał: "O co chodzi? Skąd ten pośpiech?" Cichy człowiek (niskiego wzrostu, ale cały jakby z litego kamienia, w jego mundurze nie zostawało ani trochę wolnego miejsca, wszystko było wypełnione mocnym ciałem, a naramienniki miał majora) popatrzył na niego z dołu do góry przezroczyście, bezbarwnymi oczami i powiedział bardzo cicho:

- Chwileczkę, towarzyszu Krasnogorski, chwileczkę...
- Nazywam się Krasnogorow...

Cichy major skinął głową ze zrozumieniem i nawet jakoś z aprobatą, i w tym momencie kabina się zatrzymała.

Sprawy potoczyły się szybciej niż dotąd. Przebiegli po lodowatym, cementowym korytarzu ze ścianami oplecionymi kablami jak tunel w metrze; ciemnymi schodami zeszli jeszcze niżej; w słabo oświetlonym tunelu pod nogami srebrzył się śnieg - i wyskoczyli na zewnątrz przez żelazne boczne drzwi.

Na zewnątrz wszystko było zalane światłem reflektorów, ale nie była to ta portiernia, przez którą przeszli parę godzin temu, a jakieś inne miejsce - zaśnieżony asfalt, kolczasty drut z prawa i z lewa i nieskończone stosy drewnianych skrzyń, niedbale przykrytych zaśnieżonym brezentem... Poza kręgiem reflektorów wszędzie była noc, nikogo dokoła, samotny samochód czekał na nich - nie żadna wołga, tylko moskwicz, ciężki, bez okien, tylne drzwi były otwarte.

Wewnątrz wozu wszystko było lodowate, zamrożone, i cichy major najpierw dał Stanisławowi jego płaszcz. Płaszcz też był lodowaty, zamrożony, widocznie przez cały czas leżał tutaj, na chłodnej blasze, ale Stanisław pospiesznie naciągnął go na siebie i za jakiś czas trochę się ogrzał.

Moskwicz pędził na oślep, Stanisławem rzucało na wszystkie strony, wpadał na majora i spadał na plecy tak, że buty zlatywały, póki nie chwycił za jakiś skobel. w słabym świetle ledwo widział majora, który też za coś tam się chwycił i któremu to też niewiele pomagało. Marzły nogi w bawełnianych skarpetkach. Ręka, którą chwycił pas, niedługo całkiem zamarzała. Para wylaływała z ust i pokrywała szkła okularów. Wywiozą teraz gdzieś na śmietnik i zastrzelą, pomyślał obojętnie. Ale to mało prawdopodobne. Był pewien, że wiozą go do domu.

Kiedy samochód zatrzymał się i silnik zgasł, przez jakiś czas panowała głucha cisza i nic się nie działo. Stanisław i major patrzyli na siebie w milczeniu. Nie było o czym mówić. Widocznie i jeden, i drugi nie mieli nic do powiedzenia. Potem ze skrzypnięciem otworzyły się tylne drzwi. Chyba można je było otworzyć tylko z zewnątrz i otworzyła je znana już osoba: kierowca z gębą pstrąga i nosem skrzywionym jak śmigło. Major wydostał się pierwszy i grzecznie wyciągnął rękę, żeby pomóc Stanisławowi. Stanisław zignorował tę rękę. Stali na jezni naprzeciwko wejścia do jego domu. Nocna ulica była mroczna i pusta. Koło latarni spał zimowym snem zaporożec łariski, który stał się śnieżną zaspą.

- Odprowadzić pana? - zapytał major.
- Nie, sam dojdę.
- Ma pan klucze?
- Poradzę sobie.
- No, to do widzenia? - powiedział major z wyraźną pytającą intonacją.

Stanisław nie odpowiedział. Zapomniał o nim. Nic sianie skończyło. I nawet jeżeli się skończyło, to zaczęło się od początku. Ten przeklęty zaporożec wybił z niego cały mózg. Znowu poczuł się wilkołakiem. I znowu szorstki kołek sterczał z jego piersi.

- Niech was wszystkich diabli - powiedział do kogoś. - Nie chcę żyć.

Wikont zadzwonił do niego dwa dni później.

- Znowu mnie wyciągnąłeś, mój Staku - powiedział.
- Nie. To ty mnie wyciągnąłeś, mój wikonce, jeżeli tak już ma być.
- Czy mogę teraz do ciebie wpaść?
- Tak.

Odłożył słuchawkę i wrócił do swojego dziennika, który leżał na stole. Nie miał odwagi, żeby go otworzyć. Potem otworzył. Była tam ostatnia notatka: 1 stycznia. Dziś w nocy zmarła moja Łariska. Nie chcę żyć. I w tym momencie wreszcie się rozpłakał.

Rozdział 5

Sienie Mirlina wsadzili do więzienia w dniu urodzin Lenina. Przyszedł na kolejne przesłuchanie, piąte albo nawet szóste. Najpierw wszystko toczyło się tak jak zwykle, a potem nagle się okazało, że sędzia śledczy mówi coś nie tak - wymienia niespodziewane nazwiska i opowiada o wydarzeniach, których przecież nie wolno rozpowszechniać. Całkiem zwariował mój major, pomysł Sienia wyrażną trwogą. Przecież jak przyjdę do domu, wszystko opowiem chłopakom... Jednak major wcale nie zwariował i po zakończeniu dobrze przemyślanej rozmowy przedstawił oszalałemu Sieni nakaz aresztowania, tak że Sienia udał się nie do domu - opowiadać o danych operacyjnych - a do celi, sąsiadującej z tą, w której kiedyś siedział za antypaństwową działalnością sam Włodzimierz Iljicz.

O tych wszystkich szczegółach Stanisław i inni dowiedzieli się dopiero jakiś czas po tym, a wtedy - już wieczorem, około godziny ósmej - zadzwonił telefon i łamiący się głos Zofii powiedział w słuchawce:

- Staś. Siemiona wsadzili.

- Zaraz będę - rzucił Stanisław i po odłożeniu słuchawki poszedł wyłączyć gaz pod gotującą się zupą i przebrać się. Zauważył, że ręce mu się trzęsą, i to go nieprzyjemnie zdziwiło. Oczywiście, areszt Mirlina był niespodzianką-jakoś wszyscy pogodzili się z tym, że nikt nie ma zamiaru go wsadzać, nie na niego tym razem polują, komu on tam jest potrzebny?... Ale z drugiej strony, nikomu przecież nie przyszłoby do głowy, że wsadzać go na pewno nie będą. Bezpieka to bezpieka, i kiedy ma się z nią do czynienia, przepowiadanie czegokolwiek nie ma sensu tym bardziej, że oni tam sami nigdy nie wiedzą, co będą robili jutro - co każe komitet obwodowy to zrobią, a komitet obwodowy, jak wiadomo, to inny świat i jego prawa leżą poza granicami ludzkiego rozumu... Ale przy tym wszystkim nieprzyjemnie było odkryć w sobie całkowite, jak się okazało, nieprzygotowanie do najgorszego. Nagle z zadziwiającą jasnością zrozumiał, co naprawdę się wydarzyło: to już przecież nie "strzał długi - strzał krótki - strzał długi", to już na pewno strzał w jego okop, i poczuł się kontuzjowany...

Z jednym butem na nodze i drugim w ręce zamyślił się, siedząc na skrzyni w przedpokoju. Większą część swojego samizdatu wywiózł z mieszkania i schował u Gromoboja już na początku kwietnia - od razu po tym, jak u Siemiona po raz pierwszy była rewizja. Jednak całkiem możliwe, że wywiózł wtedy, po pierwsze, nie wszystko, po drugie, w pośpiechu - nie całkiem to, co trzeba, no i coś nowego się pojawiło w ciągu tych ostatnich trzech tygodni... Z powodu tego, że po przeszukaniu u Mirlina nic więcej się nie działo, pojawiła się i utrwaliła opinia, że nic więcej się nie wydarzy: to wszystko, nastrzelały się żołnierzyki, uspokoili się... Teraz jednak sytuacja wygląda inaczej. Trzeba coś zrobić. I to szybko. Dobrze, że zaporożec jeszcze jeździ... Wyobraźnia rysowała mu roztrzęsioną, zapłakaną Zofię, która siedzi z opuszczonymi rękami przy kuchennym stole, i ciche dziewczyny z okrągłymi ze strachu i zaskoczenia oczami... i trwożną ciszą w promieniu pół metra... i sąsiadów ze smutnymi twarzami gdzieś na granicy tego kręgu...

Drzwi na klatkę schodową były szeroko otwarte. Gwar było słyhać dwa pietra niżej. W mieszkaniu kręciło się pełno ludzi. Zofia rzeczywiście była roztrzęsiona, ale wcale nie zapłakana, tylko bardzo zdenerwowana, miała czerwone plamy na policzkach, miotła się w kuchni, robiąc herbatę, kawę i jakieś kanapki. Dzieciaki, bardzo zadowolone z tego, że nie trzeba iść spać, bawiły się wśród dorosłych - dzieci było z sześcioro, bo ktoś z sąsiadów przyszedł ze swoimi. Ludzi było dużo, prawie wszy-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

scy nieznajomi albo mało znani, panował niesamowity rejwach, wszyscy palili, wymieniali nerwowe żarciki, wybuchał nerwowy śmiech, wszyscy byli trochę sztywni i zachowywali się nienaturalnie, tylko Władlen był sobą - spokojnie siedział w kąciku i od każdego przychodzącego brał haracz w miarę możliwości: Mir- lin, oczywiście, zostawił rodzinę bez grosza, a "za czynsz, świat- ło i wodę" w tym roku w ogóle nie zapłacono.

Stanisław dał mu dwadzieścia pięć rubli, złapał Zofię z ka- napkami, przytulił na moment - chciał jakoś wyrazić... jakoś prze- kazać. ... a-a, nic nie można było ani wyrazić, ani przekazać...

- No jak tam, w ogóle, staruszek?

- Może być...

- To prawda?

- Jak boga kocham, tak...

O czym miał mówić? I po co? Pozwolił jej się krzątać, usiadł obok Władlena, zgniótł papierosa, zapalił. Czuł się tutaj obcy i nie martwiło go to, a denerwowało. Większość z obecnych nie była sym- patyczna. Słuchał ich i wkurzał się, bo gadali głupoty i banały (o beztalenciu, nieumiejętności i ślepotcie bezpieki), nerwowe głupoty i cięte nerwowości - tak samo jak myszy u siebie - norze nerwowo obgadują tępego, miejscowego kota, który przed chwilą zżarł ma- dame Myszyldę Dwudziestą Drugą... Chciał się wtrącić i zapytać:

"Jeżeli są tacy głupi, to czemu oni na was polują, a nie wy na nich?"

Chociaż dobrze wiedział, że jego pytanie zabrzmiało tak samo nerwo- wo i głupio, jak wszystkie ich dywagacje, no i nie miał zamiaru bro- nić pana kota, sam był tutaj myszą i ta świadomość zabijała i zgnia- tała w nim wszystko, co naturalne, i przerabiała go w coś jadowego, śmiejącego się tak samo nerwowo i zacierającego raczki.

Brzydził się tym, że z jego podświadomości cały czas pcha się do świadomości ohydna myśl dotycząca Siemiona: "Doigrałeś się! Gadu- ło zębata, sto razy ci mówili: nie gadaj za dużo, wsadzą cię, idioto..."

Brzydził się tym, że tak samo jak wszyscy tu obecni czuł się trochę bohaterem: oto jaki jestem - nie przestraszyłem się, nie zastanawiałem się, od razu przyszedłem, spełniłem powinność porządnego człowieka... bez względu na wszystko... a przecież mógłbym przeczekać...

Brzydził się tym, że nie dawała mu spokoju myśl o tym, że przez cały czas był obserwowany, od momentu, jak siadł za kie- rownicą i zaczął męczyć silnik zaporozca, ta myśl i teraz nie da- wała mu spokoju: co to za biały żyguli stał w krzakach za do- mem. Nigdy nie było tam żadnych samochodów...

Siedział, popijając mocną, ale gorzką herbatę, którą przytasz- czyła mu (oczywiście, mama kazała) Sońka-młodsza.

Wszyscy dookoła energicznie hałasowali, dyskutowali, kto ma pisać skargę, jak wymyślić list i kto ma go podpisać, gdzie i jak znaleźć zagranicznych korespondentów, którzy cały czas są w Moskwie, a w Petersburgu się ich nie doczekasz... Nieprzy- jemnie było ich słuchać, ale najbardziej nieprzyjemny był jeden nieznany, gruby młody staruszek, łysy, różowy, nie do wytrzy- mania ambitny i z autorytetem. Głośno, zagłuszając innych, wy- powiadał się na temat doboru kadry do organów:

- ...tam idą najbardziej tępi, najbardziej beznadziejni, naj- wierniejsi... czego po takich ludziach można się spodziewać? To przecież wojsko, koszary w najgorszym wydaniu: żelazna dys- cyplina, podwładni, ślepe posłuszeństwo, żadnej inicjatywy, w żadnym wypadku!...

- Tak - nie zgadzali się z nim - ale to przecież maszyna, są jacy są, ale to tylko część jednego dobrze działającego mechani- zmu. .. - Nie może dobrze pracować maszyna, zmontowana ze złych elementów!

Tutaj Stanisław nie wytrzymał.

- Mylicie się! - powiedział głośno. Za głośno; wszyscy od razu zamilkli i popatrzyli na niego trwożnie. - Mylicie się - po- wtórzył trochę ciszej. - Przeczytajcie von Neumana. Jak zbudow- wać niezawodną maszynę z niepewnych elementów...

- Czy pan uważa, że oni tam... - grubasek zrobił nieokre- ślony gest - ..oni tam czytają von Neumanna?

- Pojęcia nie mam - powiedział Stanisław i wstał. - Aleja czy-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
tam von Neumanna. I nigdy nie będę liczyć na to, że przeciwnik
zrobi głupi krok. Będę się spodziewać, że zrobi najmądrzejszy...
- Ale przecież nie będzie pan dyskutował...
- Nie będę - powiedział Stanisław z satysfakcją. - Muszę
jutro wstać o szóstej rano - skłamał nie wiadomo dlaczego. -
Zofio, kochana, przepraszam, ale muszę już iść... Jeżeli będziesz j
czegoś potrzebowała, to wiesz, prawda? >
W krzakach cały czas stało białe żyguli, w środku paliły się s
czerwone iskierki papierosów. Ci ludzi nawet się nie maskowali. •
Po co? Przecież sami swoi i wszystko wszystkim wiadomo.
I w tym momencie ogarnęła go ślepa wściekłość. Poruszając
się jak manekin zbliżył się do białego żyguli, przesadnie mocno
zapukał do okienka i powiedział cichym głosem: "Macie papie-
rosa, dobrzy ludzie?"
Dali mu chętnie. Za kierownicą siedział chłopak z rozkosz-
nym lokiem na czole, trochę przestraszony niespodziewanym na-
jazdem z ciemności. A obok tuliła się do niego znajoma dziew-
czyna - chyba córka Zoi Iwanowny z trzeciego piętra. "Pardon" -
powiedział Stanisław i nawet nie zapalając jak należy, szybko
zrejerował do zaporozca.
Boimy się, o to chodzi. Boimy się! I wydawałoby się, jeste-
śmy niewinni. I czasy, wydawałoby się, nie te, co kiedyś. A strach
siedzi w tobie jak czarna zadra. Jak choroba genetyczna. Jak odzie-
dziczony syfilis. I nic nie da się z tym zrobić... A może nie trze-
ba nic robić? Jeśli dobrze pomyśleć, to przecież strach jest zba-
wienny. Pomaga nam nie popełniać głupot... Bzdura. Nie pomaga
- kształtuje w tobie niewolnika i tyle. Nie ty z niego korzystasz -
Oni z niego korzystają. Biegł po szarych źle oświetlonych uli-
cach, i myślał, jak dobrze byłoby wyjechać teraz w podróż słuź-
bową gdziekolwiek i zniknąć tam na cały ten straszny czas.
W domu od razu podszedł do szafy z lustrem, wysunął dolną
szufladę i usiadł na podłodze przed kupą teczek. Tutaj zbierało się
wszystko przez długie lata: wycinki z gazet (jeszcze mama zaczęła
wypełniać te teczki), brudnopisy jego artykułów, opowiadań i wy-
124
liczeń, duże, z grubego papieru, koperty ze zdjęciami, albumy, ja-
kieś rocznicowe dyplomy (dawno już nie żyjących koleżanek
mamy), obciążone gumką paczki rachunków, listy do niego od
Łariski i jego listy do niej z wielu lat - wszystko razem, nigdy i przez
nikogo nie układane, w pełnym i trwałym bałaganie...
Samizdatu było tu niedużo, ale jednak trochę. Szczególnie za-
niepokoiło go to, że o wielu materiałach, jak się okazało, zapomniał.
Na początku kwietnia, kiedy u Mirlina nagle -jak zwykle bez przy-
czyny - było przeszukanie, oni wszyscy w panice schowali swój
samizdat, u kogo kto mógł. Pieców, oprócz Stanisława, już nikt nie
miał, nie było gdzie spalić papierów, no i szkoda było, dlatego wszy-
scy miotali się po mieście pod osłoną nocy z ciężkimi torbami i cho-
wali swoje teczki i paczki u rodziny i znajomych (rodzina i znajo-
mą, z reguły nie odmawiali, ale nie obyło się i bez paru skrajnie
nieprzyjemnych - przez swoją nagłość - incydentów). Wtedy Stani-
sławowi wydawało się, że sprzątnął z domu wszystko, co istotne.
W domu został Oddział chorych na raka - strasznie ciężka
teczka wielkości dwóch Biblii. Zostało jeszcze kilka rękopisów
- podejrzanych, ale nie śmiertelnych: Niespokojny Gładili-
na, Psie serce Bułhakowa, cykl wierszy Brodskiego, przepisane
na maszynie piosenki wysockiego, Galicza, Kima...
Serię Przedwczoraj pozwolił sobie zatrzymać. Tę serię ze
dwa lata temu Żeka Małachow przywiózł z Nowosybirsk - opra-
cowanie tamtejszych chłopaków z Instytutu Budkerowskiego: ma-
leńkie, po dwadzieścia, trzydzieści linijek, historyjki, każda z nich
zaczynała się słowem "przedwczoraj...", i były w nich opisane
wydarzenia całkiem współczesne, ale dzieje się to jakby w car-
skiej Rosji. ("Przedwczoraj siedzimy w Stelnie - Paszka Moło-
stow, Książę Dudu i ja. Zamówiliśmy tuzin szampanów, czeka-
my. A tutaj, wyobhaźcie sobie, pojawia się koło naszego stolika
jakiś cywil: "A co panowie hosijscy oficehowie myślą o wojnie
we Wietnamie? No i trzeba było się strzelać!")
Nie wiadomo jak i kiedy trafiła do domu para numerów, „News-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
weeka": jeden z kolorowym portretem Idi Amina Dada na okładce, drugi - ze zdjęciami Trackiego, Bucharina, Rykowa i innych - przez każdą z twarzy biegł czarny napis: MURDERED albo SUICIDED... Teraz jednak wyjaśniło się (przykra niespodzianka), że w skrzyni została również cała teczka "białego TASS-a" (ściśle tajne i dla celów służbowych). Teczkę tę przytaszczył nie wiadomo skąd jeszcze Saszka Kalitin, może z dziesięć lat temu. Nic nadzwyczajnego w tym "białym TASS-ie" nie było, o tym wszystkim wiedzieli albo z plotek, albo z "głosów", ale prawdopodobnie mogłoby paść pytanie: a skąd naprawdę macie te materiały, obywatelu Krasnogorow? I wtedy trzeba by było albo kłamać, albo zwalić wszystko na Saszkę. Saszki, oczywiście, już nie ma, i jest mu wszystko jedno, ale kto może powiedzieć z góry, gdzie się nic pociągnie i o kogo pętla zahaczy, jeżeli dać im choćby koniuszek... Został też, jak się okazało, egzemplarz Rozmyślań o postępie, pokojowym współistnieniu i intelektualnej wolności Sacharowa. Dostał wtedy rękopis na jeden dzień, pilnie przepisał go na komputerze, powielił w dziesięciu egzemplarzach, plik usunął, egzemplarze rozdał, a oryginał, został u niego - leży w teczce "Dokumenty Epoki" i czeka na swoją kolej... No, to już czysty paragraf siedemdziesiąty.

Poczuł atak lodowatej paniki na myśl o tym, że wszystkiego się nie przewidzi, nie zapamięta, nie weźmie pod uwagę. Góra papieru wydawała mu się straszną pułapką, w której ukryta jest mina. Prawie nie widząc liter, przerzucił kartki kolejnego rękopisu. Nie od razu przypomniał sobie, co to jest. Nazwiska autora nie ma. Dziwna, niezgrabna nazwa: "...Swoją Partyjną Linie..." - wydaje się, że to coś z Lenina. Potem przypomniał sobie: to artykuł Saszki Kalitina o wydarzeniach i w ogóle - o rewolucji kulturalnej w Chinach. Dobry artykuł. Całkiem, tak a propos, wierноподдаńczy, ale z takim wyraźnym zapaszkim, że w końcu nie udało się Saszce nigdzie go wydrukować. Biedny! A tak się chciał wyróżnić! Tak chciał wyrobić sobie nazwisko! Dla tego gotów był prawie na wszystko. A może po prostu na wszystko, bez żadnego "prawie"... Wikont powiedział mu w twarz, ostro i dobitnie: "Ty już jesteś gotów im tyłki lizać, Aleksasza. Jesteś gotów. Ale nie rozumiesz, że tego jeszcze za mało. Oni lubią, żebyś nie tak po prostu lizał im tyłki, oni lubią, żebyś to robił z przyjemnością!". Biedny Saszka... Wszystko tu zostawił, wyjechał do Moskwy, obijał się tam jak ryba o lód, pił z różnymi szujami, do partii dokumenty złożył, prawie niczego nie osiągnął i zmarł z pijactwa w wieku niespełna trzydziestu pięciu lat (po pijaku albo miał jakiś wypadek, albo zabili go w okrutny sposób, ciemna, niejasna historia, okaleczyli strasznie - pochowano go w zamkniętej trumnie). Wikont uważał go za najbardziej utalentowanego z nas wszystkich... Cóż, możliwe że tak było. Chociaż czasami pojawiała się w nim coś nie do opisania plebejskiego, jakiś ohydny prymitywny muł, i wtedy wikont mówił do niego: "Luki w twoim wychowaniu, mój bracie, można porównać chyba tylko z lukami w twoim wykształceniu...". I Saszka jakby się załamywał na pełnej prędkości. Teraz to już nie było ważne. Pytanie, co zrobić z artykułem? Spalić? Nie... Guzik. Niech leży. A o co chodzi? Całkiem partyjny artykuł. Partia potępiła rewolucję kulturalną w Chinach? No i Saszka Kalitin - też. I nawet, o ile pamiętam, z przyjemnością...

Skąd to nasze poczucie winy? Mało im, że milczymy, głosujemy za i posłusznie chodzimy na ich śmierdzące spotkania. Czemu na dodatek żądają, żebyśmy ich lubili? Przecież nigdy ich nie polubimy, i dobrze o tym wiemy. A jednak uparcie żądają, żebyśmy udawali, że ich lubimy. Jesteśmy zobowiązani udawać, że liżemy ich tyłki i przy tym - z przyjemnością... Takie są reguły tej ciekawej gry. A jeżeli ci się to nie podoba, wybieraj: na wschód albo na zachód? I jeszcze podziękuj, jeżeli pozwolą ci samemu dokonać wyboru.

Nagle przypomniał sobie, jak w środku nocy, budząc cały dom, zadzwoniła z Moskwy nadobna Azora, ostatnia dziwka Saszki, i zakrzyczyła w słuchawkę: "Sława! Sława! On umarł! Sława! Jak ja teraz będę żyła!...". Ruszył na dworzec, biletów

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

nie było, i pieniędzy też nikt, do diabła, nie miał - oni z Siemionem i Żeką docierali do Moskwy kolejkami podmiejskimi (okazało się, że to rzeczywiście możliwe!) - przez całą noc i cały następny ranek... Pochowali. wrócili do Petersburga. A po dwóch dniach przyszedł list z tamtego świata. Od zmarłego Saszki. Napisał i wrzucony do skrzynki pocztowej chyba kilka godzin przed śmiercią... Pisał na końcu: "Załatwiłem dla ciebie super-pracę, Stasie. Przyjeżdżaj natychmiast. Pieniądze wysyłam już dzisiaj. Szczegóły - nie pocztą i nie przez telefon". Był to okres (krótki, ale mało przyjemny), kiedy Stanisław znalazł się nagle na uboczu i dorabiał roznosząc gazety ze swojego oddziału pocztowego. Co mu wtedy Saszka załatwił? Pieniądze, oczywiście, nie przyszły. I sam list był dziwny, urywany, z hultajskimi wierszykami i drobiazgowymi wiadomościami. A na końcu, już po podpisie - postscriptum. Teraz nikt niczego się już nie dowie. No i nie ma specjalnej potrzeby. Chociaż z drugiej strony, gdyby Saszka żył jeszcze choćby tydzień i gdyby jego postscriptum nie było pijackim gadaniem... Mieszkałby teraz w Moskwie i niczym by się nie martwił...
Już po pierwszej w nocy zjawił się wikont, mroczny i poirytowany.

- Archiwa czyścisz? - zapytał jadowicie. -Niepotrzebnie się starasz. Po pierwsze, nie będziesz miał żadnej rewizji, nie jesteś nikomu potrzebny. A po drugie, wszystkich dowodów i tak nie schowasz.

- Schowam.

- Nie schowasz. Fizjonomii swojej krzywej nigdzie nie schowasz. I kłamliwych oczek też. I przemówień, całkowicie pozbawionych administracyjnego zachwytu...

- Dobra. Lepiej popatrz na siebie...

Spierali się w ten sposób z dziesięć minut, a potem wikont zapytał:

- Co masz zamiar zrobić z powieścią?

- Nic - powiedział Stanisław, trochę zagubiony. - A bo co?

- Schowaj - poradził wikont krótko.

- Ale po cholere? Komu ona przeszkadza?

Wtedy Wikont sucho, energicznie przypomniał mu historię z powieścią Grossmana.

- Przecież nie jestem Grossmanem!

- Nie bądź idiotą. Zabiorą i nie zwrócą. Będzie ci się chciało przepisywać? Znowu? Wszystko od początku?

To miało sens. Stanisław powoli zapalił. Jego wyobraźnia już zaczęła działać. Wikont patrzył na niego z nad swojej fajki smutno i twardo.

- Sukinsyny - powiedział Stanisław ze smutkiem. - Co oni z nami wyprawiają? Przecież jesteśmy porządnymi, spokojnymi i niewinnymi obywatelami? Po cholere robią z nas konspiratorów? Już wiedział, komu zawiezie powieść. To powinien być człowiek absolutnie zaufany i jednocześnie taki, o którym nikt nie powie, że jest najbliższym z przyjaciół, i dlatego nie przyjdą do niego.

- A ty gdzie schowałeś swój samizdat? - zapytał i od razu się poprawił: - Nie, nie, nie mów. Głupie pytanie. Przepraszam.

Wikont uśmiechnął się.

- Boisz się, że nie wytrzymasz tortur? - zapytał podstępnie.

I wtedy Stanisław nagle zadał pytanie:

- Słuchaj, a czemu tam u ciebie wszyscy są tacy granatowi?

Dawno już chciał o to zapytać, ale się powstrzymywał, zdawał sobie sprawę, że pytanie było nie na miejscu. A teraz postanowił, że nie będzie się już powstrzymywać, i pożałował. Oczy wikonta jakby pokryła zasłona. Zamarł. Przez kilka sekund w pokoju panowała nienaturalna cisza, potem wikont powiedział:

- Opowiadałeś o tym komuś?

- Nie. Coś ty, masz mnie za idiotę?

- Nie wiem - powiedział wikont z nieprzyjemnym uśmiechem. - Być może. Miałem nadzieję, że nic wtedy nie widziałeś.

A jeżeli widziałeś, to zapomniałeś.

- Właśnie tak jest. Możesz się nie martwić.

- Ty, ośle. Nie ja mam się martwić, rozumiesz? Nie ja.

- No dobra. No już. Milczę. Przepraszam.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

- Dobrze - powiedział wikont. - Miejmy nadzieję, że już przedtem rozumiałeś, jak trzeba do tego podchodzić, a teraz zrozumiałeś do końca.
- Stanisław kiwnął głową. Czuł się gadułą, w rodzaju Mirlina. (Mirlin był przekonany, że wikont w swojej "skrzyni" zajmował się badaniem nieśmiertelności. To jedyna rzecz, jaką powinna się zajmować każda porządna "skrzynia". "Skąd wiesz, ile razy umierał Stalin? A zamach na Castro - przecież się udał! Dlatego Amerykanie zbaranieli, kiedy za dwa tygodnie znowu wlaź na trybunę jak nowiutki! A ile razy będzie umierał nasz Łońka? Raz już, jeżeli chcesz wiedzieć, oddał duszę Bogu. I proszę, jaki świeżutki. Tylko dar mowy jakoś stracił - chociaż nigdy nie był Demostenesem. Widzę, jak mniej więcej za trzydzieści lat siedzi nasze Biuro Polityczne w pełnym składzie: dwanaście trzykrotnie zmartwychwstałych trupów, każdy ma sto lat z okładem, nic już nie kumają, ale rządzą!" - "To bardzo możliwe - powiedział wtedy Stanisław. - I wszyscy granatowi, granatowi..." Od razu ugryzł się w język, ale Mirlin chyba nie zwrócił na to żadnej uwagi - widocznie przed jego oczami stały zupełnie inne obrazy).
- Dobra - powiedział, chowając teczkę do plastikowej torby. - To wszystko. Porozmawialiśmy. Cofam wszystko, co powiedziałem. I nie martw się. Jestem gadułą, ale to się da naprawić. Chodź, jedziemy z Bogiem...
- Poszukiwanie przeznaczenia

Rozdział 6

- Lato zaczęło się wyjątkowym upałem. Asfalt miękł już od rana. W mętnym gorącym powietrzu pływał natrętny puch topoli - białe włókna wiatr miotał po drogach. W miejscowościach podmiejskich paliły się torfowiska. Wydano zakaz wchodzenia do lasów, a szczególnie wjazdu samochodów. W pracy spoceni, wściekli ludzie namiętnie dyskutowali, co jest lepsze: trzymać wszystkie okna szeroko otwarte, czy odwrotnie, szczelnie je zamknąć i zasłonić. W białe duszne noce z piwnic wylatywały chmary komarów-mutantów - cichych, krwiożerczych, jak piranie. Udary słoneczne były na porządku dziennym, jakby wielomilionowe miasto przeniosło się nagle na pustynię BetPakDała. Sąsiadka straciła przytomność w kuchni - "zemdlała". Stanisław na śmierć się przestraszył, ale wszystko dobrze się skończyło: pod wieczór przyjechał jej nowy adorator - siwy gruby człowiek o przemiłych manierach złodzieja - przyniósł butelkę ulubionego portwajnu "Trzy siódemki", i do późnej nocy słycać było u nich ciche, stłumione śpiewanie: Chas-Bułat chwacki, a także Jaki piękny jest dzień, jak przyjemny jest promień słońca i Jakim byłeś, takim i zostałeś...
- Rano Stanisław, niewyspany, spocony i zły, zaraz po przyjęściu został wezwany do Jeżewatowa.
- Pisz sprawozdanie z "Antyturinga" - powiedział bez żadnego wstępu towarzysz naczelnik, też spocony, też zły i też niewyspany. - Szybko. Żeby na jutro było gotowe.
 - Dlaczego tak nagle?
 - A dlatego, że nasz Akademik wczoraj zmienił obuwie - powiedział Jeżewatow z takim krzywym uśmiechem, że Stanisław od razu skojarzył, o co chodzi, chociaż eufemizm Jeżewatowa nie był mu znany.
 - To znaczy? - zapytał na wszelki wypadek.
 - To znaczy: kopyta wyciągnął. Wyprostował się. Wykitował... Wreszcie doczekaliśmy się tego smutnego wydarzenia.
 - Jasne - powiedział Stanisław, nie czując nic. - Mówiono, że naprawdę był taki sobie?
 - Nawet bardzo "taki sobie". Gdyby wszystkich tych, na których doniósł, postawić w rządzie, to ten rząd sięgałby stąd aż do Dużego Domu. Ale można z nim było pracować, rozumiesz, o co chodzi... Miewał chwile słabości i trzeba je było wykorzystywać... Już prawie się zgodził wysłać siebie z Zinaidą do Berkeley na staż. I nasz "Antyturing" mu się podobał. A teraz będzie na jego miejscu ten dupek wsiechswiatski: "Antyturinga" postara się wysłać do diabła, a do Berkeley pojedzie oczywiście nie Krasnogorow

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
z WNIITEK-u*, a jakiś Szarodupski ZNIISTO**. Zrozumiałeś?
Stanisław rozumiał, ale pozostał zupełnie obojętny. ANTY-
TURING już mu się trochę znudził, a o Berkeley słyszał teraz po
raz pierwszy i dlatego gorycz niespełnienia (najsmutniejsza rzecz
na świecie) nie mogła poważnie ukłuć go swoim jadowitym żą-
dłem.

Poszedł pisać sprawozdanie i pisał przez cały dzień, bez obia-
du, tylko herbaty się napił z sucharkami. O piątej wszyscy opuścili
laboratorium, zrobiło się cicho i chyba nawet chłodniej. O szóstej
przed wyjściem zajrzał Jeżewatow, przerzucił już gotowe kartki,
opowiedział bajkę z serii "Stuk-stuk. Kto tam?..." (Stuk-stuk. -
Kto tam? - KGB. - Czego chcecie? - Porozmawiać. - A ilu was tam
jest? - Dwóch. - No to porozmawiajcie sobie). Poinformował, że
Akademik kazał odprawić nabożeństwo nad swoją trumną w so-
borze Świętego Mikołaja (w komitecie obwodowym wszyscy na
głowach stają, jaja sobie gryzą...) i poszedł, chrupiąc ostatni su-
charek. Stanisław został i dopisał brudnopis do końca. Było już
wpół do ósmej.

Przyjechał do domu około ósmej. Starannie zaparkował na swo-
im miejscu, koło latarni (żeby złodziejowi było niewygodnie wyłamy-
wać przynajmniej prawe drzwi), wyłączył silnik i posiedział chwilę
za kierownicą, patrząc przed siebie w głąb siniego z upału prospektu.
Wiatr rzucał po jezdni białe puchy topoli. Na budowie super-
hotelu upijała się jakaś kobieta. Studenci wojskowej Akademii
Medycznej wyskakiwali z przechodniego podwórka jak zielone
koguciki. Niebo było mętne, biało-niebieskie. Było lato. wysiadł
z samochodu i od razu popatrzył do góry, na swoje okna. Okna, oczy-
wiście, były zamknięte. Oderwał oczy i zaczął starannie zamykać

* WNIITEK - wsierossijskij Nauczno-Issledowatielskij Institut Tiejchnologii
Kompjuternej (wszechrosyjski Naukowo-Badawczy Instytut Technologii Kompute-
rowej).

** NIISTO - Nauczno-Issledowatielskij Institut No. 100 (Instytut Naukowo-
Badawczy No. 100).

samochód: zatrząsk prawych drzwi... wycieraczki zdjąć... ze-
wnętrzne lustro zdjąć. Lewe drzwi...

Na schodach frontowych prawie zderzył się z jakąś kobietą i cof-
nął się. Miała ciemną twarz i spokojne szare oczy z czarnymi rzęsami.

- Dzień dobry, Sława - powiedziała, i dopiero wtedy ją po-
znał. To była Pola. Czterdziestoletnia Pola.

- Dzień dobry - powiedział.

Stali na schodach frontowych i patrzyli na siebie. W milcze-
niu. Długo. Chyba przez całą minutę. Potem gromada małych
dzieci wybiegła z drzwi i hałasując zaczęła przebijać się między
nimi i obok nich, i omijając ich. Pola powiedziała coś - jej wargi
się poruszyły i na moment błysnęły zęby: białe i wilgotne.

- Co? - zapytał szybko.

- Mówię, że mam przyjemność czytać cię prawie codzien-
nie... - głos miała ten sam, trochę głuchawy, aksamitny, głos
spokoju i wolności.

- Nie rozumiem, o czym mówisz...

- No, w "Smienie" przecież ... Świąteczne notatki...

- A! - wreszcie dotarło do niego. - Nie. To nie ja.

- Jak to nie ty? Es Krasnogorow. Świąteczne notatki...

- Nie. To jakiś mój imiennik. Wszyscy znajomi mnie pytają,
aja... ani du du...

- Szkoda.

widać było, że jest naprawdę zasmucona. To była ta sama Pola:
jeżeli coś ją smuciło - była smutna, a jeżeli cieszyło, każdy wie-
dział, że się cieszy. Złoto nie matowieje. Dobre jest zawsze dobre.
Znowu zamilkli, a potem Pola powiedziała:

- Sława, ja wszystko wiem. Nie wiedziałam tylko, jak mogę...

- Nie trzeba - odparł szybko.

- Dziwne to jednak. Mieszkamy w jednym domu, a widzi-
my się raz na dziesięć lat...

- I nawet na tej samej klatce.

- Tak, to prawda, na jednej klatce... Gdzie teraz pracujesz?

- I widzimy się nie raz na dziesięć lat, a raz na piętnaście...

Nawet raz na siedemnaście... Koszmar!... Pracuję cały czas

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

w tym samym miejscu, we WNIITEK-u.

- Jesteś matematykiem?

- Tak. W pewnym sensie.

- Poducz moją Sańkę z matematyki. Jesienią zdaje na studia.

- Jak to, na studia?! Sańka na studia?! Coś ty, dokuczasz mi? To ile my mamy lat, Pola? Staruszko!

Też zażartowała. Coś a propos starości, wnuków, siwych włosów i zbędnych kilogramów. Ale myślała, oczywiście, o czym innym. W jej oczach błyszczał żal. I jeszcze coś w nich było - coś niepotrzebnego i nie na miejscu. Trzeba uciekać.

- Słuchaj, przepraszam! - powiedział. - Za chwilę powinni do mnie zadzwonić z Moskwy... To biegnę?

- Biegnij - rzuciła.

A co jeszcze mogła mówić? Jemu. Dzisiaj. Tutaj.

Przeskakując po trzy stopnie, dotarł na swoje trzecie piętro.

Nie od razu wsadził klucz do zamka - nerwy jednak trochę puściły, ruchy stały się nieskoordynowane, jakby przed chwilą dźwigał skrzynie albo walczył z czymś niesamowicie ciężkim...

Wszedł do pokoju, do zadymionej duchoty, i najpierw zbliżył się do prawego okna, otworzył je szeroko, wyjrzał i popatrzył w dół. Zaporozec stał na miejscu - żółty dach świecił lakierem i odstawały głupie uszy. Wiatr cały czas przeganiał puch topoli.

- Jestem zmęczony - powiedział. - Dzisiaj jestem zmęczony. Za gorąco. Chociaż lubię upały. Mam, jak wiadomo, idealną termoregulację.

Wreszcie odwrócił głowę i popatrzył jej w oczy. Uśmiechała się, jak zawsze. I jak zawsze poczuł, że mdleje. I jak zawsze nie zemdlął.

- Spotkałem Połę - powiedział. - Prawie się nie zmieniła.

Ale nie od razu poznałem... Ciekawe, dlaczego?

Nic ciekawego, pomyślał. To już minęło. Dawno.

- Byłem w niej strasznie zakochany - przyznał się. - Nigdy ci o tym nie mówiłem, bo... bo... Po co? Nie chciałem, żebyś mi powiedziała o kimś, że, słuchaj, byłam w nim zakochana dawno temu w dzieciństwie...

Zamilkł: nagle usłyszał swój głos. To był głos samotnego, histerycznego mężczyzny w dużym, jasnym, pustym, nie posprzątanym pokoju, śmierzącym papierosami. Zrzucił kurtkę, powiesił ją na krześle i sięgnął do lodówki.

Potem usiadł przy stole, tyłem do portretu, i zaczął jeść bez apetytu. Puszki gorbuszy "w pocie własnym"... wyschnięta wczorajsza bułka... zwietrzała woda mineralna...

Starał się o niczym nie myśleć. Na myśl o pracy - chciało się wymiotować, a od rozpamiętywania przeszłości kręciło się w głowie, nie dawał rady. Ucieszył się, kiedy zadzwonił telefon i sąsiadka milutkim i tchórzliwym głosem, jaki zawsze miała po odwiedzinach adoratora, wywołała go na korytarz.

- Witaj - powiedział wikont, jak zwykle oficjalnie. - Gdzie się włóczysz tak długo, dzwonię do ciebie piąty raz.

- Dopiero co wróciłem. Pracowałem. Jem teraz...

- Dostałeś zawiadomienie?

- Jakie znowu zawiadomienie?

- Dobra, zaraz do ciebie przyjdę - powiedział wikont niezadowolonym głosem.

- Jakie zawiadomienie?! - ryknął, ale w słuchawce słychać już było tylko sygnał.

Wtedy odwrócił się do sąsiadki.

- Czy przynosili dla mnie zawiadomienie? - zapytał takim tonem, że nawet nie ośmieliła się odpowiedzieć, tylko wskazała palcem w stronę skrzyni, gdzie leżały gazety.

Chwycił niebieski papierek. To rzeczywiście było zawiadomienie. Z UKGB, Litiejny cztery. Duży Dom. Stawić się>... Jutro... O dziesiątej rano... wejście numer pięć... jako świadek... sędzia śledczy... jakiś Chromienkowski... albo Chromonożski...;

- Kto to przyniósł? - zapytał ostro.

- Jakiś facet. Już nie młody. Z muszką i w słomianym kapeluszu. Uprzejmy.

- Co powiedział?

- Zapytał o pana, a potem prosił przekazać.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

- Nie zapytała pani, o co chodzi?
- Ależ pytałam! A on mówi, że sam nie wie! Jak przyjdzie, powiada, wszystko mu, powiada, opowiedzą...
Dopadli, pomyślał. No dobrze. Dobrze. Cóż, właściwie nic niespodziewanego się nie stało. Dopadli. Teraz będziemy żyli tak... Jego myśli rozbiegły się, choć rzeczywiście nie stało się nic niespodziewanego.
Najpierw, zanim usiadł, wikont przestudiował zawiadomienie.
- "Krasnogorski"... - powiedział stanowczo. - Przecież chyba nie "Krasnoczarny"! Krasnogorski. Gratuluję. Prawie jak rodzina. A u mnie jakiś Poleszuk... - Usiadł na swoim miejscu w kącie kanapy. - No, i co powiesz, świadku?
- Można się domyślić, że to w sprawie Siomki.
- Zgadza się.
- Można się domyślić, że będą pytać o ten jego artykuł.
- N-no-no?
- Nie czytałem. Pierwszy raz słyszę.
- Naprawdę? Naprawdę pierwszy raz? Coś się panu stało z pamięcią! Niech pan sobie dobrze przypomni, niech pan się postara... Zima, śnieżyca, wiatr, śnieg pada puszystymi płatami... Czy pan sobie przypomina? Przyszedł oskarżony, przyniósł mokrą torbę...
- Nie pamiętam. Nic takiego się nie zdarzyło... Czy to naprawdę działo się zimą? Nic nie pamiętam, jak Boga Kocham, wasza ekscelencjo.
- Nie jestem twoją ekscelencją, antyradziecka mordo! Jestem dla ciebie sędzią śledczym od bardzo poważnych spraw, pułkownikiem Krasnogorskim!
- No nie. Guzik. Nie będzie w ten sposób rozmawiał. Nie te czasy.
- No, dobra - zgodził się wikont, nabijając fajkę. - Nie te, to nie te... Ale oskarżony Mirlin mówi...
- Nie oskarżony, tylko podejrzany.
- Podejrzani są wolni! - huknął wikont i jego oczy zrobiły się jak szklane. - A jeżeli siedzi u nas, to znaczy koniec, oskarżony!
- No-no! Znowu zajechałeś w średniowiecze...
Przez jakiś czas bawili się w ten sposób, wymieniając się rolami i co minutę zajeżdżając w średniowiecze, bo obydwaj nie mieli pojęcia ani o sposobach przesłuchania, ani - co ważniejsze - o tym, co sędzia śledczy Krasnogorski-Poleszuk wie o istocie omawianej sprawy.
Siemion, niedługo przed aresztem, póki jeszcze tylko ciągal go na przesłuchania, opowiadał, że przedstawił tam siebie w ten sposób: o sobie - wszystko, proszę bardzo, ale o innych - nie, nie i nie. "Nazwisk nie podaję". Takie stanowisko wyglądało całkiem przekonująco, chociaż pojawiała się niepewność, zwykła niepewność: czy człowiek, który raz zaczął mówić, jest zdolny do tego, żeby w odpowiednim momencie i w odpowiednim miejscu się zatrzymać? Jak się dowiedzieć, jak się na czas zorientować, że jest już w zakazanej strefie i że właśnie na to - najniewinniejsze! - pytanie nie wolno odpowiadać pod żadnym pozorem? Przecież po ich stronie stoi metodyka, dziesiątki lat doświadczenia, sposoby wyszlifowane aż do blasku. To jest maszyna, mocny, świetnie wyregulowany program, który nie zna zmęczenia ani zacięcia, ani rozczarowania, ani zachwyty. To tylko tak się mówi, że maszyna nie może być mądrzejsza od człowieka. To tylko nawiedzeni głupcy sądzą, że maszyna nie jest zdolna do zwycięstwa nad człowiekiem w intelektualnym pojedynku. Tak naprawdę, dawno już go zwyciężyła. Tak, jest na świecie kilkuset arcy mistrzów, co jeszcze w żartach mogą wygrać z każdym szachowym programem, ale cała reszta milionów szachistów, cała, w gruncie rzeczy ludzkość, już nie jest w stanie wygrać z maszyną, ma tylko jeden sposób, aby uniknąć porażki: w ogóle nie zaczynać gry... Ale, ale tu chodzi o taką grę, w której twoje chęci nikogo nie interesują. "Tutaj Rodos - tutaj skacz", siadaj i graj. I zostaje tylko jedna przyzwoita możliwość: ogłosić własne reguły gry. Otwarcie i twardo: nienawidzę was; wszystko, co robiliście kiedykolwiek, robicie teraz i macie zamiar robić w przyszłości - to niktzemność, bagno, paskudztwo i moralny śluz. Ja nie mam zamiaru w tym uczestniczyć. Absolutnie. w żadnej for-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

mie. Bo każda współpraca z wami jest niemoralna i zabija duszę. Proszę zapisać to moje oświadczenie do protokołu. Odmawiam dalszej rozmowy. Nie powiem więcej ani słowa.

Świetnie. Ale wtedy od razu się zaczyna:

- Czy mamy przez to rozumieć, że stosunek pana do organów jest wrogi?
- Odmawiam odpowiedzi.
- Czy mamy rozumieć, że pan pozytywnie odnosi się do antyradzieckiej działalności pańskiego przyjaciela?
- Odmawiam odpowiedzi.
- Czy mamy rozumieć, że pan w ogóle popiera antyradziecką działalność?
- Odmawiam odpowiedzi.
- Czy mamy rozumieć pana w ten sposób, że po odkryciu dowodów dywersyjno-spiegowskiej działalności kogoś z pana znajomych, pan nie spełni swego obywatelskiego obowiązku?

Milczenie.

- A czy nie nadszedł w takim razie czas wyboru: na wschód panu bliżej, czy na zachód? Tutaj tacy jak pan po prostu nie są nikomu potrzebni. Co, zgodzi się pan, jest całkiem oczywiste. Tutaj jest kontrapunkt całej sytuacji, wszystkie możliwe warianty zakręcają się w nieznośną pętlę i jedyna uczciwa, i jedyna prawidłowa droga kończy się na skraju przepaści. To ogłoszenie wojny beznadziejnego, małego, samotnego człowieka z Państwem Maszyną. Tej wojny nie można wygrać, jeżeli ceni się swoją wolność i ojczyznę, jeżeli jest się gotowym żyć tylko dla wolności i tylko w ojczyźnie.

Cała reszta wariantów to kompromisy. Mniej lub bardziej cwane. Mniej lub bardziej brudne. Mniej lub bardziej wstydliwe. A wszystkie - niegodziwe. Mniej lub bardziej.

- Nie - powiedział w końcu Stanisław. - Ja tak nie mogę... od razu w łeb. Jednak postaram się kręcić. Być może uda się wykręcić bez widocznych strat. W każdym razie, nazwisk wymieniać nie będę.

- W pewnych okolicznościach.
- W żadnych. To jest granica., „Nie da się jej przekroczyć”. Tak?
- Chyba tak.
- I w ogóle niepotrzebnie się straszymy. Nic o nas nie wiedzą i wiedzieć nie mogą. Przecież nie można poważnie przypuszczać, że mnie tutaj podsłuchują! Kim ja dla nich jestem - Sołżenicynem? A Siomka nic im nie powie, tak że o niczym nie wiedzą, i właśnie od tego trzeba zaczynać. Zgadzasz się?
- To nie gra znaczenia - powiedział wikont, przychylił się przez oparcie sofy i zdjął ze ściany gitarę.

- Co nie gra?

- Czy ja się z tobą zgadzam, czy nie. Nie gra znaczenia. I nie ma roli... - Zagrał kilka brzęczących chwytów i zaczął z przejęciem: Znudziło mi się, czas najwyższy

Do błahych spraw przykładać wagę

I Stanisław nie miał już wyboru, musiał podchwycić:

Na brygantyny maszt najwyższy

Flibusterską wciągnąć flagę.

Zaśpiewali Brygantynę - z godnością i uczuciem, jak dobrzy obywatele jakiejś błogostawionej Harmonarii śpiewają swój hymn na Dzień Dobrego Powietrza - potem, bez przejścia, zaśpiewali szybko: Patrzy urka: frajer na majdanie..., a potem, instynktownie, jakby wołając na pomoc miłą i wieczną przeszłość, własnego autorstwa: Nie jestem poetą, nie jestem ascetą... - wszystkie dwadzieścia trzy zwrotki z powtórkami i pogwizdywaniami. Potem wikont odłożył gitarę i powiedział:

- Herbatą byś przynajmniej poczęstował, jeżeli wódki nie dajesz... - i dodał w zamyśleniu: - Niedawno tu widziałem szproty. Lubię szproty przed snem, wiesz... I tobie polecam. Stanisław popatrzył na niego, odczuwając atak dziecinnego optymizmu. Wszystko będzie dobrze, pomyślał. Wszystko się ułoży. Co tam my, w końcu... Ale głośno powiedział tylko ulubione powiedzonko mamy:

- Babciu, daj wody się napić, bo tak się jeść chce, że nawet

nie ma gdzie przemocować!

W nocy spał źle. Prawie w ogóle nie spał.

Nagle przypomniało mu się, że w swoim czasie dał Siomce poczytać Przedwczoraj. Siomka, skubaniec, nie zwrócił mu maszynopisu, teraz jest na pewno u nich, i oni chyba już wiedzą, na jakim ACPU* go wydrukowano. Z maszynopisem Rozmyślał nad postępowaniem Sacharowa ta sama historia...

Wstał, usiadł przy oknie i palił do samego rana, do świtu, znowu i znowu rozgrywając jutrzejszy dialog z sędzią śledczym. U wikonta też światło się paliło aż do szóstej, kiedy wstrząsając miastem, z żelaznym charkotem i rykiem, powlokły się na budowę jedna za drugą straszne ciężarówki z betonowymi blokami na przyczepach.

Rozdział 7

Później dziwił się sobie: do jakiego stopnia kapryśna, wybredna i beznadziejna okazała się jego pamięć o tym dniu. Nie, zapamiętał dużo i chyba nawet wszystko, co najważniejsze. Jed* ACPU - Alfawitno-Cyfrowoje Pieczatajuszeje Ustrojstwo (Alfabetyczno-cyfrowe urządzenie drukujące).

nak niektóre momenty ktoś jakby jakimś trującym środkiem zmył z jego mózgu. I jakieś urywki rozmowy. I jakieś obrazy. I jakieś myśli, pojawiające się w czasie tej rozmowy.

Drzwi do wejścia numer pięć zapamiętał, i nawet tak dobrze, że teraz chyba aż do śmierci nie zapomni, ale co było zaraz za drzwiami? Chyba ogromne pomieszczenie... Właściwie samo pomieszczenie nie było ogromne, tylko wysokie - ściany uchodzące w żółty mrok do niewidocznego sufitu. Stary, z czerwoną twarzą i czerwonymi policzkami chorąży za stołem z telefonami... Schody z białego marmuru, wiodące gdzieś do góry, gdzie nie wiadomo dlaczego było światło -jasne, słoneczne... Skąd?...

(Właściwie, na zewnątrz był jasny, gorący, słoneczny dzień). Chorąży wziął od nich wezwania, przepustki, szybko spojrzął i podniósł słuchawkę. Tutaj po raz pierwszy Stanisław dowiedział się, że można rozmawiać przez telefon tak, że stojący obok nic nie słyszy, ani jednego słowa, nawet jednego dźwięku, widać tylko poruszające się wargi mówiącego i szklane oczy jakby podczas wysłuchiwanie zeznań.

No, słuchawka odłożona. Teraz zapanowała pełna i absolutna cisza i dookoła zrobiło się zimno, jak bywa zimno w grobowcu albo piwnicy, a oczy wikonta były zmrużone, usta - bezczelnie gderliwe i ręce w kieszeniach -jakby znowu miał dwanaście lat i musiał odpowiadać za rozwaloną żarówkę w klasie...

Potem na górze schodów rozległy się głosy, szum kroków, i ze słonecznego światła, jak anioły, zeszły dwie osoby i zaczęły bez pośpiechu, z życzliwymi uśmiechami schodzić do nich - i tutaj pojawiają się pierwsze luki w pamięci.

Właściwie wiadomo, że jednym z tych dwóch był major Krasnogorski, a drugim - kapitan Poleszuk. Obydwaj byli młodzi, około trzydziestu, trzydziestu pięciu lat, ale major był krępy, krzepki, z okrągłą głową, w dość znoszonej brązowej kurteczce, a kapitan przeciwnie, wysoki (chyba siatkarz), ładny, elegancko ubrany, w ciemnym garniturze, w kremowej koszuli i krawacie w kropki. Wesoło, nawet z jakimiś żarcikami, zabrali swoich podopiecznych, ale w jaki sposób Stanisław znalazł się w gabinecie swojego majora - na twardym krześle naprzeciwko służbowego biurka z maszyną do pisania i kupajakichś papierów - tego nie pamięta. Zdaje się, że najpierw szli długim, pustym korytarzem, gdzie było wesoło, obojętne słońce i wisiała tablica agitacji pogładowej z narysowanymi flagami, kłosami zboża i portretami obu Iljiczów...

"Proszę dowód... No, no - jesteśmy prawie imiennikami..."

I turkocze maszyna do pisania - żywo, ostro - zgrabnie nauczył się pisać major, chociaż tylko dwoma palcami... Pomieszczenie obszerne, ale wąskie, długie od drzwi do okna, z kratami i - znowu - nienaturalnie wysokie, ze cztery metry do sufitu, a może nawet pięć. W kącie, przy samym oknie - duża żelazna szafa, pomalowana na brązowo, byle jak, z zaciekami... Czy to nie ta sama,

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
której dotykał ustami nieszczęsny psychopata z opowiadania Amalii Michajłowny?... "Uprzedzamy was, Stanisławie Zinowiewiczu, o odpowiedzialności za podawanie fałszywych zeznań..." (Albo coś w tym rodzaju). "Proszę o podpis tutaj..." I pierwsze, całkiem spodziewane, pytanie: "Domyślcie się chyba, po co was wezwano?". Po prostu jak e-dwa, e-cztery - standartowy początek, domowe zapasy. "Pojęcia nie mam". - "Wcale się nie domyślcie?" - "Wcale". Jakie to obrzydliwe - kłamać w ustach - ohyda. Sucho i ohydnie. (Siemion Mirlin: "wiedzą, że nie lubimy kłamać, i że dla nas to obrzydliwe! Dla nich rybka, a dla nas, słabeuszy, obrzydliwe, ohydne, i to wykorzystują...") Major ma rzadko mru-gające, przezroczyście oczy, płową fryzurę w kształcie pierożka i ma-lutką, ale widoczną, szramę na górnej wardze.

- Znacnie Siemiona Jefimowicza Mirlina?
(Zaczęło się!)
- Tak.
- Od dawna?
- Od dawna, chyba z dziesięć lat.
(Tak naprawdę dwadzieścia, ale nie będziemy mu ułatwiać...)
- Jakie są między wami stosunki?
- Normalne.
- Przyjacielskie?
- T-tak... Towarzyskie.
- Kłótni, konfliktów nie było?
(Ch-cholera, co on, właściwie, ma na myśli?)
- Nie. Jesteśmy w dobrych stosunkach. Towarzyskich.
- I on, oczywiście, dawał wam do czytania swoje artykuły, opowiadania?
(Cha-cha. A teraz przede wszystkim niedbale).
- Tak. Czasami dawał.
- Na przykład, jakie?
- N-no, nie pamiętam... Recenzję Pikula... (wydana w "Kra-snej Zarii"). N-no, coś tam jeszcze... Tak! Dał mi artykuł o Iwa-nowie...
- O jakim Iwanowie?
- A był taki dyrektor Pułkowskiego obserwatorium... Porozmawiali o Pułkowskim obserwatorium, o Iwanowie, o represjach z trzydziestego siódmego, raz na zawsze popełnio-nych przez partię, i nagle:
- A artykułu Pokolenie łaknące wolności nie dawał wam do przeczytania?
- Jak powiedzieliście?
- Pokolenie łaknące wolności.
(Na twarzy powinno być zamyślenie, w stosownej proporcji wymieszane ze szczerą chęcią pomocy: przypomnienia sobie, ra-dości, że będzie można zawołać "tak, tak, oczywiście!" i żal, gorzki żal).
- Nie, nie pamiętam. Nie dawał... takiego artykułu - nie dawał.
- A przypomnijcie sobie. Postarajcie się. To było niedaw-no, zaledwie pół roku temu, nie więcej...
Twierdził, że nie czytał, nie widział, nie wie, nikt mu o tym nawet nie wspomniał, a major (z pełnym zrozumienia uśmiechem, uprzejmie, leniwie, prawie żartem) nalegał, że wręcz przeciw-nie, i słyszał, i widział, i czytał - widocznie zapomniał, pół roku jednak minęło, ale trzeba sobie przypomnieć, to nie takie trudne: był zimowy wieczór, niedługo przed Nowym Rokiem... Siedzie-liście z waszym przyjacielem Kikoninem, piliście herbatę. Przy-szedł Mirlin, przyniósł rękopis i zaczęliście go czytać... Przypo-minacie sobie? Kartki żeście sobie podawali, wymienialiście się wrażeniami... Wy się wtedy niezbyt dobrze czuliście, zawijali-ście się w szlafrok, pamiętacie? A potem kłóciliście się, ten arty-kuł się wam nie spodobał... Artykuł jest rzeczywiście niedobry, antyradziecki, i wam, oczywiście, się nie spodobał, kłóciliście się z Mirlinem, a potem mu nawet powiedzieliście: "wsadzą cię, Siemionie, przez ten artykuł..."
W ustach zrobiło się już w ogóle nie do wytrzymania sucho, wargi stały się wełniane i głos zniknął. Musiał się napić wody,

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

karafka za szklanką stały tuż obok, ale nie można tego po sobie pokazywać... Skubaniec, skąd on o tym wszystkim wie? Czyżby podpatrywali przez okno... podsłuchiwali? Telefon? Albo podsłuch zainstalowali, kiedy byłem w pracy?

- Nie. Niczego takiego nie pamiętam...

...Mówią, że teraz są laserowe urządzenia do podsłuchu - łapią drgania szkła okiennego w czasie rozmowy... Ależ bzdura! !! Po co mieliby robić takie sztuczki - żeby Mirlina wsadzić? Kim on jest, do cholery?! Ale jeżeli nie podsłuchiwali, to skąd on może o tym wszystkim wiedzieć?

- Nie. Nic nie mogę dodać. Nie czytałem tego artykułu i nic o nim nie wiem...

.. Byłem wtedy przeziębiony czy nie? Nie pamiętam. Wydało mi się, że nie byłem. I szlafroka nie wkładałem. Coś on kręci... Po co? Albo - dlaczego? wstyd? Informatorzy zawiedli? A może jednak byłem przeziębiony?

- No, dobrze, Stanisławie Zinowiewiczu, jeżeli macie takie problemy z pamięcią proszę to przeczytać. Proszę, proszę, to jego własne zeznania. Proszę przeczytać...

.. Okrągły dziecienny charakter pisma... Wydaje się, że to jego charakter pisma. "...Czytali po kolei, podając sobie przeczytane kartki... Artykuł się im nie spodobał, obydwaj krytykowali ten tekst, a Krasnogorow nawet powiedział: wsadzą cię, Siomka, za to..." To niemożliwe. Nie. To podróbka...

- Nie, nie, dalej nie można, Stanisławie Zinowiewiczu! Proszę czytać tylko tę stronę... Przypomnieliście sobie?

".. Kilka dni przed Sylwestrem wpadłem do swojego najlepszego przyjaciela Stanisława Zinowiewicza Krasnogorowa, żeby dać mu do przeczytania mój artykuł Pokolenie łaknące wolności. To było późno wieczorem. U Krasnogorowa już był nasz wspólny kolega Wiktor Grigoriewicz Kikonin..." Bili go, czy co? Grozili, szantażowali... To niemożliwe! Przecież to już nie te czasy. Nie... Ale w takim razie co? Podróbka? Gruba czcionka - z pięćdziesiąt stron. Nie pozwala mi czytać dalej... Dlaczego nie pozwala? "...Krasnogorow był przeziębiony, siedział w szlafroku, pili herbatę z malinową konfiturą." Skądże! Skąd bym miał w domu malinową konfiturę?, "a Krasnogorow nawet powiedział: wsadzą cię, Siomka, za to..."

- No jak? Przypomnieliście sobie? widzę, że tak...

- Nie, Weniaminie Iwanowiczu. (Język nie chce się ruszać. Wysechł. Przyspawał się. Jakieś ohydne chlapanie zamiast słów). Nic nie mogę dodać w tej sprawie. wszystko już powiedziałem.

- Ale to przecież jego własne zeznania! Znacie jego charakter pisma?

- Prawdę mówiąc, nie.

- Sądzicie, że myśmy to wszystko sami napisali?

- Tego nie powiedziałem.

- No, a jak inaczej mam was rozumieć? Co?

- Nie wiem... Weniaminie Iwanowiczu, czy mogę nalać sobie wody?

Pił wodę, starając się łykać niezbyt chciwie i głośno, a major Krasnogorski cały czas mówił, przekonywał, ugłaskiwał, ugadywał - życzliwie, bez grózb, nie, nie, przeciwnie: rozumiecie, że wam nic nie grozi, no czytaliście, no dyskutowaliście, ale nie ma tu waszej żadnej winy, chcemy tylko ustalić prawdę...

- Tak. Ale Mirlinowi coś grozi! Cały czas powtarzacie, że artykuł jest antyradziecki. A Mirlin ma dwójkę małych dzieci...

- ...I sądzą, że jeśli będziecie zaprzeczać, to tym samym pomożecie Mirlinowi? On to dawał czytać jeszcze dwudziestu znajomym, przecież go znacie, to człowiek, delikatnie mówiąc, niezmiernie towarzyski... To, że zaprzeczacie, sprawy przecież nie zmienia... A sobie szkodzicie. Podpisaliście oświadczenie, a zachowujecie się, przepraszam za brutalność, niepoważnie... M-m?

- Nie mogę nic dodać.

- To znaczy, że nie czytaliście?

- Nie.

- A te jego zeznania?

- Nie wiem.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

- Chcicie powiedzieć, że sfałszowaliśmy te zeznania?
- Nie. Tego nie mówię.
- No to jak? Specjalnie wciąga was tę sprawę? Wrabia? Do tego zmierzacie? Przecież sami mówiliście, że wasze stosunki są dobre. Po co ma was wrabiać?
- Nie wiem.
- To dlaczego w takim razie nie chcecie potwierdzić jego zeznań? Przecież on sam się przyznaje, że napisał ten artykuł wtedy a wtedy, dawał go do czytania różnym ludziom, między innymi wam... Po co wam jawne krzywoprzysięstwo? Stanisław powiedział pierwsze, co mu przyszło do głowy:
- Wieniaminie Iwanowiczu... Być może, on najpierw to wszystko dla was napisał, a potem wszystko odwołał... A jeśli ja teraz się przyznam, to potwierdzam...
- No wiecie co! Ależ macie fantazję, Stanisławie Zinowiewiczu!

W tym momencie cicho zadzwonił telefon, major, cały czas z wyrzutem kiwając głową, podniósł słuchawkę i zaczął słuchać. Potem jego wargi się poruszyły, mówił - Stanisław znowu zobaczył tę niesamowitą sztukę - nie było słychać ani słowa. Major odłożył słuchawkę i powiedział trwoźnie:

- Wybaczcie, zostawię was na chwilę...
- Zniknął, a zamiast niego od razu w drzwiach pojawił się stary chorąży z czerwoną twarzą - dokładna kopia tego, który dyżurował przy wejściu numer pięć, a być może nawet ten sam. Stanisław patrzył, prawie go nie widząc. Chorąży usiadł na miejscu majora i też patrzył na Stanisława - obojętnie, jak na część umeblowania. Albo jak na dworcu pilnuje się walizki, żeby nie ukradli, uważnie, ale obojętnie...

Nie wiadomo, jak długo to trwało. Stanisław popatrzył na zegarek i od razu zapomniał, co na nim zobaczył. Za jakiś czas znowu zerknął: była już prawie za dwadzieścia dwunasta, minęła ponad godzina. Trzeba coś zdecydować. Już czas. Ale nie miał o czym zdecydować. Wszystko już było jasne. Od samego początku. Jeszcze w domu. I - będzie, co ma być...

Nagle drzwi otworzyły się szeroko, na progu pojawił się major Krasnogorski, Wieniamin Iwanowicz. Jego twarz była ożywiona i jakby złowieszcza. Zaraz przy drzwiach major wziął się pod boki (jakoś bardzo niezgrabnie, jak na obrazku, jak niedoświadczony aktor z amatorskiego teatryku) i oznajmił:

- No, proszę! A wasz przyjaciel do wszystkiego się przyznał! Do wszystkiego! I podpisał. Proszę, sami zobaczcie...
- Nagle znalazł się blisko i wcisnął Stanisławowi w ręce jakiś papier... Protokół... "Kikonin Wiktor Grigoriewicz... dowód..." Starał się zmusić do przeczytania tego protokołu, ale nie rozumiał ani słowa i ani słowa w tym protokole nie widział. I tak wiedział, że major nie kłamie... Chocia-a-az... Jeżeli, powiedzmy, podrobili zeznania Mirlina, to przecież zeznania wikonta też mogli w ciągu tej godziny podrobić... Wiedział, że nikt niczego nie podrobił. Rozumiał, że to wszystko są oryginały. Nie mógł tylko zrozumieć, skąd się wziął oryginał zeznań Mirlina? Jak to mogło się stać? W jaki sposób udało mu się go zmusić? I nie było czasu oprzeć się o oparcie krzesła, zamknąć oczy i dobrze pomyśleć.
- Czy teraz też będziecie się upierać, Stanisławie Zinowiewiczu? Na miłość boską! Przecież wasz przyjaciel podpisał, czego jeszcze trzeba?

- Przyjaciel, to przyjaciel - powiedział, nie martwiąc się nawet o płynność swojej mowy. - A ja, to ja. Mam swoje... On po swoim, a ja... w ten sposób.
- I co, jesteście gotowi podpisać protokół, gdzie same "nie, nie wiem, nie widziałem, nie słyszałem..."? Przecież to fałszywe zeznanie.

- No, a co robić? Gdyby Mirlin mi to w twarz powiedział, to co innego...

- I powie!
- No to niech powie. Niech będzie konfrontacja...
- Nic prostszego, jak zorganizować konfrontację...
- No to proszę zorganizować. O co chodzi?

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

- Zorganizujemy, zorganizujemy... Ale wy sobie szkodzi- cie... Protokół trzeba podpisać teraz! Bez żadnej konfrontacji.
 - No cóż... Podpiszę... A czemu nie chcecie zorganizować konfrontacji, wieniaminie Iwanowiczu?
 - Ależ zorganizujemy konfrontację, zorganizujemy, nie mar- twicie się...
- Przez jakiś czas spierali się w ten sposób, całkiem bez sensu, i przez cały ten czas major turkotał na maszynie do pisania, a po- tem wyrwał spod wałka kartkę i podał ją Stanisławowi. Wszystko było prawidłowo: "Nie wiem",,,Nie czytałem",, Nie widziałem", "Nie mówiłem", i tylko dziwnie jakoś wyglądało w każdym pytaniu: "antyradziecki artykuł Pokolenie łaknące wol- ności. ..", chciało mu się za każdym razem pisać to wszystko?

14 J

Stanisław wziął podsunięty mu szybko i zgrabnie długopis (".. .nie, nie, nie swoim, tu, proszę...") i podpisał. Na każdej stro- nie osobno. Zwrócił protokół majorowi. Tamten z jawnym nie- zadowoleniem obejrzał go, marudząc: "No, i co żeście osiągnę- li? Tylko sobie zaszkodziliście, naprawdę... - widać tak nas wychowano. Sam giń, a towarzyszowi pomóż..." Poczł fałsz tych słów i jakąś ich kokieterię - takie staranie, żeby się spodo- bać - i od razu zamilkł, ale humor nagle mu się poprawił. Wszyst- ko, co się teraz działo znacznie podniosło go na duchu: major nie chciał konfrontacji! Wyraźnie nie chciał. Dlaczego?... A major podniósł słuchawkę i znowu bezgłośnie rozmawiał z kimś, zo- stawiając go w spokoju - zalizywać rany, po cichu łykać wodę, milczeć, czekać nie wiadomo na co...

Nastąpiła jakaś przerwa. Zawieszenie broni. Odpoczynek. wydawało się, że obaj odpoczywali. wieniamin Iwanowicz ospa- le stawiał zarzuty. Stanisław Zinowiewicz równie ospale je od- pierał. Nie było jasne, co naprawdę się dzieje i na co teraz trzeba czekać. Ale niebezpiecznie było przyspieszać bieg wydarzeń. Niech wszystko idzie, jak idzie.

Mówili o samizdacie. Ospale. Stanisław nie czytał żadnego samizdatu. A jeśli nawet coś kiedyś czytał, to dawno o tym zapo- mniał. "Czy Związek Radziecki przetrwa do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku?" - było to powiedziane z py- tającą intonacją, i Stanisław, oczywiście, skorzystał z tej okolicz- ności: "Dziwne pytanie... Oczywiście, że przetrwa!" Zabawne nieporozumienie. Trochę czasu zeszło na tłumaczenie: to taki artykuł, napisał go znany antyradziecki osobnik - Amalryk, 1984 - nazwa powieści angielskiego antyradzieckiego pisarza Geor- ge'a Orwella. "...Nie, nie czytałem. Skąd? To coś starego, praw- da?" - "Czemu twierdzicie, że coś starego?" - "No, a jakże ina- czej. Pisał, chyba, w sześćdziesiątym czwartym roku..." - "Nie, nie oto chodzi... Przecież tłumaczę: była taka powieść..." - "A, Orwell. Tak, coś słyszałem. Ale przecież mówią, że to nie o nas. Mówią, że o Anglii?" Udawał głupca, nie bardzo nawet się przejm-ując, czy major uwierzy, czy nie. Był bardzo zmęczony. I - co gorsza - wydawało mu się (przez ostatnie dziesięć minut), że wśród papierów, porzrzucanych po stole, widzi egzemplarz artykułu Amalryka, który w swoim czasie przepisał na maszynie i dał prze- czytać Mirlinowi...

I nagle padło nazwisko Kamanina. Niedbale. Tak a propos, l całkiem ni z tego, ni z owego. Stanisław machinalnie odpowie- dział, że nie, nigdy z Kamaninem się nie spotykał, czytać - czy- tał z przyjemnością, ale osobiście nie udało mu się spotkać... I nagle zobaczył oczy wieniamina Iwanowicza. I zdziwiony wy- raz okrągłej, prostej twarzy ze szramą na ustach. Powiedział nie- to, co powinien. Albo to, ale nie tak.

- Stanisławie Zinowiewiczu - miękko wymówił wieniamin Iwanowicz z nienaturalnym uśmiechem. - No po co to?
- Co? O czym wy mówicie?
- Jak to nie spotkaliście się z Kamaninem, skoro daliście mu do przeczytania swoją powieść?
- Jaką powieść? - zapytał głupio, nagle czując, że dopiero teraz zaczęło się dziać coś naprawdę poważnego. A wszystko, co

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

było do tej pory, to oprawa, otoczenie, dekoracja, szum...

- No proszę. A teraz Jaka powieść"... Dużo powieści napisaliście? Szczęśliwy chłopiec. Czy wy ją napisaliście?

- Ja - powiedział Stanisław, czując, jak znowu wszystko wysycha w ustach. - Napisałem, tak. Ale Kamaninowi nie dawałem.

Wieniamin Iwanowicz cały czas patrzył na niego, jakby spotkała go wielka niespodzianka. Albo zdziwiony jakimś niespodziewanym domysłem. Albo - jeszcze czymś zdumiony, czymś nie do opisanego.

- Kto w takim razie dał mu tę powieść? - zapytał w końcu.

- Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Chyba redaktor z "Krasnej Zarii". Miał zamiar dać. Do recenzji...

- Ale nie dał?

- Myślałem, że nie dał. Ale jeżeli mówicie...

- A wy nie spotykaliście się z Kamaninem?

- Nigdy - powiedział Stanisław, z trudem starając się zrozumieć, co w końcu, do diabła, teraz się dzieje. Co tu ma do rzeczy Kamanin? Co ma do rzeczy Szczęśliwy chłopiec! - Czy mój Chłopiec to też antyradziecka powieść? - zapytał wprost.

Wieniamin Iwanowicz zaniepokoił się:

- Nie, nie! W żadnym przypadku! Przeciwnie, bardzo niegłupia powieść. Czytałem ją z wielką przyjemnością...

- Hm. Trzeba to było powiedzieć w "Krasnej Zarii".

- No nie. My w te wasze sprawy się nie wtrącamy. To nie w naszej kompetencji... Ale Kamanin, tak a propos, napisał bardzo dobrą recenzję waszej powieści.

- Czyżby? - zapytał zdumiony Stanisław.

- Proszę sobie wyobrazić. I nawet rekomendował was i waszą powieść na jakąś tam konferencję do Kalkuty... czy Bombaju... Nie pamiętam. W każdym razie do Indii.

Stanisław milczał. Potem powiedział ze smutkiem:

- Zawsze tak jest. Jak tylko mam szczęście, od razu wszystko na marne... A skąd pan o tym wszystkim wie? - zapytał czujnie. - Sądziłem, że to nie leży w waszej kompetencji.

Wieniamin Iwanowicz zrobił uspokajający gest.

- W naszej. W naszej. Wiecie przecież, jak zmarł...

- Nic nie wiem. Jakies plotki krążyły, straszne... jakies zabójstwo... prawie maniak ze strzelbą...

- No właśnie - powiedział wieniamin Iwanowicz znacząco.

- Tak że spokojnie: to nasze kompetencje.

I znowu zaczęły się ospałe rozmowy o tym i owym. Na co czeka, skubany, z trudem i bezsilnie myślał Stanisław. Czego chce?

Do czego, gad, zmierza? Co ma w ogóle do rzeczy literatura? Co on mi cały czas wmawia o pisarzach i o powieściach? Nie. Nie

czytałem. A czy on jeszcze żyje? Wydawało mi się, że już dawno zmarł... Będzie konfrontacja czy nie? Może teraz Siomkę obra

biają, doprowadzają do kondycji, żeby na konfrontacji był jak na mur? Po co? Czyżby to było takie ważne?... Przecież podpisałem

im fałszywe zeznanie, i teraz w każdej chwili: proszę się golić!

Paragraf taki, a taki: fałszywe zeznanie... Zaciętość narastała w nim razem ze strachem i zabijała strach... Szerstniew? Nie, nie znam

takiego. A kim on jest? Fizykiem? Nie wiem... Co to znowu za Szerstniew? Z jakiej racji mam go znać? Już dwie godziny minęły.

Na co czekamy? W tym momencie znowu się zaniepokoił: wieniamin Iwanowicz niedbale wymienił imię Aleksandra Kalitina.

- Znam, oczywiście. To znaczy znałem. Zmarł dziesięć lat temu.

- Tak. Tak. Taki młody. Taki utalentowany. To jeszcze jeden przykład.

Przykład czego? Nie usłyszał. Dobra. Trzeba kiwnąć głową (w całkowitej zgodzie z kierownictwem) i znacząco zsunąć

brwi... (Lojalny obywatel. Jednak jeżeli chcesz grać lojalnego, powinieneś koniecznie się nim stać. Przynajmniej chwilowo. Sta-

nisławski. Niemirowicz, sami rozumiecie, Danczenko... I czujesz jak dobrze, jak wspaniale być lojalnym. Zwłaszcza tu. Jak przytulnie... Tak. Ale - rzygać się chce). No proszę, i Saszkę,

jak się okazuje, znają... Jednak! Dobrze się przygotowali. Gę-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
stym grzebieniem przejechali po okolicach. Teraz zacznij mówić o Zece Małachowie...
Ale Wieniamin Iwanowicz nie zaczął mówić o Zece. Nagle wstał i powiedział twardo: "Idziemy. Chcieliście konfrontacji? Proszę!"
Okazało się, że to obiad więźniów. Dlatego czekali całą dodatkową godzinę.
Siemion Mirlin zjawił się przed nim wesoły, uśmiechnięty od ucha do ucha, ale strasznie wychudzony i bez jednego zęba z przodu.
Objęli się. (Pod czujnym okiem kapitana i majora). Usiedli. Stanisław - na jednym z krzeseł, ustawionych w rzędzie pod wysokim oknem (z kratami, oczywiście). Mirlin - przy oddzielnym specjalnym stoliku, z boku, pod ścianą, obok drzwi wejściowych. Żywa rozmowa nie zamierała ani na minutę - Mirlin rozmawiał ze śledczymi. Okazało się, że akurat dzisiaj gazety poinformowały o przyznaniu towarzyszowi Andropowowi zaszczytnego tytułu Bohatera Pracy Socjalistycznej. Mirlin twierdził, że to nagroda dla szefa KGB za aresztowanie i zdemaskowanie właśnie jego, Mirlina, osobiście. Śledczy śmiali się i nie przeczyli. Żarty latały po pokoju, wesoły, przyjacielski śmiech nie cichł. Stanisław też uśmiechał się z całych sił. Teraz chciał zrobić tylko jedno - odwieść Mirlina na bok i zapytać go cicho: "Co się stało? Jak im się udało zmusić cię, żebyś dał im te zeznania?".
Konfrontacja się udała. Uczestnicy zachowywali się bez zarzutu. Po wymianie (pod życzliwym, ale trochę zaniepokojonym okiem oficjalnych urzędowych osób) ważnych ogólnikowych zdań o samopoczuciu, rodzinie, pogodzie, nie łamali wcześniej ustanowionych reguł i zwracali się do siebie wyłącznie przez kapitana Poleszuka. Objęty śledztwem Mirlin wszystko, co trzeba było potwierdzić, żartując, świadek Krasnogorow, obserwując taką życzliwość i współpracę z organami ścigania, też się nie sprzeciwiał i bez żadnego oporu potwierdzał potwierdzone. Kapitan Poleszuk żwawo stukał na maszynie (pisał za pomocą aż czterech palców!), a major Krasnogorski chodził po pokoju tam i z powrotem od objętego śledztwem do kapitana, od kapitana do świadka, i tylko od czasu do czasu rzucał na wprost żartobliwy we repliki podgrzewając atmosferę. W pokoju było zimno, mroczno - czy to na wolności słońce zaszło za chmury, czy to okno wychodziło na jakąś ścianę - i sufit nie wiadomo dlaczego był niski, i jakoś dziwnie i tajemniczo wyglądała w kącie jakaś ogromna, na metalowych oparciach skrzynia, zawinięta w czarny materiał...
Tylko raz w czasie całej konfrontacji zdarzył się kiks, ale mało znaczący, kiedy w odpowiedzi na jakieś pokorne i zdziwione pytanie świadka objęty śledztwem nagle radośnie zawołał: "Na miłość Boską, sławka! Przecież oni podsłuchiwali twój telefon, jak chcieli!..." Zrobiło się chwilowe zamieszanie, zamilkł stukot maszyny i świadek, uśmiechając się ze smutkiem, zapytał stojącego przed nim majora: "Naprawdę? Wieniaminie Iwanowiczu, naprawdę podsłuchiwałeś wszystkie moje rozmowy?" Zadał to pytanie zupełnie niepoważnie, z niczego nie wynikało, że Mirlin mówi poważnie, co więcej, raczej po prostu plótł, ale na twarzy majora nagle pojawiła się niespodziewana, i nawet zupełnie nie na miejscu, mieszanina jakichś skomplikowanych i dziwnych zmartwień, major jawnie się zaczerwienił i powiedział z zupełnie niepotrzebną powagą: "Ja was jak najsolennie, Stanisławie Zinowiewiczu, zapewniam, że wasz telefon ani wcześniej, ani teraz nie był na podsłuchu..."
Potem uczestnicy przeczytali protokół konfrontacji i podpisali go. Objęty śledztwem przeleciał wszystkie trzy kartki, prawie nie patrząc, natomiast świadek zachował się jak człowiek natrętny i skomplikowany. Czuł się przy tym wyjątkowo niezręcznie - taka maruda, która przez swój podły charakter zabiera czas dobrem ludzom, ale po tym jak odkrył, że przystojny i wesoły kapitan Poleszuk przepisał mu słowa "...czytałem antyradziecki artykuł Mirlina Pokolenie łaknące wolności...", napisał, że on tego nie powiedział, że nie uważa, iż artykuł Mirlina jest antyra-

Strugający A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
dziecki, że nie zgadzała się z artykułem, to prawda, ale nie dlatego, że uważała, że jest antyradziecki, a z zupełnie innych przyczyn... proszę, i na drugiej stronie to samo! Nie, w ten sposób artykułu nie określałem... poproszą przepisać te słowa... tak, na nowo... Czy można je po prostu wykreślić? Dobrze, to w takim razie wykreślam je... i tutaj też... czy jest jeszcze gdzieś?... Aha, i tutaj... A na końcu napiszę, że to ja je wykreśliłem... A czemu nie? Przecież to nie moje słowa. Nie. Trzeba było mi pozwolić, sam bym napisał odpowiedzi na wasze pytania... no, bo co to jest?

Skreślał, wymazywał, wpisywał swoje oświadczenie... Śledczy dalej żartowali, chociaż wyglądali na zirytowanych i nawet jakby obrażonych, Mirlin patrzył na niego w milczeniu, uśmiechając się z roztargnieniem... No i to wszystko się skończyło. Czuł się, jakby ładował worki, ręce mu drżały, i w tym momencie Mirlin wstał ze swojego stołka i przestał się uśmiechać. "Do Sońki zadzwoń - powiedział i twarz nagle mu się skrzywiła. - Powiedz, że... w ogóle... przekaż..." - "Oczywiście. Natychmiast. Nie martw się, ja pomagam..." Mirlina prowadzili przez otwarte drzwi, w mrok i pustkę ogromnego przedsionka, i drzwi zamknęły się za nim, i już nie było go widać.

Potem razem z majorem wrócili do pierwszego gabinetu i major wystukał tam jeszcze jeden protokół. W tym protokole tłumaczyło się (komuś), dlaczego w pierwszym protokole Stanisław pozwolił sobie na fałszywe zeznanie. Wieniamin Iwanowicz zaproponował taki wariant tłumaczenia: "wiedząc o tym, że Mirlin ma dwójkę małych dzieci, ja, Krasnogorow Stanisław Zinowjewicz, bałem się, że swoimi zeznaniami zrobię mu krzywdę, ale teraz, po konfrontacji, potwierdzam, że w dniu takim a takim... I poszło-pojechało... Czytaliśmy, podawaliśmy sobie kartki... Piliśmy herbatę... Artykuł się nie spodobał... Powiedziałem Mirlinowi: "wsadzą cię za to, Siemionie..."

Podpisał protokół. Trzeci tego dnia. Była już za dziesięć szósta. Osiem godzin bez jedzenia. W oczach było ciemno, język się nie ruszał. Wieniamin Iwanowicz - ten był świeżutki jak ogórek! - uprzejmie odprowadził go do samego chorażego na dole. Pożegnali się. Ściskając sobie dłonie i Stanisław wyszedł przez drzwi wejścia numer pięć na zewnątrz. Ogarnął go leniwy upał nagrzanego w ciągu dnia miasta.

Rozdział 8

A po cholere tak się stawiałeś? - surowo zapytał wikont. - Nie rozumiałeś, że Siemion pękł? Wyobrażałeś sobie, że...

- Dlaczego? - przerwał mu Stanisław. - Dlaczego pękł?

- A jakie to ma znaczenie? Pękł! Nie wytrzymał tam czegoś. Dał ciała... Przestraszył się... Albo go oszukali. Albo po prostu się wygadał, jest przecież gadułą. Po co udawałeś bohatera na przesłuchaniu? Gdzie tu sens?

- Nie wiem - powiedział Stanisław.

Wikont, oczywiście, miał rację.

...I Galileusz miał rację. AGiordano Bruno - nie. Tylko śmiesznie mówić tak w tym przypadku... Nie, nie śmiesznie - śmiesznego tu nic a nic nie było, tylko - pompatycznie, czy jak?...

Nie na miejscu.

- Nie wiem - powtórzył.

- W rezultacie mają cię teraz na widelcu - kontynuował wikont tak samo surowo. - Paragraf sto osiemdziesiąt jeden: fałszywe zeznanie. Teraz w każdej chwili mogą dobrać ci się do skóry.

- Wyrok?

- Wyrok jakiś nieduży, ale po cholere ci potrzebny nawet nieduży? Nawiasem mówiąc, masz zamiar mówić o tym wszystkim w pracy?

- Czy ja wiem... Być może powiem Jezewatowowi. A może nie.

Wikont odwrócił się i pykał fajką. Nie powiedział ani słowa więcej, ale Stanisław zrozumiał to jego pykanie. "Niektórzy nieźle się ustawili: mogą sobie pozwolić na wybór - mówić kierownictwu czy nie mówić... A niektórzy takiego wyboru nie mają."

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

- Nie rozumiem - powiedział. - Czemu z jednego protokołu do drugiego przypisywali te moje słowa: "wsadzą, cię, Siotnka..." Tak a propos, mówiłem mu to wtedy czy nie? Wikont wzruszył ramionami.
- A całą resztę rozumiesz?
- Nie. Nie rozumiem, po co wspominał o Saszce. Nie rozumiem, co ma do rzeczy Kamanin... Nawiasem mówiąc, wiesz, że Kamanin, jak się okazało, napisał dla mnie dobrą recenzję?
- No i gdzie jest ta recenzja?
- Nie wiem... Ch-cholera, jak mi się nie chce o tym wszystkim w pracy opowiadać, kurdebalans... Jeżewatow wysłuchał wiadomości (krótkiej, bez szczegółów), zmarszczył ogromne łyse czoło i przez jakiś czas poruszał w milczeniu napiętymi mięśniami szczupłych, opalonych policzków.
- Dać ci urlop? - zapytał wreszcie z naciskiem.
- Po co?
- Żeby na dupie odcisków nie było. Chcesz?
- Stanisław wzruszył ramionami.
- W takim razie to wszystko - powiedział Jeżewatow. - Chciałem cię wysłać do Budapesztu, a teraz ch... tobie, a nie Budapeszt. Nikomu więcej nic nie mów i idź pracuj... Gdzie sprawozdanie o tym pier... "Antyturingu"? Przez trzy dni nie możesz skończyć prostego sprawozdania, dupo z rączką! A Żeka Małachow pochrząkiwał, marszczył rumiane policzki, smarkał w ogromną kraciastą chusteczkę, nie patrzył w oczy.
- No, popatrz! - powiedział ze smutkiem i zakłopotaniem.
- I niby zachowywałeś się całkiem przyzwoicie, a i tak jakbyś się w gównie wykapał.
- Stanisław milczał. Nie myślał tak. Wydawało mu się, że zachowywał się dobrze. Nie po prostu - przyzwoicie, a właśnie dobrze. Być może niezbyt mądrze, ale - uczciwie. Uczciwość zawsze jest głupawa. I uczciwie trzymał się do samego końca, póki był przynajmniej cień jakiegoś sensu, żeby się trzymać... Jednakże nikt, jak się zdaje, oprócz niego samego, nie myślał w ten sposób.
- Wiesz - powiedział Żeka - potrzebowali od ciebie tylko jednego: żebyś potwierdził fakt rozpowszechniania. I potwierdziłeś.
- Stanisławie Zinowiewiczu, kochany, ja nie służbowo. Albo, dokładniej mówiąc, nie całkiem służbowo. Chce. z panem porozmawiać w sprawie bardzo osobistej.
- O czym tak bardzo osobistym mam z wami rozmawiać?
- No, Stanisławie Zinowiewiczu! Przecież nie przez telefon!
- A czemu nie przez telefon? Sam mnie pan przekonywał, że nikt nie podsłuchuje...
- Ach, Stanisławie Zinowiewiczu, niech pan nie bądzie taki czepiański, proszę mi uwierzyć, to w pana interesie też, nie tylko w moim...
- Więc uzgodnili tak: za godzinę, u Stanisława w domu i żeby nie długo - Stanisław jest człowiekiem zajęтым i zmęczonym. Kiedy major zatelefonował, leżał na kanapie i czytał (po raz piętnasty) Hiperboloid inżyniera Garina. Teraz trzeba było zaimitować burzliwą owocną działalność - na biurko, w krąg światła pod rodzinną lampą zielonym kloszem, zrzucił pomieszane (żeby wyglądało profesjonalnie) wyliczenia odnośnie dawno zapomnianej Umowy z Dwudziestym drugim SKB, i nawet służbową drukarką z programowym sterowaniem wystawił na pokaz i demonstracyjnie włączył, żeby mrugały czerwone cyferki na ekranie, i w ogóle...
- Nie można powiedzieć, że jakoś specjalnie się denerwował czekając, ale też wcale nie czuł się spokojny. wiadomo, że przygotowują jakieś kolejne świństwo i że znowu bądzie cały w gównie ze swoją uczciwością i moralną niezłomnością szóstoklasisty. "Pazurek się zaczepił - i z ptakiem koniec..." - szumiało mu w głowie - bezsensownie i beznadziejnie. Zaczepili, to już nie wypuszczają. Wyłączcie światło, spuście wodą...
- Major zjawił się z królewską punktualnością, dokładnie po godzinie, i nie był do siebie podobny - w lekkomyślnym jedwab-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
nym sweterku w liliowo-białe wzory, w wytartych dżinsach, na nogach miał schodzone trampki, na twarzy radosny, zupełnie cywilny uśmiech, w raku neser. Ale uśmiech był jakiś nienaturalnie spięty, a neser za bardzo rozkoszny. I ten neser, i uśmiech pozostawały w nieprzyjemnej dysharmonii ze szczerym (i sympatycznym)

- To nie ja potwierdziłem, to Siomka potwierdził, ja tylko mu nie zaprzeczyłem...

- Nieważne. Dla ciebie to jest ważne, dla mnie: od razu czy nie od razu, lekko czy z trudem, zaprzeczał czy się położył, łapki do góry. Dla nich to wszystko nie ma znaczenia, ich nie interesują moralne imperatywy. Objęty śledztwem rozpowszechniał swoje antyradzieckie opracowania, czy nie? Tak, rozpowszechniał, co potwierdzają zeznania świadków, nie będących rodziną...

- A co, twoim zdaniem miałem zrobić? - ponuro zapytał Stanisław. - Absolutnie wszystkiemu zaprzeczać?

- Skąd mam wiedzieć! Myślisz, że cię krytykuję? Ależ skąd! Ja tylko mówię, że z nimi zawsze tak: jak im się poddasz, cały jesteś w gównie, jak się sprzeciwiasz, można powiedzieć, do ostatniej kropli krwi, to i tak jesteś w gównie... To taki urząd, rozumiesz? Niemożliwe, żeby tam być i potem nie być w gównie.

- Trzeba było udawać głupiego... - powiedział Stanisław z żalem. - Nie wiem. Nie pamiętam. Nie domyślam się... Tak, bardzo możliwe, że obywatel major ma rację, być może tak było, ale ja tego nie pamiętam! Mirlin pamięta, a ja - nie.

- No tak, no tak. "Mówi, że był w ekstazie, a ja dobrze pamiętam, że to było w stodole..." Oczywiście, marzycielu! Myślisz, że oni tam nie poradzą sobie z takim cwaniakiem? Poradzą, nie martw się! Organy!... Wiesz co, chodź, zawołamy Wikonta i upijemy się. Moja Tańka wyjechała do swojej mamuni, na wieś, dzieci zabrała, więc jestem człowiekiem nieograniczenie wolnym...

I tak zrobili - Stanisław z wikontem całkowicie w gównie, a Jewgienij Małachow - w białej nieskazitelnej odzieży.

A trzeciego dnia wieczorem, około godziny ósmej, zadzwonił nagle major Krasnogorski, wieniamin Iwanowicz.

- Dzień dobry, Stanisławie Zinowiewiczu! - powiedział radośnie, jakby sto lat nie rozmawiali. - Bardzo bym chciał się z panem zobaczyć.

- Kiedy? - zapytał Stanisław ze smutkiem.

- A chociażby teraz, jeżeli można.

- A co, wy i wieczorami pracujecie? Bo ja nie. To może już jutro, z rana, co... Chociaż, niech pan poczeka, jutro jest sobota.. •

- Stanisławie Zinowiewiczu, kochany, ja nie służbowo. Albo, dokładniej mówiąc, nie całkiem służbowo. Chcę z panem porozmawiać w sprawie bardzo osobistej.

- O czym tak bardzo osobistym mam z wami rozmawiać?

- No, Stanisławie Zinowiewiczu! Przecież nie przez telefon!

- A czemu nie przez telefon? Sam mnie pan przekonywał, że nikt nie podsłuchuje...

- Ach, Stanisławie Zinowiewiczu, niech pan nie będzie taki czepiański, proszę mi uwierzyć, to w pana interesie też, nie tylko w moim...

Więc uzgodnili tak: za godzinę, u Stanisława w domu i żeby nie długo - Stanisław jest człowiekiem zajęтым i zmęczonym. Kiedy major zatelefonował, leżał na kanapie i czytał (po raz piętnasty) Hiperboloid inżyniera Garina. Teraz trzeba było zaimitować burzliwą owocną działalność - na biurko, w krąg światła pod rodzinną lampę z zielonym kłosem, zrzucił pomieszane (żeby wyglądało profesjonalnie) wyliczenia odnośnie dawno zapomnianej Umowy z Dwudziestym drugim SKB, i nawet służbową drukarkę z programowym sterowaniem wystawił na pokaz i demonstracyjnie włączył, żeby mrugały czerwone cyferki na ekranie, i w ogóle...

Nie można powiedzieć, że jakoś specjalnie się denerwował czekając, ale też wcale nie czuł się spokojny. wiadomo, że przygotowują jakieś kolejne świętowanie i że znowu będzie cały w gównie ze swoją uczciwością i moralną niezłomnością szóstoklasisty. "Pazurek się zaczepił - i z ptakiem koniec..." - szumiało mu

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
w głowie - bezsensownie i beznadziejnie. Zaczepili, to już nie wypuszczają. Wyłazcie światło, spuście wodę...
Major zjawił się z królewską punktualnością, dokładnie po godzinie, i nie był do siebie podobny - w lekkomyślnym jedwabnym sweterku w liliowo-białe wzory, w wytartych dżinsach, na nogach miał schodzone trampki, na twarzy radosny, zupełnie cywilny uśmiech, w ręku nesesor. Ale uśmiech był jakiś nienaturalnie spięty, a nesesor za bardzo rozkoszny. I ten nesesor, i uśmiech pozostawały w nieprzyjemnej dysharmonii ze szczerym (i sympatycznym) obliczem prostego radzieckiego doktora nauk technicznych, który wpadł, żeby przekazać pozdrowienia od chłopaków z rostowskiego WNIIASZ-u. Jednak bezpieką od gościa też zdecydowanie nie zalaływało, co, można powiedzieć, w danej sytuacji wcale nie uspokajało, a odwrotnie, budziło niepokój, a nawet strach.
Stanisław w milczeniu zaprowadził go do pokoju i posadził przy stole z obrusem i popielniczką. Wieniamin Iwanowicz podziękował i usiadł, położył błyszczący nesesor przed sobą, jakby trzymając go w gotowości, i bez żadnego wstępu zaczął tekst na temat: nie jestem tu służbowo, a w sprawie, która dotyczy was, Stanisławie Zinowiewiczu, nawet bardziej niż mnie...
Stanisław słuchał go jednym uchem, a chyba w ogóle nie słuchał, ogarnął go smutek, poczucie nieuniknionego świństwa i kolejnego poniżenia. Patrzył na majora i jakby mimowolnie przyznawał, że jego ruchy są zgrabne i dokładne, i że w ogóle major wygląda w swojej pozasłużbowej postaci rzeczywiście nawet sympatycznie: przystojny, krzepki, jasny wzrok -bez żadnej niezwykłej przenikliwości, a przeciwnie, jakby szukający zrozumienia, wołający o współczucie... Patrząc na niego Stanisław nagle przypomniał sobie na zawsze, jak się wydawało, zapomnianego wujka Wowę - śmiesznego i dobrego chłopca, który zastępował w siódmej klasie nauczyciela wf, a potem rozpiął się niespodziewanie. Wujek Wowa też był taki okrągły i krępy, prosty, i jego oczy błagały o współczucie. Uprawiał jakiś dziwny rodzaj sportu - był siłaczem: oni tam przysiadali na jednej nodze około trzystu razy, podnosili trzydziestokilogramowe ciężary, podciągali się na jednej ręce i coś jeszcze w tym rodzaju... Wujek Wowa mógł się podciągnąć na jednej ręce dwanaście razy, a Stanisław nigdy w życiu nie spotkał człowieka, który byłby zdolny to zrobić choćby jeden raz...
W drugim dniu, myślał Stanisław, w neseserze majora leży włączony dyktafon i dlatego trzeba wyjątkowo uważać. Że tak powiem: "Obniżyć prędkość, zwiększyć uwagę..."
Przemówieniu o tym, że to wszystko "nie służbowo" i "wszystko w pana że interesie", nie wierzył, oczywiście, ani przez sekundę, i tym bardziej wydało mu się, że podstępny major zachowuje się w sposób podejrzany i nawet złowrogi, i nagle po swoim niezrozumiałym, standardowym wstępie przyjął jakiś zupełnie dziwny, przerażający sposób tłumaczenia.
- Nasza rozmowa jest wyjątkowej wagi - oznajmił major. - Być może jest - poprawił się i od razu otworzył nesesor. - Chcę ją zapisać na taśmie, bo bardzo możliwe, że my z panem, my z panem, podkreślił, będziemy potem ponownie przesłuchiwać tę rozmowę, i uzupełniać ją, i analizować. - Z tymi słowami wyciągnął z głębi neseseru małeńki czarny (japoński) magnetofonik, włączył go (zapaliło się czerwone światełko) i demonstracyjnie położył na środku obrusa, a nesesor wsunął pod stół.
- Wiem, że pan się mnie boi - kontynuował major... nie, nie major, a zupełnie cywilny człowiek, Wieniamin Iwanowicz Krasnogorski, który wyraźnie czuł się w tej chwili nieswojo, był czymś zdenerwowany, absolutnie nie był pewien ani siebie, ani czegośkolwiek. - Wiem, że pan teraz myśli, że chcę pana w jakiś sposób oszukać, wciągnąć do brudnej sprawy, zwerbować... Musimy jakoś przekroczyć ten etap. Wkrótce pan zrozumie, że to wszystko nie tak i że ja też się pana boję i mam do tego bardzo poważne podstawy.
Najpierw nasza rozmowa będzie wyglądała, jak przesłuchanie - kontynuował (już w ogóle niepodobny do siebie - nerwowo postukujący palcami obu rąk po obrusie i uśmiechający się

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
prawie przy pochlebnie) wieniamin Iwanowicz. - Ale wkrótce zrozumie pan, że to nie jest przesłuchanie, że ja po prostu muszę się upewnić w słuszności swoich przypuszczeń... To znaczy, i tak jestem ich pewien, inaczej nie przyszedłbym i nie zaczynałbym z panem... Krótko mówiąc, najpierw chcę, żeby pan szczerze i dokładnie odpowiedział na kilka bardzo prostych pytań. Wszystkie wymagają - na początek - tylko binarnej odpowiedzi: tak lub nie. Do niczego pana nie zobowiązują. Niektóre odpowiedzi znam, niektórych - nie, ale tu są możliwe różne warianty, których nie jestem w stanie wyliczyć...

Widać właśnie nienaturalność tej sytuacji zmusiła Stanisława do powiedzenia czegokolwiek - żeby zatrzymać ten niejasny strumień słów i emocji, który przerażał go bardziej niż ohydny (niech będzie!) , ale przy tym nie skomplikowany nacisk w celu ugięcia i zwerbowania.

- Ile razy może pan się podciągnąć na jednej ręce? - zapytał niespodziewanie dla siebie, a już tym bardziej dla majora. Wieniamin Iwanowicz zamilkł w pół słowa, mrugnął ze zdziwieniem, a potem nagle się ucieszył, uśmiechnął, rozjaśnił.

- Sześć razy! - powiedział z dumą. - Ale tylko na prawej. Na lewej jeden, najwyżej dwa razy.

- Co tak słabo... - powiedział Stanisław, zupełnie nie wiedząc, co ma robić z uzyskaną informacją. - Trzeba by i na lewej też...

- Nie wychodzi - przyznał się wieniamin Iwanowicz z westchnieniem, ale od razu oprzytomniał. - Cieszę się, że nie stracił pan poczucia humoru - powiedział ze szczerą życzliwością. - Wie pan, jeżeli ludzie żartują, to wszystko będzie dobrze. Stanisław nie był tego aż taki pewny (no i wcale nie żartował - po prostu palnął jakąś bzdurę), ale nie zaczął się sprzeczać.

A wieniamin Iwanowicz kontynuował prosząco:

- No, pozwoli pan? Kilka pytań?... - I nie czekając na odpowiedź, zapytał: - Takie nazwisko Kalitin Aleksandr Siłantiewicz jest panu znane?

- Tak - powiedział Stanisław i nie mogąc się powstrzymać dodał: - Przecież już panu mówiłem.

- Był pana bardzo dobrym przyjacielem, prawda?

- Tak.

- A dlaczego nagle wyjechał do Moskwy, nie wiecie?

- Wiem, ale nie będę o tym rozmawiał.

- Dlaczego?

- Nie chcę.

- Ale pan się z nim nie pokłócił?

- Oczywiście, że nie? Dlaczego?

- No, nie wiem... Różnie to bywa, zgadza się pan... Dobra.

A Szerstniewa Konstantina Iljicza pan znał?

- Już panu mówiłem: nie.

- Niech pan jednak postara się sobie przypomnieć. Zaraz panu pomogę. W pięćdziesiątym zdawaliście na wydział fizyki, pamięta pan?

-No.

- To była rozmowa kwalifikacyjna, tak?

- Tak. I mnie nie przyjęli. Bez podania przyczyny.

- Ale pamięta pan, jak to się działo? Niech pan sobie przypomni. Wchodzi pan do pokoju. Tam siedzi komisja... Stanisław uczciwie starał się sobie przypomnieć.

- Nic nie pamiętam - powiedział. - Moim zdaniem, było tam ciemno i nadymione, jak w piwiarni. Siedzieli jacyś ludzie przy stole. Z pięć osób. Bardzo nieżyczliwych. Zupełnie nie rozumiałem, czemu oni tak na mnie naciskają, ale wiadomo było, że z mojej sprawy - za przeproszeniem, gównno...

- No, no.

- To wszystko. Nikt mi się nie przedstawiał, wie pan. Tak że jeżeli siedział tam ten Szerstniew, zostało to dla mnie tajemnicą, okrytą mrokiem...

- I nikogo z nich pan nie zapamiętał?

- Oczywiście, że nie. Jeden szczególnie złośliwie mnie ciśnieł blondyn taki, pamiętam, był, młody... A cała reszta... tacy sami.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

Wieniamin Iwanowicz przez jakiś czas milczał, jego wzrok zatrzymał się, jakby ktoś tam wewnątrz niego uderzył po hamulcach.

- To był Szerstniew - powiedział wreszcie.
 - Tak? Ależ to drań! On mnie wtedy prawie zeżarł. Chyba sto pytań zadał, gad białooki. Pewnie miał takie zadanie - wrobić CZRWN-a*. No i wrobił, dzielny chłop. "Przystojniak i tęgi chłop, i już na pewno nie Żyd!"
 - Myśli pan, że był Żydem?
 - Boże, oczywiście, że nie. To takie przysłowie, i tyle... Skąd w tamtych czasach Żydzi na wydziale fizyki?!
- W tym momencie przypomniał sobie, że to się przecież nagrywa na taśmę, i ugryzł się w język. Jednak było już za późno. Idiota, powiedział do siebie. Kretyn.
- Chcę powiedzieć, że wtedy toczyła się walka z kosmopolityzmem - wyjaśnił - teraz potępiona. Kult jednostki.
 - Tak, rzeczywiście... - powoli powiedział Wieniamin Iwanowicz. - Tak. No, dobrze. A teraz Kamanin Mikołaj Aristarcho-wicz?

- Już mówiłem panu. Czytałem jego książki. Bardzo lubię Polujących na niemożliwe. Opowiadania są wspaniałe. Ale oświście nie znam. I nawet nigdy go nie widziałem. Chyba że w telewizji, nie pamiętam.

- Nie lubił występować w telewizji.
- Tym bardziej. To znaczy, że i w telewizji nie widziałem.
- Ale pan z nim sympatyzował, czy dobrze zrozumiałem?

Chociaż zaocznie, że tak nowiem.

CZRWN - Członek Rodziny Wroga Narodu.

- Tak, krążyły plotki, że to był fajny facet. Lubił wypić, lubił ludziom pomagać, pieniądze się go nie trzymały. Bronił... - mało brakowało, żeby pałał: "Brodzkiego" - ...ludzi. I w ogóle.

- Dobra - powiedział wieniamin Iwanowicz, nie wiadomo dlaczego z rozczarowaniem w głosie, i pytał dalej: - A teraz Gugniuk Mikołaj Ostapowicz.

- Jak?

- Gugniuk. Mikołaj Ostapowicz.

- Pierwszy raz słyszę, . Kto to jest?

- A Berman Amalia Michajłowna?

- Amalia Michajłowna? Tutaj u nas, w mieszkaniu numer dziewiętnaście mieszkała Amalia Michajłowna, ale nie jestem pewien, czy nazywała się Berman.

- To o niej pisze pan w swojej powieści?

- Tak, ale to nie powieść. I nawet nie nowela. To opowiadanie.

- Tak? - zdziwił się wieniamin Iwanowicz. - Takie duże?

- To nie jest moja opinia, tylko opinia kolegium redakcyjnego.

- Jasne. To znaczy, że Amalia Michajłowna jest osobą realną?

- Oczywiście. Wszystko, co o niej napisałem, to sama prawda. Zmarła dziesięć lat temu, a gdyby nie, sam mógłby ją pan zapytać.

- Tak. Wiem. Szkoda, że jej nie ma. Mogłaby, jak myślę, opowiedzieć nam parę ciekawych rzeczy... No dobrze, a czy zna pan Gabunija Iwana Zachariewicza?

Stanisław nie wytrzymał i skrzywił się.

- No, tak. Przychodził do nas kiedyś. Tak w ogóle. Znam. Zmarł już chyba...

- Widzę, że nie przepadał pan za nim?

- O co wam chodzi? Po co te wszystkie pytania? Może pan powie mi prosto i wyraźnie, o co chodzi?

W tym momencie wieniamin Iwanowicz jakby oszalał.

- Oczywiście! - wrzasnął z jakąś niezrozumiałą złością. - Powiem, i to koniecznie. Tylko potem. Męcę pana teraz, żeby zrozumieć, jak... Jak, niech to diabli, powiedzieć panu o co chodzi, żeby pan uwierzył. Jeżeli teraz wszystko panu wygadam, pan po prostu mnie wyrzuci i nie dojdzie do żadnej rozmowy. A ja chcę, żeby doszło!

- O kurde... - powiedział Stanisław, trochę nawet speszony

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

takim wybuchem. - Co to za tajemnice dworu Apraksina? Czy jakiś spadek z zagranicy mi się kroi?

- Nie. Nie spadek. I w ogóle, nie trzeba niepotrzebnie zgadywać. Proszę mi odpowiadać i koniec.

- No, dobra, dobra. Co tam dalej? Kto jeszcze?

- Nie - powiedział wieniamin Iwanowicz stanowczo. - Najpierw proszę mi powiedzieć: czy pan źle traktował tego Gabunija? Nie lubił go pan?

- Niech pan posłucha, miałem wtedy piętnaście lat... Albo trzynaście? Nieważne. Zaczaj przychodzić, czuły taki, cikliwy, piosenki z mamą śpiewał w duecie... Zdecydowanie chciał dostać rolę mojego nowego tatusia. A miał syna trzydziestoletniego... Za co miałem go lubić?... Zamilkł. Po co to mówi? Nie chciał o tym rozmawiać.

O spojrzeniu mamy, które raz przechwycił i które było skierowane do tego kolesia... I jaki był szczególnie obrzydliwy, gdy się upijał portwajnem. Lubił się napić, ten zrusyfikowany Gruzin (czy mingrel?) - pił jak Gruzin, a upijał się jak Rosjanin... Do diabła z nim.

- Dobra. Zgadzam się... A teraz takie nazwisko: Kalaksin Siergiej Juriewicz.

- Kalaksin?

- Tak. Siergiej Juriewicz.

Stanisław pokręcił głową.

- Nie pamiętam. Kim on jest?

- Był prorektorem Czwartego Medycznego Instytutu.

- Aha. To w takim razie wikont... to znaczy, Wiktor Grigoriewicz, chyba powinien go znać... - Znowu ugryzł się w język. Ch-cholera, gaduła. Przecież było postanowione: żadnych nazwisk! Gaduła, pleciuga niepowstrzymana...

- Tak. Wiktor Grigoriewicz pewnie go zna, ale myślałem, że i pan, być może...

- Nie. Nawet o takim nie słyszałem.

- Ma się rozumieć. Ale nazwisko akademika Chuchrina jest panu, oczywiście dobrze znane?

- Oczywiście. To był mój wielki szef. Zmarł, tak a propos. Dosłownie parę dni temu. Nabożeństwo żałobne odprawiali w soborze świętego Mikołaja.

161

- Tak, słyszałem... Dziwne życzenie jak na starego członka partii.

- N-no, tego to ja nie wiem...

- Dobra, Bóg z nim. Z akademikiem kontaktował się pan regularnie, czy dobrze zrozumiałem?

- No, nie wiem - powtórzył Stanisław. - Był... na szczytach akademickich. Ale parą razy składałem mu sprawozdanie z pracy. Mówią, że dobrze mnie traktował, awansował. Pensją mi podniósł bez problemu... Mówią, że był całkiem przyzwoitym kierownikiem. Pilnował swoich spraw i nie wtrącał się do innych... Wieniamin Iwanowicz pokiwał głową, też jakby oddając sprawiedliwość zmarłemu, całkiem przyzwoitemu kierownikowi. Potem powiedział:

- A pozwoli pan, że zapytam, Stanisławie Zinowiewiczu... W pańskiej powieści... Jak by to powiedzieć... Jaka część jest wymyślona?

Stanisław spojrzął na niego. Major uśmiechał się uprzejmie i wciąż życzliwie. Czekał na odpowiedź. Nie wiadomo po co chciał usłyszeć odpowiedź na pytanie, które było tutaj zupełnie nie na miejscu.

- No, jakby to powiedzieć... Jakieś szczegóły, detale, psychologiczne niuanse - to wszystko wymysł. Ale same fakty... No, pomijając oczywiście, historię z dzieckiem Marii... z dzieckiem to, oczywiście, czysta fantazja...

- Oczywiście - przytaknął wieniamin Iwanowicz - tak to rozumiałem.

- Tak... A reszta... A co, tak naprawdę, budzi pana wątpliwości?

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

- To nie wątpliwości... Jak by to powiedzieć... Powiedzmy, przypadek z gazikiem, który prawie runął...
 - To czysta prawda. Jest pięciu świadków.
 - A przypadek z odłamkiem, który upadł obok pana? W czasie blokady?
 - To też czysta prawda.
 - A historia z ludożercą?
 - Na podwórku? Też. Przysięgam! Czasami mi się śni: stalowe okragłe okulary, siwy zarost i siekiera tuż przed moim nosem...
 - I wszystkie te dwadzieścia przypadków?
 - Dokładnie mówiąc - dwadzieścia cztery. Tak. Niczego nie wymyśliłem.
 - Ale przecież to dziwne.
 - Jeszcze jak. Inaczej nie pisałbym powieści.
 - I nigdy nie próbował pan tego wszystkiego wyjaśnić? Choć częściowo?
 - Oczywiście, że próbowałem... - Stanisław zaniepokoił się. Pytania były zbyt niewinne. I nawet puste. Coś tu było nie tak. Wydawało się, że major jest gotów zadać swój główny cios.
 - I co?
 - A nic.
 - Zupełnie nic? - naciskał major.
 - Zupełnie.
 - Ale przecież to wszystko nie może być po prostu zbiegiem okoliczności!
 - Może. Ale znudziło mi się nad tym zastanawiać.
 - Pan przecież jestest naukowcem.
 - No to co?
 - To pana praca... zastanawianie się.
- Stanisław uśmiechnął się.
- Moja praca to zastanawianie się nad zadaniami systemowymi. Za to mi płacą.
- I w tym momencie, pochylony do przodu wieniamin Iwanowicz przestał się uśmiechać i powiedział głuchym głosem:
- Jednak będzie pan musiał zastanawiać się nad tym za darmo. Wszyscy ci ludzie, o których teraz z panem rozmawiałem, zmarli. Wszyscy też zmarli w podobny sposób - mniej więcej tak samo, jak pański ludożerca z siekierą: zabił ich odłamek, którego nie było. Wszyscy w jakiś sposób byli związani z panem, Stanisławie Zinowiewiczu. Bez wyjątku. Rozumie pan, co z tego wynika? Istnieje tuzin osób, które zmarły dziwną śmiercią, jaką zwykłe się nie umiera. Przyczyna ich śmierci jest zagadką, właściwie nie zmarli, tylko zginęli, i wszyscy mniej lub bardziej - wszyscy! - byli związani z panem.
 - Co to znaczy, związani? - zapytał oszołomiony Stanisław. Nie spodziewał się czegoś takiego.
 - To znaczy, albo byli pana znajomymi, albo znajomymi pana dobrych znajomych. Wszyscy bez wyjątku.
 - I wszystkich zabiły odłamki?
 - Przecież pan sam pisze: nie było żadnego odłamka!
 - No, mogło mi się wydawać. Pewnie był, ale ja...
 - Nie było żadnego odłamka, Stanisławie Zinowiewiczu. Na tym polega cały numer. Nie było!
- Ostatnie słowa wieniamin Iwanowicz powiedział prawie szeptem. Jego twarz znów zastygła. Odchylił się na oparcie krzesła i zaczął wykonywać nerwowe manipulacje: splótł palce i głośno nimi zachrząścił, potem mocno potarł dłońmi policzki, nos, który jakby zaczął swędzieć, szyję - z obydwu stron, i znowu splótł palce. Nagle zrobił wrażenie człowieka głęboko wszystkim rozczarowanego i nawet zrozpaczonego. Stanisław patrzył na niego w milczeniu. Obydwaj milczeli i to dość długo. Potem magnetofon cichutko trzasnął i czerwone światło zgasło. wieniamin Iwanowicz złapał go pospiesznie i chciwie, wyciągnął taśmę, przełożył i wcisnął z powrotem. Czerwone światło znowu się zapaliło.
- Czyżby pan chciał mnie oskarżyć o zabójstwo? - zapytał wreszcie Stanisław. Na wszelki wypadek. Wiedział, że tak nie jest.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

Wieniamin Iwanowicz tylko uśmiechnął się krzywo w odpowiedzi. Uśmiech ten oznaczał: niewiele jest warta twoja chwalebna głowa naukowca.

- Jestem pewien, że pan nie jest niczemu winny - powiedział. - Człowiek nie może być winny tylko dlatego, że istnieje, prawda?

- Nie rozumiem - powiedział Stanisław. Poczucie poniżenia i wstydu gwałtownie przekształciło się w nim w poczucie jakiegoś nieszczęścia. Zimna bryłka w środku zaczęła się rozrastać, mroząc wnętrzości.

- Jeżeli pan pyta o moje zdanie - powiedział w końcu Wieniamin Iwanowicz, starannie dobierając słowa - to powiem tak: nie jest pan winny, ale z drugiej strony, gdyby nie było pana na świecie, ci wszyscy ludzie byliby teraz żywi... A w każdym razie, nie zmarliby taką dziwną śmiercią.

- Przecież to jakaś bzdura - odparł Stanisław bezradnie. - Co ja mam tutaj do rzeczy?

- Nie wiem. Sam tego nie rozumiem. Ale chcę zrozumieć. Inaczej nie siedziałbym tutaj z panem.

Przez jakiś czas Stanisław milczał. Oczywiście była pewna logika w rozmyślaniach majora. Ale to była logika myślenia schizofrenicznego, kiedy z dziesięciu możliwych wniosków wybiera się najmniej spodziewany.

- Czy może mi pan wyraźnie powiedzieć, czego pan ode mnie chce? - zapytał wreszcie.

- Tak. Chcę, żeby pan pomógł wyjaśnić mi tę historię. Żeby pan sam wyjaśnił i mnie pomógł wyjaśnić.

- Ale ja przecież nic nie rozumiem, nie widzi pan? - powiedział Stanisław. - Jak mogę panu pomóc? I w ogóle... przepraszam, oczywiście, ale dlaczego muszę panu ufać?

- Nie musi pan - powiedział Wieniamin Iwanowicz ze złością. - Nie wierzy pan to nie. Ale ja radzę panu uwierzyć. I wyjaśnić też radzę. Bo jeśli pan nie wyjaśni, to ktoś inny wyjaśni, i wtedy nie będzie panu dobrze, to chyba pan rozumie?

- Nie.

- Szkoda, że pan nie rozumie. Jest pan człowiekiem nadzwyczajnym. Ewenementem. Czy to pan chociaż zauważył? No, oczywiście! Nawet powieść pan o tym napisał. Tylko nie chce pan, powiedziawszy "a", powiedzieć też "b". A chce pan, żeby ktoś inny powiedział? Nadzwyczajni ludzie na drodze nie rosną, ich, wie pan, specjalnie się szuka...

- Po co?

- Dla dobra sprawy!

To była groźba. A raczej, ostrzeżenie. Dobre ostrzeżenie. Trochę o. Własny interes jakiś tu był, ale nie zły, nie. On chce dobra - i dla mnie, i dla siebie. Ale nie "dla dobra sprawy", dla swojego i mojego dobra...

- Dobrze panu życzę, Stanisławie Zinowiewiczu - powiedział major ze smutkiem. - I panu, i sobie. Nam obydwu, rozumie pan?

- Czy umie pan czytać w myślach?

- Nie. Czytanie w myślach jest niemożliwe - powiedział major z jakimś niespodziewanym zadowoleniem. - Ale można zgadywać myśli. Jak w zagadce. "Kółko ma dwa końce, a pośrodku - gwoździłik".

I te jego głupie słowa o czymś przekonały Stanisława.

- No dobra - powiedział. - No, dobra. Jestem gotów pomyśleć, proszę bardzo... Ale będę potrzebował pana materiałów. Chcę je przeczytać: kim są, jak zmarli i tak dalej. Przecież nie można tak po prostu w to uwierzyć. Bo co, według pana, z tego wynika: siedzi łotr Krasnogorow, jak pająk w pajęczynie, a wokół niego śmierć ludzi kosi... jest pan pewien, że zna pan wszystkie takie przypadki? Przecież to bardzo ważne, żeby wiedzieć - o wszystkich.

- Jestem pewien.

- Nie rozumiem, skąd taka pewność.

- Stąd. Zachowuje się pan jak dziecko, naprawdę, Stanisławie Zinowiewiczu. Czy pan nie rozumie?!

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

Stanisław rozumiał. Po prostu nie mógł w to uwierzyć. Nie mógł się rozstać z przytulnym (teraz wydawało mu się przytulne) przypuszczeniem, że to wszystko jest jakąś skomplikowaną prowokacją, mającą na celu dobicie Sieni Mirłina, a jego, Krasnogorowa, zawinięcie w dywan zdrady. Już rozumiał, że to nie tak, i żałował, że to nie tak, bo jeżeli nawet nie byłoby to proste, to przynajmniej nie takie straszne i koszarne.

- Niech pan da te materiały - powiedział. Trzeba z tym skończyć. Niech zostawi papiery i wychodzi. Trzeba usiąść i wszystko bardzo dokładnie przemyśleć. Zawołać wikonta. Natychmiast.

- Umowa stoi... - powiedział Weniemin Iwanowicz bez entuzjazmu i nawet z jakimś zmęczonym lekceważeniem. Wyciągnął spod stołu nesesor i otworzył go tak, żeby Stanisław nie mógł zobaczyć jego zawartości. - Materiały, proszę bardzo... - wyłożył na obrus teczkę średniej grubości. - Magnetofon też wam zostawię, chce pan? Ale to wszystko - DSP*. Z góry uprzedzam.

- Nic panu nie podpisywałem - sprzeciwił się Stanisław. - I nie podpiszę.

- Stanisławie Zinowiewiczu - powiedział major, zamykając oczy, jakby zmęczony niezrozumieniem rozmówcy. - Proszę pana. Z nikim nie wolno się naradzać w tej sprawie, i w ogóle o niej rozmawiać. Nie mam nic przeciwko panu kolegom, wszyscy to najmiłsi ludzie, ale - nie wolno.

- Obawia się pan przecieku informacji? Już pan do niego doprowadził. Sam.

- Nie boję się przecieku informacji, chociaż... trochę też. Chcę, żeby pan zrozumiał: w tej sprawie mogą wyjść na jaw okoliczności, których sam pan nie zechce rozgłaszać. Potem będzie już za późno.

DSP - Dla Służebnego Polzowania (Do użytku wewnętrznego).

- Co pan ma na myśli? - Stanisław nachmurzył się. W ostatnich słowach majora Stanisław wyczuł jakąś nieprzyjemną i złowieszczą aluzję.

- Nieważne. Niech pan pomyśli: czy pan wszystko o sobie opowiada innym ludziom? Nawet kolegom? Czy jednak coś pan zostawia dla siebie?

Kilka wstydliwych obrazów przeleciało jak stadko nietoperzy w wyobraźni Stanisława, ale utknął, można tak powiedzieć, w polu uwagi tylko jeden: jak marszcząc się i stękając zmienia majtki po kolejnym paroksyzmie olśnienia-zaćmienia...

- Tak. Szczegóły zostawiam dla siebie. Rzeczywiście... - powiedział powoli. - Ale wydaje mi się, że pan ma na myśli coś konkretnego?

- Nie - odparł Weniemin Iwanowicz i nagle, jakby dopiero oprzytomniał, chwycił swoją teczkę jak drapieżnik, podłubał w jej wnętrzu, wy dostał stamtąd jakąś samotną kartkę. - Zapomniałem - wyjaśnił ze skruszonym i kłamliwym uśmiechem. - Przepraszam, ale tego materiału nie dam. To, że tak powiem, moja tajemnica...

Stanisław popatrzył na niego, wziął teczkę i zaczął ją przeglądać. "Gabunija Iwan Zachariewicz"... "Szerstniew Konstantin Iljicz"... "Kalaksin Siergiej Juriewicz"... Był tam nawet "nieznany" - z cytatem z powieści S. Krasnogorowa Szczęśliwy chłopiec. Ogółem siedem akt. Siedem.

- Mówił pan "dziesięć osób"?

- Nie - szybko poprawił go major. - Mówiłem "tuzin", to znaczy koło dziesięciu.

- A tak naprawdę ile? Dokładnie?

- Osiem - tak samo szybko powiedział major.

Ale to było kłamstwo.

- Niech mi pan da tę kartkę, którą pan wyciągnął.

- Nie.

- Niech pan da. Powinienem wiedzieć wszystko. W końcu to o mnie chodzi. Osobiście. To moja osobista sprawa.

Weniemin Iwanowicz tylko pokręcił głową. Patrzył w bok, ściągnął usta jak kurzy kuper.

- Pan mnie oskarżył - powoli, rozpalając się złością, żeby roztopić lód, który utknął w kiszka, powiedział Stanisław. - Pan faktycznie oskarżył mnie o zabójstwo... nawet nieumyślnie...

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

dziesięciu osób, prawda?

- Nie. O nic pana nie oskarżałem. Nawet tak nie pomyślałem.

- Pan łączy mnie z tymi zgonami. Proszę nic nie mówić! łączy mnie pan. I teraz śmie pan coś przede mną ukrywać? Chce pan, żebym to wyjaśnił, a sam pan robi tu jakieś tajemnice?

- Stanisławie Zinowiewczu, nie chcę dać panu tego materiału.

- Będzie pan musiał. Inaczej odmówię współpracy. Jaki diabeł poruszał sprężynę jego uporu? Co za przekłeta дума wylała z niego? Co, właściwie, chciał udowodnić tym uporem i marudzeniem? Major patrzył na niego martwymi oczami żywego trupa. Gdzie się podział dobry, czuły Wujek Wowa? Major patrzył nie widząc, kalkulował. Obliczał warianty. Potem je podsumował.

- Dobra. Niech pan weźmie.

Stanisław, patrząc wyzywająco w jego nagle ożywione oczy, wziął grubą, gładką kartkę z jasnymi, czarnymi liniami. I nagle go zatkało. Nie przeczytał jeszcze ani słowa, nawet nie popatrzył na tekst, ale już go zatkało i zachciało mu się zwrócić kartkę. Wtedy zmusił się do czytania.

Zdażył przeczytać tylko sam początek. Było tam napisane - tytułem... zamiast tytułu... w kształcie tytułu: "Krasnogorewa Łarisa Iwanowna..." i jeszcze coś, dość dużo, ale nic już więcej nie widział.

Życie Szczęśliwego Chłopca skończyło się. Wszystko zostało za nim. Istnienie bez tego wszystkiego okazało się niemożliwie i Szczęśliwy Chłopiec zniknął. Albo zmarł. Albo po prostu został w przeszłości, zaczepił się tam - jak topielec zahaczony nagle o karpę koło brzegu. Szczęśliwy Chłopiec zniknął. W przyszłości już go nie było.

Część 3

Notatki pragmatyka

Pochodzenie tych notatek jest następujące.

Przyniósł je długi, niezgrabny młodzieniec z bladą twarzą, pokrytą jednocześnie miłym jasnym puszkciem i dość obrzydliwymi pryszczami. Cierpliwie, jak się okazało, czekał na powrót Stanisława do domu od trzeciej aż do jedenastej wieczorem. Kronid radził mu nie czekać, młodzieniec z rady nie skorzystał. Kronid zaproponował, żeby zostawił swoje zamiary - ale i tę propozycję odrzucił. Musiał przekazać coś panu Krasnogorowowi do rąk własnych. "Może pan to mnie zostawi, dam panu pokwitowanie". - „Dziękuję, nie. Do rak własnych”. Siedział więc tak w przedpokoju, który był swego rodzaju poczekalnią (Stanisław został jeszcze w starym mieszkaniu - nie popełnił popularnej wśród młodych polityków głupoty, nie wyszarpał sobie luksusowego apartamentu i nawet nie zorganizował dla siebie rozkosznego biura. Tylko Martianównę, sąsiadkę, wysiedlił na komendancki aerodrom w celu polepszenia swoich warunków mieszkaniowych).

Stanisław wrócił zmęczony, zły, chory od ludzkiej głupoty i podłości. Kronid wyszedł do niego, wysłuchał poleceń na noc, przekazał listę najważniejszych telefonów i dopiero wtedy wskazał na upartego młodzieńca, który stał oparty niedbale o ścianę, i ciągle cierpliwie czekał, kiedy zwróci na niego uwagę.

- Słucham pana - powiedział Stanisław, wyciskając z siebie uśmiech numer sześć. Jeszcze miał nadzieję, że rozmowę będzie można skończyć już tutaj, w poczekalni, w szybkim służbowym tempie.

- Moje nazwisko Krasnogorski - powiedział cicho młodzieniec. - Jestem Wania.

Stanisław poznał go sekundą wcześniej.

- Chodźmy - rzucił krótko i przeszli do gabinetu. - Siadaj - powiedział Stanisław i sam zwał się na fotel, czując się jak nadmuchana łódź, z której nagle wyciągnięto korek. - Przepraszam, że od razu cię nie poznałem. Ponad rok minął, prawda? No, co słychać? Mogę ci w czymś pomóc? Z przyjemnością.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

- Przyniosłem panu notatki ojca - powiedziała cicho wania Krasnogorski i Stanisław po raz kolejny zdziwił się, jak wybredna jest natura w spełnianiu własnych praw: Krasnogorski-młodszy był podobny do majora Krasnogorskiego o wiele mniej, niż, powiedzmy, do Sieni Mirlina - tamten też był długi, szczupły i niezgrabny. Stanisław wziął brudną teczkę, na której okładce napisano czerwonymi drukowanymi literami "Iwanowi", i rozwiązał sznureczki. "Czytasz te notatki, co oznacza, że już nie żyję. Zabili mnie..." - przeczytał i zamknął teczkę. Wania stał, gotów odejść.

- Poczekaj, dokąd? - zapytał Stanisław, zdobywając się na kolejny wysiłek. - Nie chcesz ze mną porozmawiać?

- Bardzo chcę - powiedział wania. - I mam do pana prośbę. Ale dopiero, jak pan przeczyta.

- Dobrze - powiedział Stanisław. - Umowa stoi. Przeczytam.

- Telefon mam ten sam, co przedtem...

- Rozumiem. A gdzie byłeś przez ten cały czas? Dwa razy cię szukałem...

- Wyjeżdżałem - krótko odpowiedział wania i Stanisław nie chciał naciskać. Przeczytał zawartość teczki tej samej nocy.

Rozdział 1

Czytasz te notatki, co oznacza, że już nie żyje..

Zabili mnie.

Cokolwiek podadzą jako przyczynę, śmierci, powinienesz wiedzieć: zabili mnie w sposób wyrachowany, profesjonalnie, nieskazitelnie czysto.

Nie wierz, że zmarłem nagle w autobusie w godzinach szczytu na atak serca. Jestem zupełnie zdrowy. (Ty, d propos, też). Po prostu ktoś dobrał się do mnie w tłumie i wbił mi (przez marynarkę) igłę z jakimś (nie znam dzisiejszych preparatów) kardioletem albo innym obrzydlistwem.

Nie wierz, że byłem nieuważny, przechodząc przez ulicę. Od jakiegoś czasu nigdzie nie bywam tak uważny, jak przy przechodzeniu przez ulicę, omijaniu ciemnych (nie wiadomo dlaczego) klatek i na peronach dworców, w metrze i w podmiejskich kolejkach. Jeżeli padłem ofiarą pijanych chuliganów, powinienesz wiedzieć: znam ich. Nie są chuliganami, rzadko piją i nigdy się nie upijają. To albo Aleksandr Stiepanowicz Gurikow (Suka Saszka), albo Marlen Iwanowicz Kosoruczkin (Marlecha), albo, być może, Sieriooga Żuczek (Siergiej Siergiejewicz Żukowanow).

Nie wierz nikomu, żadnym papierom, żadnym filmom i zdjęciom, żadnym taśmom magnetofonowym i nagraniom wideo. Wierz temu, co ja piszę dla ciebie, i pamiętaj, że te dane uczynią cię nietykalnym (dokładniej: możliwe, że uczynią; mogą uczynić - przy spełnieniu jakiś nikomu nie znanych warunków), ale - tylko w tym przypadku, jeżeli pozostaną wyłącznie twoją własnością.

Ta wiedza zabije cię szybciej niż trucizna, jeżeli podzielisz się nią jeszcze z kimś. To tajemnica - dla jednego. Dwóch to już dużo za dużo, nieodwracalnie za dużo.

Najbardziej bój się tych, których kochasz.

Bój się matki. Jest głupia i głupio szlachetna (nigdy nie ufaj szlachetnym - wydadzą cię, ciesząc się swoją bezinteresownością). Bój się Aloszki - jest alkoholikiem (nigdy niczego nie powierzaj alkoholikom).

Bój się swojej Katiuchy. Kręci tobą, podoba ci się, to wiem, ale jest znacznie silniejsza od ciebie i dobrze zdaje sobie z tego sprawę (w ogóle, nie radzę ci ufać kobietom: mężczyzna nie jest zdolny do tego, żeby do końca zrozumieć kobietę, to inny gatunek, a ufać można tylko komuś, kogo się zna do samego dna).

Chcę, żebyś otrzymał wszystko, co mam. Doprowadzisz mój pomysł do końca. Skoro czytasz te notatki, to znaczy, że ja nie zdążyłem.

Przeczytaj, wyjaśnij i dokładnie przez dziewięć miesięcy nic nie rób, tylko żyj tak, jak żyłeś dotychczas, i myśl. Czekaj. Myśl.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

Przygotuj się do podjęcia decyzji. Dziewięć miesięcy. Decyzja powinna dojrzeć w tobie, jak dojrzewa dziecko w kobiecie. Po-tem postąpisz, jak będziesz uważał. Człowiek, który przekazuje ci tę teczkę, nic nie wie. Nie wie nawet, że jesteś moim synem. Jest krystalicznie czysty, krysta-licznie uczciwy, po staremu szlachetny i bliski. Jednak lepiej ni-gdy więcej się z nim nie spotykaj. Oczywiście, mogą go namierzyć... Nie, nie mogą. Jeżeli będą mogli go namierzyć, po prostu nigdy nie dowiesz się o tych no-tatkach.

Ej ty, szpiclu! Jeżeli jednak dobrałeś się do mnie i czytasz teraz te linijki - bądź przeklęty! Będę przychodzić do ciebie po nocach, pić twój gorzki mózg i gryźć twoje paskudne serce. Odkryłem tę tajemnicę, wykopałem ją, rozwiązałem, wyrwa-łem z mętneho niebytu, ale do dziś nie nauczyłem się z niej ko-rzystać. Wiem, że ta tajemnica niesie w sobie zarodek gigantycz-nych możliwości. Siła, nawet moc i wielka władza, i możliwość przerabiania tego, czego człowiek nie stworzył - to wszystko widać przy pierwszym z nią zetknięciu. Ale jak? Nie wiem. To jest coś w rodzaju sławetnego termojadu* z twojej ulu-bionej fizyki. Wszyscy wszystko o nim wiedzą, na papierze wy-gląda dobrze, a nawet znakomicie, mówi się o tym już od pół wieku, wszyscy gadają, wszyscy coś robią, ale nikt niczego w koń-cu nie osiągnął. Siła. Moc. Władza nad światem. Ale - jak? Właśnie dzięki tej analogii czuję się naukowcem-teorety-kiem, który ma "na końcu pióra" wielkie odkrycie. Ktoś kiedyś będzie miał z niego wielki pożytek, ale nie dzisiaj i nawet nie jutro. Dopiero wtedy, gdy nie będzie na świecie ciebie, ani mnie, ani nikogo.

Z przyczyn oczywistych nie mogę należycie udokumento-wać swojego odkrycia. W większości przypadków będziesz mu-siał po prostu uwierzyć. Właśnie dlatego postaram się być do-kładnym, w nadziei, że w moich szczegółowych opisach będziesz w stanie znaleźć jakiś punkt zaczepienia, haczyk, pętelkę, żeby wciągnąć do swojej łodzi dużą rybę, którą wypatrzyłem w głębi wód, ale nie potrafiłem chwycić za skrzelą.

(Łapię się na potoczystości stylu. Zawsze mi to zarzucali. Cytaty z moich sprawozdań podawano jako negatywny przykład; budziły złośliwe uśmieszki kolegów z organów. Jednak mam za-miar pisać tak, jak chcę. Przez całe życie walczę o możliwość robienia tego, co chcę i jak chcę. Teraz wreszcie wywalczyłem sobie taką możliwość. Nie grożą mi ani nagana z wpisaniem do akt personalnych, ani wezwanie na dywanik, a następnie opieprz, ani zwolnienie. Grozi mi najwyżej przedczesna i gwałtowna śmierć, ale mój styl literacki, niestety, nie jest w stanie ani jej oddalić, ani przybliżyć, na tym polega numer).

Termojad - w żargonie naukowym reakcja termojądrowa. Doskonale znasz tego człowieka. Jego portret od wielu lat stoi obok zdjęcia twojej mamy. Teraz prawie co drugi dzień mo-żesz oglądać go na ekranie telewizora albo czytać o nim w gaze-tach. Stał się tematem powszechnej dyskusji, a ja dobrze zapa-miętałem tę rozmowę, która odbyła się między nami w zeszłym roku (jesienią). Domagałeś się, żebym ci wytłumaczył, jak może być moim przyj-acielem i dobroczyńcą człowiek o tak haniebnych poglądach, a ja mówiłem, że poglądy przychodzą i odchodzą, a człowiek zostaje. Pokłóciliśmy się, obraziłeś się i więcej o nim ze mną nie rozmawiałeś (choć dobrze słyszałem to, co mówi-łeś kolegom przez telefon - przyznaj się, chciałeś, żebym słyszał te rozmowy?). Cóż, sądzę, że po przeczytaniu tych notatek zro-zumiesz dużo, jeżeli nie wszystko.

Moje badania zaczęły się jednak nie od niego. Przez parę lat pracowałem w wydziale, dokładnie - w spe-cjalnej grupie, gdzie zajmowano się zjawiskami paranormalny-mi. Telepaci, jasnowidze, żywe trupy, telekinetycy, znachorzy, mikrozabójcy, wilkołaki, wróżki, więdźmy wszyscy byli naszymi klientami. Zjawy, UFO, nekrodynamika, paleoastronautyka... O wielu już teraz zapominałem, ale spis terminów liczył u nas ponad osiemdziesiąt pozycji. I wszystko było ściśle tajne. Na-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
sza działalność była tak utajniona, że meldowaliśmy bezpośrednio Jemu, nawet nikt z jego zastępców nie miał nic o tym wiedzieć.

Dawno już zauważyłem, że im głupsza sprawa, tym bardziej jest utajniona. W naszych sprawach było tyle głupot, że na nic innego po prostu nie zostawało miejsca. "Same głupoty!" - meldowaliśmy kierownictwu. "No-no, pracujcie, o Bogu nie zapominajcie!" - "Ale to przecież głupoty!" - "Myślicie, że Amerykanie są głupszy od was? A jednak szukają i nic, wszyscy są zadowoleni. Pieniądzy wam podrzucić? Trzeba było mówić..."
Dziewięćdziesiąt procent informacji - to były po prostu bzdury. Dziewięćdziesiąt koma dziewięćdziesiąt dziewięć - doprowadzało nas w końcu do jakichś oszustów, czasami bardzo inteligentnych, nawet - świetnych. Ale były, były jakieś setne procenta, które budziły zdziwienie, zmuszały do zastanowienia i podjęcia dalszych działań.

Po trzech lub czterech latach doszedłem do dwóch wniosków, warty odnotowania.

Pierwszy był zupełnie konkretnym i pragmatycznym wnioskiem o tym, że żadna telepatia nie istnieje. Nie można czytać w myślach. Zgadywać, namierzać, podglądać - tak, ale nie czytać. Ten wniosek bardzo mnie pocieszył i ułatwił moją egzystencję w tym świecie, który się nazywa "miejsce pracy". (Nigdy i nikomu o tym wniosku nie wspominałem. Przeciwnie, zawsze mówiłem coś zupełnie innego. I kierownictwo chętnie dawało pieniądze na to coś innego. Na świecie wielu głupców myśli, że dobrze byłoby nauczyć się czytać w czyichś myślach. Być może potem opowiem ci jedną historię - jak ocalałem tylko dlatego, że głupek i łobuz zwarli się ze sobą i obaj przegrali - zżarli się nawzajem, jak wilki z dziecięcego wierszyka).

Po drugie, zrozumiałem, że badania paranormalne wymagają specyficznej metodyki. Nie są tutaj potrzebne ani barometry, ani areometry, ani woltomierze, ani oscylografy. Niepotrzebni są fizycy, chemicy i nawet lekarze. Potrzebni są profesjonalni sztukiści, którzy mogą zdemaskować cwaniaków i naciągaczy. I potrzebni są cisi, niewidoczni świadkowie, w rzeczywistości - tajni obserwatorzy, pracujący całym sercem. Wszystkie osoby paranormalne - mam na myśli naprawdę paranormalne - mogą być skuteczne tylko w warunkach osobistego spokoju, duchowego ciepła, w ogóle - komfortu duchowego. Kiedy sadzasz takiego człowieka w pokoju zapchanym aparaturą, pod jaskrawą lampą bezcieniową, owijasz w przewody i obklejasz czujnikami, z góry skazujesz się na niepowodzenie, a osobę paranormalną - na całkowitą impotencję twórczą. Są ptaki, które nigdy nie śpiewają w klatce, i zwierzęta (jest ich dość dużo), które nie mogą rozmnażać się w niewoli - stają się impotentami nawet w największej i najwygodniejszej klatce. Czarodziej musi mieć do pracy czarną izbę (jak tarantula - swoją ziemną norkę), to same ściany pomagają mu, i to nie w przenośnym, a w dosłownym znaczeniu. Właściwie współczesny miejski czarodziej tak samo potrzebuje własnej, obmacanej palcami i wzrokiem, powierzchni mieszkalnej, i nie ważne, czy to klatka w mieszkaniu wielorodzinnym czy luksusowy spółdzielczy apartament.

Na bazie tego wniosku sformułowałem praktyczną propozycję - Zapropionowałem zorganizowanie specjalnego pensjonatu,
177

w którym można by zebrać wszystkich nadzorowanych i dać im możliwość przytulnej, beztrudnej, zupełnie swobodnej egzystencji - niech sobie robią norki, wiją pajęczynę,, lepią jaskółcze gniazdko i tak dalej. A obsada będzie się składała z doświadczonych obserwatorów. Myślę, że tylko w ten sposób można liczyć na otrzymanie realnego efektu. Przecież śmiesznie przypuszczać, że pająk będzie łowił muchy w pustym szklanym słoiku, gdzie nie ma nic oprócz jasnego światła i much.

Moja propozycja została zaakceptowana, pensjonat zorganizowano, odpracowałem tam ponad rok, udało mi się wyłowić dwie prawdziwie paranormalne osoby, i wtedy wpadła mi do rąk teczka z dokumentami, od której wszystko się tak naprawdę zaczęło.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

Nie udało mi się wyjaśnić, kim był ten mądrała (nie ironizuję, rzeczywiście uważam go za wyjątkowo mądrego i spostrzegawczego człowieka z wrodzonym wyczuleniem na parnormalność), który pierwszy wpadł na pomysł, żeby połączyć w jedną sprawę kilka rozrzuconych w czasie i przestrzeni tragicznych wydarzeń, które w ciągu wielu lat pozostawały bez wyjaśnienia.

Połączeniu temu sprzyjał fakt, że każde z wydarzeń było wyjątkowo podobne do drugiego; przyczyna śmierci w każdym przypadku była ta sama (nieznany komentator nazwał ją niemal poetycko: "pęknięcie mózgu"), ale mechanizm zjawiska nie został ustalony, przy czym nie udało się ustalić nawet hipotetycznego mechanizmu - każdemu nieuprzedzonemu obserwatorowi wszędzie te śmierci wydawały się czymś zupełnie mistycznym (dlatego wspomniana teczka znalazła się w końcu w archiwum naszej grupy).

Pomogło również to, że wszystkie bez wyjątku ofiary w jakimś stopniu współpracowały z organami, tak że założone sprawy kryminalne pozostawały w systemie: przechodziły wyłącznie naszymi kanałami i były zgromadzone w jednym miejscu.

Na początku w teczce znajdowało się pięć spraw. Przedstawię jak najkrócej istotę każdej z nich, w porządku chronologicznym. Październik tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku. Mikołaj Ostapowicz Gugniuk, trzydzieści jeden lat, starszy lejtnant NKWD, śledczy. Pracował w dobrze wszystkim znanym Dużym Domu. Wyróżniał się nieustępliwością, twardością, nawet okrucieństwem, był "bezlitosny dla wrogów ludu pracującego". Znaleziony w swoim gabinecie, za biurkiem: leżał piersią na teczkach ze sprawami, głowa faktycznie nie istniała - jakby wybuchła od środka; odłamki czaszki i strzępy mózgu były porozrzucane po całym gabinecie. Uznano wtedy, że to, oczywiście, dywersja faszystowska, strzał zdrajcy-dywersanta, jednak nie udało się znaleźć kuli, no i nie ma kul, zdolnych do takich zniszczeń. Druga wersja: samobójstwo - wsunął do ust laskę dynamitu i zerwał zapalnik. Sposób egzotyczny, ale znany w praktyce śledczej. W tamtych dniach (i latach) samobójstwa śledczych nie były rzadkością: puszczały nerwy, strach dosłownie zżerał ludzi, chrząszcząc kośćmi - strach przed aresztowaniem, strach przed frontem, strach przed porażką, strach przed odpowiedzialnością. .. Ale jeśli chodzi o Gugniuka, to on akurat nie był z tych, co mieli słabe nerwy, pił umiarkowanie, z kobietami stawał na wysokości zadania, pracę swoją lubił i nie bał się jej - nie siedział w nim w środku samobójca. I - co najważniejsze - nie odnaleziono żadnych śladów zapalnika ani materiału wybuchowego.

Oczywiście, czasy były nerwowe: zaczęła się blokada, już toczyły się walki na Pułkowskich Wzgórzach, w specjalnym więzieniu codziennie rozstrzeliwano dziesiątki aresztowanych - tu-tejszych inteligentów, nie dobitych w przedwojennych czasach specjalistów, wojskowych i technicznych. Nie można było przeprowadzić śledztwa z dokładnością, jaka powinna mieć miejsce w przypadku gwałtownej śmierci pracownika NKWD. I przede wszystkim: nie znaleziono żadnych śladów, nie udało się odnaleźć niczego, co choćby naprowadzało na wyjaśnienie wydarzenia. Jakis tytan myśli napisał w opinii o przyczynie śmierci: "prawdopodobnie od odłamka faszystowskiej bomby", i sprawę odesłano do archiwum.

W czterdziestym dziewiątym, kiedy zaczęła się kolejna czystka w organach (sprawa leningradzka), teczkę wyjęto i znowu ją wykorzystano: akt terroru, zdrada, działalność wywrotowa... Kogoś (czyja kolej nadeszła) załatwiono, kogoś wsadzono, kogoś zwolniono - za brak czujności. Do teczki doszły zeznania: "...po zbliżeniu się od tyłu, trzykrotnie wystrzelił w głowę Gugniukowi z pistoletu TT, a potem sprzątnął zużyte łuski i kule...". Człowiek, który sprokurował te zeznania, wyraźnie nie zadał sobie trudu, by przeczytać opis tego, jak wyglądał martwy Gugniuk (strony: 3, 4, 5), chociaż i tego nie było trzeba.

W pięćdziesiątym piątym teczka znowu się przydała: przynajmniej trzech zwolniono z organów - i właśnie wtedy trafiła

ona w pole widzenia mojego Mądrali, który miał już coś podobnego.

W sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku pułkownik służby medycznej, chirurga Iwan Zachariewicz Gabunija, w obecności wielu świadków zmarł dziwną i straszną śmiercią na dwie minuty przed rozpoczęciem prostej operacji wyrostka robaczkowego, którą miał zamiar przeprowadzić. Chory, całkowicie przygotowany, leżał już na stole, a Iwan Zachariewicz, nie spiesząc się, jak zwykle żartując, dopalał ostatniego papierosa "przed patroszeniem organizmu" - też całkowicie gotowy, z maską opatrunkową na piersi i wyciągniętymi do przodu dłońmi w gumowych rękawiczkach, tak że palącego się papierosa trzymała penata i podnosiła do ust młodziutka pielęgniarka. Szczere mówiąc ta pielęgniarka była jedynym naocznym świadkiem wydarzenia, reszta przybiegła z różnych stron później, po usłyszeniu nieludzkiego krzyku nieszczęsnej dziewczyny, oszalałej z przerażenia. A przecież była to pielęgniarka, w dodatku pielęgniarka Wojskowej Akademii Medycznej, zdążyła się napatrzeć na krew i porozrywane ciała, ale nawet jej wydawało się koszmarem, kiedy człowiekowi, który przed chwilą spokojnie wciągał dym tytoniowy z jej raje i rzucał pod jej adresem różne żarciki, nagle wyleciały oczy i wpadły do zlewu. Iwan Zachariewicz Gabunija zmarł praktycznie natychmiast, jeszcze zanim jego nieruchome ciało upadło na podłogę z kafelków.

Jeden z lekarzy, który wykonywał sekcję zwłok, powiedział mi później: "Miałem wrażenie, że w jego czaszce nagle pojawiła się jakaś sfera najwyższej temperatury, mózg natychmiast się zagotował i wytworzył się kłęb gorącej pary pod wysokim ciśnieniem". Dodałbym: ze wszystkimi wynikającymi z tego koszmarnymi konsekwencjami - wrzącą mieszanek wyrzuciło przez wszystkie przewidziane przez naturę otwory czaszki, ale sama czaszka wytrzymała, pękł tylko poprzeczny szew (nie pamiętam, jak się nazywa fachowo).

Śledztwo rozpoczęto zgodnie ze wszystkimi regułami, ale zanim jeszcze znalazło się w impasie, sprawę odebrano prokuraturze wojskowej i przekazano do organów. Po pierwsze, Iwan Zachariewicz był naszym starym zasłużonym agentem (pseudonim Morze, pseudonim Attache i nawet pseudonim Zoja), a po drugie, zainteresowanie tym wydarzeniem wykazała pewna instytucja naukowo-badawcza, która zajmowała się opracowywaniem nowej broni. Krążyły plotki, że pracowali tam nad tak zwaną bombą próżniową i widać coś podobnego do poprzednich swoich eksperymentów wypatrzili w śmierci agenta Zoi. Choć podobieństwo okazało się prawdopodobnie powierzchowne, sprawa po miesiącu wróciła do nas z naukową adnotacją "bez wartości", i wszystko poszło dalej. Aresztowano i wrobiono na dwadzieścia pięć lat innego pułkownika służby medycznej, pretensjonalnego i gadatliwego specjalistę od radioaktywnych porażek skóry. Agent Zoja już od dawna i całkiem służbowo nad nim pracował, tak że nie trudno było ulepić sprawę, trzeba było tylko wyrwać z niego przyznanie się do terrorystycznej działalności w stosunku do pracownika organów, a to stanowiło problem czysto techniczny. Kara śmierci była jeszcze wtedy w zwieszeniu, ale, o ile mogłem wyjaśnić, pretensjonalny pułkownik i bez niej zginął w więzieniu. Sprawę oddano do archiwum.

Tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty, znowu sierpień. Szerstniew Konstantin Iljicz, doktor nauk fizyczno-matematycznych, fizyk-teoretyk, z obronioną dysertacją w dniu wydarzenia - przewodniczący komisji rekrutacyjnej wydziału fizyki. Udało mi się znaleźć jednego z członków tej komisji, który widział wszystko na własne oczy. Wydarzyło się to około piątej; zakończyły się rozmowy kwalifikacyjne (wtedy nazywało się to kolokwium), grupa laureatów liczyła trzydzieści, czterdzieści osób, zdecydowana większość spraw nie budziła wątpliwości, prawie wszystkich szczęśliwie przyjęto, dwóch, trzech rabinowiczów-gurszteinów szczęśliwie odrzucono, praca zbliżała się ku końcowi, kiedy nagle wybuchła gorąca dyskusja między Szerstniewem i, powiedzmy, towarzyszem Kadrowem (tak będziemy go nazywać). Jeden

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

z egzaminowanych (opowiadał mój świadek) znalazł coś podejrzane w ankiecie personalnej, widocznie coś tam było nie tak z rodziną, może biedak był CzRWN, czyli "członek rodziny wroga narodu", i towarzysz, nazwijmy go, Kadrow uparł się: nie. Szerstniew, jako przewodniczący, był na to "nie" przygotowany wcześniej i podejrzanego kandydata podczas rozmowy dosłownie wymaglował - zadał mu kilkadziesiąt pytań, w tym na inteligencją, mających stworzyć sprzyjającą bazą do całkiem uzasadnionej odmowy. Ale chłopak okazał się bystry, na większość pytań odpowiedział dobrze, a jedno zadanie rozgryzł od razu po prostu świetnie. I Szerstniew go polubił! "Mam w nosie wasze "nie"" - krzyczał do towarzysza Kadrowa. - wy mówcie nie, a ja mówię tak! Dość tego gadania! Nie mam przecież nic przeciwko, temu, że odrzucacie kosmopolitów, sam ich nie lubię i uważam za szkodliwych. Ale nie pozwolę wykrwawić radzieckiej fizyki! Ten chłopak jest być może najlepszy ze wszystkich tegorocznych kandydatów, a wy przez jakąś instrukcję chcecie go odrzucić? Co mi tam instrukcja! Na waszą instrukcję - mam swoją, lepszą od waszej!..." Kłócili się w ten sposób z piętnaście minut, coraz zacieklej, i coraz bardziej było ich słychać, bo dla każdego członka komisji stało się jasne, że to stracie dwóch wydziałów tego samego urzędu, a jeden niebezpieczniejszy od drugiego. Przestraszeni członkowie komisji wpatrywali się w stół, jakby języki połknęli, albo tylko patrzyli w milczeniu to na jednego z dyskutantów, to na drugiego. I kiedy wszyscy czekali, co odpowie towarzysz, nazwijmy go, Kadrow, na kolejny wściekły napad przewodniczącego Szerstniewa, który już oficjalnie mówił otwartym tekstem, gdy wszystkie oczy skierowane były na wyraźnie uciszzonego towarzysza Kadrowa, gotowego, widocznie, ustąpić silniejszemu, w tym momencie to się zdarzyło. Rozległ się dźwięk, jakby ogromny korek wybito z ogromnej beczki z piwem i zaraz potem mocniejszy huk, brzęk i szcęk rozbitego szkła. W ostatniej sekundzie życia Konstantin Iljicz Szerstniew stał przy oknie i kiedy nagle rozpadła się jego czaszka, ciało bez głowy runęło bezpośrednio na szybę. Szerstniew był człowiekiem dużym, barczystym, ciężkim, rama pod jego ciężarem trzasnęła i nadłamała się, a szyby całkowicie powylały; z czterech nie zostało ani jednej. Śledczy zajmujący się tą sprawą, trzymał się pomysłu, że Szerstniewa zastrzelił jakiś snajper z zewnątrz. Śladu kuli w odłamkach szkła nie można było znaleźć, a co do samej kuli, to, trzeba przyznać, byłaby to kula wyjątkowa... Zaśmierdziało szpiegostwem, tajną bronią, dywersją - krótko mówiąc, dwóch wsadzono do więzienia (w tym jednego członka komisji), sprawę odesłano do archiwum, ocalali członkowie komisji podpisali zobowiązanie o zachowaniu tajemnicy i po pewnym czasie wszyscy co do jednego zostali zwerbowani. To wszystko jednak nie jest istotne. Istotne jest to, że przyszło mi do głowy zapytać mojego świadka (przezwiśko Korzyk), jak nazywał się ten kandydat, przez którego zaczęła się awantura? Istotne i nawet bardzo ważne jest też to, że Korzyk wykazał znakomitą pamięć: Krasnogorow, odpowiedział bez zastanowienia.

Gdyby na przykład, powiedział, "Aleksiejew", pewnie do dziś błąkałbym się we mgle, chociaż na swoją pamięć też nie narzekam. Ale co innego (mając na nazwisko Krasnogorski) zapamiętać nazwisko Aleksiejew albo Kuźmin, albo nawet Loginow, a co innego (będąc, powtarzam, Krasnogorskim) - zapamiętać nazwisko Krasnogorow. I zapamiętałem. Zaczepienie było słabe, przyklejło się jak pajęczyna, ale tego nazwiska już nie mogłem zapomnieć. Pierwszy dzwoneczek zadzwonił, mimo że jeszcze, oczywiście, nic wtedy nie rozumiałem.

Wiosną tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego roku śmierć spotkała prorektora Czwartego Medycznego Instytutu, Siergieja Juriewicza Kalaksina. Świadców wydarzenia nie było. Ciało znaleziono dwa dni po śmierci na działce Kalaksina w Komarowie - zmarły pojechał na weekend, nie wrócił w odpowiednim czasie, rodzina zaczęła go szukać (miał problemy z sercem). Znaleźli go w łóżku, z rozwaloną głową, już w trupich plamach.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

Kalaksin miał słabe serce, rozwiniętą cukrzycę, kamienie w nerkach, jeszcze coś, a zmarł na "pęknięcie mózgu" - chorobę nieznaną nauce, której właściwie nie można nazwać chorobą. Na zdjęciu wykonanym przez ekipę śledczą Kalaksin leży na plecach pod kołdrą, zamiast głowy ma jakąś kaszę, a z prawej i lewej strony tej kaszy, dwoje zupełnie całych uszu.

To już były całkiem cywilizowane czasy. Pierwsza "Odwilż", nikogo nie wsadzili, nikogo nawet nie zwerbowali, w związku z tym sprawa wyglądała na "ciemną" od początku, jakoś jąprzeciągnęli - najpierw w milicji, potem u nas - i w końcu z ulgą odłożyli. No bo kogo obchodzi śmierć nieznanego prorektora? Pracownik z niego był marny, leniuch i rozpustnik, nie lubiono go w pracy i znoszono tylko ze względu na układy z naszym urzędem. Człowiekiem był takim sobie, rodzina chyba odetchnęła z ulgą, z zapałem wzięła się za podział spadku i wcale nie dopominała się od wysokiego kierownictwa "natychmiastowego wykrycia i ukarania" (przeciwnie, prowadzenie z nimi śledztwa było po prostu męką: na przesłuchania nie przychodzili, nie wykazywali zainteresowania, nie mogli złożyć żadnych zeznań, nawet najbardziej podstawowych). I agentem też był takim sobie - głupim, tchórzliwym, bez inicjatywy. I w ogóle, trzeba powiedzieć, takie były czasy, że nie sprzyjały prawdziwemu ryzykownemu śledztwu: szła nowa fala, zmiana kadry, wszyscy trzęśli się w oczekiwaniu na swój los i pracowali byle jak. Tak że sprawa ucichła szybko i wydawałoby się - na zawsze.

I przez całe dziesięć lat nic się nie działo.

W czerwcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku na cichej uliczce Moskwy znaleziono ciało Aleksandra Siłantiewicza Kalitina, młodego jeszcze człowieka, dziennikarza i pismaka, dość znanego w profesjonalnych kręgach. Uważano go za utalentowanego. (Miałem okazję czytać jego artykuły - i rzeczywiście, umiał wykopać interesującą informację i zgrabnie ją podać: od niego po raz pierwszy, na przykład, dowiedziałem się, dlaczego w Rosji tradycyjnie hoduje się tłuste świnie, kiedy na całym świecie już dawno przeszli na wieprzowinę mięsna, bekonową).

Był człowiekiem młodym, ale już bardzo pijącym. Po pijaku był zaczepny i niebezpieczny, tak że sama jego śmierć na ulicy mało kogo (ze znajomych) zaskoczyła no; upił się, no, przyczepił się do kogoś, no, na złego człowieka trafił... Co prawda, ten zły człowiek tak go urządził, że jego głowy nawet mistrzowie pogrzebowi nie potrafili odrestaurować i trzeba było go pochować w zamkniętej trumnie. A reszta historii jest zupełnie zwyczajna - uliczno-kryminalna, typowa pijacka bójka, nawet go nie okradli - w kieszeni miał pełno pieniędzy (nawiasem mówiąc, nie udało się w końcu ustalić, skąd ten biedny dziennikarz wziął ponad tysiąc rubli).

Takie historie się zdarzają - po sto na miesiąc. Chyba żeby wziąć pod uwagę zwiększone, a nawet dotknięte hipertrofią, okrucieństwo mordu, no i fakt, że Kalitin był "naszym człowiekiem", przy czym wolontariuszem: sam parę lat wcześniej przyszedł, zaproponował swoje usługi i dawał całkiem fachowe opracowania dotyczące najróżniejszych ludzi z kręgów tak zwanej inteligencji twórczej.

Oczywiście specjaliści od razu skojarzyli, że zły człowiek posługiwał się nie łomem, nie kastetem, a nie wiadomo czym.

Wszystkie wyniki ekspertyzy śledczej okazały się negatywne: nie, nie, nie to i nie tamto też. Ciemność. Archiwum.

Jeżeli dziwi cię być może, zważywszy twoją młodość, jak łatwo i prosto wyszyła się u nas do archiwum akta strasznych i tajemniczych przestępstw, weź pod uwagę: po pierwsze, wcale nie tak łatwo i prosto, jak tutaj (dla skrótu) opisuję; a po drugie, gdybyś wiedział, jak dziwne, przerażające i tajemnicze historie ukryte są w archiwach! Gdyby "pęknięcie mózgu" odnotowano tylko raz, doświadczony człowiek, mający skalę porównawczą, nie dostrzegłby w tym niczego tajemniczego i dziwnego. "Nie takie rzeczy się zdarzają" - powiedziałyby, uśmiechając się krzywo, i miałyby rację.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

Jednak nigdy wcześniej nie zanotowano, żeby tajemnicze i niewytłumaczalne przestępstwa układały się w serię! I gdy tylko pojawił się na scenie mój Mądrala, gdy tylko zobaczył serię, od razu pojawił się problem. Mądrala ten problem wyczuł, poczuł, namacał, jak dużego raka pod karpą, ale zobaczyć jednak nie potrafił. Nie mógł go sformułować. Próbował tylko znaleźć ukryte prawidłowości. W aktach zostały jego różnorodne notatki, pytania, które sam sobie zadawał, ślady starań, by odpowiedzieć na te pytania. Wszystkie ofiary były pracownikami organów. Przypadek? Czy są analogiczne przypadki, kiedy ofiara nie jest związana z organami?

I późniejszy, innym - czerwonym - atramentem dopisek: Nie odnaleziono. 16.02.1969.

Wszystkie ofiary to leningradzcy. Nawet Kalitin, zabity w Moskwie, przyjechał z Leningradu. Centrum - w Leningradzie? Odpowiednia broń - możliwa. Ale tylko teoretycznie. Praktycznie to uciążliwe i niewygodne.

Żadnej kobiety. Przypadek?

I- czerwonym atramentem: Penza, 1966. Maniak seksualny. Posługiwał się specjalnie zrobionym młotkiem, miażdżył głowy. Osiem ofiar. Tylko kobiety!

Z pięciu przypadków: trzy w lecie, jeden - wiosną, jeden ~ na jesieni. I ani razu zimą? Dziwne. "

I tak dalej.

Kim był ten mój Mądrala? Z aluzji, pochrząkiwań, ukradkowych spojrzeń, poirytowania kierownictwa i innych odruchów przepytanych osób, wywnioskowałem, że mój Mądrala w swoim czasie uciekł za granicę.. A szkoda! Naprawdę, szkoda.

Rozdział 2

Teczka od razu zainteresowała mnie solidnością materiału. Było to coś porządnego, dobrze zrobionego, bez żadnego naciągania. To było prawdziwe. Męczyłem się. z nią dość długo: poszukiwałem i znalazłem ocalałych świadków, porozmawiałem z niektórymi śledczymi, konsultowałem się. z wojskowymi. Od śledczych nie udało mi się dowiedzieć niczego nowego. Wszyscy byli już w podeszłym wieku, wszyscy na emeryturze, wszyscy obrażeni, bo nie doceniono ich zasług wobec partii, wobec narodu, zmuszono do dymisji, a oni przecież wtedy byli w pełni sił... I nie miałem nadziei usłyszeć od nich nowych faktów. Interesowały mnie nowe wersje, nowe hipotezy, nowe idee: jak to się mogło stać? Nic interesującego nie usłyszałem. "E-e-e, kapitanie, a widziałeś, co wyprawia w człowieku kula z przesuniętym środkiem ciężkości?..." Ale wiedziałem, że to nie była kula. I nie promień laserowy. I nie impuls cieplny. Wojskowi naukowcy wytłumaczyli mi (jak w swoim czasie mojemu Mądrali), że można zorganizować takie "pęknięcie mózgu", przy czym nawet technicznie jest to możliwe, nie tylko teoretycznie, ale po co? Istnieje tyle prostych, wygodnych, łatwych, oszczędnych, cichych sposobów... Po co takie barbarzyńskie rozrzucanie mózgu za pomocą urzędnika, które trzeba by było montować na czołgu albo artyleryjskim pudle?

Teraz wiem, że starałem się wówczas znaleźć odpowiedź na pytanie, na które nie ma odpowiedzi. Rozumiałem gdzieś tam z tyłu głowy, że tak naprawdę pytanie: jak to się robi, może okazać się drugorzędne, ale wydawało mi się, że w każdym przypadku odpowiedź jest potrzebna - nawet jeżeli nie posunie mnie do przodu. W ogóle szczerze przypuszczałem wtedy, że prawidłowo postawione pytanie zawiera w sobie połowę odpowiedzi. W to, że pytanie postawiono prawidłowo, nie wątpiłem ani przez sekundę. Co może być bardziej prawidłowego od pytania: „Jaką bronią popełniono przestępstwo?” To podstawa każdego śledztwa... Skąd mogłem wiedzieć, że zacząłem wcale nie kryminalne śledztwo, i że właściwie, nawet śledztwem nie można tego nazwać - w każdym razie w zwyczajnym prawniczym sensie tego słowa.

w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku, znowu jesienią, w listopadzie, zdarzyła się śmierć Mikołaja Aristarchowicza Kamanina. Ta śmierć narobiła szumu w mieście (i nie tylko w mieście - Moskwa w końcu też się wtrąciła) i zrodziła mnóstwo

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
plotek, w tym głupich, ale przerażających. Prawdą było tylko to, że ciało rzeczywiście znalazła przychodząca służąca, stara znajoma Kamanina, jego sąsiadka jeszcze z mieszkania wielorodzinnego, z tych flibustierskich czasów, kiedy młodziutki kola-kogucik dopiero zaczynał siebie sprawdzać na niwie ojczystego piśmiennictwa, marząc o tym, żeby zostać wielkim proletariackim pisarzem, poruszającym ludzkie dusze, ryczącym głośnikiem partii i komsomołu. Kobieta (właściwie staruszka, miała z osiemdziesiąt lat), a więc ta krzepka mocna staruszka zjawiła się jak zwykle w środę, o dziewiątej rano, otworzyła frontowe drzwi swoim kluczem i odkryła, że Kola Aristarchowicz jest znowu pijany, jeszcze po nocy - światło w gabinecie się pali, a on sam leży na stole całym ciałem na papierach i śpi - i dwie butelki jak na zawołanie - jedna pusta pod fotel, a druga, z odrobiną na dnie, na malutkim stoliczku, obok maszyny do pisania.

(Do tego czasu Mikołaj Kamanin był już skończonym alkohikiem. Mię wstrząsnął ludzkimi duszami i chociaż znalazł się wśród największych, nie wiem, czy jego ambicja była zaspokojona. Jak większość ludzi z jego pokolenia, którzy przeszli przez armię, wiernopoddańcze wzloty, ideologiczne upadki, partyjne Przeróbki, werbowanie do organów, rozpaczliwe ataki dysydentstwa, przekształcające się nagle w ataki rozpaczliwego dupolizania - ludzi, którzy przeżyli wielki Strach i Mały Strach i strach Strachu, i inne uroki epoki budowy ostatecznego i nieodwołalnego komunizmu, na starość stał się miękkim, cichym, tchórzliwym, umiarkowanie nikkczemnym i bardzo pijącym osobnikiem, o którym mówią: "No, to człowiek nieszkodliwy, można nawet powiedzieć - porządny". Wszystko zależy od skali porównawczej. Ale rzeczywiście był nieszkodliwy. Miał już koło siedemdziesięciu lat, cierpiał na serce, rozpaczliwie bał się raka, co miesiąc rzucał palenie i lubił coś czerwonego. Właściwie niczego już więcej nie lubił - ani kobiet, ani czytania, ani tym bardziej pisanie, ani oglądania telewizji, ani kina, ani przyjęć, na które zawsze go zapraszaliśmy. Niczego nie lubił oprócz czegoś czerwonego. Było mu wszystko jedno, co to jest dokładnie: cherry, brandy, czy jakaś "palonka", czy zagraniczny portwajn, a kiedy niczego nie było pod ręką, brał zwykłą wódeczkę i zaprawiał ją wiśniowym syropem albo żurawinową konfiturą).

Marudząc i zrzędząc gniewnie coś o świninach, które gdzie żyją, tam paśkudzą, staruszka zabrała się za sprzątanie w gabinecie, który, jak jej się wydawało, był tym razem nie tylko brudny, ale na dodatek zarzygany. W momencie, gdy pochyliła się, żeby wyłączyć lampę na biurku, nagle zobaczyła, w co zmienił się jej Kola Aristarchowicz...:

Sprawę zatuszowano. Do komitetu obwodowego napisano, że prawdopodobnie to samobójstwo po pijaku, w nekrologu powiadomiono: "w tragicznych okolicznościach stracił życie", a naprawdę nikt, jak i w poprzednich przypadkach, nic nie wiedział. Ale skoro nie było ani rabunku, ani narzędzia zabójstwa, ani motywów - w ogóle niczego nie było, oprócz zwariowanej staruszki, która tępo twierdziła cały czas: "...główki nie ma, co? Nie ma swojej główki!..." - a skoro niczego nie było, to nie można było nic zrobić.

Zrozumiałem od razu, że to kolejny przypadek z serii, gdy dotarły do mnie plotki, które rozeszły się, oczywiście, również po urzędzie. Ale trzeba było odczekać parę miesięcy, póki sprawy nie umorzono, i teraz już ją dostałem na absolutnie prawnych podstawach - w gestię naszej specjalnej grupy, zgodnie z pismem mojego bezpośredniego, Drogiego Towarzysza Szefa.

Szósta sprawa wylądowała w teczce, jak nabój w strzelbie - mocno, zgrabnie i na swoim miejscu. Znowu Leningrad, znowu nie zima, znowu mężczyzna... Znowu z organów. Chociaż prawdziwym fachowcem raczej nie można było go nazwać. Pracował raczej "dorywczo". W czterdziestym dziewiątym, w czasie walki z plagą kosmopolityzmu, wezwali go, gdzie trzeba, i po dobrze zaproponowali, żeby powiedział, co trzeba, odnośnie jednego wybitnego literaturoznawcy. Nie grozili, pięścią nie walili ani tym bardziej nie torturowali, po prostu poprosili, jak nor-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

malnego radzieckiego obywatela, no, i jak rodowitego, rdzennego Rosjanina. A on dopiero co się ożenił z ładną, młodziutką, dobre mieszkanie dostał, właśnie przedstawiono jego kandydaturę do nagrody stalinowskiej... Powiedział. Tylko że zamiast nie - tak. I tyle. Ale potem, biedny, przez całe życie się męczył. To jego "tak" nawet się nie przydało: literaturoznawca, jak mówi poeta, "wziął i wałnął się łbem do Lebioda" jeszcze przed zakończeniem śledztwa, ale podpisany papierek - został. I on o tym wiedział i pamiętał. I oni wiedzieli, że on wie. I kiedy była potrzebna konsultacja - zwracali się do niego. I nigdy nie odmawiał. Bo nie ma silniejszego zwierzęcia niż strach. Choć raz jeden się zbuntował - podniósł głos w obronie Brodskiego. Ale od razu, już na drugi dzień, przycichł. Zgasł, zamilkł, stulił uszy. I niezwłocznie wyjechał do Bułgarii na kongres postępowych działaczy sztuki. "Prawie nie ubierając się". I Bóg z nim, nie mnie go osądzać).

Dodało się statystyki, i już analizowałem w głowie zupełnie idiotyczną kolejną "prawidłowość" - z sześciu ofiar trzy mają nazwiska, które się rozpoczynają od "Ka" i kończą się "in", przy czym, Kamanin to pseudonim, prawdziwe nazwisko było Karamazin, a Gugniuk przybrał nazwisko ojczyma, jego ojciec nazywał się - Kałabachin. Obracałem te dane, przypominając sobie to, co czytałem wcześniej odnośnie lingwistyki magicznej, teorii zaklęć i innej nieudolnej samizdatowskiej bzdury, i nagle natknąłem się w opisie materiałów dołączonych do sprawy Kamanina, na nazwisko Krasnogorow. Wśród innych papierów, zaplamionych krwawą papką, znalazły się dwie pozycje, wyjątkowo ważne: maszynopis powieści Stanisława Krasnogorowa Szczęśliwy Chłopiec i nieukończona recenzja martwego Kamanina na temat tej powieści,, bardzo pochlebna, z propozycją niezwłocznego przyjęcia autora do związku pisarzy, a już na pewno wystąpienia w grudniu do Bombaju na spotkanie młodych pisarzy Eurazji.

Zacząłem biegać jak oparzony karaluch.

Kilka dni zeszło na przesłuchania, telefony, osobiste spotkania i grzebanie w archiwalnych teczkach. Dodatkowego zamieszania narobił fakt, że w Petersburgu znalazł się jeszcze jeden S. Krasnogorow, dziennikarz, regularnie pisujący na moralno-wychowawcze tematy, jednak powieści Szczęśliwy Mopiec nie napisał, na wydział fizyki w pięćdziesiątym nie zdawał i w ogóle okazał się grubym, cierpiącym na zadyszkę facetem, który nie pasował do sprawy ani z racji wieku, ani trybu życia. I miał na imię Siergiej.

Ale w końcu go znalazłem. Przyszedłem do niego do pracy, żeby go zobaczyć. I uruchomiłem wszystkie swoje kanały i znajomości, żeby zebrać o nim informacje. A przecież wtedy nie czytałem jeszcze jego powieści - po prostu przerzuciłem kilka stron i odłożyłem bez zainteresowania (nie lubię samizdatu). I to był błąd. Trzeba było od razu przeczytać. Zaoszczędziłbym mnóstwo czasu. Chociaż i tak musiałem dokładnie go rozpracować, a na to potrzebne są długie miesiące...

Nie mogę powiedzieć (w przeciwieństwie do pewnego bohaterera literackiego), że nie wierzę w zbiegi okoliczności. Przeciwnie. Właśnie wierzą i nieraz byłem świadkiem zadziwiających zbiegów okoliczności (sama zbieżność Krasnogorow - Krasnogorski ile jest warta). Ale kiedy się wyjaśniło, że przed śmiercią dobry pisarz Kamanin czytał rękopis właśnie Krasnogorowa i przy tym tego samego, o którego przyjęciu na studia kłócił się rozwścieczony fizyk Szerstniew na sekundę przed podobną śmiercią, tu już zapachniało nie po prostu zbieżnością, ale identycznością!

Co, właściwie, wynikało z tej identyczności? Chyba nic. Po prostu pojawił się nowy łączący element. Człowiek dotąd niby zupełnie obcy okazał się wcale nie obcym. Do tej pory stał w cieniu, przez wiele lat stał w cieniu, i nagle - wpadł w oko reflektora. .. Do tej pory jakby nie istniał, i nagle - pojawił się znikąd. • • Sympatyczny, krzepki, trochę skłonny do otyłości, dobry pracownik, wolterianin, oczywiście, i ukryty dysydent, ale niegłupi, nie radykał, raczej liberał, dobry przyjaciel, dobry syn, dobry, rodzinny człowiek... Przyznam, że mi się spodobał, po ludzku spodobał,

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

ale im więcej się o nim dowiadywałem, tym mniej rozumiałem, jak ten człowiek znalazł się w sferze mojej uwagi? Przecież w ogóle nie ma z tym nic wspólnego. Żyje prostym i zdrowym życiem, czego nie spotyka się często w naszych niespokojnych czasach. Lubi przyjaciół, czule kocha żonę, bardzo lubi swoją pracę. I nic chyba poza tym nie jest mu potrzebne. Jest samowystarczalny. Spokojny. Żyje w innym, spokojnym, prawie zamkniętym świecie, ze swoimi zwrotami, oczywiście, z karaluchami i dziwnościami, ale - innym... Jak trafił do mojego, okrutnego, krwawego i brudnego, gdzie mieszkają, rojąc się, marne istoty i nagle - umierają, zabite niespodziewanie niewiadomą i niewidoczną niezłomną i ślepą siłą?...

Nie było trudno dowiedzieć się, że Aleksander Kalitin był przyjacielem, i to bliskim, mojego Krasnogorowa. Razem studiowali, razem pili, razem podrywali dziewczyny, czytali swoje młodzieńcze szkice, razem śpiewali wspólnie wymyślone piosenki. Ostatnie swoje donosy do różnych instancji poświęcił Kalitin właśnie jemu, Krasnogorowowi, a także innemu członkowi ich paczki, Kikoninowi Wiktorowi Grigoriewiczowi, naukowcowi.

Iwan Zachariewicz Gabunija, wojskowy chirurg, mieszkał, jak się wyjaśniło, w sąsiednim domu i przychodził w celach matrymonialnych do Krasnogorowej Kławdii Władimirowny, przymerzał się już, by przejść na emeryturę, ożenić się z tą miłą i silną (wtedy już niemłodą) kobietą, zabrać i ją, i syna, ponurego, niegrzecznego nastolatka Sławę, w swoje strony, do Poti, gdzie miał dom, ogródek, łądz...

Wyglądało na to, że Kalaksin Siergiej Juriewicz, prorektor Czwartego Medycznego, nie znał mojego Krasnogorowa, w każdym razie nie udało mi się ustalić jakichś bezpośrednich nici. Ale na pewno - powiedzmy, prawie na pewno - znał studenta wyżej wymienionego instytutu, wiktora Kikonina, najlepszego i najbliższego przyjaciela Krasnogorowa.

Węzeł zawiązywał się coraz mocniej. Puste krataczki wypełniały się. I realizowały się wszystkie małe przepowiednie, na które sobie pozwalałem. Znalazłem go. To był on.

Być może właśnie teraz wreszcie powinienem ci wytłumaczyć, czemu, właściwie, to wszystko tak mnie niepokoiło i zajmowało czas. Z punktu widzenia zdrowego, chłodnego rozumu, moje zmartwienia, moja bieżączka, moje przypadki wyglądają - powinny wyglądać - jak coś niepoważnego, zupełnie absurdalnego, nawet bezsensownego. Dorosły, solidny, rodzinny człowiek, pracownik poważnej, cieszącej się autorytetem organizacji zajmuje się byle czym: jakiś kryminal, nie kryminal, fantastyka jakaś, mistyka, głupota... I to wszystko na poziomie klubowej twórczości amatorskiej, bez bezpośrednich wskazówek, bez zgody kierownictwa, jakbym nie był oficerem na służbie, a entuzjastą w poszukiwaniu materiału na kolejny artykuł.

Wiem, że ty - romantyk, poszukiwacz niezwykłego - nie potrzebujesz innych motywów, jeśli bardzo chcesz odkryć tajemnicę (przynajmniej taki jesteś teraz, kiedy piszę te słowa, pod koniec lat osiemdziesiątych). Ale też wiesz, powinieneś wiedzieć, że twój ojciec - to suchy obojętny pragmatyk, racjonalista, praktyk, pracuś, dla którego romantyzm jest tylko wygodną cechą ludzkiego charakteru, pozwalającą na wykorzystanie tego człowieka dla potrzeb służbowych.

Taki jestem teraz, byłem zawsze, od kiedy siebie pamiętam. Pragmatyk. Racjonalista. Chodzący komputer. W żadnym przypadku nie zwariowany na punkcie osób paranormalnych, nawet nie bezinteresowny naukowiec, pragnący bezinteresownego poznania, ale też nie służbista. Właściwie chciałem znaleźć przestępcę i wspiąć się po schodach kariery aż trzy schodki na raz zamiast jednego.

Nie chcę wgłębiać się w historię, w głupie, dziecinne, wstydliwe, pacholęce, nickszemne, młodzieńcze przeżycia - nic dobrego tam nie ma, i wspominać o tym wszystkim nie lubię (garnizony, garnizony, garnizony, spalone gliniane pustkowia, zimne gołe góry, obojętne stopy, duszne wieczory bzykające moskitami, lodowate przeciągi w zapluskwionych domkach, złośliwi zdziczały kolesie, tłuste jedzenie, wszędzie żołnierze, wycieńczeni i znudzeni, i wycieńczeni i znudzony ojciec - wieczny, beznadziejny kapitan). Rozumiem,

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
że jestem rodem stamtąd, cały, ze wszystkimi swoimi właściwościami i odrębnościami, ale nie mam zamiaru, przynajmniej tu i teraz, zajmować się samoanalizą i rekonstrukcją przeżytego. Znaleźć w otoczeniu najsilniejszego i oprzeć się o jego siłę. Ta prymitywna formuła kierowała mną od niepamiętnych czasów, a ja kierowałem swoim życiem, opierając się na tej formule. Złożyłem wniosek i wstąpiłem do partii, bo nie było wokół większej siły, niż ona, a kiedy mi to zaproponowali, zdałem do szkoły KGB, bo już wtedy rozumiałem, że organy - cokolwiek o nich mówią - to siła siły, która chroni i razi. Z przyjemnością wziąłem się za pracę z osobami paranormalnymi, bo właśnie tutaj poczułem możliwości, których nigdzie indziej nie można było znaleźć. Przekonałem się, że jestem na właściwej drodze, kiedy na własne oczy zobaczyłem człowieka, zdolnego, że tak powiem, wzrokiem rozszczępiać drzewa i kruszyli kamienne mury. Oczywiście, nie robił tego wzrokiem... Szczerze mówiąc, w ogóle tego nie robił. .. Długo by to tłumaczyć, przyjacielu, i nie ma sensu tego tłumaczyć: ten człowiek od dawna już nie żyje, był głupi i nikczemny, mając te wszystkie swoje zadziwiające możliwości... Znaleźć tego, kto ma Moc! To zadanie pochłonięto mnie i poruszało mną przez kilka lat. Stworzyłem specjalistyczny pensjonat i w jego ścianach czułem się poszukiwaczem złota, który nagle znalazł się w środku nowego eldorado. Szukałem. Czekałem. Grzebałem w archiwach. wierzyłem. Nie jestem psychopata ani romantykiem, ani mistykiem, ani fantastą. Jestem człowiekiem praktyki. Chciałem znaleźć na tym świecie Moc, szukałem jej i w końcu ją znalazłem. Zmusiłem się jednak do tego, żeby usiąść i przeczytać jego powieść - po prostu dla pełnego obrazu. I wszystko ostatecznie znalazło się na swoim miejscu. Moja hipoteza uzyskała ostateczną formułę. Nikomu na świecie nie mógłbym wyłożyć tej hipotezy, nikt by mi nie uwierzył, nikt nie potraktował poważnie, ale przecież nie miałem zamiaru nikomu tego opowiadać. To było moje. Dochodziłem do tego przez kilka lat. Czekałem na to. Miałem na to nadzieję. I osiągnąłem to. Wreszcie to był On.

Rozdział 3

Domyślałam się, że wiesz już, o co chodzi. Przed połową siedemdziesiątego drugiego roku w mojej teczce było sześć prawdziwych przypadków "pęknięcia mózgu". We wszystkich tych przypadkach bliżej czy dalej wydarzenia znajdował się człowiek

1 "3

o nazwisku Stanisław Zinowiewicz Krasnogorow, urodzony w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku, Rosjanin, pracownik naukowy WNIITEK-u, doktor nauk fizyczno-matematycznych, żonaty, bezdzietny, w życiu codziennym skromny, sympatyczny, bardzo zwyczajny, wyróżniający się wśród innych chyba tylko skromnością, tym, że nie jest natrętny, nie jest karierowiczem, nawet tym, że jest trochę ograniczony... Takich osób być może jest stosunkowo niewiele, ale w ostatecznym rachunku, dzięki Bogu, nie tak znowu mało - są ich setki tysięcy, miliony. Jednakże właśnie ta zwyczajność, ta całkowita przeciętność, ta spokojna i nawet godna (czy - zadowolona z siebie?) zwykłość sprawiły, że jego związek ze śmiertelnościami wydarzeniami był zupełnie niejasny i tajemniczy.

Zrobiłem tabelę. Chciałem połączyć wszystko, co jest najważniejsze, wszystko, co mi się wtedy wydawało najważniejsze, byłem pewny, że istnieje prawidłowość i że po odnalezieniu tej prawidłowości dowiem się o tym człowieku wszystkiego i wtedy zacznę się nowa epoka - dla mnie, dla niego, dla świata... Musiałem się pomęczyć, zanim znalazłem odpowiedzi na najprostsze pytania. Czy ofiara znała Krasnogorowa? Jeżeli tak - to w jakim stopniu? Jeżeli nie - to co ich łączy? Czy ofiara szkodziła Krasnogorowowi? W jaki sposób mu przeszkadzała? Czy była dla niego niebezpieczna? A jeżeli nie, to czy może wzbudzała w nim jakieś obrzydzenie, niechęć, idiosynkrazję? Ponownie uruchomiłem wszystkie sprawy z mojej teczki, znalazłem wszystkich, którzy jeszcze żyli, porozmawiałem z nimi, przestudiowałem powieść Kra-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
snogorowa tak, jakby to nie była powieść, a sprawozdanie ze śledztwa (w jakimś sensie tym była) zebrałem dane agenturalne o nim samym (pięć osób opracowywało tę linię, to był szczyt mojej popularności w oczach kierownictwa, dostałem pozwolenie na wszystko, co mi było potrzebne: równolegle trwało opracowanie wyjątkowo paranormalnej osoby o przezwisku Wilkołak - rzeczywiście chyba był wilkołakiem i kierownictwo pokładało w nim wielkie nadzieje, i we mnie też - bo złapali go w jednym z moich pensjonatów). Przed początkiem siedemdziesiątego trzeciego roku tabe-
la wyglądała następująco:

Mikołaj Ostapowicz Gugniuk, śledczy NKWD.

Stopień znajomości: nie znany.

Stosunki: żadnych.

Związek: jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku prowadził sprawę Amalii Michajłowny Berman, sąsiadki Krasnogorowa z klatki schodowej.

Szkodliwość: miał zamiar tę Berman zlikwidować, po jego śmierci nie wiadomo dlaczego ją puścili (dlaczego? - oto pytanie!) i to ona uratowała życie małego Sławy Krasnogorowa.

Iwan Zacharowicz Gabunija, wojskowy chirurg, pułkownik.

Znany, przyjaciel rodziny. Był nielubiany z przyczyn charakteru ogólnego - dzieci, które zostały bez ojca, z reguły nie lubią potencjalnego ojczyzna. Życzył przyszłemu pasierbowi wyłącznie dobra.

Konstantin Iljicz Szerstniew, fizyk.

Znali się - w tym sensie, że widywali się i kontaktowali.

Chciał dobrze dla Krasnogorowa, ale: po pierwsze, Krasnogorow, oczywiście, nic o tym nie wiedział, widział natomiast coś przeciwnego - człowieka, który za wszelką cenę chce go oblać; po drugie - subiektywnie Szerstniew chciał dobra, ale obiektywnie? Jeżeli wziąć pod uwagę możliwe konsekwencje: dożywotnie (faktycznie) uwięzienie w tajnej "skrzyni", żadnej wolności, wreszcie białaczką?

Siergiej Juriewicz Kalaksin, prorektor Czwartego Miedzycznego.

Żadnych bezpośrednich kontaktów między nimi nie udało się ustalić. Tylko pośrednie, przez Wiktora Kikonina, przyjaciela Krasnogorowa. Ten Kalaksin, to chyba najsłabsze ogniwo w ogólnym łańcuchu faktów (ja przez jednego człowieka znałem Berię, przez jednego - prezydenta Forda, i przez dwóch - dziadka Lenina. Znasz tę zabawną grę "Świat jest mały". Ty sam znałeś towarzysza Stalina przez dwie osoby - przeze mnie i mojego pierwszego kierownika). Ale jednak, mimo że słaby, związek istnieje. A przecież mogłoby nie być żadnego!

Aleksander Siłamtiewicz Kalitin, dziennikarz.

Bliski i kochany przyjaciel. Stosunki - nawet nie ciepłe, a gorące - Co prawda, Kalitin donosił na swojego kochanego i bliskiego,

ale Krasnogorow nie mógł o tym wiedzieć, no i donos był niewinny, nie wywołujący ani represji, ani sankcji.

Nikołaj Aristarchowicz Kamanin, pisarz.

Jeżeli się znali, to tylko powierzchownie: przyszedł, przyniósł powieść, czekał na decyzję mistrza, nie doczekał się. Kamanin życzył Krasnogorowowi tylko dobra. Krasnogorow lubił i cenił Kamanina jako pisarza i człowieka. Żadnych innych danych (nawet o formalnej znajomości!) nie udało się zebrać.

Był jeszcze nieznany i nieustalony "ludożerca" z powieści - postać albo wymyślona, albo, być może, całkiem realna, porażona jednak nie żadną mistyczną siłą, a prozaicznym i rzeczywistym odłamkiem.

I była sama powieść: dziwne, podświadome przyznanie się osoby paranormalnej do swojej paranormalności.

Żadne prawidłowości nie istniały. Wśród ofiar byli bliscy znajomi, ale też ludzie, których na oczy nie widział i nawet nie mógł widzieć! Kogoś z nich lubił, kogoś - nie trawił. Ktoś działał na jego szkodę, a ktoś przeciwnie - na korzyść... Ale czy wiedział o tej ich działalności? wątpliwe, bardzo wątpliwe, ale jeśli i wiedział (też w jakiś zupełnie tajemniczy sposób), to dlaczego kosił

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
ich wszystkich pod rząd, nie wdawał się w szczegóły? I co najważniejsze: czy kosił?
Już więcej nie zadawałem sobie pytania: jak? Czy je kosił, oto w czym tkwił problem, czy byli jego tarczą, czy umierali po prostu dlatego, że był, oddychał, jadł, spał, kochał - jak tysiące z nas co roku umierają bez winy i sensu, tylko dlatego, że istnieją na świecie wibriony, ziarniaki, bakterie, wirusy - żyją, oddychają, jedzą, śpią, mnożą się, nie podejrzewając nawet naszego istnienia, nic o nas nie wiedząc i nie mając możliwości dowiedzenia się o nas... Tak samo, jak my, nie wiedząc, depczemy na leśnej dróżce albo na miejskim asfalcie mrówki i robaczki, jak niedbałym i bezcelowym ruchem w ułamku sekundy niszczymy, być może, całe mikrokosmosy.
Informacje, które posiadałem, nie wystarczały mi. Nie wiedziałem, gdzie szukać brakującego ogniwa, o tym, co było mi potrzebne, nie wiedział nikt. Nawet on sam, być może. Raczej. Prawie na pewno.
To obrzydliwe "prawie", wszystkie te nieznośne "raczej", "chyba", "trzeba sądzić" - gryzły mnie i dobijały. Powinienem wiedzieć, a nie sądzić. Wszystko wyjaśniło się w ciągu tych miesięcy. Tak albo nie. Tylko tak albo nie i żadnych "prawie".
W rozpaczy łamałem sobie głowę nad eksperymentem, który dałby jasną i jednoznaczną odpowiedź (zdaje się, że to się nazywa experimentum crucis). Już wtedy domyślałem się, że eksperyment taki w praktyce nie jest możliwy, ale był mi zbyt potrzebny, żebym się wsłuchiwał w piski mojej intuicji.
Teraz wstyd mi pamiętać o tamtych czasach. Najtrudniej jest wybaczyć sobie dwie rzeczy z przeszłości: tchórzliwość i głupotę. Jednak piszę o tym, bo uważam, że to ważne, żebyś wiedział o tych głupotach - no, bo powiedzmy, sam będziesz chciał robić podobne eksperymenty?
Najpierw zorganizowałem zwykłą grę. Cel: dać nauczki, to znaczy, w żadnym przypadku nie zabijać, nie kaleczyć, ale wlepić gadzinie tak, żeby się zesr...ł. Idiota. Na co liczyłem? Czego tak naprawdę chciałem? Żeby Sieriozę i Saszkę pewnego pięknego poranka znaleziono w bramie z pękniętymi mózganymi? I Sieriożę i Saszka, to szmaty, dranie, ani trochę ich nie szkoda, ale od razu pojawiłoby się mnóstwo dodatkowych problemów, mnóstwo sprawozdań i wytłumaczeń, coraz to nowe kłamstwa w instancjach, więc -po co? Żebym mógł wreszcie powiedzieć z pewnością: "Tak, to on"? Komu powiedzieć, kretynie? Nikomu nie miałem zamiaru nic mówić. Sobie, być może? Przecież i tak wiedziałem, że to on... Pomysł idiotyczny, zupełnie bezsensowny i beznadziejny. Nie mógł dać decydującego rezultatu i żadnego rezultatu nie dał - tylko powiększył listę ponuro jednakowych pytań, no i listę pośrednich dowodów paranormalności, których i bez tego było dość.
Agencji w żaden sposób nie mogli go dopaść. Obiekt był jak zaczarowany. Albo nagle, dosłownie znikąd, pojawiali się strefie kontaktu nieoczekiwani i nawet niemożliwi świadkowie (na przykład: komisja komitetu wykonawczego w sprawie dopiero co kupionej szwedzkiej maszyny, wciągającej gówno - trzy czarne wołgi, tłum sytych młodzieńców z marlboro w zębach i migający wszystkimi trzydziestoma lampkami zagraniczny agregat ze wszystkimi swoimi rurami i pompami). Albo przeciwnie, cicho i spokojnie, ale obiekt nie pojawia się w umówionym punkcie: niespodziewane kolegium, nagła podróż służbowa do Gaczin, a raz nawet mały wypadek samochodowy!... Ciągnęło się to przez dwa tygodnie. Wszystko już wiedziałem, już miałem zamiar odwołać akcję, kiedy nagle dostałem doniesienie: wszystko OK, ofiar i zniszczeń nie ma, procedura zakończyła się pomyślnie. Saszka aż się świeci w oczekiwaniu na premię, pociera kościste rączki zawodowego sadysty, Sieriożę mruży oczy, zadowolony, jak tygrys, który wreszcie rozszarpał swojego tresera, a ja siedzę tutaj, jakby przypadkowo obecny przy ich donosach, jakby głównym nakarmiony, i nic nie rozumiem...
Po dwóch godzinach zawiadamiają mnie z WNIITEK-u, że obiekt - w całkowitym porządku, przybył do pracy punktualnie

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

i w tej chwili kończy swoje wystąpienie na seminarium, cały i zdrowy... Tych dwóch koleśków obrobiło nie tego, co trzeba: potem specjalnie chodziłem do szpitala zobaczyć poszkodowanego - i rzeczywiście był podobny, przynajmniej z daleka. Koleśki zamiast premii dostali po naganie, a ja odwołałem zadanie. Z lekkim sercem. Ale się nie uspokoiłem. Bardzo mi się chciało, natrętnemu idiotcie, wywołać "pęknięcie mózgu", że tak powiem, sztucznie. Były to przecież początki mojego odkrycia.

Dostałem pozwolenie na zastrzyk. Oczywiście na prawdziwy, bojowy zastrzyk by mi nie pozwolili, ale taki nie był mi potrzebny. Szukałem dobrego profesjonalisty, który dostanie proste zadanie "ukłuć i zniknąć". Profesjonalista wykonał rozkaz, pewny, że wykonuje zwykłą likwidację. Kierownictwo będzie wiedziało, że w strzykawce znajdował się prawie nieszkodliwy koktajl specjalnych medykamentów. A ja, być może, dowiem się, jak reaguje Los na zagrożenie życia.

Niczego się nie dowiedziałem. Zastrzyk odbył się normalnie. Z WNIITEK-u doniesiono mi po południu, że obiekt narzeka na mdłości, oczy ma czerwone, dłonie swędzą. Wszystko zgodnie z prognozą i anamnezą. Organizm zareagował, Los - nie. Zostałem przy swoim - przy swojej gorączkowej głupocie, przy swojej niemocy, przy swojej nieumiejętności i niezdolności udowodnienia czegokolwiek.

Oczywiście, za każdym razem rozpoczynając eksperyment w pewnym sensie szedłem *va banane*. W przypadku powodzenia musiałbym zgromadzić góry kłamstwa, żeby wyprowadzić siebie i jego ze strefy uwagi kierownictwa. Byłem do tego przygotowany. Jednoznaczny wynik rozwiązywałby wszystkie problemy raz na zawsze - po prostu bym odszedł od nich do niego i stał się nieosiągalny. Tak mi się wtedy wydawało. I było to całkiem prawidłowe rozumowanie. Chociaż oczywiście istniały pewne szczególności i one nadawały sytuacji specyficzny akcent.

Tutaj nastąpiła przerwa w rękopisie. Ale nie rzucała się w oczy, była niewidocznie i starannie, chociaż niefachowo zamaskowana. Strona dwudziesta szóstą kończyła się szczęśliwie, a potem szły strony (w sumie - jedenaście), których numeracja została zlikwidowana starym, dobrym szkolnym sposobem, jakim głowę Minina z podręcznika historii ZSRR przestawialiśmy na miejsce głowy jakiegoś zwierzęcia z podręcznika zoologii (i odwrotnie). Dalej wszystkie strony szły jedna po drugiej, i nie można było bez trudu policzyć, że z tekstu usunięto w niewiadomym i niezupełnie jasnym celu osiem stron - od dwudziestej siódmej do trzydziestej czwartej włącznie.

Wątpliwe, by zrobił to autor notatek. Raczej już - Krasnogorski-młodszy. Coś mu się nie spodobało na tych stronach. Było tam coś, czego nie chciał podać do wiadomości bohatera notatek... Ustalenie tego "czegoś" na razie nie było możliwe. No i czy warto było się tym zajmować?

Rozdział 4

Linia Świata, jak ją sobie wyobrażam, jest kolejnością wydarzeń w życiu każdego człowieka, i ciągnie się od i do. Prześledzić jej, a tym bardziej - przewidzieć, właściwie nie można, jak nie można po prostu wymienić wszystkich, dopuszczalnych pozycji partii szachowej. Jednak ta zasadnicza niemożność wcale nie wyklucza samego istnienia Linii. Linia jest, niezależnie od naszej zdolności lub niezdolności jej narysowania, realnie istnieje i ciągnie się od i do i, że tak powiem, materializuje się w miarę upływu czasu.

Można ją przedstawić w kształcie tunelu we mgle - ty poruszasz się, a on otwiera się przed tobą z każdym krokiem, a na to, co już przeszedełś, znowu opada mgła. Ale tunel ma ściany, tak że może lepiej wyobrazić sobie Linie jako strumień wiatru w czystym polu albo bystry prąd w wodzie stojącej. Człowiek w tym prądzie jest jak duży żuk, którego unosi szkwał i który nic o tym szkwału nie wie, albo ryba w tym przezroczystym bezbarwnym strumieniu, która też o tym nurcie nie wie... Ale ten szkwał z prawa i z lewa od żuka, i niżej, i wyżej od niego, być może zwala

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
kogoś z nóg i urywa dachy, i zakręca trąby powietrzne - żuk o tym nie wie, nie może i nie chce wiedzieć, zajęty swoimi sprawami ("...ubrany w mundur szafirowy, umiera z miłości, i leci do róży - zum-zum, zum-zum...").

To wszystko, powtarzam, można było sobie wyobrazić, ale nie chciałem tego robić. Człowiek - to nie żuk. Człowiek jest zdolny do kierowania swoim losem, i swoją Linie Świata w znacznym stopniu ciągnie sam od i do, natężając wolę i wykonując ruchy, które uważa za słuszne. A jeżeli tak, to pierwsze i główne pytanie brzmi: co to za człowiek?

Jego główną cechą, moim zdaniem, jest naiwność. Prosto-duszość, przechodząca czasami w infantylność. Wierność niektórym zasadom, sformułowanym i przyswojonym w dawnych czasach. Absolutna nieelastyczność, jeżeli chodzi o sprzeciwienie się nagłej sile, i przy tym prawie służalcza podatność w odpowiedzi na słabość, bezradność, nieumiejętność. Zupełne nieakceptowanie "prawa dżungli" - w zadziwiającym połączeniu z natychmiastową gotowością zastosowania go, jeżeli ktoś próbuje go zniewolić. Na siłę odpowiada siłą, na słabość miękkością. Jest rycerzem. W najbardziej beznadziejnie romantycznym, walterskotowskim i nawet donkiszotowskim sensie tego zapomnianego słowa. I jak każdy rycerz - jest bezsilny wobec sprytnej słabości i wyrachowanego sprytu.

Nie przewidywałem z nim specjalnych problemów.

Problem, jeszcze raz to powtarzam, tkwił w czym innym.

Problem pojawiał się i wyglądał na nie do pokonania w przypadku, jeżeli jest tylko podopiecznym Losu, jest "Losowany", jak sam nazywa bohatera swojej powieści - tym o niczym nie wiedzącym żukiem, którego niesie ślepy i niewyczuwalny przez niego szkwał, rujnujący wszystko na swojej drodze.

Ale nie miałem już ani czasu, ani chęci czekać i zbierać jeszcze jakiś dowody, pośrednie dowody winy i fakty. Na początku siedemdziesiątego czwartego zginęła jego żona, zginęła w sposób straszny, o wiele straszniejszy, niż można się było spodziewać, nawet na moim miejscu - na miejscu wcześniej powiadomionego i, wydawałoby się, gotowego na wszystko obserwatora. Teraz nie podam szczegółów. Wystarczy powiedzieć, że przypadek nie budził żadnych wątpliwości, chociaż wpadłem na niego zupełnie przypadkowo: doniesiono mi, że żona obiektu nagle zmarła, ja - czysto mechanicznie, na nic nie licząc i niczego nie oczekując - wysłałem zapytanie i dostałem odpowiedź, od której włosy stanęły mi dęba. A przecież tak ją kochał, zgodnie z moimi danymi, o mały włos nie zwarował po jej śmierci, nie znając, oczywiście, żadnych szczegółów!

Uważam, że powinienem się przyznać: ta straszna myśl zdumiała mnie i szybko zacząłem zbierać dokumenty odnośnie śmierci jego matki. Dzięki Bogu, najwyraźniej się pomyliłem: niczego związanego z moją sprawą się nie dowiedziałem, chociaż jeżeli już być całkiem obiektywnym, wyczerpujących danych nie udało mi się zdobyć - minęło dużo czasu, świadkowie nie zapamiętali niczego wyjątkowego, archiwa szpitala okazały się w beznadziejnym stanie: generalny remont starego budynku, skutki awarii kanalizacji, całkowita zmiana kierownictwa itp...

(Przeczytałem jeszcze raz ostatnie akapity i poczułem nagle konieczność sporządzenia następującego komentarza:

Tak naprawdę, ani koszmaru, ani obrzydzenia, ani moralnej obrzydliwości grzebania w rodzinnych sprawach tego człowieka wtedy nie odczuwałem. Teraz - tak. Teraz, kiedy piszę "dzięki Bogu, widocznie się pomyliłem", rzeczywiście odczuwam ulgę, że nie potwierdziła się moja ohydna hipoteza. Ale tak jest teraz. Teraz ten człowiek już nie jest dla mnie obcy. To mój opiekun. Dobroczyńca... Przyjaciel. właściciel. wtedy był tylko obiektem badania i, co jeszcze ważniejsze, możliwego wykorzystania. A ponadto wydawał mi się potworem, monstrum, nie widziałem w nim człowieka, widziałem w nim tylko i przede wszystkim środek do osiągnięcia moich celów. I wszystkie badania z nim związane, prowadziłem wprawdzie z ryzykiem, ale też z zimnym sercem, z profesjonalnym wyrachowaniem i bez emocji - bez żadnych

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
tam "ach!", "chwała Bogu!", "co za koszmar!").

Już pisałem o Liniach Świata. Linia Świata tego człowieka przebiegała przez punkt (obszar, strefę, nadobjętość), który był dla mnie niedostępny i niepojęty.

Los nie chciał, żeby stał się fizykiem atomowym i zmarł na białaczkę w jakimś daleko schowanym i nie znanym nikomu Arzamasie-numer-en.

Los nie chciał, żeby stał się pisarzem, honorowym członkiem związku, inżynierem-konstrukтором naszych dusz i umysłów (dlaczego, właściwie? Co w tym złego dla niego, dla Losu, dla nas?).

Los, oczywiście, nie chciał jego przedwczesnej śmierci...

Los nie chciał (nie wiadomo dlaczego), żeby w wieku piętnastu lat miał ojczyzna (to już w ogóle po prostu jakaś bzdura...)

Ale czego Los chciał? Samo pytanie wydawało mi się głupie. Czego chce pole grawitacyjne? Żeby Krzywa Wieża w Pizie w końcu się przewróciła i rozwaliła się na tysiące kawałków? Wyjednałem pozwolenie współpracy z Kostią Poleszukiem w sprawie jednego dysydenta-gawędziarza. Jego nazwisko nic ci dzisiaj nie powie, no i nie ma potrzeby. Był przyjacielem mojego klienta i klient w ten sposób znalazł się w strefie zainteresowania naszej organizacji - choć zupełnie innego jej wydziału.

Nie musiałem nawiązywać z nim pierwszego kontaktu właśnie w taki sposób: w roli śledczego. Zlekceważenie takiej możliwości byłoby jednak głupie. Miałem go przed sobą jak na dłoni, w całej okazałości, w całym blasku jego ograniczoności, w jego wyniosłej głupocie i nie do opisanego dumnej infantylności. Był przestraszony i bezbronny. Mogłem mu się przyglądać nawet przez lupę - niczego by nie zauważył i niczym by się nie zaniepokoił. Byłem dla niego niewidoczny. Jakbym nie istniał. Byłem dla niego diabłem, kusicielem i niczym więcej. Jako osoba, jako człowiek interesowałem go nie bardziej, niż jakiś pijany koleś, który przyczepił się do niego w przepełnionym tramwaju. Trzeba było jakoś się mnie pozbyć, jakoś się wywinąć, a przy tym nie zranzić się. Tylko o tym myślał: jak zachować drogocenną twarz, jak wytrwać i, broń Boże, nie stać się donosicielem.

(Nawet chyba nie donosicielem, a - skarżypytą. Patrząc na niego, przypomniałem sobie tę charakterystyczną historię z czasów jego młodości, kiedy w dziekanacie wyznaczono go na starszą grupy i od razu przeprowadzono z nim stosowną rozmowę. Z jakim oburzeniem wieczorem tego samego dnia krzyczał w kręgu swoich przyjaciół: "Swołocze wstrętne! Za kogo mnie uważają? Żebym ja - skarżył na swoich chłopców: kto co narozrabiał, kto z jakiego wykładu zwiął..." Nic nie zrozumiał. Potrzebowali od niego czegoś innego. Potrzebowali, żeby w swoim czasie donosił, kto co mówi i czy nie ma zamiaru założyć jakiejś konspiracyjnej organizacji. W ogóle nie zorientował się w wymijających alegoriach swego zastępcy dziekana i wyobraził sobie, że proponują mu, by stał się zwykłym skarżypytą - jak w szkole... Zauważ: taki już on jest, nasz wspólny Stanisław Krasnogorow!

I teraz też jest taki, mając sześćdziesiąt lat, przy całej swoim position sociale).

Oczywiście, że się bał. W ustach zrobiło mu się sucho - tak bardzo się bał, ale bał siebie, a siebie, swojej słabości, swojej tchórzliwości i głupoty. Gdyby wiedział, co ja czułem! Ja też umierałem ze strachu. Wszystkie swoje pytania wcześniej starannie przemyślałem, ale przecież (raczej) miałem do czynienia nie z człowiekiem - miałem do czynienia z Losem, którego twarzy i oczu nie widziałem, Los nie ma ani twarzy, ani oczu, ani wyrazu, nic - nie było żadnej zwrotnej łączności, pełzłem na ślepo po tym polu minowym i z przerażeniem wyobrażałem sobie, jak nagle, bez żadnej widocznej przyczyny, gotuje się mój biedny mózg i grube strumienie dymiącej krwawej cieczy wylatują z uszu, nozdrzy, oczodołów... Ale niczego takiego we mnie nie zauważył, nie mógł zauważyć, był zbyt zajęty sobą.

Przepuścił bez żadnej uwagi dobry tuzin moich kontrolnych pytań i tylko raz się zaniepokoił - kiedy mimochodem zapytałem

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
go, czy znał pisarza Kamanina. Byłem pewny, że znał, i jego negatywna odpowiedź mnie zdumiała i zaniepokoiła: po co kłamać w tak niewinnej sprawie? (Potem wszystko się wyjaśniło: jego rękopis trafił do Kamanina okreśną drogą i, właściwie, przez przypadek. Biedny Kamanin. Niepojęte są drogi Losu).
Już zdecydowanie upewniłem się, że nic nie wie o swojej Linii Świata. To było i dobre, i złe. Był "żukiem" - i to było złe, bo strasznie komplikowało drogę do Siły. Ale był przecież rozumnym żukiem! Jeszcze nie wszystko stracone. Trzeba rozpocząć współpracę. Jeszcze zostawała szansa. Moja ostatnia szansa: otworzyć mu oczy i czekać, że uświadomienie tego, co się dzieje, wywoła jakiś efekt, jak wywołuje efekt psychoanalityczne działanie, kiedy zastarzały urok wypływa z chorej podświadomości do wstrząśniętej świadomości i zdarza się cud. Twórcą tego cudu mógłbym zostać ja. Właśnie ja mogłem dać Rozum i Siłę bezmyślnemu żukowi, którego Los niósł donikąd. A on wtedy zostałby - moim.
Nadzieja zostawała. Nadzieja ta była słaba, ale jedyna. Być może jednak zwlekałbym jeszcze miesiąc, dwa, w takich sprawach nie wolno się spieszyć, szczególnie, gdy się chce, kiedy nerwy są napięte i wszystko w środku pali się z chęci - rąbnąć wszystko na raz i niech będzie, co ma być. Dobrze znałem ten swój stan i bałem się go, i przygotowywałem się, by specjalnie się hamować, do całkowitej nieprzytomności, ale w tym momencie mój Los dał gniademu ostrogę i wydarzenia ruszyły z kopyta.
Na drugi dzień po pierwszym kontakcie, z samego rana wezwał mnie do siebie na dywanik Drogi Towarzysz Szef, osobiście i w swoim smętnym sennym stylu zaczął od progu, nie przywitał się i nawet nie zaproponował podwładnemu, by usiadł: "No co tam u ciebie, dlaczego do diabła nie meldujesz, dlaczego muszę z ciebie wyciągać kleszczami jak z czerwonego partyzanta, co ty tam kręcisz z tym swoim (w tym momencie demonstracyjnie zajrzał do papierów) Krasnogorowem. Kto ci dał na to pozwolenie i w ogóle?".
Czekałem na ten napór i przygotowywałem się do niego, na wszystkie pytania miałem już dawno przygotowane odpowiedzi, ale przecież wiedziałem (i ty powinieneś wiedzieć), że nie ma na świecie odpowiedzi, które by nie wywoływały nowych, wciąż nowych pytań. Nawet jeżeli mówisz prostą i świętą prawdę, patroszącą, preparującą, dostając się głębiej i jeszcze głębiej, i tam, gdzie nawet ty nie zaglądałeś (bo się bałeś, albo było ci wstyd). A jeżeli już zaryzykowałś i wszedłś w półkłamstwa (o całkowitym kłamstwie w ogóle nie mówię), to módl się. Rozczłonkowali cię, rozplatali i na hakach rozwiesili (pamiętasz, jak próbowałeś ukryć przede mną historię z ulotkami?).
Pierwszy atak Drogiego Towarzystwa skutecznie odparłem, ale przy tym musiałem odsłonić swoje flanki i tyły, i dałem mu materiał do zastanowienia się - więcej niż trzeba. Jeśli teraz mu się zechce - w drugiej turze posypię się jak talia kart, a co do tego, że taka chęć niedługo się pojawi, nie miałem wątpliwości ani przez sekundę. Był całkowitym idiotą, ale intuicję miał taką, że czasami (w dobrych chwilach) mówiłem do niego przypochleбно i niemal poważnie: "Jak Boga kocham, Pał-Legycz, pana trzeba zbadać na okoliczność posiadania nadprzyrodzonych zdolności. Co?".
Bezpośrednio z jego gabinetu (mokry jak mysz i tak samo drżący) poszedłem do siebie, a tam już czekało na mnie doniesienie o smutnym wydarzeniu: nagle zmarł zasłużony działacz nauki, akademik Akademii Nauk ZSRR, kierownik sektora WNII-TEK-u Chuchrin Lemark Gieorgijewicz (przezwisek Księgowy).
Diagnoza: wylew krwi do mózgu, ale sekcji zwłok jeszcze nie było, wyniki przewiduje się wieczorem.
Złapałem za telefon. Od razu przestałem się martwić i uspokoiłem się. Praca. Nic się jeszcze nie skończyło, wszystko się ciągnęło, było gorąco i trzeba kuć żelazo póki gorące. Znalazłem właściwego lekarza i wysłałem go na sekcję zwłok. Wziąłem sprawę w swoje ręce. Kadra - tylko wykwalifikowana. Żadnego przecieku informacji. W razie konieczności - zobowiązanie do ta-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
jemnicy. I wszystko w tym stylu. Bzdura - ale robi wrażenie. Dać mi znać osobiście -po sekcji zwłok natychmiast ustnie. Pisemne sprawozdanie - jutro rano. To wszystko.
Też mam nie najgorszą intuicję. Okazało się, że to zwykły wylew krwi. No - niezupełnie zwykły. A jeśli nie używać koniecznie standardowej terminologii, to, powiem szczerze - wcale nie wylew, a diabli wiedzą co. To był mój Numer Dziewięć (razem z Nieznanym Ludożercą z powieści). Los usunął ze swojej drogi jeszcze jedną przeszkodę (albo nie ze swojej, a z drogi mojego beztroskiego żuka, zajętego swoimi niewielkimi sprawami?).

Zanim pisemne sprawozdanie o wyniku sekcji zwłok wylądowało u mnie na biurku, wiedziałem już o stosunkach Chuchrina i Krasnogorowa wszystko, czego można się dowiedzieć przez ten czas. Stosunków prawie nie było. Widywali się wyłącznie na posiedzeniach wydziału i na seminariach. Akademik był przychylny w stosunku do młodszego pracownika naukowego, wypowiadał się o nim życzliwie, dwa razy zlecił pisanie sprawozdania z prac, ale nie zamienił z nim nawet dwóch słów, o czymś, co nie dotyczyłoby pracy - nawet o pogodzie. Krasnogorow w ogóle nie interesował się akademikiem, uważał za swojego jedyne szefa tego przeklinacza Jeżewatowa, a pozostali, w tym akademicy, mieli dla niego tę sama twarz i nic go nie obchodzili.

Powiedziałem w pracy, że jestem chory i poszedłem do domu. Rzeczywiście byłem chory. Głowa mi pękała, jakby Los już się przymierzał, jakby tu mnie złapać... Tak czekałem na tego Dziewiątego, miałem taką nadzieję, że więcej zrozumiem, kiedy się to stanie, i teraz odczuwałem coś w rodzaju napadu rozpacz, na co nie pozwoliłem sobie od dzieciństwa, a być może nigdy. Po raz pierwszy dopuściłem do swojej świadomości myśl, że wziąłem się za sprawę, która jest nie na moje zęby. Ta myśl poniżała mnie i gnębiła. Mogła zmiażdżyć. Dałem jej rozkwitnąć, i to skończyło się chorobą. Jeszcze trochę i, być może, poddałbym się. Rozłożyłbym się na łopatki. Machnąłbym na wszystko ręką. Czy, u diabła, potrzebuję więcej niż inni? Tak. Potrzebuję. Więcej niż inni. O wiele więcej. Ale nie byłem tego pewien tak, jak dwie godziny wcześniej.

Przyszedłem do domu, mamy nie było, przywitałeś mnie ty. Od razu zrozumiałem, że przed chwilą płakałeś. I że uciekłeś z obozu pionierskiego jak ja - z pracy. Zobaczyłem czarny krwiak zamiast twojego nosa, i zrozumiałem, że te gadziny znowu cię złapały i radośnie hałasując nabiły ci "śliwę". Nienawiść mnie zaślepiła, żalność zalała serce, przytuliłem cię, obydwaj usiedliśmy na podłodze i przez jakiś czas siedzieliśmy w ten sposób, przytuleni do siebie. Płakałeś, a ja lodowaciałem z nienawiści i z bezsilności, i z miłości, i z żalu, i rzucałem jakieś przekleństwa... Wątpię, czy zapamiętałeś ten dzień, miałeś wtedy dopiero siedem lat - to wiek, kiedy wszystko przeżywa się niewiarygodnie silnie, ale, dzięki Bogu, od razu zapomina. A ja ten dzień zapamiętałem bardzo dobrze i dobrze zapamiętałem swoje przekleństwa, chociaż w tych przekleństwach nie było słów, wścikłych i zimnych jednocześnie. To były przekleństwa bez słów. Już nie mogłem sobie pozwolić, by dać się rozłożyć na obie łopatki, machnąć na wszystko ręką i stać się takim, jak wszyscy. Miałem ciebie.

Rozdział 5

Wieczorem zadzwoniłem do niego i umówiłem się na spotkanie.

Spotkanie się odbyło. Dziwne, nieuporządkowane, bezsensowne, właściwie bez efektów. Ale przynajmniej, porozumieliśmy się. Wszystkie najważniejsze słowa zostały wypowiedziane, wszystkie (prawie) sekrety ujawnione i oczy otwarte.

Nic nie wiedział i nic nie rozumiał. w ogóle oczekiwał od naszej rozmowy czegoś zupełnie innego, był skupiony na jakichś swoich problemach, i potrzebował trochę czasu, żeby się zorientować i uświadomić sobie zupełnie inną rzeczywistość, w której

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
teraz się znalazł. Moje nadzieje, że nasza wspólna wiedza połączy się i obudzi w nim jakąś Nadwiedzę, runęły już podczas pierwszej godziny rozmowy. Jeżeli jego podświadomość zawierała coś pożytecznego dla nas obu, to zostawiała to coś dla siebie. Cud się nie zdarzył. Nie zaczął "przyspieszać" (pamiętasz, u Szekli: "Zaczął przyspieszać. Nic nie wyszło." Ale nawet "nie zaczął przyspieszać").

Poczułem, jak rozpacz znowu dobiera mi się do gardła szorstkimi palcami, i wtedy zdecydowałem się na pewien czyn, którego nawet teraz trochę się wstydzę, chociaż nie ma nic prostszego, niż znaleźć dla niego usprawiedliwienie, całkiem uzasadnione w sytuacji, w jakiej się znalazłem. Wśród materiałów, które miałem zamiar dać mu do obejrzenia, było sprawozdanie na temat jego żony. Najpierw nie chciałem pokazywać mu tego sprawozdania. Było mi go żal: kochał tę kobietę. Wyjawić komuś, że jest przyczyną śmierci (mimowolnie czy nie - co za różnica?) ukochanej osoby, to w ogóle okrucieństwo, a jeżeli przy tym dowiadujesz się, że...

207Wiesz, o co mi chodzi. "Pęknięcie mózgu" zdarzyło się nie jej. Niemowlęta. Bliźniaczki. Dosłownie rozniosło je w łonie matki. To straszne. Najpierw nie chciałem, żeby o tym wiedział a potem pomyślałem: "Do licha? Muszę go rozruszać. Jeśli i to go nie poruszy, wtedy nie ma po co się wysilać, sprawa jest martwa..." I oddałem mu wszystko.

"Czytaj. Czytaj, do diabła! Niech wrzód pęknie. Zaczynamy poważną sprawę. Trzeba się przyzwyczajać do wszystkiego i przy tym - od samego początku..." Coś w tym rodzaju kręciło mi się po głowie. To było okrutne, racja. I teraz tak myślę, i wtedy myślałem tak samo. Ale musiałem go obudzić i zmusić do "przyspieszenia". Innego wyjścia nie widziałem. Chyba nie było innego wyjścia.

Następnego dnia, tak jak się umówiliśmy, przyszedłem do niego o osiemnastej i nie zastałem go w domu. Drzwi otworzyła sąsiadka, starsza kobieta, brzydka, zaniedbana i na dodatek kulawa. Zapamiętała mnie wczoraj i nabrała do mnie dobrych uczuć, co mnie nie zdziwiło: byłem przyzwyczajony do tego, że podobam się brzydkim starszym kobietom, widziały we mnie coś wyjątkowo sympatycznego - może moje ukryte współczucie? Wpuściła mnie do mieszkania i nawet do pokoju Stanisława Zinowiewicza - tak jak jej kazał, kiedy zadzwonił pół godziny wcześniej. Miałem możliwość dokładniejszego zapoznania się z jego domem, co jest zawsze cenne, chociaż w tej sytuacji grało raczej drugorzędą rolę. Typowy pokój niedoświadczonego wdowca. Nie kawalera, a właśnie wdowca, który machnął ręką na dużo rzeczy i nawet się nie zastanawiał nad koniecznościami prawdziwego życia. Kurz. Okruchy na podłodze. Spleśniałe resztki w lodówce. Meble - stare, ale niedrogie. Dość bogata biblioteka w dwóch szafach. Mały szlachetny zestaw: czarne dwutomowe wydanie Hemingwaya, biały gruby Kafka, szare dwutomowe wydanie Wellesa, zielony Scott Fitzgerald w papierowej okładce... Dalej zdekompletowany Szczedrין w wydaniu Sojkina. I kilka tomików "Academia": Don Kichot, Swift, zdekompletowany Henri du Renier w obwołucie z papierosowej bibuły, Hrabia Monte Christo - czarny ze złotem safian... I dość poważny wybór filozofów, w dzisiejszych biblioteczkach nieczęsto to zobaczysz: Schopenhauer, Nietzsche, Berkeley, Interpretacja snów Freuda...

Na ścianie - fotografia portretowa surowej starej damy, wiadać matki, w prostej brązowej ramie, a w odległości metra - drugi portret, w identycznej ramie: uśmiechająca się miła dziewczyna, żona. Obydwa portrety wiszą tu od dość dawna - przynajmniej od kilku lat, tak że powieszono je jeszcze za ich życia... Chociaż i tak wiedziałem, że kochał obydwie.

Na przeciwnej ścianie, nad kanapą, ciekawy obrazek (nie zauważyłem go przy pierwszej wizycie - siedziałem tyłem do niego, i w ogóle nie miałem wtedy głowy do takich drobnostek). Bardzo złe, małe, mętne zdjęcie Sołżenicyna, udekorowane parą kajdanek, podwieszonych na gwoździach w taki sposób, żeby

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
okrzyżać tę fotografię stalowym znaczącym półokręgiem. Kajdanki były standardowe, zrobione w jakimś zakładzie poprawczo-robo-taiczym, ale nie wiadomo dlaczego znaczone: na jednym z kółek wytłoczono coś w rodzaju trójliścia. Dziwne. Coś takiego nie jest dozwolone. I skąd w ogóle je wziął?

Moja teczka - na biurku. Otwarta. Wyraźnie czytana, ale nie ma notatek. W ogóle na biurku panuje całkowity papierowy chaos, głównie, wydruki z komputera, prosty człowiek nic nie zrozumie, i prawdę mówiąc, po co ma to rozumieć... Mojego magnetofoniku nie widać, i to mi się nie spodobało, ale od razu się znalazł w prawej, nie zamkniętej szufladzie biurka. Ale lewa szuflada okazała się zamknięta nie wiadomo dlaczego, i klucza nigdzie nie było. Usiadłem przy stole i czekałem.

Zjawił się mniej więcej po dziesięciu minutach, ponury i wyraźnie nieprzychylny. Widać było, że moje problemy w końcu go nie zainteresowały, miał swoje, i to poważne. Mówił ostro i z niechęcią. Ale nie dlatego, żeby odczuwał wrogość w stosunku do mnie albo wczorajszą naturalną nieufność, nie - robił wrażenie człowieka zajętego i skoncentrowanego na swoich sprawach.

Zapytałem go wprost:

- Nie widzi pan perspektyw, jakie się otwierają? Czyżby pana nie interesowały? - Tylko się skrzywił. - Ale rozumie pan, przynajmniej, o co chodzi? - nalegałem. - Rozumie pan, jaka siła tkwi w panu?

Albo coś w tym rodzaju. Teraz zapomniałem już dokładnych słów, które wtedy ze mnie wylatywały. Wydaje mi się, że byłem

naprawdę elokwentny. Starałem się. Bardzo chciałem go rozrzuścić. Albo przynajmniej zrozumieć, co, do diabła, się z nim dzieje! Czemu jest taki oklapły i o czym, cholera, myśli, o czym jeszcze potrafi myśleć, kiedy przed nim jest władza nad światem i losem, gotowa skoczyć mu do rąk.

W ogóle nie rozumiałem jego reakcji.

Wczoraj reakcja była zamazana, zepsuta, zmieniona tak, że nie można było nic poznać, przez ten straszny cios, który mu zadałem, podsuwając karteczkę z historią śmierci Łarisy Iwanowny Krasnogorowej. Od tamtej pory minęła doba. Wytrzymał cios, utrzymał się na nogach, ale zmartwił się czymś zupełnie innym. Cios, który w moim mniemaniu miał go obudzić, ogłuszył go. Albo ogłupił. Jakby zapomniał o naszej wczorajszej rozmowie. A być może w ogóle przestał się nią - no i mną - interesować. To było nie do pojęcia. Nawet mówił jakoś ospale, jakby wszystko w nim zamarało po szoku. Albo po jakiejś anestezji. Był uprzejmy. Kilka razy prosił o wybaczenie - za to, że się spóźnił, za to, że nie może, jak sam się wyraził, odpowiadać - nie za bardzo się czuje od rana, widocznie się przeziębził, przewiało go spoconego w tym upale... Nasza rozmowa więdła w oczach - powinienem zabrać swoją teczkę i wracać do siebie, tam, gdzie być może czekał już na mnie mój przenikliwy szef, groźny i nie do powstrzymania, jak gigantyczny leniwiec.

Rozmawialiśmy tylko dziesięć minut (ja, bez względu na jego oklapłość i pasywność, starałem się - rozpaczliwie i już zupełnie wprost - zarysować krąg możliwych zastosowań jego możliwości: polityka, władza, walka z okrucieństwami naszego życia...), ja - mówiłem, a on słuchał, od czasu do czasu mrugając znużonymi oczami, potem znowu przeprosił i powiedział, że teraz chciałby się położyć. "Napiję się herbaty z malinami i położę się". Kłamać nie umiał, więc nie kłamał - po prostu nie chciał udawać i uważać na siebie, na swoje intonacje, na swoją mimikę. Chciał, żebym jak najszybciej poszedł, i nie miał nawet zamiaru ukrywać tej swojej chęci.

Umówiliśmy się na spotkanie pojutrze, ("...Tak ...oczywiście .. .koniecznie. Wtedy wszystko omówimy... Tylko najpierw proszę koniecznie zadzwonić... na wszelki wypadek... Coś dzisiaj w ogóle paskudnie się...") Zabrałem swoje materiały i ruszyłem do domu. Nawet nie poszedł mnie odprowadzić do drzwi - zrobiła to kulawa sąsiadka. Była bardzo uprzejma i zalała mnie falą przyjaźni i zapachami stęchlizny i samotności.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

Pierwszy etap naszych stosunków gwałtownie się kończył. Chyba już nic nie można było zrobić. Na jutro zażądałem informacji, pilnie: czym się zajmuje (ostatnio się zajmował) obiekt u siebie w pracy. Odpowiedź była dość niespodziewana: poprzedniego dnia obiekt złożył podanie o urlop bezpłatny i przez cały dzień robił porządki - kończył sprawozdanie, pisał instrukcje dla swojego zastępcy, doprowadził do porządku jakiś tam program, z którym się męczył przez ostatnie pół roku... Przy tym wyglądał kiepsko, narzekał na ból głowy, na złe samopoczucie i chroniczne niedosypianie. Dzisiaj nie pojawił się w pracy. Jest na urlopie. Dałem mu dwa dni na wyzdrowienie, a potem zadzwoniłem. Odebrała sąsiadka. Stanisław Zinowiewicz jeszcze przedwcześnie pojechał samochodem na grzyby, wziął namiot, jakieś tam turystyczne wyposażenie, powiedział, że nie wróci wcześniej niż za dziesięć dni. Jakie grzyby na początku lipca? Okazało się - "zbożowe". I białe można znaleźć i czerwone grzyby - Stanisław Zinowiewicz zna miejsca. Tak się zaczęła ta dziwna historia. Pojawił się po dwóch dniach (nie uwierzyłem w dziesięć dni i dzwoniłem co wieczór). Zgodził się na spotkanie. Przyjął mnie prawie serdecznie, poczęstował herbatą. Był zupełnie inny - wydawał się wzburzony, podekscytowany, od progu miałem wrażenie, że jest trochę pijany, ale pijany nie był, chociaż oczy mu błyszczały i włosy były zjeżone jak po prysznicu. Miałem wrażenie, że przez te dwa dni strasznie schudł i wkrótce się wyjaśniło, że tak jest rzeczywiście. Zapytałem go (z grzeczności), jak tam w lasach z grzybami, i tutaj nie gadatliwie, ale i bez tego, że chce coś ukryć, opowiedział mi o swoich niespodziewanych przygodach.

Okazało się, że w lesie, ledwo wyszedł z samochodu, napadli na niego. Dwóch. Obydwaj - na czarno, czarne kurtki, czarne spodnie, wszystko - na pierwszy rzut oka - więzienne i nasuwające myśl o łagrze. Ohydne wilcze twarze, czarna straszna mowa, noże, nawet nie noże, a jakieś zastrzone sworznie. Jeden trzymał mu taki sworzeń przy gardle, drugi obszukał, zabrał pieniądze, dokumenty, nóż na grzyby, wszystko wygrzebał z kieszeni do ostatniego miedziaka. Potem kopniakami zapędzili go do lasu, a sami wsiedli do samochodu - śledził ich zza drzew - i próbowali odjechać. Kierowca widocznie okazał się do niczego, zakręcając wjechał w piasek i zakopał samochód tak, że i trakto-rem go nie wydostanie. Przez kilka minut ryczeł silnikiem, dziko szarpali sprzęgło, a samochód tylko zapadał się głębiej i głębiej. Nagle zrozumiał, co będzie dalej, pobiegł, ale dogonili go w mgnieniu oka - byli szybcy i wściekli jak psy. Znowu kopniakami zagonili go do samochodu i zmusili do wyciągnięcia go z piasku. Jeden siedział za kierownicą i naciskał gaz, drugi razem z nim popychał samochód. Nic z tego nie wyszło, samochód zakopał się beznadziejnie. Pomyślał, że teraz go zabiją, ale tylko przywiązali go do drzewa - w głębi lasu, daleko od drogi - zardzewiałym drutem kołczastym i przykuli kajdankami, tak że początkowo nie mógł się nawet poruszyć. A potem poszli - zniknęli za krzakami i za pniami tak samo cicho i nagle, jak się pojawili. Stał przykuty przez dwie pełne doby, póki nie natknął się na niego oddział strzelców na BTR*, którzy szukali zbiegów i przeszukiwali las. Uwolnili go, przecięli i rozwiązali druty, wyciągnęli z piasku zaporożca, napoili, nakarmili i oddali miejscowej milicji; na tym wszystko się skończyło. Dokumenty - zupełnie niespodziewanie - znalazły się w schowku, gdzie w pośpiechu wrzucili je bandyci, no a pieniądze, oczywiście, zniknęły, ale Bóg z nimi...

Słuchałem go z otwartymi ustami. Historia ta wydawała mi się zupełnie niewiarygodna - zgodnie z szeregiem parametrów. Ale najbardziej zaniepokoiło mnie to, że na ścianie jego pokoju - przy zdjęciu Sołżenicyna - teraz nie było już kajdanek. To małe odkrycie, które zdążyłem zrobić, kiedy poszedł do kuchni zaparzyć nową herbatę, dosłownie mnie poraziło, poczułem, że teraz mogę się dowiedzieć, zrozumieć, wyczuć, wyjaśnić coś ważnego o nim, ale to ważne uciekło ode mnie, a ja byłem przekonany, że

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

cała ta historia to wymysł, tylko - po co? Cel? Sens? I kogo, właściwie, chciał oszukać?

BTR - bronietransporter (transporter opancerzony).
Powinni go zabić. Nie mogli go nie zabić. To jest tak samo oczywiste, jak i to, że go nie zabili. Przynajmniej powinni go rozebrać. Żywego czy martwego. W ucieczce cywilne ubranie bywa ważniejsze od dokumentów. Ważniejsze od pieniędzy. Ważniejsze od wszystkiego. W bagażniku samochodu wszystko przewrócili, jakby szukali schowanego tam złota, ale przy tym nie wzięli nic. Namiot został, dwa jeszcze mocne, chociaż stare waciaki, brezentowy płaszcz, wędka, spinning, rybacka kurtka z brezentowymi spodniami - wszystko to zostało nie-
tknięte... Dowiedziałem się o tym już następnego dnia, kiedy pojechałem do miejscowości Staroje-Nikolskoje i poprosiłem tamtejszych gliniarzy o protokoły, i w ogóle popytałem ich, co i jak.

Uciekinierów do tego momentu jeszcze nie złapali. Było ich trzech (a nie dwóch), wszyscy siedzieli za czterdziesty piąty, mieli wyroki po pięć lat, siedzieli w tutejszej specjalnej żonie, z dobrą opinią, i nagle uciekli. To, że się nie zdecydowali na zabójstwo nie było już takie zadziwiające, i to, że z samochodem nie mogli sobie poradzić, też wyglądało normalnie, z nich żaden nigdy nie miał prawa jazdy, ale to, że niczego pożytecznego dla siebie nie wzięli, tylko same pieniądze... Dokąd pójdą z tymi pieniędzmi? w swoich marynarskich kurtkach i z kryminalnymi gębami?

Skąd na miejscu wypadku znalazł się drut kolczasty? Tam jest przecież niedaleko poligon wojsk pancernych i stary poligon artyleryjski, i w ogóle zamknięta strefa, ale ci grzybiarze nienormalni leżą, gdzie nie trzeba, a potem narzekają...

Kajdanki? Tak, były jakieś... Jermołajew, gdzie położyłeś kajdanki? Aha, tu są... Te same? Tak jest. A co to za znakowanie na nich, nie wie pan? Jakie znakowanie? A-a... Tak, listki jakieś... albo robaczki... Proszę, proszę... nie, na tych nic nie ma. A na tych -jest... Ciekawe. Nigdy takiego znakowania nie widziałem, ani w ogóle żadnego. A może po prostu nie zwracałem uwagi?...

Poprosiłem, żeby Jermołajew wsadził mnie do przyczepy, włożył mi na głowę kask i zawiązał na motocyklu na miejsce wypadku. Najpierw pędziliśmy szosą, potem skręciliśmy z asfaltu na leśną drogę, dobrą, piaszczysto-kamienistą, chronioną przed obcymi ponurą "cegłą" i groźnym napisem: STÓJ! NIEBEZPIECZNA STREFA!

Był tam kiedyś drut kolczasty, ale ze starości słupy się przewróciły, a drut skręcił w>porzewiałe motki.

Jermołajew nie znał dobre miejsca. Najpierw zabłądziliśmy, wyniosło nas na urwisko, w piach - na dole gromadziły się góry piasku i gliny, błyszcząca w słońcu woda w kałużach, w rowach i w obszernych jamach, które zostały na miejscu pozycji czołgowych... Las był tam wszędzie wesoły, ciepły, piaszczysty i sosnowy, a między młodymi sosnami prawie po pas wszystko zarosło liliowym wrzosem, i, jak to bywa, wszystkie łąki i liczne dróżki wyglądały tak samo. Byłem już gotów machnąć ręką (co takiego można znaleźć na miejscu wypadku?), ale Jermołajew okazał się chłopem upartym i zachował twarz - znalazł w końcu miejsce wydarzenia, tak że zobaczyłem wszystko na własne oczy: i przekopany razem z suchym chrustem piasek, gdzie utknął zaporożec, i resztki drutu kolczastego dookoła, i to drzewo, do którego był przykuty mój Krasnogorow...

A niedaleko od tego drzewa, jakieś piętnaście metrów, gdzie zarosła były szczególnie gęste, znalazłem stary, całkiem zgniły biały grzyb rozmiarów dużej patelni, a obok niego - kanister. Kanister był dwudziestolitrowy, pusty i nawet suchy, zielona farba poschodziła z niego, miejscami występowała rdza, ale miałem wrażenie, że ten kanister leży tutaj od niedawna. Jermołajew był tego samego zdania, ale nie był skłonny przydawać mojemu odkryciu jakiegokolwiek znaczenia operacyjnego. Ktoś napełniał bak, cały się oblał, i przeklinając, rzucił śmierzącą głupotę jak najdalej, żeby wyschła i nie błyszcząca tutaj, gdzie ludzie siedzą i jedzą. A potem - zapomniał. Normalna rzecz.

Nie chciałem się z nim spierać. Czułem, że to nienormalna

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
rzecz. Wziąłem kanister ze sobą, żeby pokazać go właścicielowi (byłem pewny, że to kanister Krasnogorowa) i zobaczyć, co się stanie, kiedy go zobaczy, i co powie w tej sprawie. Ale nic pożytecznego z tego pomysłu nie wyniknęło.

Tak, poznał swój kanister, ale się nie ucieszył, raczej przeciwnie - skrzywił się, jakby w ataku nagłego obrzydzenia, ale na tym się nie skończyło. Tak, powiedział spokojnie. Kanister zniknął. Dziękuję, że go pan przywiózł. Te bandziory nie wiadomo po co wyjęły go z bagażnika, a potem wyrzuciły, ale nie pamięta tego, nie myślał wtedy o tym... właściwie był pusty. Bez benzyny. Leżał w bagażniku tak po prostu, na wszelki wypadek, nawet nie miał zamiaru go napełniać, nie ma po co, bak pełny, a do miasta najwyżej sto kilometrów, rzut beretem...

I zaczął mówić o czym innym.

- Wiem, co się tam naprawdę z panem wydarzyło - powiedział wania Krasnogorski-młodszy, kiedy zobaczyli się dwa dni później. - Chce pan, żebym powiedział?

Stanisław patrzył na niego przez zamrużone powieki i słu-chał. Nagle serce zaczęło bić w żebra - głucho i nierówno. Po cholere mi twoja szczerość, pomyślał z niespodziewaną złością, ale na głos powiedział zupełnie spokojnie:

- N-no cóż... Powiedz, jeżeli chcesz.

- Oni pana upokorzyli... - powiedział wania, a kiedy Stanisław ze zdziwienia otworzył szeroko oczy, wyjaśnił: - Zgwałcili.

- Skąd ty to wzięłeś? - powiedział oszołomiony Stanisław.

- Wiem. Znalazł ich pan?

- Nie.

- A znajdzie pan?

- Nie wiem.

- Trzeba znaleźć. Jeżeli pan chce, ja się wezmę za tę sprawę.

- Piętnaście lat minęło - powiedział Stanisław powoli. -

Z hakiem. Trzeba o tym zapomnieć.

O wielu rzeczach zapomniał. Ale kilka obrazków zostało.

.. .Pochmurne niebo. Kołyszące się szczyty sosen. Pusty kani-ster leci, przewracając się, podskakując wśród chrustu... I śmierdzący chłód szybko zasychającej benzyny... I nie ma zapalniczki. Nie. Nie ma jej!...

Dobrze by było jednak o tym zapomnieć, pomyślał.

- Niektórych rzeczy nie można zapominać - powiedział wania, błyskając oczami. - Są rzeczy, za które mało zabić, trzeba wymęczyć.

Serce znowu stuknęło.

- Skąd wzięłeś te słowa? - zapytał Stanisław, przewycię-żając nadchodzące mdłości.

- Jakże?

- "Mało zabić - trzeba wymęczyć"?

- Nie wiem - powiedział wania ze zdziwieniem. - Dlaczego pan pyta?

Stanisław wiedział dlaczego, ale nie chciał już o tym mówić.

- Dobra - powiedział. - Jedźmy dalej. Co jeszcze wiesz?

Rozdział 6

Zainteresowały go dwa tematy. Po pierwsze, nagle wypowiedział interesującą uwagę na temat mojej teczki (teraz widziałem, że niewątpliwie dokładnie przeczytał o wszystkich przypadkach, i to nie po prostu przeczytał - przeanalizował je skrupulatnie). Zauważył coś wspólnego i coś ważnego, jakiś dziwny, ale całkiem wyraźny motyw u tych, którzy życzyli mu dobra i którzy sam traktował przynajmniej neutralnie: wszyscy chcieli, żeby wyjechał z Petersburga.

Sasza Kalitin - wzywał go do Moskwy.

Gabunija, adorator mamy i przyszły ojczym - miał zamiar wszystkich zawieźć do siebie do Poti (czy Batumi?).

Pisarz Kamanin rekomendował go do Indii... Niedawno

zmarły Akademik - na dwa lata do Berkeley. . .

W tym momencie zamilkł, obserwując cierpliwie, jak prze-trawiam to, co mi powiedział, a potem dodał jakby przez zęby:

"A gdyby dzieci urodziły się szczęśliwie, wszyscy mieliśmy się

przeprowadzić do Mińska. . ."

Nie sposób było przerwać tej jego obserwacji. Od razu dodałem tu w myślach fizyka Szerstajewa, którego starania oznaczałyby dla Krasnogorowa być może białaczkę, choć niekoniecznie, ale już daleki od Leningradu Arzamas-szesnaście lub inną równie odległą dziurę - bez cienia wątpliwości. Widać było, że obserwacja jest nieskazitelnie dokładna, ale wystarczyło pięć minut, żeby zrozumieć, że nam to w istocie mało daje.

Porozmawialiśmy o tym przez pewien czas.

- No cóż - powiedziałem na zakończenie (jakby żartobliwie, ale naprawdę wcale nie żartując) - to znaczy, że wasza stolica będzie Leningrad. Świetnie. "I przed nową stolicą zwiędła. . . czy upadła? Stara Moskwa. . ." jak coś tam, jakaś wdowa. . . Znowu krzywo się uśmiechnął, i to była - cała jego reakcja. Tak naprawdę inny temat interesował go o wiele bardziej. Miętko, ostrożnie, alegoriami zaczął pytać, jak sądzę, czy

p

na zrobić bezpośredni eksperyment? Sprowokować, powiedzmy, napad... czy nawet - zorganizować jakiś napad... Jeżeli rzeczywiście ma jakąś nadzwyczajną siłę, trzeba ją chyba jakoś trenować, czy nie?

"Tak!!! Właśnie Tak!" - chciało mi się krzyczeć na cały głos.

Wreszcie chyba czegoś zechciał. Ale nie zacząłem krzyczeć, tylko w najspokojniejszy sposób wytłumaczyłem mu stan rzeczy.

Jeżeli napad jest prawdziwy, ryzykuje życiem, zdrowiem i tak dalej; jeżeli jest, że tak powiem, eksperymentalny, to raczej nic się nie wydarzy - Los nie będzie tracił kuł na bzdury. Od razu zrozumiał, o co chodzi.

- A jeżeli nie będę wiedział, czy ten napad jest prawdziwy czy eksperymentalny? - zapytał. - Przecież można zorganizować wszystko tak, żebym wcześniej nie wiedział o czymkolwiek.

- Zorganizować można - zgodziłem się. - I wy nic nie będzie wiedzieli. Ale Los tak. A decyduje Los, a nie wy... na razie - dodałem bardzo znacząco.

Okazało się, że i to zrozumiał. Co więcej - niedbale, nie patrząc na mnie, jak coś oczywistego - powiedział:

- Ależ wy już chyba zrobiliście te wszystkie eksperymenty, Wieniaminie Iwanowiczu... - i nagie popatrzył mi prosto w oczy. - Prawda?

Do diabła! To był inny człowiek! To był rzeczywiście ON - dużymi literami, największymi! Wreszcie zobaczyłem światło w końcu tunelu i światło było jaskrawe, oślepiające i parzące. Bez cienia wątpliwości opowiedziałem mu o swoich próbach zrobienia experimentum crucis. Uwierzył - i nie uwierzył.

- Do diabła - powiedział - i to wszystko, do czego okazała się zdolna wasza organizacja?

Z szacunkiem przypomniałem mu, że tym zajmuję się sam, organizacja nie ma tu nic do rzeczy.

- Czyżby? - Skrzywił się, i zrozumiałem, że przede mną jest wykonanie jeszcze jednego czysto praktycznego zadania: czy jest w ogóle sens, żeby go przekonywać, że ma do czynienia tylko ze mną, czy lepiej niech podejrzewa, że jestem tylko macką ośmiornicy z tysiącem rąk, specjalnym agentem wszechmogących organów. Każda z tych pozycji miała swoje plusy i minusy, j tak po prostu, od razu, bez analizy nie ośmieliłem się dokonać wyboru.

(Analiza - analiza matematyczna. Bardzo u nas lubią to solidne i wyniosłe słowo, sugerujące pewną elitarność i niedostępność. Za tym słowem widać jakieś obszerne sale z maszynami, poważnych ludzi w okularach i białych kitlach, z rulonami wydruków komputerowych w rękach, zmęczony Szef nad mapą Europy. . . A tak naprawdę, wiesz, co to jest? To ja - w przepełnionym trolejbusie na jednej nodze, wśród spoconych ciał, a w głowie brzęczą mi warianty: jeżeli uważa mnie za pracownika organów, to ja jestem autorytetem, strachem, siłą, i to jest cenne, ale z drugiej strony, jeżeli jestem sam - można mi zaufać, można uznać mnie za swojego, można na mnie całkowicie polegać... Jeżeli jestem z organów -jestem właścicielem sprawy, organy decydu-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
ją o wszystkim, a jeżeli pracuję na własną rękę - on jest właścicielem sprawy, o wszystkim decyduje... Co by mu się bardziej spodobalo? Jaki wariant? Jeżeli lubi władzę, lubi być pierwszym i możliwie jedynym - pierwszy wariant. Jeżeli woli solidne, poważne kierownictwo, jeżeli jest z natury wykonawcą, wariant drugi... A jeżeli mu wszystko jedno? A jeżeli sam nie wie, co woli?... Nieważne. On nie wie, ale ja - powinienem wiedzieć. Muszę. Mam zamiar. Bo to nie jego los teraz się rozstrzyga, a mój... Dlatego zaczniemy od początku. Jeżeli jest taki, to znaczy, że ja powinienem być taki sam. A jeżeli jest inny, to muszę to i tamto... Oto cała analiza).

Analiza - to dobra rzecz, ale w realnym życiu bardzo często wszystko dzieje się wręcz przeciwnie.

Drogi Towarzysz Szeff zrobił własną analizę, i mój wyrok był podpisany nawet wcześniej niż mogłem to sobie wyobrazić. Cała rzecz polegała na tym, że mój DTS* był człowiekiem z paranoidalnym typem psychiki. Jeżeli wierzył pracownikowi, to wierzył gorliwie, do utraty kontroli, do absurdu, miał jakby zaćmienie podczas tych ataków zaufania, przechodzące w niemal ojcowską adorację. Ale jeżeli pojawiały się wątpliwości, nawet najdrobniejsze, mikroskopijne, bezsensowne i niczym poważnym nie uzasadnione - to koniec i żadnych szans, żeby się usprawiedliwić i wytłumaczyć (mówią, że towarzysz Stalin był taki

* DTS-Drogi Towarzysz Szeff.
sam, z tą jednak różnicą, że nikogo nigdy nie lubił i nikomu nie ufał - bez żadnych wyjątków).

Zupełnie nie można było przewidzieć, co tam w głębi świadomości-podświadomości (a być może i nadświadomości) schodziło mu nagle z nacięcia, jakie ząbki wychodziły z rowków i czemu zaczynał się psuć dobrze działający, jak się wydawało, mechanizm zaufania i przyjaźni. Jakież nie takie spojrzenie. Albo słowo, może złe przez niego zrozumiane. Albo uśmiech nie na miejscu. Zgodnie z moją obserwacją, szczególnie szybkie i katastrofalne konsekwencje wywoływał właśnie ten uśmiech nie na miejscu i w nieodpowiednim czasie, tak że w jego obecności zawsze starałem się zachować grobową powagę, i nawet gdy miał dobry humor i zaczynał opowiadać kawały, starałem się wyrażać swoim wyglądem niebezpieczną wesołość, a raczej zachwyt nad wykwintnym gustem i godnym zazdrości poczuciem humoru mojego przychylnego kierownictwa.

I mnie też tak samo polubił na samym początku, od pierwszego spotkania, i awansował, i drogę mi torował, i przed wysokimi instancjami za mnie poręczał, a potem wyznaczał mnie swoim powiernikiem, i głównym doradcą, i nawet, wydawało się, główną swoją nadzieją - swoim przyszłym następcą... A teraz - ostry zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. I chodziło tu nie o bezczelny uśmiech (nie było bezczelnych uśmiechów) i nie o pochopną opinię (nie było pochopnych opinii i nawet być nie mogło). Po prostu nadszedł czas, żeby mnie zmienić. Po prostu jego niesamowita intuicja podpowiedziała mu nie słowami, oczywiście, i w ogóle nie głosem, nawet wewnętrznym, a tylko lekko dmuchnęła mu w ucho jego zawsze niespokojnej duszy, że Krasnogorski odszedł, stał się samodzielny, prowadzi jakąś swoją partię i w ogóle stał się obcy! Czas go zastąpić.

(Był człowiekiem bardzo nieskomplikowanym. I zawsze to demonstrował. I lubił uczyć prostoty swoich powierników i poleczników, w tym mnie. W tym był podobny do innego wielkiego człowieka, zwłaszcza do fiihrera narodu niemieckiego: też miał defekt, który u fuhrera nazywał się Redeegoismus, a u DTS - konieczność mówienia. Pouczał. Najważniejszy w naszym zawodzie, pouczał, jest raport - przygotowany na czas, zrobiony prosto i położony na właściwym biurku. Reszta to bzdura, reszta pójdzie sama. Bardzo lubił opowiadać - zawsze tymi samymi słowami -jak za młodu wysłano go do ambasady ówczesnej Łotwy. Albo Litwy. Zawsze je mylił - żartował w taki nieskomplikowany sposób albo rzeczywiście nie bardzo je odróżniał. No i tam, w ambasadzie, wszyscy strasznie się sobie bali i kierownictwu przypochebiali się okropnie - ktoś woj-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

skowemu attache, ktoś kadrowemu, i wszyscy - ambasadorowi. A on od razu skojarzył, kto w tym domu jest najważniejszy: portier, szatniarz i ochroniarz. I temu portierowi albo nowy kawał opowiedział, albo flaszkę postawił, albo po prostu z nim zapalił, ponarzekał na życie... "Potem, kiedy nasi przyszli, wszystkich tam powsadzali do diabła, zaczynając od ambasadora. Tylko dwóch ocalało: portier i ja. Mnie dali lejtaanta, jemu - już nie wiem, ale daleko zaszedł..."

Pierwszym ciosem, który mi zadał, był nieskomplikowany i prosty wypad bagnetem.

- Tego... twojego... Krasnogorowa... - powiedział niedbale, tak od niechcenia, pośród marudzenia na temat przekroczeń i niedoróbek. - Trzeba go do Zujewki... Już w tym tygodniu, po co to przeciągać? - I znowu zaczął mówić o nadużyciach w lekach dewizowych.

Właściwie wszystko zostało w ten sposób powiedziane. Mój klienta trzeba było niezwłocznie przenieść do specpensjonatu Zujewo i przyjąć tam na obserwację i kontrolę. Ponieważ ja sam do tej pory tego nie zrobiłem, było jasne, że nie uważam tego za pożyteczne i potrzebne, co znaczy, że będę się sprzeciwiał i wtedy można mnie uprzejmie, na jak najbardziej prawnych podstawach, w trybie dyscyplinarnym odsunąć od sprawy, a jeżeli nadal będę protestował, w ogóle zwolnić do diabła albo zesłać do jakiegoś Kżył-Ordynska, aby wesprzeć tamtejsze organy (honorowa nominacja: "poseł w Dupę"). Jasna i nieskomplikowana kombinacja. Ale nie rozumiał, drogi mój Towarzysz Szef, w co postanowił się wkopać. Intuicja go zawiodła. Intuicja zawsze w końcu zawodzi, jeżeli brakuje informacji. A o Krasnogorowie wiedział tylko to, co uważałem za słuszne mu powiedzieć, a dokładniej - nakłamać: że podejrzewam go o dar jasnowidzenia.

- Nie zgodzi się - odpowiedziałem rzeczowo, kiedy skończył z dewizowym nadużyciem i deficytem.

- Kto?

- Krasnogorow. Na pewno odmówi.

Nawet na mnie nie popatrzył, dupogęby, tylko poruszył wargami.

- Jesteś przecież psychologiem - zawarczał po ojcowsku, z wyrzutem - a na psychologii się nie znasz. Jak może odmówić, jeżeli go ładnie poprosimy? Po partyjnej linii, na przykład...

- Nie jest członkiem partii.

- Tym bardziej!

Ciężko było mu się sprzeciwić. No i nie miałem takiego zamiaru. Przecież tylko czekał na to, że zacznę mu się sprzeciwiać. Ale ja wcale nie chciałem ułatwiać mu zadania. Musiałem grać na czas. Niech ruszy głową, jak mnie zniszczyć. Póki cały.

- Po co ma odmawiać? Piękny pensjonat, dwupokojowy apartament, telewizor, zwrot kosztów, a pensja idzie. Po co ma odmawiać? Ładne widoki, brzozy, jezioro niedaleko. •-

- To prawda - powiedziałem pokornie. - Porozmawiam z nim. I wtedy zadał mi drugi cios - straszniejszy od pierwszego.

- Nie musisz się wysilać, majorze - oznajmił czule. - Wysłaliśmy do niego wiedmaka. Przekona go.

(Miał nazwisko - Miedwiak, nikt go tak nie nazywał, mówili na niego wiedmak, nawet prosto w oczy. Był mały, słabowity, białawy, z różowymi porzruczanymi po czaszce plackami, z bezbarwnymi biegającymi oczkami. Obrzydliwy. Nie wiem, jak przeszedł przez komisję medyczną, jak się u nas znalazł, przecież do nas przyjmują jednak elitę. Nie wiem. Myślę, że nie obeszło się tutaj bez jego niesamowitych umiejętności, których rniał dwie. Po pierwsze, posiadał dosłownie magnetyczną - jak mawiano w zeszłym stuleciu - siłę przekonywania. Po drugie, miał jawnie Paranormalne wyczucie paranormalności. Bez żadnej wątpliwości sam był paranormalny. Wystarczało mu dziesięć minut dziwnej, prawie bezsłownej rozmowy z obiektem, składającej się z sarozych spojrzeń i pochrząkiwań, żeby wydać wyrok. „yłobuz” - Mówił ze swoim ohydny uśmiechem i oznaczało to, że klienta trzeba wyrzucić - to nie żaden paranormalny, po prostu cwany iluzjonista! prestidigitator. Albo: "psychopata"-o człowieku z dziw-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
nymi przypadłościami, który wyobraził sobie Bóg wie co na swój temat, a tak naprawdę., nic ciekawego nie reprezentował - takich psychopatów było szczególnie dużo wśród różnych ufologów, satanistów, mikrozabójców i innych. Ale czasami - rzadko - mówił: „Jest taka sprawa!” - i szybkimi ruchami ostrego języczka zbierał pojawiające się w kącikach ust białe kulki piany. To oznaczało, że jego niesamowita intuicja odkryła w rozmówcy jakieś rzeczywiste odchylenie od rzeczywistości i tym odchyleniem trzeba by się zająć. Był człowiekiem ohydny, brudny, bezwstydnym. Wyrafinowany onanista. Nędzny drań. Donosiciel i intrygant. Wilgotne lepkie dłonie. Podła maniera podkradania się cicho i nagle pojawiania się obok - jakby znikąd... Żył samotnie, bez kolegów, nawet bez przyjaciół, bez kobiet, w dwupokojowym chruszczowskim mieszkaniu - w jednym pokoiku on ze swoimi masturbatorami, a w drugim, w łóżku - jego ojciec, sparaliżowany od dawna, biały, gruby półtrup z porcelanowymi oczami idioty - czysty, nawet ładnie pachnący, zadbany. Zawsze zadbany. Codziennie i o każdej porze dnia czysty i ładnie pachnący... I to - mik Marcela Prousta z różowajedwabną zakładką na stoliku obok łóżka. "Ojciec po prostu zachwyca się Proustem, naprawdę... Czytam mu i nie mogę, po drugiej stronie już śpię na siedząco. A dla niego to absolutna przyjemność, nawet mruczy z zadowolenia. ..." Niech nikt nie osądza swojego bliźniego - tylko Bóg). Przy pierwszej możliwości pobiegłem zadzwonić do Krasnogorowa. Spóźniłem się. Był zimny i wyjątkowo suchy. Wymigał się od spotkania, zdecydowanie powołując się na to, że jest strasznie zajęty. Starłem się wytłumaczyć, ale czy przez telefon wytłumaczysz. "A ja panu uwierzyłem, jakie to śmieszne..." - powiedział z goryczą i odłożył słuchawkę. Zatrząsałem się w środku z wściekłości, oczy zakrywała mgła - chciało mi się bić i zabijać, ale starczyło jednak resztek rozumu, żeby posiedzieć, zapalić, ostygnąć, uspokoić się. W końcu nic nieodwracalnego jeszcze się nie stało. Nikt nie umarł. "Przykro mi, przykro, ale - dobra..." Powtórzysz to ze trzysta razy, i robi się lepiej... Zrobiło się lepiej. Podpisałem wczorajsze zamówienia, zadzwoniłem do Zujewa, wydałem polecenie odnośnie różnych preparatów, potem połączyłem się z dyżurnym i poprosiłem, żeby znaleźli kapitana Miedwiaka - niech zajrzy. Przyszedł za dwie godziny, a ja już straciłem nadzieję, że się go doczekam, chciałem iść do domu. Usiadł naprzeciwko, oblizał się, poprosił o papierosa. Postanowiłem za bardzo się z nim nie cackać.

- Byłeś u Krasnogorowa?
- Aha.
- No i?

Zaciągnął się, wyszczerzając drobne rzadkie zęby.

- Już mówiłem pułkownikowi.
- No?
- No, jak by ci to powiedzieć... Śpi. I chwała bogu. Broń Boże, nie obudzić.
- To znaczy?
- To znaczy, że nie trzeba się go czepiać, i w ogóle...
- A kto się go czepia?
- Pułkownik chce go zaniknąć w Zujewce. Po cholere mu to potrzebne? Nie rozumiem. I co ważniejsze, on sam też nie rozumie. Jakaś mucha go ugryzła... No i ty mu głowę zawracasz, przecież widzę...

Nagle jego twarz stała się malinowa, usta się zatrzęsły. Rozmowa go poruszyła, to było oczywiste, ale dlaczego? I co konkretnie zmartwiło go w tej rozmowie?... Z nim zawsze tak było: zupełnie nie umiał (albo nie chciał) ukrywać swoich uczuć, w tym sensie cały był jak otwarta książka, ale też nigdy nie można było zrozumieć albo przynajmniej przypuścić, co to były za uczucia i czemu nagle tak się zaniepokoił? Przestraszył się? Czymś się rozgniewał? Czy seksualnie, powiedzmy, podniecił się ni z tego ni z owego?

Teraz też. Zacząłem zasypywać go pytaniami, a on nagle zamilkł. Jakby przestał mnie słyszeć. Zamarł z dymiącym papierosem. Ohydny chory uśmiech pojawił się na jego twarzy

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

i nagle ślina zaczęła wypuszczać pęcherzyki w kącikach ust. Stał się niekontaktowy i zrozumiałem, że już nic z niego dzisiaj nie wyciągnę.

Było dla mnie jasne, że spotkanie z Krasnogorowem zrobiło na nim wyjątkowe wrażenie i sam ten fakt wydawał się i doniosły, i znaczący. Ale nie to mnie najbardziej teraz zajmowało. Co powiedział Krasnogorowowi? Jak się przedstawił? Czemu Krasnogorow po tej rozmowie zrobił się w stosunku do mnie suchy i prawie wrogi? Trzeba było coś zrobić, i to szybko. Zająłem się swoimi papierami, sejfem, biurkiem, a on cały czas siedział, prawie się nie ruszając, głowa na bok, oczy w słupek i biaława piana na ustach, I dopiero kiedy się spakowałem, kiedy włożyłem płaszcz i z neseserem w rękę szykowałem się do wyjścia, zawołałem na niego, żeby poszedł, nagle się otrząsnął i powiedział jakoś tak dziwnie (ze strachem? ze smutkiem? czy z rozpaczą?): "Odczepcie się od niego, na miłość boską. Nie wolno!" - "Czego nie wolno?" - zapytałem od razu, ale już wstał, już wyrzucił w pośpiechu zgaszony niedopałek do popielniczki, prawie pędem uciekł z mojego pokoju.

Rozmowa, która jednak odbyła się między mną a Krasnogorowem, rozmowa, której domagałem się przez dwa dni, którą po prostu wyprosiłem, wyblagałem, wymęczyłem - ta rozmowa zaczęła się ostro, nawet szorstko: oczy zmrużone, patrzą w bok, słowa - przez zęby, i te słowa są ciężkie, twarde i zimne, jak kawałki lodu.

- .. Mam dość pana kłamstw.
- Nigdy pana nie okłamałem.
- Bardzo proszę. Mam dość. Niech pan wymyśli coś innego, mądrzejszego i nowszego.
- Ale co panu nakłamałem? Na przykład?
- Nie chcę o tym mówić. Cóż to, mamy wyjaśnić swoje stosunki, czy co? Nie mam czego z panem wyjaśniać. Chciał pan porozmawiać? No, to proszę mówić.
- Chciałbym panu wytłumaczyć...
- Nie trzeba mi niczego tłumaczyć. I tak pana świetnie rozumiem. Pan ma taką pracę. No, to niech pan pracuje.
- Chciałbym wytłumaczyć, że zaszło nieporozumienie...
- Jakże tam nieporozumienie! Co pan gada... Przecież powiedziałem: wszystko rozumiem, praca specyficzna, bez kłamstwa się nie obejdzie... Przecież widzę, że oczy macie jak u cherubina, ale przy tym naszą rozmowę zapisujecie w najlepsze...-
- Nie. Nie zapisuję naszych rozmów.
- Niech pan posłucha, wystarczy, dobrze?
- Nie nagrywam naszych rozmów.
- Tak. Świetnie. To proszę mi pokazać swój neseser.
- Neseser? Dlaczego?
- Dlatego, że ma pan tam magnetofonik. Ten sam. Malutki, mi-lutki. Tylko za pierwszym razem zrobił pan ładny gest, ale dzisiaj...
- Myli się pan, Stanisławie Zinowiewczu. Nie nagrywam naszych rozmów.

- Nie nagrywa pan?

- Nie.

- To o co chodzi, w takim razie? Czemu pan nie może pokazać zawartości swojego fajnego nesesera?

- Proszę. Niech pan patrzy. Proszę bardzo.

- Nie. Nie zaglądam do cudzych teczek. Niech pan sam otworzy.

- Otóż nie! Pan mnie obraził swoim podejrzeniem. Obraził.

I teraz niech już pan sam... doprowadzi sprawę do logicznego końca... Proszę, proszę!

- Aha, w ten sposób pan wszystko odkręcił! Pan sobie wyobraża, że może mnie złapać na szlachetność. "Ależ nie! Ależ przepraszam! Nie trzeba, nie trzeba... I tak panu ufam!". A ja panu - nie ufam!

I w tym momencie zdecydowanie, w sposób jak najbardziej wyzywający, otworzył neseser. I w tym samym momencie przegrał, dzięki Bogu, tę naszą psychologiczną walkę, bo magnetofonu w neseserze, oczywiście, nie było, a był całkowicie przekonany, że jest, i kiedy zobaczył, że tak strasznie się wrobił, zaczerwienił się jak rak i od razu zmiękł. Był jednak dobrym człowiekiem. I uczciwym. Ry-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

cerz. Nie to co ja. Siedziałem ze smutną twarzą i cieszyłem się w duchu, chociaż z czego się miałem cieszyć? Że po raz kolejny oszukałem porządnego człowieka? Ależ nie miałem wyboru. Jak nie w ten sposób, to w inny. Jak nie kijem, to pałką. Cel uświęca środki. Co by tam nie mówili, on zawsze je usprawiedliwia. I kropka. I wszystko. Magnetofon miałem (dzisiaj) w kurtce, w wewnętrznej kieszeni, ale nagrywałem nasze rozmowy nie po to, żeby później obrócić je przeciwko temu wszechmocnemu głupcowi. Przeciwnie. Starłem się wyciągnąć z niego coś ważnego, co i tak chce umknąć. Ważnego nie dla mnie - dla nas obu. I dla przyszłości. Wierzyłem w naszą wspólną przyszłość. Byłem wtedy innym człowiekiem.

Okazało się, że wiedmak mu się spodobał! "A co w tym złego? Cichy, nieszkodliwy człowieczek. Bardzo się denerwował. Narzekał na życie..." Ale czego chciał? Po co przyszedł? "Przyszedł się poznać. Powiedział, że pana przenoszą do innego miasta i że teraz on będzie się mną zajmował". I to wszystko?

- Tak, chyba wszystko... W ogóle dużo mówił, ale jakoś... o wszystkim na raz. I jakoś... ch-cholera, słowa nie mogę znaleźć... swojsko, chyba? Miałem głupie wrażenie, że znamy się od stu lat, i że wszystko jest już omówione, i teraz można tak po prostu... wymieniać się jakimiś drobnymi uwagami i czuć się przy tym bardzo swojsko... Czy pan ma przyjaciół?

- Tak.

- No, to powinien pan mnie zrozumieć.

- Rozumiem, ale nie rozumiem jednego... Czy mówił coś o mnie, o swoim zadaniu, o swoich celach?

- Przecież panu wytłumaczyłem: przyszedł się poznać... Tak powiedział, przedstawić się. Jakby mnie przekazywali z rąk do rąk, i jakby starał się tę procedurę, że tak powiem, uszlachetnić.

- Co mu się udało.

- Tak. Proszę sobie wyobrazić. Udało się.

- W takim razie nie rozumiem, dlaczego pan tak na mnie, przepraszam, napadł? Jeżeli wszystko, co mówił, przyjął pan za prawdę...

- A co, nieprawda?

- Nieprawda. I nie rozumiem, dlaczego pan obraził się właśnie na mnie, skoro uwierzył pan w te bzdury?

- Na miłość boską! Przecież pan mi cały czas mówił, nawet słowo honoru pan dawał, że działa pan samotnie, organy nic nie mają tu do rzeczy, a ta sprawa - tylko pana i moja... ty do mnie, ja do ciebie...

- Ale przecież pan w to nie wierzył! Przecież pan w żaden sposób nie chciał mi wierzyć! Ale kiedy przyszedł prowokator, od razu mu pan uwierzył!

- Skąd miałem wiedzieć, że to prowokator?

- Dobra, Bóg z nim...

- Nawet teraz nie jestem do końca pewien, czy to prowokator...

- Stanisławie Zinowiewiczu, już trzy razy panu mówiłem, że powinniśmy ufać sobie nawzajem. Mamy tylko siebie. Tylko nas dwóch, a przeciwko nam - cały świat...

- Hm!

- Nie "hm", a właśnie tak. Niech pan posłucha, jak naprawdę stoją sprawy.

I opowiedziałem mu wszystko. Wszystko, co sam wiedziałem, i wszystko, czego tylko się domyślałem, i wszystko, co mogło się zdarzyć w najbliższym czasie. Nie miałem zamiaru straszyc go, ale nie ograniczałem się w zgęszczaniu barw. Bóg z nimi, ze szczegółami, niuansami, ale na serio postawiłem wszystko na jedną, kartę. Albo prawie wszystko.

- Nigdzie nie pojedę - powiedział nerwowo. - Co on, oszalał, tu pański szef?

- Nie oszalał. Po prostu tak postanowił. Pan chyba nie zrozumiał. Na pana, przepraszam, głęboko kicha. Wykorzystuje pana, żeby mnie usunąć. Żebym się zbuntował, i wtedy...

- Ależ rozumiiałem, rozumiiałem. Może pan być zupełnie spokojny: nigdzie nie pojedę, do żadnego pensjonatu.

- Stanisławie Zinowiewiczu, w naszym urzędzie umiemy namawiać.

- Możliwe. Nawet na pewno. Ale to nie ten przypadek.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

- Podpisze pan zobowiązanie o nieopuszczaniu miejsca pobytu.
- Wszystko jedno.
- Zabiorą panu przepustkę.
- To tylko gorzej dla nich.
- Zwolnią. W ramach redukcji kadr. Akurat, nawiasem mówiąc, zbliża się redukcja.
- To nic. Zawsze się zbliża. Nie zginę. Bóg nie wyda, świnia nie zje.

Domyślałem się, kogo i co ma na myśli, mówiąc o Bogu. Częściowo miał rację: ten jego Jeżewatow to twardy orzech do zgryzienia, rozgryzać go nie będzie łatwo nawet mojemu Drogiemu Towarzyszowi Szeferowi. Zwłaszcza teraz, kiedy Akademik kopnął w kalendarz. Kopyta wyciągnął, że tak powiem. Tak naprawdę nie interesował mnie ten problem. Wszystko (nam obu) jedno: pensjonat Zujewo czy stary dom na prospekcie Karola Marksa? w pewnym sensie pensjonat jest nawet lepszy. Ale widziałem, że bardzo nie chce wyjeżdżać (z jakich przyczyn - nieważne), i byłem ciekawy, jak daleko gotów jest ujawnić tę niechęć. Widać bardzo uważnie mi się przyglądał, ale zrozumiał moje zaniepokojenie zupełnie opacznie.

- Niepotrzebnie pan wątpi w moją stanowczość - powiedział Prawie wyniosłe. - Jeżeli powiedziałem "nie", to znaczy, że tak e. Mnie nie da się nastraszyć.

Ta jego wyniosłość, którą nagle zaczął okazywać, zdumiała mnie. Tak, bardzo się zmienił w ciągu ostatnich dni. Czasami przestawałem go rozumieć. Ale w każdym razie na pewno przestałem widzieć go na wylot, jak do niedawna.

- Hm... - postanowiłem trochę, go poruszyć. Od razu przypomniał sobie swoje własne "hm" i momentalnie zaatakował.
- Powtarzam panu, nie można mnie nastraszyć! - Jednakże od razu oprzytomniał i powiedział o ton ciszej: - Nie ma czym mnie nastraszyć, rozumie pan?

- Nie.
- No jak nie, to nie.
- Człowieka zawsze da się. nastraszyć.
- A nie człowieka?

Ostro powiedziane. Uniosłem rękę.

- Poddają się.

Wpatrywał się we mnie. Jakby widział mnie po raz pierwszy. Niewykluczone, że tak właśnie było. Też widziałem go (takim) po raz pierwszy. Ale na to, żeby mu się przyglądać, nie mogłem sobie pozwolić. Już nie mogłem. Już chyba znałem swoje miejsce.

- Dobrze - powiedział wreszcie. - Teraz chciałbym wyjaśnić jedną rzecz. Co będzie z Mirlinem?
- Z kim?
- Z Mirlinem. Pan mnie przecież przesłuchiwał - już pan zapomniał? W sprawie Mirlina?
- Tak, przypominam sobie. Ale nie wiem. Skąd? Postaram się wyjaśnić.

- Niech pan się postara. To dla mnie ważne.
- Tak jest.
- Dziękuję, wieniaminie Iwanowiczu. A teraz, jeżeli pan już nic do mnie nie ma... Nie ma pan? No, to przepraszam, mam jeszcze dużo różnych spraw. Proszę zadzwonić, jak tylko coś będzie wiadomo o Mirlinie, dobrze?

Rozdział 7

Co się z nim działo w ciągu tych dni, kiedy się nie widzieliśmy? Nie wiedziałem (i do tej pory nie wiem). Ale domyślałem się. Udał się na łowy, które okazały się pomyślne. Od razu odesłałem odpowiednie zapytanie do administracji spraw wewnętrznych (lista i opis śmiertelnych wypadków w mieście w ciągu ostatnich trzech dni), ale nie zdażyłem otrzymać odpowiedzi. Za to zdażyłem zobaczyć się z Kostią Poleszukiem i tak, nie dbale, między innymi, podpytałem go, jak tam sprawa tego Mirlina (czy jak on tam?). Okazało się, że z Mirlinem jest kiepsko. Znaleźli u niego ogromne ilości samizdatu - ze wszystkich lat i państw. Jest tego materiału, zgodnie z paragrafem dziewięćdzie-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

siąty, od cholery i nawet więcej. "Ale to wszystko pestka, sam rozumiesz, sprawa jest znacznie gorsza: obraził komitet obwodowy. Czytałeś w ogóle ten artykuł, amatorze? Trzeba było jednak przeczytać. Nie tylko obraził komitet, dotknął osobiście madame Krugłową, wyobrażasz sobie, stary? Osobiście! No, tego już za wiele. Czegoś takiego się nie wybacza, wiesz. I nie te czasy, żeby wybaczać. Ile dadzą? A na całego. Wierz mi! I nie ma przebaczenia... Jeśli się przyzna do winy?... To zależy, jak się przyzna. Ale o co ci chodzi? Ty chyba byłeś zainteresowany nie nim, tylko świadkiem?..."

Zacząłem dzwonić do Gospodarza, ale się nie dodzwoniłem.

Ani w dzień, ani wieczorem, ani nawet w nocy. Najpierw podchodziła sąsiadka, mówiła, że nic nie wie: poszedł do pracy, potem wrócił, już było prawie ciemno, około dziewiątej, powiedziałam mu, że pan dzwonił, nic nie odpowiedział, zjadł, herbaty się napił i znowu wyszedł, ani słowa nie powiedział... Po pomocy przestała odbierać telefon, odczekałem po dwadzieścia sygnałów - bez skutku. Widocznie nie było go całą noc. Czułem, jak tracę nad nim kontrolę, nawet tę minimalną. Coś się z nim działo. Coś decydującego. Stawałem się niepotrzebny. Sprawa zbliżała się ku końcowi...

Rano złapał mnie pod drzwiami mojego gabinetu wiedmak.

Cały skrzywiony i jakby w rozpacz.

- Słuchaj, majorze - powiedział załamany - zostawcie go w spokoju!

- Kogo?

- Wiesz kogo. Powiedz pułkownikowi, że nie wolno go tykać. Niech śpi. To dla was lepsze.

- A czy ja jestem przeciw?

- Ale pułkownik kopytem ziemię rwie! "Do Zujewki!" i koniec. Żąda, żebyśmy razem poszli i namówili go. Próbowałem mu wytłumaczyć, ale nic nie rozumie...

- A czyja rozumiem? Też ni cholery cienie rozumiem. "Śpi", "nie wolno"... Co znaczy "śpi"? Czego "nie wolno"?! Wyraźnie nie był zdolny, żeby to wytłumaczyć, To było normalne. Przecież nigdy nie tłumaczył swoich decyzji-olśnień. "Łobuz!" - i to wszystko. Czemu "łobuz"? Skąd wiadomo, że "łobuz", czemu nagle "łobuz", a nie genialny jasnowidz? Żadnych tłumaczeń. Żadnych komentarzy. Ajak zaczynasz się czepiać -

złości się, syczy jak żmija i wpada w depresję...
- Poczwarzka, rozumiesz? - wyciskał z siebie niezgrabne słowa, krzywiąc się w napięciu. Nawet postękiwał z wysiłku. - No jak u motylka, taka ohydna skóra! Tylko on nie jest motylkiem. Tam diabeł wie co siedzi w tej poczwarcie, widzę to, ale tak niewyraźnie, jakby nie w środku... Kurde, no jak ci to opisać?! Wszystko powinno się dziać w swoim czasie, bo jeżeli ta jego powłoka nagle pęknie - nie wiem, co się może stać... I nie chcę wiedzieć. A niech go. Lepiej go w ogóle nie ruszać. Dlatego proszę was: nie wolno!

Niczego konkretnego z niego nie wydobyłem, ale obiecałem (jak najbardziej szczerze), że nie będę mu dokuczać - sam nie będę i pułkownika poproszę, żeby nie dokuczał. Już dzisiaj. Już teraz. Tylko kalosze włożę...

A pułkownik tymczasem leżał na progu swojego mieszkania, całkiem już sztywny, od drugiej w nocy, kiedy po powrocie do domu otworzył drzwi kluczem i upadł głową naprzód do ciemnego mieszkania. W domu nikogo nie było, wszyscy wyjechali na działkę, na klatce panowała cisza, sąsiedzi spali, nikt niczego nie widział i nie słyszał, ale mieszkanie nazajutrz okazało się obrabowane. Wynieśli całą elektronikę: telewizor japoński, radio, magnetofon... Pieniądzy nie tknęli - po szufladach nie grzebali, brali tylko to, co na widoku, a na widoku była tylko ta elektronika...

Złodzieja znaleźli stosunkowo szybko. Okazał się nim synalek zastępcy kierownika wydziału komitetu obwodowego z mieszkania piętro wyżej - przerośnięty łajdak, zakuty łeb, bez busoli, dwunogi potwór. Jak go wzięli, przysięgał, że znalazł Pawła Olegowicza już martwego - nieruchomego i zimnego - o piątej rano, i diabeł skusił - wyniósł elektronikę, musiał oddać długi karciane.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

On się przyznał, tatuś padł do nóg komu trzeba, urzędzenia okazały się w porządku i zostały zwrócone, sprawę zatuszowano. Tatuś zapłacił stanowiskiem, synalkowi dali pięć lat w zawieszeniu i w końcu wzięli go do wojska, od którego do tej pory szczęśliwie się wymigiwał. Sprawiedliwości stało się zadość.

A tak nawiasem mówiąc, diagnoza brzmiała: wylew krwi do mózgu.

Ale lekarz nieoficjalnie powiedział mi: dziwny jakiś wylew jakby od kilku dni tkanki w układzie oddechowym obumierały. Zmarł prawie natychmiast - przez uduszenie.

Wiedmak po paru dniach spotkał mnie przypadkowo na korytarzu, skrzywił się i powiedział półgłosem: przecież mówiłem idiocie: nie ruszać!" - i od razu, nie czekając na moją reakcję, machnął ręką i z krzykiem: "Z wami to zawsze!..." uciekł ode mnie, obrócił się, znowu się skrzywił, pokręcił palcem koło skroni i z drobnym tupotem zbiegł w dół po schodach.

Pod koniec sierpnia byłem już w Afryce.

Wydarzenia rozwijały się tak szybko, że nie miałem możliwości ani przeanalizować jak należy tego, co się dzieje, ani znaleźć optymalnego rozwiązania, ani nawet dobrze zapamiętać kolejności wydarzeń. Nowy szef, którego przysłali nam natychmiast z Piątego Zarządu, młody, trochę ode mnie starszy, zadowolony z siebie baran, miał swoje plany i nie chciał niczego wyjaśniać.

Widocznie DTS przed śmiercią postarał się z całego serca i na właściwe biurko trafiło całkiem jasne sprawozdanie, z którego wynikało, że major Krasnogorski na danym stanowisku się wy-czerpał i że trzeba go przesunąć. I nowy szef przesunął mnie - z niezwykłą energią i z prawdziwym czekistowskim uporem.

Albo Afryka, albo..." - znacząca pauza. Wybrałem Afrykę.

Do tego czasu poznałem już przyczynę śmierci DTS. Już zrozumiałem, co jest grane, ale nie spotykałem się z Gospodarzem przez kilka dni, nie dawali mi możliwości, żeby się z nim spotkać i naradzić (poskarżyć się, poprosić o protekcję). Pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że w razie czego, jeżeli podjąłem nieprawidłową decyzję, jeżeli jestem mu potrzebny na miejscu, Gospodarz mnie zatrzyma. Wstawi się za mną. Obroni.

Nie obronił. I nie zaczął niczego poprawiać.

Spotkaliśmy się, powiedziałem mu, że wysyłamnie do dżungli łapać czarowników, wysłuchał mnie z zagubionym uśmiechem i powiedział tylko: "Ch-cholera, przez całe życie marzyłem o tym, żeby trafić do dżungli i łapać tam czarowników..." I to wszystko. Puszczął mnie. Nie potrzebował mnie

Opowiedziałem mu o Drogim Towarzyszu Szefie. Najpierw zmieniła mu się twarz - zbladł i oczy mu znieruchomiały. Cokolwiek się z nim i w nim działo, świetnie sobie poradził. Obojętnie kiwnął głową, przyjął mój raport do wiadomości. Sennie popatrzył na mnie, demonstrując, że go to nie zaskoczyło... I chyba nawet nie zainteresowało... Jakby to było coś, o czym wiedział wcześniej, i więcej - coś oczywistego. Na jego twarzy nie było ani zdziwienia, ani przerażenia, ani rozpacz. To wszystko zostawił już za sobą. Drogim Towarzyszem Szef miał za swoje i był szczęśliwie skreślony. Już o nim zapomniano. Przy tym bez specjalnych wyrzutów sumienia - ku przestrodze i nauce.

Zapytałem na wszelki wypadek:

- Czy nie wydaje się panu, że to... m-m-m... Los? Czy...

- Nie - powiedział pogardliwie. - To nie Los. To ja.

Zamknąłem się. Spojrzał na mnie mimochodem i jak zawsze źle zrozumiał moje zmieszanie.

- Niech pan posłucha, wieniaminie Iwanowiczu - powiedział miękko. - Przecież go wcale nie znałem. Tylko z pana opowiadań. .. Ani razu go nie widziałem. Z jakiej racji mam to przezywać?

- Oczywiście - zgodziłem się z naiwnym pośpiechem i żeby trochę przyjść do siebie, żeby, że tak powiem, odetchnąć, zacząłem mówić mu o sprawie Mirlina.

Wysłuchał mnie uważnie, gorzko się skrzywił, poruszył wargami, jakby chciał coś powiedzieć, ale kiedy umilkłem, tylko pokiwiał głową, żebym mówił dalej. A kiedy powiedziałem mu wszyst-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

ko, co o tej sprawie wiedziałem, a także wszystko, co myślałem, nagle zadał mi niespodziewane i dziwne pytanie:

- Wieniaminie Iwanowiczu, pamięta pan, pan mnie przesłuchiwał. Czemu tak się pan domagał wtedy, żebym potwierdził to zdanie: "wsadzą, cię, Sienka"? Po co to było panu tak potrzebne? Trochę się speszyłem. Niczego podobnego nie pamiętałem.

- Rzeczywiście tak się tego domagałem?

- Tak! Trzy protokoły pan zmajstrował... trzy!... nie licząc konfrontacji, i do każdego protokołu wstawiał pan: "O, wsadzą cię, Sienka, do diabła"? Po co?

- Jak Boga kocham, nie pamiętam.

- Dobra, dobra.

- Słowo honoru! Miałem listą obowiązkowych pytań, które musiałem panu zadać. Nie wnikałem przecież, co i jak. Co innego mnie interesowało...

- Szkoda - powiedział zimno, zaciskając wargi. Wyraźnie mi nie wierzył. A przecież naprawdę nic z tego nie pamiętałem!

- Stanisławie Zinowiewiczu! To nie jest ważne, proszę mi wierzyć! Nie pamiętam, po co musiałem to wpisywać do protokołu, ale proszę mi wierzyć, że w tej chwili to już zupełnie nieistotne!...

- Dla pana nieistotne, a mnie będą ciągać po sądach... jako świadka...

- Pan się boi, że będą pana ciągać po sądach?

- Naturalnie! Co w tym dobrego? Znowu trzeba będzie kłamać... To ohydne...

- Niech pan posłucha... To niech pan nie idzie, jeśli się panu nie chce.

- Doprowadzą siłą.

- Akurat - "siłą"! Niech pan gdzieś wyjedzie na ten czas...

Na działkę gdzieś... za miasto...

- Dobra. Nie mówmy o tym.

- Oczywiście, że nie będziemy mówić! To przecież naprawdę drobiazgi...

- Dla pana to drobiazgi.

- Dla pana też. Nie powinien pan o tym teraz myśleć.

- A o czym?

- Stanisławie Zinowiewiczu. Wyjeżdżam na dniach. Nie mam czasu, a my niczego jeszcze nie omówiliśmy... poważnie...

- Poważnie nie mamy czego omawiać. Niech wszystko idzie, jak idzie...

- Stanisławie Zinowiewiczu, tak nie można. Rozumiem: pan już poczuł swoją siłę. Moc swoją pan poczuł. Nawet wszechmoc...

- Niech pan da spokój. To wszystko tylko ładne słowa. Nic z tego nie jest prawdą.. •

- A co jest?

- Bezpieczeństwo. Poczucie bezpieczeństwa. Poczucie całkowitego i ostatecznego bezpieczeństwa...

- Czy to mało?

- Nie wiem.

- Jest pan jedyną osobą na Ziemi, która czuje się całkowicie bezpieczna, i panu tego mało?

- A co, pana zdaniem, powinienem robić? Widzę, że pan już wszystko przemyślał. Beze mnie.

- Tak. Dużo o tym myślałem. Powinien pan zająć się polityką.

- Dlaczego polityką?

- Bo właśnie w polityce nie będzie panu równych.

- Polityka to kłamstwo.

- I co z tego? Całe nasze życie to kłamstwo. W mniejszym lub większym stopniu...

- No właśnie. W większym lub mniejszym.

- Niech pan pomyśli spokojnie przez kilka minut i zrozumie pan: w polityce nie będzie pan miał sobie równych.

- Dobrze. Powiedzmy. Od czego powinienem zacząć?

- Powinien pan wstąpić do partii. To - pierwsze!

Nagle dosłownie zaczął się trząść ze śmiechu, zupełnie bez sensu. Zamilkłem. Prawdę powiedziawszy, nawet trochę się przestraszyłem.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

- Proszę się nie obrażać - powiedział, nie przestając się trząść. - Po prostu przypominałem sobie kawał, jak zapytała rabina, co jest dobrego w obrzezaniu. A on odpowiedział: "Po pierwsze, to ładne..."

Uśmiechnąłem się grzecznie. Znałem ten kawał, ale nie rozumiałem, co ma do rzeczy, co jest śmiesznego w moich słowach.

- Nie wstąpię do partii - powiedział. - Ani po pierwsze, ani po drugie.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, to nieładne - powiedział z zadowoleniem. Po prostu z satysfakcją. - Po drugie, nie można robić wszystkiego, co jest konieczne. Powiedzmy, gdyby pan upuścił do wiejskiego klozetu coś cennego, no... bo ja wiem... pistolet służbowy - przecież nie zacząłby pan go wyciągać gołymi rękami. Chociaż to byłoby konieczne...

- Gołymi, nie gołymi - powiedziałem - ale taki przypadek zdarzył się w jednostce, w której służył mój ojciec. Stary upuścił

1

pistolet do dziury w latrynie, razem z kaburą. I trzeba było całe gówno wygrzebywać, chociaż nie gołymi, oczywiście, rękami...

Nawiasem mówiąc, w dole znaleźli dwa pistolety - był wielki skandal, na cały okręg... Tak to mówię, po prostu, a jeżeli poważnie...

- A jeżeli poważnie, to ja nie jestem przygotowany do tej rozmowy. Rozumie pan? Nie przy-go-to-wa-ny! Jeszcze prawie nic nie umiem... I mało co rozumiem. I nie wiem, czym będę się zajmował. .. Nie wiem, do czego jestem zdolny. W ogóle nic o tym nie wiem. Nie będziemy poganiać koni, wieniaminie Iwanowiczu.

- Dobrze - ustąpiłem. Co jeszcze mogłem powiedzieć? Powinien wstąpić do partii. Powinien wejść w jak najściślejszy kontakt z organami - w jak najściślejszy kontakt! Bez tego w naszym kraju nic nie można zrobić. Ale jak miałem mu o tym powiedzieć? Widziałem, że się zmienił przez te dwa tygodnie. Postęp był oczywisty (jeżeli można to nazwać postępem). Przeszedł pierwszy krąg, ale do prawdziwego polityka jeszcze mu brakowało... I znów poczułem wczorajszą rozpacz. Tyle czasu minęło, a jakbyśmy w ogóle nie zaczęli.

W tym momencie zadzwonił telefon, sąsiadka zawołała go słodkim głosem, wyszedł na korytarz. Słyszałem jego głos, nie można było zrozumieć słów, ale w głosie dało się słyszeć zaniepokojenie i niezadowolenie. Wrócił zmartwiony i z irytacją powiedział coś bardzo dziwnego:

- Muszę pilnie wyjechać. Wikont znowu się załamuje...

Nie wiedziałem, co to znaczy, i przez jakiś czas patrzyłem w milczeniu, jak przebiera się w pośpiechu. Potem dotarło do mnie, że teraz sobie pójdzie i, być może, nie zobaczymy się przed moim wyjazdem, pospiesznie zacząłem więc opowiadać mu o wiedmaku. Chciałem, żeby to pojął: jest pewien człowiek, wcale nieprzyjazny w stosunku do nas, który wie dużo, być może nawet więcej, niż my obydwaj razem wzięci, domyśla się, czuje, widzi to, co ukryte... Trzeba bardzo na niego uważać. Bardzo...

"Dobrze - odpowiadał mi półsłówkami, nie przestając się zapinać i ubierać. - Zrozumiałem. Będę..."

Potem wyszliśmy razem, wszedł do swojego czerwonego zaporożca i odjechał w stronę Newy. Odprowadzałem go wzrokiem, póki nie skręcił w lewo, za róg wojskowej Akademii Medycznej, do Litiejnego mostu. Nagle poczułem, że już nigdy go nie zobaczę. I nic mnie nie czeka. Że jestem bezradnym starcem i teraz pozostało mi tylko cierpliwie czekać na śmierć, która już wyszła po mnie ze swojego domu...

Jednak myliłem się.

Rozdział 8

4

Wszystko, co opisałem do tej pory, działo się ponad dziesięć lat temu. Jestem pewien, że doczytałeś do tego miejsca, ale jestem też pewien, że już nieraz zadałeś sobie pytanie: po co o tym piszę tak dokładnie i ze szczegółami, w których nie widać dla mnie żadnego pożytku? Gdzie są pożyteczne rady? Gdzie jasna instrukcja na przyszłość? Co trzeba natychmiast zrobić, do czego

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

się przygotowywać?... I tak dalej.

Nie śpiesz się. Wszystko to będzie. Oczywiście, możesz już teraz zerknąć na koniec i znaleźć tam odpowiedzi na swoje pytania - nie na wszystkie, ale przynajmniej na niektóre. Wydaje mi się jednak, że byłoby lepiej dla Ciebie, gdybyś przeczytał ten tekst w całości, niczego nie omijając i nie przeskakując, po kolei, epizod za epizodem - wszystko, co chciałem Ci przekazać, i w tej kolejności, którą sam dla siebie ustaliłem. Zapewniam Cię: nie ma tutaj niczego zbędnego. Być może coś opuściłem, przegapiłem, nie doceniłem tego, co się działo, uważałem za nieważne i nieistotne przez swoją ślepotę, ograniczenie, nawet niedbałość - to możliwe. Ale nie napisałem tutaj niczego zbędnego - to już na pewno, to Ci gwarantuję.

Po pierwsze, było dla mnie wyjątkowo ważne, żeby wprowadzić Cię w sprawę w taki sposób, żebyś uwierzył mi całkowicie i świadomie. Wiem, że jesteś łatwowerny, wierzysz w cuda, byłbyś gotów uwierzyć mi od razu, tak po prostu. Ale to nie byłaby mocna wiara, a ja chcę, żeby była mocna. Żeby to właściwie nie była wiara, ale mocna wiedza, jaką ma sumienny student, który przeszedł przez studia u dobrego profesora. Żeby nie można Cię było zmylić. Żebyś dla każdego nowego i niespodziewanego faktu lub wydarzenia mógł od razu znaleźć wytłumaczenie i uzasadnienie, bazując na mocnej wiedzy o przeszłości.

Po drugie, mam nadzieję, że zrozumiesz sytuację lepiej ode mnie, znajdziesz przegapione przeze mnie szczegóły, wytłumaczysz to, co ja musiałem brać na wiarę, wykorzystasz coś, czego ja nie wykorzystałem. Dlatego musisz przeczytać ten tekst nie raz i nie dwa, i koniecznie - koniecznie! - musisz nie raz i nie dwa przesłuchać wszystkie taśmy, które tutaj dołączam. Na tych taśmach wiele rzeczy będzie Ci się wydawało nudne, zbędne, niepotrzebne - tak rzeczywiście jest, masz rację, ale jestem pewien, że ta kupa gówna zawiera perły, trzeba tylko uzbroić się w cierpliwość i postarać je odnaleźć.

W ciągu dwunastu lat, zanim wróciłem na dobre (pozwolono mi wrócić) do domu, widziałem się z nim trzykrotnie. Chciałem czekać na każde z tych spotkań. Nie mogę powiedzieć, że bardzo męczyłem się w tej Afryce, praca tam nie była pozbawiona elementów twórczych, moje kwalifikacje rosły, wyrósł ze mnie niezły etnograf (jestem przecież członkiem czterech stowarzyszeń etnograficznych w czterech krajach świata, ty, oczywiście, nic o tym nie wiesz, w ogóle mało kto o tym wie), ale moje codzienne myśli o tym, że ja tutaj gniję w luksusowym bagnie, kiedy mój los mógłby już dawno i zdecydowanie potoczyć się tam, świdrowały mnie jak chory ząb, i codziennie nienawidziłem tych rzeczy, którymi musiałem się zajmować, i liczyłem dni do urlopu, bo za każdym razem, udając się do Petersburga, radośnie czekałem, że teraz wszystko się wyjaśni - raz na zawsze.

Ale nic się nie wyjaśniało. Urlop się kończył, burzliwe nadzieje rozwiewały się, a ja wracałem pod straszne, groźne i piękne sklepienia moich równikowych lasów, wszystko wracało na swoje miejsce.

Czym się zajmowałem przez te dwanaście lat? Nie wiem. Do tej pory nic o tym nie wiem, możesz to sobie wyobrazić? Nie opowiadał mi o tym wcześniej, nie chce mówić o tym teraz. Wydaje mi się, że wstydzę się wspominać tamte lata.

...Chodził na nocne łowy na gówniarzy. Brał ogień na siebie. Rzucali się na niego, jak wściekłe psy i jak psy ich zabijał. Czy stał, zielony jak trup, podobny do wilkołaka, do żywego trupa, do mikrozabójcy, i obserwował, rozkoszując się powoli, jak pękają ich ohydne łby i dymiąca ciecz rozlewa się po chodniku lepkiem półkolem?... Nie wiem. Wątpię. Ale to przecież możliwe!

...A być może... po prostu strasznie pił? W rozpacz, że może zabijać i nic więcej nie umie. Odczuwając swoją niesamowitą moc i absolutną bezradność jednocześnie... Być może. To też jest możliwe. Ale nie tylko to.

...Albo spokojnie, bez pośpiechu, z zapałem opracowywał swoją teorię elity, która później wywołała w Tobie - pamiętasz? - takie dziecinne oburzenie. Ty przecież jesteś demokratą. Ale wielu osobom podobała się ta teoria i teraz też się podoba. A jak

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

to jest w polityce? Nieważne, czy mówisz prawdę, ważne, żeby jak największej ludzi zgodziło się uważać to za prawdę... Ludzi nie interesuje prawda. Oni tylko chcą, żeby im coś ładnego pokazać...

A być może, w ogóle niczego takiego nie było? Pracował sobie w swoim zawodzie, pisał swoje programy, robił karierę - przecież i doktorat napisał w ciągu tych lat i został kierownikiem sekcji... Zawsze był pracowity, i zawsze podobała mu się jego praca. A być może było to wszystko razem i jeszcze wiele innego, czego nie mogę się nawet domyślić? Nie wiem.

Rozstaliśmy się więc jakby na zawsze i rzeczywiście długośmy się nie widzieli - ponad trzy lata. Do mojego pierwszego urlopu. Pamiętasz, przyjechałem i przywiozłem ci tarczę Masaja i prawdziwą afrykańską dzidę? To był mój pierwszy przyjazd i wreszcie znowu się z nim zobaczyłem. Przedtem nawet nie pisaliśmy do siebie. Nie chciałem ryzykować, nie chciałem ściągać na siebie niepotrzebnej uwagi, nie chciałem na niego ściągać nadmiernej uwagi, chociaż zawsze mogłem się powołać na służbową konieczność utrzymywania kontaktu z potencjalnym cennym nabytkiem.

Ale nie chciałem, żeby jeszcze ktoś o nim wiedział, przyglądał mu się, brał go pod lupę. W nocnych koszmarach wystarczał mi wiedmak. Nawiasem mówiąc, akurat z wiedmakiem próbowałem nawiązać korespondencję, ale bez sukcesu: wysłałem do niego trzy listy, odpowiedział mi jednym jedynym, z okazji, liścik okazał się niepoważny, jakieś głupie prośby odnośnie pamiątek, potem, kiedy dostał te pamiątki, w ogóle przestał się odzywać.

Do Gospodarza zadzwoniłem już pierwszego dnia. Nie mogłem się powstrzymać. Jakby sam diabeł oliwił mechanizm mojej niecierpliwości (twoja mama zaczęła nawet wtedy podejrzewać coś niedobrego, pojawiła się masa dodatkowych komplikacji, ale to inna historia i nie ma tu dla niej miejsca). Wydało mi się, że przytył i stał się rozlazły. Poczęstował mnie nie herbatą, jak kiedyś, a wódeczką (pod wczorajsze gotowane ziemniaki z solą). Mówił mało, bardziej słuchał, ale jego małomówność wynikała wyraźnie nie z niechęci do mnie albo, broń Boże, podejrzeń, a z jakiejś dobrodusznej obojętności, no i jego zainteresowanie moimi opowiadaniem płynęła chyba z tego samego źródła. Wyraźnie popijał, i to już zaczęło wyciskać piętno na jego osobowości. Chociaż przy dobrej woli można było wyczuć w tej dobrodusznej obojętności coś majestatycznego. Przede mną siedział człowiek, który dobrze znał swoją cenę i dlatego był obojętny na resztę.

Kiedy zaczynała się rozmowa o polityce, trochę się ożywił. Wyraźnie lubił myśleć i rozmawiać na te tematy. Na policzkach pojawił się rumieniec, oczy się zapaliły, w mowie pojawiała się niedbałość i przenikliwość człowieka pewnego siebie i dobrze wiedzącego, o czym mówi. Uważał, że tkwimy w ślepym zaułku, w spiżarni historii, zakurzonej i beznadziejnej ("razem ze zmiotkami i koszami na śmieci..."). Gerontokracja. Średni wiek rządzących zbliża się do siedemdziesiątki - jest to wiek zmęczenia, przesycenia i obojętności. W gruncie rzeczy, wiek śmierci. Jeszcze rok, dwa i wszystko ostatecznie się posypie: zaczną umierać jeden po drugim, przyjdą czasy zamętu, nawet nie po prostu czasy, a ciężkie czasy. Kraj stopniowo pogrąży się w agonii. Ropa się kończy, a to krew naszej gospodarki, w fabrykach mamy urządzenia z początku stulecia. I nikt palcem nie ruszy. Po co? Ci, którzy są zdolni do zmian, w ogóle nie chcą tego robić, a ci, którzy tych zmian pragną, nic nie mogą zmienić... Zostaje tylko jedna nadzieja - armia. Jedyna realna siła w kraju, która zachowała stan mobilności. Nie, oczywiście, nie chodzi o generałów - są tak samo starzy, syci i nieruchawi jak nasi politycy, przecież już są politykami, a nie wojskowymi... ale za to młodzież, towarzysze pułkownicy - ci tak! Młoda krew wrze, chce się ramiona wyprostować, a perspektyw żadnych - ślepy zaułek, spiżarnia... Przepowiadał wojskowy zamach stanu. Przepowiadał pułkownika Nasera. Pułkownika Kadaffiego. Majora Castro. W ogóle, mówił prawie to samo, co mówili we wszystkich kuchniach tego kraju - jeżeli w ogóle ktoś pozwalał sobie o tym rozmawiać. Różnica polegała na tym, że ich rozmowy były po prostu

kuchenną gadaniną, a on wyraźnie szlifował fragment przyszłego modelu własnych działań, swoje przyszłe narzędzie szlifował i ostrzył...

Przepowiadał wojnę. Młódzież nie ma co ze sobą zrobić. Kom-somoł przekształcił się w suche bagno, każdy objaw aktywności i osobowości karze się natychmiast i okrutnie. Nuda! Życie jest pozbawione barw i sensu. Dobrze pracować - nie ma sensu. Pracować źle - nudno i jeszcze bardziej bez sensu. Jedyne wyjście - na Zachód, do pop-muzyki, drobnego biznesu - starannie się zatyka starą śmierdzącą szmatką. Pokolenie ideologicznych komuchów starannie hoduje pokolenie ideologicznych potworów. Dzisiejszy młody człowiek od urodzenia ma martwą twarz - kocią mordę z wyrazem ideologicznej wierności i rzeźkości...

- Wie pan oczywiście, że Mirlina wsadzili?

- Nie, jestem przecież w innym pionie...

- Dali mu siedem plus dwa, wyobraża pan sobie? Siedem lat łagru i dwa lata zesłania. Za jedyny artykuł, w którym było wprawdzie dużo krytyki, to prawda, ale ani słowa kłamstwa... To państwo nie ma prawa istnieć...

- Wie pan, państwa nie potrzebują praw. Prawem państwa jest jego siła.

- O, tak. To prawda. Dziękuję za wyjaśnienie. A wie pan, dlaczego pan cały czas wpisywał do protokołu "antyradziecki artykuł Mirlina"? Krzyczałem: "Nie trzeba!", krzyczałem, że nie uważam artykułu za antyradziecki, a pan cały czas pisał, pisał, uparcie pisał... i cały czas prznosił z protokołu do protokołu "wsadzą, cię, siomka!" wie pan, po co?

- Nie wiem, tak trzeba było. Pewna forma, o ile rozumiem...

- Nie. Nic pan nie rozumie. Albo pan kłamie, albo pana też okłamali. To było im potrzebne, żeby nie udowodniać antyradzieckiego charakteru Mirlina. Rozumie pan? To my, świadkowie, udowodnialiśmy, że Mirlin jest człowiekiem o nastawieniu antyradzieckim, a sam sąd nawet ust nie otworzył w tej sprawie...

- Nie rozumiem.

- Ja sam zrozumiałem to niedawno. Za późno. Ale jednak walczyłem jak mogłem... Mówiłem, że nie uważani artykułu za antyradziecki, a prokurator z takim obrzydzeniem na twarzy powiedział do mnie: "Ależ, obywatelu Krasnogorow, czy pan jest dzieckiem, czy co? Niech pan przestanie, wstyd pana słuchać...". A sędzia grzebał w protokołach i mówił z zadowoleniem: "Jak to pan nie uważa... To przecież pana słowa: "antyradziecki artykuł Mirlina nie spodobał mi się...". Jest tu podpis pana... Czy to pana podpis? Proszę zobaczyć!". Pamięta pan, cały czas domagałem się, żeby pan wykreślił słowa "antyradziecki artykuł"?

- Wykreślałem!

- Tak. Ale widocznie nie wszędzie. Gdzieś zostało...

- Słowo honoru, sam wtedy nie wiedziałem...

Tylko machnął ręką i zaczął mówić o czymś innym - znowu o młódzieży i o tym, kto zwycięży, kto potrafi ją zawłaszczyć - podnieść do swojego poziomu, albo być może zejść do jej poziomu i przy tym pozostać sobą... Już był blisko swojej teorii elity. "Elita - to ci, którzy idą za mną. Cała reszta - to lumpy albo beznadziejni głupcy".

Porozmawialiśmy ze dwie godziny, wypiliśmy całą wódkę i nagle zaczął gdzieś się zbierać ("...przepraszam... zupełnie zapomniałem..."), no i musiałem wyjść.

Wiedzieliśmy się jeszcze parę razy podczas tego mojego pierwszego przyjazdu, ale jakoś tak w pośpiechu - uprzejmie, przyjaźnie, ale bez żadnej wnikliwości. Raz chyba nawet miał zamiar zabrać mnie ze sobą na spotkanie swojej paczki (podała mu się moje opowieści o Afryce), ale widocznie się rozmyślił, nie zaprosił...

Udało mi się zachować i nawet chyba wzmocnić nasze przyjazne stosunki, staliśmy się sobie bliscy, prawie na "ty", ale niczego nowego się o nim nie dowiedziałem i niczym nowym mnie w końcu nie pocieszył.

Raz wybrałem taki moment, kiedy na pewno nie było go w domu, i przyszedłem specjalnie, żeby pogadać z sąsiadką. Przesie-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

dzieliśmy dobre półtorej godziny na starej skrzyni, i ona opowiadała mi o nim wszystko, co jej się chciało opowiedzieć. (Nigdy jej nie zwerbowałem, chociaż coś takiego parę razy przychodziło mi do głowy. Po co? werbowanie ma swoje plusy, ale i swoje minusy. Ja osobiście zawsze wolałem gadatliwego rozmówcę od najbardziej starającego się informatora, który był wynajęty). Tak, pił. Zwłaszcza dwa lata temu. Nie od razu po śmierci żony, a prawie rok później, kiedy miał jeszcze jakieś inne problemy, jakiś sąd, gdzie go męczyli jako świadka, a może jeszcze coś: nagle przestał bywać w domu po nocach, wracał o świcie, zmizemiały, oczy - straszne, i od razu - do łazienki, zapalał tam piecyk i długo siedział w gorącej wodzie, cicho, cicho, potem wzdychał - z jękiem, na cały dom, czasem od tych jęków ze strachu aż drętwiała. Wtedy zaczął popijać. Najpierw nie mocno, po ludzku, jak wszyscy. Robił się wesóły w takich chwilach, sam z nią czasami zaczynał rozmawiać, żartował, zapraszał na kieliszek. Potem - coraz mocniej, do obrzydzenia, do nieprzytomności, przewracał się nawet czasami, raz w łazience upadł - całą twarz rozbił, zakrwawił, a skończyło się tym, że raz wyszedł rano od siebie, ledwo się trzymając na nogach, i padł na środku kuchni jak kłoda, i tak przeleżał przez cały dzień. Ciężki, spuchnięty, nie mogła go ruszyć ani przesunąć, więc przechodziła przez niego przez cały dzień ze swoją kulawą nogą. I to wszystko. Od tamtej pory przestał. Popijał, oczywiście, trochę - wszyscy piją, ale już żadnych obrzydliwości nie było...

Tak, bywały u niego kobiety. Ale różne. I niedługo. Przyjdzie taka ze trzy razy, najwyżej - cztery, i koniec. A za parę tygodni - już nowa. Żadnej z nich nie kochał. A jedną nawet wywalił - z awanturą, z krzykami, prawie na zbity pysk...

...Przyjaciele - a jakże inaczej! - przychodzą. I Wiktor Grigoriewicz, i Zenieczka często bywa - kędzierzawy przystojniak z bajki, zawsze taki czuły, przyjazny, zawsze się przywita, a czasami kwiatek wręczy... I żonę ma fajną - Tanieczkę... A ten Żyd, nosaty, gdzieś zniknął, nie wiem, chyba wyjechał do Izraela... A jeszcze czasami przychodzi taki malutki, kurdupel taki białawy, paskuda taka cienkonoga, też bardzo grzeczny i bardzo lubi pogadać: jak pani się miewa, co tam u pani słyhać, Tamaro Martianowna... Nie lubię go, bo fałszywy do szpiku kości, nie ufam mu. Ale, dzięki Bogu, rzadko bywa - raz na kwartał, nie częściej...

Nie od razu zrozumiałem, że to wiedmak. Potem się domyśliłem. Malutki. Białawy. Paskuda. On. (Nie wiadomo tylko, jak to się stało, że nie potrafił zrobić na naszej Martianownie zwykłego przychylnego wrażenia? To dziwne. Wydawałoby się, że co to dla niego taką kobietę oczarować i zauroczyć? Ale jak widać i koń się potknie...). Pracował teraz w innym dziale i nawet w innym urzędzie. Zacząłem go szukać i znalazłem. Nie bez trudu. Zmienił adres, przeprowadził się do tego domu, gdzie mieszkał kiedyś Drogi Towarzysz Szef, dostał tam rozkoszne mieszkanie, sufit - trzy dwadzieścia, nie to co wcześniejsze "miejsce zamieszkania", i w ogóle już był majorem, nawet chyba trochę nabrał ciała i zrobił się poważny.

Był wyraźnie zaniepokojony - odzwyczaił się, no i w ogóle, trzeba powiedzieć, moje zachowanie, jawne natręctwo i natarczywość wyglądały raczej dość dziwnie. Pamiętka trochę go ułagodziły, nie tylko jednak nie pozbawiły czujności, ale powiedziałbym, wzmogły. Odbyła się niezręczna, jakaś urywana i zupełnie pusta rozmowa. wysiłał się, ale jakoś nie mógł zrozumieć, po co się do niego przytaczałem, czego chcę, dlaczego lgnę, i w ogóle, o co właściwie chodzi... A ja z wysiłkiem udawałem życzliwość, szczerą przyjaźń i radość ze spotkania. wydaje mi się, że zaczął podejrzewać we mnie tajnego pedała. Nie wiem. Rozpiliśmy butelkę martella, wydobrzeliliśmy obaj, ale radości ta rozmowa nam nie przyniosła. Opowiadałem mu jakieś koszarne obrzydliwości o Murzynach i ich babach, on mnie - o swoim tatusiu, który przebywał cały czas w tym samym stanie i polubił, żeby mu teraz czytali Emila Yerhaerena... Do tej pory z przykrością wspominam tamten wieczór. Szczegółów w ogóle nie zapamiętałem, a tylko ogólne wrażenie - ciężkiej, wstydlivej i bezsensownej pracy... I dopiero kiedy wychodziłem, już w przedpokoju, pomagając mi znaleźć zgubiony

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

gdzieś pod wieszakiem beret, zapytał jakby a propos:

- U swojego byłeś?
- Nie - powiedziałem. - U kogo?
- No, u tego... twojego imiennika, Krasnogorowa...
- Nie, a mam do niego wpaść?
- Nie chodź. Do diabła z nim. On... Wiesz kim on jest? Potworem.
- Kim?
- Potworem.
- Mylisz się! - powiedziałem pijanym pouczającym tonem.
- To jasnowidz. Kategoria "S".
- Skąd to wiesz?
- Drogi Towarzysz Szef mi powiedział. A co, może nie?
- Nie. To potwór.
- To muszę wpaść. To moja specjalność.
- Nie idź. Ja już więcej nie chodzę., i ty też nie chodź. Ja się go teraz boję... - Przerwał, jakby bał się wygadać coś zbędnego.
- Trzeba pójść! - oznajmiłem uparcie, jakbym go nie słyszał. Miałem nadzieję, że powie jeszcze coś. Wytłumaczy. Podzieli się. "Boję się" - wyrwało mu się widać niechcący - zachciało mu się ze mną podzielić, z jedynym, być może człowiekiem, który mógł go zrozumieć... uwierzyć mu... pomóc, być może? Ale nic więcej nie powiedział, a ja nie zaryzykowałem pytania wprost. Objęliśmy się na pożegnanie. Z obrzydzeniem - jak sądzę, wzajemnym... Na tym rękopis się urywał.

Rozdział 9

A gdzie reszta? - zapytał Stanisław.

- To wszystko. Więcej nic tam nie było - powiedział wania, starannie wyrównując plik papierów w teczce.
- Tak? - zapytał Stanisław powoli. - Nie zdążył? Czy z innego powodu?
- Chyba nie zdążył... - Teraz wania jeszcze staranniej zawiązywał tasieмки teczki. Nie umiał kłamać. Nie musiał. Jeszcze się nauczył. Jeszcze wszystko przed nim.
- Wierzysz w to, co jest tutaj napisane?
- Wania nie odpowiedział. wzruszył tylko jednym ramieniem, patrząc przy tym w bok. Mocno trzymał teczkę obiema rękami, jakby ktoś chciał mu ją zabrać, a on nie chciał oddać.
- Wiesz co, twój ojciec był człowiekiem skłonny do uniesień... - miękko powiedział Stanisław. - Był idealistą, a nawet mistykiem. Sam uważał siebie za trzeźwego pragmatyka i za każdego razem to podkreślał, ale to nie było tak. Wcale nie. Lubił Gumilowa. Nikołaja Stepanycza. Lubił czytać Kapitanów, na głos, z uczuciem... Oczy mu zaczynały błyszczeć i głos cichł z zachwytem, kiedy recytował: "Są pod Księżycem inne sprawy, których nie dostrzec jest mocarzom, Zobaczysz jednakże człowiek prawy, Niech przeciwności go nie zrażą". Czytał ci Kapitanów!
- Tak. I Starego włóczęgę w Addis Abebie... czytał. I Szósty zmysł...
- Był bardzo łatwowierny. wybierał człowieka, któremu chciał ufać, i ufał mu już bezgranicznie i do końca.
- Po co pan mi to mówi?
- Nie chcę, żebyś wierzył każdemu słowu w notatkach twojego ojca.
- A ja nie wierzę. Każdemu słowu.
- Dobrze. Dobrze robisz.
- Ale oczywiście wierzył. Każdemu słowu. Cóż, to było naturalne. I mogło być również pozytywne.
- Wiesz jak zginął twój ojciec? - zapytał Stanisław.
- Tak.
- To był wypadek, co o tym sądzisz?
- Wania po raz pierwszy popatrzył mu prosto w oczy.
- Myślałem, że pan mi powie, co to było.
- Wypadek - zdecydowanie powiedział Stanisław.
- Jeżeli człowiek wybiera się na grzyby z Karelskiego, na brzegi rzeki Wilczej, i ginie tam, i za tydzień odnajdują go pod urwiskiem, w koronie sosny, gdzie wisi, uwięziony w rozgałęzieniu najmoc-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
niejszej gałęzi tej korony... Spadł ze skraju urwiska, przeleciał przez koronę i uderzył się o to rozgałęzienie żebrami z taką siłą, że tylko cudem nie pękła mu od uderzenia szyja... Oczywiście, wypadek. Po raz pierwszy w życiu wybrał się na grzyby, i z takim oto skutkiem. Przypadek. Oczywiście. Nieszczęśliwy.

- Pamiętasz, kogo ojciec wymieniał... na samym początku rękopisu, pamiętasz?

- Tak Aleksandr Gurikow. Siergiej Żukowanow. Marlen Kosoruczkin.

- Słusznie. Wymienione osoby już nie pracują w organach. Sprawdzałem specjalnie, nie ma tam takich... - Stanisław zrobił przerwę. - Już dawno ich nie ma. Od kilku lat. A ten... Żukowanow. .. już dawno nie żyje. W ogóle.

Wania nie odpowiedział, tylko cicho poruszył ustami. Na pewno jednak miał na ten temat swoje zdanie.

- No dobrze - powiedział Stanisław. - Chyba miałeś do mnie jakąś prośbę?

- Tak. Chcę u pana pracować.

- Tak? A co ty umiesz?

Znowu wzruszenie ramionami - niewyraźne i prawie wstydlive. Ale jednocześnie wyzywające.

- Zabijać.

Stanisław przeciągle gwizdnął.

- Gdzie się tego nauczyłeś?

- Nigdzie. Na ulicy.

- Na ulicy niczego dobrego nie można się nauczyć - powiedział Stanisław.

(Nagle przypomniał sobie mamę: stała z mokrą szmatą w ręce - zmywała podłogę - i nie puszczała go na dwór. Powiedziała coś bezczelnego w odpowiedzi na jej słowa, trzepnęła go szmatą po twarzy i powiedziała cicho: "Idź. Miernoto". Poszedł i do zmroku sterczał z koleśiami w śmierdzącym tunelu za podwórkiem, ale nie wiadomo dlaczego nie miał już żadnej przyjemności z tego sterczenia. Coś się z nim stało. Coś zdecydowanie się zmieniło. Zrobiło się nieciekawie. Ulica przestała go pociągać... Zmienił przyjaciół i razem z nimi - system wartości. Przestał palić i zaczął czytać... Słowa działają na nas w sposób nieprzewidywany i nieprzewidywalny. Zresztą, tak samo jak książki...)

- Przepraszam, co powiedziałeś? - zapytał jeszcze raz.

- Powiedziałem, że nie uważam, że to dobrze. Pan zapytał, co umiem, a ja odpowiedziałem.

- Tak, rozumiem. Zauważyłem jednak, że masz przez cały czas nie najlepszą opinię o mnie. Czemu, właściwie, pomyślałeś, że będę potrzebował doświadczonego zabójcy?

- Nie wiem.

- Nie potrzebuję doświadczonych zabójców. Przecież sam jestem... doświadczonym zabójcą. Prawda?

Wania nie odpowiedział. Przygryzł dolną wargę i był pasowoczerwony. Dziwny chłopak. Wygląda na to, że ma ogromną dziurę w duszy. I nie goi się. Nawet się nie zabliznia. Nekroza duszy. Rozumiemy to...

- Wcale nie mam złej opinii o panu - powiedział Wania. - To było kiedyś. Dawno. Od tamtej pory wszystko się zmieniło. Przecież widzę.

- Dobrze - odparł Stanisław. - Przekonałeś mnie. Przyjmę cię do pracy. Ale pod jednym warunkiem. Oddasz mi brakujące strony notatek.

- Nie mam ich.

- .. .1 to wszystkie. I te, co są na samym końcu, i te, których brakuje w środku.

- Nie mam nic... - Teraz zbladł, nawet usta zrobiły się szaro-niebieskie, i tylko dwie pasowe plamy zostały na twarzy, nie wiadomo dlaczego - na czole.

- Ja wszystko rozumiem - powiedział Stanisław. - Ojciec chyba tam pisze do ciebie, na samym końcu, w postscriptum: nie pokazuj mu tych notatek, nie powinien wiedzieć, co o nim wiesz, a czego nie. Ale zrobiłeś po mojemu. Uznałeś za słuszne, że-
bym wiedział, jak ciekawe rzeczy wiesz o mnie... Są to właści-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

wie dwie rzeczy.

Zamilkł i zaczął zapalać nowe cygaro. Wania czekał. Oczywiście. A co miał robić? Wstać i dumnie wyjść? Nie, to wykluczone. Na to nie mógł sobie pozwolić.

- Po pierwsze - powiedział Stanisław, zaciągając się. - Trzy czwarte tego, co twój ojciec pisze o mnie, nie jest prawdą. To nie fakty, to artefakty. Wiesz, co to jest artefakt? Coś sam wymyślił, miał bogatą fantazję, zachwycał mnie swoją fantazją, słowo honoru. .. Coś ja mu podrzuciłem, bawiąc się. Na przykład pisze tam, że na starość zacząłem latać za chłopczykami... Pisze, pisze, nie protestuj! Na pewno pisze. Sam mi dostarczał usługę tych chłopaków, a rano wysyłał z powrotem do miejsca zamieszkania, jak lubił powtarzać, cichutko wyprowadzał ich z pokoju, żeby nie obudzić Gospodarza. Był przecież pewien, że Gospodarz śpi jak kamień po rozpustnej, nie na jego wiek, nocy, a Gospodarz chichotał tymczasem w poduszkę- świeży i dobrze wyspany... Gospodarz miał dużo wad, to prawda, ale tego - nie było. Gospodarz w ogóle nie jest rozpustnikiem, a zgodnie z notatkami wychodzi przecież - że jest, prawda? Przyznaj się? Pijak, Neron, rozpustnik, satyr, tak?

Wania patrzył na niego zasępiony. Trzeba było się powstrzymać. Młodzieniec był dziwny, widocznie i niebezpiecznie nieprzewidywalny, ale nie chciało mu się powstrzymywać. Po cholere?...

- Podobał mi się twój ojciec. W ogóle lubię ludzi niestandardowych. Bawił mnie. Przecież wyobrażał sobie, że jest mi potrzebny jako doradca i pomocnik... Właściwie tak było, pomagał mi żyć. Bez niego od razu robiło mi się nudno... mętnie... I był mądry! Wiesz, dlaczego radził ci, żebyś mi nie pokazywał tych notatek? Wiedział, że nie wolno mnie szantażować. Lepiej od razu się zastrzelić. To druga rzecz, o której chciałem cię powiadomić...

↓

- Spaliłem te strony - powiedział wania z trudem. - Tam było dużo złego o panu. Zrobiło mi się wstyd. Za ojca.

- Tak? A co tam było?

- Nie chcę o tym mówić. Po co? To wszystko nieprawda...

albo półprawda... Wiem o panu gorsze rzeczy i nigdy i nikomu bym o tym nie powiedział... i nie powiem...

- Na przykład?

I w tym momencie opowiedział o tym przypadku w lesie.

(Kiedy zapalniczka nie chciała się zapalić. Najpierw nie chciała być na swoim miejscu, a kiedy cała się wygiął i wydostał ją z niezwykłego miejsca - nie chciała się zapalić...)

Oczywiście, nic nie wiedział i nie mógł wiedzieć. Powiedział tylko to, co o tym myślał. To, co sobie wyobraził. Jak to wszystko złożyło się w jego wyobraźni. Widocznie sam miał pewne nieprzyjemne wspomnienia z "upokorzeniem". Może w wojsku.

Albo może w więzieniu?...

Kto go ciągnął za język, głupca młodego? Oto sławetny syndrom młodzieńczej otwartości... Cały humor zepsuł. Rozmowa od razu straciła wszelki wdzięk. Rozmowa okazała się nieciekawą i zakończyła się źle.

- Jutro przyniesiesz brakujące strony - powiedział mu Stanisław na pożegnanie. - Możesz zostawić sobie kopię, jeżeli już bardzo chcesz. Albo odwrotnie: kopia - dla mnie, oryginał dla ciebie. Ale jutro.

Jednak jutro wania nie przyszedł. I pojutrze też. W ogóle nie przyszedł. Trzeba było specjalnie go szukać, szukali i znaleźli - w Moskwie, już po puczu, na początku września, w jakimś szpitalu na peryferiach. Był strasznie oparzony - ręce, twarz, gardło - prawa stopa okazała się postrzelona. Koło Białego Domu go widzieli, zauważyli go tam, nie oszczędzał siebie. Dziwny młodzieniec.

- Jesteś dziwnym młodzieńcem - powiedział mu w końcu Stanisław. - Ale podobasz mi się. Ja sam jestem dziwny, zgadzasz się? Dobra, już całkowicie mnie przekonałeś. Idź teraz do Kronida Siergiejewicza... tak tak, już teraz... wyrobi ci dokumenty.

Część 4

Boss, gospodarz, prezydent

Rozdział 1

Skończyli ostatnią naradę i zaczęli jeść kolację. Górne światło wyłączyli, żeby było przytulniej, zostawili tylko lampę stojącą koło stołu i krąg białego światła pod lampą: olśniewający obrus, zakąski, wilgotne butelki toników i snujące się nad tym wszystkim ręce w białych mankietach. Kuźma Iwanowicz chłapał profilaktycznie pół szklanki dzienu (wódki w domu nie było), momentalnie zrobił się spocony i czerwony, i poszedł nałożyć sobie na talerz sałatkę - pierwszą, która się nawinęła. Edik przygładził obiema rękami rude, sztywne włoski, które wcale nie potrzebowały ani przygładzania, ani czesania, i jak krótkowidz zawisł nad zakąskami, wybrednie węsząc, na co sobie pozwolić - był smakoszem i byle czego nie jadł. Kronid, wreszcie odłożywszy notes na bok (ale niedaleko, na stolik, żeby można było momentalnie go schwycić), jadł dokładnie, ale szybko: najadał się, póki go nie potrzebowali. Patrzył na nich i popijał ciepłą wodę mineralną. Miał dziś dzień ścisłej diety. Strasznie chciało mu się jeść - kiszki po prostu skręcało, słonawa, słabo gazowana woda burczała w środku, wypełniając jakieś głodne, zięjące pustki. Był zmęczony. Zawsze był zmęczony, kiedy po długich rozmowach, kalkulacjach, przypuszczeniach, nagłych kłótniach i tak samo nagłych rozejmach w końcu nie podejmowali żadnej decyzji. Cztery męczące godziny - na marne. Szkoda czasu.

- Filmik obejrzymy? - zapytał ospale.

- Można - zgodził się Edik, a Kuźma Iwanowicz z pełnymi ustami tylko pokręcił przecząco pasowymi policzkami. Nigdy się nie zatrzymywał dłużej niż było trzeba, zawsze miał pełno spraw. Zawsze. I wszędzie. Nawet przekąsić został tylko dlatego, że tam, gdzie teraz miał jechać, nie bardzo można było przekąsić. Tym bardziej w nocy.

- Kuźmo Iwanowiczu, niech pan to wszystko oleje, na miłość boską. Naprawdę. Co tam, bez pana się nie obejdą. Kuźnia Iwanowicz tylko sarkastycznie się skrzywił: akurat, obejdą się.

Miał na myśli: oni beze mnie, oczywiście, się obejdą, ale potem będę musiał wszystko zaczynać od początku i przerabiać, żebyś mi głowy nie urwał... Ta odwieczna wymiana replik miała dość rytualny charakter.

- Jest bardzo porządny horror - powiedział Kronid. - Nazywa się Chichotanie stamtąd. I jest nowy film Garanina. Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty trzeci...

- Nie! - krzyknął Edik. - Tylko nie to! Nie Garanin. I bez niego jest ohydnie. Może już lepiej o zmarłych.

- To nie zmarli, to - demony piekła.

- Tym lepiej. Znakomicie! Uwielbiam demony!

- W kinie - dodał od razu Kronid.

- Oczywiście. A gdzieżby indziej.

- Dobrze - zdecydował. - Oglądamy o demonach... - Kronid momentalnie podskoczył, ale zatrzymał go: - Ależ dokąd pan, Kronidzie Siergiejewiczu, naprawdę! Niech pan spokojnie zje. Po co mamy się spieszyć? To tylko Kuźma Iwanowicz zawsze gdzieś się spieszy...

- I dlatego jest taki ładny - dodał Edik. Wszyscy się uśmiechnęli. Razem, dzięki Bogu, z Kuźmą Iwanowiczem (kiedyś w dobrej chwili Kuźma Iwanowicz opowiedział im historię z dzieciństwa, jak jego, małego, z wyłupiastymi oczami, wiejskiego chłopca, ciocia zapytała w obecności gości - oczywiście złośliwie: "Kuzia, Kuzia! A czemuś ty taki ładny?" Odpowiedział obrażony grubym głosem: "Bóg dał!").

Telefon za plecami Kronida cichutko zabrzączał, Kronid - jakby go wiatrem zwiało - od razu znalazł się za swoim biurkiem, w swej klitce, w cieniu abażuru, i coś tam mówił cicho. Niebieskie odbłyski ekranu zatańczyły mu w oczach, i zabłysły białe zęby.

Nagle zauważył, że wstrzymuje oddech w oczekiwaniu czegoś pilnego i niespodziewanego. Nieprzyjemnego. Czekał na

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

szybkie, mimowolne spojrzenie Kronida - z rzadkiego półmroku, podświetlonego światłkami pulpitu i ekranów wideofonów - ale spojrzenia tego nie było. Kronid patrzył na swojego rozmówcę, więc cicho odetchnął. Polityka, pomyślał z przyzwyczajeniem i z ulgą. Nigdy nie jest tak, jak się spodziewasz. I zawsze jest nie tak...

- A pamiętacie - powiedział niespodziewanie dla siebie -

jak mu się zrobiło słabo na stypie Alberta?... Przecież nas kochał. Wszystkich. Wiem to na pewno.

- No dość tego, wystarczy... - warknął Kuźma Iwanowicz, żując sałatkę. - No, kochał... I co z tego. Jeszcze piosenki dobrze śpiewał...

- I kawały opowiadał - dodał Edik z entuzjazmem.

- I był nieustraszony jak diabeł. I dobry... Niepotrzebnie znowu pan to wszystko zaczyna, Stanisławie Zinowiewiczu. Po co o tym teraz mówić? To wróg!

- Był przyjacielem, a został wrogiem... - Nie rozumiał, co właściwie chciał przez to powiedzieć. I po co.

Edik gniewnie rzucił widelcem tak, że zabrzączał na półmisku z mięsem.

- Panie Prezydencie - powiedział z naciskiem. - Jeżeli pan jednak znalazł jakieś konkretne i jasne rozwiązanie, bardzo się cieszę i proszę pana...

- Nie - przyznał z pokorą. - Nie mam konkretnego rozwiązania. Po prostu nie mogę się przyzwyczaić, że wszystko i zawsze w tej cholernej polityce dzieje się nie tak! Nie mogę się do tego przyzwyczaić! - Nie patrząc postawił butelkę pośrodku stołu i wstał. - Nie chcę się przyzwyczajać! O to chodzi. Wy przyzwyczailiście się, młodzi, a ja, stary, nie mogę i nie chcę.

- Co to znaczy: przyzwyczailiśmy się? - Edik wojowniczo wzruszył ramionami. - Po prostu nie dajemy sobie swobody, i to wszystko. Po prostu to, co było kiedyś, teraz jest nieistotne. Teraz on nie jest taki, jaki był, teraz jest zdrajcą i wrogiem, i trzeba tylko zdecydować, co z nim zrobić. A jeżeli zaczniemy wspominać i osłabiać...

- Zgoda - powiedział z całą łagodnością. - Ma pan rację, panie Ediku. Nie będziemy się osłabiać. Przepraszam, zapomniałem się! To dlatego, że nie mogę wymyślić rozwiązania...

- Wyjście zawsze jest... - warknął Kuźma Iwanowicz, wycierając serwetką nie tylko usta, ale też całe swoje szerokie purpurowe oblicze: policzki, łyse czoło, uszy.

- To nie jest wyjście - powiedział ostro. - To poronienie.

- No, to zaczęliśmy już drugą rundę... - mruknął Kuźma Iwanowicz, a Edik poprawił:

- Trzecią.

I wtedy powiedział na głos to, o czym myślał już od kilku dni:

- Jest filatelista.

Obaj wlepili w niego wzrok, nic nie rozumiejąc.

- Zbiera stare koperty - wyjaśnił. - Jest wybitnym znawcą stempli pocztowych z osiemnastego wieku.

- No? - powiedział Kuźma Iwanowicz.

- Dobrze. Wystarczy - opędził się od spojrzeń pełnych oczekiwania, wy dostał się z fotela i przeszedł po pokoju, wsłuchując się, czy nie bołą go kolana. Kolana, odpukać, chyba nie bołały. Moje rozgniecione kolana, pomyślał.

("Proszę mnie posłuchać, Gospodarzu, ile pan waży?" - zapytał z wesołym poirytowaniem Nikolas. "No, dużo..." - "To czego pan chce od swoich kolan? To przecież prawie jednostka chorobowa - rozgniecione kolana". To rozmowa sprzed pięciu lat. Rozmowa lekarza i pacjenta. Nikolas był lekarzem z wykształcenia. Terapeutą, i w dodatku niezłym... A ja byłem wtedy zdrowym człowiekiem w średnim wieku, ale kolana już mnie bołały, jak kurwy. I w ogóle, już wtedy wszystko było tak, jak dzisiaj. I już wtedy było modne wykorzystywanie dwóch porównań: "jak kurwa" albo "jak pies". Wtedy nikt nie nazywał mnie Prezydentem - nazywali tylko Gospodarzem, Bossem, Szefem dużo osób mnie nazywało, Komandorem, nawet - Trenerem... I Nikolas nie był wtedy zdrajcą i odstępca, a tylko - przyjacielem, osobistym

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

lekarzem i kierownikiem grupy rzeczników prasowych).

- A fylatelysta, to co? - Powiedział Kuźma Iwanowicz z kaukasko-tureckim akcentem. - Jak słoń je: ogonem grzebe i wsuwa sobe bezpośrednio do dupy? A głowy ne ma i ne trzeba? - Sam od razu zaczął się śmiać ze smakiem ze swojego kawału i nie przestając się śmiać, naciągał marynarkę. Z kieszeni i posypały się jakieś drobne, zakołysał się dotknięty rękawem l zyrandol. To było niezłe widowisko: Kuźma Iwanowicz naciągający marynarkę. Ogromny (jak słoń) Kuźma Iwanowicz i tytaniczna, pokrywająca cały horyzont marynarka, zawsze żałobnie czarna i lśniaca.

- No dobra - powiedział jak zawsze. - "Nie najedzony, nie głodny, tylko rześki", jak babcia mawiała, Panie świeć nad jej duszą...

(Kuźma Iwanowicz był człowiekiem prostym, wojskowym. Dziesięć lat temu służył jako lotnik: nawigator lotnictwa morskigo, Północna Flota, major czy kapitan trzeciego stopnia, jak państwo wolą. Był dziwny. I miał dziwne poczucie humoru. "Tu nie wolno! - lubił pokrzykiwać w najgroźniejszy sposób. - Tutaj was szybko odzwyczają od wódki i pijaństwa!" "Buty trzeba czyścić wieczorem - to było jego ulubione powiedzenie. - żeby rano wkładać je na świeżą głowę". Był dosłownie pełen tego rodzaju pereł kaprałskiej i bosmańskiej twórczości. "Zaraz wyjaśnię jak należy i ukarzę byle kogo!" Zabawne, że dużo osób jak najpoważniej uważało go za tępego gbura. Mylili się, a kiedy zaczynali rozumieć, że się mylą, było już raczej za późno. Wcale nie był tępym gburem, tylko psychologiem, wnikliwym znawcą ludzkiej duszy. Mówią, że słynny Burcew był takim samym specjalistą od prowokatorów. A Kuźma Iwanowicz po dziesięciominutowej rozmowie z człowiekiem już wiedział, czy to nasz, czy nie bardzo, czy już w ogóle - nie. O Nikolasie od razu mu powiedział - przy czym tylko jemu i nikomu więcej: "Ten u nas nie zabawi. Jest samowystarczalny. Nie jesteśmy mu potrzebni. W ogóle nikt mu nie jest potrzebny." A jednak Nikolas zabawił aż pięć lat. Kuźma Iwanowicz, co prawda, milczał, ale przez cały czas obstawał przy swoim zdaniu i ostatnie wydarzenia wcale go nie zdziwiły ani nie zdumiały, w przeciwieństwie do pozostałych).

- Znam paru filatelistów - powiedział Edik w zadumie. - Moim zdaniem, wszyscy są nienormalni.

Popatrzył na niego z zadowoleniem.

- O tym mówię - oznajmił, bardzo zadowolony, że ziarno rzucone już daje owoce i nie trzeba samemu nic formułować.

- Za starą kopertę żonę oddadzą, ze łzami radości w oczach

- mówił dalej Edik, rozwijając temat.

- Aha... - Podeszedł do ogromnego okna i oparł się czołem o zimą szybę. Za oknem była lodowata, wilgotna, mętnie podświetlona mgła. Nic nie było widać oprócz tej nieruchomej podświetlonej mgły - ani miasta, ani zatoki - i nagle wszystko zaświeciło się czerwonym, a potem zielonym światłem - to reklama na dachu zmieniła tekst.

- Dwa pytania - powiedział Edik. - Czy to jest rzeczywiście prawda? I po drugie: skąd wziąć kupę starych kopert? Bardzo starych: sto, dwieście lat - znowu odwrócił się twarzą do pokoju.

Kuźma Iwanowicz wreszcie skojarzył, że rozmowa jest poważna, przerwał ubieranie się i usiadł na skraju krzesła. Zapytał z niedowierzaniem:

- Chcecie go przekupić kupą starych kopert? Oszałeliście.

A może ja oszałałem?

- Nie przekupić. wykupić się!

- No tak - złośliwie powiedział Edik. - Po co go przekupować, nie jest już potrzebny?

Oto pytanie, pomyślał. Jeszcze jak jest potrzebny... Nagle obraził sobie, że Nikolas siedzi tutaj, teraz, po tamtej stronie stołu - szczupły, kudłaty, wesoły, nigdy nie przygnębiony, nie potrafił być przygnębiony, brzydki, prawie obrzydliwy, podobny najpierw do jaszczura, potem nagle do małpy... trzyma na wysokości ucha

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
nieodzowny kieliszek wódki i niepowstrzymanie mędrkuje o nieuniknioności stworzenia Ministerstwa Próbi Błędów... albo uzasadnia konieczność stworzenia Ministerstwa Próbi Błędów... Ajakby pojechać do niego i przeprosić, pomyślał nagle, czując w piersi zimny ból nagłej decyzji. Już teraz. Nie ubierając się. W kapciach. "Przepraszam za mój jadowity język... Wróc. Nie chciałem... nie chciałem tak bardzo cię zranić". Kłamstwo. Wtedy nie tylko chciał go zranić, ale chciał go zniszczyć... Co w końcu osiągnął: nie ma go. Przynajmniej - tutaj... I nigdy więcej nie będzie.

- Stanisławie Zinowiewiczu - niespodziewanie powiedział Edik obcym i nieprzyjemnym głosem. - Panie Prezydencie. Przecież pan go lubi. Do tej pory. Prawda?
Cofnął się przed prostym spojrzeniem zielonych tęczy oczu i zaczął się dusić, bo nie mógł odpowiedzieć wprost na to pytanie. Ale rozumiał, że trzeba będzie odpowiedzieć i to - teraz.

- Przecież pan zawsze lubił go bardziej niż nas wszystkich razem wziętych - mówił dalej Edik, i w jego głosie był teraz smutek i smutna zazdrość. - Co tam. Przecież tu są sami swoi. Już dziesięć razy rozmawialiśmy o tym między sobą...

- E! E! Za siebie mów! - ryknął ostrzegawczo Kuźma Iwanowicz i niezadowolony Kronid, który, jak się okazało, siedział i trzymał w gotowości nóż i widelec, też surowo popatrzył na Edika.

- Dobra, dobra... Jacyście lojalni - powiedział do nich Edik.

- No, jeśli nie mówiliście, to myśleliście... Przecież myśleliście? Myśleliście, myśleliście! Dlatego nic nam nie wychodzi, po raz trzeci omawiamy problem i po raz trzeci gadamy na próżno. Jak psy... I powiem panu wprost, panie Prezydencie: póki pan go nie wyrzuci z serca... Póki pan go nie wyrwie z korzeniem, z krwią, póki pan, przepraszam, nie przestanie go lubić, nic nam nie wyjdzie...

- Przestań - powiedział cicho Kronid. Powiedział to bardzo cicho, ale w taki sposób, że Edik od razu się zamknął. Jakby go wyłączyli. Przerwał w pół słowa, w pół gestu, w pół spojrzenia - przechylił się przez cały stół, wziął butelkę toniku, zębami zerwał korek i zaczął pić, nie patrząc na nikogo.

Zapanowała cisza. Ta cisza potwierdzała słusność tego, co powiedziano i zawierała w sobie jeszcze mnóstwo nie wypowiedzianych zarzutów, a także mdły smak tej nienaturalnej delikatności, którą zazwyczaj okazuje się zasłużonym, ale nieuleczalnie chorym inwalidom i nieruchawym, ale szanowanym starcom. Słuchał tej ciszy, i wydawało mu się, że poradzić sobie z nią jest znacznie trudniej niż ze swarliwym szkwałem jadowitych zarzutów, ale w końcu poradził sobie.

- W porządku - powiedział, wyciskając z siebie uśmiech i mając nadzieję, że wychodzi mu nie bardzo fałszywy i nie bardzo żałosny. - Mea culpa. Mea maxima culpa. Będziecie mi jednak musieli wybaczyć tę słabość starca. Przecież rzeczywiście was wszystkich kocham. Wszystkich. Sam was wybrałem, sam wyznaczyłem na swoich ulubieńców i wyrzec się każdego z was jest mi diabelnie trudno. Nawet kiedy źle się zachowujecie... I to wszystko! - przerwał. -1 wystarczy o tym na dzisiaj... Tak a propos, czy już jest północ, czy nie?

- Jest - podchwycił od razu (z wyraźną ulgą) Edik. - Nawet piętnaście po.

- Świetnie! Dzień ścisłej diety się skończył. Zaczyna się dzień przeciwny...

- Rozpusta i nikotyna! - ogłosił Edik.

- Ważnie tak. Kronidzie Siergiejewiczu, proszę mi podać tam.4 to mięso, póki go nasz Kuźma Iwanowicz całkiem nie zagarnie, •'?.

Rozdział 2

Około pierwszej w nocy, kiedy już postanowiono iść spać, nagle wpadł minister prasy - bardzo wesoły, uśmiech od ucha do ucha, głośny i elokwentny. I od razu wszyscy zrozumieli: jest dobra" wiadomość. Wreszcie. I wbrew wszystkiemu. Pierwsza w tym dniu.

- No? - zapytali go niemal chórem.

Okazało się, że to tylko szóste wydanie Szczęśliwego chłopca. Upominkowe. Dziesięć tysięcy egzemplarzy. Jaskrawa, czamo-gra-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
natowa lakierowana superokładka. Ilustracje Arakielana. Wstęp Nie-
krasawina. Elegancko. Skromnie. Na najwyższym poziomie.

- Fu-ty nu-ty, trzy krzyże - powiedział, obracając książkę
w rękach Kuźma Iwanowicz, z szacunkiem, ale dość obojętnie.
Był absolutnie daleki od wykwintnych słów i w ogóle od propa-
gandy zmieszanej z agitacją, chociaż zgadzał się, że to dzieło
dodaje do politycznego wizerunku ukochanego Prezydenta jakiś
nieuchwytny, ale istotny odcień.

- Wspa-a-a-niale!... Wspa-a-a-niale! - śpiewał Edik, przekła-
dając kredowe strony z niebieskim brzegiem. Jego błada, piego-
wata twarz błyszczała w natchnieniu: ten tomik to był jego po-
mysł, jego troska, jego nieśmiała redakcja. Czuł się jakby
współautorem, pozostającym w cieniu. Książki działaczy politycz-
nych zawsze mają współautorów, ukrywających się z szacunkiem
i skromnie w cieniu wielkiego monumentu. Edik bezwarunkowo
i radośnie zgodził się na taką rolę.

A Kronid tak samo radośnie, ale zupełnie bezinteresownie,
promieniał, stojąc jak zawsze z boku. I promieniał, pocierając
ogromne białe dłonie, dumny z siebie minister prasy - Dobry Zwia-
stun. Wszystko było świetnie. Wszystko było bardzo dobrze. I przy
tym - wszystko było załatwione. Nakład - już jutro, w czterech
dużych księgarniach Sankt-Petersburga i w trzech w Moskwie. I już
jutro najważniejsze recenzje - "Niewskoje Wriemia", "Peter-
burgskije Wiedomosti", a w stolicy - "Izwiestija", "Obszczaja" i ko-
niecznie! - "Puf prawdy"... A potem już i radio będzie załatwio-
ne, i telewizja, i reldamowo-komercyjne struktury, naturalnie...
Załatwił wszystko. Z nami to tak: jeżeli już załatwione, to - zała-
twione... Tacy już jesteśmy.

Hałasowali, wyrywali sobie z rąk, przekładali strony, rozko-
szowali się widokiem, byli dumni, żartowali, ale z szacunkiem,
kiedy wreszcie, odczuwając w delikatnych i ciepłych falach ogól-
nej euforii lodowate strumienie zmęczonej nudy, zdecydowanie
zabrał im książkę, mówiąc:

- Już. Wystarczy. Idę przyjąć pozycję horyzontalną... I je-
żeli jakieś ścierwo odważy się mnie obudzić przed dziesiątą...
módlcie się!

Niezgrabny chór życzeń dobrej nocy odprowadził go i został
za drzwiami do części mieszkalnej.

Przeszedł przez salę bilardową, ciemną, zimną, pachnącą ty-
toniem, wodą kolońską i jeszcze czymś, chyba kredą. Za szklaną
ścianą z lewej strony i tutaj stała nieprzenikniona mgła, podświe-
tlona na czerwono. W półmroku błyszczały lakierowane po-
wierzchnie, słabo świeciły się kule, ciężkie i nieruchome na suk-
nie stołu.

Minał stół i stojak na kije i już chwycił ciepłą klamkę, kiedy
nagle przeżył szok, nagły i bolesny - drgnął, zdrętwiał, nawet,
chyba oblał go pot: ktoś siedział cicho w najciemniejszym kącie,
w "palami", przy stoliku, gdzie stała popielniczka, otoczona pacz-
kami papierosów i tytoniu - ktoś czarny jak węgiel, ciemniejszy
od mroku, z wystawioną do przodu bródką groźnego cara... Ni-
kolos. Donosili, że bródkę zapuścił... bródeczkę... i stał się od
razu podobny do Iwana Groźnego w wykonaniu aktora Mikołaja
Czerkasowa... I w mroku błyszczały wilgotne, nieruchome oczy.
Nie było tam nikogo. Zawracanie głowy. Ponura gra cieni
i odbłasków. Bóg z nim, nie wolno o nim tak dużo myśleć, nie
jest tego wart. Na miłość boską, nie warto...

Odetchnął, pokonując skurcz, i wszedł do salonu - na świa-
tło, w ciepło, miękkość i ciepło domowe Złotego Salonu.
Tutaj wszystko było białe i złociste, sztywne, trochę, pompa-
tyczne i sztywne... ministerstwo spraw zagranicznych... Nie lubił
tego pokoju. Było to pomieszczenie do dyplomatycznych manew-
rów - zbiorowisko luksusowych mebli, złocistych dekoracji i zga-
szonych lamp, podobnych do wpół zamkniętych w rozpustnej roz-
koszy oczu. Ale - ładne, ładne pomieszczenie, bez zarzutu.
Spiesząc się i nie słysząc własnych kroków na dywanie, mi-
nął Złoty Salon i już był prawie gotów skrócić w amfiladę, gdy
w ostatniej chwili rozmyślił się i poszedł do gabinetu.
Tutaj było ciemno i chłodno, nawet zimno. Słabo migotał

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

gwiazdnym niebem ekranu komputera na biurku, i komputer na dużym stole też pracował - modemy cicho i intensywnie łądowały informacje - megabajty, gigabajty i co tam jeszcze idzie za "gigami" (i wszystko od razu szło do obróbki, której teraz już nie rozumiał, nawet nie próbował: pracowały tam jakieś nieznanne, strasznie skomplikowane programy i zasady) - do otchłani, do niewyobrażalnych wysypisk, magazynów, cmentarzy informacji - i to wszystko mogło okazać się pożyteczne, mogło mu być potrzebne w każdej chwili, i prawie nigdy nie było pożyteczne, i nigdy nie stawało się potrzebne, zostając na wieki w niewidocznych, materialnych sztaplach, kupach, rulonach, warstwach... Sama myśl o posiadaniu tej skarbnicy podniecała. A może - ogłupiała? Albo nie ogłupiała, a po prostu robiła dziecinny? Przecież wszyscy komputerowcy - czy to programiści, hakerzy, czy zwykli użytkownicy - wszyscy są dziećmi: grają. Zawsze. Czymkolwiek się zajmują - grają, bawią się rozkoszną mądrą zabawką. Bawiące się w zapamiętaniu szczęśliwe dzieciaki... Zdecydowanie usiadł przy pulpicie i wywołał program PERS. Na ekranie pojawiło się: "Nazwisko". Napisał: "Krasnogorow" i maszyna od razu wyświetliła nowe pytanie: "Imię", i jeszcze czerwoną siódmką obok. To oznaczało, że Krasnogorow w jej pamięci było już siedmiu i prosiła o sprecyzowanie, który z nich jest potrzebny. Zeszyłem razem Krasnogorowów było pięciu, ale to chyba było dawno?

- Mnożą się, jak dziwki... - zawarczał, pisząc swoje imię. Maszyna odezwała się niespodziewanie i jakoś nawet dziwnie: "Staś" - pojawiło się na ekranie i - "Stanisław".
- Co to jest? - zapytał ją z niezadowoleniem, ale od razu zrozumiał: sam jest winny. Pisząc swoje imię, pomylił się i napisał "Stanisław". - Dobrze, dobrze - zaśpiewał - to znaczy, że jes/cze pojawił się jakiś Staś. Zobaczmy, co to za Staś... - i napisał "Staś". Okazało się, że to jakiś Staś Krasnogorow, prawdziwe nazwisko Kurgaszkin Siergiej Andriejewicz, trzydzieści pięć lat, piosenkarz rockowy, kierownik zespołu "Gospodarz", autor znanego przeboju o tej samej nazwie.

- No, to już sława - mruknął z sarkastycznym uśmiechem.
- Jeżeli twoje nazwisko wykorzystują jako pseudonim... A tymczasem popularność spada... "Skompromitujemy się, przepadniemy" - zacytował jak zwykle i wystukał palcami coś na klawiaturze, na chybił trafił.

Bezsensowne UFŻKAN pojawiło się na ekranie, komputer pomyślał przez sekundę, ale i tutaj nie zawiódł. "Ufżkan - nie ma danych. Wariant: Uważkan Aleksiej Bariejewicz".
Mało go obchodził ten niespodziewany Uważkan, nagle ni z tego, ni z owego przypomniał sobie i napisał: KIKONIN WIKTOR GRIGORIEWICZ -jak on tam, coś dawno się nie widzieli... Tego człowieka maszyna, oczywiście, znała, ale widocznie niezbyt dobrze. Znała porządnego, ponurego i bardzo nudnego członka korespondenta, pracownika dwóch Akademii (Wojskowej Akademii Medycznej i Akademii Rolniczej), dyrektora instytutu genetyki zwierząt hodowlanych, honorowego członka trzech międzynarodowych fundacji i tak dalej, i tak dalej i coś w tym rodzaju na cały ekran. Kogo to interesuje i kto zechce to przeczytać? Gdzie są dane o pasjach i uzdolnieniach? Gdzie intymność? Gdzie zwyczaj, grzechy, potknięcia? Gdzie słabość? Nici z haczykami, za które pociągasz i już masz człowieka? Kuźma Iwanowicz na pewno to wszystko ma. Gdyby tak podejrzeć! Ale przecież nigdy nie da. "Nie, nie, Stanisławie Zinowiewiczu! Niech pan nawet o tym nie myśli! Po co to panu? Przez trzy dni się pan potem nie odmyje... Zresztą nie mam nic. Przecież pan sam zabronił wykorzystywania takich informacji, a jeżeli się ich nie wykorzystuje, to po cholere je trzymać w pamięci? Tylko miejsce zajmują..."

Wszyscy ciągle kłamią. A dokładniej: my wszyscy ciągle i okrutnie kłamiemy. Jedni z krzywym uśmiechem winnego, inni - przewyciężając odruch wymiotny, a jeszcze inni - nie bez dziar-skości, z wyzwaniem i bojową werwą. Ale - wszyscy...

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

wypisze się Mirlina, pomyślał. wypiszę Siomkę i postawię nad nami wszystkimi, żeby nam nie pozwalał kłamać. Ta myśl wzbudziła w nim zapał, ale tylko na moment - zimny głos, jakby ze środka, od razu przypomniał: jest przecież starą dupą, ma teraz ponad siedemdziesiąt lat, opamiętaj się, może nawet już nie żyje... No, no, stary dziwaku, napisz jego imię, napisz: Mirlin Siemion Bat'kowicz... widzisz, nawet imienia ojca nie pamiętasz. .. a może i nigdy nie pamiętałeś... Siemion Bafkowicz: RPA, redaktor takiej a takiej gazety (jakaś gazetka po afrykańsku, nie można zapamiętać, gorzej od każdego imienia ojca)... zmarł wtedy a wtedy, tam a tam... Tego chcesz? Nie. Nie tego. Tylko nie tego, na miłość boską... Cudze sumienie zachciało ci się postawić nad swoim? Własne nie daje rady? Tak, to by było niezłe. Ale obejdiesz się. Wcześniej się obchodziłeś, to i teraz się obejdiesz. I to wszystko. Minutę słabości proponuję uważać za szczęśliwie minioną...

Ale jednak jeszcze pozwolił sobie wpisać Nikolasa. Oczywiście, tutaj było pełno materiału. I haczyk też był, ale prawie całe miejsce zajmowały dokładne streszczenia jego ostatnich przemówień - przed weteranami, przed abstynentami, przed feministkami, przed sztabowcami - z dokładnymi cytatami i szczegółowym wskazaniem na okoliczności towarzyszące: wielkość audytorium, skład wiekowy, jak reagują, na co niereagują... W rozdziale analitycznym podkreślono to, o czym dzisiaj mówił Edik: niespodziewanie duże zainteresowanie obiektu przyjaźnią Stanisława Zinowiewicza z wiktorem Grigoriewiczem. ("Czy Stanisław Zinowiewicz może pokłócić się z wiktorem Grigoriewiczem?" Po co mu to? Co tu ma do rzeczy wikont? Dlaczego nagle pojawił się we wszystkich tych przemówieniach, esejach i toastach? Przypadek? Przypadki się nie zdarzają, zauważył prosty człowiek Kuźnia Iwanowicz, i nikt nie ośmielił się temu zaprzeczyć).

Było tutaj dużo interesującego chłamu, ale samego Nikolasa w całym tym chłame nie było. Nie było brzydkiego, niezgrabnego, tępawego, niezdarnego, fenomenalnego człowieczka bez żadnych widoków na przyszłość, który kiedyś (dlaczego? co go skłoniło? jak to się stało?) nagle wziął się w garść, wstrząsnął sobą jak drżącym psem, i w ciągu kilku lat stworzył z siebie cud...

Nazywał się, nawiasem mówiąc, na początku - Nikita. To on nazywał siebie Nik: naczytał się Hemingwaya - Trzydniowa nie-pogoda. Coś się skończyło, Jakimi nigdy nie będziecie i coś w tym rodzaju - Pięta kolumna i Dwadzieścia osiem opowiadań. Kpiarze w instytucie przerobili Nika w Nikolasa - przyrosło to do niego i zostało na całe życie. Ale tylko to. Cała reszta - zmieniała się. Ale nie po prostu sama się zmieniła, za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, nic bajkowego w tej zmianie nie było, oprócz tego, oczywiście, że coś takiego nie zdarza się normalnym ludziom.

Normalni ludzie są słabi, zwiędnięci i bezwolni. Normalni ludzie cieszą się tym, co im dał Bóg, a jeżeli nic im nie dał, to popijają piwko i prowadzą ciche złośliwe rozmowy o tych, którzy, kurde, potrzebują więcej niż inni. A Nik-Nikolas był nienormalny, to był typowy self-made mań. Tacy w ogóle w przyrodzie nie istnieją, nigdy nie istnieli i już niedługo w ogóle ich nie będzie.

.. .Niezdarny? Demostenes też był, zgodnie z plotkami, niezdarny. Jeżeli chcesz zostać oratorem, trzeba mówić - dużo, głośno, długo. Rok. Dwa. Do mamy, siostrzyczki, do lustra. Codziennie i przez kilka godzin...

Jeśli się chce, w ogóle nie mając słuchu, nauczyć grać na gitarze, trzeba kupić podręcznik dla samouków, gitarę i grać. Długo. Dużo. Rok. Dwa. Codziennie. Siostrzyczce. Koleżankom siostrzyczki. Richiego Blackmoora z ciebie nie będzie, ale pocieszyć społeczeństwo, w razie potrzeby, potrafisz...

Już w szkole nauczyciel wf, po obejrzeniu go z pewnym nawet zdziwieniem, powiedział zmartwiony: "Skakać nie będziesz - giczoły masz za krótkie. I w kosza nie zagrasz... ani w siatkówkę... Może będziesz rzucać granatem?". Refleks miał do kitu. I niezgrabny był jak czajnik. Od urodzenia i na zawsze był zahamowa-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

ny przez samego Pana Boga. Był nie tylko niesportowy, był antysportowy. I wtedy zaczaj grać w ping-ponga. Dużo. Często. Co wieczór. Przy zdławionym śmiechu partnerów i ślicznych dziewczyn na widowni. W instytucie, w korytarzu na trzecim piętrze. Do nieprzytomności. wiecie, jak to wygląda: niezdara, która stara się grać w ping-ponga?... Do obrzydzenia. Ze stratą dla nauki... Pierwszą raketką roku nie został, ale trzecią jednak tak. I po zdaniu egzaminów nagle otrzymał kategorię sportową w biegu na pięć tysięcy metrów. A dziesięć tysięcy przebiegł tak, że o mały włos nie wysłano go na spartakiadę dla studentów, ale odmówił - znudziło go to, przecież już osiągnął swoje: po raz kolejny przewyciężył w sobie niezdarę i dostał to, czego nie dał mu Pan Bóg... I w ogóle nie było czasu. Musiał jeszcze przewyciężyć swoją całkowitą niezdolność do języków, do tańców, do pływania i do malarstwa... I wszystko to przewyciężył - cały swój prawie muzealny zestaw braków, antyzdolności, dziur i nędz, który otrzymał od natury. Przed trzydziestką zostały w nim z natury tylko: koścista twarz, pomarszczona, żyłasta żółwia szyja, ziemisty kolor cery, krzywy gigantyczny nos, szare, zawsze chore zęby i oczka-świderki bez rzęs i bez brwi - tego rozkosznego zestawu nie był w stanie przewyciężyć nawet on.

Po cholere wpadła mu w oko? Co, innych dziewczyn nie było? Ależ całe mnóstwo. Nie, zakochał się, dureń, w dziewczynie Gospodarza. W kochance. W żonie. Może go zachęcała? Nawet jeśli zachęcała. Przecież jest jeszcze młodziutka, głupia jeszcze, jagniątko beczące... ("Co - podoba ci się?" - "Tak". - "Boże, ależ co w nim może ci się podobać?!" - "Jest wesoły..." - "Tak. A ja nudny?" - "Nie. Ty jesteś wielki." O Boże! One jednak nie są ludźmi. One są kobietami). To było nie do zniesienia. To było wstydlive. I coś ohydneho w nim było. Rozpusta. I pokusa jakaś diabelska. I - całkowita beznadziejność.

- .. .Dokąd pędzisz, do kochanki? Przecież jesteś brzydki, maluchu, komu ty jesteś potrzebny... Z ust ci śmierdzi jak ze śmietnika, szyję masz źle umytą. Nie widzisz, że to księżniczka, a ty jesteś Dziadkiem do Orzechów. I niczym więcej. Dziadek do Orzechów ze śmietnika. Wytrzymaj ślinę, kundlu, albo idź na dziwki... Idea była prawidłowa. Odbić chuć raz na zawsze. Młotkiem. Żeby oniemiał i wysechł. Pomęcz się z tydzień, ale dojdzie do siebie. wydobreje. Minie "krótkotrwałe szaleństwo", i wszystko będzie tak, jak dotąd. Nie. Przegiął pałkę. Przegiął i złamał. Zazdrość. Przeklęty potwór z zielonymi oczami...

właściwie, tutaj nie chodziło tylko o zazdrość samą w sobie (starca o młodego, posiadacza o ubogiego) - była jeszcze bolesna obraza za tego wspaniałego brzydala, tak mądrego, tak bezgranicznie silnego, świetnego, przeskakującego po dwa stopnie schodów i nagle upadłego do stanu oszalałego, nieopanowanego psa, zdolnego do wszystkiego dla spotkanej w niewłaściwym momencie goniącej się. suczki... Chciał ostudzić, przywołać do rozsądku, jak syna, a wyszło na to, że obraził i upokorzył jak wroga. Na śmierć. Na zawsze.

- Przepraszam cię, Niku - powiedział w pustkę.

Za późno. Teraz już - za późno. I nie ma na świecie takich słów, które mogłyby tutaj cokolwiek naprawić...

Rozkojarzony wywołał na ekran ostatni tekst i bez żadnego zadowolenia przeczytał:

"Świetnie wiem, po co są potrzebne osoby twórcze - naukowcy, pisarze, architekci, malarze, filozofowie, poeci, kompozytorzy... Są ich tysiące, dziesiątki tysięcy, no setki tysięcy, jeżeli liczyć na całym świecie. I niekoniecznie twórcze, w ogóle utalentowani ludzie. w tym i ślusarze z bożej łaski, z bożej łaski tokarze, garnarze, dentyści, kierowcy, hydraulicy, żmijołapy, kucharze, lekarze - wszyscy, którzy mogą wykonywać swoją pracę dobrze. Tych jest jeszcze więcej, być może nawet miliony. A może dziesiątki milionów.

Ale co mam robić z setkami milionów i miliardami tych, którzy nie dostali od Boga żyłki twórczości, a swój fach znają źle - nie są zdolni i nawet nie chcą robić swojej - albo jakiejś innej pracy dobrze? Co mam z nimi robić? Po co są potrzebni? Jakie

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
 mają prawa? I - czy mają? Co należy się człowiekowi tak po prostu i tylko za to, że jest człowiekiem? Nie żukiem, nie żabą, nie jakimś łosiem, a - człowiekiem? Łosiowi, na przykład, nie należy się nic za to, że jest łosiem. W najlepszym wypadku - można mu nasypać do drewnianego żłobka soli, żeby sobie polizał. A człowiekowi? Chleb, sól, pokój? Szacunek? Za co? Ano, zgodnie ze sprawiedliwością...
 A co to w ogóle jest: sprawiedliwie zbudowany świat? To świat, w którym wszystkim jest dobrze? Jednakże co to za sprawiedliwość: kiedy dobrze jest i pracusiowi, i próżniakowi, i temu, kto dużo daje innym, i temu, kto w ogóle nic nie daje (nie może, nie umie, nie chce), a tylko bierze? Każdemu - według pracy? Ale jeżeli twoja praca - z całym tym potem, wysiłkiem, z krwawymi odciskami - nikomu nie jest potrzebna? (Klasyczny przykład: piekielna praca grafomana albo praca Syzyfa). Mamy nic nie dawać takiemu Syzyfowi? Ale przecież pracował, pracował jak potępiony!..."
 Wszystko to było słuszne, ale nieciekawe. Nic go to dzisiaj nie obchodziło. Jaka, tak naprawdę, może być na świecie sprawiedliwość, jeżeli jedno jedyne słowo, powiedziane w afekcie, spala całe miasto dobrych stosunków... Trzeba iść spać, tak, chociaż jutro wolny dzień...
 Ale przed pójściem spać zapalił lampę na biurku i przez kilka sekund siedział nieruchomo, patrząc na obwolutę swojego szczęśliwego chłopca z własnym zdjęciem na całą stronę. Cieszył się z cudnego złocistego papieru i swojej znaczącej twarzy z gorzkimi brwiami - proroka albo amerykańskiego generała. I myślał: co by takiego dla niej napisać?... Przed chwilą źle o niej myślał - niesprawiedliwie, obrażająco i okrutnie - i teraz czuł się winny. Trzeba czegoś ciepłego. Śmiesznego. Czegoś takiego, czego jeszcze nigdy dla nikogo nie pisał... I żeby się roześmiała...
 Nagle przypomniał napis, który podarował Łarisce na swoim zdjęciu miński taksówkarz. Sto czterdzieści pięć lat temu. W przedostatnim życiu. Kiedy wszyscy jeszcze byli żywi, młodzi i nieznanymi. Wtedy wszystko jeszcze było przed nimi, a za nimi nie było nic... Taksówkarz - dziarski, dopiero co z wojska, z grzywką, z jasnymi oczami czułego łajdaka, Zora, napisał młodziutkiej, umierającej ze śmiechu Łarisce:
 Przy jakimś twym zajęciu
 Wzrok spocznie na mym zdjęciu,
 I może choć przez chwilę
 Pomyślisz o mnie mile.
 To było akurat to. Jak najbardziej to. I koniecznie z zachowaniem szczegółów pisowni.
 Nie doceni, pomyślał z żalnością, pisząc złotym parkerem po rozkosznym papierze. Szkoda zachodu. E-he-he-he-he, a ja tak lubię, kiedy ona chichocze...

Rozdział 3

Leżał na plecach z zamkniętymi oczami i jednym uchem słu-
 chał jej szczebiotu. Były to zwyczajne, miłe bzdury - coś tam o makijażu (połowy słów nie rozumiał), o chuliganie Timofiejju (Timofiej też słuchał tego wszystkiego i od czasu do czasu szcze-
 kał spod łóżka, jakby marudził), o wujku Szurze, który znowu męczył w sprawie działki w Ust-Ługie... Zawsze miała w zapa-
 sie masę niesamowitych szczegółowych wiadomości, wspania-
 łych i do niczego nie zobowiązujących. Potem zapytała:

- Nie słuchasz mnie?
- Jeszcze jak słucham - zaprotestował. - "... A ja mu wtedy powiedziałam otwarcie..." Co mu tam otwarcie powiedziałaś? Że tak powiem, prosto w oczy. Wygarnęłaś prawdę. Po naszymu, po staremu.
- A idź ty.

Nie sprzeciwiał się. Dobrze było leżeć z zamkniętymi oczami pod jej koronkowym szalem, pachnącym delikatnie i słodko, i o niczym nie myśleć, i nic nie widzieć. Zasypiać.

- O czym radziliście tak długo? - zapytała. - Czy nie wolno?
- Czemu? Wolno.
- Wiesz dlaczego pytam: jesteś dzisiaj jakiś wyciśnięty. Jak

cytryna.

- Grejppfrut. Jest o wiele smaczniejszy. Ale stary. Gorzki.
- Nie chcesz opowiadać?
- Nie bardzo. Mam dość. Znowu o Nikolasie.

Mruknęła, popatrzyła na nią przez zmrużone powieki. Z zaniepokojeniem marszczyła swoje malutkie czoło i przez to robiła się wzruszająco brzydka.

- Czego od niego chcecie, cały czas nie mogę zrozumieć?

Czy zdradzał jakieś wasze tajemnice?

- Nie mamy tajemnic. Nie ma co zdradzać.
- No to co? Występuje przeciwko wam?
- Przeciwko mnie.
- Czyżby? To kłamstwo. Przecież cię uwielbia.
- Kiedyś uwielbiał.
- Wszystko jedno. Jest uczciwy. I nie będzie o tobie kłamał.
- I wcale nie kłamie...

Jak jej to wytłumaczyć? W żaden sposób nie mogła zrozumieć, mimo że naprawdę bardzo się starała: czytała wszystkie wycinki z gazet o jego przemówieniach i wszystkie jego artykuły w "Obozriewatiele", oglądała kasety wideo. Zupełnie ją zbijało z tropu to, że nigdy nie kłamał. Mówił prawdę, samą prawdę, chociaż nie całą prawdę. Umiał to robić. Był profesjonalistą, profesjonalistą-samoukiem. "Moje spotkania z Gospodarzem". Zabawne przypadki. Pouczające historie. Notatki do portretu wielkiego człowieka. Wielkiego? Wielkiego - bez żadnych wątpliwości wielkiego... Ale jednocześnie, kiedy występował, powiedzmy, przed alkoholikami, przed Partią, powiedzmy, Miłośników Piwa, opowiadał im, jakim męcząco nudnym i wyniosłym abstynentem jest ten Gospodarz. Z kolei występując przed niepijącymi, z wesołym śmiechem i świetnie odegranym komicznym zmartwieniem - o jedynym znanym mu (i całemu światu) przypadku, kiedy Gospodarz trochę przesadził z dżinem z tonikiem i obraził brytyjskiego attache kulturalnego... (A teraz: "Czy Stanisław Zinowiewicz może pokłócić się z wiktorem Grigoriewiczem? Nie, nie i jeszcze raz nie. Bo są ku temu poważne przyczyny. Na przykład, świętość starej przyjaźni". I dalej - przez dwie minuty o stosunku Gospodarza do przyjaźni... Po co? Co ma na myśli? Robi aluzję do czegoś? Do czego?)

Poczuł jej palce na swojej twarzy.

- Tylko nie zabijaj go - szepnęła mu w same ucho. Ledwo było słycać. Na granicy słyszalności. Nie tyle ją usłyszał, co się domyślił. - Nie trzeba. Zlituj się. Przecież go obraziłeś. To straszna rzecz zazdrość, pomyślał obojętnie. Podła i podstępna. Wszystko widać. Nic nie da się ukryć. I przed nikim.
- Kiciu - powiedział - co ty mówisz? Nawet o tym nie myślałem. Przysięgam.
- Wiem. Ale mówiłeś, że nie musisz i myśleć... że to ci samo wychodzi...

- Kiedy ci to mówiłem?

- No, nie ty. Ktoś z twoich. Podsłuchałam.
- Nie podsłuchuj głupot. Wszyscy oni to głupcy zabobonni. Opowiadają sobie te głupstwa, kiedy zaczynają się bać. "Gospodarz nie popuści. Gospodarz wszystkich wrogów pokona i rozwali..." Nic nie rozumieją.

- A ty rozumiesz?

- Nie. Tutaj nie ma co rozumieć.
- Nie obrażaj go - powiedziała znowu. - Proszę.
- Dobrze. Obiecuję - przymknął oczy. - Ranking, niech go diabli, cały czas spada... - poskarżył się. - Drugi miesiąc z rządu. Nikt nie może zrozumieć, o co chodzi, dlatego męczymy się, nabijamy sobie głowy bzdurami... Skompromitujemy się, przepadniemy. Zobaczysz.

- A ja wiem, skąd to - powiedziała radośnie. - To z Kasztanki.

- Tak jest. Brawo!

- W dzieciństwie myślałam, że mówi: "Skompromitujemy

S się, przepadniemy", a oni śmiali się ze mnie...

Zamilkła, cicho masując mu powieki, i nagle powiedziała:

- To dlatego, że zaczęłaś myśleć o sobie.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

- To znaczy?
 - Popularność spada. Na samym początku myślałeś o nich, i oni to czuli. To od razu można wyczuć. Było ci wszystko jedno, co stanie się z tobą. A teraz... a teraz nie jest wszystko jedno.
 - I to też da się wyczuć?
 - Tak.
- Milczał, zdumiony jej słowami. Potem zapytał:
- I co mam z tym zrobić?
 - Nie wiem. Chociaż każdy normalny człowiek powinien o sobie myśleć. Po prostu musi. Jak bez tego?... Nie wiem, co tu zrobić. Co tam u niej pracuje, za witrażami tych cudownych wielobarwnych landrynkowych oczu? Intuicja? Czy mądrość?... Skąd ma mądrość? Może ma nie osiemnaście lat, a całe dwadzieścia osiem. Ktoś zgrabnie ją pode mnie podłożył, a dokładniej: zgrabnie podłożył ją mnie - jak bombę z opóźnionym zapłonem, nabrał wszystkich: i mnie i Nikolasa, i Kuźnię naszego Iwanycza? Ej, ej, krzyknął na siebie. Coś ty? Zgłupiałeś? Przecież to twoja Dina. Ostatnia miłość. Wierność. Czułość. Szczęście... Opamiętaj się. Weź swój okropny jęzor... Zresztą, co ma do rzeczy jęzor? Akurat język zna swoje miejsce i leży cichutko... Tuptaj, bracie, nie język, tu w głowie coś się popsło... I nawet nie w głowie, a w duszy, w duszyczce twojej, obciążonej trupem... Czuję, że zasypia. I nie chciało się wstać i przejść do swojej sypialni. I nie chciało się poważnie, z pasją i bezlitośnie zająć tą zgnilizną, która ostatnio pojawiła się w środku i zaczęła pomału wyjadać wszystko, co jeszcze ocalało z przeszłości: mądrość, honor, sumienie... naszej radzieckiej epoki... przemian i zwycięstw, zawsze w j edności z narodem... Zasnął.
- Obudził się (czy oprzytomniał?), jakby od nagłego krzyku. Serce łomotało i skręcało się jak wisielec. Ale było zupełnie cicho, z początku nic nie słyszał, a potem domyślił się, że to interkom w sąsiednim pokoju, w jego sypialni. Żadnych gwałtownych ruchów, przypomniał sobie. Powoli. Płynnie. Na trzy razy... Ostrożnie wyzwolił się z szala i usiadł spokojnie. Dina cichutko sapała u jego boku, przykrywając oczy lakierowaną szponiastą łapką, jak kot. Cicho mrugał ekran telewizora. I znowu zabrzączał interkom - uprzejmy, ale uparty i nieustępliwy, jak sam Kronid.
- Tak - powiedział, naciskając na klawisz. W jego sypialni było zimno i od razu, nawet na puszystym dywanie, zmarzły mu nogi.
 - Przepraszam, panie Prezydencie - odezwał się cichy głos Kronida. - To generał Mamycz. Pilnie. Nalega.
- Tak. Znowu coś z Wikontem... Boże, ale dlaczego "coś"? Wiadomo, co może być z Wikontem. Przecież nie zaproszenie na urodziny. Na zegarze trzecia trzydzieści.
- Dawajcie go.
- Na małym ekranie pojawiła się młoda twarz o wystających kościach policzkowych i skośne, azjatyckie oczy. Nie wiadomo dlaczego był w mundurze i w czapce z daszkiem. Czy to dla powagi? Co za osioł.
- Stanisławie Zinowiewczu, mamy kolejny atak.
 - Jasne. Silny?
 - Bardzo silny. Jak przedostatniej zimy albo jeszcze gorzej. W żaden sposób nie możemy ustabilizować migotania...
 - Dobrze. Będę gotów za piętnaście minut. Wysyłajcie samochód.
 - Już wysłaliśmy. Śmigłowiec.
 - Co?
 - Śmigłowiec - powtórzył generał Mamycz. - Będzie u pana za trzydzieści, trzydzieści pięć minut...
 - Co u licha! Gdzie jesteście?
 - Jesteśmy na odcinku bazowym. To niedaleko. Czterdzieści minut lotu.
- Dina była już przy nim - przyniosła skarpetki, spodnie, buty. Zaczął się ubierać. Irytował się coraz bardziej i w końcu wybuchł:
- Niech was wszystkich diabli! - ryknął jak na wiecu. - Co

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

wy wszyscy jesteście warczi z waszymi kroplówkami! Ani kroku bez znachorstwa!... Znaleźli sobie uzdrowiciela! Parapsychologa!... Rzygać się chce od waszej medycyny. Darmozjady, niech was wszystkich diabli!

Generał milczał, pokornie i z oddaniem pożerając go wzrokiem. Wszystko było jak zawsze, kiedy atak zdarzał się w niewłaściwym momencie. Zawsze zdarzał się w niewłaściwym momencie. Dlatego jest atakiem.

Jedną nogą w spodniach, wkurzając się coraz bardziej, wyłączył w cholere tego idiotę w medycznych naramiennikach i krzyknął do Kronida:

- Słyszeliście? Przygotować lądowanie!

- Tak jest...

- Polecę sam. Wszystkie jutrzejsze spotkania odwołać... -

Zobaczył dziwny wyraz twarzy Kronida i zapytał: - Co się stało? Co tam jeszcze?

- Nic - pospiesznie odpowiedział Kronid, doprowadzając twarz do porządku. - Nic istotnego.

Było oczywiste, że kręci, że coś jeszcze paskudnego się zdarzyło - przyłapali kogoś na łapówce (w Lipieckim oddziale), albo kolejny paszkwil się zdarzył, albo ktoś zdradził, paskuda złodziejska... do diabła, do diabła, psiakrew... albo - znowu jakąś ohydę puścili o Dinarze... Nie chcę się teraz tym zajmować, jutro, jutro, pojutrze.

Ze złością wciągał koszulę, kamizelkę, nie patrząc, zapuszczał nogi w buty, Dinara w pośpiechu zapinała mu spinki na mankietach, serce łomotało tak, że w skroniach dudniło, i głowa była mętna, zła, i jak zawsze w takich niedobrych chwilach odkrył, że gorzej widzi.

Zaczął się bać.

Bardzo nie chciał się do tego przyznawać przed samym sobą, bezlitośnie tłumił w sobie ohydne wizje, ale bał się poważnie, co nie zdarzyło się od tego pierwszego ataku wikonta (który był jeszcze przed naszą erą)... Jakie tam znowu migotania? Co za migotania? Dlaczego? Nie było wcześniej żadnych migotań... Zasznurował buty, ciężko oddychając, wyprostował się, przymykając powieki, żeby pozbyć się przeklętych gwiazdek i błysków przed oczami, i wyciągnął ręce do tyłu, w rękawy kurtki, którą trzymała w pogotowiu Dinara.

- Dziękuję, kiciu - mruknął do niej, starając się zmiękczyć głos, cały czas był na skraju wybuchu, albo żeby wydać rozkazy, albo z histerii. - Nie zwracaj na mnie uwagi. Ja... tego... trochę się martwięj tak naprawdę...

- Nie martw się - powiedziała spokojnie i nawet władczo. - Wszystko dobrze się skończy, zobaczysz.

I znowu pomyślał mimochodem: czy ta spokojna władcza kobieta ma naprawdę osiemnaście lat? Przecież nie widać... Od razu odrzucił tę myśl, ale wiedział, że teraz już nigdy nie będzie mógł porzucić jej na zawsze.

- Nie czekaj na mnie jutro z kolacją, nie zdążę - powiedział.

- To znaczy, może zdążę, ale lepiej nie czekaj. Nie wiadomo, jak tam się wszystko potoczy... chociaż, zadzwonię do ciebie, gdy tylko będę wolny.

- Oczywiście. I nie martw się tak bardzo. Przecież mówię ci: wszystko będzie dobrze.

Schylił się i pocałował ją w ładną brew. Rzeczywiście, pomyślał, uspokajając się nagle. Co mi się stało? Oczywiście, że wszystko będzie dobrze. Zawsze było i dzisiaj też będzie. Przecież jestem profesjonalistą! Jedynym na świecie.

- Profesjonalista! - powiedział do niej znacząco.

- Tak. Jedyny na świecie.

- Właśnie. No, idę. Kładź się spać.

- A miłość? - zapytała władczo.

- Nigdy nie umrze! - odraportował. I cmoknął ją w drugą ładną brew.

Rozdział 4

W sztabie było pełno ludzi, przy czym połowy nie znał. Sie-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

dzający - od razu wstali z miejsc i stanęli na baczność. Sto-
jący tyłem szybko się odwrócili i przyjęli pozycję pełną szacun-
ku. Wszyscy przyjęli pozycję pełną szacunku, nawet chamski Ar-
tiom, który jako komandor zewnętrznej ochrony jedyny tutaj;
pozwalał sobie palić, zbierając popiół w dłoni.

Zrobił do nich wszystkich i do nikogo z osobną gest powita-
nia i od razu podszedł do swojego fotela pod lampą stojącą.

- Tak - powiedział, siadając. - Dziękuję za uwagę. Człon-
ków sztabu proszę o pozostanie, reszta na swoje miejsca... Co
się tutaj u nas dzieje? - zapytał Kronida. - Zamach stanu? Bunt?
Trzęsienie ziemi? Noc za oknem... Co to za zgromadzenie?

Nocne zgromadzenia w sztabie były rzeczą dość zwyczajną
i nie trzeba było do tego buntów ani tym bardziej trzęsień ziemi.

Nocna zmiana bardzo często spotykała się, póki nie było go na
miejscu - pogadać, kawy się napić, wymienić się informacjami.
Ale dzisiaj odczuwało się coś niezwykłego w powietrzu, mętną
aurę jakiegoś wydarzenia, szybko zanikające echo jakichś ner-
wowych dyskusji... I nie było jasne, dlaczego Kuźma Iwanowicz
cały czas (albo znowu) jest tutaj, i Edik, jak się okazało, jeszcze
nie śpi (albo nie wiadomo dlaczego obudzili go i wstał), no i Kro-
nid nie ma tutaj, w sztabie, nic do roboty o czwartej rano. Mię-
dzy innymi.

Mrużąc oczy obserwował, jak szybko i prawie bezszelestnie
opróżnia się pomieszczenie, łowił skierowane na niego spojrze-
nia, szybkie i irytująco niewyraźne, i zauważał nieszczerłość Kro-
nida, który nie odpowiedział na żadne pytanie Gospodarza, tylko
zaczął z przesadną powagą nalewać mu gorącej kawy do osobi-
stej filiżanki, i dziwne, chyba nie na miejscu, zadowolenie na
błędnej twarzy Edika ze sztywnym półuśmiechem, i skupione sa-
panie Kuźmy Iwanowicza, który nagle zaczął przeglądać paczkę
jakichś legitymacji, którą wyciągnął z kieszeni marynarki i roz-
łożył na obrusie...

Oprócz nich w pokoju zostali tylko Artiom (który jednak z po-
wodu obecności kierownictwa zgasił swojego śmierzącego pa-
pierosa) i ogromny byk Szalima, kierownik transportu w ogóle
i portu śmigłowcowego w szczególności (wielkie ramiona, szy-
ja, miarowo żujące szczęki i senne oczy z jasnymi rzęsami).
Łyknął kawy, kiwnął z wdzięcznością Kronidowi i zapytał
Szalimę:

- Czy już czas, żebym wstawał? Kiedy ma być kołowrót?

- Wychodzą na łączność o trzeciej trzydzieści dziewięć -
donośił Szalima ochrypłym, ale jednocześnie niespodziewanie
wysokim głosem. - Ma być dokładnie o czwartej. Plus, minus.

- Dobra, powiedziano. - W takim razie można spokojnie kawki
się napić... - Kronidzie Siergiejewiczu, proszę mi przypomnieć,
zapomniałem: czy miałem jakieś zaplanowane spotkania?...

- Tylko wieczorem. Zrobiliśmy dzień wolny. A o dziewięt-
nastej klub Rotary.

- Aha. Dziękuję. Przypomniałem sobie. Szkoda, ale trzeba
będzie raczej przeprosić.

- Tak jest - powiedział Kronid i Stanisław znowu poczuł na
sobie jego tajemnicze spojrzenie, bystre i niejasne.

- Panie Szalima - powiedział, uśmiechając się jak najprzy-
jaźniej (nie podobał mu się Szalima - był zbyt rzeński i zadowolo-
ny z siebie, prawdziwy facet: pije wszystko, co się pali i pierdoli
wszystko, co się rusza). - Chce pan kawki? Nie? Bo proszę. Go-
rąca... Nie? No dobrze, dziękuję. Będę czekał na pana raporty.
Chciałbym mniej więcej pięć minut przed lądowaniem już wie-
dzieć... Dziękuję.

Odprowadził wzrokiem olbrzymie plecy, pokryte czarną
błyszczącą skórzaną kurtką, i odwrócił się do Artioma.

- Kawki nie chcę - oznajmił tamten szybko i po chamsku. -

wyniosę się stąd natychmiast, ale najpierw proszę o pozwolenie
towarzyszenia panu do bazy.

- Do jakiej znowu bazy?

- Do wojskowej - powiedział Artiom. - Tak zrozumiałem, pa-
nie Prezydencie, że teraz wylatuje pan do wojskowej bazy pod Kra-
sną Wiszerką. Proszę o pozwolenie, by panu towarzyszyć.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

- Gdzie jest ta Wiszerka?
- Krasną a Wiszerką - rażno i poważnie poprawił go Artiom.
- Ze sto sześćdziesiąt kilometrów stąd... Mają tam, o ile zrozumiałem, bazę...

Od razu znalazła się mapa z podziałką dwukilometrową, rozłożono ją przed nim nad filiżankami z kawą i talerzykami z ciastkami. Znalazł Krasną Wiszerkę i od razu upewnił się, że tak, chyba ze sto sześćdziesiąt, siedemdziesiąt kilometrów, ale żadnej bazy, oczywiście, na mapie nie ma, są bagna (bagno Łuszyno, na przykład, również Dubrowski Mech, Łabędzi Mech i nawet - Podwirczy Mech) i lasy, można się domyślić, że niezbyt gościnne w tych miejscach.

Zaczął wypytywać o bazę, ale nikt niczego konkretnego nie wiedział; wszyscy albo domyślali się, albo podejrzewali, albo tak zrozumieli z rozmów z tamtą stroną.

- No, dobrze - powiedział wreszcie, zwracając mapę Artiomowi. - To nie istotne. Sam wszystko zobaczę. Swoją drogą, ciekawe, co tam może być za baza? Medyków? Weterynarzy?

Ale nie musi mi pan towarzyszyć, Artiomie, dziękuję. Na miłość boską, jeżeli wysłali już Śmigłowiec, to znaczy, że wystarczy mi towarzyszących, na pewno. Generał Małnycz to poważny facet, mimo że ze służby medycznej. Znam go od dawna... I koniec! - powiedział Artiomowi, który chyba miał zamiar dalej męczyć go na ten temat. - Koniec. Nie lubią tego.

Świetnie wiedzieli, czego nie lubi, ale zawsze im się to strasznie nie podobało i dlatego wśród nich zdarzały się dyskusje i nawet kłótnie. Teraz też patrzyli jednocześnie z wyrzutem i niezadowolaniem. Ale obejdą się. Nie ma co.

Obejrzał ich wszystkich po kolei, jakby oceniając dodatkowo, a potem powiedział spokojnie:

- Tak. A teraz szybko i bez kłamstw. Co jeszcze się stało?

Co wszyscy przede mną ukrywacie?

Chwila - i wszyscy znowu zrobili się inni. Teraz wszyscy czuli się niezręcznie i w tym stanie niezręczności-wstydlivosti bardzo się różnili. Tutaj każdy już był samym sobą.

- Nikolas... - powiedział wreszcie, tak samo nie patrząc mu w oczy, Kuźma Iwanowicz. Najwyraźniej postanowił (i absolutnie słusznie), że ze względu na stanowisko, powinien mówić właśnie on. Ale od razu zamilkł.

- Tak, Nikolas. Bardzo dobrze. Co z Nikolosem? Co wy się tak wstydzicie? Co on tam znowu narobił, ten zdrajca? Ten bandyta... No?

Jednak Kuźma Iwanowicz nie przyjął tego tonu. Znowu zaczął postękiwać, prawie żałośnie, i zrobił nieszczęsną minę, jakby nagle rozboleł go ząb.

I wtedy zrozumiał.

- Nieprawda - powiedział, walcząc z nagłą dusznością.

- Prawda, Stanisławie Zinowiewiczu.

Dziwne, ale nie odczuł tego. Jakaś pustka i zimno zapanały w nim w środku. Ale chyba czekałem na to, pomyślał jak o czymś obojętnym. A może nawet tego chciałem? Nikczemość... Nikczemość!

- Kiedy? - zapytał z wysiłkiem. To wszystko teraz już było nieważne. Nieistotne. Szczegóły.

- Dzisiaj. Raczej wczoraj. O dziesiątej wieczorem.

- Jak to się stało?

- Wylew krwi do mózgu.

- Co?!

- Wylew krwi do mózgu.

- Bzdura! - powiedział. - Skąd macie takie dane?

Kuźma Iwanowicz coś tam odpowiedział - coś takiego, że dane są zupełnie pewne, ale już go nie słuchał.

"...Tylko nie zabijaj go... Proszę... Przecież go obraziłeś. Zlituj się..."

Oto w jaki sposób wszyscy na mnie patrzą, pomyślał. A ja wyobraziłem sobie, że patrzą (podpatrują po cichu, ze smutkiem w oczach, prawie pochlipują) ze współczuciem, z żalnością, z przygnębieniem i ubolewaniem. Nic podobnego. Oni wszyscy na mnie

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

patrzyli z zachwytem - z niespokojnym zachwytem, dumni i prze-
razeni, nieśmiało i radośnie, z chciwą przestraszoną ciekawością,
z podziwem i ulgą - dlatego z ulgą, że wszystko, dzięki Bogu,
już się skończyło i teraz jest już po wszystkim... Tak chyba prze-
stępcy po cichu patrzą na swojego herszta, który przed chwilą
zarznął kolejnego rywala...

Spokojnie. Trzeba spokojniej, powiedział do siebie. Mają ra-
cję: już po wszystkim. Nie ma człowieka - nie ma problemu (tak
na pewno myśli Edik, to jest wypisane na jego twarzy). Zrobiło się
jakoś samo, i - dobrze (kuźma Iwanowicz). Powinien wiedzieć,
na co idzie (Kronid - ten nie wybacza zdrad, po prostu ich nie
rozumie). No, stary! Ależ dał czadu! (Ogólna opinia). I - wspólny
oddech ulgi (co, tak d propon, stanowczo udowadnia mi: nie doce-
niałem Nikołasa. I niesłusznie. Okazuje się, że wzbudzał najpo-
ważniejsze obawy, jeżeli to wszystko tak traktują, jeżeli tego wy-
darzenia nie uważają za strzelanie z armaty do wróbla).

"...Tylko nie zabijaj go... Proszę... Przecież go obraziłeś.
Zlituj się...", muszę jej o tym powiedzieć. Nie, nie, ale nie teraz,
potem... I lepiej - nie ja.

.. Wszystko się skończyło. Wszystko zawsze się kończy, trze-
ba tylko wytrzymać. w polityce jak w nauce: zwycięża nie ten, kto
ma rację, a ten, kto dłużej żyje. Gdzie wy wszyscy jesteście, po-
trząsacze dusz, przywódcy i oratorzy, dowódcy i krzykacze? A ja
- jestem tutaj, wysoki i zgrabny... Cynizmu, cynizmu więcej -
dobrze robi na wątrobę... Proszę, jak wszyscy na mnie patrzą, psy!
Już poradziłem. Teraz najważniejsze - prawidłowy ton.

- Kronidzie Siergiejewiczu - powiedział i mimochodem ucie-
szył się, że jego głos brzmi tak, jak zawsze... jak głos wydający
rozkazy. - Poproszę pana o następujące sprawy. Wdowie emery-
turę. Ze specfunduszu...

- Rozwiódł się - powiedział Kronid cicho. - Ale zostały dzieci.

- To znaczy, rentę dzieciom... Będzie pan musiał być na
pogrzebie, wszyscy pana znają. wieniec. Mowa. I tak dalej, sam
pan wie.

- Zrozumiałem. Będę.

- Dalej. w gazetach dobry artykuł: "Opuszczył nas jeden z naj-
sławniejszych założycieli Ruchu Uczciwych"...

- Oczywiście - powiedział Kronid.

- Ja napiszę, panie Prezydencie - powiedział Edik z zado-
woleniem, którego już nie ukrywał.

- Dobrze. Dziękuję Ediku. Dalej... Co jeszcze? Niczego nie
przegapiłem?

- Niech pan się nie martwi, panie Prezydencie - powiedział
kuźnia Iwanycz. - My sami wszystko zrobimy. Tak jak trzeba.
Nie zawiedziemy.

- Czujecie ulgę? - Nie trzeba było tego mówić, ale powie-
dział.

- Hm... A co? Czujemy... Baba z wozu, koniom lżej. Sły-
szał pan taką mądrość ludową?

Widać było, że kuźma Iwanowicz naprawdę się rozgniewał.

Spokojnie, znowu powiedział do siebie. Nie kłóć się z nimi. Nie
zmienisz ich. I nikogo nie zmienisz. Niczego i nikogo nie można
zmienić...

- Panie Prezydencie - powiedział Edik pojednawczo. - Wszy-
scy panu współczujemy. Ale również rozumiemy, że nie można
było inaczej. wiem, że pan nie lubi rozmawiać na ten temat...

- Na jaki taki temat nie lubię rozmawiać?

- N-no, proszę, panie Prezydencie. Nie trzeba. Tego proble-
mu po prostu nie można było inaczej rozwiązać. A ten wariant,
na litość boską, nie jest najgorszy. Kronid słusznie powiedział:
powinien wiedzieć, na co idzie.

- Na co? Na co "idzie"?

Edik z obrażoną miną zacisnął usta i zamilkł. Najśmieszniejsze
było to, że przecież rzeczywiście chciał, że tak powiem, pomóc...
wyrzucić współczucie w taki sposób... poprzeć... usprawiedliwić...

- Baby - powiedział do nich, nie chcąc już dłużej się po-
wstrzymywać. - Ile razy mam to tłumaczyć? Za kogo mnie uwa-
żacie, chłopaki moje? Za potwora?

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

- Panie Prezydencie!... - krzyknął zaniepokojony i cały bładny Edik.

! 'ii

- A, do diabła z wami wszystkimi! Mam już tego w końcu dość. I Nie rozumiecie, że to jest poniżające? Za każdym razem patrzycie' na mnie, jak dzieci na złego czarownika, jak banda przestępców na swojego herszta... I przestańcie mówić do mnie Prezydencie! -" krzyknął. - Co to za maniera? Nie jestem na razie żadnym prezyden-tem! I nigdy nim nie zostanę, jeżeli będę miał zespół składający się z przesądnych, zabobonnych bab! wstyd! wierzycie tanim bajkom, plotkom... i sami te plotki płodzicie. Myślicie, że tak będzie lepiej? Nie będzie. Prawda jest jak gwóźdź, z każdego worka sterczy... Zamilkł. To było bez sensu. Już pora, żeby zrozumiał, że ta^ kie mowy są zupełnie bez sensu. Wierzą tak zwanym faktom^ a nie jemu. Są przekonani, że od niego nic nie zależy, że po pro- stu taki jest - i to dobrze. Im to się podoba. To ich zadowala i wzmacnia ich wiarę. Bo to - dla dobra sprawy. A wszystko, co jest dla dobra sprawy - jest dobre. "Taki jest nasz świat - od pępowiny rozdzielony na dwie części" - na "dobrze dla sprawy" i "źle dla sprawy", na nasze i nie nasze, na korzyść i na szkodę. Środka nie ma. I nie trzeba. Po co komplikować rzeczy i bez tego dość już skomplikowane?

.. .Czemu, właściwie, to mnie tak wkurza? Czemu nie zaak- ceptować sytuacji taką, jaka jest? Przecież z pewnego punktu wi- dzenia, całkiem naturalnego, mają absolutną rację. Kim dla nich jestem? Nie wyróżniam się ani jakąś specjalną mądrością, ani wiedzą, na ludziach znam się tak sobie, często się mylę, progno- zista ze mnie słaby, intuicji żadnej, sytuację polityczną czuję go- rzej od wielu innych... Po prostu jestem pierwszym w historii politykiem, który wybiera swój zespół na zasadzie uczciwości i bezinteresowności. I który zawsze jest uczciwy w stosunku do elektoratu - nawet na swoją szkodę, bo wyborcom trzeba kła- mać, wyborca woli, kiedy go się okłamuje - prawda jest zimna, nieprzyjazna, do bólu beznadziejna. Tylko kłamstwo grzeje nas na tym lodowatym świecie... A ja nie kłamię. I tym swoim chło- pakom o wyłupiastych oczach kłamać zabronię...

"...Dzień dobry, jestem Uczciwy Staś. Jestem gotów sprze- dać tę swoją uczciwość za jedyną walutę na świecie, za którą można ją kupić - za wasze zaufanie..."

Uczciwość w polityce - to coś w rodzaju homoseksualnej mi- łości, coś nieprawdziwego, a w każdym razie - nienaturalnego. "Uczciwy polityk" to jawny oksymoron. Jeżeli uczciwy, to nie polityk. Jeżeli polityk, to jaka tu może być uczciwość. A jeżeli jed- nak uczciwość, to już - nie ta. Innego charakteru. Z innych, wi- docznie, molekuł. Nieprawdziwa. Chociaż: "uczciwy złodziej" - to całkiem utrwalone pojęcie. "Uczciwy złodziej", "uczciwy fra- jer"... Inny świat. Też realny. Nie o słowa chodzi... Uczciwość - to tylko umiejętność dokonywania szlachetnych, to znaczy bez- sensownych, czynów...

.. .Uczciwy polityk w realnym świecie po prostu jest nie do pomyślenia, zazwyczaj go utracają, i to bardzo szybko, ale mnie chroni mój Los: wszystkim wiadomo, że każdy, kto stanie na mo- jej drodze, będzie zniszczony. Moja droga to droga Losu, i sam Los oczyszcza mi drogę. Ta wspólna narodowa wiedza pochodzi z niepamiętnych czasów początku pierestrojki, i teraz już nie da się ustalić, kto pierwszy puścił plotkę i stworzył legendę... być może ja sam. Bardzo możliwe... Czasy byty gorące, a ja sam wte- dy w to wierzyłem... albo chciałem wierzyć... ale przecież oni rzeczywiście umierają! Oni wszyscy. Ktorzy śmieli. Albo nie wie- dzieli. Albo wiedzieli, tylko nie uwierzyli. Albo zaryzykowali... Wszyscy są pokonani i leżą. Jedni w grobach, inni w szpitalach. Listy już dawno są sporządzone (i przez przyjaciół, i przez wro- gów), dawno są opublikowane i dyskutowane trzydzieści trzy razy, obliczone na prawdopodobieństwo, obalone albo podniesione do stopnia Nowego Mitu...

Wszyscy milczeli. Każdy zajęty swoimi myślami, a może wszyscy myśleli o tym samym. W tym momencie drzwi się otwo- rzyły i na progu pojawił się Szalima. Z jego krzywej twarzy było

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
widać, że sprawy poszły nie tak.
- Kołowrót jednak wałnął - powiedział ochryple i przełknął.
- Wygląda na to, że ich postrzelili. Rakietą. I nie ma łączności.

Rozdział 5

Generał Małnycz okazał się nie takim znowu poważnym facetem. Panikował i nawet nie próbował tego ukryć ani przyozdobić. Mówił teraz wyłącznie podniesionym głosem, czasami nawet przechodzącym w krzyk. Jego twarz zrobiła się mokra i niešťczęśliwa, kołnierzyk był rozpięty, gesty - niezgrabne i żałosne. Mało było z niego pożytku.

Ma drugi śmigłowiec w gospodarstwie, ale jest w remoncie i będzie gotów, być może, do czwartku.

Samochody petersburskiego pułku - to same ciężarówki-furl gonetki, albo BTR-y, albo w najlepszym przypadku - BMP*, 1 1 co najważniejsze - nie ma łączności. Wygląda na to, że" dyżurni znowu się upili, i teraz już nie doczekasz się na porządek w zwykły sposób.

:

Zaryzykować i przeczekać (z wiktorem Grigoriewiczem a nuż jakoś samo się ułoży) -niemożliwe. Nawet pomyśleć o tym strach, a co dopiero mówić (tak powiedział, a raczej -wykrzyczał gwałtownie i wytrzeszczając skośne oczy).

- Dzwońcie po Iwana z samochodem - powiedział do Kronida po wysłuchaniu całej tej historii. - Pojadę "samochodem pancernym". I szukajcie śmigłowca.

Nagle poczuł się młody i pełen energii. Jakby nie miał sześćdziesięciu lat. Jak w sierpniu dziewięćdziesiątego pierwszego. Na trybunę - to na trybunę. Na barykadę - na miłość boską, można i na barykadę, z przyjemnością. I w jego sztabie wszyscy zabrali się roboty. Potrzebna była łączność. Potrzebna była informacja. Trzeba postarać się o śmigłowiec - czyżby w ogromnym mieście, gdzie znajdują się filie wszystkich bez wyjątku rosyjskich struktur gospodarczych i gdzie w okolicach tyle jest oddziałów wojskowych, nie można było znaleźć śmigłowca dla wpływowej osoby?

Wszyscy usiedli do przenośnych radiostacji i telefonów, a on, jakby znajdował się na placu, ryknął na generała, przywrócił go do stanu bezwzględnego posłuszeństwa i zmusił, by wziął mapę. Za minutę wyjaśniło się, że dotrzeć do bazy ("do obiektu") jest bardzo prosto: sto sześćdziesiąt kilometrów luksusową szybką autostradą, i potem dwanaście kilometrów w bok po drodze betonowej, starej, ale niedawno porządnie wyremontowanej, no i jeszcze (na początku) dziesięć kilometrów po samym Petersburgu (trzeba przyznać, że to najwolniejszy odcinek, ale już na to nic nie poradzisz). Na autostradzie miejscami jest mgła i gołobMP - Bojewaja Maszyna Piechoty (Transporter).

ledź, ale to nic strasznego. W Petersburgu - mgła, bardzo gęsta, ale za to prawie nie ma ruchu, same patrole krążą po ulicach.

...Drobiazgi. Za dwie godziny można być na miejscu. Wytrzymacie przez dwie godziny? Ależ nie, generale, jednak musicie wytrzymać, inaczej nikt nie da za was złamanego grosza. Tak, pilota możecie wysłać do skrętu na autostradę, to nie zaszkodzi, słusznie. Co? Kto tam u was "rozrabia"? "wakulińcy"? Co to za warzywa? Aha, farmerzy. Ależ nie, kochany, to już wy bądźcie łaskawi zapewnić mi - bezpieczeństwo przede wszystkim. Pan uważa, że to właśnie oni zestrzelili wasz śmigłowiec? Ale wy tam macie porządki na prowincji... Dobrze, wezmę ochronę. Dziękuję, generale, nawzajem. Proszę działać. Łączyć się z wami będę przez sputnik, kod ten sam, prawda? No, to do widzenia, wyjeżdżam za pięć minut... Samochodem - na pewno, a być może śmigłowcem.

Jednak wszystko okazało się znacznie trudniejsze.

Nie znalazł się dla niego żaden śmigłowiec. Dowódca okręgu, oczywiście, odpoczywał i nikt nie miał zamiaru budzić go dla takiego drobiazgu, a bez jego pozwolenia dać śmigłowca nawet samemu Gospodarzowi armia nie mogła (tak naprawdę, tra-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

fił się niedobry dyżurny, generał Sukowałow, jadownicie uprzejmy cham, z tych najprawdziwszych krwawych górien, podły jak pies i pamiętliwy jak dziwka, ale z autorytetem, i nikt z młodych oficerów nie chciał się z nim kłócić). Struktury gospodarcze - zawiodły. Jedni byli z całego serca za, ale nie mieli pod ręką śmi-głowca, inni mieli, ale za to nie było możliwości go dać, jeszcze inni mieli jakieś powody, a byli tacy, którzy w ogóle nie odzywali się w nocy... Zostawał "samochód pancerny". Nie najgorszy, nawiasem mówiąc, wariant, jak mogło się wydawać. Ale tylko póki nie zjawił się wanieczka.

Wanieczka stał w drzwiach i wystarczyło tylko raz popatrzeć na jego rozpustny uśmiech, żeby zrozumieć: pijany łajdak. Bydłak. Znowu łajdaczył się przez całą noc.

Krew napłynęła mu do twarzy, brzęczało w uszach. Powie-dział, nie myśląc się powstrzymać:

- Bydlaku. Przecież sto razy powtarzałem...
- A co takiego? - Bydlak cofnął się na wszelki wypadek i zmienił głos na płaczący: - Co takiego zrobiłem?
- Sto razy ci mówiono: nie upijaj się w dni robocze!
- Ależ kto się upił? Tylko trochę, piwka wypięłem...

Już zdążył poradzić sobie ze swoją bezsensowną wściekło-ścią. Wszystko dzieje się nie tak, jak pomyślano... Kołowrotu nie ma, wanieczka - pijany... ("...Chłopaka zabrali, delfina - otruli.. .")• I to już nawet nie jest polityka, pomyślał mimochodem. To po prostu zawsze mnie spotyka. Zawsze. Jak nie jedno, to na pewno drugie.

- Zejdz i rozgrzej samochód - powiedział spokojnie.
- Już ogrzany.
- Przygotuj się. do dalekiej podróży. Około trzystu kilometrów.
- Jeżeli na poduszce, to może nie starczyć paliwa.
- Nie, nie na poduszce.
- No, w porządku.
- Idź. Ja też już schodzą.

Wanieczka zniknął w mgnieniu oka. Jakby go nie było.

- Wezwałem Boba z chłopakami - od razu rzeczowo zamel-dował Kronid i znowu poszedł naciskać klawisze na swoim pul-picie. - Są już na dole.

- Nie trzeba - powiedział. - Nikogo nie trzeba.

Wszyscy wbili w niego wzrok. Trzech bardzo różnych i od razu jednakowo zmartwionych ludzi. Wszyscy trzej myśleli teraz o tym samym: znowu kapryśi stary, znowu się wygłupia. Zachciało mu się śmiać, zachichotał, patrząc na nich.

- Obrazilście się - powiedział. - Jak myśz na kaszę... Niko-go nie potrzebuję! Sto pięćdziesiąt kilometrów tam i tyle samo z po-wrotem. Po dobrej autostradzie. Po co mi ochrona? Na autostra-dzie jest bezpiecznie, a po betonowej drodze pojedziemy z eskortą generała. No i w ogóle, po co mi ochrona, dziwacy moi? Bądźcie przynajmniej konsekwentni ze swoimi przesadami!

- Oczywiście - powiedział rzeczowy Kronid. - Ja i Waniecz-ka to zupełnie wystarczy. Na każdy wypadek.

- Nie, Kronidzie Siergiejewiczu. Wystarczy mi sam Iwan.

A pan, Kronidzie Siergiejewiczu, zostanie w mieście i będzie trzy-mał twierdzą. Bo wychodzi, że teraz wszystko, co jest związane z pogrzebem, spada na pana. I dość już o tym. Ediku, niech pan idzie do siebie i zajmie się artykułem i tak dalej... Kuźmo Iwa-nowiczu, zauważył pan, że zawsze, jak wyjeżdżam, coś tutaj się dzieje... Jasne, nie? Tylko w panu cała nadzieja... Dinarze Alek-siejewnie proszę wytłumaczyć, co i jak. I proszę opowiedzieć o Nikolasie. Kochała go, więc jakoś łagodnie... No, ściskam i pę-dzę! łączność przez radio.

W westybulu, jak zawsze, kimało w fotelach i na kanapach z piętnastu dziennikarzy - pod czujnym nadzorem chłopaków Boba (i samego Boba, oczywiście), i również straży miejskiej (w czar-nych skórzanych kostiumach, spuchniętych od kamizelek kulood-pornych, w kaskach z przyłbicą, z króciutkimi śmiertcionośnymi Osami, gotowymi do strzału). Dziennikarze podskoczyli, jak na alarm, i z tupotem ruszyli ze wszystkich stron wpadając na siebie. Zaświeciły lampy błyskowe, posypały się pytania z tuzina moc-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

nych gardeł.

- Czy to prawda, że spotkanie z prezydentem jest odwołane?
- Nie, to nieprawda.
- Czy pan jedzie do mera?
- Nie.
- A dokąd?
- W sprawach osobistych.
- Jakże mogą być sprawy osobiste o czwartej rano?
- Najróżniejsze.
- Dlaczego pańska popularność spada?
- To wiedzą tylko analitycy.
- A jakie pan ma zdanie?
- Coś robimy nie tak. Jeśli zaczniemy działać prawidłowo, popularność wzrośnie.

- Być może musi pan być lepszym patriotą?
- Lepsze jest wrogiem dobrego.

, ' - Czy to prawda, że pana małżonka jest w ciąży?

- Nie, to nieprawda.

',' - Jaka baza znajduje się pod Krasnymi Stankami?

Tak. Jakież Krasne Stanki. Łajdacy, na pewno coś wyniuchali! Jak? kto? Kiedy zdążyli?

i - Pojęcia nie mam. Nie mam tam żadnej bazy.

- Mówią, że pan zawsze mówi tylko prawdę. Czy to prawda?

- Tak.

- Dlaczego?

- Tak mi się podoba.

- Czy to prawda, że odmówiliście koalicji z Demsojuszem?

- Nie, to nieprawda.

- Czy pan nie wyklucza dojścia do władzy faszystów?

- Nie dopuszczę do tego, jeżeli mi się uda.

- Co oznaczają aluzje Nikity Akimowa o rzekomej zależności pana od akademika Kikonina?

Kurde. Znowu. Co za diabelska sprawa?

- Pojęcia nie mam. Lepiej zapytać o to samego Akimowa.

Ach, do diabła. Niepotrzebnie palnąłem. Nie wolno się irtować, nie wolno.

- Czy pan nadal utrzymuje kontakt z Nikitą Akimowem, czy już nie?

.. .Uf-f! Drzwi. Nareszcie. Bob szeroko otwiera szklane skrzydła. Jego chłopaki stają murem na progu. Huczący tłum zostaje za tym twardym, nieprzyjaznym i niebezpiecznym murem.

Przedarł się! Co prawda, tutaj, wokół wejścia znowu tłum, ale to już nie takie straszne. Po pierwsze, jest ich niedużo - ze sto osób, nie więcej. Po drugie, to głównie ciekawscy zagraniczni turyści i nieszkodliwi fanatycy. Od razu go poznali i zwyczajnie zaczęli hałasować - podniosły się fosforyzowane transparenty i zapaliły się szmaragdowo-zielone płomyki "latarek powodzenia", zasłoniły drogę wyciągnięte notesy, żądne autografów... Nie. Nie. przyjaciele. Przepraszam - nie mogę dzisiaj, bardzo się spieszę. Kocham was, dziękuję wam, ale - spieszę się! Przysięgam, słowo honoru, ani na minutę nie mogę się zatrzymać...

(Dinara tak samo, kiedy skończyła piętnaście lat, chodziła na takie spotkania, zawsze w pierwszym rządzie, promieniejąca, radosna, niezmiernie piękna - z ogromnymi, radosnymi oczami na pół twarzy. A potem zapisała się na spotkanie, wytrwała dwumiesięczną kolejkę, przedarła się i powiedziała: "Kocham pana, i nie mogę żyć bez pana, i nie chcę...". Nie bardzo lubił wspominać te dni, ale jednak, i być może właśnie dlatego, przypominał je sobie za każdym razem, kiedy znajdował się w huczącym, uśmiechającym się, promieniejącym miłością bezgraniczną wiernością tłumie. .. Tam, w przeszłości, zostały jakieś szczegóły, których przypomnienie było nie tyle wstydliwe, co jakieś niezręczne, i te szczegóły w żaden sposób nie dały się zapomnieć, nie chciały się uspokoić, nie chciały zniknąć na zawsze).

Iwan czekał przy otwartych drzwiach transportera, Stanisław twardo chwycił go za ramię i rozkazał z obrzydzeniem: "Do tyłu. Na tylne siedzenie!". Twarz wanieczki skrzywiła się płacząco, ale nie śmiał się sprzeciwić, zniknął w głębi kabiny i przycisnął

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

się tam, obrażony. A Stanisław powiedział do Boba: "Dziękuję, przyjacielu. Wszystko w porządku. Życz mi powodzenia." - "Powodzenia, panie Prezydencie" - odezwał się Bob, bez uśmiechu, zawsze zmartwiony i posłuszny jak ręka. "Jeszcze raz dziękuję. Powodzenie dzisiaj bardzo mi się przyda..." Czułe tknął Boba palcem w żelazne zebra i, postępując, wlaź za kierownicę. Zamykające się drzwi ledwo cmoknęły.

W kabinie było ciepło, cicho, panował świeży, zdrowy zapach - w ulotce było napisane: zapach cedru. Bardzo możliwe. Samochód był ekstraklasy, unikat - fantastyczne stworzenie fantastycznej firmy „Adiabata”, która wyłoniła się z niebytu pięć lat temu i od razu stała się znana - szalał za tym samochodem, w żaden sposób nie mógł przyzwycząić się do niego i z niejakim wstydem dzieciennie cieszył się z każdej okazji, by potrzymać jego kierownicę. Silnik był już dobrze rozgrzany i pracował, ale poznać to można było tylko dzięki przyrządom - żadnych dźwięków, najmniejszej wibracji, tylko rój życzliwych pozytywnych iskierek na pulpicie. Silnik tego samochodu można było usłyszeć tylko podczas przyspieszania, kiedy samochód przekształcał się w rakieta. Ale wtedy i ten dźwięk przypominał odgłos rakiety.

Włączył światła i ostrożnie, czule, z ukrytą przyjemnością ruszył z miejsca - prosto na cicho huczący tłum, załany białym i żółtym światłem. Tłum poddawał się z niechęcią i trudem, jak woda, jak chciwe bagno - nie puszczając, nie chcąc puścić, ale jednak poddając się, otwierając drogę, dając wolność - no i już z przodu nikogo nie ma, pusty płac, mokry asfalt w biało-żółtym świetle, i dopiero tutaj można było zobaczyć, jaka gęsta, ślepa i beznadziejna mgła panuje w mieście.

Miasta jakby w ogóle nie było. Słabo świeciły pomarańczowe światła niewyraźnych latarni, nagle wypływała witryna z prawej strony, z mlecznego mroku, rozpuszczająca się jak bezsensownie jaskrawa akwarela, mętnie połyskiwały mokrymi dachami rzędy ciemnych, ponurych samochodów, którymi zapchano pobocze... Parę razy z ryczącym klekotaniem wyskoczyły, oślepiając migając żółcią i granatem, samochody patrolowe, niebezpiecznie podcinały z prawej i z lewej strony i znowu znikły w poruszającym się mleku, jak drapieżne zwierzęta, które nie dopadały upatrzonej ofiary.

Na rogu Dużego i Pierwszej zatrzymał ich patrol: mroczne, niesamowicie grube (z powodu kamizelek kuloodpornych) figury. .. Fosforyzujące plamy na płaszcach-pelerynach... świecące się pałki... mokre lufy, wycelowane otwarcie i nieprzyjemnie prosto w czoło... Sprawdzili dokumenty, podświetlili twarz, odsalutowali... napięte i ponure oczy na chwilę straciły twardość: "Szczęśliwej drogi, Gospodarzu..." I- znowu puste ulice, nabrzeża, czarna wyrwa z prawej, tam gdzie Nawa.

Przypomniał sobie kawał, który chodził po Petersburgu od paru lat. Patrol zatrzymuje samochód, dowódca sprawdza dokumenty i puszcza, odsalutowuje. Drugi pyta go: "Kto był w tym mercu?" - "Nie wiem - odpowiada oszołomiony starszy. - Nie wiem, kto był w mercu, ale jego kierowca to sam Gospodarz!"

Tak naprawdę, kawał był stary, jeszcze z okresu zastoju, a być może z czasów stalinowskich: kierownictwo zawsze lubiło, zwłaszcza kiedy było trochę podchmielone, posiedzieć za kierownicą służbowego samochodu. Ale i tak podobało mu się, że jeżeli nawet nie wymyślali o nim nowych kawałów, to przynajmniej dostosowywali stare... Coś ostatnio często znajduję się w sytuacji jak z kawału, pomyślał. Jakby specjalnie. Wanieczka zapytał od razu po ślubie: "Nie rozumiem, naprawdę, Bossie. Przecież ona ma teraz szesnaście lat... Pan będzie miał osiemdziesiąt, a ona dwadzieścia sześć. I co pan wtedy będzie robił?"

Od razu przypomniał sobie stosowny kawał i odpowiedział prawie z zadowoleniem: "A nic prostszego: rozwiędę się i znowu się ożenię z szesnastolatką...". Wtedy jeszcze się wahał: czy nie popełnił głupstwa z tym ślubem, i oni wszyscy bardzo dobrze wyczuwali te jego wahania i pozwalali sobie na żarty, a on cały czas odpowiadał żartami. Chociaż potem - i to bardzo szybko - znudziło się i żarciki zamarły. Żartowanie na ten temat stało się nieprzyzwoite, a przyzwoite - demonstrowanie, podkreślanie

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
szacunku i delikatna uwaga... No i nie wahał się już więcej -
wiedział, że postąpił dziwnie, ale słusznie. Pojawiło się poczucie
bezpiecznego tyłu. Przystał być sam...
- Ktoś nas śledzi - pisnął cichym, delikatnym głosem wa-
nieczka z tylnego siedzenia. - Jak Boga kocham, Stasie Zino-
wiewiczu.
- Widzę - powiedział. - Jeszcze przy Pałacowym przycze-
pili się.
- A ja wiem, kto to. To Michael. Lewe światło ma słabsze
od prawego.
- Tak jest! - znalazł ręką mikrofon i powiedział, naciskając
na klawisz: -Kronid, Kronid, ja Pierwszy. Jak słyhać?
- Słyszę pana świetnie, Pierwszy. Słyszę świetnie.
- Kiepsko, Kronidzie Siergiejewiczu - powiedział drama-
tycznym głosem. - Jesteśmy śledzeni. Muszę postawić zastonę
ogniową. Iwan, wyciągaj broń,
- Tak jest, broń! - radośnie odezwał się wanieczka i zachi-
chotał w ten swój głupi sposób, jakby się dusił.
- Pierwszy, Pierwszy! - zawołał trwożnie Kronid, ale od razu
wszystko zrozumiał i powiedział z zażenowaniem: - Panie Pre-
zydencie, bardzo pana proszę, naprawdę. Przecież nie można ina-
czej.
- Oczywiście, że nie można - od razu wstawił się waniecz-
ka. - Jeden samochód kosztuje milion...
- Dobra, Bóg wam sędzią, niegrzecznym. Niech będzie po
waszemu. Koniec łączności.
Potem połączył się z Michaeliem i powiedział mu, żeby trzy-
mał się bliżej, jeżeli już przyczepił się bez pozwolenia, bez roz-
kazu. "Jak to bez rozkazu? - natychmiast obraził się Michael. -
Mam pisemny nakaz naczelnika ochrony". - "Dobra, dobra, orły
bojowe... Co tam teraz. Z kim jedziesz? - "Z Konstantinem Ba-
lujewem". - "Pozdrów go i przekaż, żeby mniej palił. Rozpusta
i nikotyna! Niech zdrowie oszczędza. Zdrowie jest najważniej-
sze..." - "Nie wiadomo..." - "Cicho! Nie sprzeciwiać się kie-
rownictwu! Koniec łączności. Over".
Arkada Bramy Moskiewskiej wyłoniła się z mgły po lewej stro-
nie, świecąca, cała w reklamach jak gigantyczna noworoczna cho-
inka. Na zaokrągleniu prospektu sterczała w poprzek drogi wy-
wrócona na bok korrida z zadartą maską. Jacys ludzie, rozpaczliwie
machając rękami, ruszyli na przełaj, trzeba było ostro dać w lewo,
pisnęły złowieszco opony. "Ostrożniej! - ostrzegawczo krzyknął
wanieczka. - Rozbijemy się, nie da się skleić..." - "Lepiej milcz -
powiedział, nie obracając głowy i nawet nie patrząc na niego w lu-
sterku. - Trzeba było mniej pić..." - "Ależ kto pił, na miłość Bos-
s-s... Napiłem się piwka z chłopakami..."
Nie zaczaj z nim rozmawiać. Wziął mikrofon, wykręcił kod
generała. Tamten odpowiedział natychmiast -jakby trzymał rękę
na słuchawce.
- Jestem pod Moskiewską Bramą. Co u was?
- Złe - powiedział generał Małnycz, i to takim głosem, że
mógłby dalej nie mówić, i tak wszystko było jasne. Ale mówił: -
Bardzo źle, panie Prezydencie. Już prawie nie mam nadziei. Te-
raz jest nieprzytomny. Serce w ogóle odmówiło posłuszeństwa...
- Cicho! Krótko: czy żyje?
- Prawie nie żyje. Nie wiem, jak...
- Żyje czy nie?!
- Jest nieprzytomny...
- Nieprzytomny? wy, łajdacy, beztalencia gówniane, p.. .dy,
je.. .ne, sraczka zielona... Natychmiast wziąć się w garść! Będę
za godzinę. Jasne? Za godzinę! Jeżeli nie zatrzymacie go przed
moim przyjazdem na tym świecie, wszystkich was rozstrzelam,
do diabła. Już! Koniec łączności!
Rzucił mikrofon na tylne siedzenie i dodał gazu. Turbina ryk-
nęła jak obudzona kopnięciem suka, samochód rzuciło do przo-
du tak, że głowa mocno wparła się w zagłówek i szczęki odcią-
gnęło w dół i do tyłu.
- Ojej! - krzyknął z tyłu wanieczka w strachu i rozpaczy. -
Nie wolno! Nie wolno tak!...

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

- Milcz, głupcze - ryknął. A może i nie ryknął - nie miał do tego głowy: już nie patrzył do przodu - tam i tak nic nie było widać, oprócz kłębiącego się mleka, patrzył na ekran radaru, gdzie kłębiły się niewyraźne zielone kontury, a potem oprzytomniał i włączył wszystkie zewnętrzne środki ostrzegania: czerwone i granatowe latarki, i oba reflektory, i syrenę, która od razu strasznie zaklekotała, jak diabeł, któremu wrywają ogon.
- Milcz, głupcze -powtórzył już spokojnie. -Milcz i módl się.

Rozdział 6

Na autostradzie, dzięki Bogu, nie było mgły. Pośrodku trzeciego, najbardziej popularnego, pasa było nawet sucho, chociaż po lewej i po prawej stronie błyszczały niebezpieczne oblodzenia. Padał, co prawda, śnieg, i nawet nie śnieg, a lodowata ohyda sypała z ciemności, ale od razu zmiatał ją z asfaltu porywczy wiatr. Widoczność przynajmniej była dobra, około dwustu metrów, więc wyłączył radar.

Michael szedł z tyłu jak przywiązany, zdecydowanie trzymał dystans i milczał. Milczał nawet podczas niesamowitych wyścigów po mieście, kiedy wszyscy krzyczeli jak zarzynani: oszalały ze strachu wanieczka z tylnego siedzenia, przestraszony, nic nie rozumiejący Kronid z radiofonii, i maleńki, całkiem zapaskudzony sławoczek Krasnogorow z mrocznej głębi podświadomości (z jakąś bezlitosną jasnością wyobraził sobie, jak transporter najeżdża na wywrotkę, chciał żyć za wszelką cenę, natychmiast i oczywiście zawsze). Teraz już było po wszystkim, chociaż cały czas jechał, łamiąc wszystkie dozwolone ograniczenia prędkości - na liczniku miał dwieście.

"Szybciej, szybciej... - złośliwie marudził z tyłu wanieczka. - Niech pan doda jeszcze trochę i wylecimy do diabła... jak te ptaszki, w dupę pierdolnięte..." - "Nie wyrażaj się." - "No tak, jemu, oczywiście, wolno, jest wielki, a prostemu człowiekowi już słowa nie wolno powiedzieć..." - "Ależ kto ci słowa nie daje powiedzieć, p... do marynowana? Nie przeklinaj tylko, proszę. ..." i inne głupoty. To niedawny strach sączył się z nich, najpierw rzadkim strumieniem, potem małymi kroplami, jakby kaszleli strachem, ale i tak nie robiło się łatwiej: za dużo go się nazbierało w krtani duszy - gadaniem się go wykaszle...

.. Najważniejsze, że już nie mógł sobie przypomnieć tego piekielnego kwadransa. Nic. Zupełna pustka. Jakby tego kwadransika w ogóle nigdy nie było. Przecież jesteś pisarzem, marudo. Przypomnij sobie. Odtwórz... Opisz... Nic się nie odtwarzało.

...Zielony, lekko zarysowany kłęb na ekranie radaru (chole- ra wie, co oznaczający), kosmata biało-żółta mgła za przednią szybą- nagle ustępująca, i w czarnej dziurze - za późno wyświetlony mroczny, wielki tyłek jakiegoś potwora miejskiego z brudnymi czerwonymi iskierkami... Już koniec... hamulec... w lewo! za późno... Zaraz... Nie. Uf-f, kurde! Udało się... (Prześlą kwiczeć, prosiaczku, bo zaraz wsadzę cię za kierownicę... na pełnej prędkości...) I znowu mleczna ślepotą... w nicość. I nic. W rozerwane wyszczerzone żelazo, które czeka i proszę - do- czekało się. Namiot różnobarwnych błyszczków, rozbłysków

289

i płomieni na kosmatym mleku, kłekot generalskiej syreny i osłupiałe fosforyzujące granatowo-czerwono-żółte figury patroli, salutujące swoimi ogromnymi białymi rękawicami potworowi, który ze świstem i kłekotem przeleciał obok...

To są wszystkie wspomnienia. A właściwie, kurde, wrażenia...

- Stasie Zinowiewiczu! Na miłość Boską. Niech pan mnie puści za kierownicę.

- Nie. Jesteś pijany.

- Jaki tam pijany. Jak Boga kocham, cały alkohol wywie- trzał ze strachu...

- Będziesz wiedział, co to znaczy upijać się w dzień roboczy.

- Nie upijałem się, co pan, naprawdę. Trochę piwka wypili- śmy z chłopakami...

Ciekawe, jak Michael utrzymał się za nimi podczas tych wy-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

ścigów? Żadnego radaru nie ma. Rzuciłem się z miejsca, od razu się oderwałem, miał jeszcze przecznie zareagować... I jak teraz na zwykłej "nafcie" za mną nadaża?... Co prawda, ma wzmocniony silnik. E, co tu ma do rzeczy wzmocniony silnik - PROFI! Znalazł mikrofon.

- Michael?

- Tak, panie Prezydencie.

- Jak tam?

- Wszystko OK. Po trochu suszymy gacie.

- Artiomowi, oczywiście, już doniosłeś.

- A jakby inaczej? Doniosłem, jak należy.

- „Jak należy”, „jak należy”... wiesz mi na ogonie? Ze swoją "naftą"?

- Ciągniemy po trochu - rażno odpowiedział Michael. Ja-koś zbyt rażno.

- Jasne. Ale jeżeli będziesz odstawał, pamiętaj: skrętna Krasną Wiszerkę, sto pięćdziesiąty dziewiąty kilometr. A dalej według drogowskazów...

- Znam trasę, panie Prezydencie... I nie będę odstawał, niech pan się nie martwi.

- Och, och, och -jacy jesteśmy pewni! Dobra. Liczę na ciebie. .. Over.

Trzeba też było połączyć się z generałem, ale bał się. W ogóle starał się nie myśleć o wikonce, i nie myślał o nim - wikont był gdzieś niedaleko - smutny i beznadziejny, jak zwinięty w kłębek ból, ogłuszony środkiem przeciwbólowym. Bardzo chciał dodać gazu, w ogóle przejść na poduszkę powietrzną - na tryb lotu - ale wtedy pojawiało się ryzyko, że zeżre całe paliwo i zostanie już w ogóle z niczym. Oczywiście, gdyby miał pewność, że na zakręcie na pewno będzie czekała eskorta, można by zaryzykować, ale postanowił, że już nie będzie niczego pewien. Miał poczucie, że limit powodzenia na dzisiaj (i, chyba, jeszcze na wiele dni) został wyczerpany... A może zatankować? Stacje benzynowe są co pięćdziesiąt, sto kilometrów, niedługo ma być następna. Wtedy można by było. Ale - czas... czas! Czasu w ogóle nie ma. Jak pieniędzy. Jak zdrowia. Albo go brakuje, albo w ogóle nie ma...

Stacja benzynowa pojawiła się w oddali w migającej śnieżycy, jak malutki raj lokalnego znaczenia - błyszcząca światłami, czuła i kusząca. Trzeba się decydować. Tankowanie to minimum pięć minut, minimum. Ze wszystkimi sztuczkami reklamowymi, nieuniknionymi i lepкими, jak rachatłukum.

- Będziemy tankować? - zapytał.

- A ile jest w baku?

- Jedna czwarta, trochę więcej.

- Do Księżyca wystarczy - oznajmił wanieczka w tej plebejskiej manierze, którą ostatnio przyjął, wyłącznie wówczas, kiedy się kłócili.

- Koniec zabawy w wańkę-wstańkę - powiedział do kwaśnej twarzy w lusterku.

- A ja jestem wańka.

- Nie jesteś wańka. Jesteś Iwan. W najlepszym wypadku Wanieczka.

Wanieczka powiedział:

- A mi się nie podoba, Stasie Zinowiewiczu, kiedy rozmawia pan ze mną jak ze swoim fagasem.

- Nieprawda. Jak z synem. Tylko z głupim.

- Tak się z synem nie rozmawia.

- A skąd miżesz wiedzieć, jak rozmawia się z synem?

- Stąd, skąd i pan. Przepraszam.

- Słuchaj, czy ty sobie nie zdajesz sprawy ze swojego chamstwa?

- No, zdaję sobie, zdaję! - z rozpachy krzyknął wanieczka.

- Ale co teraz, mam żabę zjeść?

- Nie trzeba jeść żaby... - odpowiedział machinalnie. Ktoś biegł w poprzek drogi. w bieli. Pojawił się na poboczu z prawej strony. Biegł jakoś dziwnie. Jakoś bezsensownie. Częściowo biegł, a częściowo jakby peźł. Człowiek. Podobny do dużego okaleczonego owada.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

- Ej! - zdążył krzyknąć nad uchem wanieczka.
Było już za późno na hamowanie. Zaraz się przewrócimy, pomyślał spokojnie, jakby to był film, który razem oglądali. Człowiek klęczał. Już bardzo blisko. wyciągnął ręce. Chyba chciał, żeby go wzięli. Albo zabili...
Trzeba było skręcić o kilka stopni i wtedy udałoby się przejechać obok, minąć o włos, i przy tym utrzymać się na kołach. Wanieczka zdążył jeszcze raz krzyknąć - albo "aj!", albo "mać!" I to wszystko. Przed nimi nie było już nikogo. Srebrzyła się tylko i migotała bardzo już bliska stacja benzynowa, kusząca, jak lodowaty kielich z bąbelkami - dla wyschniętych warg... w lusterku biały człowiek na kolanach miał podniesione ręce. Teraz uświadomił sobie, że człowiek ten był biały, bo w bieliźnie: biała płócienna koszula i płócienne kalesony, jakich nie nosi się już chyba od pół wieku. Twarzy nie miał. Włosy tak - kosmate i kudłate, kalesony też, ale twarzy jakby nie było...
Michael przeszedł bardziej w lewo - mrugnął, oślepiając i groźnie, wszystkimi swoimi sześcioma reflektorami, i już znowu są sami na szosie, nie ma dziwnej, żalostnej i strasznej figury bez twarzy, niczego i nikogo nie ma, oprócz dwóch samochodów, mocno wbijających się w lodowatą, rzadką śnieżycę. Stacja zbliżyła się, oślepiła różnobarwnymi mrugającymi ogniami (kilkadziesiąt różnych samochodów, poruszające się czarne figurki między nimi i na tle olśniewających witryn - dziesięciometrowe trójwymiarowe obrazy chłopaków palących "woretki") i zniknęła z tyłu. Nagle uświadomił sobie, że jedzie wolniej - mniej niż sto pięćdziesiąt - spróbował nacisnąć na gaz, ale noga odmówiła mu posłuszeństwa. To było coś w rodzaju bezbolesnego, ale mocnego skurczu. Noga nie chciała jechać szybko.
- Przecież o mały włos go nie zabiłem - powiedział przez zęby.
- No tak - odezwał się spokojnie wanieczka. - Psychopata nienormalny...
- O kim mówisz?
Wanieczka zakrztusił się śmiechem.
- Obydwaj jesteście dobrzy.
- Boję się dzwonić do generała - przyznał się niespodziewanie dla siebie samego. - Boję się, że powie: niepotrzebnie, kurde, pan się stara, za późno. A ja o mały włos nie rozmazałem jakiegoś idioty...
- Stasie Zinowiewiczu, co pan mówi, na litość boską? Niech pan policzy, ile razy już pan tak pędził...
- Zazwyczaj mnie pędzili.
- No, albo pana pędzili... Ze dwadzieścia razy, prawda?
- Chyba. Najpierw liczyłem, a potem przestałem. Taki przesad.
- No, widzi pan. I za każdym razem wszystko było dobrze.
|Mocno się pana trzyma nasz Wiktor Grigoriewicz.
- Jak ostatniej słomki...
- Jak statku - powiedział wanieczka. - Albo jak brzegu. Tak będzie jeszcze dokładniej.
- Uspokoileś mnie - powiedział i obydwaj zamilkli.
Potem jednak zmusił się, żeby wziąć mikrofon.
- Sto drugi - odezwał się młody głos. Nieznany. Całkiem fagasowski i jednocześnie diabelsko zadowolony z siebie. Sztabowy.
- Krasnogorow. Proszę mi dać generała Małnycza - rozkazał. Wiedział, jak trzeba obchodzić się z takimi głosami.
- Generał Małnycz jest w gabinecie zabiegowym.
- Proszę zreferować sytuację, Sto drugi.
Głos zrobił pauzę, potem nastąpiło ostrożne:
- Poproszę o pana kod.
- Źle mnie słysząc? Krasnogorow - powiedział możliwie znacząco, ale już wyczuł, że zabrzmiało to niewystarczająco przekonująco i że ta mała walka jest przegrana.
- Powiadomię generała o pana telefonie, panie Krasnogorow.
- Czy konwój wysłano na szosę?
Znowu pauza. Małutka. Mikroskopia. Jednak bardzo znacząca.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

- Nie mam danych.
- To proszę to ustalić. Muszę dokładnie wiedzieć, czy czekają na mnie na skrzyżowaniu, czy nie.
- Tak jest.
- Wykonać!

- Poproszę o pana kod.

Stanisław rzucił mikrofon.

Nie myśleć. Nie fantazjować. Niczego sobie nie wyobrażać. Gnać. Nakręcać kilometry. "Dwudziestą pierwszą godzinę pędzimy bez wytchnienia i przysięgamy wszyscy, jak czterech nas jest, dopóki nie dojedziemy tam, gdzie z chłopakami Żenią, nie będziemy jeść, nie będziemy spać i srać nie będziemy też". Kim były te "chłopaki Żeki"? Jacyś sławni fizycy-chemicy w malutkim chutorze niedaleko niezapomnianego Ginuczaju... Dobrze. Myśl właśnie o tym. Bardzo dobrze. Ginuczaj. Zielone czyste wzgórza Litwy. Pomarańczowe ognie kurek na leśnym stoku. Żeka - rumiany i nieskazitelnie czysty, wewnątrz i zewnątrz, miły Żeka... Wszyscy odchodzą. Przede wszystkim najlepsi. Dlaczego akurat on miał złapać białaczkę - w swoim najbardziej superczystym instytucie, zajmującym się superczystością? Bo tak chciał Los... Ci moi młodzi głupcy wyobrażają sobie, że ja kieruję Losem. Młodzi. Młodzież jest głupia i pewna siebie. Pewna siebie, bo głupia. Człowiek może kierować samochodem. Człowiekiem. Innym człowiekiem (w bardzo małym stopniu). I to wszystko. Los - to wypadkowa siła milionów sił (według Lwa Nikołajewicza). Kierować Losem znaczy kierować milionowymi tłumami ludzi i jeszcze milionowymi stadami różnorodnych okoliczności na dodatek... Coś takiego potrafi tylko sam Los - ślepy, mocny chłop z mózgiem krokodyla i z etycznymi zasadami.

.. .Nikolas miał słabe nerwy. Miewał skurcze. Ręka nagle zaczynała się trząść, kiedy się martwił (a martwił się często, ale umiał to ukryć: "Drżenie rąk, drżenie nóg, duszy drżenie..."). Cały czas żarł jakieś neuroleptyki... Nie, nie tak - neurostatyki, chyba. Skurczolityki... Ch-cholera, czy o to chodzi? Po prostu: najlepsi odchodzą jako pierwsi. A ci gorsi- zostają żyć dalej. Ci, co są o gatunek niżej i o klasę gorsi... I tak było zawsze. Dlatego w żaden sposób gatunek ludzki nie polepsza się. Bez względu na zwycięstwo sił rozumu i postępu. Przez tyle stuleci optymiści twierdzili: później będzie lepiej, gorzej nie może być. Guzik.

Ale moje głuptaski wierzą. "Przebrała się cierpliwość Gospodarka i utrupił swojego wroga". Moja robota. Mea, znowu, culpa... Wątpliwe, czy Kuźma Iwanycz tak myśli. Kuźmy Iwanycza się nie nabierze. Wśród Kuźmów Iwanyczów nie ma głupców. Ale uważa, że wszystkie te rozmowy i do tego zabobony są dla dobra sprawy. Ad majorem mea gloria. I dobrze. Bo, w końcu, wszystko trzyma się na strachu, każda władza opiera się na strachu, i tylko na strachu, i nic nie jest warta poza strachem. Cała reszta to bzdura: miłość, zachwyty, szacunek, wierność, fanatyczne uwielbienie to bzdura, efemeryda, fantomy, kurz. Strach, tylko strach. I nic, oprócz strachu. Honor, mówicie? Mądrość? Sumienie? Prawda? Strach jest silniejszy od prawdy. Prawda zwycięża, tak, prawda jest zdolna zwyciężyć każdego - to mocna i potężna broń. Ale strach nigdy nie znika, o to chodzi. Można go przewyciężyć, ale on zostaje, tylko schyla swoją brzydką szarą głowę, póki prawda przelatuje nad nim w szale, jak sprawiedliwa burza. Potem ta burza wyczerpuje się, ucicha ze zmęczenia, odchodzi na zasłużony odpoczynek, i nagle się wyjaśnia, że wszystko, co złe, jest zniszczone, zgniecione i zamienione w proch - wszystko, oprócz strachu. Ciche tajemnicze życie rozkładającego się trupa - to jest Pan Strach... Cień Pani Śmierci na białym całym ekranu...

- Stasie Zinowiewczu, dokąd to oni?

Ocknął się. Z prawej i lewej strony na niedużej wysokości, błyszcząc czerwonym i niebieskim światłem, minęły ich niespiesznie długie jak osy śmigłowce policji drogowej... Nie wszystko jedno dokąd? Nie tknęli, i za to dzięki. Prędkość była prawie dozwolona

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
na: sto sześćdziesiąt. Przekorna noga nadal nie chciała zrobić wię-
cej. Zmusił ją do pracy. Sto siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, dzie-
więćdziesiąt. .. ("Stasie Zinowijewiczu, na miłość boską, niech
mnie pan puści za kierownicę...") Dwieście. Wystarczy. Na razie.
.. Nie ma ludzi nieustraszonych, w tym sedno. Przyroda nie
przewidziała niczego takiego, i nawet przeciwnie, zaprojektowała
strach w genach, w kłębkach kwasu dezoksyrybonukleinowego,
w początkowym bezmózgim, wydawałoby się, nieczułym śluzie...
Boże, czy to tylko sam strach? wszyscy ludzie odczuwają natu-
ralne obrzydzenie do alkoholu, do papierosów, do krwi, do gów-
na, do trupa, do płaczu... Ale do tego wszystkiego można się
przyzwyczaić, i do wszystkiego przyzwyczajają się. Jak baranki.
Potrzeba ich zmusza. Amundsen chyba powiedział: "Nie można
przyzwyczaić się do zimna". Słusznie, potwierdzam. I nie moż-
1 na przyzwyczaić się do strachu. Na tym właśnie stoimy.
.. .Nikolas, tak a propos, był absolutnie nieustraszony. To zna-
czy umiał ukryć strach, doprowadzić go do stanu zupełnej niewi-
dzialności... Tak jak niektórzy umieją ukrywać ból. A niektórzy
- mądrość (bardzo, nawiasem mówiąc, skomplikowana umiejęt-
ność!). Albo, powiedzmy, nieszcześnie... Ale tak naprawdę się
bał. Wiem to na pewno: bał się. Bał się okazać się słabszym. Bał
się pajaków (to się nazywa arachnofobia). I do śmierci się bał, że
na jego pytanie ona odpowie mu "nie" - krótko i ze zdziwie-
niem. Bał się stracić sens swojego istnienia. Był zdumiewająco
słaby, ten zadziwiająco silny człowiek. Był jak mityczny bohater
z mikroskopijnie małym sercem. Pod nogami miał drobną falę.
Był czołgiem na cienkim lodzie. Nie wolno tak się mylić co do
sensu istnienia. Fundament powinien być mocny, nawet jeżeli
ściany są kiepskie. A u niego było odwrotnie. Zawsze. Od same-
go dzieciństwa. Od tego samego momentu, kiedy uświadomił
sobie, że nie może nic, ale potrafi - wszystko, i ta jego świad-
omość stała się jego modus operandi i modus vivendi i modus-
-wszystkiego-na-świecie... Nie wolno stawiać wszystkich pie-
niędzy na jednego konia. Nawet jeżeli to Bucefał...
... A więc tak. Za godzinę wyciągnę z powrotem na ten świat
Wikonta, a w grudniu pokonam wszystkich w wyborach. Dziw-
nie, jak mogłem w to wątpić jeszcze pół godziny temu? Na łom
nie ma sposobu. Przeciwno Losowi - nie ma nosa. Ślepy potwór
z oczami krokodyla nie zawiedzie. I wszystko stanie się tak, jak
chciał. Tylko nie trzeba mu przeszkadzać. Tylko bez zbędnych
ruchów. Bez krzyków i wypadów. Bez żadnych sztuczek i eska-
pad. Kuźma Iwanycz ma racje, Edik - nie. Edik uważa, że żaba
w słoju ze śmietaną powinna pracować łapkami do ostatniej chwi-
li, a niesamowity Kuźma-Wanycz odpowiada mu na to (majesta-
tycznie): a skąd wiesz, że jesteśmy w słoju ze śmietaną?...
- Iwan, kto zwycięży w wyborach?
- Naziści - Wanieczka nie zastanowił się nawet przez uła-
mek sekundy. Jakby czekał na to pytanie. Jakby przed chwilą
(i zawsze) o tym myślał.
- Ale numer! Dlaczego?
- Nadszedł czas.
- Ale przecież to wojna?
- I bardzo dobrze. Pokój wszystkim już się znudził. Nudno.
- Dlaczego? Czy nam źle?
- Żyjemy tak sobie, średnio. Ale na nich głosować będą nie
ci, którzy żyją średnio, a ci, którzy żyją źle, i wszyscy ci, którym
jest nudno. A ci, którzy żyją średnio, jak zwykle nie przyjdą gło-
sować.
- Oryginalnie myślisz, Iwanie wieniaminowiczu - powie-
dział nieprzyjemnie zdumiony.
- Ależ nie. Udowodnić niczego nie potrafię, to prawda. Ale
przecież to fruwa w powietrzu. I nadszedł czas: dziesięć lat po
puczu. Tak samo jak w Republice Weimarskiej, pamiętasz?
"...przyszła taka chwila..."
- A jednak nie jesteśmy Niemcami.
- Ależ jesteśmy Niemcami! Na pewno! Jeśli chodzi o chęć
do podporządkowania się, Niemcy z nas pełną gębą! Podporząd-
kowujemy się i podporządkowujemy. Pod tym względem my

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

wszyscy jesteśmy najprawdziwszymi Niemcami. Rasą panów kreska służących...

- Jednak filozof z ciebie. - Nie chciało mu się dyskutować z samym sobą.

- Tak. Nasłuchałem się Krasnogorowa.

- No właśnie. Lubisz, prawda, te "urywane banalności", co? Wanieczka nic na to nie odpowiedział, a parę sekund później mruknął zmartwiony.

- Stasie Zinowiewiczu, co to jest, tam na drodze?

Wyłączył światła. Z przodu rzeczywiście była łuna - w poprzek drogi i nie bardzo daleko: widać było, jak lecą iskry i jeszcze jakieś palące się lekkie kawałki, i to wszystko - na tle smolistego, podświetlonego ogniem dymu, bardziej czarnego od samej nocy.

No proszę, pomyślał.

Do skrzyżowania, zgodnie z mapą, pozostało jeszcze więcej niż dziesięć kilometrów.

Rozdział 7

Co się pan tak martwi, panie Prezydencie? - zapytał Duży Głina. - Za godzinę przyjadą saperzy. Za dwie, najdalej za trzy, pojedzie pan sobie po gładziutkiej trasie...

- Z kępki na kępkę - radośnie dodał Mały Głina - do jamki buch! - I zaczął rzeć jak koń, bardzo zadowolony ze wszystkiego na świecie: z kołyszającego się na wietrze śmierzącego dymu, z przypochlebiającego się, przestraszonego tłumu kierowców bezradnych bez autostrady, z powszechnej uwagi skupionej na jego osobie i, co najważniejsze, z tego, że rozmawia na luzie z samym Gospodarzem.

- No tak, no tak... - przytaknął Gospodarz w najbardziej światowej manierze. Ogniste ruiny warczały, dysząc żarem i spalenizną, jak gardło umierającego smoka. Starał się nie patrzeć w tę stronę i cały czas zamierzał odwrócić się plecami do tej nadal skręcającej się grzędy rozpalonego metalu - nadal próbując być, istnieć, nawet poruszać się...

(Co tam było, w tej grzędzie? Śmigłowiec? Dwie cysterny samochodowe? Kilka samochodów, które z dużą prędkością trafiły prosto w ognistą gardziel... Trzęsący się ze strachu świadek, pijany ze szczęścia albo od wódki, zdążył już gdzieś się upić, ze szklanymi oczami i z uśmiechem wariata, znowu i znowu każdemu podjeżdżającemu powtarzał swoje nieskomplikowane opowiadanie o sześciu wozach, które trafiły tam w przedśmiertnym skurczu jeden po drugim, a on był - siódmy i zdążył zahamować na samej granicy ognia... Jego żona cicho leżała w samochodzie na przednim siedzeniu, odrzucając do tyłu głowę z mokrą, z czarnymi plamami, chusteczką na rozbitej twarzy).

Droga była blokowana na całej swojej autostradowej czterdziestometrowej szerokości. Po prawej stronie, już poza granicą szosy i nawet rowu, gdzie dymiła spalonymi kołami jakaś przyczepa z rozwalonym kontenerem, zapalały się coraz to nowe i coraz bardziej oddalone krzaki i nagie drzewa. Ale po lewej stronie, w dymie, widać było mały przebłysk światła między ogniem a granicą autostrady i Stanisław mimowolnie cały czas popatrywał w tę stronę, bojąc się za wcześnie zdradzić swój pomysł. Choć ten pomysł był jasny i dość oczywisty. Obaj gliniarze; dobrze wiedzieli, czego chce nie wiadomo skąd pojawiający się mityczny Gospodarz, i ich reakcja na tę chęć była zupełnie jednoznaczna: nie, nie. Z całym naszym szacunkiem i zrozumieniem, f ale nawet mowy o tym nie może być. Nie, nie i jeszcze raz nie. j Gliniarze tłoczyli się w szeregu w poprzek drogi. Było ich i mnóstwo: dwa pełne śmigłowce. Ale ci dwaj - Duży i Mały - !• byli tutaj (po tej stronie) najważniejsi, zwłaszcza Mały, miał stopień lejtnanta i był bardzo obrzydliwy. Ale najważniejszy na miejscu wypadku był major, którego teraz nie było widać, bo z dwoma innymi śmigłowcami znajdował się po tamtej stronie wypadku, i tam działał, będąc obecnym po tej stronie tylko jako emanacja władzy.

Można było zlekceważyć prawo i porządek, usiąść za kie-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
rownicą i ruszyć na przełaj - piszcząc palącą się gumą, przez szereg gliniarzy, do dyniowej dziury z lewej strony, na wariata... być może nawet uruchamiając przy tym poduszkę, dla zabezpieczenia. .. Jakoś by było.

Można spróbować przejechać po polu, przez bagno, nad rzadkimi rudymi krzakami, przez ponure zarośla wymęczonych rdzawą wodą wierzb i osin... i też, najwyżej, uruchomić poduszkę. ..

Można przeskoczyć przez ogień. Na siłę. Powyżej ognia, ale poniżej dymu...

Wszystko można, ale...

Będą ścigać i może nawet strzelać. Przed śmigłowcem się nie ucieknie... Sił może nie starczyć - skoczyć skoczmy, ale jak będziemy lądować? I całe paliwo w jedną minutę - f-fuck! A co tam jest za tym dymem? Kto mi powie, co jest za dymem i ognistą grzędą?... "Po gładziutkiej dróżce... do jamki - buch!" ..Dlaczego? Dlaczego przez całe życie natykam się na dzikie, niewyobrażalne, z niczym nieporównywalne przeszkody, za każdym razem, kiedy chcę zrobić coś zupełnie naturalnego, zwyczajnego, dobrego?... Zabierasz się za politykę - bez szczególnej ochoty, nawet nie zabierasz, a zanosi cię tam, jak szczapę do wiru wodnego, i głupotami tam się zajmujesz -jakąś biurokracją, albo, powiedzmy, żmiję faszystowską pokonujesz, albo swoją nieszczęsną Rosję wyciągasz z kolejnego dołu (wszystko to zajęcia nienaturalne, dzikie, nie dla zwykłego człowieka i w ogóle jakoś nie pasujące do niego) - i przy tym wszystko idzie ci całkiem dobrze: okazuje się, że zawsze masz przy sobie dobrych, gotowych ludzi - źli jakby sami spadają w przepaść, idziesz sobie wydeptanym traktem, wzbudzając pełen szacunku strach, cały w bieli... Ale gdy tylko zechcesz zrobić coś ludzkiego, zwyczajnego, danego ci przez naturę - to sterczysz jak kupa gówna przed niewyobrażalną i nieprzewidzianą ognistą przegrodą, i nie masz żadnej drogi do twojego prostego, ludzkiego celu, i nie możesz znaleźć żadnego świetlistego Losu... Gliniarz, maleńki i obrzydliwy - to wszystko, co ci się proponuje, to dzisiaj twój Los, twoje ponure Fatum...

A tymczasem tłum rozrastał się, przyjeżdżały wciąż nowel samochody od strony Petersburga, panował hałas, Mały Glina! gadał coraz bardziej niedbale, Duży z przyjemnością mu potakwał i wszystkie ich komentarze kręciły się wokół tego, że nie'; wam wszystkim się nie stanie, poczekacie jak baranki, tak a proÅ pos, sam Gospodarz stoi i czeka, i tylko Bogu dziękuje, że ni*}; trafił do ognistej kaszy...

f

Zmęczony towarzyskimi uśmiechami, ostatecznie uświado*- mił sobie, że podtrzymywanie rozmowy na tym poziomie nie ma sensu, to mu nic nie daje, tylko czas niepotrzebnie marnuje, a już najwyższa pora naprawdę coś wymyślić i znaleźć wyjście, już był gotów pożegnać się i opuścić ten oświetlony ogniem raut, kiedy nagle, przez tłum, zwałił się na niego niespodziewanie zamaterializowany, nie wiadomo skąd, prawie mityczny major z tamtej strony.

Ten major, ogromny i głośny jak generał, od razu sobie wyobraził (nie wyjaśniając i nawet nie próbując wyjaśnić), że Gospodarz, który się tutaj zjawił, osławiony, zacałowany przez łobuzów i intelichujów kandydaci na rosyjskiego prezydenta, łapówkarz Numer Jeden, nie złapany do tej pory przez organy tylko przez nieporozumienie - sterczy tu w jedynym celu: żeby zdemoralizować podwładny jemu, majorowi, kontyngent, kupić, skusić, okłamać, zaczarować, nałożyć im klapki na oczy, żeby przepuścili go, łajdaki, łamiąc prawo i honor, tędy gdzie nie można przepuszczać (przez ogień). Był trochę pijany, biło od niego słodkawym zapachem spirytusu na dobre metr dwa-dzieścia, głośny, nieprzekupny, nieustraszony, nie wierzył w żadne mistyczne plotki, nie bał się nikogo na świecie, nienawidził łobuzów i cholernych demokratów i nie ukrywał tego przed ludźmi, tylko walił bezlitośnie prawdę, po kawałku, przy popierają-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
cym go hałasie tłumu, który, jak to bywa, na widok tego najważniejszego tutaj kierownictwa wpadł w stan niesamowitego lizusostwa. Duży i Mały Głina wysłuchali tych inwektyw naczelnika z obrażonymi minami niezasłużenie podejrzanych, uczciwych frajerów, milczeli, ale patrzyli teraz na Gospodarza z naturalną podejrzliwością i niezadowolaniem. Nie miał tu już w ogóle nic do roboty.

- Pisemnie, poproszę. - powiedział do majora i wsunął swoją wizytówkę, do jego kieszeni umieszczonej na piersi. - Przyjmuję interesantów w dni nieparzyste, od dwunastej do czternastej...

Majora zatkało w pół słowa - nie dlatego, że te jadowite uprzejmości jakoś go dotknęły, a dlatego, że nie słyszał nic poza własnym rykiem, a chciał mu się usłyszeć: jednak to Gospodarz, niecodziennie się przecież z nim rozmawia. Ale jednak Gospodarz, oczywiście, nie zaczął mu niczego powtarzać, tylko odwrócił się i przeszedł przez tłum, który rozstępował się z szacunkiem i ochotą, wykazując przy tym i pochlebstwo, i wrogość, i zdumienie, i poparcie, i jeszcze wiele innych, sprzecznych ze sobą uczuć, które same w sobie nie są rzadkie, rzadko jednak spotykają się wszystkie razem, w jednym bukiecie i w takich porcjach.

Spokojny, chociaż profesjonalnie czujny Michael (szedł z przodu, i właśnie przed jego kamienną i kwadratową twarzą tłum rozstępował się "w bok, w mrok") odprowadził go do samochodu. Wanieczka, jak zwykle, osłaniał tyły, i przy tym w jakiś niezwykły sposób potrafił nie deptać po piętach.

Koło samochodów (obydwa stały ukośnie na poboczu) działo się coś niezwykłego. Nie wiadomo dlaczego Kostia Bałujew nie był tam sam - stał pomiędzy nimi i przytrzymywał za przedramię jakiegoś małego faceta, który poruszał się słabo, jakby formalnie, starając się uwolnić, i przy tym patrzył złośliwie - jak na śmierć przestraszone zwierze, które nagle wpadło w zasadzkę.

- O co chodzi? - zainteresował się. - Kto to?

- Ciekawa figura - wyjaśnił Kostia, wciąż przytrzymując typka. - Sam tu przylazł. Wyglądał podejrzanie. Powiedział, że jest droga objazdowa przez Spławnoj i Niekrasowo. Mniej więcej dziesięć kilometrów. Ale nie wiadomo dlaczego szeptem. I w ogóle na pewno coś ukrywa, skubany. Moim zdaniem, to szpieg.

- Czyj szpieg? - zapytał z naturalną podejrzliwością.

- A tego ich Stienki Razina, który ma na imię Grób Wakulin.

- Grób?

- Tak. W paszporcie Gerb, ale w narodzie mówią do niego czule Grób.

Wzruszył ramionami i, otwierając drzwi samochodu, zapytał szpiega:

- Droga przynajmniej porządna?

- No! - odpowiedział szpieg. - Normalna droga. Polecisz do samego Niekrasowa... - mówił źle, bez związku, jakby miał kaszę w ustach, trzeba było wysilać się, żeby go zrozumieć, jakby był obcokrajowcem. - I nie ma co mnie trzymać, jakbym był jakimś złodziejem... Puść! Co ty mnie, napr...

- Cyt! - cicho powiedział Michael i szpieg zamilkł, jakby zatkali go korkiem.

Włączył kursograf, znalazł mapę dzielnicy, i od razu pojawiła się droga. Od tego miejsca, gdzie stali teraz na poboczu, trzeba było cofnąć się z pięćset metrów. Było tam słabo zauważalne odgałęzienie od autostrady w prawo: droga trzeciej kategorii (samotłuczeń) do niezamieszkałej teraz wioski Spławnoj, potem po skraju bagna do miejscowości Dubrowski Mech i znowu do niezamieszkałej wioski Krasnaja Wiszerka. Gdzieś z boku leżało też wspomniane Niekrasowo, a dalej droga szła na Poddubje, obok Łuszyna, do wsi Gornieckoje, Klimkowo i kończyła trzydziestokilometrowy łuk przy miejscowości Dobra woda, blisko autostrady. Ta cała obwodnica była jakby specjalnie zbudowana na wypadek ogniowej barykady w poprzek drogi Petersburg-Moskwa na odcinku Duża Wiszera-Mała Wiszera.

- A pan skąd? - pytał tymczasem szpiega wyraźnie uprzej-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

my Wanieczka.

- Z Małowiszery. Jestem miejscowy.
- A skąd pan się tu wziął?
- Tak... tego... wypadek! No to przyjechałem.
- Czym?
- Jak to czym? Tym... motocyklem... - Coś u szpiega było nie w porządku nie tylko z dykcją, ale i z logiką, właściwie mówił niezbyt pewnie, a w tym momencie w ogóle się zaciął.
- Na rowerze! - poprawił się. - A rower zwinęli. No i kręcę się tutaj. Chciałem jak najlepiej dla was. Myślałem, że to pilne. Chciałem pokierować, przecież znam te miejsca. Miejscowy jestem...

Albo coś w tym rodzaju. Im dalej i bardziej chłop się obrażał, kłaniał i denerwował, tym trudniej było go zrozumieć.

Wysunął się do nich z samochodu i zapytał szpiega:

- Jeżeli pan jest miejscowy, co tam macie w Krasnej Wieszercze?
- Wiadomo, co: cewu.
- A co to za jednostka?
- A skąd mamy wiedzieć? Żołnierce. Samochody. Drut kolczasty na murze. Mówią, że jakiś tajny instytut, a my skąd mamy wiedzieć?

- Czy pan rzeczywiście kapuje?

- Ależ skąd? Boże! Przecież chciałem jak najlepiej... Przecież widzą: ludzie problem mają...

- Cyt - powiedział Michael.

Wziął mikrofon i zaczął wyzywać generała Małnycza. Generał odezwał się. szybko. Głos miał teraz znowu zadowolony, rześki i energiczny - jak za najlepszych czasów. Od razu mu ulżyło. Widocznie nawet jeżeli sprawy się nie polepszyły, to przynajmniej przestały się pogarszać. Generał doniósł, że kryzys, dzięki Bogu, udało się przezwyciężyć, pacjent odzyskał przytomność, chociaż cały czas jeszcze jest w ciężkim stanie. Coś w jego słowach było niepokojącego. "Czy jestem potrzebny?" - zapytał wprost. "Tak, oczywiście" - odpowiedział generał, ale jakoś niepewnie, co go zdziwiło i zaniepokoiło jeszcze bardziej. "Potrzebny czy nie?" - zapytał o ton wyżej. "Tak! Tak!" - namiętnie odpowiedział generał, tym razem już pewniej, i Stanisław postanowił, że nie będzie niczego wyjaśniał. Po prostu opowiedział generałowi o swojej sytuacji i zapytał, co tamten myśli o drodze do Spławno, Niekrasowo i dalej. Generał zawahał się - tym razem już w sposób oczywisty - i powiedział: "To niebezpieczne, Stanisławie Zinowiewiczu. Przecież mówiłem panu, tam rozrabiają wakulińcy". - "A gdybyście wysłali kogoś do mnie? Na wszelki wypadek?" - "To można!" - ożywił się generał. - Już dawno trzeba skuć im mordę! Wyśle BTR Stanisławie Zinowiewiczu, od razu..."

Wysiadł i zapytał cały zespół:

- To co? Zaryzykujemy?
- Oczywiście - natychmiast odpowiedział Michael. - Tylko tego ze sobą weźmiemy.
- Nie masz takiego prawa! - krzyknął szpieg, nie wyraźnie, ale z uporem.
- Nie mam prawa? - powiedział do niego Michael łagodnie.
- Przecież tam jest milicja. Dlaczego nie krzyczysz ratunku? Chcesz, pójdziemy teraz do nich i omówimy wszystkie sprawy? Nie chcesz? No to milcz i rób, co ci każą. Iwan, kurde, Susanin małowiszerski...

Wtedy Stanisław powiedział:

- Kostia, niech pan go zostawi.
- Panie Prezydencie! - zawołał Michael.
- Stasie Zinowiewiczu, nie wolno! - zawołał Wanieczka razem z nim i tym samym tonem.

A Kostia nie zaczął krzyczeć, tylko od razu wykonał rozkaz naczelnika i nawet lekko odepchnął od siebie podejrzanego chłopca - idź, twoje szczęście...

- Panie Prezydencie! - nie mógł uspokoić się Michael, który w tej chwili stracił całe swoje poczucie humoru. - Kategoriecznie nalegam. Jestem w końcu tutaj dowódcą ochrony. Musi

mnie pan służyć, panie prezydencie! Konstanto, trzymaj tego kolesia, weź go póki nie uciekł...

I w tym momencie złapało go. Jak zawsze nagle i jak zawsze, w zupełnie nieodpowiedniej chwili. Zabrzęczało w uszach, świat się oddalił, przesunął jak narysowane mroczne dekoracje, i oddaliły się głosy: tylko na samym skraju słyszalności huczało, warczało, bulgotało - przejęty uparty Michael, i pracujące na jałowym biegu silniki, i ryczący jak generał major... a ten skąd tu się wziął, przecież jest daleko, gdzie ogień stygnie... dusi się, umiera, ale cały czas nie może umrzeć, nienasycony, słabo poruszający się, już brzydki... szkoda... A przecież mogę teraz kopyta wyciągnąć, no proszę, w jaki głupi sposób... ale będzie śmiesznie: jechał kolegę wyciągać na tę stronę z ciemności, ale sam w tę ciemność zapadł... Nie. Nie teraz. Nie dzisiaj. Jeszcze. Obiecuję. .. Kto mi to powiedział? Dawno. Nie pamiętam. Ale ta obietnica nie była wtedy spełniona, to - pamiętam...

Wśród mamrotania, szelestu, cienkiego brzęczenia i gwizdu nagle rozległ się - nad samym uchem - głos wanieczki:

- Poczekaj. Zamknij się. Widzisz, złapało go. Puść... Cholera, ależ w nieodpowiedniej chwili...

- To zawsze jest nie w odpowiedniej chwili - powiedział zdrętwiałymi ustami, nieposłusznym językiem, niemym gardłem.

- Już. Spokojnie. Puściło... - Okazało się, że siedzi już za kierownicą jest mu zimno. - Gdzie są moje pigułki? Trzeba dwie...

A można nawet trzy.

Zdrętwiałe palce same znalazły pojemniczek z pigułkami i zwyczajnie odkręciły zatyczkę. Znajoma orzeźwiająca gorycz ożywiła język, podniebienie, przysunęła świat, postawiła go na swoim miejscu, uporządkowała dźwięki: dalekie stały się słabe, bliskie - głośne. Usłyszał, jak ciężko i szybko odдыcha Michael. Jak po biegu. A palce Iwana, jak się okazało, zgrabnie i szybko rozpięły mu kołnierz, masowały kark, trzymały za puls - i to wszystko jakby w tym samym czasie.

- Już. Już - powiedział, przewyciężając duszność. - Obešlo się. Przecież powiedziałem: jeszcze nie dzisiaj. Proszę mi wierzyć. Jak wiadomo, nigdy nie kłamie... Uczciwy Staś...

- Ależ, Gospodarzu! - westchnął Michael. - Z panem się człowiek nie nudzi...

Cały czas głośno odдыchał. Jak po ataku. Był widać porządnie wstrząśnięty, a może nawet przerażony. Nigdy przedtem nie widział, jak łapie Gospodarza... I nigdy jeszcze nie mówił do swojego pana Prezydenta - Gospodarz: nie wiadomo dlaczego uważał to za chamstwo i plebejstwo. (Pochodził z dobrej inteligentkiej rodziny, mógł rozkoszować się Tomaszem Mannem i Hermannem Hessem, zachwycał się Bunuelem, po cichu pisał rozprawę na jakiś tam skomplikowany filologiczny temat i zgłosił się do bodygurdów wyjątkowo z ideologicznych powodów. Artiom podchodził do niego z pewnym profesjonalnym lekceważeniem, ale jednocześnie go szanował - za wykształcenie i dobry refleks).

- Już - powtórzył w odpowiedzi Uczciwy Staś. - Już! Do samochodów. Nie mamy tu nic więcej... Jedziemy.

Ale nie pojechali tak od razu. Po pierwsze, jeszcze nie całkowicie go puściło. O prowadzeniu samochodu nie było nawet mowy, a przesiąść się z miejsca kierowcy na miejsce pasażera nie mógł, ręce i nogi jakby zdrętwiały, nie służyły i nie ruszały się. Nie chciały. By to ukryć, zaczął omawiać porządek: kto z przodu, kto z tyłu, jaka tam może być zasadzka, jaki samochód będą w pierwszej kolejności atakować, przedni czy tylny - ale dyskusja też się nie udała: nagle zapanowała sytuacja zupełnie niespodziewana i nawet dziwna.

Jak się wyjaśniło, szpieg, którego przestali trzymać i w ogóle o nim zapomnieli w zamieszaniu, nie miał zamiaru nigdzie uciekać. Stał jak wryty z tyłu, i tylko głowę przesunął w prawo i w lewo, żeby lepiej widzieć, co tam się dzieje wewnątrz samochodu.

305

I teraz też wpatrywał się w niego, jakby cud jakiś nagle objawił się przed nim w jaskrawych barwach, ale chodziło, widocznie, nie o jego ciekawość i naturalną chęć człowieka z prowincji, żeby

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

pogapić się za darmo (sensoryczna deprawacja, głód informacyjny i te rzeczy). Widocznie, przez cały ten czas myślał, porównywał, analizował z trudem i wreszcie podsumowując swoje osiągnięcia nagle wybuchł całym szkwałem dźwięków i ruchów ciała. Zerwał się z miejsca, starał przecisnąć się bliżej centrum wydarzeń i nie przestając trząść się, ciskać, łapać otoczenie za ręce, zaczął mówić szybko, gorąco, pryskając drobną śliną, gadatliwie i już zupełnie niewyraźnie. Tylko oddzielne wyrazy (głównie w języku porozumienia między narodami) można było odgadnąć w tej burzliwej i bulgocącej kaszy. "Gospodarzu... w żadnym wypadku... straszna, kur..., sprawa... za ch... się nie dowiesz... Gerb Uljanycz... za co, kur... synkowie, przecież, dwóch..." Najpierw zrozumiał to w ten sposób, że chłop, rzeczywiście będąc wakulińskim szpiegiem, wychwycił z rozmów, że ma do czynienia z samym Gospodarzem, strasznie zawstydził się swoich numerów i teraz stara się, przebijając się przez ochroniarzy i swoją przekłętą niezdarność w wysławianiu, przekonać: niejechać, odmówić, zostać tu... czy daleko do grzechu? Zabójstwo, przecież, to straszne... szesnaście osób... I tak dalej. Rozpoznał Gospodarz przez chwilę nawet zanotował w sobie obudzone na moment słodkie uczucie politycznej próżności ("na prowincji nas znają... cenią... a przecież wydawałoby się, kim jestem dla niego?"), ale to wstydlive uczucie od razu w sobie zdławił, nagle dotarł do niego nowy, zupełnie inny sens namiętnych słów i mimo że całkowicie nie miał pewności co do tego, że Iwan-kurde-Susanin ma na myśli właśnie to, ale teraz już ciężko i nawet niemożliwie było rozstać się z przypuszczeniem, że chłop martwi sienie o drogocenne życie Gospodarza (najlepszego przyjaciela wszystkich małowiszerców), który nagle spadł mu na głowę - ale o los zasadzki Gerba Uljanicza wakulina, o szesnastu swoich współpracowników-współbojowników, z których dwóch, zdaje się, to jego synowie.

- .. .złitować się trzeba... - burczało w gorącej kaszy, wynurzało się jak kawał sadła i znowu tonęło w bulgotaniu i lepkich bąbelkach - .. .przecież to też ludzie... A za co? Podatkami zadławili. .. a gdzie on ma bez samochodu? E-n-t... .kur.. .na-muj... (Strach. Tylko strach rządzi tym światem. I nic poza nim. Nie okłamujcie ani siebie, ani mnie. I proszę nie mądrzyć się. w mojej obecności o wielkich czynach, o bohaterstwie, o sławie. O honorze, bohaterstwie i dzielności. O mądrości i sumieniu. O pięknie, które uratuje świat. I o siedmiu pobożnych. I o ironii-litości. I o miłosierdziu-dobroci...)

- Co, zesrałeś się? - spytał wanieczka, słodko-złośliwie trzymając chłopca za kołnierz kościstym i palcami. - No to biegnij teraz do swojego Groba Uljanicza i przekaż: dla was wszystkich już niedługo nadejdzie ostateczny ...ec, ...dec ipierebzdiec! (... .I o szaleństwie odważnych proszę mi nie mówić. I o gardzących tanim spokojem. I o wierze-nadziei-miłości i ich matce - wiedzy. I o wiecznych wartościach kultury, o korzeniach-liściach, o krwi-głębi. I nawet o prawosławiu-samodzierzawiu-narodowości mi nie mówcie... Ina litość boską, proszę mnie nie przekonywać, że uczciwość - to najlepsza polityka, że niby nie ze strachu, a z powodu sumienia i że naród stęsknił się za siedmioma, kurde, pobożnymi... siedem kielichów gniewu! I siedem ostatnich wrzodów! Siedem argumentów, siedem symboli ostatecznej wiary... strach. Tylko strach. I nic, oprócz strachu...)

Rozdział 8

Ale dlaczego to mnie tak razi, ilekroć mam z tym do czynienia? Czy to już nie najwyższy czas, żeby się pogodzić: przecież wszystko zrozumiane, sformułowane i (z goryczą) przyjęte do wiadomości wiele lat temu. I wiele smutków temu. Wiele rozczarowań, paroksyzmów rozpaczy i załamanych rąk temu. Zwyczajny człowiek nie potrzebuje ani twojej uczciwości, ani krystalicznej czystości twoich zamiarów! Nie wierzy ci. I nie chce wierzyć. A jeżeli nawet by chciał, to nie może. Nie umie. A jeżeli wierzy, to tylko z przyzwyczajenia i do pierwszej porażki... "Przyjdźcie i rządźcie nami". Boże, przez ile jeszcze stuleci będzie wisiało

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

krzywo nad naszymi milionowymi tłumami to przygnębiające, pokorne, anemiczne hasło? Przyjdź i rządź. Nimi... Ty rządź nimi, a oni będą (z przyjemnością) bali się ciebie (nawet z dumą, z dumnym poczuciem swojej nieopisanej i niewytłumaczalnej osobowości). Ale - koniecznie i przede wszystkim - bać się.. Bo jak tylko przestajemy się bać, pojawia się jakiś specyficzny apetyt i od razu zaczynamy cię zjadać. Jak to bywa u niektórych stadnych zwierząt... Co to jednak za odwieczna prawidłowość: zjadaj, żeby nie być zjedzonym...

...Nie chcę o tym myśleć. Niech oni o tym myślą. Tyle, że oni nigdy o tym nie myślą. Oni w ogóle często nie myślą. Z grubszą ocenianą, kumają, chwytają, kapują- tak. Ale nie myślą. Po co? Świetnie pamiętam ten cudowny stan ducha, kiedy uważało się, że myślenie jest nieekonomiczne. Ekonomiczne było - wierzyć. A potem, za jakiś czas, tak samo ekonomiczne stało sienie wierzyć. Nikomu. W nic. Za żadne skarby. Milczał, Wanieczka też. Nie chciało mu się mówić i nie było o czym. A Wanieczka miał co innego do roboty. Wanieczka trzymał prędkość około czterdziestu. Ta mama prędkość wydawała się ogromna i niebezpieczna, po prostu nie można było jechać szybciej tą drogą. Droga była wąska, kręta i rozjechana. Nie remontowano jej chyba ze dwadzieścia lat, a być może nigdy. Ponure czarne zarośla, mokre i gołe, oświetlone pomarańczowo-białym światłem, groźnie wyskakiwały z ciemności i, strasząc, znikają w ciemności, błyskając na pożegnanie czerwonymi i granatowymi ogniami tylnych świateł. Trzęsło i podrzucało przez cały czas - nie huśtało, nie usypiało, tylko rzucało, trzęsło i miało - nie pomagały żadne adiabaty, a kiedy wanieczka po kolejnym druzgocącym wyboju próbował przejść na poduszkę - nagle tak rzuciło, że wydawało się już - że koniec, doigrali się - doskakali...

Z przodu czasami pojawiały się na zakręcie i znowu za zakrętem znikają ciemno-czerwone światła Michaela. Na tej drodze jego przewaga była oczywista - objawiała się klasa PROFII. Wanieczka był dobrym kierowcą, nawet świetnym, ale Michael był kierowcą PROFII. Nie mogli go tutaj dogonić, chociaż Wanieczka wysiłał się (potajemnie): poddawał na prostych kawałkach, po mistrzowsku wpasowywał się w zakręty, pełzał jak wąż między wyrwami, ale gdzie tam. "Co? - zapytał, nie mogąc się powstrzymać. - Kwaśna kura?" - "Ale - odpowiedział wanieczka niedbale, ale natychmiast. - Miałem go tysiąc razy..." A rubinowe szerokie pasy świateł Michaela po raz kolejny mrugnęły z przodu z lekceważeniem i znowu zniknęły za zakrętem. Miejsca były dzikie, ale nie całkiem puste. Niespodziewanie najpierw w lewo, potem w prawo odchodziły proste dukty, czyste i proste jak wojskowe, z dobrą nawierzchnią, dwupasmowe, ale - donikąd. W perspektywie była ciemność albo mrugały mętne światełka: tajne wille tutejszych farmerów-latyfundystów, albo jakieś nieznanne przestrzenie gospodarcze - półlegalne plantacje konopi i maku, szklarnie, tajemnicze farmy... Raz na poboczu natknęli się nagle na zapadnięty do połowy w rowie przydrożnym, potrzaskany i spalony transporter z lukami otworzonymi w strachu i rozpacz. Czyżby był to wysłany przez Małnycza BTR? Nie - to było coś starego, zarośniętego dzikimi krzakami, ślad jakiegoś na dobre już zapomnianego sabotażu. Dziwne miejsca. Dziwne miejsca są tu u nas w Rosji, całkiem niedaleko, rzut beretem od cywilizacji...

Ciekawe, jak na przykład wanieczka wyobraża sobie ruch Korby Losu? Gospodarz stoi z kamienną twarzą, skupiony i z wycelowanym spojrzeniem, a jego celem jest łajdak, podlegający zmiążdżeniu. Cichy ruch błyszczącej od smaru dźwigni i - czaszka rozlatuje się na kawałki, mózg - w różne strony, opadają szmaciane nogi bezgłowego trupa, i łajdak już pokonany. Moim zdaniem, coś podobnego wyobrażał sobie wienia Iwanycz - jego tatuś, Panie, świeć nad jego duszą. A wanieczka przeczytał dziennik tatusia i - uwierzył...

...Ciekawie, że mój Los jakby wytrenował się w ciągu tych lat i zaczął pracować maksymalnie ekonomicznie (znowu eko-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
nomika. Zasada Hamiltona-Ockkama. Brak swobody natury).
Nawet kiedy wyszedłem na "wolne łowy"... Nie, tego nie chcę
sobie przypominać. Po cholere muszę grzebać się w gównie wła-
snych idiotycznych zachowań?... w każdym razie teraz to wy-
gląda zupełnie inaczej, nie tak, jak kiedyś, w młodości. Teraz to
wygląda oszczędnie: małe, mikroskopijny wrzodzik - i to
wszystko... Tylko ja tu nie mam nic do rzeczy, nie chcecie tego
zrozumieć, kotki moje łatwowierne, mistycy materialistyczni, re-
ligijni pragmatycy...

(Ostatni raz było tak: jego oczy wypadły, jakby wylały się
z oczodołów i zawisły na niciach... albo przykleiły się do po-
liczka, do szyi pod brodą... I akurat w tym momencie wyróciło
mnie na lewą stronę... Ale to było tylko jeden jedyny raz, po raz
pierwszy i ostami - letnią, gorącą, duszną, chorą, białą jeszcze
nocą, kiedy moje szaleństwo fermentowało we mnie, wyrastając
na bezsilnej nienawiści do losu, do świata, do siebie, do wszyst-
kiego na świecie...)

.. .To nic, niedługo wszyscy to zobaczycie w rzeczywistości,
zwolennicy wy moi kosmaci. Za dziesięć, piętnaście minut, nie
dalej. Nie będzie tam, oczywiście, żadnego zasięku, nawet zwy-
kłej kłody w poprzek drogi, a tym bardziej miny przeciwpancer-
nej: wakulin Grób Uljanycz-Adichrnatjicz potrzebuje samocho-
du, całego, a nie spalonych trupów, pomieszanych ze spalonym
żelazem. Będzie raczej, jak przepowiada nasz odważny Iwan-kur-
de-Susanin, stary, nie wiadomo z jakich tajnych czasów chowany
szlaban i - ponure, źle ogołone chłopy nagle wyjdą z lodowatej
ciemności i staną w poprzek drogi. I akurat w tym momencie za-
działa bezlitosna Korba mojego tajemniczego Fatum.

.. .Wątpliwe. Z jakiej racji? Gdzie niebezpieczeństwo? Gdzie r
przeszkoda dla moich planów i jakich? No, oddam im samochód!
Jeden - bez wahania. A jak będą nalegać, to i obydwaj. Do bazy
jest z pięć kilometrów, na piechotę dotrzemy, jak baranki. Czy
zaczniemy się przez to zabijać?... właśnie o to chodzi: "czy". To
ja w takiej sytuacji nie będę nikogo zabijał, a co postanowi moje
Fatum, tylko Fatum wie. Jeżeli. If anybody. A być może i Ono
nie wie (czy moneta wie, czy spadnie orłem czy reszką?). Ręka
Losu to pożyteczna rzecz, ale czasami irytuje i poniża, jak i każ-
da Ręka - obca, włochata, beczelnie ojcowska, opiekuńcza,
popychająca i trzymająca.

.. .Dziwne, że niczego się nie boję. Już od wielu lat. To źle!
Dobrze, jeżeli Rodzic Strachu sam odczuwa strach i im więcej
strachu wzbudza, tym bardziej sam się boi. Tak było zawsze i toż
jest normalne. Ja jestem wyjątkiem. Coś tu nie gra. Jakaś patolo-
gia. Dawno to czuję, ale ani przyczyn, ani istoty nie mogę zrozu-
mieć, i nie ma kogo się poradzić. Nie ma na świecie lekarza, kro-
remu można poskarżyć się na takie symptomy...

Cholera, gdzie jest wreszcie ten szlaban? Już najwyższy
czas... "Albo w łeb mi szlaban wlepi... jakiś inwalida..." Jaki?
"Zmęczony"?... Nie. "Ponury"? Nie. "...mi beztrojski inwalida"?
Nie. Cholera. "Iwan, albo w łeb mi szlaban wlepi jakiś inwalida.
Jaki inwalida?" wanieczka, który prowadził, ciężko pracując
wszystkimi kończynami, tylko fuknął: "Chciałbym mieć pana pro-
blemy, panie kierowniku", i w tym momencie zawołał Kronid:

- Pierwszy, Pierwszy, ja Kronid, jak mnie słycać?
- Dobrze pana słyszę, Kronidzie. Proszę mówić.
- Przedstawiam dane o wakulinie. Gerb Uljanowicz. Rok
urodzenia: sześćdziesiąty trzeci. Wykształcenie średnie zawodo-
we, ślusarz...
- Proszę tylko najbardziej istotne.
- Tak jest. Afgańczyk. Wojsko Desantowo-Powietrzne. Sier-
żant. Uczestnik akcji wojskowych w Karabachu, Naddniestrzu,
Bośni i tak dalej. Ostatni raz brał udział - w Kandymie. Założy-
ciel "białego ruchu". Współprzewodniczący Związku Farmerów,
organizator bojowych drużyn Farmerskich. Wielki właściciel
ziemski, organizator sieci farm. Figuruje na listach gończych. Dwa
razy był podejrzan, za każdym razem zwolniony za kaucją,
a śledztwo kończyło się z braku dowodów winy. Oskarżenia...
- Stop - powiedział. Zobaczył szlaban. - Dziękuję. Już. Idę

na kontakt.

- Powodzenia.

- Dziękuję. Koniec. - Nie patrząc, ale ostrożnie, włożył czarny mikrofon w kształcie jaja do gniazda.

...Tak. Michael stoi. Martwym blaskiem świeci się granatowa latarenka. Światła. Reflektory. Kilka reflektorów, być może wszystkie... w białym świetle szlaban w paski. Zamknięty. Ludzi nie widać. W ogóle nikogo i niczego nie widać, oprócz szlabanu i mrocznej masy zarośli. Żadnego ruchu. I cisza. Tylko silnik warczy. "Albo szlaban w łeb zalepi mi ponury inwalida..." Nie, jednak jest jakiś ruch - po lewej stronie od Michaela. Jakieś czerwone odbłaski... Czy to są blaski na szybie? "W łeb za chwilę szlaban wlepi mi bezradny inwalida..."

I nagle -jakby zamrożone krzaki przesunęły się i popłynęły - zaczęły poruszać się po-nad drogą - pionowe jasne i ciemne paski, jakby w głowie się kręciło i w oczach popłynęło. "Boż-ż-ż..." - ledwo gwizdnął wanieczka nad uchem.

Potwór, nienaturalnej wielkości zwierzę. Prawie niewidoczne. Raczej - prawie nie zauważalne. Żółto-szare w czarne poprzedzające paski - zatrzymywało się i od razu zrastało z pejzażem. Wyobraźnia nie przyjmowała go jako rzeczywistości. Maligna - tak. Halucynacja - tak. Gra mętnych cieni na zamrożonym nagim zagajniku wierzbowym. Dziwny koń... Cokolwiek, tylko nie rzeczywistość. Nie ma nic takiego i być nie może...

Ale to była rzeczywistość. Ono istniało. Tutaj. Obok samochodu. Ono patrzyło. Łeb. Mętne czerwone oczka. Krzywe nieprzyjemne usta... Nie paszcza, a usta. Nie głowa, nie czaszka, a - łeb... I zapach nagle skądś się wziął. Zapaszek. Zgnilizny. Albo śmierci... Albo strachu. Gdyby strach miał zapach, byłby właśnie taki... Zapaszek, od którego drętwieją kości policzkowe. .. To znaczy, że strach ma zapach...

- Co to, Boss? - szepnął wanieczka, z dużymi wargami, małutki i od razu zmizerniał, jak przestraszony uczeń.

- Milcz - powiedział ledwo ruszając ustami. - To basker.

Milcz, on słyszy...

.. Mówili, że trzeba je karmić ludzkim mięsem. Trupami, które już zaczęły się psuć.

Mówili, że rwą żelazo kłami, a pazurami wybijają przednie szyby samochodów. Jednym niedbałym ruchem łapy.

Mówili, że rozumieją ludzką mowę. Że słyszą bicie serca z odległości ponad kilometra. Że widzą przez mgłę, jak radary. Że mogą oddychać pod wodą. Ale za to, mówili, nie mają węchu. W ogóle. I nie mają głosu. Milczą. Tylko czasami - rzadko - śmieją się.

Mówili, że słuchają tylko dzieci, w wieku do trzynastu lat. Dorosłych nie uważają za właścicieli, dorosłych uważają za jedzenie. Niesmaczne, co prawda. Dorosłych uważają za surowce kulinarne.

Mówili, że w pewnym sensie są rozumne. Ale wyglądało to chyba gorzej. "Rozumne? - powiedział kiedyś wikont, uśmiechając się ponuro. - One nie są rozumne. Są szalone".

Baskery stworzono specjalnie dla ochrony. Były idealnymi ochroniarzami. Bardzo chętnie kupowały je niektóre kraje twardej ręki. Świetny towar eksportowy! Baskery nie mnożyły się. Baskera można było tylko wychodować, stworzyć, sformować, ulepić - ręczna robota, a jak to się robi, wiedzieli tylko posiadacze psich farm, w dodatku nie wszyscy. W Rosji już od pięciu lat handel baskerami był zabroniony. Same farmy istniały gdzieś na obrzeżach obowiązującego prawa. Ale farmerzy nie znali lepszej ochrony przed włóczęgami i bezdomnymi, przed sprytnymi, upartymi oddziałami specjalnymi, niszczącymi pola, i przed mafią, która chce wziąć pod kontrolę każdego wolnego właściciela ziemskiego. Chodzi o to, że baskera prawie nie można zabić. widzi kule. I pociski. A tym bardziej - powolne, samonaprowadzające rakiety...

Oczywiście, trzeba było ich zabronić. Jeszcze wczoraj. Póki nie jest za późno. Póki jesteśmy cali w naszych domach. Póki jeszcze nie zainteresowaliśmy ich tak naprawdę. Póki jeszcze do

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

nich nie dotarło, że świeże, którego tak nie lubią, bardzo łatwo przerobić w zepsute, które uwielbiają...

Basker cały czas patrzył na nich żarzącymi się oczami - z pogardą i obojętnie, a gdzieś tam, na skraju szalonego świata, krzyczał ze wszystkich sił Iwan Susanin: nie trzeba... Gospodarzu ... Straszna sprawa, przecież... Po dobremu trzeba się rozejść, po dobremu! I nagle megafonowy głos wymówił znikąd:

- Gospodarzu, jeżeli tu jesteś, przynajmniej daj znać. Czemu milczysz?

Powoli, jak w wodzie, wyciągnął rękę i włączył urządzenie głośno mówiące.

- Jestem tutaj - powiedział.

- Proszę, jest tutaj - powiedział zgryźliwie głos. - A po co tu jesteś? Czego od nas chcesz?

- Niczego.

- No to po co przyjechałeś? Masz zamiar prowadzić wśród nas agitację przedwyborczą? No, to marna sprawa.

- Nie. Nie przyjechałem do was. Jadę do instytutu.

- Po co?

Wszystko mam ci wytłumaczyć, pomyślał. Wszystko opowiedzieć... Basker też słuchał uważnie. Podszedł bardzo blisko i nagle opuścił łeb, oparł kosmatą brodę o maskę, nie odrywając swoich strasznych oczu ani na sekundę. Na kogo patrzył? I co właściwie widział, co mógł zobaczyć przez szybę fotochromową?

- Ej, Gospodarzu? Czemu zamilkłeś? Czyżbyś chciał skłamać? A o tobie w gazetach piszą, że, niby, nigdy nie kłamiesz.

- Tam jest mój przyjaciel. Umiera. Mogę go uratować.

Nagle zrozumiał, nagle i intuicyjnie, że teraz można i trzeba mówić wszystko, co tylko się zechce. Nie zastanawiając się i nie kalkulując. Że słowa teraz o niczym nie decydują. Decyduje coś innego... Właściwie, wszystko już było wiadome - jeszcze przed rozpoczęciem rozmowy. Zaraz pojedziemy dalej...

- Nieźle to sobie wymyśliłeś. Jesteś lekarzem?

- Nie. Ale umiem go wyciągać. Stamtąd, tutaj.

- Jesteś uzdrowiaczem?

- Tak, chyba tak.

- Mnie tutaj egzema wymoczyła - powiedział głos z uśmiechem. - Nie pomożesz?

- Nie. Umiem pomagać tylko jednemu człowiekowi.

- Ha. To po co w takim razie na prezydenta startujesz? Tam przecież trzeba milionom pomagać...

Nie odpowiedział. Patrzył w czerwone oczy zwierzęcia i starał się odrzucić nagłą myśl, że to on mówi, basker, a nie żaden Grób Uljanycz. Nie ma żadnego Groba Uljanycza z megafonem

- siedzi Zwierzę i rozmawia żelaznym, szeleszczącym głosem, z kpina i obojętnie, złośliwie - tylko wilgotne krzywe wargi słabo się poruszają...

- Milczysz? A jeżeli cię wybiorą? Co wtedy zrobisz, Uczciwy Stasiu? Dalej będziesz podnosić podatki?

- Nie wiem. Być może.

- A co będzie z cenami na zboże? A z baskerami co zrobisz? Zabronisz?

- Na razie nie wiem. To wszystko drobiazgi, Gerbie Uljanowiczu. Będę szukał optymalnego wyjścia.

- A co z urzędnikami? Też optymalnie?

- Powyrzucam do diabła. Lubię ich nie bardziej niż pan.

- Raczej oni cię powyrzucają... Chociaż, ty masz siłę! Nie można cię chyba wyrzucić... Co to, tak a propos, za siła, panie Krasnogorow? Proszę wytłumaczyć prostemu człowiekowi.

- Los - powiedział, patrząc w żarzące się oczy zwierzęcia.

- Przeznaczenie. Fatum. Los.

- Nie rozumiem. Proszę jaśniej.

- Panie Wakulin - powiedział. - Przepraszam, ale może innym razem to omówimy? Spieszę się.

Głos milczał chwilę, a potem odezwał się, rozciągając słowa:

- Co-o-o za cha-a-am, jednak... Coś mi się nie podobasz, Gospodarzu!

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

- Nawzajem, Grobie Uljanycz.
Zaraz pojedziemy, pomyślał znowu. Już. Zaraz. Jeszcze tylko kilka zdań i pojedziemy...
- A szkoda. Dawno chciałem z tobą porozmawiać. Dawno...
Ale spieszysz się, jak się okazuje...
Znowu przemilczał. Nie mógł pozbyć się poczucia, że rozmawia ze zwierzęciem, a nie z człowiekiem. Diabełstwo. Zawracanie głowy. A oczy czerwieniły się jak ogień, który jakoś nie mógł się zdecydować: czy zapłonąć całą mocą, czy przeciwnie, cicho umrzeć...
- Dobra - powiedział głos. - Umówmy się w ten sposób. Jutro czekam na ciebie u siebie. Chcę porozmawiać. Jak należy, spokojnie, bez pośpiechu.
- Nie mam nic przeciwko temu.
- No i dobrze. Jutro, jak będziesz jechał, mój człowiek odbierze cię na drodze, umowa stoi?
Powtórzył cierpliwie:
- Nie mam nic przeciwko temu.
- Spróbowałbyś się sprzeciwić!... Tylko nie leć śmigłowcem... - Głos uśmiechnął się. - Nie radzę.
Przemilczał i tym razem. Patrzył, jak powoli poszedł do czarnego nieba żuraw szlabanu w paski. "Lub mi w łeb szlabanem wlepi... nieruchliwy inwalida..." Nieruchliwy. Przypomniałem sobie... "Nieruchliwy"- chciał powiedzieć do wanieczki, ale w tym momencie rozpaczliwie zakrzyczał z przodu Iwan Susanin Małowiszerski:
- Gerbie Uljanyczu, na miłość boską! Zabierz bydłę! Przecież chodzi tu gdzieś... Jak ja wyjdę?
I od razu cieniutki dziecięcy głos zaśpiewał na całą mroczną lodowatą okolicę: kukowała ta sywa zozula... - i nagle zamilkł. To była ulubiona piosenka mamy. Piosenka z dzieciństwa. Zabrzmiała tu i teraz - jak nagłe zaklęcie na Zwierza. To ona była tym zaklęciem...
Basker zniknął. Nie odszedł, nie uciekł, nie utopił się i nie rozpuścił w ciemności. Po prostu więcej go nie było. Nigdzie. "Boż-ż-ż..." - znowu gwizdnął wanieczka i popatrzył na Stanisława rzadko mrugającymi oczkami, nadal poblady, ale wyraźnie już weselszy i orzeźwiony.
- "Nieruchliwy inwalida" - powiedział do niego. - Już. Po wszystkim. Do przodu. Gazu, Iwanie!

Rozdział 9

Dlaczego, skąd nagle wzięło się przecucie czegoś niedobrego? Dlaczego stało się przerażająco jasne: nic jeszcze sienie skończyło, nie jest dobrze, najokropniejsze jest jeszcze przed nami? I to nic nie znaczy, że przyjęli ich z radością - otworzyli mroczne, niedostępne bramy w brudno-białym, ponurym, niedostępnym murze, z którego wystawały oszukańcze wypukłości, jak opuchlizny, za które nie można było ani zaczepić się, ani oprzeć o nie - nawet jeżeli można, to i tak bez sensu: u góry był gęsty drut kolczasty, na pewno pod napięciem...
I nic nie oznaczały zmiękczone na widok ważnego gościa wąsate podoficerskie mordy i przyjaźnie zapalone światła nad głównym wejściem płaskiego brudno-szarego budynku instytutu (bez okien, bez żadnego okienka, a główne wyjście wyglądało jak dziura).
I nic dobrego nie obiecywały szerokie gesty powitania generała Małnycza, niezmiernie przyjaznego, jakby płynęła z niego przyjaźń wszystkich generałów Rosji razem wziętych...
Było - niebezpieczeństwo. Było - zagrożenie. Były - kłamstwo, strach, pajęczyna w ciemnych kątach. Była - obietnica niedobrego. Dlaczego? Skąd?
Być może po raz pierwszy poczuł to, kiedy przypadkowo odczuł na sobie szklane, okrutne spojrzenie naczelnika warty, który jeszcze przed chwilą był tak gorliwy i uprzejmy?
A może nie spodobała mu się miękka, całkiem uprzejma i w końcu słuszna sprzeczką w westybulu, kiedy generał Małnycz przyjaźnie, ale nieustępliwie zaproponował ochronie "odpocząć" właśnie

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

w westybulu. "Tutaj nawet są kanapy, bardzo tu wygodnie".
- Świetnie, generale - powiedział różnie i, zwracając się do Michaela, rozkazał: - Uważam, majorze, że powinien pan wrócić do samochodów. Zawiadomi pan stamtąd sztab o sytuacji. (Po co nazwał Michaela majorem? Michael nawet nigdy nie był w wojsku. Ale nazwałby go i pułkownikiem, gdyby Michael był chociaż trochę podobny do zawodowego wojskowego. Instynktem starego lisa odczuwał, że tu pasuje właśnie armia... Ale Michael w najlepszym wypadku mógłby być tylko sierżantem. Sierżantem oddziału specjalnego. Specoddziału...)
- Dlaczego do samochodów? - od razu zareagował generał Małnycz. - Panom oficerom będzie znacznie wygodniej tutaj. A poza tym, wie pan, Stanisławie Zinowiewiczu, mamy tutaj pewien porządek... Nie warto go łamać... A sztab możemy zawiadomić od razu, natychmiast pana zaprowadzę, żeby pan mógł się połączyć...
- Świetnie, generale! Dziękuję panu.
(W kremowym, matowym, przytulnie oświetlonym ukrytych lampami pomieszczeniu było troje drzwi i koło każdego stał podoficer z drewnianą twarzą i rozpiętą kaburą w stanie gotowości. W tym cichym klasztorze mieli swój regulamin, który potrafili mu narzucić - niezłomnie i bezwzględnie).
Rzut oka na Michaela. (Ten - w porządku, nie zawiedzie).
Rzut oka na Kostię. (Marna sprawa, nic nie rozumie, za dużo pali, żeby kapować szybko i jasno, "rozpusta i nikotyna"). Rzut oka na Iwana. (Całkowita beztroska. Strach na to patrzeć. Biedny, biedny generał Małnycz...)
.. Złe. Złe jest tutaj. I pachnie czymś ohydny. Co z wikontem? Czemu nic nie mówi, gęba gnidzia?
- ... Z łącznością się nie spieszy, generale. Chcę widzieć wiktora Grigorjewicza.
- Oczywiście! Ale zapewniam z radością: jest w całkowitym porządku! Może pan być zupełnie spokojny...
- Mimo to.
- Oczywiście. Rozumiem pana. Sam się namartwiłem. Nie uwierzy pan, przez całą noc, jak przeklęty... Przepraszam pana (to - do Iwana). Przecież prosiłem, żeby zostać...
- Generale - powiedział stanowczo pan Prezydent. - To mój osobisty ochroniarz. Musi mi towarzyszyć. Nawet do kibla. Zapanowała dramatyczna cisza. Generał Małnycz z wysiłkiem walczył z instrukcją. Z regulaminem klasztoru. A być może - prościej, prościej! - z obawą przed jakimiś niewiadomymi komplikacjami? To było niezrozumiałe. Tutaj wszystko było niezrozumiałe. Panowały tu porządki rodem ze specjalnego więzienia, a nie żadnego instytutu, choćby i nawet zamkniętego. Porządki domu dla chorych na "powolną schizofrenię". Dlatego było tutaj tak nieprzyjemnie i ohydnie, pomimo kremowych paneli, aksamitnych wygodnych kanap i porządnym kopii obrazu Ruś pierwotna, który powieszono fachowo i na właściwym miejscu. Więzienie.
- Cenie, pana poczucie humoru, panie Krasnogorow - powiedział wreszcie generał, uśmiechając się z oczywistym wysiłkiem. - Jednakże do środka, przepraszam, do kibla nawet jemu...
- No, generale - powiedział pan Prezydent, teraz już łagodnie. - Przecież nie idziemy do kibla?
- Che-che... Jednak musi się pan zgodzić...
- Bezwarunkowo. Zgadza się! Dwóch opinii tutaj być nie może. Pan jest gospodarzem, ja tylko gościem...
- Tak. Ale z drugiej strony... Pewne reguły...
- Przy czym gość jest zaproszony, prawda? Czy ja się mylę?
- Oczywiście, oczywiście, chociaż zgodzi się pan, że regulaminy napisane sanie przez nas, a dla nas... che-che...
- Podstawowe pytanie filozofii: człowiek dla regulaminu, czy regulamin dla człowieka?
- No właśnie, no właśnie... Ale my jesteśmy wojskowymi, bez względu na naszą zupełnie pokojową działalność, regulamin dla nas, przepraszam, ważniejszy jest od konstytucji...
Rozmawiając w ten sposób, fałszywie i na siłę, przeszli z westybulu (obok nieprzyjemnie skamieniałego podoficera) w głąb

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
chronionego rejonu, do długiego kremowego korytarza, pustego, sterylne czyste, nagiego i pachnącego szpitalem (waleriana, lizol, przypalona kasza), a potem przez drzwi, które nagle pojawiły się w gładkiej ścianie - do drugiego kremowego korytarza, którego nie można było odróżnić od pierwszego, i wanieczka, którego nie było słychać, a nawet, można powiedzieć, widać (jak przystoi prawdziwemu nindźji), szedł w stosownej odległości ze smutną twarzą konfidenta i rezydenta, a w trzecim korytarzu nagle pojawił się przed nimi i cicho dołączył do nich jakiś człowiek, długi i z długą twarzą, w granatowym kitlu chirurga, nałożonym na odwrót, przedstawiony bez żadnych formalności jako "doktor Bur-mur-mur-szyn", ale spod kitla widać mu było spodnie z lampasami pułkownika...

Wszystko było źle, źle, niespokojnie i fałszywie. Wanieczka zabezpieczał tyły, ale niebezpieczeństwo groziło nie z tyłu, a nie wiadomo skąd... sztuczna gadanina generała... wyraźne niezadowolone w żółtych oczach długiego doktora... i ten dziwny szum, na granicy słyszalności, jak dzwon w uszach - czy to były tańce gdzieś za trzema ścianami, czy to pracowała maszyna, czy to dum statystów na jakiejś ponurej szalonej scenie grał, pokrzykując czasami: "O czym rozmawiać, kiedy nie ma o czym rozmawiać"... I nagle zrozumiał, dlaczego generał Małnycz, który jest człowiekiem raczej małym i wcale nie światowym, nieprzerwanie gada, i to jakieś bzdury: generał był skrajnie zdenerwowany i spięty, i widocznie starał się jakoś zagłuszyć ten jednobarwny, ale oczywisty szum (w ten sposób domownicy, przyjmując ważnego gościa, starają się zagłuszyć straszne mruczenie rodzinnego debila z sąsiedniego pokoiku).

- A gdzie obiecana pomoc, generale? - zapytał, żeby przerwać ten sztuczny i nienaturalny potok słów.

- Jaka pomoc? - Generał świetnie rozumiał, o jaką pomoc pyta go Gospodarz i był wyraźnie zmieszany, nie znajdując odpowiedzi i nie wiedząc, co powiedzieć.

- Przecież obiecał pan wysłać po nas BTR. Na szczęście, wszystko dobrze się skończyło...

- Tak... BTR... Oczywiście. Ale proszę sobie wyobrazić...

- Dyscyplinka - odezwał się nagle doktor z długą twarzą i wpił się żółtymi, okrągłymi, kocimi oczami w Gospodarza. Oczami nieobliczalnego kota z wysypiska śmieci - wojownika i zło-dzieja.

- Tak? - uprzejmie powiedział Gospodarz.

- Dyscyplinka mamy do chrzanu, panie Krasnogorow. Jakie tam BTR-y. Urządzenia do grzania wody działają i za to dziękujemy.

Gospodarz stwierdził, że koniecznie trzeba uważnie popatrzyć na niego i oznajmił (z niewyczerpanego repertuaru Kuźmy Iwanycza):

- "Dowódca batalionu nie chodzi na piechotę - bierze ze sobą BTR albo zastępcę KA-owca".

- No właśnie - z gotowością powiedział śmietnikowy kot, który najwyraźniej nic nie rozumiał, a generał Małnycz szybko zaproponował: "Tędy, proszę" - i wyciągnął białą, zadbaną dłoń w stronę otwartych drzwi windy. Cichy wanieczka w ogóle nic nie powiedział, ale niezauważalnym ruchem przeslizgnął się między nimi i znalazł się pierwszy w nieznanym zamkniętym pomieszczeniu.

W windzie pachniało już nie szpitalem, a koszarami. Kozakami. Smarem karabinowym. Totalną beznadzieją powszechnego obowiązku służby wojskowej.

Wszyscy milczeli. Walczył z ogarniającą go nagle klaustrofobią i przez zmrużone oczy obserwował generała. W istocie, był to zupełnie mu nie znany i niezbyt przyjemny człowiek. Spotykali się kilka razy. Rozmawiali o medycynie. Wikont poniewierał nim jak sługusem. Uważał za osła i żołdaka. Ale z niewiadomych przyczyn nadal trzymał go przy sobie. Dla dobra sprawy. Wikont zawsze był wielkim i bezwzględny zwolennikiem Dobra Sprawy... Generał Małnycz na jakiś czas przestał mówić, ale jego wargi nadal poruszały się, a spojrzenie stało się szklane. Był - dale-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
ko stąd. Jakby ogłosił dla siebie przerwę i teraz odpoczywał, albo wymyślał tekst drugiej części przedstawienia. Doktor z długą twarzą sapał włochatym nosem. Mocno i strasznie śmierdział tytoniem. Wanieczka stał obojętny. Ciekawie, co wanieczka myśli o sytuacji?

(Nagle przypomniał sobie, jak kiedyś, zirytowany, powiedział do niego: "Ciekawe, co czujesz, wiedząc, że każdego człowieka możesz zabić natychmiast..." Na wanieczkę ta fraza zadziałała w sposób zupełnie niespodziewany, bardzo się obraził: "A co pan odczuwa, kiedy pan wie, że każdemu człowiekowi może pan dać w ryja? I w ogóle zwichnąć mu życie?" - , Ja nie mogę każdemu". - "Ja też nie mogę każdego". - "Ponadto, ja zawsze myślę o konsekwencjach". - "Ja też zawsze myślę o konsekwencjach..." Od razu się poddał i szczerze go przeprosił. Świetna wyszła rozmowa. Wanieczka na pewno już o niej nie pamięta. Jest złym chłopakiem z krótką pamięcią poczciwca...)

Wyszli z windy i znaleźli się w kremowym ślepym zaułku z zatęchłą atmosferą urzędu mieszkaniowego. Drzwi były szczelnie pozamykane, obok stało krzesło, a na krzesle - rozwalony (długie nogi - daleko przed sobą) podoficer w mundurze desantowca i, oczywiście, z wąsami. Kiedy zobaczył kierownictwo, podskoczył i przyjął pozycję regulaminową, ale - co było dziwne choć ulotne - pożerał wzrokiem nie generała Małnycza i nie pana ewentualnego prezydenta, a tego doktora z żółtymi oczami Dyr-bur-szychina, który nagle wyszedł z cienia, znalazł się z przodu i ryknął do oficera coś krótkiego, coś w rodzaju "otworzyć", albo "przepuścić", albo w ogóle "won!". w każdym razie, drzwi od razu szeroko się otworzyły i pan potencjalny prezydent znalazł się w obszernym pomieszczeniu, zastawionym sprzętem, ale nie takim, którego się spodziewał. To nie była sala intensywnej terapii, tylko coś ściśle wojskowego, cały sprzęt był w kolorze khaki i wszyscy ludzie tutaj byli wojskowi. Świeciły się jakieś ogromne ekrany, podobne do radarów... To była radio-kabina, albo punkt łączności, czy jak to się u nich nazywa...

- Gdzie mnie pan przyprowadził? - zapytał generała.

- Jak to? - zdziwił się tamten. - Przecież pan sam chciał się połączyć... Pan, że tak powiem, wyraził chęć... zechciał pan...

...Nie chce zaprowadzić mnie do wikonta. Nie chce i już.

O co chodzi? Odepchnął strach, który znowu go ogarnął, i powiedział spokojnie: "Dobrze, dobrze. Dziękuję. Gdzie?"

Od razu go zaprowadzili, jakiś oficerek natychmiast wstał ze swojego fotela, ustępując mu miejsca, usiadł i podał oficerkowi kod wejścia.

- To ja, kochany - powiedział do Kronida. - Już jestem tutaj, na miejscu. - Mówił powoli, specjalnie przeciągając słowa, tak jak nigdy i w żadnych okolicznościach nie rozmawiał z Kronidem.

- Wszystko świetnie. Wszystko w absolutnym porządku. Jestem z pana zadowolony, kochany... Uśmiechnął się w myślach, wyobrażając sobie, jak oczy Kronida powiększają się ze zdziwienia, kiedy słucha tych bzdur. - Gotowość "zero" odwołuję. Czekam na pana tutaj, takjak się umawialiśmy, ale można wcześniej, bo wszystko świetnie... Można i wcześniej. Jak mnie pan zrozumiał?

- Dobrze pana zrozumiałem - powiedział Kronid, też powoli i też nie podobny do siebie. - Można przyjechać, jak się umawialiśmy, ale można i wcześniej, bo wszystko idzie świetnie.

- Wykonać, kochany - powiedział pan Prezydent zmęczonym głosem.

- "Zero" odwołuję - powiedział Kronid.

- Tak, niech pan odwołuje, kochany. Nie jest potrzebne. Czekam na pana w ciągu dwóch godzin.

- Tak jest - powiedział Kronid.

Wstając z fotela, chwycił spojrzenie Iwana. Iwan był gotów. Iwan był w całkowitym i nieskazitelnym porządku. Też jestem w porządku, i też jestem całkiem gotów. Ale do czego konkretnie? .. Do wszystkiego, pomyślał. Jestem gotów do wszystkiego...

Dziwna i absurdałna myśl wynurzyła się nagle z głębi niewyraźnych i mętnych obaw. Nie ma tutaj żadnego wikonta. Wikont jest zdrowy i bardzo daleko stąd. w Petersburgu, na przy-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

kład. U siebie w domu na Sampsoniewskim. Siedzi ze swoimi zawsze zmarzniętymi nogami, zawiniętymi w koc na "kozetce Ludwika", ssie zimną świszczącą fajkę i tępo ogląda kolejny film ze Schwarzeneggerem... A tutaj dzieje się coś zupełnie innego. Zupełnie nie to. Po prostu mnie tutaj zwabili. Ta mordziasta swołocz wykorzystwała wikonta jako przynętę. Wiedzieli, że rzucę wszystko, każde zaproszenie, każde spotkanie. Ale nie to... Sprytnie. Kto? Kto?! Wojskowi? To możliwe. Nie lubią mnie. Tak samo jak ja ich. I nawet bardziej: ja w końcu jestem gotów ich wytrzymać i cierpliwie wytrzymuję...

.. Nie. Nie pasuje. Nie wychodzi. Gdyby to był pucz wojskowy, dowódca okręgu zapewniłby mi śmigłowiec, żeby tu przylecieć. Śmigłowiec już by stał gotowy z rozgrzanym silnikiem! Nie. To jest bardziej skomplikowane. Wypadek na autostradzie. Grób wakułin... Czego ode mnie chcą? Zabić? Dawno by już zabili. Już na zewnątrz, po tamtej stronie muru. Od razu. Uwięzić? Po cholere jestem im potrzebny jako więzień? W końcu nie jestem dla nich byle kim, tylko Gospodarzem. A cóż to - oni są nieśmiertelni? Poprawił na sobie ubranie.

- Nigdy nie tseba się ksątać - powiedział głośno z chińskim akcentem, do nikogo specjalnie się nie zwracając, chyba że do wanieczki. - Nigdy nie tseba się martwić: bo można pod samochodem się znaleźć albo pod tramwajem... Tak.

- Gdzie wikont? - zapytał generała Małnycza. - Gdzie jest mój Wiktor Grigoriewicz?

Już nie czuł strachu. Zaniepokojenie - tak. Nieprzyjemne zdziwienie - bez wątpienia. Poirytowanie. Niezadowolnienie. Dyskomfort. Boże, przypomniał sobie, daj mi ciężkie życie i łatwą śmierć..., Ulubione powiedzenie Nikołasa. Którego już nie ma i który miał!: ciężkie życie, a śmierć, zdaje się - łatwą... Jeżeli to spisek, pomyślał mimochodem, to znaczy, że z wikontem wszystko jest w porządku. Nie jest to najgorsza możliwość...

Już szli kolejnym kremowym korytarzem - z przodu konse-, kwentny generał Małnycza, za nim Gospodarz i gdzieś obok, poza granicami widoczności, bezszelestny Iwan. Ale doktora z żółtymi oczami i w spodniach pułkownika już z nimi nie było. Ciekawe, dlaczego? Za to narastał niewyraźny, wielogłosowy szum, ale już nie był na skraju świadomości, już zagłuszał kroki. Jednak w tym ludzkim hałasie nie można było zrozumieć ani jednego słowa. Hałas. To był hałas.

Kremowy korytarz nagle stał się biały. Sufit uniół się do góry na parę dodatkowych metrów, a wzdłuż korytarza na suficie w rozsądnej odległości od siebie pojawiły się białe, matowe kule zwykłych elektrycznych lamp, wiszących na białych trzonach. Nagle pojawił się szpital - nie bardzo luksusowy, ale całkiem porządny, czysty, przestronny, białe kitle pielęgniarek zamigotały w oddali, i pielęgniarki te zachowywały się cicho, nie mówiły głośno i apodyktycznie, jak to bywa w miejskich szpitalach dla półmartwych emerytów. Wszystko od razu stało się całkiem porządne i nawet przyjemne, gdyby nie ten, jakby zdławiony ogromną poduszką, ale wyraźny hałas...

- To tutaj - zaprosił generał Małnycza, otwierając przed szacownym gościem nienaturalnie szerokie białe drzwi. - Nie, nie - powiedział do wanieczki. - Pan zostanie tutaj... proszę poczekać... to jest szpital, proszę pana!

Wanieczka bez trudu przezwyciężył jego niezgrabny opór, wcisnął się w drzwi, wsunął tylko głowę i lewe ramię i od razu wrócił na korytarz, z takim samym melancholijnym smutnym wyrazem twarzy, i oparł się o białą ścianę, jakby wcale nie łamał przed chwilą żadnych zakazów i w ogóle nie miał tu nic do roboty - cichy, posłuszny, nieszkodliwy chłopak, którego każdy bez trudu potrafi skrzywdzić.

Generał zaczerwienił się, ale powstrzymał od awantury i, przytrzymując drzwi, znowu zaprosił Gospodarza do środka, teraz już bez żadnych słów, a tylko kiwnięciem głowy i ruchem swoich kosmatych brwi.

Wszedł i od razu zobaczył wikonta.

Wikont spał-maleńki, wyschnięty staruszek, liliput, pomarsz-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
czony nieszczęsny karzełek, łysy, brzydki, żałosny. Pomyślał: nie wolno nie widywać się tak długo. Zabijamy w sobie miłość. Nie mogę kochać tego staruszka, nie znam go...
To nieprawda. Nagle poczuł, że płacze. Znał tego człowieka. Kochał go i żałował, i chciałby umrzeć za niego, jakby znowu mieli dwadzieścia lat. Do diabła, do diabła, rozkleiłem się, co za bzdury, przecież wszystko w porządku: żyje, śpi, sapie sobie w dwie szczelinki... Wstydził się wytrzeć łzy i dlatego źle widział, w ogóle źle widział w chwilach wzruszenia, ruszył do wickonta prawie na oślep, tam ktoś siedział przy łóżku, ktoś duży, w brudno-niebieskim flanelowym szlafroku, ominął ten szlafrok, stanął nad wickontem, poczuł krzesło koło swoich nóg i z ulgą usiadł, odruchowo szukając na kocu bezsilnej okaleczonej raki. Okazało się - to dziwne! - że były tam jeszcze czyjeś palce. Odrzucił je z poirytowaniem, zawładnął palcami-haczykami i, kiedy one, nieoczekiwanie gorące i silne, zacisnęły się mocno go chwytając, jak łapka kurczątki, wpiły się, szukając życia i obrony, dopiero wtedy poczuł się na miejscu i, już nie wstydząc się, wolną ręką otarł sobie oczy. Wszystko było jak trzeba. Wszyscy zajęli swoje miejsca i robili swoje. Jeszcze jeden krąg się zamknął i teraz już wiadomo, że - będzie dobrze. Teraz - będzie dobrze. Popatrzył na tego, który siedział obok i nagle poczuł niepokój, najpierw niewyraźny, potem - ostry jak nagły ból w kiszkiach. Duży chłopak o spadzistych ramionach. Młody. Do bólu znajomy. Bardzo blada, nawet trochę niebieska (jak fajans) twarz, senna, zmęczona, pozbawiona wyrazu twarz... gorzej: twarz debila... i cały wyraz jego pochylonej zwiędłej postaci i zwiędłej ręki, leżącej na kocu tam, gdzie ją odepchnął z poirytowaniem... pół otwarte usta z dużymi wargami... oczy bez wyrazu... Młody idiota siedział przed nim, a on znał tego idiotę. Widział go setki razy. Chociaż chyba dawno. Zaraz go poznam, pomyślał - nie wiadomo dłaczego ze strachem. Zaraz. Oj, lepiej go nie poznawać. Niech go diabli. Co mnie obchodzi... Za późno. Poznałem. Boże.
Staś Krasnogorow siedział przed nim na krześle, zwiędły i bezmózgi. Młody, bardzo młody, dwudziestoletni Staś Krasnogorow, sportsmen, przystojniak... "przystojny i zdrowy, i już na pewno nie Żyd..." Ten człowiek, który zniknął na zawsze, nie wiadomo dlaczego znalazł się tutaj i znowu istniał, i był ohydny i straszny. Był idiotą, beznadziejnym i nieszczęsnym idiotą... Wstał, wściekły. Zrozumiał. Stało się. Wszystko. Ohyda, która - dzisiaj, tutaj, koniecznie - musiała się stać, stała się. I trzeba było pilnie coś zrobić i nie było żadnej możliwości, żeby zrozumieć, co trzeba zrobić i jak.

Rozdział 10

Co to znaczy? - zapytał. Nie usłyszał swojego głosu. I nie usłyszał, co mówi do niego generał Małnycz, zauważył tylko, że generał zrobił się niewiarygodnie, nienaturalnie ożywiony, był dumny i cały się świecił. Wydarzyło się tutaj coś wyjątkowego. Kiedy leciał tutaj przez wszystkie przeszkody, stało się coś epokowego. Wielkie odkrycie. Zwycięstwo. Fantasmagoria i fajerwerk.
- Do diabła! - powiedział głośno, na całe gardło, ze wszystkich sił, starając się wzbudzić strach i przerwać bałagan. - Koniec z tym bałaganem! Jak mam to wszystko rozumieć?
Generał zamilkł na kilka sekund, na jego twarzy pojawiło się zmieszanie, ale nie przestała błyszczeć. Zwycięstwo było zbyt wielkie i całkowite i radość zwycięzcy trudno było zakłócić.
- Jak rozumieć? To czysty przypadek! Jeżeli pan woli, efekt rozpaczy. Go miałem robić? Umarł. Całkiem. Najpierw zapaść, potem śmierć... I przypomniałem sobie, jak sam mówił: jeśli nie pomaga lekarz, wołajcie szamana!
- Jakiego szamana? Co tu ma do rzeczy szaman? Nie o to pana pytam.
- No, "szaman" to po prostu... alegoria... Oczywiście, nie było żadnego szamana. Potem nagle pomyślałem... jakby mnie olśniło: przecież to pełna identyczność genotypu! I nie tylko genotypu, ale również i fenotypu, chromosomy... Przecież cała istota pomysłu na tym właśnie polegała: przedstawić pełną identycz-

ność...

Słuchał go i nie słyszał. Patrzył na nabrzmiałą, młodą, senną, błądo-niebieską, chorą twarz, bez kropli krwi, w mętnie-bezmyślne oczy człowieka, który nie spał przez całą noc, a być może przez kilka nocy. Ten człowiek nie widział go, nie zauważał, a być może, nawet nie podejrzewał jego obecności. Może był po prostu zmęczony, śmiertelnie zmęczony, wykończył się, wysechł, wymęczył i teraz w ogóle nic nie widzi i nie kontaktuje. Młody, silny, ale śmiertelnie wykończony człowiek. "Przystojny, ale zwiędły"... To był idiota.

Dwudziestoletni Staś Krasnogorow był kiedyś głupi - tak, zadowolony z siebie i fanatyczny do idiotyzmu - tak. Ale był normalnym komsomolcem początku lat pięćdziesiątych, optymistą i stalinistą, jednym z setek tysięcy. Był w normie. A ten to idiota... Debil. Imbecyl. Kretyn. "Klinika"... Po co? Skąd się wziął tutaj? Kto to?

- Kto to?! - ryknął wreszcie do generała. - Niech pan się zamknie i odpowiada na pytanie!

Ale generał Małnycz nie mógł zrozumieć, na jakie konkretnie pytanie ma odpowiadać. Wyglądał na zagubionego i zakłopotanego. I był obrażony. Wszystko działo się nie tak, jak myślał. Jakieś jego tytaniczne starania szły na mamę. Jakieś mityczne czyny były odrzucane, nie tylko nie docenione, ale w ogóle bez żadnych uwag. Generał Małnycz nagle znalazł się w świecie bredni i koszmaru, przy czym w chwili najwyższego swojego tryumfu, akurat w chwili, kiedy oczekiwał krwią i potem zapracowanej łaski kierownictwa, nagrody, zapracowanej krwią i potem swoim, i awansu...

Wszystkie te uczucia można było wyraźnie odczytać na szerokiej twarzy, która nagle stała się płacziwa i odęta, zgadywał to wszystko, z łatwością rozszyfrowywał i rozumiał tak wyraźnie, jakby generał skarżył mu się głośno lub na piśmie. Ale nic więcej, oprócz tego nie rozumiał nic. wychodziło jakieś ogromne nieporozumienie. Jakiś ogromny misunderstanding. wzajemne niezrozumienie. Zderzenie niejasności... I nagle znowu usłyszał na granicy świadomości hałas, i nagle pochwycił rytm, melodię, i mocny zdławiony ryk Szalapina też nagle uchwycił w tym hałasie: "...Jest mi strasznie. Spotykam jego wzrok! w promieniach księżyca... poznaję... sam siebie!"

- Nie rozumiem... - mamrotał tymczasem generał Małnycz.

- Wydawało mi się, że pan się zgodzi... Wydawało mi się, że można w tej sytuacji... A-a! -jego twarz na moment rozjaśniła się uśmiechem, domyślił się. - Pan go jeszcze nie widział? wcześniej? Przecież nie widział pan? No tak, oczywiście! A ja nie mogę zrozumieć... To jest "rezerwa trzy", Stanisławie Zinowiewiczu. Ostatnia inkubacja! Wiktor Grigoriewicz uważał, że trzeba zwracać szczególną uwagę właśnie na wiek osiemnaście - dwadzieścia pięć... Optimum! Maksimum labilności i minimum... e-e-e... zużłtu...

Nic nie rozumiał. Jaka rezerwa? Jaki zużel? Ale nagle zrozumiał coś innego i, chyba, najistotniejszego: generał uważa, że musiał to wszystko rozumieć. Mówią mu o czymś dla niego znany, wiele razy przedyskutowanym i nawet aprobowanym przez niego... I znowu poczuł niewyraźnie nadchodzące niebezpieczeństwo, przy czym też żadnej mistyfikacji, absurdu, Kafki: zbliżało się, się zwykłe, fizyczne, wojskowo-policyjne niebezpieczeństwo, kiedy mogą chwycić za mordę, uderzyć butem w krocze i postawić pod ścianą. Tutaj. Nie wychodząc na zewnątrz. Bez sądu i śledztwa... Nie wolno, kategorycznie i w żadnym wypadku nie wolno przyznawać się do niezrozumienia tego, co do niego mówili i w ogóle tego, co się dzieje! Można było zadawać pytania, ale każde pytanie stawało się miną i groziło urwaniem ręki, szczęki, języka. Każde pytanie mogło teraz skończyć się kulą w łeb. Jednak milczeć też nie można - za dużo nieporozumień i podejrzeń dążyło się nazbierać w ciągu tych kilku koszmarnych minut.

- Gdzie jest reszta? - zapytał ostro. Domyślał się, że jeżeli siedzi przed nim "rezerwa trzy", to przecież muszą być, albo

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
prawdopodobnie mogą być "rezerwa dwa", "jeden" i, być może, "cztery".

- Ależ tutaj... - powiedział zdumiony generał. - W rekreacji, jak trzeba...

- Niech pan prowadzi.

- Ale... e-e-e... po co?

- Niech pan prowadzi, powiedziałem!

Mimochodem zauważył, że idiota z niebieską twarzą znowu trzyma Wikonta za rękę, a tamten chwycił go za brudno-niebieskie palce (palce zmarłego) zwyczajnie i z zaufaniem, jakby tak powinno być, jakby zawsze tak było. Zazdrość i obrzydzenie ukłuły w serce, chwyciły za gardło, na moment zrobiło mu się niedobrze, ale od razu o wszystkim zapomniał, bo poczucie niebezpieczeństwa, idące od bezmyślnie poruszającego ustami generała, znowu zwyciężyło. Stało się silniejsze od wszystkiego. Generał cały czas nie mógł odważyć się i przyjąć tego, co było oczywiste: najbliższy przyjaciel ubóstwianego naczelnika, drugi Człowiek na Świecie, prawie Prezydent - nic nie rozumie, nic a nic o tych sprawach nie wie, a to znaczy - że nie jest dopuszczony! Przyjąć tę prawdę, wpuścić ją do świadomości, realizować - oznaczało dla generała zwalić na siebie tak ciężką odpowiedzialność, bał się nawet o tym pomyśleć. Tutaj zaczynały się dobrze przewidziane regulaminem i instrukcją, dobrze opracowane i zgrabne łańcuszki działań i środków, ostrych i niedwuznacznych, ale za bardzo niedwuznacznych i nieodwracalnie ostrych. Obrazy, powstające w oczach generała, były za bardzo energiczne i za bardzo sprzeczne, żeby można je było natychmiast zrealizować. Miały na sobie straszne piętno rutynowej nieodwracalności. Jeżeli już zaczęła się ich realizacja, nie pozwalały wrócić do punktu wyjścia. Zacząć oznaczało: iść do końca, wóz albo przewóz, raz kozie śmierć. Ale to było myślenie wierzącego się nie na swoim miejscu pułkownika. Albo nawet podpułkownika. Awanturnika. Szachraja... A generał był człowiekiem poważnym. Był osłem.

A tutaj jeszcze:

- Proszę pokazać drogę! - podniósł zmieniony gniewem głos pan Prezydent.

Nie widział innego wyjścia, poza atakiem, był gotów nawet chwycić generała za kłapy i wstrząsnąć nim jak szczeniakiem, ale czuł, że to byłaby już przesada. Nie wolno przesadzać. Włączył się w jakąś szaloną grę, w której nie rozumiał ani celu, ani reguł, ale wiedział, że w żadnym przypadku nie wolno przesadzić, trzeba odgrywać przed zbaraniałym generałem wielkiego, gderliwego, ze wszystkiego na świecie niezadowolonego dygnitarza, jakim, niestety, nie był i nawet nie mógł być, ale na jakiego wyglądał (nie było tu żadnej wątpliwości) w oczach tego operetkowego wojskowego, głupiego, zadowolonego z siebie, służalczego, ale diabelsko przy tym niebezpiecznego... mógł zrobić coś strasznego, przy czym bardzo dobrze... przecież z jakiegoś powodu trzyma go Wikont przy sobie... Być może za umiejętność rozkazywania, kiedy przychodziła pora postawić kogoś pod ścianę?...

Generał rzucił się w stronę drzwi. widocznie nie potrafił do końca zrozumieć sytuacji - za bardzo niebezpiecznej i za bardzo niewiarygodnej, żeby ją szybko zrozumieć - i na razie nadal kierował się swoim wojskowym instynktem: podporządkowywać się i wypełniać.

Zatrzymał się w drzwiach i popatrzył przez ramię. Coś go do tego zmusiło. Jakieś przeczucie? Potrzeba rzucenia po raz ostatni pożegnane spojrzenia? Czy po prostu niejasna nadzieja, że Wikont otworzy oczy i spojrzy gniewnie, i jest już gotów wstać ze swoimi zwykłymi słowami: "No, znowu! Po cholere? Gdzie są moje gacie?!" Ale Wikont cały czas był nie tutaj. Masywny, trochę skrzywiony, nieruchomy kształt zasłaniał go prawie całkowicie, ale widać było jego twarz - obrzydliwą, szczupłą, starą twarz spokojnie śpiącego starego człowieka, któremu było już wszystko jedno.

... Do domu, pomyślał, poddając się nagle ogarniającemu

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
go porywowi paniki. Wszystko już tutaj załatwione... nie jestem potrzebny, trzeba spadać... Dlaczego muszę się w to wszystko wtrącać? "O, mój sobowtórze! Mój obrazie ponury! - ryczał zdławiony nieludzki głos w jego w głowie. - Dlaczego zmartwychwstajesz znów?"

Nogi same niosły go za gorliwie pędzącym generałem. Iwan, ze spojrzeniem drapieżnika, zupełnie pozbawiony smutnej obojętności, cicho biegł obok, błyskając spode łba oczami, które teraz stały się jak u pająka - małe i błyszczące. Nieludzki głos ryczał coraz mocniej, robił się coraz straszniejszy, nadchodził, zbliżał się niewyraźny rytmiczny hałas...

A do nich cały czas dołączali nowi, pojawiający się znikąd milczący ludzie, mężczyźni i kobiety, poważni, bardzo zdecydowani - w granatowych kitlach, w białych kitlach, w maskujących uniformach i po prostu w marynarkach i krawatach. Było już z osiem osób, kiedy generał Małnycz, nie zatrzymując się ani na chwilę, nagle wszedł prosto w kremową ścianę, w niespodziewanie (jak wszystko tutaj) pojawiające się drzwi; szkwał dźwięków ryknął i spadł na nich, i w twarz uderzyło ciepłe, parne powietrze, jakie cię wita, kiedy wychodzisz na schodki samolotu na lotnisku Soczi-Adler, i od razu zapachniało - mocno, dziwnie, nie na miejscu - gotowaną cebulą! I znalazł się w tej sali, pod samym jej sklepieniem, na galerii, przy barierce, w półmroku, i na dole zobaczył ich.

Byli na dole. Wielu. Najpierw wydawało się, że są ich setki, ale tak naprawdę było dwudziestu, trzydziestu. Ubrani we flanelowe, na pierwszy rzut oka brudne, szpitalne piżamy - szaro-brązowe, brudno-liliowe, różowo-białawe. Większość chodziła w kółko. Ręce za plecami, jak więźniowie na podwórku... trzymali się za rękę jak przedszkolaki na spacerze... solidnie i płynnie gestykulując przy statecznej rozmowie, jak widzowie teatrami podczas przerwy ("...Dlaczego zmartwychwstajesz znów, co ja przeżyłem tutaj kiedyś? Miłość moją, cierpienia moje?"). Byli wśród nich i dawniejsi, dawno zapomniani, czarno-granatowi (zapomniani, schowam na zawsze do zakurzonych schowków, jak niepotrzebne meble), ale większość wyglądała jak normalni ludzie, tylko bardzo bladzi, nawet trochę niebiescy, albo szarzy jak myszy. Chorzy. Niezdrowi ludzie. Bez powietrza, bez słońca, bez życia. To wszystko byli idioci. Senni, tępi, ze skamieniałymi twarzami.

Byli blisko, o krok, zwłaszcza ci, którzy przechodzili pod galerią. Poznawał ich. Nie od razu, nie wszystkich, za każdym razem umierając ze strachu i z obrzydzenia, z trudem tłumiąc narastające mdłości, poznawał: wikonta... siebie... obecnego premiera... obecnego pracownika bezpieczeństwa... znowu siebie... znowu Wikonta...

Wikont był w trzech egzemplarzach, wszystkie - różne, jeden - starszy, około sześćdziesięciu lat, inni - zupełnie młodzi (pięćdziesiąty czwarty, kołchoz imienia Tojowo Antikajna, budowa komsomolska, chlew, błoto, deszcz... pijaństwo, święto listopadowe... pijany wikont stara się wyjść przez piec... jakieś baby, które trzeba łać ze straszną siłą... pijany, nieprzytomny Saszka: "Nie chce się, chłopaki, ale trzeba...!")

On sam był powielony - trzy razy. I było dwóch prezydentów, których poznał z trudem i nie od razu - byli młodszy od obecnego mniej więcej o dwadzieścia lat - poznał ich po zdjęciach z dossier... I była małżonka prezydenta - z tego samego dossier... rasowa holenderska krowa ze szlachetnym i wymionami... I najgłośniejszy rosyjski faszysta z opatrunkiem na oku... i najgłośniejszy Kabardyńczyk-Bałkar... (od razu przypomniał sobie, że pół roku temu faszyście przebili głowę na wiecu, ale oko dało się uratować!)

.. .A potem zobaczył Dinare. I o wszystkim zapomniał.

...Krażenie niegiętkich, zdrętwiąłych, chorych ciał. Hałas. Jęki, krzyki, ryczenie - żałosne, rozpaczliwe, namiętne, groźne. Jak oni płakali, jak rozpaczali!... Ciche brzydki taniec manekinów... i czułe sploty rak, ciał, twarzy... To byli ludzie. To byli ludzie. Tak czy inaczej, to byli ludzie... Po co ich zrobiliście,

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

wilkołaki? wilkołaki bezlitosne, ze swoim paskudstwem... Paskudztwo tutaj wyhodowali, u mnie pod nosem?

.. .Patrzył na Dinarę. Była cicha, smutna, niebieska. Marsjańskie oczy -jak w katolickiej rzeźbie. Niezgrabny, ogromny, młody Staś trzymał ją za rękę, skamieniały, głupi, nie umiejący się uśmiechać. Cicho wył... A ona, jak się zdawało, słuchała...

- Panie Krasnogorow! - krzyczał straszny głosem generał, chwytając go obu rękami. -Nie wolno! Tam nie wolno, zabije się pan!

- Paskudztwo wyhodowaliście? - powiedział do niego, nie mając już sił, żeby się kontrolować, już spadając w nicłość, już prawie nic nie widząc. Zniknął szalony korowód niebieskich potworów, został kremowy sufit nad głową, i ostre blaski światła przy samej granicy świadomości, i płaczliwy hałas.

Potem:

- Żadnych zastrzyków! - powiedział straszny głos Iwana, zgrzytający głos najemnego mordercy. - Ręce ci urwę, czerwona mordo!

Zaraz go zabije, pomyślał z niejasnym zadowoleniem i stracił przytomność.

...Pokój był jasny, obszerny, cały zawieszony wypraną bielizną-prześcieradłami, ręcznikami, kalesonami i koszulami. Pachniało wilgocią i świeżością, wikont palił, ale zapachu tytoniu akurat nie było.

...Sen, powiedział do niego Stanisław, ale wikont smutno potrząsnął głową i poprawił: utrata przytomności. Nie myl się, na miłość boską. To utrata przytomności.

Patrz, powiedział do niego Stanisław. Patrz - to sieńka! Siemion Mirlin siedział bokiem i plecami do nich i grał z kimś w karty, z kimś niewidocznym - tylko ręka z wachlarzem kart najpierw pojawiała się zza prześcieradła, potem znowu tam zniknęła. A Siemion wykładał kartę za kartą, zbierał wziętki, huczał półgłosem: "Auf ajn pripieczek a fajr'ł..." - i ta głupia piosenka w jego wykonaniu stawała się znacząca, jak piosenka Ruchu Oporu. Paul Robson. Missisipi. .. Potem Stanisław poznał tego, który siedział naprzeciwko Siemiona - to był Saszka Kalitin, wszyscy znowu byli w kołchozie imienia Tojowo Antikajna, ale nie było żadnych bab - tylko łariska nagle przeszła obok, surowa i nieprzystępna.

.. .Wiesz, powiedział do wikonta, kiedy mamie śnił się mój martwy ojciec albo ciocia Lida, mówiła mi zupełnie poważnie: czekają, wiedzą, że już niedługo... Słusznie, potwierdził wikont, ale przecież to nie sen, to - utrata przytomności...

.. .Dobrze, powiedział Stanisław. Ale powiedz mi, proszę, kto zawsze rządził tym krajem? Zawsze. Od samego początku... No, od samego początku - dobro. Na początku - na całym świecie bez wyjątku wszyscy byli dobrzy. Ale weź czasy nowe i nawet współczesne. Kim byli ci ludzie? Obojętni synowie. Rozpustni mężowie. Nikczemni ojcowie. Rozkojarzeni bracia-wujkowie... I człowiek, który nie umie prowadzić życia jakoś po ludzku, zorganizować, uszczęśliwić własnej małej rodziny (matka, żona, dwójka dzieci, siostra, brat, siostrzeniec - tuzin bliskich, tylko - tuzin!), ten człowiek bierze się za organizowanie i uszczęśliwienie dwustumilionowego kraju!

...Już mi to wszystko mówiłeś, przypomniał wikont.

...Tak, tak. Nie mówię nic nowego. Ty, zresztą, też zawsze się powtarzasz...

...Ja się nie powtarzam. Ja cytuję. Lubię cytować. To jest o wiele bezpieczniejsze.

.. .Dobrze, dobrze. Staram się tylko wytłumaczyć ci swoją podstawową zasadę... Oczywiście, ten tak zwany wielki Człowiek nikim w rezultacie nie rządzi, oprócz garstki takich samych jak on marnot, których może zabić i zniszczyć, ale nie jest w stanie nic zrobić lepiej, i nie chce tego... Skąd zatem nasze odwieczne pragnienie uwielbienia tej wielkiej osoby? Odpowiem ci: po prostu chcemy wierzyć, że historię można zmienić jedynym, ale majestatycznym wysiłkiem - w ciągu pokolenia, "jeszcze przy nas". Ale wielcy ludzie nie zmieniają historii, oni po prostu kaleczą nasze życie.

.. .I tak będzie zawsze, póki nie nauczą się zmieniać ludzkiej

natury...

(Kto to powiedział? wikont?)

...Nie ludzie uratują ludzi, powiedział wikont przekonująco, tylko potwory. Ludzie nie są do tego zdolni, jak wieloryby nie mogą uratować wielorybów albo szczury - szczurów.

...Istotną i główną cechą naszych czasów, powiedział wikont, jest naturalność nienaturalnego i nawet - przeciwnego naturze. .. Jedyń sposob na to, żeby mieć tanią kiełbasę - to robić ją z ludzkiego mięsa...

.. .Zwróciłeś uwagę, powiedział wikont, jak ciężko w naszych dżunglach znaleźć biurokratę: dookoła tylko ofiary biurokracji i żadnego biurokraty!...

...Lepiej mi powiedz, po jaką cholere trzymasz przy sobie tego Małnycza? Przecież ta istota.

...Podoba mi się. Jest pożyteczny. Gdyby do jego gabinetu nagle zajrzał centaur, wiesz, co by mu powiedział? "Proszę wejść. Ale konia proszę zostawić na korytarzu".

(W pokoju, który przed chwilą był taki jasny, zrobiło się puisto i ciemno. Zrobiło się duszno, a było tak świeżo. I nie został w nim nikt oprócz wikonta. Wikont leżał w łóżku, miał grype, Stanisław przyszedł go odwiedzić, siedział na rozwalonym krześle i obydwaj palili. Mówili słowa, które miały podwójne i potrójne znaczenie. Nikt nie chciał być zrozumiany. Ale każdy chciał wypowiedzieć to, co bolało, bo bolało - strasznie).

...Wcale nie jestem przyjacielem ludzkości, sprzeciwił się Wikont. Jestem wrogiem jej wrogów.

...Znowu cytat? Powiedz wreszcie coś swojego.

... A po co? Jeżeli chcesz zrozumieć, kto jest kim, nie wiem po co, nie jest ci wszystko jedno, jakimi słowami ci tłumaczę? Swoimi? Obcymi? Na migi? Sapienti sat.

.. .Nie mogę ufać cytatom. Cytaty zawsze kłamią, bo są z definicji paraprawdą. Są bezpieczne. Gdybyś chciał być szczery, mówiłbyś swoimi słowami - niezgrabnymi, mało jasnymi, ale swoimi. Gdybyś chciał...

.. .Gdyby gimnazjalistki w powietrzu latały, wszyscy gimnazjaliści lotnikami by się stali...

...Brawo. Świetnie. Zgrabnie wypaliłeś. Jak do wroga.

...Cały czas jesteś tam, mój Staku. Cały czas mieszkasz "w tym kraju, o którym nawet ci się nie śni". Nie ma takiego kraju i nigdy nie było. Flibustierzy byli przestępcami, mój Staku, morską łobuzerią, krwawą i bezczelną. A autor tych wierszy zmarł straszną śmiercią - zabili go na wojnie... Cały czas wyobrażasz sobie, że jest gdzieś Raj, mój Staku, a gdzieś - Piekło. Sanie gdzieś, są tutaj, dookoła i zawsze razem: dręczyciele mieszkają w Raju, a męczennicy - w Piekle, i Sąd Ostateczny już dawno był, a my nawet nie zauważyliśmy tego w krzątaniu o Przyszłość...

...Czasami wydaje mi się, że nie jestem ci wcale potrzebny, wikontcie. Jesteś do obrzydzenia samowystarczalny - nikt nie jest ci potrzebny.

.. .Mylisz się. Jesteś mi bardzo potrzebny. Postawiłem na ciebie. Jesteś moim wojskiem, moją mocą uderzeniową. I proszę temu podołać...

... A nie uważasz, że moje Przeznaczenie jest większe od ciebie... albo ode mnie... albo od nas obydwóch?

.. .Nie. I nie mówmy już o tym.

.. .Wikontcie, chcę tylko wyjaśnić... chcę zrozumieć...

.. .Nie trzeba, powiedział wikont z irytacją. Nie trzeba. Są rzeczy, o których lepiej wiedzieć, niż je rozumieć. "Wspominam słońce... i w ogóle staram się zapomnieć, że tajemnica nie jest ładna". Tajemnica - nie jest ładna, mój Staku. Tajemnica zawsze jest brzydka...

Rozdział 11

Oprzytomniał i od razu spróbował usiąść, ale Iwan przytrzymał go za ramię:

- Niech pan poczeka. Niech pan się nie spieszy... w głowie się zakręci... - Iwan mówił bardzo cicho i cały czas się oglądał, robił dziwne drżące ruchy, jak zwierzę, oczekujące ataku.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

Nie protestował. Czuł sienie najlepiej. Nie chciało mu się wstać, chciał przewrócić się na bok, przymknąć oczy i zdrzemnąć. Tak z sześćset minut. Czuł się nie tyle chory, ile strasznie zmęczony i rozbity, jakby łądował ciężkie skrzynie. Ale leżeć było niewygodnie. I nie wiadomo dlaczego było duszno i ciężko oddychać.

I gorąco w głowę. I coś ścisnęło całą twarz - zwłaszcza czoło i usta - ścisnęło tak, że skóra zmarszczyła się, jakby wysychała. Podniósł rękę i dotknął.

Włosy. Grube obce pakuły pod nosem. Brudne tłuste pakuły na głowie. I nagle zapachniało pakułami.

- Po jaką cholere?... - powiedział i spróbował zedrzeć te pakuły... usunąć... obrzydliwie przecież, jakaś ohyda, po co? Ale pakuły były przyklejone i to porządnie.

Iwan przestał się oglądać i wpił w niego oczy. W szalonych błyszczących oczkach przeleciał śmiech.

- Ale pan wygląda - powiedział, uśmiechając się z trudem.

- W życiu bym pana nie poznał.

- Po jaką cholere? Po co?

- Nie wiem, ale ten wasz generał w ogóle zgłupiał ze strachu. Włał panu do kroplówki paramorfinę. Najpierw nie dopilnowałem, a potem patrzę...

- Po co? Po co, niech go diabli?

Jednak usiadł - zmusił się - i rozejrzał się, przezwyciężając ogarniające go mdłości. Dookoła była ciemna duża sala z niskim sufitem i rozproszonym światłem, które trafiało tutaj nie wiadomo jak i nie wiadomo skąd. wysokie, starannie zasłane łóżka wzdłuż odległej ściany. Na jednym z tych łóżek - nieruchome ciało: ostry podbródek do góry, gołe stopy spod kołdry...

Znowu spróbował zedrzeć swoje fałszywe wąsy i znowu nic mu nie wyszło - tylko łzy poleciały z oczu. Na sen to już nie wyglądało, na majaczenie - tym bardziej. Wyglądało na absurdalną sztukę, jaką zawsze chciał napisać. Zaraz otworzą się drzwi i wejdzie średniowieczny rycerz w walonkach i kałoszach... Wszystko było do takiego stopnia bez sensu, że nawet strach gdzieś wyparował. "Nie ma strachu, bo to absurd"...

Chociaż nie, strach został. Po prostu nie obudził się do końca.

Na razie był jeszcze tam - w baraku z rozwieszoną mokrą bielizną, gdzie zrozumiał coś straszniejszego, niż absurd życia.

- Która godzina?

- Piąta czterdzieści dwie.

- Kronid powinien być łada chwila.

- Nie "łada chwila", tylko za godzinę. I nie ma co na niego liczyć. Namierzają go i nie wpuszczają, a jak się będzie starał przebić - zniszczą...

Obydwaj mówili szybko i rzeczowo, rozumiejąc się w pół słowa i nagle zrozumiał, że chociaż nie rozmawiali, ale już pojęli swoją sytuację. Nic o niej nie wiedząc. Nic nie rozumiejąc. Nie wyjaśniając i nawet nie próbując wyjaśnić. Intuicyjnie. Jak zazwyczaj zwierzęta. Było jasne: sprawy stoją kiepsko; trzeba wy dostać się stąd natychmiast; na siłę; tak po prostu nie wypuszczają nie ma co liczyć na Kronida...

- Co z Michałem?

- Nie wiem. Nie udało mi się tam dostać. Tutaj wszędzie są patrole, jak w bazie wojskowej. Trzeba stąd zwiewać, Stasio Zi-nowiewicz. Jak pan się czuje?

- Przeciętnie - odpowiedział, wsłuchując się w brzęczenie w skroniach... i w prawym uchu... i w łomotanie nadmiernie pobudzonego serca... i w mdłości, które nadchodziły po każdym wysiłku... Potem spuścił nogi z łóżka. Łóżko było wysokie, nogi nie sięgały podłogi. Od razu zobaczył, że jest ubrany we flanelowe kałesony... gacie brudnofioletowego koloru. Rozporek bez guzików. Koszula z tasiemkami przy kołnierzu. Szara. Ale czy sta. I brudnofioletowa kurtka od piżamy na oparciu łóżka.

- Ch-cholera. Odzieżą pójda w takim ubraniu? Gdzie są moje rzeczy, nie wiesz?

Iwan odpowiedział - wolno, jakby dobierając słowa:

- Wiem, gdzie są pana rzeczy. Ale teraz nie mogę się tam dostać. Szukają mnie. Lepiej, żeby się nie pokazywał.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

- Coś narozrabiałeś?
- Tak. Szukają mnie. Spadamy, Stasio Zinowiewiczu. Po ci-
chu. W przeciwnym kierunku. Tam, gdzie mnie nie szukają.
Patrzył na Iwana, walcząc z chęcią przesłuchania go i to na-
tychmiast. Iwan był ubrany, nie wiadomo dlaczego, w kombine-
zon koloru jesiennego liścia. Na czubku głowy miał desantowy
malinowy beret. Prawy policzek był odrapany, z głębokiego roz-
cięcia na grzbiecie dłoni sączyła się krew...
Zobaczył nagle, że ma na nogach kapcie. Czarne, bez pięt.
Porządnie zdeptane. Okazało się, że leżał pod kołdrą w kapciach...
Absurd narastał. Absurd gonił absurd. Było kilka wariantów: jak
wszystko wytłumaczyć i co robić dalej. Żaden z nich nie był przy-
datny. Każdy z nich groził teraz niebezpieczną stratą czasu. Nie
wolno nic wyjaśniać, kiedy jest się w okrążeniu. Nie wolno sta-
wiać warunków, kiedy trzymają cię w szachu. Ten zwariowany
generał na pewno jest gotów pójść na całość. Nie będzie nic wy-
jaśniał - za późno... Iwana załatwił z automatu (jest zbyt spryt-
ny), a mnie nafaszerują chemią - po uważaniu. I koniec wyja-
śnień. .. Trzeba stąd uciekać, a potem dopiero stawiać warunki
albo zadawać pytania. Ale problem w tym, że i generał też do-
brze o tym wie.
- Wiesz, jak stąd wyjść?
- Tak.
- Skąd?
- Nie traciłem czasu.
- Nie umiem być niewidzialny. Żaden ze mnie nindźja.
- Nie będzie pan musiał. Pan jest chory. Idzie sobie do toa-
lety.
- A jeżeli kogoś spotkam?
- Niech pan sobie idzie dalej, ja go zagadam.
- Wziął głęboki wdech przed zbliżającym się wysiłkiem i, za-
trzymując powietrze, szedł z łóżka. Nogi jakoś trzymały. Prze-
stało brzęczeć w uszach, tylko serce nadal łomotało i podskaki-
wało, jak źle wyregulowany mechanizm.
- Iwan podstawił ramię i zgrabnie objął go w pasie. Pachniał
koszarami. To był obcy zapach, wzięty jak trofeum.
- Iwanindźja - powiedział do niego czule. - Porządnie że-
śmy się tutaj wkopali. Czy przynajmniej rozumiesz, co się dzie-
je?
- Ni cholery nie rozumiem - powiedział Iwan. Powoli, sta-
rając się iść w nogę, ruszyli do wyjścia. - Ale czuję, że to pa-
skudne miejsce. Widział pan Dinare Aleksiejewnę? W tym tłu-
mie? .. Zauważył pan?
- Nie odpowiedział. Znowu zaczęło go mdlić na to wspomnie-
nienie... Jak oni płakali! Jak się kochali i jak się bali siebie stra-
cić! I tracili. Wciąż tracili. Wszyscy byli jednorazowego użytku...
- To nic - powiedział Iwan, nie czekając na odpowiedź. -
Uciekniemy od nich, to panu gwarantuję. A potem już pan robi
z nimi porządek...
- Optymizm, pomyślał, cierpliwie poruszając nogami. Główna
i jedyna broń pokonanych.
- Oni tutaj robią kiełbasę z ludzkiego mięsa - powiedział
na głos. - Nie wypuszczą nas. Powiedzmy, że już zginęliśmy.
Wiesz, jak zginęliśmy? My z tobą. ..iż Michaeliem, oczywiście,
i z Kostią... trafiliśmy w zasadzkę złodzieja Gieszki Wakulina
i w tej zasadzce zginęliśmy jak bohaterowie...
- Przecież pan im wszystkim łby rozwali. W ostateczności.
- Wierzysz w to? Przestań. To wszystko bzdury. Po prostu
mam szczęście. Które, prędzej czy później, się kończy...
Już byli przy wyjściu. Iwan odsunął się i, robiąc ostrzegaw-
czy gest, zniknął.
- Oparł się o ścianę, ale potem zauważył, że nogi trzymają cał-
kiem pewnie - można stać, można iść, a jeżeli będzie trzeba,
można i biec. Truchtem.
- Na lewo od drzwi leżało przewrócone służbowe krzesło, a nieco
dalej spod łóżka sterczały nogi w butach desantowych. Poza tym
nic nie było widać. Oparł się, pomyślał ze złościwością, której sam
się zdziwił. Dobra. Nasze działania są słuszne. Nie pozwolę wam

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

hodować zgniłego paskudztwa. Pod żadnym szlachetnym pozorem. Wezwę do siebie wikonta i wszystko przedyskutujemy na spokojnie, pomyślał z nadzieją. I od razu: co przedyskutujemy? Co? "... i w ogóle staram się zapomnieć, że tajemnica jest nieładna..." w ogóle.

337

Wanieczka pojawił się znowu i przywołał go skinieniem ręki. Czuł się w tych korytarzach jak u siebie w domu, szedł krok przed nim, nie oglądając się, i wskazywał drogę. Kombinezon leżał na nim nieźle, ale modne epolety trochę psuły obraz.

Wszędzie było pusto. Same gaśnice i jakaś nieznaną aparaturą w przeszklonych szafach. Rytmiczny hałas znowu znajdował się na granicy słyszalności i zostawał chyba z tyłu. Nagle pojawiły się przed nim dwie pielęgniarki, furknęły do wanieczki, który od razu zrobił stosowny gest, obojętnie popatrzył pomalowanymi oczami na chorego, i zniknęły. (Serce uderzyło tylko raz, potem drugi, ale nic, jakoś poszło). Od razu wyobraził sobie, jak wygląda: kosmaty, na głowie pstrokate pakuły, pod nosem - pstrokate pakuły, staruszek w brudnofioletowym szpitalnym łachu, ledwo-ledwo wlecze się wzdłuż ściany szpitalnego korytarza, ociężały, duszący się, mokry od niezdrowego potu, nie umyty, dziki. Bardzo przekonujące. Idzie stary chory człowiek. "A gdzie tutaj, braciszku, kibełek?"

Kibel okazał się całkiem porządny. Oczywiście nie "Intercontinental", zupełnie nie, ale jednak bez specyficznej woni i innych śladów poprzedników. Cztery pisuary. Cztery kabinki. Bez drzwi. I, oczywiście, bez sedesów, ale - czysto. Widać nie jest tu przyjęte siadać tyłem do przodu... (Zdumiewające, jakie bzdury przychodzą do głowy w takich chwilach. To dlatego, że boję się skakać, ale ten skubaniec zaraz mi każe skakać przez okno...) Iwan stał już na skrajnym, pod wysokim podłużnym oknem, kiblu, pracując zgrabnie i prawie bezgłośnie, wykręcał oplecioną siatką ramę. Postawił (cicho) ramę w kącie, odwrócił się - twarz mokra, biała, zdecydowana - machnął ręką.

- Dobrze, dobrze... - powiedział do spoconego i wściekłego wanieczki. - Ale skakać nie mogę (po cholere - skakać? Po prostu nie wcisną się w tę szczelinę, nie zmieszczę się!) To znaczy, skoczę, oczywiście, ale od razu połamię wszystkie swoje stare kości...

- Nie musi pan - odparł Iwan, trochę się dusząc. - Nie musi pan skakać... No... Śmiało, trzymam pana. No już, już, śmiało! To było poniżające. Bezsilne ręce nie mogły podciągnąć ciężkiego ciała, zwiędłe, jak makaron nogi, beznadziejnie błędziły po kafelkach w poszukiwaniu oparcia... karaluch na szybie... stary bezmózgi karaluch... wspinał się, podtrzymywany i wypychany na zewnątrz, podciągany i popychany, pełzył po śliskiej kafelkowej ścianie, łapał się za nic, dusił się, chrypiał, oblewał się potem i w końcu, sam tego nie rozumiejąc, znalazł się: najpierw - w wąskiej dziurze okna, a potem, rozpaczliwie odepchnął się od powietrza i wpadł do jakiejś niegłębokiej wilgotnej jamy z cementową podłogą i też cementowanymi, w dotyku, ściankami... Dusząc się i krzywiąc, siedział, nienaturalnie splatając zdrętwiałe nogi, nie czując rąk, nie czując niczego, oprócz wyparowujących płuc... nie miał siły, żeby nawet zamknąć oczy i widział niewysoko nad sobą mętną plamę słabo podświetlonej mgły, po-przecinanej kratami. No, już, pomyślał. To - moja ostatnia granica. To wszystko. Uwięźli siwka w urwiste górki... Zaraz jakaś żyła pęknie i - koniec...

Widocznie, na jakiś czas stracił przytomność: nagle obok znalazł się Iwan, skupiony, jak chirurg. Jego zimne wilgotne palce dotykały go powyżej obojczyka, gdzie coś jeszcze się biło, kłopotowało, poruszało się i żyło.

- Nic, nic... - powiedział do trwoźnych, uważnych oczu. - Trzymam się na razie. Wszystko dobrze. Co masz dalej w programie?

- Niech pan wstanie - powiedział Iwan i sam się podniósł, potem schylił się nad nim, chwytając wygodniej pod ręce. - Tak... Dobrze... widzi pan światło?

Obydwaj stali teraz w tej cementowej jamie, ich głowy były

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

powyżej krawędzi, zauważył mimochodem, że kraty, która przed chwilą przykrywała jamę z góry, już nie ona. Widział też światło, o którym mówił Iwan, ale więcej nie widział nic. Wszędzie dookoła była gęsta mgła, trochę podświetlona w trzech miejscach, przy czym najwyraźniej tam, gdzie wskazywał Iwan.

- Tutaj jest mur - mówił dalej Iwan, niezbyt głośno, ale też nie szeptem. - Tam, gdzie światło, jest główne wejście. Tam stoją oba nasze samochody, transporter i ropniak - trochę dalej. Ochrony nie ma... Słucha mnie pan?

- Tak - powiedział. - Ale nie rozumiem. Na razie.

- Zaraz pan zrozumie. To nie jest takie trudne. Wcale na nas tutaj nie czekają, ryzyka nie ma żadnego. Najważniejsze jest tempo...

...To tylko tak ci się wydaje, że najważniejsze jest tempo, pomyślał. Najważniejsze, żeby nie narobili głupstw. Sam Gospodarz, rozumiecie, osobiście, uciekł, jak ostatni psychopata, ze szpitala, wylazł przez okno kibla na dwór i teraz stoi ze zmarzniętymi nogami w wilgoci, ubrany w sierocy łach, oklejony obcymi włosami, oddycha ustami, żeby nie wymiotować i przygotowuje się do ucieczki... Po co? Od kogo ucieka, od jakiego wroga? Z jakiego okrażenia się przebija? Na żadne z tych pytań nie umiał odpowiedzieć, nawet nie próbował. Ale jeszcze mniej umiał wyobrazić sobie, jak wraca teraz do łóżka, kładzie się (w kapciach) pod kołdrę, i cicho i cierpliwie czeka na generała Małyncza albo tego gorszego, dziwnego doktora Bur-mur-szychina...

- Nie mogę zrozumieć, Boss: słucha mnie pan czy nie? - powiedział Iwan ze zniecierpliwieniem, zatrzymując się w pół słowa.

- Słucham. Ale nie podoba mi się twój plan. Roztrzaskasz się w drobny mak, a bramy nie wybijesz. Wtedy tak czy inaczej będę musiał skakać przez mur, ale ty zostaniesz u nich i oni cię zabiją. I będą mieli podstawę. Nie muszą się zastanawiać, rozumiesz?

- Niech pan o mnie nie myśli, niech pan myśli o sobie...

- Nie. Będę myślał o nas obu. I o Michaelu, który teraz tam siedzi i w ogóle o niczym nie wie.

- I o Kronidzie, na którego nie mogą się doczekać w zasadzce...

- Skąd wiesz o zasadzce?

- Nie wszystko jedno? I tak wiedziałem, że na pewno zaczną się dyskusje i rozmowy. Czy chociaż raz w życiu może pan mi zaufać? Bez dyskusji?

- Przez całe życie ci ufałem.

- No to niech pan robi to, co powiedziałem.

- Nie. Siadamy do transportera i skaczemy przez mur...

- Przecież trzeba ich zatrzymać, rozumie pan?

- Rozumiem. Za kierownicą... ty. Nie potrafisz zrobić takiego skoku.

- Proszę zrozumieć, od razu zaczną nas gonić i wtedy nie uciekniemy. Taką trasą.

- To nic. Uciekniemy betonową drogą, rozumiesz? Kronid też przyjedzie betonówką, trzeba na niego czekać... A najważniejsze, nie potrafisz skoczyć z trzech i pół metra, rozumiesz? Rozbiję się.

- Przecież nie będą nas gonić, tylko strzelać.

- To nic. Jeżeli ty będziesz za kierownicą, uciekniemy. I w ogóle, kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana.

Iwan milczał przez kilka sekund, głośno i agresywnie sapiąc krótkim nosem. Potem powiedział:

- Nie znoszę szampana.

- Ja też. Ale Kronid uwielbia!

- Gdyby nie Kronid, nie zgodziłbym się na tę awanturę.

- A ja tak!... Leżałbym sobie teraz w łóżeczku...

- I czekał, kiedy pana po cichu zarzną. Na mocy prawa.

- Nic podobnego. A jak z moją Magiczną Siłą?

- Ech, Stasio Zinowiewiczu, - powiedział Iwan. - Może ją właśnie tutaj produkują? Co?

To było logiczne. No, Iwanie! Na takie oświadczenie nie

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

można od razu odpowiedzieć. Ani tak, ani nie. I nie od razu.
- Dobra - powiedział wreszcie Iwan stanowczo. - Niech pan trzyma się za mną, idę pierwszy. Wszystko poszło całkiem szybko i - na początku - bez żadnych przygód. Krótki cichy bieg przez mgłę. wzdłuż szorstkiej ściany budynku. Po resztkach suchej trawy, która przebiła się przez asfalt i szczeliny między betonowymi płytami. Było zimno. Mgła osiadała na twarzy jak wilgotna pajęczyna. Gdzieś grała muzyka, słychać było głosy i nikogo nie interesowali. Byli już koło samochodów. Już można było odróżnić wyraźny profil adiabaty na tle pomarańczowego oświetlenia, zostawało do niej dziesięć kroków - kiedy nagle w świecącej mgle rozpoczął się jakiś ruch i pojawiła się energiczna sylwetka: okrągłe ramiona, czapka z długim daszkiem, wypukłe wąsy i krótka fajka, modna w podoficerskich kręgach niektórych specoddziałów. Był to kolejny chorąży z ochrony. Coś było mu potrzebne tutaj, koło samochodów, czegoś tam szukał. Albo sprawdzał. Albo miał zamiar zwinąć szybciutko. Póki można. Pod psłoną nocy. Czymś tam cichutko brząkał, pochrzakiwał i szczekał metalem. Schylał się, znikając w mroku i mgły, i znowu się prostował. Poruszały się mocne ramiona. Iwan śledził go ze skamieniałą twarzą i ciałem. Iwan zrobił się niewiarygodnie straszny. Widać w nim teraz było groźbę śmierci - nagle się urodziła i zaczęła żyć swoim oddzielnym, niebezpiecznym życiem. Chciał powiedzieć Iwanowi: nie trzeba, Bóg z nim, nie udało się, wróćmy, niech będzie, co ma być, ale Iwan, nie patrząc, położył mu na chwilę zimną dłoń na ustach i - zniknął. Jak wczorajszy basker. Bez szelestu, bez najmniejszego ruchu powietrza, w ogóle bez żadnego ruchu. Jak znika cień ze ściany, kiedy wyłączają niepotrzebną już mocną lampę. Minęło kilka wstrząsnych chwil, ale i tak nic się nie działo. Energiczny chorąży stał teraz, oparty tyłem o adiabatę i szurał zapalniczką - jak świerszcz za piecem. Niebiesko-pomarańczowy płomyk oświetlił skupiony nos. Fajka nie chciała się rozpaść. Głupio, pomyślał. Głupio umierać w ten sposób, mając ostatnie życzenie - rozpaść upartą fajkę. Nie chcę o tym myśleć. Przecież wiem, że to wszystko jest blisko: ostatnia chwila, ostatnie życzenie, ostami skurcz życia... Przymknął oczy, nie chcąc niczego widzieć, a kiedy znów je otworzył, już nie było na co patrzeć. Chorąży zniknął. Drzwi samochodu były otwarte, Iwan wołał go, robiąc niejasne gesty ręką i znowu trzeba było iść - ruszać zmarzniętymi nogami i mieć nadzieję na lepsze w ciągłym oczekiwaniu na najgorsze. Wciąż grała gdzieś daleko muzyka i słychać było kaszlący śmiech, ale więcej - nic. W ciągu ostatnich dwudziestu ośmiu sekund nic nie usłyszał. Właściwie było teraz już mniej dźwięków - zapalniczka nie szurała jak przeziębiony świerszcz... Świerszcz zapowiada śmierć. Tak mówią. I tak mówi legenda. Tylko - czyją śmierć?

Rozdział 12

Adiabata skoczyła lekko i miękko, jak gigantyczny mechaniczny kot i przez kilka sekund widział pod sobą zalany mgłą poranny świat: czarną szczecinę krzaków i drzew wokół budynku, sterzącą z białawej słabo podświetlonej zasłony mgły; kolczasty drut na murze; jakąś całą daleko... warstwa mgły była wysoka na cztery metry, a nad tą warstwą cicho sypał rzadki śnieżek i świecił mętny stary kawałek księżyca. Potem samochód znowu spadł we mgłę, krótko i miękko ryknęły silniki, Iwan jakimś cudem potrafił osłabić uderzenie do granicy wytrzymałości - samochód jakby wpadł na wysokie prędkości do metrowej dziury, superprocesory buchnęły, ale wytrzymały, zgrzytnęły mu szczęki i ręce klasnęły bezradnie i boleśnie, jakby same z siebie, a samochód już leciał poślizgiem, czekały i smierdziały płonące opony: Iwan robił ostry zakręt, celując w źle widoczny wśród zarośli wąski korytarz betonówki - dalej, szybciej, jeszcze szybciej, póki tamci jeszcze nie doszli do siebie, póki nie wysłali pościgu i nie zawiadomili patroli. Pomysł był idiotyczny, dziecinny, zaplanowany przez smar-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
kacza i dlatego nic z niego nie wyszło, nawet nie zdążyło się nic zacząć - po pięciu minutach rozpaczliwej jazdy. Skończyło się paliwo.

Siedzieli obok siebie i milczeli. Podskakiwały czerwone i zielone światełka na pulpicie. Świecił czerwona lampką wskaźnik zużycia paliwa - surowo, nieugięcie i ostatecznie. Silnik stygł. Stygła kabina. Trzeba było wyjść na zewnątrz i iść do autostrady. Dziesięć kilometrów. Może pięć. Na wariata. Może się uda - uniknąć patroli. Może się uda nie trafić na chłopaków Groba Wakulina. Może się uda złapać i zatrzymać Kronida, który powinien być już blisko... Jeżeli go nie zatrzymali i nie złapali. Wszystko było niewiarygodnie niezgrabne, głupie i bezsensowne.

- A radio chorąży ukradł? - zapytał. Nie dlatego, że miało to jakiegokolwiek znaczenie, a dlatego że wychodzić na zewnątrz bardzo mu się nie chciało, a w kabinie było jednak jeszcze ciepło.

- Nie, nie sądzę - odpowiedział Iwan stanowczo. - Przypuszczam, że wcześniej je wymontowali. A ten chorąży... raczej w szczegółowych sprawach. Na własną korzyść... Niech pan poczeka, Stasie Zinowiewiczu, niech pan na razie nie wysiada. Mam coś w bagażniku, rozmiar być może nie bardzo stosowny, ale jednak coś lepszego niż ten pański szpitalny łach...

- Dobrze - powiedział posłusznie. - Czekam.

Trzeba było jeszcze raz zastanowić się nad sytuacją. Samego. Bez Edika. Bez Kuźmy Iwanycza. Bez Nikołasa. Bez zespołu, który kochał teraz najbardziej na świecie. (Bez zespołu. Sam, kur... w samotności, kur...). Bez swojego słynnego Ministerstwa Prób i Błędów, najcenniejszej rzeczy, jaką kiedykolwiek miał. Gdzieś się pomyliłem, pomyślał. Nie zrozumiałem w swoim czasie czegoś bardzo ważnego (dawno, bardzo dawno!) i właśnie dlatego znalazłem się dzisiaj w tej zimnej kałuży.

"Kiełbasa z ludzkiego mięsa..." Nie, to nie to, to tylko figura retoryczna. Coś innego powiedział do mnie niedawno. Nie niedawno, oczywiście, tylko wiele lat temu, kiedy nic jeszcze nie było postanowione, kiedy wszystko dopiero się zaczynało i nic jeszcze nie wyglądało na ostateczne. (U prezydenta Krasnogorowa - zaczynało się, a u członka korespondenta Kikonina wszystko już było wiadome i szło pełną parą).

"Przeznaczenie darują bogowie. I ten, kto dostał ten dar, staje się jednym z nich... Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, mój Staku, jaka to rzadka rzecz - przeznaczenie!"

Wikoncie, przyjacielu, tylko ty mi zostałeś. Jak to się mogło stać, że znalazłeś się wśród moich wrogów? Tak, nie jesteś przyjacielem ludzkości, jesteś wrogiem jej wrogów. Ale przecież ja też! Jak mógł znaleźć się między nami generał Małnycz - tyłem do ciebie, twarzą do mnie - swoją dużą służalczą twarzą łajdaka i kłamcy?... I dlaczego mój dar jest bezsilny przeciwko niemu?... Nie znał odpowiedzi.

Prawdę powiedziawszy pytania też dobrze nie znał. Działo się coś niejasnego, niewytłumaczalnego i śliskiego, jak kawałek lodu. Dawno się odzwyczaił od czegoś takiego - zrobił się rozpieszczony. Czuł się niewiarygodnie stary, słaby i bezsilny. To było męczące i obrzydliwe uczucie, jakie zdarza się w złym śnie, kiedy się starasz i cały czas nie możesz się obudzić...

Zaczął nasłuchiwać. Usłyszał jakiś trzask z tyłu. Jakby ktoś prostował tam pognieciony plastikowy płaszcz. Kto teraz pamięta, co to jest: plastikowy płaszcz? Chociaż wanieczka ma rację, lepsze to niż fioletowe kałesony... Płaszcz jeszcze raz trzasnął i nagle ktoś roześmiał się obok. Nie wanieczka.

...Szarpnął się, uderzając się głową o szybę prawych drzwi: przez lewe, błyszcząc spode łba czerwonymi węgielkami, patrzył na niego basker.

.. .To chwilowy atak duszności ze strachu. Skurcz, który skręcił duszę w hak. Szaleństwo, odrętwienie, utrata siebie. Basker cały czas patrzył, nieruchomy jak mroczny szkic Goi, i tak samo niewiarygodny.

...Mówili, że mają spojrzenie bazyliuszka - pod takim spojrzeniem wybrana ofiara staje się miękkim kamieniem. Traci głos i krew w niej zamiera. Mówili, że niektóre z nich robią tak: od-

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
gryzają człowiekowi nogi i odchodzą na dzień, dwa, a kiedy wracają, jedną trupą, który już zaczął się rozkładać. Mówili: tak naprawdę, nie lubią zabijać, bo nie lubią świeżego mięsa. Mówili: dobrze, jak zdążysz się zastrzelić, skoro nie ma innego wyjścia... Pierwszy szok minął, cały był pokryty lodowatym potem, ale już wszystko rozumiał i znowu był sobą. Znowu był starym, ogarniętym dumą, zgryźliwym i władczyim człowiekiem, przyzwyczajonym do tego, żeby podporządkowywać i odzwyczajonym od podporządkowywania się.. Nie chciał ani umierać w mękach, ani zastrzelić się, żeby uniknąć męki. Chciał żyć (jak dużo strat w ciągu jednej tylko doby! Przeklęta noc. Przeklęta klęska...). Nie patrząc, nie odwracając spojrzenia od strasznego widoku za oknem, wyciągnął rękę i otworzył skrytkę. Pistoletu nie było. Choraży zdążył jednak coś zwinąć. (Szczegóły...) Chociaż nie, pistolet i tak był gazowy - paralizator NP-04, wygodny i miłosierny, ale równie nieskuteczny na baskera, co najnowocześniejszy OS... (Ile strat. Ile niepowietowanych strat w ciągu jednej nocy!) Swołocz, szepnął do baskera samymi wargami. Nagle ogarnęła go nienawiść, jak atak niepowstrzymanych wymiotów i od razu zabiła całą resztę - ból, rozpacz, strach. Poszperał pod siedzeniem, gdzie miał zapas... nie on właściwie, tylko wanieczka, który zawsze uważał, że strzeżonego Pan Bóg strzeże i trzymał tam w tajemnicy przed całym światem granat - "na wszelki wypadek i pod warunkiem, że..."
Granatu głupi choraży nie znalazł, więc teraz ścisnął go w pięści, wyrwał zębami zawleczkę i sięgnął wolną ręką do guzika - otworzył lewą przednią szybę.
Ale baskera już nie było - na zewnątrz była biała mgła, drobnymi kroplami osiadała na szybie.
Mądra swołocz. Wydostał się na zewnątrz, trzymając granat w odsuniętej ręce, gotowy, żeby rzucić, albo przynajmniej po prostu puścić palce. Szedł przez mgłę, która nagle zrobiła się bardzo gęsta. Nic nie było widać. W ogóle. Tylko dolne reflektory i światła stopu świeciły się mętnie, nie oświetlając niczego, oprócz pustej mgły.
Obszedł samochód i zobaczył otwarty szeroko bagażnik, słabe światło w środku i wanieczkę, który leżał tam nieruchomy i patrzył mu w twarz. Wanieczka był zupełnie maleńki. Czarna, lepka, błyszcząca kałuża otaczała go, zalewając wewnątrz bagażnika wszystko, co tam było. Wanieczka był przytomny, ale milczał. Nie miał nóg. Potem zaczął mówić. Jego głos był jak bzykająca struna.
- Gos-s-s-po-darzu... - bzyknął. - Niech mnie pan dobi...je... -iumarł.
Widział, jak życie opuściło czarne nieruchome oczy, jak obwisło ciało, które jeszcze przed chwilą było sprężyną, naciągniętą do oporu od bólu i koszmaru.
Przez kilka sekund stał nieruchomo.
(Nigdy nie wiedział, jak postępować ze zmarłymi. Dziesiątki osób odprowadził tam, ale w końcu nie nauczył się: schylić głowę; dotknąć ustami lodowatego czoła; wstać z klęczek i znowu schylić głowę... To wszystko wydawało mu się teatrem. Tanią twórczością amatorską. To wszystko było na pokaz - nie wiadomo tylko po co i dla kogo).
Potem przeciągnął ręką wolną od granatu i dotknął szyi wanieczki, tam, gdzie powinna pulsować żyłka. Szyja była ciepła, trochę lepka, ale żyłki już nie było. Wanieczki już tu nie było. I nigdy go nie będzie.
Zamknął bagażnik i nagle - jakby oprzytomniał. Otoczenie, przed chwilą istniejące oddzielnie i jakby z daleka, runęło na niego bez litości i miłosierdzia. W tym otoczeniu (oprócz lodowatej mgły) były zimno i wiatr, lodowata beznadziejna samotność i martwa woń pozaziemskiego zwierzęcia, które przed chwilą było tutaj, i to być może gdzieś w pobliżu: patrzyło, czekało, oceniało, decydowało...
Odczuł dreszcz, który peszył go od pięt do czubka głowy. Skurcz, który złapał rękę z granatem. Metalowy smak zawlecзки, cały czas zaciśniętej między zębami. Poczuł siebie i przypomniał sobie, co właściwie musi teraz zrobić.

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

Nie potrafił wsunąć zawleczonego granatu z powrotem. Trzeba ją wyrzucić. Odbezpieczony granat postanowił nieść ze sobą. Na wszelki wypadek. I to nie przeciwko baskerowi - nagle poczuł pewność, że zwierzę odeszło, że nie ma go już tutaj, że wróci dopiero za parę dni, żeby rozpruć stalowymi pazurami bagażnik i dostać się do tego, co jest w środku. Już tylko po to, by do tego nie dopuścić, trzeba teraz zmusić się, po raz kolejny przewyciężyć siebie - iść, utykać, pełznąć, szukać ludzi, jakichkolwiek, ale lepiej jednak - swoich.

Szedł powoli, prawie nie czując zmarzniętych nóg, którymi niepewnie, jak ślepy, wyszukiwał pod sobą betonówkę, prawie nic nie widząc, wystawiając do przodu wolną rękę i czule chowając na piersi pięść z granatem. O niczym nie myślał. Gdyby mógł jakoś przywrócić zdolność myślenia, myślałby chyba tylko o tym, że ta noc jest przeklęta i że za nic nie da się jej przeżyć.

Po malutku ogarniał go strach, cicho zaśpiewał: Kukowała ta sywa zozuła... rannim-rańcem da oj na zari... Śpiewał, starając się naśladować intonację mamy, nie znał ukraińskiego, po prostu znał to na pamięć - i słowa, i melodię, i intonację. Oj, zapłakały chłopcy-molodcy... gej-gej taj na czużbinie, w newolitiurmy... w tym miejscu zapomniał słów i zaczął od początku. Wierzył, że to powinno mu pomóc. Strach był już silniejszy od rozsądku.

I nic się nie działo. Widocznie zakłęcie miało siłę. Potem, kiedy mgła zaczęła znikać, kiedy pojawił się na niebie i zawisł nad czarną ścianą zarośli obgryziony mętny księżyc, ni z tego ni z owego, przypomniał sobie dawno wymyśloną i dawno zapomnianą piosenkę z jakąś turystyczną melodią:

w niebie księżyc jezioro błyszczący jak aluminium,
Niedźwiedzi i słońca sporo, a my - pomiędzy nimi...
...Dlaczego razem niedźwiedzie i słońce? Kim są ci "my"?
Kiedyś ta piosenka była absolutnie konkretna, dobrze to pamiętałem, a teraz wszystko było przekreślone, wszystko wywietrzało, to wszystko było - o niczym. Albo - o czymkolwiek. Na przykład o nim. O tej betonówce. O tym mętym odłamku kosmicznej nędzy nad kosmatymi zaroślami. I o samych tych zaroślach, w których jest coś gorszego od niedźwiedzia, chociaż dzięki Bogu mniejsze od słońca...

Kruszynki w ustach nie mieli już od dziesięciu dni,

A Krowi szczyt daleko jeszcze stąd.

Już dawno zjedliśmy ostatnie swoje psy
Idziemy tak bez przerwy czwarty tydzień w głąb.

.. Jakie psy? Myśliwskie? Czy zaprzęgowe? Gdzie ten grzbiet Krowy (i zaraz skojarzenia: Wszawy Hełm, Gribanowska Karaułka, Sto Druga Razmiotka). W którym roku, niech sobie przypomni, wszystko to się działo? Nigdy w życiu nie chodziłem na polowanie. Saszka Kalitin był myśliwym, ale głównie polował na kaczki i gęszce, co tu mają do rzeczy niedźwiedzie?

Mój przyjaciel, co mówić nieprzyjemnie,

Niedawno temu jakby napluł mi w pierś:

Strzelał do słońca, trafił we mnie

I teraz ma zamiar mnie zjeść.

.. .A jeżeli to o mnie i o wikoncie? Uśmiechnął się. i nagle znowu poczuł swoje fałszywe wąsy - mokre, śmierdzące pakuły pod nosem. "Strzelał do słońca, trafił we mnie..." Nieźle. Coś w tym jest. Wikont zawsze uważał, że nasza wyobraźnia przeraża nasz świat: wszystko, co wymyślono - istnieje. Każdy wiersz to zbiornik Prawdy. Po prostu nie zawsze możemy zrozumieć, jakiej i o czym... Przecież wiemy o wiele więcej, niż rozumiemy. I to jest nasze nieszczęście i szczęście jednocześnie...
Matowieje złoto ogniska, dymi i gaśnie.

Dożyć by, bracie, do rana - tak blisko,

lecz druh mój uwędzić mnie chce!

.. .Otóż to - na pewno. Jak prawo natury. Nic ująć, nic dodać: uwędzić. Nie, wikoncie, poprosi! Ja i tak jestem z tobą, jestem twój na zawsze. Chociaż twoje paskudztwo, Bóg da, zniszczę. Bo tak nie wolno. Bo są rzeczy, których robić nie wolno. Są rzeczy,

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)

które są potrzebne, bardzo potrzebne, ale jednocześnie nie wolno ich robić. Nie zawsze potrafimy to wytłumaczyć. Zrozumieć. Sformułować. Trzeba się starać. Koniecznie trzeba się starać. Ale nawet jeżeli nie uda się ani zrozumieć, ani sformułować, trzeba poczuć (po prostu grubą skórą duszy): tego robić nie wolno.

Piosenka się skończyła. Zaczął ją od początku, zaśpiewał pełnym głosem, a kiedy znowu się skończyła, poszedł dalej sam, bez piosenki. Wszystko było widać jak na dłoni. Mgła została za nim, z przodu była tylko zwyczajna ciemność z rzadkim śnieżkiem, a księżyc, mimo że zżarty latami jak walonki przez mole, świecił niezłe i pozwalał wybierać, gdzie można postawić nogę (pół martwą z chorym rozwalonym kolaniem), a gdzie - w żadnym wypadku. Kpacie zgubił, szedł boso, ale nie wiedział o tym... Teraz już się przyzwyczaił, jak przyzwyczajał się zawsze i wszędzie, i w każdej sytuacji. Wiedział, że przejdzie dokładnie tyle, ile trzeba, i nikomu ani niczemu nie pozwoli się zatrzymać. Zawsze starał się być uczciwy i to przede wszystkim - z samym sobą. Znał siebie jako dość twardego, nie tyle dobrego, co porządnego człowieka, który nie umiał i nie chciał kłamać i nadawał temu za duże znaczenie. Jednak uczciwość jest walutą moralności. Polityka nie przyjmuje tej waluty, ma swoją, ale póki światem będą rządzić nieuczciwi albo, w najlepszym wypadku, umiarkowanie uczciwi ludzie, poty świat będzie nieuczciwy albo, w najlepszym wypadku, umiarkowanie uczciwy (w różnych okolicznościach, od wydarzenia do wydarzenia, jeżeli to jest korzystne dla dobrej sprawy, devant les enfants, dla prasy i telewizji). Albo - albo. Wikont zawsze miał do tej idei sceptyczny stosunek. Uczciwość - to coś w rodzaju mądrości u ładnej kobiety: dobrze, ale nie za to ją kochamy... Wikont jest cynikiem. Ale jest też naukowcem. Zna cenę uczciwości. Wie, że uczciwość nie ma ceny. Jak życie. Albo jest, albo jej nie ma. Jest cenna sama z siebie...

Opamiętał się. Co mi jest? Z kim rozmawiam? Czy to nie ja... Ale przecież przed chwilą ktoś był obok. Siedział w fotelu i patrzył w ogień przez długą szklankę ze scotchem...

Dokoła nic się nie działo. Szedł. Ruszał nogami z rozwalonymi kolanami, które bolały niesamowicie. Prawie nic nie pamiętał, zapomniał o Nikolasie, o wanieczce, o Michaelu... i już oczywiście na dobre zapomniał o tych nieznanym ludziach, którzy tej nocy tak czy inaczej byli "przekonani"... Dobrze pamiętał tylko, że jeżeli z przodu pojawią się nieznajomi, trzeba schować się w krzakach, a kiedy to nie pomoże - puścić palce lewej ręki; jeżeli z przodu pojawią się światła i błyszczące reflektory, to będzie Kronid - wtedy trzeba będzie wyjść na środek drogi i skrzyżować ręce. Bardzo wątpił, czy zdoła w razie potrzeby puścić palce - jeżeli być do końca uczciwym, to nawet był pewien, że nie potrafi tego zrobić...

.. Światła pojawiły się niespodziewanie i bardzo blisko. Opamiętał się, ruszył do nich, zamachał wolną ręką. Niski rozgrzany samochód ze świstem i zgrzytem hamulców szarpnął się, jakby odchylając się od niego z obrzydzeniem i przeleciał obok. Nie zdążył nikogo zauważyć w kabinie, a za nim huczał i jechał drugi - mały sztabowy transportowiec, prezent poprzedniego ministra obrony - zapchany chłopakami Artioma, ślepy i głuchy w swoim mokrym zielonym opancerzeniu, w śmierdzących chmurach spalin i płonących opon...

Odrzucił go strumień powietrza, nie potrafił utrzymać się na nogach i upadł na beton, nie czując bólu i nawet nie rozumiejąc, że spadł.

(- Alkoholicy, przez Boga przekłęci - nerwowo powiedział Kronid, siedzący za kierownicą pakarda. - Przecież o mały włos go nie zabiłem, łajdaka...

- A może chciał, żeby go zabić? - warknął Artiom, ponuro gryząc cygarniczkę, z papierosem. - Wdziałeś go?

-Nie.

- Wąsaty z pakułami. Na pewno zbiegł z "psychiatryka". Śmierci szukać.

Kuźma Iwanowicz powiedział melancholijnie: "Wszyscy

Strugaccy A i B - Poszukiwanie przeznaczenia(txt)
umrzemy". Zabrzmiało to w jego ustach jak prognoza, ale nikomu nie przyszło do głowy, na ile ta prognoza okaże się krótkoterminowa.

- Cholera, spóźnimy się- powiedział Kronid.

- A co się, martwisz? - zapytał Kuźma Iwanowicz. - Przecież to magik.

- Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

- Jego i tak Pan Bóg strzeże... - zauważył Kuźma Iwanowicz, a Dinara nagle, po raz pierwszy, odezwała się z tylnego siedzenia nieznanym, jakby zdartym głosem:

- Przestańcie gadać! Zamknijcie się, na miłość boską!

I wtedy zobaczyli na poboczu adiabatę z otwartymi przednimi drzwiami).

Nic z tego nie widział i nie słyszał. Nie mógł tego usłyszeć, nawet gdyby znajdował się blisko nich, w ich kabinie, pod krowką i z maskatlenowaną twarzą. wydawało mu się, że siedzi na starym, rozwalonym krześle, w małym pokoiku wikonta, obok samego wikonta, grzebiącego w drewnianej misce, w której było pełno fajek, antykwaryczne kielichy świecą rubinem (albo topazem), za nimi połowa życia, przed nimi - druga, pełna ukrytego sensu, i wikont mówi w swojej zwyczajnej pogardliwej manierze: "Można znać swoje przeznaczenie i - nie rozumieć go. Tak jest nawet lepiej, bo jest powiedziane: wspominam słońce...

i w ogóle staram się zapomnieć, że tajemnica jest nieładna. Tajemnica jest nieładna, mój staku. Jeżeli chcesz mieć tanią kiełbasą, będziesz ją musiał robić z ludzkiego mięsa..."

Nie! - powiedział stanowczo, i w tej chwili małeńka, prawie mikroskopijna plamka martwej materii zatrzymała jego oddech.

...Palce ściśnij, zdążył pomyśleć chaotycznie, już się dusząc, już w ogóle bez powietrza. Mocniej. wikonta nie złapiesz... Palce.

Ewolucja nie może być sprawiedliwa

Friederick von Hayek

Zgubna pewność siebie

Od Autoro

Każdy bez wyjątku bohater tej książki ma kilka prototypów. Cechy charakteru tych prototypów są pomieszczone w każdym z bohaterów w dość dowolnych proporcjach. To samo można też powiedzieć o najbardziej wyrazistych z opisanych w książce sytuacji. Dlatego, mimo że nawet bardzo dużo w tej książce jest po prostu kalką z rzeczywistości, nie ma sensu zadawać pytań w rodzaju: "kto jest kim, co jest czym, gdzie i kiedy dokładnie się to stało?".

Większość z cytowanych w książce "maszynowych" aforyzmów autor zaczerpnął ze zbioru Gry komputerowe (Lenizdat, 1988). Korzystając z okazji, autor chciałby złożyć podziękowania i wyrazy zachwytu twórcy programów komputerowych D. M. Lubiczowi.

Skanowanie

Skartaris

Wrocław 2003